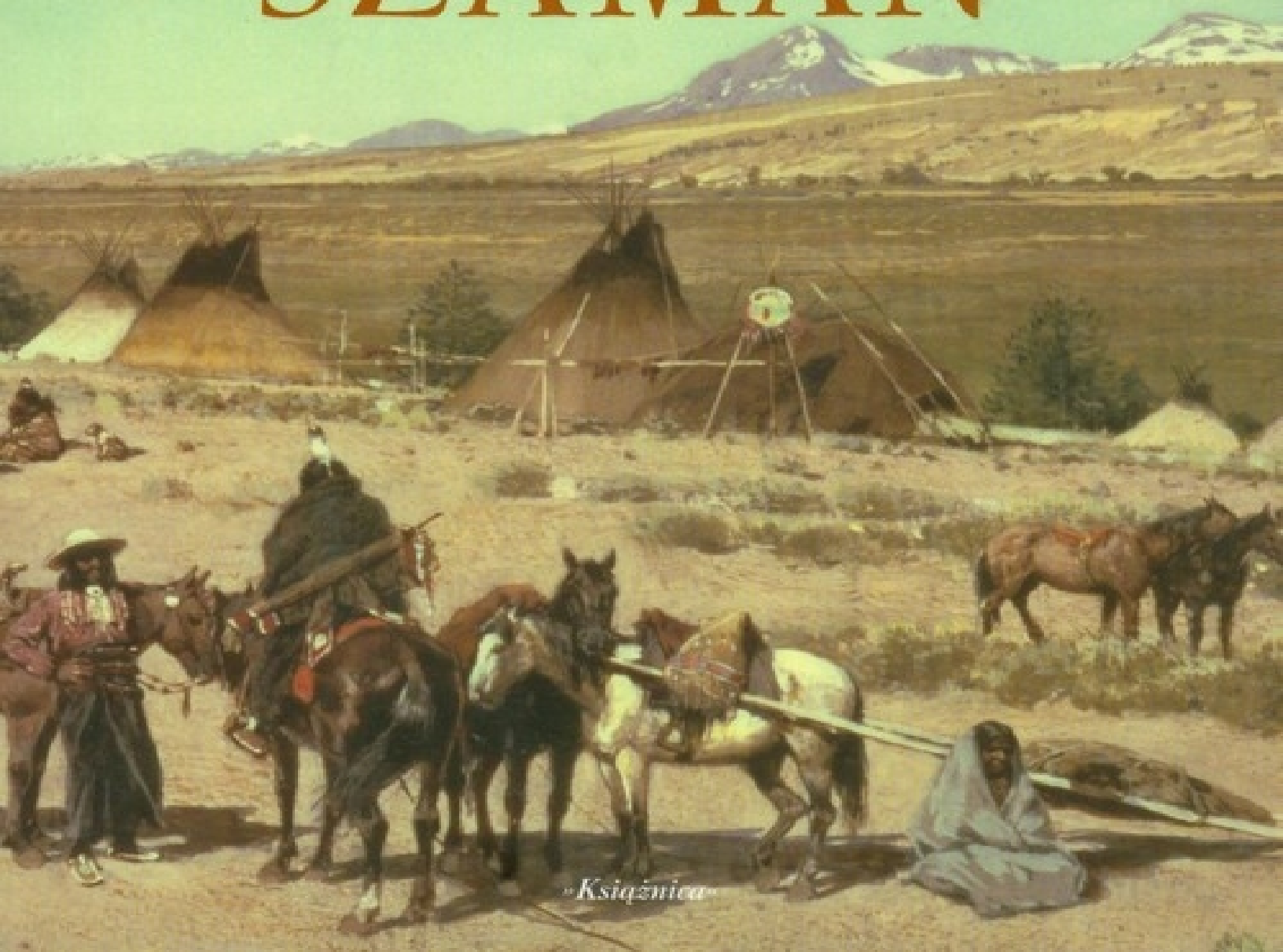


Potomek bohatera powieści *Medicus* odkrywa w sobie tajemniczy Dar

# NOAH GORDON

## SZAMAN



«Książnica»

NOAH GORDON

SZAMAN

(SHAMAN)

Przełożył Łukasz Nicpan



Książnica

Wydawnictwo „Książnica”, 1994

# Spis treści

Strona tytułowa

Copyright ©

Dedykacja

## **Część pierwsza Powrót do domu**

22 kwietnia 1864

1 Hopsa-sa

2 Spadek

## **Część druga Czyste płótno, nowe malowidło**

11 marca 1839

3 Imigrant

4 Lekcja anatomii

5 Zapomniana przez Boga dzielnica

6 Marzenia

7 Kolor oBrazu

8 Muzyka

9 Dwie działki

10 Budowa domu

11 Samotniak

12 Wielki Indianin

13 W okowach zimy

14 Gra w piłkę i kije

15 Podarunek od Kamiennego Psa

16 Łowcy sikorek

17 Córka Midewiwin

18 Kamienie

19 Przemiana

20 Adoratorzy Sary

21 Wielkie przebudzenie

### **Część trzecia Holden's Crossing**

14 listopada 1841

22 Przekleństwa i Błogosławieństwa

23 Przemiany

24 Wiosenna muzyka

25 Ciche dziecko

26 Spętany

27 Polityka

28 Aresztowanie

29 Ostatni Indianie w Illinois

### **Część czwarta Głuchy chłopiec**

12 października 1851

30 Lekcje

31 Szkolne dni

32 Nocna wizyta

33 Pytania i odpowiedzi

34 Powrót

35 Kryjówka

36 Pierwszy Żyd

37 Znaki wodne

38 Słuchanie muzyki

39 Nauczyciele

40 Dorastanie

41 Zwycięzcy i zwyciężeni

42 Student

43 Aspirant

44 Listy i liściki

### **Część piąta Sprzeczka w rodzinie**

24 stycznia 1861

45 W poliklinice

46 Bicie serca

47 Cincinnati

48 Wyprawa rzeką

49 Lekarz na kontrakcie

50 List od syna

51 Waltornista

52 Ruchy wojsk

53 Długa szara linia

54 Potyczki

55 „Kiedy spotkałeś Ellwooda R. Pattersona?”

56 Za Rappahannock

57 Pełny obrót koła

### **Część szósta Wiejski lekarz**

2 maja 1864

58 Doradcy

59 Ojcowskie tajemnice

60 Dziecko chore na krup

61 Szczere wyznania

62 Wędkowanie

63 Koniec dziennika

64 Chicago

65 Depesza

66 Oboz w Elmirze

67 Chata w WellsBurgu

- 68 W potrzasku
- 69 Nazwisko Alexa
- 70 Wyprawa do Nauvoo
- 71 Podarki dla rodziny
- 72 Kamień węgielny
- 73 W tamie
- 74 Ranny ptaszek
- Podziękowania i nota od autora**

Copyright © by  
Wydawnictwo „Książnica”,  
Katowice 1994

*Książkę tę z wyrazami miłości dedykuję Lorraine Gordon, Irvingowi Cooperowi, Cis i Edowi Plotkinom, Charliemu Ritzowi oraz pamięci nieodżałowanej Izy Ritz.*



# CZĘŚĆ PIERWSZA

## POWRÓT DO DOMU

22 kwietnia 1864

---

### 1 Hopsa-sa

---

Ostry gwizd w chłodnym brzasku zapowiedział zbliżanie się „Ducha Des Moines” do dworca Cincinnati. Szamanowi dało o nim znać zrazu delikatne, ledwo wyczuwalne drżenie drewnianego peronu, potem jego wyraźny, coraz silniejszy dygot. Potwór wypadł niespodzianie z szarego, posępnego półmroku i pędził na niego dysząc wonią gorącego oleju i pary, połyskując mosiężnymi okuciami na czarnym smoczym cielsku, prężąc potężne ramiona tłoków i niczym wieloryb wydychając w niebo chmurę siwego dymu, która – gdy parowóz stanął – odpłynęła, podarła się na strzępy i rozwiała.

W trzecim wagonie było tylko kilka wolnych miejsc na twardej drewnianych ławkach. Gdy Szaman usiadł, pociąg z szarpnięciem podjął przerwana podróż. Kolej wciąż stanowiła nowość, ale podróżowało się nią w nazbyt liczny towarzystwie. Wolał

samotną jazdę konno, zatopiony w rozmyślaniach. Długi wagon był pełen żołnierzy, doboszów, farmerów oraz wszelakiego rodzaju kobiet, z dziećmi i bez dzieci. Ich płacz nie przeszkadzał mu oczywiście ani trochę. W wagonie było jednak duszno od skłębionych woni – śmierdzących skarpetek, zanieczyszczonych pieluch, nieświeżych wyziewów z żołądków, potu nie mytych ciał, swędu cygar i fajek. Okno zaprojektowano najwyraźniej z zamiarem rzucenia wyzwania temu, kto zechce je otworzyć, lecz on był rosty i krzepki, toteż je w końcu pokonał, choć po to jedynie, aby stwierdzić zaraz, że popełnił błąd. Sapiący z przodu, o trzy wagony dalej parowóz wyrzucał z wysokiego komina nie tylko dym, ale i mieszaninę sadzy, popiołu, żarzących się i zgasłych węgielków, które pęd jazdy zwiewał do tyłu i cisnął teraz w otwarte okno. Nowa marynarka Szamana zajęła się natychmiast od jakiejś rozżarzonej okruszyny. Kaszląc i pomrukując ze złości młody człowiek zatrzaskał okno i począł trzepać w sukno, póki nie zgasił zarzewia.

Siedząca po drugiej stronie przejścia kobieta zerknęła na niego i uśmiechnęła się. Starsza od niego o jakieś dziesięć lat, ubrana była modnie, ale w strój podróży – szarą wełnianą suknię bez krynoliny, ze wstawkami z niebieskiego lnu dla podkreślenia koloru blond włosów. Ich spojrzenia zetknęły się na chwilę, po czym nieznajoma opuściła wzrok na czólenko do frywolitek, które trzymała na kolanach. Szaman był rad z tego zerwania kontaktu. Żałoba to nie pora na flirty.

Do czytania wziął na drogę nową ciekawą książkę, ilekroć jednak próbował się w niej zagłębić, myśli biegły do ojca. Środkiem wagonu za jego plecami przepychał się konduktor.

Szaman zdał sobie sprawę z jego obecności wtedy dopiero, gdy tamten dotknął jego ramienia. Wzdrygnął się i podniósł wzrok na rumiane oblicze ozdobione wąsiskami zlepionymi w dwa napomadowane szpikulce oraz przetykaną siwizną ryżawą bródkę, która spodobała się Szamanowi, pozwalając bowiem widzieć wargi konduktora.

– Pan to chyba musi być głuchy! – stwierdził tamten dobrodusznie. – Już trzeci raz proszę pana o bilet.

Szaman uśmiechnął się do niego. W podobnych sytuacjach bywał w życiu na każdym kroku.

– Istotnie, jestem głuchy – odrzekł, podając konduktorowi bilet.

Patrzył na przesuwaną się za oknem prerię, nie był to jednak widok zajmujący. Teren był monotony, poza tym pociąg tak szybko przemykał obok różnych przedmiotów, że ledwie miały czas dotrzeć do świadomości, a już znikwały. Najprzyjemniej podróżować piechotą lub konno. Kiedy człowiek poczuje głód albo zechce mu się łać, zatrzymuje się po prostu w drodze i dogadza sobie. Oglądane zaś z pociągu takie miejsca postoju migają tylko w postaci rozmazanych plam.

Książką, którą ze sobą zabrał, były „Zapiski szpitalne” mieszkanki Massachusetts nazwiskiem Alcott, która od początku wojny zajmowała się pielęgowaniem rannych. Jej opisy cierpień i potwornych warunków panujących w szpitalach polowych wywołały w lekarskich kręgach zgrozę.

Na Szamanielektura ta czyniła wyjątkowo przygnębiające wrażenie, zmuszała go bowiem do wyobrażania sobie udręka, przez jakie mógł przechodzić jego brat, Duży, który zaginął podczas akcji jako szperacz konfederatów. Jeśli oczywiście, dopowiedział sobie w

duchu, nie poległ bezimiennie. Takie rozważania wiodły prostą drogą do myśli o ojcu. Poczł chwytajacy go za gardło skurcz żalu, jął więc gorączkowo rozglądać się dokoła.

Z przodu wagonu wymiotował jakiś chudy chłopiec. Jego matka, blada kobiecina siedząca wśród sterty tobołów z trójką jeszcze drobnych dzieci, zerwała się podtrzymać mu czoło, żeby nie zarzygał bagaży. Gdy Szaman do niej podszedł, zabierała się właśnie za nieprzyjemne porządki.

– Może mógłbym mu pomóc? Jestem lekarzem.

– Nie mam czym panu zapłacić.

Machnął bagatelizująco dłonią. Chłopiec pocił się po ataku nudności, lecz czoło miał zimne. Węzły chłonne powiększone, oczy błyszczące.

Kobieta przedstawiła się jako Jonathanowa Sperber. Jechała z Limy w Ohio do męża, który wraz ze swoimi towarzyszami, kwakrami, zagospodarowywał się jako osadnik w Springdale, pięćdziesiąt mil na zachód od Davenport. Pacjent miał na imię Lester i liczył sobie osiem lat. Na wymizerowaną twarzączkę wracały już rumieńce. Nie wyglądał na ciężko chorego.

– Co zjadł?

Z wytłuszczonego worka na mąkę wydobyła niechętnie kiełbasę domowego wyrobu. Kiełbasa była zielonkawa.

Powonienie potwierdzało świadectwo oczu. Jezu Chryste!...

– Hm... czy pani im to wszystkim dawała do jedzenia? Potaknęła głową. Rzucił na pozostałych brzdąców spojrzenie pełne uznania dla ich przewodów pokarmowych.

– Widzi pani, nie można ich tym dłużej karmić. Ta kiełbasa jest już za bardzo zepsuta.

Zacisnęła wargi.

– Wcale nie taka zepsuta. Jest dobrze nasolona, gorsześmy już jadali. Gdyby była zepsuta, ja i te małe też byśmy się pochorowali.

Dostatecznie dobrze znał takich osadników – obojętnie jakiego wyznania – aby nie dosłuchać się w jej słowach ich prawdziwej treści: ta kiełbasa była wszystkim, co mieli. Mogli jeść zaściardłą kiełbasę lub głodować. Kiwnął głową i wrócił na swoje miejsce. Jego podróżny róg obfitości, zwinięty z wychodzącej w Cincinnati gazety „Commercial”, mieścił trzy grube pajdy pumpernika przełożone plasterkami chudej wołowiny, ciasto z dżemem truskawkowym i dwa jabłka, którymi chwilę żonglował, chcąc rozśmieszyć dzieci. Gdy wręczał pani Sperber te prowianty, kobieta już otworzyła usta, by zaprotestować, lecz wnet je zamknęła. Żona osadnika powinna kierować się w życiu trzeźwym realizmem.

– Jesteśmy panu bardzo wdzięczni, przyjacielu – powiedziała.

Blondynka z drugiej strony przejścia strzelała ku niemu oczkiem, a Szaman usiłował skupić się na lekturze, gdy wrócił konduktor.

– We pan co, ja chyba pana znam? Teraz sobie przypomniałem. Chłopak doktora Cole'a z Holden's Crossing.

Zgadza się?

– Zgadza – odparł Szaman wiedząc, że to jego głuchota pozwoliła go konduktorowi zidentyfikować.

– Pan mnie nie pamięta? Frank Fletcher. Miałem ten kawałek pola kukurydzy przy drodze do Hooppole. Pański tata zajmował się całą naszą siódmką przez sześć lat z okładem, pókim się nie wyprzedał i nie zaczął pracować na kolei.

Wtedyśmy się przeprowadzili do East Moline. Pamiętam, że pan też z nim czasem przyjeżdżał, jeszcze jako sraluch.

Siedział pan za nim na koniu i trzymał się z całej siły, żeby nie zlecieć.

Wizyty domowe były dla ojca jedyną okazją do przebywania z synami, a oni je uwielbiali.

– Teraz sobie przypominam – powiedział do Fletchera. – Pamiętam pana zagrodę. Biały dom z desek, czerwona stodoła z blaszanym dachem... W ziemiance zrobił pan spiżarnię.

– O, to, to. Zgadza się. Czasem pan z nim przyjeżdżał, czasem pana brat. Jak mu było?...

Duży.

– Alex. Brat ma na imię Alex.

– O, to, to. Gdzież on się teraz podziewa?

– Jest w wojsku.

Nie powiedział w którym.

– No tak. Uczy się pan na duchownego? – zapytał konduktor, rzucając okiem na czarny garnitur, który dobę wcześniej wisiał jeszcze na wieszaku w sklepie Seligmana w Cincinnati.

– Nie, ja też jestem lekarzem.

– Patrzcie państwo! Taki młody...

Szaman zacisnął usta, trudniej znosił bowiem wytykanie młodego wieku niż zwracanie uwagi na jego głuchotę.

– Ale dostatecznie już dorosły. Pracowałem w szpitalu w Ohio. Mój ojciec, panie Fletcher... umarł w zeszły czwartek.

Uśmiech tak powoli i tak do szczytu zszedł mu z twarzy, że trudno było wątpić o głębi jego smutku.

– Mój Boże! Tracimy najwspanialszych ludzi, prawda? Wojna?

– Umarł w domu. Na dur brzuszny, jak doniesiono mi telegraficznie.

Konduktor pokiwał głową.

– Proszę łaskawie powtórzyć swojej matce, że wielu, ale to naprawdę wielu połączy się z nią w modlitwie.

Szaman podziękował mu, dodając, że jego matka potrafi to docenić.

– Czy na którejś stacji nie wsiądą aby jacyś sprzedawcy?

– Nie. Każdy bierze na drogę własną wałówkę. – Kolejarz przyjrzał mu się z troską. – Nic pan nie kupi aż do przesiadki w Kankakee. Dobry Boże, to nie uprzedzili pana o tym, jak pan kupował bilet?

– Ależ tak, uprzedzili. Wszystko w porządku, pytałem z ciekawości.

Konduktor dotknął daszka czapki i oddalił się. Zaraz potem kobieta po drugiej stronie przejścia podniosła się i sięgnęła na półkę po sporych rozmiarów kosz z dębowego łubu, ujawniając przy tym ponętą figurę od biustu po uda. Szaman podszedł i pomógł jej ściągnąć kosz.

Uśmiechnęła się do niego.

– Musi pan skorzystać z moich wiktuałów – oświadczyła nie znoszącym sprzeciwu głosem. – Starczyłoby tego, jak pan widzi, dla całej armii!

Pozwolił sobie nie zgodzić się z nią, przyznając jednak, że pluton może by się pożywił, i wkrótce pałaszował piezonego kurczaka, podpłomyki z dyni i placek ziemniaczany. Fletcher, powróciwszy z pogniecioną kanapką z szynką, którą wycyganił od kogoś dla Szamana, roześmiał się na ten widok i stwierdził, że młody pan doktor wykazuje większą sprawność w aprowizacji niż Armia

Potomacu, po czym oddalił się z wyraźnym zamiarem skonsumowania kanapki.

Szaman więcej jadł, niż rozmawiał, zawstydzony i zaskoczony własnym apetytem, który tak mu dopisywał mimo żałoby i bólu. Jego towarzyszka z kolei więcej mówiła, niż jadła.

Nazywała się Martha McDonald. Jej mąż, Lyman, pracował w Rock Island jako sprzedawca w Amerykańskiej Kompanii Handlu Narzędziami Rolniczymi. Złożyła Szamanowi wyrazy współczucia z powodu jego straty. Kiedy go częstowała, ich kolana stykały się ze sobą i nie była to intymność nieprzyjemna. Przekonał się już dawno, że wiele kobiet reaguje na jego głuchotę bądź to odrazą, bądź podnieceniem.

Na to ostatnie ekscytująco działał być może przedłużony kontakt wzrokowy: gdy mówiły, nie odrywał oczu od ich twarzy. Rzecz jasna z konieczności – czytał z ruchu warg.

Nie robił sobie złudzeń co do własnego wyglądu. Trudno by go nazwać przystojnym, lecz był przynajmniej rostry i nieociężały, co zwykle idzie w parze z taką posturą. Tryskał energią, młodzieńczą męskością i wybornym zdrowiem, a regularne rysy i odziedziczone po ojcu przenikliwe spojrzenie niebieskich oczu czyniły go co najmniej atrakcyjnym. Nie miało to zresztą i tak żadnego znaczenia dla dalszej znajomości z panią McDonald, przyjął bowiem za regułę – tak niewzruszoną jak nakaz szorowania rąk przed i po zabiegu – nie zadawać się nigdy z mężatkami. Jego odmowę łatwo mogła poczytać za obrazę, mimo to podziękował jej za smaczny poczęstunek i wrócił na swoje miejsce po drugiej stronie przejścia.

Prawie całe popołudnie spędził na lekturze. Louisa Alcott opisywała operacje chirurgiczne przeprowadzane bez środków



znieczulających, opowiadała o rannych, którzy marli od zakażeń w szpitalach tonących w brudzie i smrodzie.

Śmierć i cierpienie nie przestawały go zasmucać, niepotrzebny jednak ból i niekonieczna śmierć przyprawiały go o istną wściekłość. Późnym popołudniem zjawił się Fletcher, aby oznajmić, że pociąg pędzi z prędkością czterdziestu pięciu mil na godzinę, trzy razy szybciej od galopującego konia, i nie odczuwa przy tym zmęczenia!...

Szaman otrzymał przesłaną telegrafem wiadomość o śmierci ojca następnego ranka po tym smutnym zdarzeniu. Zdjęty podziwem zadumał się teraz nad światem, co wjeżdżał całym pędem w epokę szybkich środków transportu i jeszcze szybszych sposobów komunikacji, nowych szpitali i metod leczenia, chirurgii bez zadawania cierpień. Zmęczony tymi poważnymi myślami, rozebrał wzrokiem Marthę McDonaldi spędził przyjemne pół godziny przeprowadzając w wyobraźni jej lekarskie badanie zakończone uwiedzeniem – najbezpieczniejszy i najmniej szkodliwy sposób złamania przysięgi Hipokratesa.

Rozrywka nie trwała długo. Ojciec!... Im bliżej był domu, tym trudniej znosił konfrontację z rzeczywistością. Pod powiekami zapiekły go łzy. Dwudziestoletni lekarze nie powinni beczeć na forum publicznym. Tata... Parę godzin przed przesiadką w Kankakee zapadła czarna noc. Wreszcie – i o wiele za prędko, ledwie jedenaście godzin od wyjazdu z Cincinnati – Fletcher zapowiedział kolejną stację: „Ro-o-ok A-a-a-aj-lend!”

Dworzec jaśniał jak oaza światła. Po wyjściu z pociągu Szaman dojrzał zaraz Aldena. Parobek czekał na niego pod jedną z gazowych

latarni. Poklepał go po ramieniu, uśmiechnął się smutno i przywitał go rodzinnym przezwiskiem:– Witaj w domu, Hopsa-sa.

– Serwus, Alden. – Zatrzymali się chwilę pod latarnią, żeby porozmawiać. – Jak matka? – zapytał Szaman.

– Domyślasz się chyba. Źle. To jeszcze do niej w pełni nie dotarło. Nie miała zresztą dotąd okazji, żeby pobyć sama. Te kościelne kwoki z wielebny Blackmerem siedziały u niej przez cały boży dzień.

Szaman kiwnął głową. Niezłomna nabożność jego matki dawała się we znaki wszystkim domownikom, ale gdyby Pierwszy Kościół Baptistów pomógł im przebrnąć przez ten trudny czas, byłby mu wdzięczny.

Alden domyślił się trafnie, że Szaman przywiezie tylko jedną torbę, toteż przyjechał po niego dwukółką, która miała dobre resory, zamiast wozem, który nie miał żadnych. Zaprzągał do niej Bossa, siwego wałacha, ulubieńca ojca. Szaman zanim wsiadł na wózek, pogłaskał konia po pysku. Kiedy ruszyli, rozmowa stała się niemożliwa, ponieważ w ciemności nie widział twarzy Aldena. Parobek pachniał jak dawniej – sianem, tytoniem, surową wełną i whisky. Przejechali Rocky River po drewnianym mostku i pomknęli kłusem drogą na północny wschód. Jechali w zupełnych ciemnościach, ale Szaman znał tu każde drzewo, każdy kamień. Gościniec był miejscami trudny do przebycia, topniejące śniegi zmieniły go bowiem w błotniste grzęzawisko. Po godzinie jazdy Alden ściągnął wodze, w miejscu tym samym co zwykle, by dać odpocząć koniowi. Wysiedli obaj, odlali się napodmokłe pastwisko Hansa Buchanana, a potem jakiś czas szli pieszo dla rozprostowania kości. Wkrótce przekroczyli wąski mostek nad ich własną rzeką,

ukazał im się dom i stodoła i Szaman stanął przed najtrudniejszą próbą. Dotąd wszystko odbywało się normalnie: Alden czekał na niego w Rock Island, żeby go zawieźć do domu, lecz gdy wejdzie do środka, nie zastanie ojca. Już nigdy.

Nie od razu jednak to zrobił. Pomógł Aldenowi wyprząc konia i poszedł za nim do stajni, gdzie zapalił lampę naftową, by mogli rozmawiać. Parobek wsunął rękę pod siano i wydobył butelkę, w jednej trzeciej pełną, lecz Szaman odmówił ruchem głowy.

– Zostałeś tam w Ohio abstynentem?

– Nie – odparł krótko, bo sprawa była bardziej skomplikowana. Jak wszyscy Cole'owie był nietęgim pijakiem, co ważniejsze jednak, ojciec powiedział mu kiedyś, już dość dawno temu, że alkohol osłabia Dar. – Po prostu mało piję.

– No tak. Tak jak on. Ale dziś chyba powinienesz.

– Nie chcę, żeby poczuła ode mnie wódkę. I bez tego będę miał z nią dość kłopotu. Ale zostaw ją tutaj, dobrze? Jak się położy, zajdę po drodze do kibla i łyknę sobie.

Alden kiwnął głową.

– Okaż jej trochę pobłażliwości – doradził z wahaniem. – Wiem, że potrafi być nieznośna, ale...

Zdębiał, kiedy Szaman podszedł i objął go. To się nie mieściło w ich wzajemnych stosunkach, mężczyźni nie przytulają się do mężczyzn. Zmieszany klepał młodzieńca po ramieniu. Ten zlitował się nad nim w końcu, zdmuchnął lampę i przez ciemne podwórze ruszył w stronę kuchni, gdzie sama po odejściu pocieszycieli, czekała na niego matka.

---

## 2 Spadek

---

Nazajutrz obudził się z potwornym bólem głowy, choć poziom brunatnej cieczy w butelce obniżył o parę tylko cali. Źle spał; starego sznurowego materaca od lat nie naciągano i nie przewiązywano na nowo. Przy goleniu zaciął się w brodę.

W południe nie pamiętał już jednak o żadnej z tych przykrości. Ojca pochowano szybko jako zmarłego na dur, ale samą ceremonię żałobną odłożono do powrotu Szamana. W ciasnym budynku Pierwszego Kościoła Baptistów tłoczyły się trzy pokolenia pacjentów ojca. Odbierał ich przy porodzie, leczył z chorób, postrzałów, ran od noża, wysypki w pachwinach, złamań kości i Bóg wie czego jeszcze. Wielebny Lucian Blackmer wygłosił mowę pogrzebową – dostatecznie ciepłą, by złagodzić niechęć zgromadzonych, nie na tyle wszakże, aby mogło komukolwiek powstać w głowie, że godziwą jest rzeczą umierać tak, jak umarł doktor Robert Judson Cole, który nie miał dość rozumu, żeby przyłączyć się do jedyne go prawdziwego Kościoła. Matka Szamana niejedną raz wyraziła pastorowi Blackmerowi wdzięczność za to, że z szacunku dla niej zezwolił na pogrzebanie jej męża na przykościelnym cmentarzu.

Dom Cole'ów całe popołudnie wypełniali żałobnicy, z których większość przyniosła ze sobą półmiski z pieczeniami, faszerowanym mięsem, leguminami, ciastami, w takich przy tym ilościach, że stypa nabrała niemal charakteru uczyty.

Nawet Szaman zaczął poskubywać plastry pieczonych serc na zimno, swej ulubionej potrawy. Rozsmakował się w niej pod wpływem Makwa-ikwy i uważał ją za przysmak indiański, podobnie jak gotowane psy i przyrządzane razem z wnętrznościami wiewiórki, toteż ucieszył się stwierdziwszy, że również wielu białych sąsiadów gotuje serca zarżniętych krów i upolowanych jeleni. Nakładał sobie właśnie drugą porcję, kiedy podniósłszy wzrok zobaczył Lillian Geiger, stanowczym krokiem zmierzającą przez pokój w stronę jego matki. Postarzała się i zmizerniała, ale wciąż była atrakcyjna; Rachel po matce odziedziczyła urodę. Lillian miała na sobie swoją najlepszą suknię z czarnego aksamitu, czarną lnianą narzutkę i fałdzisty biały szal. Na jej bujnych piersiach wisiała na łańcuszku mała srebrna gwiazda Dawida.

Zauważył, że ostrożnie rozdaje pozdrowienia, wśród gości znajdowali się bowiem tacy, którzy z Żydówką byliby skłonni przywitać się uprzejmie, choć niechętnie, ale z sympatyczną konfederatów – nigdy. Lillian była kuzynką Judy Benjamina, sekretarza stanu Konfederacji, zaś jej mąż Jay zaraz na początku wojny wyjechał do rodzinnej Południowej Karoliny i wraz z dwoma z trójki swoich braci wstąpił do armii buntowników.

Lillian podeszła do Szamana z napiętym uśmiechem na twarzy.

– Dzień dobry, ciociu Lillian – przywitał ją. Nie była jego ciotką, lecz kiedy był mały, Geigerowie i Cole'owie żyli ze sobą jak jedna rodzina i zawsze się tak do niej zwracał.

Spojrzenie jej oczu zmiękło.

– Witaj, Rob. – rzekła po dawnemu serdecznie. Nikt poza nią tak go nie nazywał, tym imieniem zwracano się do jego ojca, Lillian za

to rzadko używała miana Szaman. Pocałowała go w policzek, nie zapewniając go niepotrzebnie, jak bardzo jej przykro.

Powiedziała mu, że z wiadomości, jakie otrzymuje od Jasona (nadchodzą rzadko, gdyż jego listy muszą przechodzić przez linie frontu), wynika, że jej mąż jest zdrowy i nie zagraża mu chyba niebezpieczeństwo. Ponieważ był aptekarzem, zrobiono go, gdy się zaciągnął, administratorem polowego szpitalika w Georgii, a obecnie jest komendantem większego szpitala nad brzegami rzeki James w Wirginii. W ostatnim liście donosił, że jego brat, Joseph Reuben Geiger, farmaceuta, jak i reszta męskich członków rodziny, który w przeciwieństwie do pozostałych braci został kawalerzystą, zginął w bitwie pod Stuart.

Szaman pokiwał z powagą głową, również nie składając Lillian wyrazów współczucia, bo dla wszystkich stawały się już czymś samo przez się zrozumiałym.

– A jak się miewają dzieci? – zagadnął.

– Dość dobrze. Chłopcy tak wyrosli, że Jay ich pewnie nie pozna! Mają wilczy apetyt.

– A co u Rachel?

– W czerwcu zeszłego roku umarł jej mąż, Joe Regensberg.

Na tyfus, podobnie jak twój ojciec.

– Ach – westchnął z żalem. – Słyszałem, że zeszłego lata panowała w Chicago istna epidemia duru. A Rachel jak się czuje?

– Dobrze, tak samo jak jej dzieci. Ma syna i córkę. – Zawahała się.

– Spotyka się teraz z innym mężczyzną, kuzynem Joego. Zaręczyny zostaną ogłoszone, jak tylko skończy się jej rok żałoby.

Zadziwiające, jak to jeszcze boli, jak głęboko świdruje.

– A jak ty się czujesz w rob babki?

– Świetnie – odparła, po czym odsunawszy się od niego, wdała się w cichą pogawędkę z panią Pratt, której ziemia graniczyła z posiadłością Geigerów.

Pod wieczór Szaman nałożył na talerz stertę jedzenia i zaniósł je do małej, dusznej chaty Aldena Kimballa, gdzie wisiał zawszeswąd drzewnego dymu. Parobek siedział na łóżku w samej bieliźnie i pociągał z dzbanka. Nogi miał czyste, umył je z okazji pogrzebu. Reszta jego bielizny, raczej szara niż biała, suszyła się na sznurze, rozciągniętym przez środek izby między gwoździem w belce a zakleszczonym za krokwiemi kijem.

Szaman podziękował ruchem głowy za propozycję pociągnięcia z dzbanka. Usiadł na jedynym w chacie drewnianym zydlu i przyglądał się jedzącemu Aldenowi.

– Gdyby to ode mnie zależało, pochowałbym tatę na naszej ziemi, nad rzeką.

Alden pokręcił głową.

– Ona by się na to nigdy nie zgodziła. Za blisko grobu tej Indianichy. Zanim ją... zamordowali – rzekł ostrożnie – ludzie coś tam gadali o nich dwojgu. Twoja matka była o nią zazdrosna jak diabli.

Szamana aż korciło, żeby wypytać go o Makwaikwę, matkę, ojca, uznał jednak za niestosowne plotkowanie na temat rodziców z parobkiem, kiwnął mu więc tylko na pożegnanie ręką i wyszedł. Kiedy dotarł nad rzekę, gdzie sterczały ruiny hedonoso-te Makwaikwy, zapadał już zmierzch. Jeden koniec chaty stał nie naruszony, ale drugi zawalił się i zmienił w stertę gnijących kłód i gałęzi, siedlisko węży i gryzoni.

– Wróciłem – powiedział na głos.

Wyczuwał jej obecność, mimo że od dawna nie żyła. Teraz pozostał mu po niej już tylko żal, choć i on przybladł na tle smutku po śmierci ojca. Pragnął pociechy, tymczasem czuł tylko jej wściekły gniew, tak wyraźny, aż włosy zjeżyły mu się na karku. Niedaleko znajdował się jej grób, nie oznakowany, lecz ładnie zadbany; trawa była przycięta i obsadzona żółtym liliowcem, przeplancowanym z pobliskiej łączki nad rzeką.

Zielone kiełki wyrzynały się już z wilgotnej gleby. Wiedział, że to ojciec tak dbał o tę mogiłę, ukląkł więc i wyrwał spomiędzy kwiatów trochę chwastów.

Było już prawie ciemno. Odnosił wrażenie, że Makwa-ikwa chce mu coś powiedzieć. Zdarzało się to już przedtem, on zaś na poły wierzył, że jej gniew, który wyraźnie wyczuwał, budziło to, że nie mogła mu wyjawić, kto ją zabił. Chciał zapytać, co ma robić teraz, po odejściu taty... Wiatr zmarszczył powierzchnię wody, na niebie zaiskrzyły się pierwsze blade gwiazdy. Przebiegł go dreszcz. Czuje się jeszcze w powietrzu zimę, stwierdził w duchu wracając do domu.

Zdawał sobie sprawę, że nazajutrz powinien siedzieć w domu, na wypadek gdyby zjawili się jacyś spóźnieni goście, ale nie potrafił się do tego zmusić. Włożył robocze ubranie i całe rano kąpał z Aldenem owce. Urodziło się kilka jagniąt, wykastrował więc samce. Alden miał zamiar usmażyć sobie na obiad jajecznicę na tych ostrygach prerii.

Po południu, wykąpany i przebrany w czarny garnitur, Szaman siedział z matką w saloniku.

– Lepiej, żebyś przejrzał rzeczy po ojcu i zdecydował, co komu ma przypaść – powiedziała.



Choć jasne włosy matki całkiem już prawie posiwiały, z tym swoim pięknym prostym nosem i delikatnymi ustami wciąż należała do najatrakcyjniejszych kobiet, jakie w życiu widział.

To coś, co stale tkwiło między nimi zadrą, teraz także się pojawiło. Wyczuła jego niechęć.

– Trzeba się tym będzie wcześniej czy później zająć, Robercie – powiedziała.

Zbierała się odnieść do kościoła pozmywane talerze i naczynia, skąd mieli je sobie odebrać ci, którzy przynieśli na nich jedzenie na stypę, zaofiarował się więc, że ją w tym wyręczy, ale ona chciała przy okazji złożyć wizytę wielebnemu Blackmerowi.

– Chodź ze mną – zaproponowała, na co pokręcił przecząco głową, wiedząc, że musiałby znowu wysłuchiwać namawiania do przyjęcia Ducha Świętego. Naiwna wiara jego matki w niebo i piekło nie przestawała go zdumiewać. Mając w pamięci jej dawne spory z ojcem, zdawał sobie sprawę, że musi teraz doznawać szczególnego niepokoju, wciąż bowiem prześladowała ją myśl, że jej mąż, odmówiwszy przyjęcia chrztu, nie będzie czekał na nią w raju.

Uniosła rękę i wskazała otwarte okno.

– Ktoś jedzie do nas na koniu.

Nasłuchiwała chwilę, po czym odwróciła się do niego ze smutnym uśmiechem.

– Jakaś kobieta spytała Aldena, czy jest pan doktor.

Powiada, że jej mężowi zdarzył się wypadek u nich w zagrodzie. Alden mówi jej, że pan doktor nie żyje. Na co ona: „Młody doktor?” „A, nie – odpowiada Alden – ten jest, żyje.”

Szamanowi także wydało się to zabawne. Matka szła już po lekarską torbę Roba, która stała na swoim zwykłym miejscu przy

drzwiach, i podała ją synowi.

– Weź wóz, już zaprzężony. Do kościoła pojedę później.

Kobietą okazała się Liddy Geacher. Kupili z mężem pod nieobecność Szamana pole Buchanana. Drogę znał doskonale, wszystkiego parę mil. Geacher spadł ze stogu siana. Leżał wciąż tam, gdzie upadł, chwytając powietrze płytkimi, bolesnymi haustami. Jęknął, gdy spróbowali go rozebrać, więc Szaman rozciął ubranie, starając się pruć wzdłuż szwów, żeby pani Geacher mogła je później pozszywać. Nie stwierdził krwawienia, tylko paskudne sińce i obrzęk lewej kostki. Z torby po ojcu wyjął stetoskop.

– Proszę tu podejść i mówić mi, co pani usłyszysz – poprosił kobiecinę i wetknął jej do uszu końcówki instrumentu.

Gdy przytknął lejek do piersi Geachera, oczy jego żony rozszerzyły się. Pozwolił jej przysłuchiwać się przez dłuższą chwilę. W lewej ręce trzymał lejek stetoskopu, palcami prawej badał puls rannego.

– Łupu, łupu, łupu, łupu – wyszeptała w końcu.

Uśmiechnął się. Henry Geacher tętno miał przyspieszone, ale czyż można go było o to winić?

– Co jeszcze pani słyszy? Proszę się nie spieszyć.

Wysłuchiwała się długo.

– Żadnego cichego trzeszczenia, jakby ktoś zgniatał w garści słomę? – zapytał.

Pokręciła głową.

– Tylko łupu, łupu, łupu.

Dobra wiadomość – złamane żebro nie przebiło płuca.

Uwolnił ją od stetoskopu, a następnie cal po calu obmacał całe ciało Geachera. Nie mogąc posiłkować się słuchem, musiał baczniej

i czujniej niż inni lekarze korzystać z pozostałych zmysłów. Ująwszy rękę rannego pokiwał z satysfakcją głową. Otrzymał wiadomość od Daru. Geacher miał szczęście, upadek na ściółkę zleżącego siana ustrzegł go od gorszej kontuzji. Uszkodził sobie żebra, Szaman nie domacał się jednak żadnego groźniejszego złamania. Wydawało mu się, że żebra od piątego do ósmego – a chyba i dziewiąte też – są pęknięte. Gdy obandażował farmerowi klatkę piersiową, ten zaczął lżej oddychać. Opatrzył mu jeszcze kostkę, a następnie wyjął z torby butelkę ze środkiem przeciwbólowym, na który składały się alkohol, odrobina morfiny i zestaw kilku ziół.

– Męza będzie trochę bolało. Proszę mu podawać dwie łyżki co godzina.

Dolar za wizytę, pięćdziesiąt centów za opatrunki, pięćdziesiąt za lekarstwo. Wypełnił jednak na razie tylko część zadania.

Do najbliższych sąsiadów Geacherów, Reismanów, miał dziesięć minut konnej jazdy. Zajechał do nich i pogadał z Todem Reismanem i jego synem Dave'em. Zgodzili się zaglądać do Geacherów i pomagać im przez jakiś tydzień w gospodarce, póki Henry nie wydobrzeje.

W drodze powrotnej do domu pozwolił Bossowi wlec się noga za nogą, a sam napawał się wiosną. Czarnoziem był jeszcze zbyt mokry na orkę. Tego rana stwierdził na rodzinnym pastwisku, że wschodzą już niskie kwiatki – fiołkowa komonica, pomarańczowy gorzknik, różowy fluks periowy. Za kilka tygodni równina rozkwitnie jaskrawymi kolorami wysokich kwiatów. Z rozkoszą wciągał w płuca znajomą, duszną i słodką woń nawiezionych pól.

W domu nie zastał nikogo. Kosz na jajka zniknął z haczyka, na którym zawsze wisiął, domyślił się więc, że matka wyszła do

kurnika. Nie poszedł jej szukać. Zanim odstawił torbę na miejsce przy drzwiach, dokładnie ją sobie obejrzał, jak gdyby widział ją pierwszy raz w życiu. Zdążyła się już podniszczyć, ale że była to dobra krowia skóra, torba mogła służyć przez długie jeszcze lata. Narzędzia, opatrunki i lekarstwa poukładane były w środku porządnie ręką Roba J., przygotowane do użytku na każdą okoliczność.

Wszedł do gabinetu i przystąpił do metodycznego przeglądu rzeczy po ojcu. Przetrzęsnał szuflady biurka, otworzył skórzaną skrzynię i posegregował znajdujące się w niej przedmioty na trzy kategorie. Dla matki: co lepsze z drobiazgów, które mogły przedstawiać dla niej jakąś wartość uczuciową. Dla Dużego: pół tuzina swetrów zrobionych na drutach przez Sarę Cole z wełny ich owiec, żeby jej mąż nie marzył wezwany do chorego w mroźną noc, myśliwski i rybacki sprzęt ojca oraz skarb nowy, który pierwszy raz widział – kolt kaliber 44 teksańskiej marynarki z rękojeścią z czarnego orzecha włoskiego i długą na dziewięć cali gwintowaną lufą.

Widok rewolweru wprowadził go w zdumienie. Nawet gdy ojciec – z przekonania pacyfista – zgodził się w końcu leczyć żołnierzy Unii, pozostawało zawsze jasne, że robi to jako cywil i nigdy nie będzie nosił broni. Po co więc kupił ten kosztowny zapewne rewolwer?

Książki medyczne, mikroskop, torba lekarska, apteka ziół i medykamentów przypadną jemu, Szamanowi. W skrzyni podpułtem mikroskopu znalazł kilkanaście zeszytów rejestrowych. Przeglądając je stwierdził, że zawierają prowadzony przez całe życie dziennik jego ojca.

Tom, który wybrał na chybił trafił, obejmował zapiski z roku 1842. Kartkując go ujrzął bogatą, choć przypadkową kolekcję medycznych oraz farmakologicznych notatek i osobistych refleksji. Dziennik był upstrzony szkicami – twarze, rysunki anatomiczne, wśród nich pełny akt kobiecy. Domyślił się, że przedstawia jego matkę. Wpatrywał się w jej młodą twarz i wlepiął zafascynowany wzrok w to zakazane ciało, świadom, że w brzuchu (była niewątpliwie ciężarna) nosi płód, z którego on miał wyrosnąć. Otworzył inny zeszyt. Zawierał zapiski wcześniejsze, pochodzące z czasów, gdy młodzieńki Robert Judson Cole przybył do Bostonu okrętem ze Szkocji. Tu również Szaman natrafił na akt kobiecy. Tej twarzy jednak nie rozpoznawał; jej rysy naszkicowane zostały pobieżnie, za to srom – z kliniczną precyzją. Po chwili wczytywał się już w opis erotycznej przygody, jaką jego ojciec przeżył z jakąś dziewczyną w pensjonacie, w którym się zatrzymał.

Czytając tę relację czuł, jak młodsze. Ubywało mu lat, zaczął maleć, ziemia zawirowała wstecz, odżyły delikatne tajemnice i młodzieńcze męki. Był znowu chłopcem pożerającym w bibliotece zakazane książki, szukającym słów i rycin, które by mu odkryły owe sekretne, ohydne, a może skończenie cudowne rzeczy, jakie mężczyźni robią z kobietami. Czytał na stojąco, drżąc na całym ciele i nasłuchując w obawie, że ojciec stanie nagle w progu i nakryje go.

Naraz poczuł mocne trzaśnięcie drzwi z tyłu domu. To matka wróciła z kurnika. Zmusił się do zamknięcia zeszytu i odłożył go do kufra.

Przy kolacji oznajmił matce, że przejrział rzeczy po ojcu, staszczy więc teraz ze strychu jakieś puste pudło i zapakuje w nie to, co przeznaczył dla brata.

Kiedy to powiedział, zawisło między nimi nie wypowiedziane pytanie, czy Alex jeszcze żyje i czy wróci, by objąć tę schedę.

Po chwili Sara odważyła się przytaknąć.

– Dobrze – powiedziała z widoczną ulgą, że zajął się tym, o co prosiła.

Nie spał tej nocy. Ostrzegał sam siebie, że lektura dziennika uczyni zeń podglądacza, intruza wciskającego się w życie prywatne rodziców, a może nawet do ich sypialni. Lepiej, żebyspalił te tomy. Zdrowy rozsądek perswadował mu jednak, że ojciec prowadził ten dziennik po to, by zawrzeć w nim esencję swego życia. Leżał w zapadającym się łóżku i zastanawiał się, jak też naprawdę żyła i jak umarła Makwa-ikwa, i drżał z obawy, że odkryta prawda może się okazać niebezpieczna.

Na koniec wstał, zapalił lampę i cicho, by nie zbudzić matki, przekradł się przez sień.

Przyciął kopcący knot i podkręcił go tak, by dawał jak najjaśniejsze światło, i tak zresztą za słabe – z trudem odcyfrowywał litery. O tej porze nocy w gabinecie panował nieprzyjemny chłód, mimo to Szaman wyciągnął pierwszy zeszyt i zabrał się do lektury. Wnet zapomniał i o kiepskim oświetleniu, i o chłodzie, dowiadując się więcej o swoim ojcu i o sobie samym, niżby tego pragnął.

# CZĘŚĆ DRUGA

## CZYSTE PŁÓTNO, NOWE MALOWIDŁO

11 marca 1839

---

### 3 Imigrant

---

Rob J. Cole po raz pierwszy ujrział Nowy Świat w mglisty wiosenny dzień, gdy pocztowiec „Kormoran” – niezgrabny statek z trzema przysadzistymi masztami i sterząglem, będący mimo to przedmiotem dumy Unii żeglugowej Black Ball – wszedł w czasie przypływu do wielkiego portu, w którym zakotwiczył na rwanej stromej fali. Wschodni Boston nie przedstawiał się okazale: parę rzędów byle jak skleconych drewnianych bud. Z pirsu zabrał wszakże przybysza za opłatą trzech pensów mały parowiec i powiózł wśród imponującego skupiska zakotwiczonych w porcie statków na główne nabrzeże, zabudowane bez ładu i składu domami mieszkalnymi oraz sklepami, od których zalatywał pokrzepiający, znany mu ze szkockich portów zapach gnijących ryb, zęz i smołowanych lin.

Przybysz był wysoki i barczysty, rośniejszy od większości mijanych mężczyzn. Po wybiegających z portu krętych uliczkach, brukowanych kocimi łbami, szedł z trudem, gdyż po morskiej podróży bolały go kości. Na lewym ramieniu dźwigał ciężki kufer, pod prawym zaś niósł, jak gdyby obejmował w talii niewiastę, olbrzymi instrument strunowy. Wszystkimi porami skóry chłonał Amerykę. Wąskimi ulicami ledwie mogły się przecisnąć furgony i powozy, większość budynków wzniesiono z drewna bądź z krwiście czerwonej cegły, sklepy pełne były towarów, a szyldy nad nimi krzykliwe, kolorowe, o złoconych literach. Starał się nie pożerać oczyma kobiet wchodzących do sklepów lub z nich wychodzących, choć dręczyła go opętańcza niemal żądza, by którąś powąchać.

Zajrzał do jakiegoś hotelu „American House” – spłoszyły go jednak żyrandole i tureckie dywany, zmiarkował bowiem, że ceny mają nie na jego kieszeń. W jadłodajni przy Union Street zjadł talerz zupy rybnej i poprosił dwóch kelnerów, żeby mu polecili jakiś czysty i tani pensjonat.

– Zdecyduj się, młodzieńcze: albo czysty, albo tani – rzekł jeden z nich. Drugi pokiwał jednak głową i skierował go do niejakiej pani Burton na Spring Lane.

Jedyny wolny pokój wyglądał jak służbówka i mieścił się na poddaszu obok izdebek służącego i pokojówki. Była to mała klitka, latem bez wątpienia gorąca, zimą lodowata, do której wchodziło się po trzech piętrach schodów. Stało tam wąskie łóżko, stolik z popękaną miską i biały nocnik nakryty wyszywanym w niebieskie kwiatki lnianym ręcznikiem. W cenę pokoju (półtora dolara za tydzień) wliczone było śniadanie, składające się z owsianki,



sucharów i jednego kurzego jajka, jak mu obwieściła Louise Burton, poźółkła wdowa po sześćdziesiątce, której pocziwie patrzyło z oczu.

– Co pan tam ma?

– Wiolonczelę.

– Zarabia pan na życie jako muzykant?

– Grywam dla przyjemności. Jestem lekarzem. Pokiwała z powątpiewaniem głową. Zażądała zapłaty z góry i poinformowała nowego lokatora o stołówce w bok od Beacon Street, gdzie może za dolara tygodniowo wykupić obiady.

Po jej wyjściu zwałił się na łóżko jak kłoda. Przespał popołudnie, wieczór i noc ciężkim, pozbawionym marzeń snem. Czuł tylko kołysanie i chybotanie statku, rankiem obudził się jednak jak nowo narodzony. Gnany wilczym apetytem zbiegł na dół na śniadanie. Usiadł obok innego lokatora, Stanley a Fincha, który pracował w sklepie kapelusznika na Summer Street. Otrzymał od niego dwie informacje o kapitalnym znaczeniu: za dwadzieścia pięć centów wodę do kąpieli grzeje i nalewa do cynowej wanny stróż, Lem Raskin; w Bostonie są trzy szpitale: ogólny, położniczy oraz przychodnia dla chorych na uszy i oczy.

Po śniadaniu Rob pławiał się w wannie, a wyszorował się dopiero wtedy, gdy woda już wystygła, po czym doprowadził swój ubiór do stanu godziwej prezencji. Na schodach spotkał posługaczkę, która na kolanach myła podest. Jej nagie ramiona były usiane piegami, obfite krągłości kształtów kolebały się w rytm szorowania. Kiedy ją mijał, podniosła na niego chmurną, kocią twarz. Spozrzegł, że spod jej czepka wymykają się kosmyki włosów takiego koloru, jaki najmniej lubił – w odcieniu mokrej marchwi.

W szpitalu ogólnym stanu Massachusetts wyczekał się do południa, zanim został przyjęty przez doktora Waltera Channinga, który poinformował go bez ogródek, że nie potrzebują więcej lekarzy. Podobną odpowiedź usłyszał niebawem w dwóch kolejnych szpitalach. W położniczym młody lekarz nazwiskiem David Humphreys Storer pokręcił współczująco głową.

– Wydział lekarski Harvardu, panie Cole, wypuszcza co roku zastęp medyków, którzy muszą się ustawiać w kolejce do pracy. Przyjezdni, prawdę powiedziawszy, niewielkie tu mają szansę.

Rob J. domyślił się tego, czego mu Storer nie powiedział wprost: że za niektórymi z tutejszych absolwentów stoi prestiż rodzin i koneksje. On również korzystał w Edynburgu z przynależności do lekarskiego klanu Cole'ów.

– Osobiście spróbowałbym szczęścia w jakimś innym mieście. Może w Providence albo w New Haven – doradził Storer. Rob wymamrotał słowa podziękowania i wyszedł.

Storer dogonił go po chwili.

– Prawdę mówiąc istnieje pewna nikła szansa – rzekł.

– Powinien pan się zwrócić do doktora Waltera Aldricha.

Gabinet tego lekarza mieścił się w jego schludnym, pomalowanym na biało drewnianym domu, stojącym na południowym krańcu podobnego do łąki skweru, który miejscowi nazywali Błoniem. Były akurat godziny przyjęć, Robowi przyszło więc długo czekać. Doktor Aldrich okazał się pulchnym jegomościem z białą jak mleko brodą, która nie zakrywała mu jednak ust podobnych do ciętej rany.

Wysłuchał Roba, przerywając mu od czasu do czasu pytaniami:– Szpital uniwersytecki w Edynburgu?... U chirurga Williama

Fergussona?... I czemuż to porzucił pan taką asystenturę?

– Gdybym nie uciekł, zesłano by mnie do Australii. – Rob J. zdawał sobie sprawę, że cała jego nadzieja w szczerości.

– Napisałem broszurę, która wywołała w okręgach przemysłowych rozruchy przeciwko Koronie angielskiej, od lat wysysającej ze Szkocji krew. Doszło do walki, padli zabici.

– Jasno powiedziane – stwierdził doktor Aldrich potaknąwszy głową. – Mężczyzna powinien walczyć o pomyślność własnej ojczyzny. Mój ojciec i dziad też walczyli z Anglikami.

–Przyjrzał się Robowi spod oka.

–Znalazłoby się jedno wolne miejsce. W organizacji dobroczynnej, która otacza opieką miejską biedotę.

Zapowiadało to pracę brudną i niewdzięczną. Doktor Aldrich powiedział, że lekarze zarabiają w tej instytucji około pięćdziesięciu dolarów rocznie i są szczęśliwi, że dostali taką praktykę. Rob J. powątpiewał w duchu, by lekarz z Edynburga mógł posiadać gruntowniejszą wiedzę medyczną w prowincjonalnych dzielnicach biedoty.

– Jeśli wstąpi pan do Bostońskiego Towarzystwa Dobroczynnego, postaram się, żeby mógł pan wieczorami asystować jako asystent w laboratorium anatomii Akademii Medycznej Tremont. Przyniosłoby to panu dodatkowe dwieście pięćdziesiąt dolarów.

– Nie sądzę, żebym się zdołał utrzymać za trzysta dolarów, sir. Nie posiadam prawie żadnych zasobów.

– Nic więcej nie mogę panu zaproponować. Roczne pobory wyniosłyby jednak w istocie nie trzysta, a trzysta pięćdziesiąt dolarów. Pracowałby pan w Ósmej Dzielnicy, a rada nadzorcza Towarzystwa postanowiła ostatnio w głosowaniu przyznać

lekarzowi tego okręgu pobory w wysokości nie pięćdziesięciu, tylko stu dolarów.

– I czemuż to w Ósmej Dzielnicy płacą dwa razy więcej niż w innych?

Doktor Aldrich odpłacił szczerością za szczerość.

– Bo mieszkają tam Irlandczycy – rzekł głosem, który idealnie pasował do jego cienkich, bezkrwistych warg.

Następnego dnia rano Rób J. wspiął się po skrzypiących schodach domu pod numerem 109 na Washington Street i wszedł do zagraconej apteki, będącej jedynym biurem Bostońskiego Towarzystwa Dobroczynnego. Tłoczyli się już tam lekarze czekający na codzienne skierowania. Gdy przyszła kolej Roba, kierownik placówki, Charles K. Wilson, potraktował go dość obcesowo.

– Aha, nowy lekarz na Ósmą Dzielnicę, tak? No cóż, nikt się nią dotychczas nie zajmował. Oto pana dzisiejszy przydział – rzekł wręczając mu plik kartelu szków z nazwiskami i adresami.

Następnie zapoznał nowego wolontariusza z zasadami pracy i opisał pobieżnie przydzielony mu rewir. Jego główna ulica, Broad Street, biegła między portowymi dokami a wyniosłym garbem Fort Hill. Zaraz po założeniu miasta była to dzielnica kupców, którzy pobudowali tu sobie przestronne rezydencje, aby mieć oko na swoje magazyny i trzymać rękę na pulsie handlu na nabrzeżu.

Po jakimś czasie wszakże wyprowadzili się stamtąd na elegantsze ulice, a w ich domach zamieszkali jankescy robotnicy, po nich – w miarę jak budynki dzielono na coraz mniejsze klitki – miejscowa biedota, na koniec zaś wypluwani regularnie przez ładownie statków emigranci z Irlandii. Okazałe niegdyś domy podupadły

wówczas ostatecznie, nie remontowane, podzielone na małe izdebki, które podnajmowano za wygórowany tygodniowy czynsz.

Magazyny zamieniły się w ule ciasnych klitek bez dopływu światła i powietrza. Niedostatek przestrzeni mieszkalnej był tak dotkliwy, że do każdej budowli przyrastały z boków i z tyłu szpetne koślawe budy. W rezultacie powstały nędzarskie czynszówki, gdzie w izbie gnieździło się nawet po dwanaście osób – żony, mężowie, bracia, siostry, dzieci, śpiący nieraz wszyscy pospołu w jednym łóżku.

Kierując się wskazówkami Wilsona, Rob J. odszukał Ósmą Dzielnicę. Od Broad Street bił przeraźliwy smród – fetor nielicznych wychodków, z których korzystało zbyt wielu użytkowników – ów odór nędzy, wspólny wszystkim metropoliom świata.

Zmęczony już własną cudzoziemskością, z radością witał irlandzkie oblicza, boć przecie łączył go z nimi wspólny celtycki rodowód. Pierwszy karteluszek skierował go do Patricka Geoghegana zamieszkałego przy Half Moon Place. Adres mógłby równie dobrze wskazywać na słońce, ledwo bowiem skręcił z Broad Street, zgubił się w labiryncie odchodzących od tej ulicy zaułków i przesmyków bez nazwy. W końcu dał pensa jakiemuś umorusanemu chłopcu i ten zaprowadził go na ciasne, zagracone podwórko.

Dopytując się o drogę, dotarł na najwyższe piętro sąsiedniego domu i przeszedłszy przez izby zamieszkane przez dwie inne rodziny, znalazł się w dziupelce Geogheganów. Siedziała tam jakaś kobieta i przeglądała przy ogarku główkę dziecka.

– Tu mieszka Patrick Geoghegan?

Rob J. musiał powtórzyć pytanie, nim doczekał się udzielonej ochryplym szeptem odpowiedzi.

– To mój tatuś... Umarł pięć dni temu na zapalenie mózgu. Mieszkańcy Szkocji również określali tym terminem każdą wysoką gorączkę, która kończyła się śmiercią.

– Współczuję pani w nieszczęściu – wybąkał cicho.

Nie podniosła nawet oczu.

Zszedłszy na dół przystanął i rozejrzał się wokół.

Wiedział, że w każdym kraju są takie ulice, rezerwy niesprawiedliwości tak przygniatającej, że wytwarza właściwe sobie widoki, dźwięki i zapachy. Dziecko o twarzy koloru serwatki siedziało na schodach i obgryzało, niczym pies kość, kawałek wieprzowej skóry bez odrobiny mięsa; w brudnym, zaśmieconym zaułku wałały się trzy buty nie do pary, tak zniszczone, że nie nadawały się już do dalszych reperacji; zapijaczony męski głos zawodził rzewną pieśń o zielonych wzgórzach porzuconej ojczyzny, gdzie indziej ktoś miotał przekleństwa z modlitewnym wręcz żarem. Zapach gotowanej kapusty ginął pod bijącym zewsząd odorem przepełnionych rynsztoków i wszelakiego rodzaju brudów. Rob J. napatrzył się biednych dzielnic w Edynburgu i w Paisley. Przywykł do widoku kamiennych szeregowych domów w dziesiątkach innych miast, gdzie dorośli i dzieci wychodzili do pracy przed świtem, wlokąc nogi do fabryk włókienniczych i przędzalni, a do domów wracali dobrze po zapadnięciu nocy. Zastanowiła go ironia jego położenia: ze Szkocji musiał uciekać, gdyż występował przeciwko siłom odpowiedzialnym za powstanie takich jak te slumsów, i oto w nowym kraju wpakowano go w taki sam rynsztok.

Drugi kartonik kierował go do Martina O'Hary na Humphrey Place. Było to skupisko bud i ruder wczepionych w zbocze Fort Hill, a wiodły tam drewniane schody, wysokie na jakieś pięćdziesiąt stóp i tak strome, że na dobrą sprawę można by je uznać za drabinę. Wzdłuż tej „klatki schodowej” biegła odkryta drewniana rynna, którą spływały ścieki z Humphrey Place, przyczyniając się do powiększenia kloacznych zatorów na Half Moon Place. Nie zwracając uwagi na nędzę otoczenia, Rob wspinał się szybko po stromych schodach. Zaczynał się już przyzwyczajać do swojej praktyki.

Choć praca była wyczerpująca, po południu mógł jedynie liczyć na ubożuchny kiepski posiłek, po którym spieszył wieczorem na dodatkową posadę.

Żaden pojedynczy etat nie zapewniłby mu miesięcznego utrzymania, te zaś oszczędności, jakie mu jeszcze zostały, nie wystarczyłyby na wiele obiadów.

Prosektorium i sala wykładowa Akademii Medycznej Tremont mieściły się w jednym dużym pokoju nad apteką Thomasa Metcalfe'a pod numerem 35 przy Tremont Place. Zajęciaprowadziła grupa wyedukowanych na Harvardzie profesorów, którzy zatrwożeni poziomem edukacji medycznej oferowanej przez ich alma mater, postanowili otworzyć trzyletni program studiów mających (w ich mniemaniu) wypuszczać wartościowszych lekarzy.

Profesor patologii, u którego Rob J. miał być asystentem-prosektorem, okazał się niskim mężczyzną o szpotawych kolanach, o dziesięć mniej więcej lat odeń starszym. Skinął mu niedbale głową.

– Nazywam się Holmes. Czy jest pan asystentem z doświadczeniem, doktorze Cole?

– Nie. Nigdy nie pracowałem jako asystent. Ale jestem doświadczonym chirurgiem i prosektorem.

Oziębły ruch głowy profesora Holmesa mówił „ano, zobaczymy”. Wyjaśnił mu pokrótce, jakie ma poczynić przygotowania przed jego wykładem. Poza niewielu wyjątkami składały się one na rutynowe zajęcia, z którymi Rob J. był obznajomiony. W Edynburgu co rano przed obchodem robili z Fergussonem sekcje zwłok – dla celów badawczych, a także po to, by nie wyjść z wprawy w operowaniu żywych. Ściągnął więc teraz prześcieradło z kościstych zwłok jakiegoś młodzieńca i włożył długi szary fartuch prosektora. Rozkładał właśnie narzędzia, gdy zaczęli się schodzić studenci.

Było ich tylko siedmiu. Doktor Holmes stanął przy katedrze obok stołu sekcyjnego.

– Kiedy studiowałem w Paryżu anatomię – zaczął – każdy student mógł sobie w pewnym miejscu kupić całe zwłoki. Sprzedawano je tam po pięćdziesiąt sous codziennie w południe. Dziś mamy do czynienia z niedoborem zwłok do badań. Te oto, zwłoki szesnastoletniego chłopca, który zmarł dziś rano na przekrwienie płuc, otrzymaliśmy ze stanowej Rady Dobroczynności. Dziś wieczorem nie będą państwo jeszcze przeprowadzali sekcji. Na następnych zajęciach ciało zostanie rozdane między was. Dwie osoby otrzymają do badań ramię, dwie nogę, reszta podzieli się korpusem.

Doktor Holmes opisywał czynności Roba, gdy ten otworzył klatkę piersiową chłopca i jął wydobywać poszczególne narządy. Ważył je kolejno, po czym wyraźnie, by profesor mógł zanotować, podawał ich wagę. Jego obowiązki ograniczały się następnie do wskazywania różnych punktów ciała dla zilustrowania słów



profesorskiego wykładu. Holmes mówił głosem piskliwymi zacinał się, ale Rob J. zorientował się szybko, że studenci uważają jego wykłady za pyszną zabawę.

Wykładowca nie wystrzegał się pieprznych określeń.

Demonstrując, jak porusza się ramię, wyprowadził zamaszysty cios podbródkowy, objaśniając mechanikę ruchów nogi wymierzył wysokiego kopniaka, a opisując, jak funkcjonują biodra, odtańczył taniec brzucha. Studenci chłonęli jego występy z rozdziawionymi ustami. Po wykładzie skupili się wokół Holmesa i zasypali go pytaniami.

Odpowiadając na nie, profesor zerkał co chwila, jak nowy asystent umieszcza zwłoki i okazy anatomiczne w wannie do wytrawiania, zmywa stół, a potem myje, osusza i starannie układa narzędzia. Gdy ostatni student opuszczał prosektorium, Rob J. szorował własne dłonie i ramiona.

– Jest pan całkiem zdatny – zaopiniował Holmes.

Wielkie rzeczy, miał ochotę odpowiedzieć, toć z takim zadaniem uporałby się każdy przeciętnie zdolny student. Zamiast tego spytał pokornie, czy nie mógłby otrzymać zadatku.

– Poinformowano mnie, że pracuje pan dla Towarzystwa Dobroczyńnego. Ja także kiedyś dla nich pracowałem. Potworna harówka, klepanie biedy, ale pouczające doświadczenie. – Wyjął z portmonetki dwa pięciodolarowe banknoty. – Wystarczy jako zapłata za pierwsze pół miesiąca?

Rob J. postarał się nie okazać w głosie ulgi, gdy zapewniał doktora Holmesa, że wystarczy. Pogasili światła, życzyli sobie u stóp schodów dobrej nocy i rozeszli się w przeciwnie strony. Świadomość posiadania w kieszeni żywej gotówki sprawiała, że Robowi

zakręciło się w głowie. Kiedy przechodził obok piekarni Allena, zamykający ją na noc subiekt zdejmował właśnie z wystawy tace z wypiekami. Rob J. wszedł do środka i dla uczczenia takiego święta kupił dwa ciastka z jeżynami.

Zamierzał zjeść je u siebie w pokoju, lecz że posługaczka pensjonatu przy Spring Street była jeszcze na nogach (kończyła zmywanie), wszedł do kuchni i pokazał jej swój nabytek.

– Jedno z tych ciastek będzie dla ciebie, jeśli pomożesz mi zwędzić trochę mleka.

Uśmiechnęła się.

– Nie potrzebuje pan mówić szeptem. Stara śpi. – Wskazała pokój pani Burton na pierwszym piętrze.

– Jak raz zaśnie, nic jej nie obudzi.

Wytarła ręce, po czym przyniosła bańkę mleka i dwa czyste kubki. Oboje bawił ten złodziejski spisek.

Dziewczyna nazywała się Margaret Holland, jak mu powiedziała, ale wołali ją wszyscy Meg. Po skończonej uczcie w kąciku jej pełnych warg pozostał mleczny ślad, wyciągnąwszy więc ponad stołem niewzruszoną rękę chirurga, Rob opuszką palca startł ten ślad przestępstwa.

---

## 4 Lekcja anatomii

---

Niemal od razu dostrzegł skazę na stosowanym przez instytucję charytatywną systemie. Nazwiska, jakie mu co rano dawano na karteczkach, wcale nie należały do najciężej chorych mieszkańców rejonu Fort Hill.

System opieki lekarskiej był niesprawiedliwy i niedemokratyczny. Kwity uprawniające do darmowego leczenia rozdzielano między majątnych donatorów dobroczynności, ci zaś dawali je komu chcieli, na ogół własnym służącym w charakterze nagród. Robowi zdarzało się często trafiać do mieszkania, gdzie czekał na niego pacjent z drobną jakąś niedyspozycją, podczas gdy w tej samej sieni umierał nie leczony bezrobotny biedak. Przysięga, jaką składał zostając lekarzem, zabraniała mu pozostawiać bez opieki osobę śmiertelnie chorą, lecz jeśli nie chciał stracić posady, musiał zwracać instytucji dobroczynnej jak najwięcej skierowań z dołączonym opisem pomocy udzielonej pacjentom, których nazwiska na nich figurowały.

Pewnego wieczoru poruszył tę kwestię w rozmowie z doktorem Holmesem w szkole medycznej.

– Kiedy ja u nich pracowałem, zbierałem kwity uprawniające do leczenia od przyjaciół mojej rodziny wspierających datkami dobroczynność – powiedział profesor. – Zacznę je znowu w ten sposób gromadzić i będę je panu oddawał.

Rob J. był mu wdzięczny, choć nie podniosło go to zbytnio na duchu. Zdawał sobie sprawę, że nigdy nie zdoła zgromadzić takiej liczby kwitów in blanco, by mógł pospieszyć z pomocą wszystkim potrzebującym jej biedakom z Ósmej Dzielnicy. Na to by trzeba całej armii lekarzy.

Do najjaśniejszych momentów tych ponurych dni zaliczał krótkie chwile, gdy wróciwszy późno na Spring Lane, pałaszował z Meg Holland przemycone resztki. Nabrał zwyczaju znoszenia jej drobnych upominków – a to garści pieczonych kasztanów, a to okruchu klonowego cukru, a to kilku żółtych jabłek pepiny. Z kolei Irlandka dzieliła się z nim domowymi plotkami: że Stanley Finch, ten z pokoju na pierwszym piętrze od frontu (ten, co to by się tylko furt chwalił i chwalił miał dziewczuchę przy rodzinie w Gardner i od niej uciekł; że pani Burton potrafi być raz taka słodka, że do rany przyłoży, a kiedy indziej znów okrutna z niej wiedźma i człowiek nigdy nie wie, na co trafi; że służący Lemuel Raskin, który ma pokój obok Roba, lubi sobie golnąć...

Tydzień po tym, jak Rob zamieszkał w pensjonacie, poinformowała go od niechcienia, że jeśli dać Lemowi kwaterkę wódki, wydudła ją jednym haustem i nie można się go potem dobudzić. Następnego wieczoru Rob J. zrobił więc Lemuelowi prezent w postaci kwaterki wódki.

Czekanie dłużyło mu się nieznośnie, co chwila też wyrzucał sobie, że zachował się jak głupiec – dziewczyna tak sobie tylko gadała. Stary dom wygrywał cały repertuar nocnych szmerów: a to zaskrzypiały deski, a to zagrzmiało gardłowe chrapanie Lema, a to w drewnianych oblicówkach rozlegały się jakieś tajemnicze trzaski. W końcu pod drzwiami dał się słyszeć cichutki szelest, prawdę mówiąc ledwie pozór pukania. Gdy je wszakże otworzył, do izby wśliznęła się Margaret Holland, wnosząc ze sobą delikatną woń kobiecości i zmywanych statków. Oznajmiła mu szeptem, że zanoszą się na zimną noc, i wręczyła, w charakterze usprawiedliwienia, przetarty dodatkowy koc.

Niecałe trzy tygodnie po sekcji zwłok młodego mężczyzny trafiła się Akademii Medycznej Tremont kolejna gratka: ciało młodej kobiety, zmarłej w więzieniu na gorączkę połogową po wydaniu na świat dziecka. Tego wieczoru doktora Holmesa zatrzymało coś w szpitalu ogólnym i rolę wykładowcy pełnił doktor David Storer ze szpitala położniczego. Zanim Rob J. zabrał się do krojenia zwłok, doktor Storer poddał dłonie asystenta najskrupulatniejszym oględzinom.

– Nie ma pan zanokcicy, jakichś pęknięć naskórka?

– Nie, sir – odrzekł z lekką niechęcią Rob, nie znajdując powodu do takiego zainteresowania swoimi dłońmi.

Po skończonej lekcji anatomii Storer poprosił studentów, żeby przeszli w drugi koniec sali, gdzie zademonstruje im, jak należy przeprowadzać wewnętrzne badanie pacjentek ciężarnych lub cierpiących na kobiece przypadłości.

– Wstydliva mieszkanka Nowej Anglii może się wzdragać przed podobnym badaniem albo wręcz nie zgodzić na nie – uprzedził. – Obowiązkiem panów jest zdobycie jej zaufania, żebyście mogli udzielić jej pomocy.

Doktorowi Storerowi towarzyszyła zwałista kobieta w zaawansowanej ciąży, najprawdopodobniej najęta do tej demonstracji prostytutka. Profesor Holmes zjawił się na sali, kiedy Rob J. czyścił i uprzątał stół sekcyjny. Gdy się z tym uporał, chciał podejść do badających kobietę studentów, ale zastąpił mu drogę wzburzony Holmes.

– Wykluczone, wykluczone! – zawołał. – Proszę wyszorować ręce i natychmiast stąd wyjść.

Natychmiast, doktorze Cole! Proszę pójść do gospody Essex i czekać tam na mnie. Pokażę panu pewne notatki i dokumenty.

Zaintrygowany i poirytowany Rob uczynił, co mu kazano. Gospoda mieściła się w pobliżu szkoły, tuż za rogiem. Zamówił piwo, czuł się bowiem podenerwowany, choć przyszło mu zaraz do głowy, iż wyrzucono go najpewniej z posady, nie powinien więc trwonić pieniędzy. Ledwie wypił pół kufla, wpadł do gospody Harry Loomis, student drugiego roku, z dwoma notatnikami i kilkoma odbitkami artykułów medycznych.

– Poeta to panu przysyła.

– Kto taki?

– To pan nie wie? Holmes to bostoński poeta-laureat. Kiedy do Ameryki zawitał Dickens, nie kogo innego tylko właśnie Olivera Wendella Holmesa poproszono o ułożenie wierszy powitalnych. Ale proszę się nie obawiać. Jest lepszym lekarzem niż poetą. Fantastyczny wykładowca, co? – Loomis dał żwawo znak, aby i jemu podano kufel piwa. – Tyle że ma lekkiego bzika na punkcie mycia rąk. Uważa, że brud powoduje zakażenia ran!

Loomis przyniósł mu liścik nabazgrany na odwrocie nie zapłaconego rachunku za laudanum z apteki Weeksa i Pottera: „JDr Cole, proszę to koniecznie przeczytać do jutra wieczór przed przyjściem do Trem.

Koniecz., błag. Szcz. odd. Holmes.”

Zamknąwszy za sobą drzwi izdebki w pensjonacie pani Burton, Rob zabrał się do lektury, zrazu z pewną niechęcią, potem z rosnącym zainteresowaniem.

Holmes podawał fakty w artykule zamieszczonym w „Kwartalniku Medycznym Nowej Anglii”, przedrukowanym

następnie w wersji skróconej w „Amerykańskim Przeglądzie Medycznym”.

Początkowo wydały się one Robowi znajome, odpowiadały bowiem dokładnie jego własnym obserwacjom ze Szkocji. U znacznego procentu pacjentek ciężarnych rozwijała się wysoka gorączka, prowadząca szybko do stanu ogólnego zakażenia i w konsekwencji do zgonu.

Artykuł doktora Holmesa wszelako opisywał też przypadek lekarza nazwiskiem Whitney z Newton w stanie Massachusetts, który wraz z dwoma asystującymi mu studentami medycyny przeprowadził sekcję kobiety zmarłej na gorączkę połogową.

Doktor Whitney miał zanokcicę na palcu, jeden zaś ze studentów małą świeżą bliznę po oparzeniu na dłoni.

Obaj uważali swoje skaleczenia za błahostki, po kilku wszakże dniach doktora Whitneya zaczęło mrowić ramię, a w okolicy łokcia pojawiła się czerwona plamka wielkości ziarnka grochu, od której biegła wyraźna czerwona pręga do palca z zanokcicą. Ręka spuchła mu do podwójnych rozmiarów, wywiązała się bardzo wysoka gorączka, zaczęły go nękać gwałtowne wymioty. Jednocześnie zaczął też gorączkować ów student z oparzoną dłonią. W ciągu paru dni jego stan gwałtownie się pogorszył: zrobił się purpurowy, straszliwie wzdął mu się brzuch, a skończyło się to zejściem śmiertelnym. Doktor Whitney również otarł się o śmierć, lecz jego stan jął się z wolna poprawiać, aż wreszcie całkiem wydobrzył. U drugiego studenta, który w czasie owej autopsji nie miał na rękach ranek ani owrzodzeń, nie zaobserwowano żadnych objawów.

Przypadek ów został opisany, bostońscy lekarze dyskutowali nad jawnym związkiem między otwartymi ranami a zakażeniem

gorączką popołożową, nie doszli jednak do żadnych konkluzji. Wszelako kilka miesięcy później pewien lekarz z miasteczka Lynn zajmował się chorą cierpiącą na taką gorączkę mając otwarte rany na rękach i po niewielu dniach zmarł na ogólne zakażenie. Na zebraniu Bostońskiego Towarzystwa Rozwoju Medycyny podniesiono interesującą kwestię: co by się mianowicie stało, gdyby zmarły lekarz nie miał na rękach ranek? Czy – choćby sam nie uległ zakażeniu – nie zacząłby przenosić choroby, ilekroć by dotykał otwartych ran i owrzodzeń innych pacjentów lub narządów rodnych położnic?

Oliverowi Wendellowi Holmesowi to pytanie nie dawało spokoju. Przez wiele tygodni drążył zagadnienie, przesiadywał w bibliotekach, przeglądał własne notatki i wypraszał wywiady chorobowe od lekarzy położników. Trudząc się jak człowiek układający skomplikowaną łamigłówkę obrazkową, zgromadził wreszcie przekonujący zbiór dowodów, które obejmowały całe stulecie praktyki lekarskiej na dwóch kontynentach. Opisane przezeń przypadki trafiały sporadycznie na łamy literatury medycznej, ale przechodziły nie zauważone. Dopiero zebranie ich w całość pozwoliło wyłonić wstrząsającą tezę: gorączkę popołożową wywoływali lekarze, pielęgniarki, akuszerki i salowi, którzy zetknąwszy się z zarażonym pacjentem, przenosili następnie chorobę na zdrowe kobiety, skazując je na śmierć.

Gorączkę popołożową roznosi personel medyczny, konkludował Holmes. Kiedy ten fakt dotrze do świadomości lekarzy, dalsze zakażenie przez nich kobiet będzie należało uznawać za zbrodnię, za morderstwo.



Rob dwa razy przeczytawszy te artykuły, długo potem leżał na łóżku jak zdzielony obuchem. Chętnie by je wyśmiał, lecz przytoczone przez Holmesa historie chorób oraz statystyka nie pozostawiały wątpliwości.

Jakim cudem ten mikrusowaty lekarzyna z Nowego Świata mógł wiedzieć więcej od Sir Williama Fergussona? Rob często pomagał Fergussonowi przeprowadzać sekcje zmarłych na gorączkę połogową pacjentek, po których szli obaj badać ciężarne. Wyteżył pamięć, by przypomnieć sobie te, które później zmarły.

Wszystko wskazywało na to, że od tych prowincjuszy można się jednak czegoś o sztuce medycznej nauczyć.

Wstał, żeby podkręcić knot lampy i jeszcze raz przeczytać cały materiał, gdy dało się słyszeć skrobanie do drzwi. Do izdebki wemknęła się Margaret Holland. Wstydziła się przy nim rozbierać, nie miała jednak wyboru – w ciasnym pomieszczeniu trudno było udać się na osobność. Zresztą i on już się rozbierał. Meg poskładała swoje rzeczy i zdjęła z szyi krzyżyk. Ciało miała pulchne, ale muskularne. Rob wymasował odciski fiszbinów na jej skórze i zabierał się już do śmielszych pieszczot, gdy raptem znieruchomiał. Okropne podejrzenie przyszło mu do głowy.

Zerwał się z łóżka i nalał wody do miednicy.

Dziewczyna patrzyła na niego z pościeli jak na człowieka niespełna rozumu, on tymczasem mydlił i szorował ręce. Opłukał, znowu namydlił i znowu szorował. I jeszcze raz. I jeszcze. Wreszcie wytarł się, wrócił do łóżka i podjął przerwane zabiegi miłosne.

Po jakimś czasie Margaret rozchichotała się wbrew swojej woli.

– Jesteś najheczniejszym młodym paniczem, jakiego żem w życiu spotkała – szepnęła mu do ucha.

---

## 5 Zapomniana przez Boga dzielnica

---

Wracając wieczorem do swojej izdebki Rob był zwykle tak zmęczony, że prawie nigdy nie grał na wiolonczeli. Ręka odwykła mu od smyczka, ale muzyka nadal przynosiła ukojenie, choć rzadko mógł go zaznać, ledwie bowiem zabierał się do gry, Lem Raskin walił w ścianę domagając się ciszy. Nie było go stać na dostarczenie mu whisky dla zaspokojenia własnej potrzeby muzycznej, jak to czynił z potrzeby płciowej, więc muzyka na tym cierpiała. Pewne czasopismo lekarskie, które pożyczył z biblioteki szkoły medycznej, zalecało kobietom nie pragnącym zostać matkami, aby po stosunku robiły sobie wlewki z ałunu i kory białego dębu. Rob wiedział jednak, że na Meggy w kwestii regularnych irygacji polegać raczej nie należy. Harry Loomis znajgłębszą powagą odniósł się do jego prośby o radę i skierował go do schludnego szarego domku na południe od Cornhill, w którym mieszkała niejaka Cynthia Worth. Pani Worth okazała się siwą kobietą o wyglądzie dostojnej matrony. Usłyszawszy imię Harry'ego, uśmiechnęła się i pokiwała głową. – Dla braci lekarskiej mam ceny specjalne. Swe produkty wyrabiała z jelita ślepego owiec. Naturalny kiszkwaty kształt tego narządu, otwartego z jednego końca, nadawał się wyśmienicie.

Swoje wyroby prezentowała z dumą właścicielki straganu rybnego, demonstrującej morskie stwory o wysadzanych

klejnotami oczach. Rob J. aż zdębiał usłyszawszy ich cenę, ale pani Worth była nieugięta.

„Wymagają ogromnego nakładu pracy”, oświadczyła i opisała mu cały proces: najpierw trzeba kiszki moczyć godzinami w wodzie, potem wyrócić na lewą stronę i znów macerować w słabym, zmienianym co dwanaście godzin roztworze alkalicznym. Z kolei należy je ostrożnie oskrobać, usuwając błonę śluzową, po czym parować otrzewnowe i mięśniowe powłoki nad wrzącym kwiatem siarczanym, umyć w wodzie z mydłem, nadmuchać i wysuszyć, wreszcie uciąć z otwartego końca na długość ośmiu cali i zaopatrzyć w czerwone bądź niebieskie wstążeczki, aby je można szczelnie zawiązać, uzyskując gwarantowane zabezpieczenie.

Panowie kupują przeważnie po trzy sztuki, dodała.

Taniej wychodzi.

Rob J. kupił jedną. Nie wyraził specjalnych predylekcji co do koloru. Wstążeczka dostała mu się niebieska.

– Jeśli dbać, starczy na długo.

Wyjaśniła mu, że jej wyrobu można używać po wielekroć, byle po każdym użyciu umyć go, nadmuchać i przesypać talkiem. Gdy ze swoim nabytkiem opuszczał jej dom, pani Worth życzyła mu dobrego dnia i poprosiła, by ją polecił kolegom i pacjentom.

Meggy odniosła się do prezerwatywy ze wstrętem.

Milej powitała podarek, jaki zrobił jej kochankowi Harry Loomis, zapowiadając spędzenie dzięki niemu niezapomnianych chwil. Sprezentował mu mianowicie buteleczkę z bezbarwnym płynem, podtlenkiem azotu, zwanym przez studentów medycyny i młodych lekarzy, którzy używali go do zabawy, gazem rozweselającym. Rob nasączył nim szmatkę i oboje z Meggy nawdychali się go przed

zbliżeniem. Doznania przeszły najśmielsze oczekiwania obojga. Nigdy ich ciała nie wydawały im się tak komiczne, sam zaś akt miłosny równie absurdalny i śmieszny.

Poza rozkoszami łoża nic ich właściwie nie łączyło.

Gdy się kochali niespiesznie, okazywali sobie jeszcze odrobinę czułości, lecz kiedy zwierali się z brutalną żądzą, więcej w tym było rozpacz niż namiętności.

W rozmowach Meg raczyła go domowymi ploteczkami, co Roba nudziło, lub wspominała ojczyznę, czego się wystrzeżał, gdyż wspomnienia przysparzały mu bólu. Między ich umysłami i duszami nie zawiązała się najcieńsza choćby nić porozumienia.

Chemiczna wesołość, jaką zdarzyło im się dzielić po nawłóczeniu się podtlenku azotu, nigdy więcej się nie powtórzyła, podczas owej bowiem seksualnej frywolności okazali się nader hałaśliwi. Do upojonego Lema odgłosy ich wybryków nie docierały, zdawali sobie jednak sprawę, jakie mieli szczęście, że ich nie odkryto. Wspólnie śmialisę tylko jeden jeszcze raz, kiedy to Meggy zauważyła wstydliwie, że kieszka, z której była zrobiona prezerwatywa, musiała chyba pochodzić od tryka, i przezwała ją Starym Jebusem. Rob J. miał wyrzuty sumienia, że tak wykorzystuje tę dziewczynę.

Spostrzegłszy, że jej halka usiana jest cerami, kupił jej nową – podarek dla zmazania win. Sprawił jej tym

nieopisaną radość. Leżąc pewnego razu na swym wąskim wyrku naszkicował w dzienniku jej portret.

Portret pulchnej dziewczyny o kociej, śmiejącej się twarzy.

Niejedno jeszcze z tego, co wokół siebie widział, miałby ochotę narysować, lecz medycyna do cna ograbiła go z sił. W Edynburgu,

zbuntowawszy się przeciwko lekarskiej tradycji rodu Cole'ów, wstąpił do akademii sztuk pięknych owładnięty jednym tylko pragnieniem: zostania malarzem. Z tego powodu rodzina miała go za człowieka obranego z rozumu. W trzecim roku studiów na edynburskim uniwersytecie oświadczono mu, że owszem, ma talent artystyczny, ale niepokąźny. Jest zbyt dosłowny. Brakuje mu żywej wyobraźni, zamglonej wizji. „Płonie w panu ogień, lecz ogień bez żaru”, powiedział mu profesor, który był portrecistą. Ubrał swoją opinię w uprzejmą oprawę, wyraził ją wszakże dostatecznie jasno. Rob był zdruzgotany.

Pozbierał się dopiero po dwóch przypadkowych odkryciach. W zakurzonych archiwach biblioteki uniwersyteckiej natrafił na pewien anatomiczny rysunek. Był bardzo stary, pochodził chyba z czasów przed Leonardem. Przedstawiał akt męski o rozplątanej powłóce, aby można oglądać narządy wewnętrzne i naczynia krwionośne. Nosił tytuł „Człowiek przezroczysty wtóry”, narysowany zaś został – co stwierdził z radosnym zdumieniem – przez jednego z jego przodków. Podpis był wyraźnie czytelny: „Robert Jeffrey Cole, według Roberta Jeremy'ego Cole'a”. Oto miał świadectwo, że przynajmniej kilku spośród jego antenatów parało się oprócz medycyny także sztukami pięknymi. Dwa dni potem zaszedł do sali operacyjnej z galerią dla widzów i ujrzał przy pracy Williama Fergussona – geniusza, który wykonywał zabiegi chirurgiczne z niedoścignioną pewnością ręki, a przy tym z niezwykłą szybkością, mającą na celu złagodzenie wstrząsu, jakim jest dla pacjenta przesywający ból.

Rob J. zrozumiał wówczas, skąd w rodzinie Cole'ów ten poczet lekarzy. Olśniła go oczywistość odkrycia, że najwspanialszenawet

płótno nie dorówna ceną jednemu ludzkiemu życiu. Medycyna zawładnęła nim od tamtej pory na dobre.

Już na początku studiów objawiło się w nim coś, co jego wuj Ranald, który prowadził w Glasgow praktykę ogólną, nazywał „darem Cole’ów”, mianowicie zdolność do oceny, czy pacjent przeżyje, czy umrze, przez ujęcie go za rękę. Był to swego rodzaju diagnostyczny szósty zmysł, częściowo dar instynktu, częściowo percepcyjna scheda po przodkach, której nikt nie potrafił określić ani zrozumieć, która wszak funkcjonowała, jeśli tylko nie zaćmiło się jej nadużywaniem alkoholu. Dla lekarza był to istny dar niebios, przeniesiony jednak tu, do dalekiego kraju, tylko przygnębiał Roba J. Ósma Dzielnica obfitowała bowiem w konających.

Ta zapomniana przez Boga dzielnica, jak zwykł o niej myśleć, zdominowała całe jego życie. Irlandczycy zjeżdżali do Nowego Świata z wielkimi nadziejami.

Dniówka robotnika w starym kraju, jeśli udało mu się dostać pracę, wynosiła sześć pensów. W Bostonie bezrobocie było mniejsze, robotnicy zarabiali lepiej, pracowali za to po piętnaście godzin dziennie przez siedem dni w tygodniu. Płacili wysokie komorne za swoje nory w slumsach, więcej wydawali na jedzenie, a nie mieli żadnego ogródka, najmniejszego choćby spłachetka ziemi, na którym rosną mączne jabłka i można trzymać mleczną krówkę czy świniaka.

Dzielnica przygniała Roba swą nędzą, brudem oraz potrzebami, które powinny go właściwie zupełnie obezwładnić, a tymczasem pobudzały do pracy tak wytężonej jak wysiłek żuka gnojaka, usiłującego poruszyć górę owczego bobka. W niedzielę mógłby co prawda odetchnąć trochę od otępiającej, koszmarnej

całotygodniowej harówki. Tego dnia przed południem nawet Meg miała kilka wolnych godzin i mogła pójść na mszę. Lecz gdy przychodziła niedziela, Rob J. znowu wracał do swojej dzielnicy.

Nie musząc już trzymać się rozkładu, jaki mu narzucały świstki skierowań, dowolnie dysponował swoim czasem, nikomu go wtedy nie wykradał. Nim się obejrzał, prowadził prawdziwą, acz przeważnie bezpłatną niedzielą praktykę, gdziekolwiek się bowiem obrócił, spotykał choroby, rany i nieszczęście. Wieść o lekarzu, który zna – i chętnie się nim posługuje – gaelicki, starożytny język wspólny Irlandczykom i Szkotom, rozeszła się po slumsach lotem błyskawicy. Słyszac w jego ustach prastarą mowę ojczystą, nawet najopryskliwsi i najbardziej gburowaci spośród nich rozjaśniali się i rozpromieniali. Beannacht De ort, dochtuir oig! Niech cię Bóg błogosławi, młody doktorze – wołali za nim na ulicach. Jeden drugiemu przekazywał wiadomość o młodym lekarzu, który „gada po naszymu”, tak że wkrótce codziennie już rozmawiał po gaelicku. Wielbiony na Fort Hill, znacznie mniejszą popularnością cieszył się wszelako w biurze Bostońskiego Towarzystwa Dobroczytnego.

Zaczęli się tam bowiem zjawiać najdziwniejsi i najmniej spodziewani pacjenci z receptami od doktora Roberta J. Cole’a na lekarstwa, szcudła, a nawet jedzenie, przepisane im jako kuracja na niedożywienie.

- Co tu się wyprawia, u czorta? – sarknął Wilson.
- Tych ludzi nie ma na liście osób wyznaczonych przez darczyńców do leczenia!
- W Ósmej Dzielnicy właśnie oni najpilniej potrzebują naszej pomocy.

– I cóż z tego? Ogon nie będzie wymachiwał psem.

Jeśli chce pan dalej pracować w naszej instytucji, musi pan przestrzegać zasad, doktorze Cole – zapowiedział mu stanowczo Wilson.

Wśród niedzielnych pacjentów Roba znajdował się niejaki Peter Finn z Half Moon Place, któremu spadająca z wozu skrzynia zdruzgotała łydkę prawej nogi, gdy odbierał na nabrzeżu zapłatę za pół dniówki.

Kiedy zdecydował się wreszcie pokazać tę nogę lekarzowi, obwiązana brudną szmatą rana była już spuchnięta i bolała przy dotyku. Rob przemył ją i zeszył poszarpane płaty ciała, wdało się jednak zakażenie, tak że zaraz następnego dnia trzeba było zdjąć szwy i umieścić w ranie dren. Infekcja rozwijała się w zastraszającym tempie. Kilka dni później Dar objawił mu, że jeśli chce ocalić życie Petera Finna, musi mu odjąć nogę.

To było we wtorek, nie mógł odkładać amputacji do niedzieli, przyszło mu więc znowu kraść czas Towarzystwa Dobroczynnego. Był zmuszony nie tylko poświęcić jedno z bezcennych skierowań in blanco otrzymanych od Holmesa, ale i wręczyć Rosę Finn część ciężko zarobionych pieniędzy, aby zeszła do szynku w kamienicy po dzbanek gorzałki, równie niezbędnej przy podobnej operacji jak lancet.

Brat Petera, Joseph Finn, oraz Michael Bodie, jego szwagier, niechętnie zgodzili się asystować przy operacji. Rob J. czekał, aż zakrapiana morfiną whisky wprowadzi w stan otępienia Petera, rozciągniętego na stole, jakby go miano złożyć w ofierze. Przy pierwszym jednak cięciu skalpelem doker niedowierzająco wybałuszył oczy, na szyi napięty mu się ścięgną i przeraźliwym



wrzaskiem wyrzucił z siebie klątwę, od której pobladł Joseph Finn, a Bodie zadrżał jak osika. Rob przywiązał ranną nogę do stołu, ale gdy Peter zaczął miotać się i kwiczeć jak zarzynane prosię, krzyknął do obu mężczyzn:– Trzymajcie go! Tylko mocno, prędzej!

Ciął tak, jak go nauczył Fergusson, pewnie i szybko.

Krzyki ucichły, gdy kroił ciało i mięśnie, ale zgrzytanie zębów pacjenta było jeszcze straszniejsze od jego wrzasku. Kiedy przeciął tętnicę udową, trysnęła jasna krew. Ujął rękę Bodiego i usiłował mu pokazać, jak zatamować tę fontannę z tętnicy, jednakże szwagier operowanego zataczając się uciekł od stołu.

– Wracaj, sukinsynu!...

Ale Bodie zbiegał już z płaczem po schodach.

Rob J. starał się pracować za trzech. Dzięki swej masie i sile udało mu się przy pomocy Josepha unieruchomić rzucającego się na stole Petera i równocześnie zacisnąć jakimś cudem śliski koniec tętnicy i powstrzymać krwotok. ledwie ją jednak puścił, by sięgnąć po piłę, krew siknęła znowu.

– Niech mi pan pokaże, co robić.

U jego boku stanęła Rosie Finn z twarzą koloru ciasta. Zdołała uchwycić koniec tętnicy i zahamować krwawienie, Rob J. przepiłował kość, potem wykonał kilka szybkich cięć i noga odpadła. Mógł teraz podwiązać tętnicę, wyrównać i zeszyć płaty skóry.

Oczy Petera Finna szklily się po przebytych szoku, jedynym zaś dźwiękiem, jaki wychodził z jego gardła, był urywany chrapliwy oddech.

Rob zabrał zawiniętą w przetarty, poplamiony ręcznik nogę do badania w prosektorium. Był półżywy ze zmęczenia. Zmęczył go

raczej udział w cierpieniu Petera Finna niż związany z amputacją wysiłek. Na zakrwawione ubranie nie znalazł żadnej rady, pod publicznym kranem na Broad Street umył tylko zakrwawione ręce i pospieszył do następnego pacjenta: umierającej na suchoty dwudziestodwuletniej dziewczyny.

Wśród swoich Irlandczycy żyli w biedzie. Poza swoim środowiskiem obrzucani byli wyzwiskami. Rob spotykał na ulicach afisze z napisami: „Katolicy oraz wszyscy ci, którzy katolicyzmowi sprzyjają, to podli oszuści, kłamcy, łotry i tchórzliwi dranie. PRAWDZIWI AMERYKANIE.”

Raz w tygodniu chodził na wykład medyczny do amfiteatralnego audytorium na pierwszym piętrze gmachu Ateneum, którego chaotyczne wnętrza powstały z połączenia dwóch kamienic przy Pearl Street. Zdarzało się, że po wykładzie siadał w bibliotece i podczytywał bostoński „Evening Transcript”, odbijający żywe w społeczeństwie nastroje nienawiści. Znakomici księża, w rodzaju wielebnego Lymana Beechera, duchownego Kościoła Kongregacjonalistów z Hannover Street, smażyli artykuł za artykułem o „nierządniczy babilońskiej” i „ohydnej bestii rzymskiego katolicyzmu”. Partie polityczne wynosiły pod niebiosa rodowitych Amerykanów i pisały o „brudnych, ciemnych irlandzkich i niemieckich imigrantach”.

Gdy zaś, pragnąc dowiedzieć się czegoś o Ameryce, czytał wiadomości krajowe, przychodziło mu stwierdzić, że to kraj zaborczy, oburącz grabiący ziemię. W ostatnim czasie zaanektował Teksas, na drodze traktatu z Wielką Brytanią zajął terytorium Oregonu i wdał się w wojnę z Meksykiem o Kalifornię i południowo-zachodnie połacie amerykańskiego kontynentu.

Granica na rzece Missisipi oddzielała cywilizację od dzikich pól, na które zostali zepchnięci Indianie z Równin. Rob J., który jako chłopiec pożerał powieści Jamesa Fenimore'a Coopera, był Indianami zafascynowany.

Przeczytał wszystko, czym dysponowało na ich temat Ateneum, po czym zabrał się za poezję Olivera Wendella Holmesa. Spodobała mu się, szczególnie portret twardego, niezłomnego starca z „Ostatniego liścia”, lecz Harry Loomis miał słuszność: Holmes był lepszym lekarzem niż poetą. Lekarzem zaś był pierwszorzędnym.

Ustalił się zwyczaj, że Harry i Rob kończyli długi dzień pracy szklaneczką piwa w tawernie Essex. Holmes często się tam do nich przysiadał. Rzucało się w oczy, że Harry jest ulubionym studentem profesora, i Rob musiał w sobie zwalczać uczucie zazdrości. Rodzina Loomisów była szeroko ustosunkowana. Harry miał w odpowiednim czasie otrzymać atrakcyjną posadę w szpitalu, gwarantującą zrobienie medycznej kariery w Bostonie.

Pewnego wieczoru Holmes wspomniał przy kuflu, że pracując nad czymś w bibliotece, natknął się na wzmiankę o wolu Cole'a oraz o złośliwej cholery Cole'a. Zaciekawiony przejrzał literaturę i natrafił na liczne dowody wkładu rodu Cole'ów w medycynę, wliczając w to podagrę Cole'a oraz zespół Cole'a i Palmera, chorobę, w której obrzękowi towarzyszy obfite pocenie się i charczący oddech.

– Odkryłem dalej – ciągnął Holmes – że z górą tuzin Cole'ów piastowało stanowiska profesorów medycyny w Edynburgu i Glasgow. Czy to wszystko pańscy krewni?

Rob J. uśmiechnął się, zmieszany, ale szczęśliwy.

– Wszystko krewni. Ale na przestrzeni wieków Cole'owie bywali przeważnie, jak mój ojciec, zwykłymi wiejskimi lekarzami na nizinach Szkocji. – Nie wspomniał ani słowem o Darze Cole'ów. Nie było to coś, o czym można by rozmawiać z innymi lekarzami, jeśli nie chciało się zostać uznanym za pomyleńca lub kłamcę.

– Czy ojciec pański nadal tam mieszka? – zapytał Holmes.

– O, nie. Pewnego razu konie go poniosły i zginął.

Miałem wtedy dwanaście lat.

– Ach, tak.

Holmes wtedy właśnie postanowił odegrać wobec Roba rolę ojca, choć dzieliła ich stosunkowo niewielka różnica wieku, i przez korzystny ożenek wprowadzić go w bajeczny krąg najlepszych rodzin Bostonu.

Wkrótce potem Rob został dwukrotnie zaproszony do domu państwa Holmes na Montgomery Street, gdzie mógł przyjrzeć się stylowi życia, jakie niegdyś sam miał nadzieję prowadzić w Edynburgu. Podczas pierwszej wizyty żona profesora, Amelia, energiczna swatka, przedstawiła go pannie ze starej i zamożnej rodziny, Pauli Storrow, która okazała się porażająco głupią grubaską. Na drugiej jednakże kolacji poznał Lidię Parkman. Była za szczupła i nie miała nawet śladu biustu, ale w jej twarzy i wyrazie oczu pod gładko zaczesanymi kasztanowymi włosami czaił się przewrotny, złośliwy dowcip. Wieczór zszedł im na pełnej przekomarzanek, lecz ciekawej rozmowie.

Lidia wiedziała to i owo o Indianach, rozmawiali wszakże głównie o muzyce, grała bowiem na klawikordzie.

Wróciwszy tego wieczora do domu na Spring Street Rob usiadł na swoim wyrku na poddaszu i zaczął się zastanawiać, jak by też

wyglądało jego życie, gdyby wiódł je w Bostonie – kolega i przyjaciel Harry’ego Loomisa i Olivera Wendella Holmesa, małżonek kobiety, nad której stołem krzyżują się żarciki.

Po chwili rozległo się cichutkie, znajome już pukanie do drzwi i do izdebki wśliznęła się Meg Holland. Ona do zbyt chudych nie należy, odnotował w myśli.

Przywitał ją uśmiechem i zaczął rozpinąć koszulę, Meggy zaś usiadłszy na brzegu łóżka, zastygła w bezruchu. Po chwili milczenia z jej gardła wydobył się schrypnięty szept, który boleśniej jeszcze niż słowa przeszył mu serce. Głos miała napięty, martwy, podobny do szelestu suchych liści miecionych przez wiatr po zmarzniętej na grudę ziemi.

– Zaciążyłam – rzekła.

---

## 6 Marzenia

---

– Zaciążyłam, jak amen w pacierzu.

Na próżno szukał odpowiednich słów. Nie była dziewicą, gdy do niego pierwszy raz przyszła, więc skąd pewność, że to jego dziecko? „Zawsze zakładałem prezerwatywę”, bronił się słabo. Musiał jednak uczciwie przyznać, że na początku ich związku nie zakładał Starego Jebuska, a i tej nocy, kiedy rozweselali się gazem, również nie.

Wykształcenie, jakie odebrał, wykluczało przerwanie ciąży, dość też miał delikatności uczuć, aby nie wspomnieć o tym nawet w danej chwili. Zdawał sobie zresztą sprawę, że najsilniejszą cechą charakteru Meggy jest religijność.

Obiecał w końcu, że się z nią ożeni. Ostatecznie nie był Stanleyem Finchem.

Nie wyglądała na zachwyconą jego propozycją.

Niechętnie wziął ją w ramiona i przygarnął do piersi.

Pragnął być czuły i opiekuńczy, tymczasem skonstatował w duchu, całkiem nie wporę, że jej kocia twarzyczka za parę lat upodobni się ani chybi do krowiej mordy. Nie o takim marzył obliczu.

– Jesteś protestantem. – Nie było to pytanie, gdyż znała odpowiedź.

– Tak mnie wychowano.

Meg Holland należała do kobiet dzielnych. Jej oczy tylko raz zaszkliły się łzami – kiedy jej wyznał, że nie wierzy w istnienie Boga.

– Uwodzicielu, nicponiu! Zrobił pan na Lidii Parker piorunujące wrażenie – wyrzucił mu następnego wieczora Holmes, kiedy spotkali się w akademii.

Rozpromienił się, gdy Rob wyznał, że i on uważa pannę Parker za wyjątkowo sympatyczną osobę.

Profesor wspomniał wówczas mimochodem, że jej ojciec, Stephen Parker, jest sędzią sądu wyższej instancji i kuratorem Harvard College. Ich rodzina zaczynała od handlu suszonymi rybami, potem obracała mąką, obecnie zaś kontroluje zakrojony na

szeroką skalę i wielce lukratywny handel beczkowanymi towarami kolonialnymi.

– Kiedy zamierza się pan z nią ponownie spotkać? – dowiadywał się Holmes.

– Jak najprędzej, może pan być pewny – odrzekł nieszczercze Rob, nie przyznając sobie nawet prawa, by o tym pomyśleć.

Poglądy Holmesa na temat higieny w medycynie wywarły przełomowy wpływ na jego własne do tej sprawy podejście. Profesor podał mu dwa przykłady wspierające jego teorie. Jeden dotyczył skrofułów, guzkowej choroby węzłów chłonnych i stawów. W średniowiecznej Europie wierzono, że ze skrofułów leczy dotyk rąk monarszych. Drugi przykład odnosił się do starożytnej zabobonnej praktyki obmywania i bandażowania ran żołnierzy, a następnie smarowania maścią – ohydną mazią z gnijącej ryby, ludzkiej krwi i mchu z czaszki straceńca– oręża, którym ranę zadano. Obie metody były skuteczne i cieszyły się zasłużoną sławą, wyjaśnił Holmes, gdyż przyczyniały się pośrednio do utrzymania ran w czystości. Skrofuliczni pacjenci byli mianowicie starannie myci od stóp do głów, by nie narażali na nieprzyjemne doznania królewskich „uzdrawiaczy”, gdy będą ich dotykali. W drugim wypadku broń smarowano co prawda paskudztwem, za to rany żołnierzy– przemyte i zostawione w spokoju – miały szansę wygoić się bez infekcji. Magicznym „tajemnym składnikiem” tych kuracji była higiena.

Utrzymanie klinicznej czystości w Ósmej Dzielnicy było zadaniem niesłychanie trudnym. Rob J. zwykł nosić ze sobą w torbie ręczniki i szare mydło i wiele razy w ciągu dnia mył ręce i

narzędzia, nędza czyniła jednak tę dzielnicę miejscem, gdzie nader łatwo było zapaść na zdrowiu i zejść z tego świata.

Starał się wypełniać sobie czas i myśli codziennymi lekarskimi zmaganiem, gdy jednak zdarzały mu się chwile gruntowniejszego namysłu nad trudnym położeniem, w jakim się znalazł, przychodziło mu nieraz do głowy podejrzenie, czy nie kieruje nim aby skłonność do samozagłady. Dom rodzinny i karierę w Szkocji musiał porzucić wplątawszy się w politykę, a tu, w Ameryce, przyspieszał swój upadek katastrofalnym w następstwach ojcostwem. Margaret Holland podchodziła do zaistniałej sytuacji praktycznie.

Zapytała go o środki utrzymania, dowiedziawszy się zaś, że jego roczny dochód wynosi 350 dolarów, nie tylko nie wpadła w przygnębienie, lecz wydawała się wręcz kontenta. Zapytała go także o rodzinę.

– Ojciec nie żyje. Matka bardzo już niedomagała, gdy opuszczałem Szkocję, więc przypuszczam, że...

Mam jednego brata, Herberta. Zarządza rodzinną dzierżawą w Kilmarnock, hoduje owce. Właściwie ziemia już do niego należy.

Kiwnęła głową.

– Ja też mam brata, Tymoteusza, mieszka w Belfaście. Należy do ruchu Młodej Irlandii, więc wciąż ściąga na siebie jakieś kłopoty.

Jej matka nie żyła. W Irlandii został jej ojciec i czterech braci. Raty, Samuel, mieszkał w Bostonie, w okręgu Fort Hill. Zapytała nieśmiało, czy nie powinna powiedzieć o nich bratu i prosić Samuela, żeby wyszukał im jakieś mieszkanie, może w pobliżu swojego.



– Na razie nie. To dopiero pierwsze tygodnie – rzekł Rob i dotknął policzka Meg, by dodać jej otuchy.

Perspektywa zamieszkania w tamtych kwartałach napawała go przerażeniem, lecz zdawał sobie sprawę, że pozostając nadal lekarzem imigracyjnej biedoty będzie w stanie wyżywić siebie, żonę i dziecko jedynie wówczas, gdy zamieszka w jakiejś norze.

Nazajutrz ze zgrozą i gniewem przyglądał się Ósmej Dzielnicy i wzbierała w nim rozpacz na widok beznadziei bijącej z każdej brudnej ulicy i każdego ciasnego zaułka.

Zaczął źle sypiać po nocach, prześladowały go zmory.

Szczególnie często wracały doń dwa sny. W noce wyjątkowo złe nawiedzały go obydwaj, jeden po drugim, kiedy zaś dręczyła go bezsenność, leżał w ciemności i wciąż od nowa je roztrząsał, aż tracił rozeznanie, czy przebywa na jawie czy we śnie.

Wczesny ranek. Szaro, z optymistycznymi przebłyskami słońca. Stoi wśród wielotysięcznego tłumu przed stalownią Carrona, produkującą działa okrętowe wielkiego kalibru dlaangielskiej marynarki. Zaczyna się dobrze. Jakiś stojący na skrzyni człowiek odczytuje manifest pióra Roba J., ogłaszany anonimowo, wzywający robotników do demonstracji. „Rodacy i przyjaciele.

Podniósłszy głowy z ucisku, pod jakim jęczymy od tyłu już lat, zostaliśmy zmuszeni za cenę życia dochodzić naszych praw, przywiedzeni do tego upadającym położeniem oraz wzdargą, z jaką spotykają się nasze petycje.” Agitator przemawia głosem piskliwym, który załamuje mu się od czasu do czasu, świadcząc o jego strachu. Gdy kończy, wybucha owacja. Trzej kobziarze zaczynają dusić swoje kobzy, zgromadzeni śpiewają z uniesieniem najpierw pieśni religijne, potem bardziej buntownicze, na koniec zaś intonują hymn

o bohaterze narodowym nazwiskiem Wallace. Manifest Roba dostaje się w ręce władz, które podejmują stosowne przygotowania. Na miejscu są uzbrojeni policjanci, milicja, Pierwszy Batalion Brygady Strzelców, doskonale wyszkoleni kawalerzyści z Siódmego i z Dziesiątego Pułku Huzarów, weterani europejskich wojen. Żołnierze mają na sobie paradne mundury.

Wyglansowane buty z cholewami huzarów błyszczą jak czarne kosztowne zwierciadła. Żołnierze są młodszy od policjantów, ale i z ich twarzy bije zimna pogarda.

Kłopoty się zaczynają, kiedy przyjaciel Roba, Andrew Gerould z Lanark, wygłasza przemówienie: mówi o upadku chłopskich gospodarstw i niemożności utrzymania się za te marne grosze, jakie ludzie pracy dostają za swój znój, który wzbogaca Anglię, a Szkocję pogrąża w biedzie. Głos mówcy wzbiera żarem. Ludzie zaczynają głośno wyrażać gniew. Krzyczą: „Wolność albo śmierć!” Dragoni spinają konie i nacierają na demonstrantów, odpychając ich od ogrodzenia stalowni. Ktoś celnie rzuca kamieniem w huzara, który spada z siodła.

Pozostali jeźdźcy wyciągają z chrzęstem szable. Na żołnierzy sypie się grad kamieni, krew tryska na niebieskie, karmazynowe i złociste mundury.

Milicjanci otwierają ogień do tłumu. Kawalerzyści tną szablami. Ludzie krzyczą i płaczą. Rob utknął w ciżbie, nie może się wyrwać. Może się tylko pozwolić unosić tłumowi, który pierzcha przed zemstą żołnierzy, i starać się nie upaść, gdyż zdaje sobie sprawę, że jeśli się potknie, zostanie stratowany przez uciekającą w panice tłuszcę.

Drugi sen był jeszcze gorszy.

Znajduje się znowu wśród zebranych rzesz. Równie licznych jak przed stalownią, tyle że tym razem ludzie stoją przed ośmioma szubienicami wzniesionymi pod zamkiem w Stirling, a plac, na którym się zebrali, otoczony jest z czterech stron przez milicję. Duchowny, doktor Edward Bruce z Renfrew, siedząc na krześle odczytuje coś cichym głosem. Naprzeciwko ma ubranego na czarno człowieka. Rob J. rozpoznał go, nim tamten zdążył ukryć twarz pod czarną maską. To Bruce Jak-mu-tam, biedny student medycyny, który za piętnaście funtów podejmuje się roli kata. Doktor Bruce czyta tłumowi słowa psalmu 130: „Z głębokości wołam do ciebie, Panie”. Każdemu ze skazańców podają przepisowy kubek wina. Następnie wprowadzają ich na szafot, gdzie czeka już osiem trumien. Sześciu więźniów odmawia skorzystania z łaski ostatniego słowa. Skazanieco nazwisku Hardie przesuwając spojrzeniem po morzu głowi woła zduszonym głosem: „Umieram męczeńską śmiercią za wolność i sprawiedliwość.” Andrew Gerould przemawia głosem dźwięcznym. Wydaje się zmęczony i wygląda na więcej niż dwadzieścia trzy lata: „Przyjaciele, mam nadzieję, że nie dozna tutaj krzywdy żaden z was. Kiedy ta farsa się skończy, proszę was, byście w spokoju wrócili do domów i zatopili się w lekturze Biblii.” Naciągają im na głowy kaptury. Dwaj skazańcy wykrzykują słowa pożegnania, gdy kat zaciska im na szyjach pętle sznura. Andrew nie mówi już nic. Na dany znak zawisają wszyscy w powietrzu. Pięciu kona bez męki, trzech kopie przez chwilę nogami. Z bezwładnych palców Andrew Geroulda wyslizguje się Nowy Testament i spada w ucichły tłum. Potem odcinają wisielców. Kat po kolei odrąbuje im toporem głowy i wznosząc za włosy te straszne szczątki

wygłasza za każdym razem przepisaną przez prawo formułkę: „Oto jest głowa zdrajcy!”

Bywało, że budząc się z tego snu na wąskim łóżku na poddaszu Rob dotykał członków własnego ciała i dygotał jak w febrze, oddychając z ulgą, że żyje.

Wpatrzony w ciemność zastanawiał się, ilu też ludzi pożegnało się z tym światem tylko dlatego, że on napisał ów manifest. Ile losów potoczyło się inaczej, ile żywotów zostało przeciętych tylko dlatego, że tak wielu zaraził swoimi przekonaniem? Powszechnie akceptowana moralność uznawała, że o zasady warto się bić i warto za nie umierać. Lecz gdy wszystko zważyć, czyż życie nie było najdrogocenniejszym skarbem, jaki posiadał człowiek? I czyż on jako lekarz nie był zobowiązany w pierwszym rzędzie do ochrony i ratowania tego skarbu? Przysiągł sobie – oraz Eskulapowi, ojcu medycyny – że już nigdy z powodu różnicyprzekonań nie przyłoży ręki do śmierci człowieka, nigdy w gniewie nie uderzy swojego bliźniego i zdumiewał się po raz tysięczny, jak potworną usługą Bruce Jak-mu-tam zarabiał te swoje piętnaście funtów.

---

## 7 Kolor oBrazu

---

– Wyrzuca pan nie swoje pieniądze! – burknął jednego ranka kwaśno pan Wilson, wręczając mu plik skierowań. – To są pieniądze

przeznaczone na cele charytatywne przez najszacowniejszych obywateli.

Fundusze instytucji dobroczynnej nie mogą być marnotrawione dla zaspokojenia widzimi się zatrudnianego przez nas lekarza.

– Nigdy nie wydawałem pieniędzy dobroczynności na darmo. Nie leczyłem i nie zapisywałem recept pacjentom, którzy nie byli naprawdę chorzy i nie potrzebowali pilnie pomocy z naszej strony. Wasz system skierowań jest wadliwy. Zmusza mnie nieraz do leczenia kogoś, komu przytrafił się skurcz mięśnia, gdy pod bokiem umierają ludzie, ponieważ nikt się nimi nie zajmuje.

– Przekracza pan swoje kompetencje, drogi panie.

– Spojrzenie i głos Wilsona były spokojne, ale jego ręka z karteczkami drżała. – Czy dotarło do pana, że w przyszłości będzie pan musiał ograniczyć swe wizyty do tych chorych, których nazwiska odbiera pan co rano ode mnie?

Rob miał szczerą ochotę rzucić Wilsonowi w twarz, co do niego naprawdę dotarło i co tamten może zrobić ze swoimi skierowaniami. Jednakże w obliczu życiowych powikłań, jakie na niego spadły, nie odważył się dać temu wyrazu. Przytaknął więc tylko niechętnie, odwrócił się na pięcie i wcisnąwszy do kieszeni plik karteczek, pospieszył do swojej dzielnicy.

Tego wieczoru w jego życiu zaszła wielka zmiana.

Margaret wśliznęła się do izdebki na poddaszu i przycupnęła na brzegu łóżka – widać to miejsce wybrała sobie na trybunę, z której składała oświadczenia.

– Krwawię.

Zmusił się, żeby podejść do tej nowiny jak lekarz.

– Masz krwotok? Tracisz dużo krwi? Pokręciła głową.

– Na początku krwawiłam trochę więcej niż zwykle, potem tak jak zawsze. Teraz już prawie mija.

– Kiedy to się zaczęło?

– Cztery dni temu.

– Cztery dni! – Dlaczego zwlekała aż cztery dni, żeby mu o tym powiedzieć? Nie patrzyła na niego.

Zastygła w całkowitym bezruchu, jakby obwarowując się na przyjęcie ataku jego gniewu, on zaś zrozumiał, że przez te cztery dni zmagala się ze sobą. – Korciło cię, żeby mi w ogóle o tym nie powiedzieć, co?

Nic się nie odezwała, ale Rob wiedział, że jej milczenie jest potwierdzeniem. Choć był tylko dziwacznym, stale myjącym ręce protestantem, dawał jej nadzieję na wyrwanie się z tego więzienia nędzy.

Ponieważ sam zdążył spenetrować jego mroki, nie mógł wprost wyjść ze zdumienia, że mimo wszystko zdecydowała się wyznać mu prawdę. Zamiast więc gniewu za zwłokę poczuł dla niej podziw i ogromną wdzięczność. Podeszedł, podniósł Meg i pocałował jej zaczerwienione oczy, potem objął ją i tulił w ramionach, poklepując od czasu do czasu łagodnie po plecach, jakby pocieszał przestraszone dziecko.

Nazajutrz chodził niczym błędny, a kolana uginały się pod nim co chwila z bezmiernej ulgi. Napotkani ludzie witali go uśmiechami. Otaczał go nowy świat, słońce świeciło promiennie, a powietrze płynniej wchodziło do płuc.

Pacjentami zajmował się równie sumiennie jak zazwyczaj, lecz między jedną a drugą wizytą w głowie miał przeraźliwy zamęt. W końcu przysiadł na stopniu drewnianego ganku na Broad Street i

zamyślił się nad swoją przeszłością, dniem dzisiejszym oraz przyszłością.

Już drugi raz uniknął okropnego losu. Czuł, że udzielono mu ostrzeżenia, by w życiu postępował ostrożniej i z większym traktował je szacunkiem.

Wyobrażał je sobie jako wielkie nie dokończone płótno. Cokolwiek go spotka, obraz będzie przedstawiał scenę medyczną, czuł jednak, że jeśli zostanie w Bostonie, płótno utrzymane będzie w tonacji szarej.

Amelia Holmes mogła mu bez wątpienia naraić „cudowną partię”, jak to określiła, on wszakże, uniknąwszy małżeństwa z ubogą nie kochaną kobietą, nie miał najmniejszej ochoty żenić się z wyrachowania z inną nie kochaną kobietą, tyle że bogatą, ani wystawiać swej osoby na sprzedaż na matrymonialnym targowisku bostońskiej socjety – tyle a tyle za funt żywego medyka.

Pragnął, by jego życie zostało namalowane najintensywniejszymi barwami, jakie tylko uda mu się odkryć.

Po pracy poszedł tego popołudnia do Ateneum i jeszcze raz sięgnął po książki, które go tak pochłaniały. Nim je doczytał do końca, już wiedział, dokąd pragnie się udać i co chciałby robić.

Leżąc tej nocy w łóżku, usłyszał znajome ciche skrobanie do drzwi. Zapatrzony w ciemność, nie poruszył się, nawet gdy skrobanie rozległo się po raz drugi i trzeci.

Chciał podejść do drzwi i otworzyć je, co najmniej kilka powodów pchało go do tego, leżał jednak bez ruchu, zdrętwiały ze strachu jak w strasznych chwilach swych nocnych koszmarów. I Margaret Holland w końcu odeszła.

Ponad miesiąc zajęły mu przygotowania do porzucenia posady w Bostońskim Towarzystwie Dobroczynnym. Zamiast przyjęcia pożegnalnego on, Holmes i Harry Loomis przeprowadzili w pewien mroźny grudniowy wieczór sekcję zwłok murzyńskiej niewolnicy o imieniu Delia. Przez całe życie ciężko pracowała, toteż jej ciało odznaczało się węzlastą muskulaturą. Harry objawił prawdziwe zacięcie do anatomii i miał zastąpić Roba na posadzie docenta w akademii medycznej. Gdy oni dwaj preparowali zwłoki, Holmes komentował ich czynności, wskazując na przykład, że strzępiasty koniec jajowodu „przypomina frędzle szala ubogiej kobiety”. Każdy narząd i mięsień przypominał to jednemu, to drugiemu jakąś historię, wiersz, anatomiczny kalambur czy skatologiczny żart. Zajmowali się poważną działalnością naukową, do każdego drobiazgu podchodzili ze skrupulatną pieczołowitością, a przecież podczas tej pracy ryczeli ze śmiechu i pysznie się bawili. Po sekcji przenieśli się do gospody „Essex” i aż do zamknięcia tego lokalu raczyli się grzany winem. Rob obiecał, że jak tylko osiadzie gdzieś na stałe, napisze do Holmesa i Harry’ego. Będzie się też do nich zwracał, ilekroć popadnie w kłopoty. Rozstali się w takiej przyjaźni, aż począł żałować swej decyzji.

Rano wybrał się na Washington Street, kupił garść pieczonych kasztanów i zaniósł je na Spring Street w tutce z papieruudartego z „Boston Transcript”. Zakradłszy się do pokoju Meggy Holland, wsunął je pod poduszkę na jej łóżku.

Tuż po południu wsiadł do kolejowego wagonu, który wkrótce wyciągnęła z dworca lokomotywa parowa.

Odbierając od niego bilet, konduktor łypnął niechętnie na jego rzeczy, Rob odmówił bowiem oddania wiolonczeli i kuferka do



wagonu bagażowego.

Oprócz instrumentów chirurgicznych i ubrania jego walizka kryła Starego Jebuska oraz pół tuzina kostek mocnego szarego mydła tego samego gatunku, którego używał Holmes. Choć w kieszeni nie miał zbyt wiele gotówki, opuszczał więc Boston znacznie bogatszy, niż tu przyjechał.

Do Bożego Narodzenia pozostawały jeszcze cztery dni. Przez okna domów stojących w pobliżu torów widać było ozdobione wieńcami drzwi i świąteczne choinki. Wkrótce wyjechali z miasta. Mimo sypiącego śniegu w niecałe trzy godziny zajechali do Worcester, końcowej stacji Kolei Bostońskiej. Tutaj pasażerowie musieli się przesiąść na Western Railroad. W tym pociągu Robowi przypadło miejsce obok zażywnego jegomościa, który bez ceregieli podetknął mu flaszkę.

– Nie, dziękuję – powiedział Rob, wdał się jednak z tłuściochem w pogawędkę, chcąc mu osłodzić odmowę. Jegomość był komiwojażerem, handlował kutymi gwoździami – druciakami, gwoździami ciesielskimi, o podwójnych łbach, stożkowymi, ozdobnymi, od cienkich jak igły po ogromne ćwieki do butów – i przez całą drogę demonstrował Robowi próbki, wybornie skracając czas podróży.

– Jadę na zachód! Na zachód! – wykrzykiwał przy tym. – Pan także?

Rob J. przytaknął. – Daleko pan jedzie?

– Prawie na sam koniec stanu! Do Pittsfield. A pan?

Odpowiedź na to pytanie sprawiła Robowi tak wielką przyjemność, że aż się roześmiał i musiał się hamować, by nie wykrzyzczyć jej na całe gardło, tak żeby wszyscy słyszeli. Jej

słowa zadźwięczały własną cudowną muzyką i napełniły wszystkie kąty rozkołysanego wagonu delikatnym, romantycznym blaskiem.

– Do kraju Indian.

---

## 8 Muzyka

---

Przebył stany Massachusetts i Nowy Jork, korzystając z krótkich połączeń kolejowych sztukowanych dyliżansem. Zimą była to podróż niełatwa. Dyliżans musiał nieraz czekać, aż zaprzęgi z tuzina wołów przetrą pługami zasy lub wlokąc wielkie drewniane walce ubiją śnieg. Zajazdy i gospody były drogie. Kiedy wjechał na wyżynę Allegheny w Pensylwanii, skończyły mu się pieniądze, uznał się więc za szczęśliwca, gdy udało mu się dostać posadę lekarza w obozie drwali Jacoba Starra. Jeśli wypadki się tam zdarzały, to zwykle poważne. Gdy wypadków nie było, nie miał właściwie nic do roboty i sam szukał zajęcia. Przyłączał się wtedy do zespołów drwali, ścinających dwustupięćdziesięcioletnie i starsze chojary. Prowadził zwykle jeden koniec „bicza rozpaczy”, czyli dwuuchwytowej piły. Okrzepł i zmęźniał. W większości obozów nie było lekarzy, drwale mieli więc świadomość, jak cenny jest dla nich i oszczędzali go, gdy chwycił się za ich niebezpieczną pracę. Pokazali mu, jak moczyć krwawiące dłonie w solance, póki nie stwardnieją. Wiezorami uprawiał w baraku żonglerkę, żeby zdrętwiałe palce nie

utraciły zręczności do chirurgii, i grywał dla drwali na wiolonczeli, przeplatając akompaniowanie ich sprośnym, gromko wyrykiwanym śpiewkom fragmentami utworów Jana Sebastiana Bacha i Marais, których słuchali jak urzeczeni.

Całą zimę staczali olbrzymie pnie na brzeg strumienia.

Obuch każdej siekiery w obozieznaczony był dużą wypukłą gwiazdą pięcioramienną ze stali. Ilekroć zrąbano i ociosano jakieś drzewo, drwale odwracali siekiery i uderzeniami obuchów wybijali na świeżo ściętych pniach znak gwiazdy, aby wiedziano, że to własność Starra. Gdy przyszły wiosenne roztopy, wody strumienia podniosły się o osiem stóp i zniosły pnie do rzeki Clarion. Tam ogromne kłody połączono w tratwy, wznosząc na nich baraki, szałas kuchenne i szopy na prowiant. Rob J. podróżował na tratwach w dół rzeki jak księżę, rozkoszując się żegluga leniwą i senną, zakłócaną jedynie wtedy, gdy pnie zaklinowały się i spiętrzyły. Uwalniali je z takich pułapek zręczni, cierpliwi flisacy. Spływając na tratwie wijącą się Clarion aż do ujścia tej rzeki do Allegheny i dalej z nurtem Allegheny aż do Pittsburgha, Rob miał okazję napatrzeć się na rozmaite gatunki ptaków i zwierząt.

W Pittsburghu pożegnał się ze Starrem i jego drwalami. W jakimś szynku najął się do pracy jako lekarz przy brygadzie torowców układających szyny linii Washington & Ohio Rail-road, która usiłowała konkurować z dwoma przecinającymi stan ruchliwymi kanałami wodnymi. Zawieziono go razem z całą brygadą do Ohio, na skraj bezkresnej równiny przeciętej dwiema lśniącymi szynami, i umieszczono w jednym z czterech wagonów, w których mieszkało kierownictwo budowy.

Wiosna na bezkresnej równinie była piękna, lecz rzeczywistość kompanii kolejowej okazała się szpetna. Jako torowych, robotników ziemnych i furmanów firma ta zatrudniała irlandzkich i niemieckich imigrantów, których życie szacowano nader nisko.

Obowiązkiem Roba było pilnowanie, żeby można z nich wycisnąć ostatnie uncje energii dla dzieła układania torowiska. Pensję miał przyzwoitą, lecz wiedział od początku, że nie zagrzeje na tej posadzie miejsca, ponieważ nadzorca budowy, smagły mężczyzna o nazwisku Cotting, okazał się kawałem drania i skąpił najedzenie dla pracowników.

Kompania zatrudniała myśliwych, którzy kładli trupem masę dzikich zwierząt, jako napój podawano uchodzącą za kawę ciecz z cykorii. Wyjąwszy jednakże stół, przy którym zasiadali Cotting, Rob i reszta kierownictwa, nie podawano tam żadnych warzyw, kapusty, marchwi ani ziemniaków, niczego, co by zawierało kwas askorbinowy poza – rarytas od wielkiego dzwonu – miseczką fasoli. Nic więc dziwnego, że ludzie zaczęli chorować na skorbut.

Choć byli głodni, nie mieli apetytu, bolały ich stawy, krwawiły dziąsła, wypadały zęby, nie goiły się rany.

Złe odżywianie i ciężka praca dosłownie ich zabijały.

Rob J. włamał się w końcu za pomocą łomu do zamkniętego wagonu z prowiantem i rozdał robotnikom skrzynie kapusty i ziemniaków z przeznaczonych dla kierownictwa zapasów. Na szczęście Cotting nie wiedział nic o ślubowaniu, jakie złożył młody lekarz: nigdy nie używać przemocy.

Postura Roba, jego stanowisko i zimna pogarda, z jaką patrzył na nadzorcę, sprawiły, że ten uznał, iż lepiej wypłacić mu zaległe pobory i przegnać go na cztery wiatry, niż się z nim bić.

Tego, co zarobił w kompanii kolejowej, starczyło mu ledwie na zakup ociężałej starej kobyły, używanej strzelby kaliber dwanaście ładowanej od przodu oraz małej guldynki do polowań na drobną zwierzynę, igieł, nici, sznurka do wędki, haczyków, zardzewiałej żeliwnej patelni i myśliwskiego noża. Kobyle dał na imię Monica Grenville na pamiątkę pewnej pięknej dojrzałej damy, przyjaciółki jego matki, której przez całe lata pragnął dosiąść w gorączkowych fantazjach wyrostka. Dzięki Monice Grenville (kobyłe mógł podążać na zachód wedle własnego rozkładu. Odkrywszy, że strzelba ściąga w prawo, bez trudu już zdobywał dziczyznę.

Ilekróć trafiła się sposobność, łowił ryby, a gdy zdarzyło mu się spotkać ludzi potrzebujących lekarza, przyjmował od nich zapłatę w gotówce lub w naturze.

Rozległość kraju – gór, dolin i równin – oszałamiała go. Po paru tygodniach urosło w nim przekonanie, że do końca swoich dni może tak jechać na Monice Grenville w stronę zachodzącego słońca.

Skończyły mu się lekarstwa. Trudno było przeprowadzać zabiegi chirurgiczne bez pomocy choćby tych kilku dostępnych, acz niedostatecznych namiastek, on zaś nie dysponował już ani laudanum, ani morfiną, ani żadnym innym środkiem. Musiał polegać na swojej biegłości chirurga oraz odrobinie ohydnej siwuchy, jaką udało mu się zakupić po drodze. Fergusson nauczył go kilku pożytecznych sztuczek. Nie dysponując nikotynową nalewką, podawaną doustnie w celu rozluźnienia mięśni zwieracza przy operacji fistuły odbytniczej, kupował na przykład najmocniejsze cygara, jakie udało mu się dostać, i wtykał je w odbył pacjenta, czekając, aż jego organizm wchłonie nikotynę z tytoniu i mięśnie się rozluźnią. Pewnego razu w Titusville w Ohio,

gdy jego pacjent wisiał przewieszony przez dyszel wozu z wystającym z tyłka cygarem, na drodze pojawił się jakiś staruszek.

– Nie ma pan zapalek? – zagadnął go Rob.

Słyszał później, jak stary z powagą opowiada kolegom w sklepie:– Nigdy byśta nie uwierzyli, którądy się zaciągają.

W szynku w Zanesville po raz pierwszy zobaczył Indianina i przeżył straszne rozczarowanie. W odróżnieniu od majestatycznych dzikusów Jamesa Fenimore’a Coopera był to obrzmiały, posepny, zasmarkany pijaczyna, litość budzący nieszczęśnik żebrzący o wódkę i pędzony jak pies.

– Delaware, jak mi się zdaje – odrzekł szynkarz na pytanie Roba, z jakiego ten Indianin jest szczepu. – A może Miami.

Albo Szaunis. – Wzruszył pogardliwie ramionami. – Kogo to obchodzi? Ja tam tych łachmytów nie rozróżniam.

Kilka dni później Rob spotkał w Columbus słusznej postury młodego Żyda z czarną brodą. Jason Maxwell Geiger był właścicielem dobrze zaopatrzonej apteki.

– Ma pan laudanum? Nalewkę z nikotyny? Jodek potasu?

– O cokolwiek zapytał, Geiger potakiwał z uśmiechem. Rob myszkował uszczęśliwiony wśród słoików i retort. Ceny były niższe, niż oczekiwał, ojciec i bracia Geigera mieli bowiem w Charleston wytwórnię farmaceutyków, więc czego sam nie potrafił przygotować, wyjaśnił, to na dogodnych warunkach zamówić mógł u rodziny. Rob zaopatrzył się obficie. Geiger pomógł mu zanieść zakupy na czekającą przed sklepem kobyłę. Kiedy jego spojrzenie padło na zapakowany instrument, zwrócił się szybko do gościa:– To chyba wiolonczela?

– Wiolonczela – przytaknął Rob, dostrzegając w oczach aptekarza jakiś nowy wyraz, nie tyle zachłanności, co pożądliwej tęsknoty, tak wielkiej, że trudno jej było nie zauważyć. – Chciałby ją pan zobaczyć?

– Musi ją pan wnieść do domu, pokazać mojej żonie– zawołał z ożywieniem Geiger. Wprowadził go do mieszkania na tyłach apteki. Lillian Geiger zakryła stanik ścierką do wycierania naczyń, gdy mąż przedstawiał jej gościa, ale Rob zdążył zauważyć plamy od ciekącego jej z piersi mleka. W kołysce spała dwumiesięczna córeczka Geigerów, Rachel.

Dom pachniał pokarmem pani Geiger i świeżo upieczoną chałką. W mrocznym saloniku stała kanapa z końskiego włosia, krzesło i prostokątne pianino.

Gospodyni wymknęła się do sypialni, by się przebrać, Rob odpakował tymczasem wiolonczelę. Potem oboje oglądali instrument. Wodzili palcami po siedmiu strunach i dziesięciu progach z taką delikatnością, jakby głaskali odnalezioną rodzinną pamiątkę. Pani Geiger pokazała Robowi swoje pianino, którego pudło z ciemnego orzecha namaszczone było starannie olejem.

– Zbudował je Alpheus Babcock z Filadelfii – poinformowała.

Jason Geiger wydobył z pianina jeszcze jeden instrument.

– A oto dzieło zamieszkałego w Richmond w Wirginii browarnika Isaaca Schwartza. To tylko skrzypki, niegodnienazwy skrzypiec. Mam nadzieję, że pewnego dnia wejdę w posiadanie prawdziwych skrzypiec.

Gdy jednak po chwili stroili instrument, Geiger wydobył ze swoich skrzypiec słodko brzmiące tony.

Spoglądali po sobie niepewnie w obawie, że okazać się mogą muzycznie niedobrani.

– Co zagramy? – zapytał Geiger, uprzejmie zostawiając wybór gościowi.

– Może Bacha? Znacie państwo to preludium z „Das wohltemperierte Klavier”? Z opusu drugiego, numeru nie pamiętam.

Zagrał im początek. Lillian Geiger zawtórowała mu od razu; po chwili, kiwnąwszy głową, poszedł w jej ślady i mąż..Dwunasty”, szepnęła Lillian samymi wargami.

Rob nie przykładał wagi do nazw utworów, nie miało to bowiem znaczenia w koncertach dla drwali.

Zrozumiał od razu, że małżonkowie są ze sobą doskonale zgrani i nawykli do akompaniowania jedno drugiemu, był więc pewien, że wyjdzie na partacza.

Podążał za linią melodii z opóźnieniem i wahaniem.

Jego palce, zamiast biec swobodnie po muzycznej ścieżce, zdawały się wyczyniać na niej gwałtowne podskoki, jak łososie wdzierające się pod wodne progi. Ale w połowie preludium zapomniał o swych lękach. Wieloletnia praktyka muzykowania pokonała pod koniec wynikłą z zaniedbania ćwiczeń nieporadność. Wkrótce był już w stanie spoznać, że Geiger gra z przymkniętymi oczami, oblicze jego żony powleka zaś wyraz błogiej rozkoszy, obejmującej cały muzykujący zespół i najgłębiej zarazem intymnej.

Przyjemność, jaką on odczuwał, była bliska bólu. Nie zdawał sobie dotąd sprawy, jak bardzo brakowało mu muzyki.

Skończywszy grać, siedzieli i uśmiechali się do siebie.



Geiger wybiegł z mieszkania, żeby wywiesić na drzwiach sklepu tabliczkę „Zamknięte”. Lillian wyszła sprawdzić, jak się miewa dziecko, i wstawić pieczeń do piekarnika. Gość rozkulbaczył i nakarmił biedną cierpliwą Monikę. Kiedy się znowu na powrót zeszli, okazało się, że Geigerowie w ogóle nie słyszeli o Marinie Marais, a Rob nie mógł sobie ani rusz przypomnieć żadnego utworu tego Polaka Chopina.

Wszyscy troje znali za to sonaty Beethovena. Na całe przedpołudnie zamknęli się w migotliwym gmachu dźwięków. Gdy płacz zgłodniałego niemowlęcia przerwał im w końcu koncert, odeszli od instrumentów jak pijani, tak uderzyło im do głów piękno melodii, których byli odtwórcami.

Aptekarz słyszeć nawet nie chciał o wyjeździe gościa.

Na kolację podano różową jagnięcinę, w której wyczuwało się delikatny smak rozmarynu i czosnku, pieczoną z marchewką i młodymi ziemniakami. Na deser był kompot z jagód.

– Będziesz spał w pokoju gościnnym – zdecydował Geiger.

Zapaławszy sympatią do swych gospodarzy, Rob zapytał go, czy w okolicy nie znalazłoby się miejsce dla lekarza.

– Ludzi mieszka tu dużo, Columbus jest stolicą stanu. Mamy już trochę lekarzy gotowych troszczyć się o ich zdrowie. Wymarzony teren dla aptekarstwa, mimo to zamierzamy stąd wyjechać, jak tylko mała podrośnie na tyle, żeby mogła znieść podróż. Chcę być nie tylko farmaceutą, ale i farmerem. Chcę moim dzieciom zostawić w spadku ziemię. A w Ohio grunty rolne są piekielnie drogie. Szukam terenów, gdzie można by kupić dobrą ziemię w miarę tanio.

Rozpostarł na stole mapy.

– Illinois – rzekł, wskazując Robowi tę część stanu, którą w swoich poszukiwaniach uznał za ziemię obiecaną: połączyć między rzekami Rocky a Missisipi. – Teren bogaty w wody. Nad rzekami masz piękne lasy. Poza tym preria, czarnoziem nie tknięty dotąd pługiem.

Rob wpatrywał się w mapę.

– Może i ja się tam wybiorę – rzekł w końcu. – Zobaczę, może mi się spodoba.

Geiger promieniał. Spędzili długie kwadransy pochyleni nad mapami, kłócąc się żartobliwie o najdogodniejszą trasę. Potem Rob położył się do łóżka, a Jay do późnej nocy kopiował przy świeczce nuty jednego z mazurków Chopina. Odegrali go nazajutrz po śniadaniu. Następnie obaj mężczyźni zgarbili się ponownie nad pokrytą znaczkami mapą.

Rob zdecydował, że jeśli Illinois okaże się takim rajem, jak Geiger przewidywał, osiadzie tam i napisze zaraz do nowego przyjaciela, by przyjeżdżał z rodziną nad zachodnią granicę.

---

## 9 Dwie działki

---

Stan Illinois urzekł go od początku. Na jego tereny wjechał późnym latem, gdy bujna roślinność prerii była wysuszona i wyblakła po długim okresie słonecznego skwaru. W Danville

widział ludzi gotujących w czarnych saganach wodę ze słonych źródeł. Odjeżdżając stamtąd, wiozł ze sobą torbę najczystszej soli. Preria rozciągała się na terenach falistych, urozmaiconych tu i ówdzie niskimi pagórkami. Tereny Illinois obfitowały w źródła słodkiej wody. Rob napotkał po drodze tylko kilka jezior, za to dużo bagien, z których wypływały strumienie łącząc się następnie w rzeki.

Poinformowano go, że kiedy tutejsi mieszkańcy mówią o międzyrzeczu, mają zwykle na myśli południowy cypel stanu, leżący w widłach Missisipi i Ohio. Ziemie były tam żyzne, namulane przez obydwie te ogromne rzeki. Mieszkańcy nazywali ten region Egiptem, uważali go bowiem za równie urodzajny jak osławione żuławy wielkiej delty Nilu. Mapa Geigera wyraźnie pokazywała, że pośród rzek Illinois kryje się wiele takich „małych Egiptów”. Aptekarz zdołał sobie zaskarbić podczas ich krótkiego spotkania jego szacunek i zaufanie, Rob podążał więc dalej ku rejonowi, który mu tamten zachwalał jako do zamieszkania najodpowiedniejszy.

Na przebycie stanu Illinois potrzebował dwóch tygodni. Czternastego dnia tej podróży trakt, którym jechał, zbliżył się do linii lasów i pobiegł ich skrajem, w błogosławionym chłodzie cienia, w zapachu wilgotnej zieleni. Podążając wąską ścieżką, usłyszał głośny szum bieżącej wody i stanął wkrótce na południowym brzegu sporej rzeki, Rocky, jak się domyślił.

Pora była sucha, mimo to rzeka rwała wartko, pieniąc się na skałach, od których wzięła nazwę. Trzymając się brzegu szukał brodu, aż dotarł do miejsca, gdzie woda była głębsza, a nurt

powolniejszy. Pomiędzy pniami dwóch potężnych drzew, rosnących na przeciwległych brzegach, rozpięta była gruba lina.

Obok tabliczki z napisem: „PRZEPRAWA HOLDENA. Dzwonić po prom.” wisiały na gałęzi żelazny trójkąt i pręt.

Rob uderzył energicznie w trójkąt, minęła jednak długa chwila, zanim na drugim brzegu ukazał się jakiś człowiek i nie spiesząc się podszedł do zacumowanej tratwy. Przez wielkie żelazne pierścienie, zamocowane na końcach dwóch pionowych dyli, przewleczona była lina holownicza, utrzymująca tratwę na kursie.

Nim popychana żerdzią, osiągnęła środek nurtu, prąd zniósł ją w dół rzeki. Poruszała się teraz nie po linii prostej, a po łuku. Gemna gładka woda była tam zbyt głęboka i drąg nie sięgał dna, przewoźnik napędzał zatem tratwę ciągnąc leniwie za sznur. Uszu Roba dobiegły słowa śpiewanej barytonem piosenki: Raz idę, wtem skargę usłyszę zbolaną, Spozieram – staruszka posepna aż strach. W błoto na progu wpatrzona (padało), Na miotle oparta śpiewała we łzach: Ach, życie tu znojem, a miłość rozpaczą, Lic krasa przygasa, majątek topnieje, Radości nam blakną, a ceny wciąż skaczą, I nic się – ach! – człeku, po myśli nie dzieje...

Piosenka liczyła wiele zwrotek, toteż na długo przed ostatnią drąg przewoźnika sięgnął znowu gruntu. Gdy prom podpłynął bliżej, Rob ujrzął przed sobą muskularnego mężczyznę po trzydziestce, o głowę od siebie niższego. Ciężkie buciska, parciane brązowe portki za grube jak na tę pogodę, niebieska bawełniana koszula z grubym kołnierzykiem i przepocony skórzany kapelusz o szerokim rondzie świadczyły niechybnie, że to człek tutejszy. Głowę porastała mu grzywa długich czarnych włosów. Bujna czarna broda okalała oblicze, któremu cienki zakrzywiony nos, ujęty w

symetrycznie rozstawione wystające kości policzkowe, nadawałby wyraz okrucieństwa, gdyby nie życzliwe i pogodne spojrzenie błękitnych oczu. W miarę jak odległość między nimi malała, w Robię narastało wszakże uczucie rezerwy. Nastawił się na spotkanie z przesadną afektacją, jaką zapowiada widok nieskazitelnie pięknej kobiety lub zbyt przystojnego mężczyzny. Okazało się jednak, że przewoźnik daleki jest od afektacji.

– Czołem – zawołał. Ostatnie pchnięcie drąga i tratwa z chrzęstem zaryła się w piaszczysty brzeg.

Wyciągnął rękę. – Nicolas Holden, do usług.

Rob uściśnął mu rękę i również się przedstawił.

Holden wyjął z kieszeni koszuli czarną wilgotną prymkę i nożem odkroił sobie kęs. Chciał też poczęstować Roba, ten pokręcił jednak odmownie głową.

– Ile kosztuje przewóz?

– Trzy centy od pana, dziesięć od konia.

Rob zapłacił mu z góry żądane trzynaście centów.

Przywiązał Monikę do pierścieni, w tym właśnie celu przytwierdzonych do tratwy. Holden podał mu drugi drąg i obaj stęknęli, wparłszy żerdzie w dno.

– Zamierza się pan osiedlić w tych stronach?

– Niewykluczone – odrzekł ostrożnie Rob.

– Nie jest pan przypadkiem podkuwaczem? – Równie chabrowych oczu jak oczy Holdena Rob nie widział jeszcze u żadnego mężczyzny. Od wyrazu zniewieściałości chroniło je przenikliwe spojrzenie, nadające jego twarzy wyraz tajonego rozbawienia. – Cholera, szkoda – zaklął, lecz nie wydawał się

zaskoczony przeczącym ruchem głowy Roba. – Szukam dobrego kowala. Farmer?

Wyraźnie się ożywił, usłyszawszy, że pasażer jest lekarzem.

– Witam, witam i jeszcze raz witam! Na gwałt potrzebujemy doktora w mieście Holden's Crossing.

Lekarzy przewozimy tym promem za darmo – oświadczył i przestał napierać na drąg, by skrupulatnie odliczyć Robowi trzy centy.

Ów przyjrzał się monetom.

– A dziesiątak?

– Tam do licha, ta szkapa chyba nie jest lekarzem, co? Kiedy się uśmiechał, można go było niemal uznać za brzydala.

Na wzgórku nad rzeką, w pobliżu ogródka i źródła, miał chatę z graniasto ciosanych, filtrowanych białą gliną bali.

– Pora w sam raz na obiadek – oświadczył i niebawem wcinali obaj wonny gulasz, w którym Rob zidentyfikował rzepę, kapustę i cebulę oraz, z niejakim zdziwieniem, mięso. – Trafił mi się dziś rano sędziwy szarak i młoda kuropatewka. Jedno i drugie znajdziesz pan w tej zupie – wyjaśnił Holden.

Nad drewnianymi miskami z dokładką jeden drugiemu opowiedział o sobie dosyć, by mogli poczuć się ze sobą swojsko. Holden był sędzią ziemskim ze stanu Connecticut. Roztaczał śmiałe plany.

– Jak to się stało, że nazwano tę osadę pańskim nazwiskiem?

– Nie nazwano, ja sam ją tak nazwałem – wyjaśnił tamten skwapliwie. – Przybyłem tu pierwszy i założyłem przeprawę. Każdemu, kto przyjeżdża z zamiarem osiedlenia się tutaj, podaję tę nazwę. Nikt jeszcze nie oponował.

Zbudowany z ciosanych bali dom Holden'a ustępował zdaniem Roba wygodnym szkockim chatom, był ciemny i duszny. Legowisko, umiejscowione zbyt blisko kopcającego paleniska, pokrywała sadza.

Holden oznajmił wesoło, że jedyną dobrą stroną jego sadyby jest jej położenie. Za jakiś rok, oświadczył, chałupę się zburzy i wzniesie na jej miejscu okazały dom.

– Nie ukrywam, drogi panie, że snuję rozległe plany. Począł roztaczać je przed Robem: już niedługo powstanie tugospoda, wielobranżowy sklep, potem bank. Nie taił chęci namówienia przybysza, by osiedlił się w Holden's Crossing.

– Ile tu mieszka rodzin? – zapytał Rob, usłyszawszy zaś odpowiedź uśmiechnął się pobłażliwie. – Z szesnastu rodzin żaden lekarz nie wyżyje.

– Rozumie się, że nie. Tylko proszę wziąć pod uwagę, że osadnicy będą tu ściągali jak muchy do miodu. A zresztą tych szesnaście rodzin masz pan w samej osadzie. Za jej granicami nie uświadczysz pan lekarza stąd aż do Rock Island, a dość stoi farm na równinach. Wystarczy, że sprawi pan sobie lepszą chabetę i zechce pojeździć trochę z domowymi wizytami.

Rob przypomniał sobie, jak go przygnębiało, iż nie jest w stanie leczyć nikogo przyzwoicie w przeludnionej Ósmej Dzielnicy. Lecz tu spotkał drugą krańcowość. Obiecał Nickowi Holdenowi, że rozważy do rana jego propozycję.

Przespał tę noc na podłodze, owinięty w kołdrę, Nick Holden chrapał na łożku. Dla człowieka, który zimował w jednym baraku z dziewiętnastoma popierdującymi i charkającymi drwalami, nie było to jednak zbyt dokuczliwe. Rano Holden przygotował

śniadanie, lecz zmywanie naczyń i patelni pozostawił Robowi, oświadczywszy, że ma coś do zrobienia, ale wkrótce wróci.

Był pogodny, jasny poranek, przypiekało słońce. Rob rozpakował wiolonczelę i usiadł na kamieniu na zacienionej polance między chatą a skrajem lasu. Na drugim kamieniu rozłożył przed sobą zapis nutowy mazurka Chopina, który sporządził dla niego Jay Geiger, i zaczął grać, starając się to robić jak najlepiej.

Po mniej więcej półgodzinie zmagania z tematem i melodią spod smyczka zaczęła wypływać prawdziwa muzyka. Podniósłszy w pewnej chwili wzrok znad kartki pobiegł spojrzeniem w stronę lasu – i zobaczył dwóch Indian na koniach, przyglądających mu się zza drzew na skraju polanki.

Widok ten wstrząsnął nim do głębi i przywrócił mu wiarę w Jamesa Fenimore'a Coopera, Indianie ci mieli bowiem zapadnięte policzki, a obnażone torsy, muskularne i szczupłe, połyskiwały natarte jakimś tłuszczem. Jeździec znajdujący się bliżej Roba był ubrany w spodnie z kozłej skóry i miał wydatny orli nos, wygoloną głowę przedzielał mu strojny czub ze zwierzęcej szczeciny. W ręku trzymał strzelbę. Jego towarzysz był wielkim mężczyzną, wzrostu Roba, lecz odeń masywniejszym. Miał długie czarne włosy, związane z tyłu głowy rzemienną tasiemką, na biodrach przepaskę, na nogach skórzane kamasze. W ręku dzierżył łuk, u szyi konia wisiał kołczan ze strzałami. Postać tego jeźdźca przypominała Robowi ryciny w książkach o Indianach oglądane w bostońskim Ateneum.

Nie wiedział, czy poza tymi dwoma są w lesie inni czerwonoskórzy. Jeśli zamiary mieli wrogie, był zgubiony, wiolonczela stanowiła bowiem nader mizerny oręż. Przyszło mu do



głowy, żeby podjąć przerwana grę, przytknął więc na powrót smyczek do strun i zaczął grać, ale już nie Chopina. Wolał nie odrywać od nich wzroku, a grając mazurka musiałby patrzeć w nuty. Nie zastanawiając się ani chwili nad wyborem, zagrał znany mu dobrze siedemnastowieczny utwór „Cara la vita mia” Oratia Bassaniego. Odegrał go od początku do końca, a potem jeszcze raz do połowy – wtedy przerwał. Nie mógł przecież siedzieć tak na kamieniu i muzykować w nieskończoność.

Usłyszawszy jakiś szelest za plecami obejrzał się szybko i zobaczył uciekającą wiewiórkę. Gdy się z powrotem obrócił, doznał wielkiej ulgi, ale i dojmującego żalu. Indianie zniknęli. Przez chwilę słyszał jeszcze tętent kopyt ich koni, a potem już tylko szmer wiatru w listowiu drzew.

Nick Holden starał się ukryć zatroskanie, dowiedziawszy się po powrocie o tej wizycie. Zrobił spieszne oględziny terenu sprawdzając, czy nic nie zginęło.

– Indianie, którzy pokazują się w tych stronach, pochodzą z plemienia Sauk. Jakies dziewięć czy dziesięć lat temu, po wojnie, którą ludzie nazwali wojną Czarnego Jastrzębia, przepędzono ich za Missisipi, do Iowy. A przed paru laty wszystkich pozostałych przy życiu Sauków przeniesiono do rezerwatu w Kansas. W zeszłym miesiącu dotarła do nas wiadomość, że ze czterdziestu śmiałków wraz z kobietami i dziećmi dało stamtąd dyla. Podobno zdążają do Illinois. Przypuszczam, że nawet oni są za głupi, żeby nam przyczynić kłopotów, tym bardziej że jest ich tylko garstka. Zależy im pewnie tylko na tym, żebyśmy ich zostawili w spokoju.

Rob potaknął.

– Gdyby chcieli narobić mi kłopotu, mogli to uczynić bezzadnego trudu.

Nickowi pilno było zmienić temat, który groził ukazaniem Holden's Crossing w niekorzystnym świetle. Oświadczył, że rano zszedł mu na oglądaniu czterech parceli, które chciałby Robowi pokazać.

Ponieważ nalegał, Rob osiodłał kobyłę.

Ziemia była własnością rządu. Nick poinformował po drodze gościa, że federalni geometrzy podzielili ją na parcele po osiemdziesiąt akrów. Prywatni właściciele sprzedawali ziemię po osiem dolarów za akr i drożej, grunty rządowe zaś ceniono po dolarze dwadzieścia pięć za akr, osiemdziesiąt akrów za sto dolarów.

Chcąc wejść w posiadanie gruntu, jedną dwudziestą ceny należało wpłacić od ręki, dwadzieścia pięć procent – w ciągu czterdziestu dni, a pozostałą część należności w trzech równych ratach pod koniec drugiego, trzeciego i czwartego roku od daty zakupu.

Nick oświadczył, że to najlepsza do osadnictwa ziemia, jaką można znaleźć. Kiedy przybyli na miejsce, Rob musiał przyznać mu słuszność. Działki ciągnęły się wzdłuż rzeki pasem na jakąś milę długim.

Porośnięte były częściowo nadbrzeżnym lasem, w którym było kilka czystych źródeł i rosło dość drzew na budulec. Pod lasem leżała żyzna, nie tknięta pługiemziemia.

– Oto moja rada – rzekł Holden. – Potraktujemy te działki nie jako cztery parcele po osiemdziesiąt akrów, a jako dwie po sto sześćdziesiąt każda. W tej chwili rząd pozwala nowym osadnikom

nabywać po dwie działki i to bym właśnie na pana miejscu uczynił.

Rob skrzywił się i pokręcił głową.

– To piękny kawałek ziemi, tyle że ja nie mam pięćdziesięciu dolarów.

Nick Holden przyjrzał mu się w zamyśleniu.

– Związałem moją przyszłość z tym miasteczkiem.

Jeśli uda mi się przyciągnąć tu osadników, stanę się właścicielem sklepu, młyna i gospody. Osadnicy ściągają najchętniej tam, gdzie znajdują lekarza. Pańska obecność w Holden's Crossing to dla mnie złoty interes. Banki pożyczają pieniądze na dwa i pół procent rocznie. Ja pożyczę panu pięćdziesiąt dolarów na półtora, do spłaty w ciągu ośmiu lat.

Rob popatrzył wokół siebie i głęboko zaczerpnął tchu.

To był naprawdę piękny kawałek ziemi. Miejsce to tak bardzo przypadło mu do serca, że przyjmując propozycję, musiał walczyć z drżeniem głosu. Nick uścisnął mu gorąco dłoń, machnięciem ręki zbywając słowa wdzięczności.

– To dla mnie dobry interes, nic więcej.

Objechali wolno całą posiadłość. Podwójna działka od południa była niemal zupełnie płaska i leżała na nadrzecznych obszarach zalewowych, ta od północy zaś rozciągała się na terenie falistym i zawierała na swym obszarze kilka wzniesień, które można by od biedy nazwać pagórkami.

– Osobiście wziąłbym ten kawałek od południa – doradzał Holden. – Ziemia tu lepsza i sposobniejsza pod orkę.

Rob zdecydował się już wszakże na zakup parceli północnej.

– Większość terenu obsieję trawą i będę hodował owce. Na hodowli owiec się znam. Ale pewien mój znajomy aż się pali, żeby zostać rolnikiem, więc może on zechciałby wziąć ten kawałek od południa.

Holden aż zęby wyszczerzył w uśmiechu szczęścia, gdy mu opowiedział o Jasonie Geigerze.

– Apteka w Holden's Crossing? Czyż to nie lukier na cieście? W porządku, dam zadatek za tę południową działkę i zarezerwuję ją w imieniu Geigera. Jeśli mu nie przypadnie do gustu, nie będzie kłopotu z pozbyciem się tak doskonałej ziemi.

Nazajutrz rano pojechali do Rock Island, a kiedy opuszczali Urząd Ziemski Stanów Zjednoczonych, Rob był już posiadaczem ziemi, aczkolwiek mocno zadłużonym.

Po południu wybrał się na samotny spacer po swojej działce. Przywiązał klacz i na piechotę obszedł lasy i należącą do niego część prairii, przeprowadzając oględziny i układając plany. Kroczył brzegiem rzeki jak we śnie i rzucał do wody kamyczki, nie mogąc uwierzyć, że to wszystko jego. W Szkocji było niezmiernie trudno wejść w posiadanie ziemi.

Hodowla owiec w Kilmarnock od wieków przechodziła w jego rodzinie z pokolenia na pokolenie jako dzierżawa.

Tego wieczora napisał list do Jasona Geigera, opisując mu te 160 akrów, które zarezerwował dla niego obok własnej posiadłości, i prosząc, by odpowiedział mu jak najprędzej, czy chce nabyć tę ziemię na własność. Prosił go też o przysłanie większego zapasu siarki, udało mu się bowiem wyciągnąć z Nicka, że każdej wiosny wybuch w tych stronach epidemia choroby zwanej przez

miejscowych świerzbem Illinois, na którą tylko hojne użycie siarki wydaje się skuteczne.

---

## 10 Budowa domu

---

Wiadomość o przybyciu lekarza lotem strzały rozeszła się po okolicy. Trzeciego dnia po przyjeździe do Holden's Crossing Rob J. został wezwany do swojego pierwszego pacjenta; aby się do niego dostać, musiał przebyć szesnaście mil. Od tej pory ani na moment nie ustawał w pracy. W odróżnieniu od osadników osiedlających się w południowej i środkowej części Illinois, których większość przybyła z Południa, farmerzy osiedlający się na północy stanu pochodzili z Nowego Jorku i Nowej Anglii.

Przybywali coraz liczniejszymi z miesiąca na miesiąc gromadami, pieszo, konno, wozami z budą, wiodąc ze sobą to krowę, to parę świniaków, to kilka owiec.

Praktyka lekarska Roba objęła niebawem rozległe przestrzenie pofalowanej prerii w widłach olbrzymich rzek, spływającej strugami, porośniętej tu i ówdzie leśnymi zagajnikami, rozmiękłej grzędzawiskami. Jeśli pacjenci przyjeżdżali do niego, brał za wizytę siedemdziesiąt pięć centów, gdy sam do nich jeździł, liczył sobie dolara, w nocy półtora dolara. Swój dzień roboczy spędzał głównie w siodle, ludzkie osady w tym dziwnym krajobrazie bardzo były

bowiem jedna od drugiej odległe. Wieczorami bywał nieraz tak zmęczony, że po powrocie padał na posłanie i zasypiał jak kamień.

Powiedział Holdenowi, że dług zacznie mu spłacać pod koniec miesiąca, na co Nick roześmiał się tylko i pokręcił głową.

– Nie pali się. Prawdę mówiąc chyba lepiej zrobię, jeśli ci jeszcze trochę do pożyczę. Zimy tu mamy surowe, będziesz więc potrzebował konia wytrzymalszego niż ta twoja chabeta. Leczysz tylko i leczysz, nie zdążysz sobie nawet postawić chaty, zanim spadną śniegi. Pozwól, żebym rozejrzał się za kimś, kto by ci ją wybudował za zapłatą.

Wkrótce znalazł budowniczego – niejakiego Aldena Kim-balla, chudego jak szczapa, żylastego mężczyznę o zębach żółtych od ciągłego kurzenia cuchnących kaczanów. Wychował się na farmie w Hubbardton w stanie Vermont, ostatnio zaś był grzesznym mormonem w miasteczku Nauvoo w Illinois, którego mieszkańcy są znani jako Święci Dni Ostatnich, a mężczyźni mogą tam podobno mieć tyle żon, ile tylko zechcą. Robowi powiedział, że miał scysję ze starszymi Kościoła, więc się stamtąd po prostu wyniósł. Doktor Cole nie myślał przyciskać go pytaniami. Wystarczyło mu, że Kimball posługiwał się siekierą i ciesielskim toporem z taką wprawą, jakby to były członki jego własnego ciała. Ścinał drzewa, ociosywał gałęzie i równał z obydwu stron pnie w miejscu, gdzie upadły, pewnego dnia zatem Rob pożyczył wołu od farmera nazwiskiem Grueber.

Niedoszły święty cierpliwą namową podporządkował sobie uparte zwierzę, po czym obaj, człowiek i wół, w ciągu dnia ściągnęli ociosane pnie na wybrane przez Roba miejsce na brzegu rzeki. Kiedy Kimball drewnianymi klinami zbijał kłody fundamentów, Rob

zauważył, że jeden z wielkich pni, mających stanowić podwalinę północnej ściany, jest brzydko zakrzywiony w mniej więcej jednej trzeciej długości.

Zwrócił na to uwagę Aldena.

– Będzie dobrze – burknął na to tamten, Rob zostawił go więc w spokoju.

Odwiedziwszy po paru dniach plac budowy stwierdził, że ściany chaty już stoją. Alden futrował kłody gliną wykopaną gdzieś nad rzeką i bielił spoiny wapnem. Pnie od strony północnej dopasowane były niemal ściśle do fundamentowej kłody – przez całą ścianę biegło to samo lekkie zakrzywienie. Aldenowi musiało zabrać mnóstwo czasu wyszukanie bali z dokładnie tym samym defektem, dwie zaś kłody musiał nawet obrobić toporem, żeby pasowały.

Od Aldena właśnie Rob dowiedział się, że Grueber ma na sprzedaż dobrego konia odmiany quarter. Gdy przyznał, że słabo zna się na koniach, Kimball wzruszył ramionami.

– To czteroletnia klacz, jeszcze rośnie i nabiera ciała. Zdrowa jak ryba, nic jej nie brakuje.

Rob kupił więc klaczkę, rasową gniadoszkę, jak ją określił Grueber, maści raczej czerwonej niż kasztanowatej. Nogi miaładługie, grzywę i ogon czarne, czoło usiane podobnymi do piegów cętkami, wysoka była na piętnaście piędzi, mocno zbudowana, o bystrym wyrazie ślepi. Piegi przypominały Robowi znajomą z Bostonu, nazwał więc klaczkę Margaret Holland. W skrócie Meg.

Nie uszło jego uwagi, że Alden ma rękę do zwierząt, toteż zagadnął go któregoś ranka, czy po zbudowaniu chaty nie chciałby

zostać u niego za parobka i pracować na farmie.

– Hm... A na jakiej farmie?

– Hodowla owiec. Alden się skrzywił.

– Nie znam się na owcach. Robiłem dotąd tylko przy dójkach.

– Ja się wychowałem wśród owiec. Nie ma przy nich wiele pracy. Owce mają instynkt do zbijania się w stado, na otwartej prerii poradzi sobie z nimi bez trudu jeden człowiek z psem. Co do innych obrządków, takich jak kastrowanie, strzyża i tym podobne, nauczyłbym cię.

Alden udawał, że się zastanawia, ale robił to tylko przez grzeczność.

– Żeby tak prawdę powiedzieć, nie bardzo mnie ciągnie do owiec. Nie – zdecydował ostatecznie. – Uprzejmie dziękuję, ale nie.  
– Zapewne po to, by zmienić temat, zapytał Roba, co zamierza zrobić ze swoją starą kobyłą. – Nie wydaje mi się, żeby dużo panu za nią dali, jeśli jej pan nie podpasie. Na prerii trawy rośnie dość, ale siano na zimę będzie pan musiał kupić.

Ten problem sam się po paru dniach rozwiązał, gdy pewien farmer bez grosza przy duszy zapłacił furą siana za odebranie porodu. Po naradzie Alden zgodził się wyprowadzić okap dachu chaty za południową ścianę i podeprzeć na rogach słupkami, tak by powstała otwarta stajnia dla obydwu klaczy. Kilka dni po zakończeniu budowy wpadł Nick obejrzeć gotowe

dzieło. Na widok przybudówki uśmiechnął się tylko, unikając wzroku Aldena Kimballa.

– Dziwnie z tym wygląda ta chałupa, nie ma co. – Przed północną ścianą uniósł w górę brwi. – Do diabła, ta ściana jest krzywa!



Rob z zadowoleniem przesunął palcami po wygięciu bali.

– Nie, umyślnie tak została zbudowana. Podoba nam się właśnie taka. To ją odróżnia od innych.

Przez godzinę po odejściu Nicka Alden pracował w milczeniu, raptem przerwał wbijanie klinów i podszedł do Roba czeszącego zgrzebłem sierść Meg.

Wystukawszy o obcas buta niedogar z fajki, powiedział:– Chyba się jednak przyuczę do tych owiec.

---

## 11 Samotniak

---

Na stado zarodowe Rob J. postanowił wybrać hiszpańskie merynosy o delikatnym cennym runie i skrzyżować je z długowłosymi owcami rasy angielskiej, jak to praktykowała jego rodzina w Szkocji. Oznajmił Aldenowi, że nie będzie zwierząt kupował przed wiosną, aby oszczędzić kosztów i trudu, jakiego by wymagało ich prezimowanie.

Kimball zajął się tymczasem przygotowaniem zapasu palików na ogrodzenie, budową dwóch przyległych do domu obórek oraz chatki dla siebie w lesie. W pracy nie trzeba go było na szczęście doglądać, na co zresztą stale zajęty Rob i tak nie miałby czasu. Jego sąsiedzi obchodzili się dotąd bez lekarza, pierwszych więc kilka miesięcy poświęcił na naprawianie gdzie się dało skutków

zaniedbań i kuracji domowymi sposobami. Leczył chorych na podagrę, raka, puchlinę i skrofuły, zarobaczone dzieci i suchotników w rozmaitym wieku. Wyrывał zepsute zęby.

Wyrывanie zębów znosił równie źle co amputowanie kończyn – niechęcią przejmowało go usuwanie tego, czego już nigdy nie będzie mógł wstawić z powrotem.

– Zaczekaj tylko do wiosny. Na wiosnę wszystkich tu powala jakaś febra. Zbijesz fortunę – obiecywał mu wesoło Nick Holden. Wezwania do chorych wiodły czasem Roba w odległe, niedostępne niemal regiony. Nick zaproponował, że pożyczy mu rewolwer, zanim będzie mógł sobie pozwolić na kupno własnego. – Te podróże są niebezpieczne, kręcą się tu różne rzezimieszki, zbójcy, a teraz jeszcze te obce diabły.

– Któż taki?

– Indianie.

– Ktoś ich poza mną widział?

Nick skrzywił się. – Widywano ich parę razy – odparł, przyznając niechętnie, że nikomu jak dotąd nie wyrządzili krzywdy. – Jak dotąd – podkreślił ponuro.

Rob nie kupił sobie rewolweru, nie nosił też broni Nicka. Czuł się zupełnie bezpieczny na nowym wierzchowcu. Klaczka była bardzo wytrzymała. Z przyjemnością patrzył, jak wdrapuje się i zbiega ze stromych skarp nadrzecznych i przekracza w bród wartkie strumienie. Nauczył ją, by pozwalala się dosiadać z obydwu stron i przybiegała kłusem na gwizd. Koni tej odmiany używano do spędu bydła.

Grueber nauczył ją ruszać, zatrzymywać się i zawracać na miejscu w odpowiedzi na najlżejsze nawet przeniesienie ciężaru ciała jeźdźca

czy najdelikatniejsze ściągnięcie wodzy.

Któregoś październikowego dnia wezwano Roba na farmę Gustawa Schroedera, któremu ciężkie kamienie zmiażdżyły dwa palce u lewej dłoni. Rob zabłądził.

Żeby zapytać o drogę zatrzymał się przed jakąś nędzną chałupiną, stojącą na skraju zadbanego pola.

Choć drzwi uchyliły się tylko na szczelinę, ze środka zaleciał go potworny odór, fetor nie sprzątanых odchodów, smrodliwego powietrza i zgnilizny. Ze szpary wyjrzała czyjaś twarz. Ujrzał zaczerwienione, zapuchnięte oczy i przetłuszczone, zlepione brudem włosy wiedzmy.

– Wynoś się stąd! – warknął schrypnięty kobiecy głos. Za drzwiami budy przemknęła jakaś postać nie większa odpsiaka. Chyba nie dziecko? W takim miejscu? Huknęły zatrzęsnięte drzwi.

Okazało się, że pięknie utrzymane pole należy do Schroederów. Rob był zmuszony amputować Schroederowi cały mały palec i ostatni staw palca serdecznego, przyczyniając pacjentowi srogiej męki.

Po skończonej operacji spytał jego żonę o tę kobietę w budzie. Alina Schroeder wydawała się zawstydzona.

– To ta biedna Sara – odrzekła.

---

## 12 Wielki Indianin

---

Noce nastały zimne i kryształowo czyste pod wygwieżdżonym niebem, które potem na parę tygodni zaciągnęło się ciężkimi chmurami. Pod koniec listopada zaczęły się śnieżyce, w nawałności swej piękne i przerażające, a później wichury, które głęboką rzeźbą poryły białą okrywę, spiętrzając ją w kopne zasy. Ta przeszkoda nie zdołała jednak powstrzymać kłaczy. Aż miło było patrzeć, jak przedziera się przez śniegi. Wkładała w to tyle serca, że Rob szczerze ją za to pokochał.

Siarzyste mrozy skuwały prerię przez cały grudzień i znaczną część stycznia. Wracając pewnego dnia nad ranem do domu po nocy spędzonej w kurnej chacie z darni przy piątce dzieci, z których troje miało krup, Rob natknął się na dwóch Indian. Byli w poważnych tarapatach. Poznał od razu, że to słuchacze jego koncertu za chatą Nicka Holdena. Zwłoki trzech zajęcy śnieżnych świadczyły, że wracali z polowania.

Jeden z ich koni upadł i złamał w stawie pęcಿನowym przednią nogę, przygniatając jeźdźca, Indianina z wydatnym orlim nosem. Jego towarzysz, ogromne chłopisko, zabił zaraz konia i rozplatał mu brzuch, a następnie wyciągnął rannego spod trupa zwierzęcia i ułożył w jego dymiącym wnętrzu, by go uchronić przed mrozem.

– Jestem lekarzem, mógłbym może pomóc.

Nie rozumieli po angielsku ani w żąb. Olbrzym nie starał się go jednak powstrzymać, gdy Rob przystąpił do oględzin rannego. Wsunąwszy rękę pod futrzane łachmany stwierdził od razu, że myśliwy zwichnął sobie prawe biodro i bardzo cierpi. Musiał zostać uszkodzony nerw kulszowy, stopa zwisała mu bowiem bezwładnie, gdy zaś Rob ściągnął skórzany kamasz i ukłuł ją ostrzem noża, palce nie drgnęły.

Mięśnie z powodu bólu i przenikliwego zimna zeszywniały na drewno, nie było więc mowy o nastawieniu biodra na miejscu.

Ku irytacji Roba wielki Indianin wsiadł tymczasem na konia i odjechał w stronę lasu. Może po pomoc? Rob miał na sobie wyjedzony przez mole kozuch z owczej skóry, ubiegłej zimy wygrany w pokera od jednego z drwali, zdjął go teraz i okrył nim rannego, a potem otworzył sakwę przy siodle i wyjął z niej postrzępiony bandaż, którym związał mu nogi, żeby unieruchomić wybite biodro. Olbrzymi Indianin powrócił niebawem, ciągnąc za sobą dwa odarte z gałęzi pnie drzew, krzepkie i zarazem giętkie. Umocowawszy je jak hołoble po bokach konia, powiązał następnie różnymi fragmentami swojej skórzanej odzieży, uzyskując w rezultacie coś w rodzaju noszy jednym końcem wleczonych po ziemi. Złożyli na nich i przywiązali rannego. Transportowany w ten sposób musiał cierpieć straszliwe katusze, choć śnieg zapewniał mu saną gładszą, niż gdyby przyszło go wlec po gołej ziemi.

Zaczął padać deszcz ze śniegiem. Jechali skrajem nadrzecznego lasu, z przodu Indianin na koniu ciągnącym nosze, z tyłu Rob na Meg. Na koniec skręcili między drzewa i znaleźli się w obozie Sauków.

Oślonięte drzewami od wiatru stały tam stożkowate, pokryte skórą tipi. Gdyby Rob miał czas je porachować, doliczyłby się siedemnastu. Indianie ubrani byli ciepło. Rzucali się w oczy ślady ich pobytu w rezerwacie, oprócz skór zwierzęcych i futer mieli bowiem na sobie znoszoną odzież białych, w kilku zaś namiotach można było dojrzeć stare wojskowe skrzynki na amunicję. Suchego drewna na opał mieli widać pod dostatkiem, bo z dymników tipi snuły się szare smużki dymu, Rob zauważył jednak, z jaką

łapczywością wyciągnęli ręce po trzy kościste zajęcze zwłoki. Nie uszedł też jego uwagi napięty wyraz ich wychudzonych twarzy. Widywał już ludzi głodnych.

Rannego wniesiono do jednego z namiotów.

Pospieszył tam za nim.

– Czy ktoś z was mówi po angielsku?

– Ja władam waszym językiem.

Wiek mówiącego trudno było odgadnąć, okrywał go bowiem taki sam jak wszystkich bezkształtny kokon futer, ale głos był kobiecy.

– Wiem, jak opatryć tego człowieka. Jestem lekarzem. Czy wiesz, kto to lekarz?

– Tak.

Spod futrzanych zawojów patrzyły na niego spokojne brązowe oczy. Powiedziała coś szybko w ojczystym języku. Zebrani w namiocie Indianie spojrzeli nań wyczekująco.

Rob wziął kilka szczap ze stosu drewna i rozpalił ogień. Rozebrawszy rannego stwierdził, że biodro zostało wewnątrz przemieszczone. Uniósł kolana Indianina i trzymał, póki mięśnie całkiem się nie rozluźniły, po czym korzystając z pośrednictwa kobiety poprosił, żeby unieruchomiły go czyjeś silne ręce. Przykucnąwszy podłożył prawe ramię pod kolano rannego po stronie zwichnięcia, a następnie z całej siły szarpnął je do góry. Wyraźnie słyszalny trzask potwierdził, że główka kości udowej wskoczyła na powrót w panewkę stawu.

Ranny leżał jak martwy. W czasie zabiegu prawie nie wydał z siebie głosu, toteż Rob uznał, że dobrze mu zrobi łyk wódkiz dodatkiem laudanum. Obydwa leki miał w sakwie u siodła, ale

nim po nie poszedł, Indianka nalała wody do tykwy, domieszała jakiegoś proszku z woreczka z jeleniej skóry i podała ten napój rannemu, który go chciwie wypił. Następnie położyła dłonie na biodrach mężczyzny i patrząc mu w oczy powiedziała coś śpiewnie w ojczystym języku. Przyglądając się jej i słuchając jej głosu Rob poczuł, jak włosy wstają mu na głowie. Zrozumiał, że kobieta jest ich znachorką.

Lub kimś w rodzaju kapłanki.

Dały w końcu o sobie znać nie przespana noc i borykanie się ze śniegiem przez całą ostatnią dobę.

Półpijany ze zmęczenia wyszedł z panującego w tipi mroku prosto w tłumek czekających na zewnątrz Indian, przyprószonych płatkami śniegu. Jakiś starzec o załzawionych oczach dotknął go z podziwem.

– Cawso wabeskiou! – zawołał, a pozostali podchwycili: – Cawso wabeskiou, Cawso wabeskiou.

Z namiotu wynurzyła się znachorka czy też kapłanka.

Gdy odrzuciła futrzany kaptur, Rob stwierdził, że nie jest wcale stara.

– Co oni wołają? – zapytał.

– Nazywają cię białym szamanem – odrzekła.

Powiedziała mu, że ranny ma na imię – powód wydał się odrazu oczywisty – Waucauche, Orli Nos. Wielki Indianin nosił imię Pyawanegawa, Nadchodzący ze Śpiewem. Po drodze do domu Rob spotkał Nadchodzącego ze Śpiewem i dwóch innych Sauków. Wrócili widocznie do trupa konia zaraz po przywiezieniu Orlego Nosa do obozu, żeby zdążyć przed wilkami. Poćwiartowali zwierzę i

wieźli teraz mięso na dwóch jucznych koniach. Przejechali obok niego gęsiego nawet nań nie spojrzawszy, jakby mijali drzewo.

Po przyjeździe do domu Rob zrobił notatkę w dzienniku, usiłował też naszkicować z pamięci portret znachorki, ale choć bardzo się starał, wyszła mu szampowa podobizna Indianina, bezpłciowa i powierzchowna. Dokuczała mu senność, ale nawet nie spojrzał na posłanie. Wiedział, że Gus Schroeder ma na zbyciu trochę suszonych kaczanów kukurydzy, a parobek wspomniał mu kiedyś, że Paul Grueber odłożył nieco ziarna na sprzedaż. Dosiadł Meg i prowadząc za sobą Monikę, jeszcze tego samego wieczora wrócił do obozu Sauków, gdzie zrzucił na ziemię dwa worki kukurydzy, jeden brukwi i jeden pszenicy.

Znachorka nie wyraziła mu podziękowania. Spojrzała tylko na dary i wydała jakieś rozkazy, a skwapliwe ręce w mig wciągnęły worki do tipi, by nie zamokły na dworze. Wiatr zerwał jej kaptur z głowy. Była naprawdę czerwonoskóra: jej twarz miała barwę czerwonej miedzi. Grzbiet nosa o murzyńskich niemal nozdrzach wznosił się wydatnym garbem, brązowe wielkie oczy spoglądały jasno i szczerze. Zapytał, jak ma na imię.

- Makwa-ikwa – odrzekła.
- Co to znaczy po angielsku?
- Niedźwiedzica.

---

## 13 W okowach zimy

---



Kikuty amputowanych palców Gusa Schroedera goiły się doskonale. Rob może zbyt często odwiedzał farmera, intrygową go jednak mieszkanka stojącej na jego ziemi budy. Alma Schroeder nader powściągliwie odpowiadała zrazu na jego pytania, lecz kiedy się przekonała, że Rob chciałby niebodze pomóc, rozwiązał jej się język i z macierzyńskim zatroskaniem opowiedziała mu o młodszej kobiecie.

Sara miała dwadzieścia dwa lata i była wdową. Przed pięcioma laty przyjechała do Illinois z Wirginii z młodym mężem, Alexandrem Bledsoe. Bledsoe przez dwie wiosny zmagął się z nieustępliwą, głęboko wkorzenioną darnią, usiłując za pomocą pługa i zaprzęgu wołów poszerzyć ile się da pole pod siew, nim preriowe trawy nie zaszumią mu latem kitami nad głową. W maju drugiego roku ich pobytu na zachodzie złapał tutejszy świerzb, do którego przyplątała się febra i chłopisko wyzionął ducha.

– Na drugą wiosnę biedaczka sama próbowała orać i siać – opowiadała Alma – lecz plon zebrała kleine. Wydarła jeszcze trochę darni i to było wszystko, na co starczyło jej sił. Nie podołała gospodarce. Latem tego roku my z Gusem przyjechaliliśmy tu z Ohio. Spisaliśmy, jak się to mówi?... kontrakt. Zdała ziemię na mojego męża, za co jej dostarczamy kukurydzianej mąki, warzyw, drewna na opał.

– Ile lat ma jej mały?

– Dwa – odrzekła obojętnie Alma. – Nigdy o tym nie mówiła, ale oboje z mężem sądzimy, że jego ojcem był Will Mosby. On i jego brat Frank mieszkali tu w dole rzeki. Kiedyśmy się tu sprowadzili, Will Mosby często u niej przesiadywał. Cieszyło nas to. W tych

stronach kobieta bez chłopa nie da sobie rady. – Alma westchnęła z niechęcią. – Okazało się jednak, że z braci Mosby ładne ziółka. Frank ukrywa się przed prawem, a Will zginął w jakiejś karczemnej bijatyce na krótko przed urodzeniem się dziecka. W parę miesięcy później Sara zachorowała.

– Nie szczęści się coś kobiecie.

– Ano, nie szczęści. Ciężko choruje, powiada, że umiera na raka. Ma bóle w dole brzucha, tak ją boli, że nie może... pan wie... powstrzymać wody.

– Czy robi też pod siebie?

Alma Schroeder spłonęła rumieńcem. Rozmowa o nieślubnym dziecku była zwykłą obserwacją życiowych powikłań, kobiecina nie zwykła jednak omawiać funkcji cielesnych z żadnym mężczyzną, wyjąwszy męża, choćby i z doktorem.

– Nie. Tylko te wody... Chce, żebym wzięła małego do siebie, kiedy jej zabraknie. A sami mamy już przecież pięć gąb do wykarmienia... – Obrzuciła go zagniewanym spojrzeniem. – Nie miałby pan jakiego lekarstwa na te jej boleści?

Chory na raka miał do wyboru whisky albo opium.

Nie było takiego leku, który mogłaby przyjmować, nie tracąc przy tym zdolności do opiekowania się dzieckiem. Wyszedłszy od Schroederów, zatrzymał się przy zamkniętej na głucho budzie. Sprawiała wrażenie wymarłej.

– Pani Bledsoe!... – zawołał i zastukał w drzwi.

Cisza.

– Pani Bledsoe! Nazywam się Rob J. Cole. Jestem lekarzem. – Zastukał ponownie.

– Proszę odejść!

- Jestem lekarzem. Może mógłbym jakoś pani pomóc.
- Proszę odejść. Proszę natychmiast odejść.

Pod koniec zimy chata Roba była już znacznie przytulniej-sza. Ze swoich wypraw zwoził różne domowe sprzęty – żeliwny garnek, dwa cynowe kubki, butelkę z barwionego szkła, glinianą miskę, drewniane łyżki. Niektóre rzeczy kupował, inne dostawał zamiast zapłaty, jak dwie stare, ale dobre jeszcze kołdry uszyte z kawałków tkanin; jedną powiesił na północnej ścianie, by go osłaniała od przeciągów, drugą wymościł łóżko, które zrobił dla niego Alden Kimball. Alden sporządził mu też zydel na trzech nogach i niską ławę przed kominek, na krótko zaś przed – pierwszymi śniegami przytoczył i ustawił w chacie wysoki na trzy stopy kloc z pnia sykomorzy.

Następnie przybił do tego pniaka kilka desek, na które Rob narzucił stary wełniany koc. Przy stole tym zasiadał jak król na krześle o siedzeniu wyplatany z hikorowej kory – najlepszym meblu w całym domu.

Spożywał przy nim posiłki i czytał książki i gazety przed położeniem się do łóżka, przy migotliwym blasku knota ze szmatki płonącego w talerzu ze stopioną słoniną. Kominek ze spojonych gliną rzecznych kamieni zapewniał małej chatce ciepło.

Nad ko- minkiem wisiały na kołkach strzelby, a z krokwi zwieszały się naręcza ziół, warkocze cebul i czosnku, sznury z plasterkami suszonych jabłek, kiełbasa i szerniała od dymu szynka. W kącie trzymał narzędzia: motykę, siekierę, grabie, drewniane widły – przedmioty odznaczające się rozmaitym stopniem rzemieślniczego kunsztu.

Od czasu do czasu grywał sobie na wiolonczeli.

Przeważnie bywał jednak zbyt zmęczony, by muzykować dla własnej tylko przyjemności. Drugiego marca przyszedł na stację dyliżansów pocztowych w Rock Island list wraz z przesyłką z siarką od Jaya Geigera. Jay donosił, że opisane mu przez Roba działki w Holden's Crossing przekroczyły najśmielsze oczekiwania jego i żony. Przesyłał Nickowi Holdenowi przekaz pieniężny na zadatek za swoją parcelę. Dalsze raty miał spłacać urzędowi ziemskiemu. Niestety, Geigerowie nie planowali na razie przenosić do Illinois. Lillian była znowu w ciąży, „która to nieoczekiwana okoliczność, jakkolwiek napełnia nas radością, opóźni naszą stąd wyprowadzkę.” Postanowili zaczekać, aż urodzi im się drugie dziecko i podrośnie na tyle, by znieść trudy podróży wozem przez prerię.

Rob czytał ten list z mieszanymi uczuciami.

Ucieszył się, że Jay zaufał jego radzie i zostaną pewnego dnia sąsiadami, przygnębieniem go jednak napawało, że dzień ów jest jeszcze tak odległy. Wiele dałby za to, by móc się z Jasonem i Lillian i coś zagrać, znajdując w muzykowaniu pociechę i uwznioślenie ducha. Preria była wielkim cichym więzieniem, w którym często doskwierała mu samotność.

Postanowił, że znajdzie sobie jakiegoś miłego psa.

Nim zima dobiegła półmetka, Saukowie znowu chodzili wychudli i głodni. Gus Schroeder dziwił się głośno, po co Rob chce kupować następne dwa worki ziarna, nie dociekał jednak, gdy nie otrzymał wyjaśnień. Indianie, podobnie jak poprzednio, przyjęli kolejny prezent w milczeniu i bez widocznych oznak radości. Dla Makwa-ikwy przyniósł funt kawy i pozwolił sobie zasiąść przy jej ognisku. Znachorka doprawiła napar taką ilością suszonych dzikich korzonków, że nie rozpoznał w nim znajomego napoju. Nie dodała

też mleka. Kawa nie była dobra, za to gorąca i w smaku jakaś indiańska.

Z czasem poznali się bliżej. Makwa-ikwa przez cztery lata uczyła się w szkole misyjnej dla indiańskich dzieci niedaleko Fortu Crawford. Umiała trochę czytać i słyszała to i owo o Szkocji, lecz gdy wyraził przypuszczenie, że pewnie jest chrześcijanką, zaprzeczyła. Jej lud oprócz Se-wanna, ich głównego boga, czcił też innych manitu, tak się bowiem, poinformowała go, wedle starego obyczaju czynić godzi. Zorientował się, że jest nie tylko kapłanką, ale i wszystkim po trosze. To jej pomagało skutecznie uzdrawiać. Wiedziała wszystko o leczniczych właściwościach miejscowych roślin. Z żerdzi jej namiotu zwisały pęki suszonych ziół. Obserwował parę razy, w jaki sposób leczy swoich Sauków.

Kucała przy chorym i zaczynała cicho bębnić na bębenku, zrobionym z glinianego dzbana napełnionego w dwóch trzecich wodą, którego szyję opinała cienka wyprawiona skóra. W tę membranę uderzała zakrzywionym patykiem. Instrument wydawał niski, do grzmotu podobny dźwięk, który działał jak środek nasenny. Potem dotykała dłońmi chorych części ciała pacjenta i przemawiała doń w ojczystym języku. Rob był świadkiem, jak ulżyła w ten sposób młodemu mężczyźnie, który cierpiał na kręcz, oraz starej kobiecie, którą rwało w kościach.

– Jak to się dzieje, że twoje ręce łagodzą ból?

Pokręciła głową.

– Nie umiem powiedzieć.

Ujął dłonie staruszki. Choć nie cierpiała już, wyczuł, że uchodzi z niej życie. Powiedział Makwaikwie, że chora za kilka dni umrze.

Kiedy pięć dni później ponownie przyjechał do obozu Sauków, staruszka już nie żyła.

– Skąd wiedziałeś? – zapytała go Makwa-ikwa.

– Kiedy zbliża się śmierć... niektórzy z członków mojej rodziny potrafią to wyczuć. To coś w rodzaju daru.

Nie umiem tego wyjaśnić.

Tak więc jedno drugiemu zawierzyć musiało na słowo. Makwa-ikwa ogromnie go zaciekała. Była zupełnie inna od wszystkich ludzi, których dotąd znał.

Już wtedy wzajemnie o sobie działali. Siedzieli zwykle przy małym ognisku w jej tipi, gwarząc i popijając kawę. Któregoś dnia próbował opowiedzieć jej o Szkocji, nie potrafił jednak ocenić, ile z jego opowieści zrozumiała, choć słuchała uważnie, przerywając od czasu do czasu pytaniem o dzikie zwierzęta lub rodzaje upraw. Kiedy wyjaśniała mu plemienną strukturę Sauków, na nią przysła kolej okazać cierpliwość, bo okazało się to dla Roba zbyt skomplikowane. Lud Sauków był podzielony na dwanaście rodów, podobnych do szkockich klanów, tyle że zamiast McDonaldów, Bruce'ów i Stewardów nosiły one nazwy: Nama-wuck, Jesiotr, Muc-kissou, Łysy Orzeł, Pucca-hwnmowuck, Upierścieniony Okoń, Maco Pennyack, Niedźwiedzi Ziemniak, Kichę Cumme, Wielkie Jezioro, Payshake-issewuck, Jeleń, Pesshe-peshewuck, Pantera, Waymeco-uck, Grzmot, Muck-wuck, Niedźwiedź, Me-seco, Czarny Okoń, Aha-wuck, Łabędź, i Muh-wha-wuck, Wilk. Rody żyły razem nie rywalizując między sobą, choć każdy Sauk płci męskiej należał do jednej z dwóch zażarcie ze sobą konkurujących Połówek – Keesoqui, Długowłosych, lub Osh-cush, Nieustraszonych.

Pierworodny syn zostawał po urodzeniu członkiem Połówki ojca, następny – członkiem przeciwnej Połówki i tak na przemian. W rezultacie obie Połówki miały w każdej rodzinie i w każdym klanie mniej więcej równą liczbę reprezentantów, współzawodniczyły zaś między sobą w grach, łowach, płodzeniu dzieci, liczebnej przewadze oraz bohaterских czynach we wszystkich przejawach życia. Zaciekła rywalizacja czyniła Sauków silnymi i odważnymi, między Połówkami nie dochodziło jednak do krwawych waśni. Uderzyło to Roba. Uznał ten system za bez porównania rozsądniejszy od tego, w jakim wyrósł, bardziej cywilizowany. Toć w czasie wielowiekowej wojny na śmierć i życie tysiące Szkotów poległo z rąk swoich klanowych przeciwników.

Z początku, pamiętny na szczupłość indiańskich zasobów i podejrzliwie nastawiony do ich kuchni, unikał dzielenia posiłków Makwa-ikwy, potem, gdy myśliwym powiodło się w łowach, zdarzyło mu się kilka razy skosztować jej specjałów i musiał przyznać, że są całkiem smaczne. Przekonał się, że Indianie jedzą więcej potraw duszonych niż pieczonych i gdy mają wybór, przedkładają czerwone mięso i drób nad ryby. Znachorka opowiedziała mu o rytualnym posiłku jej plemienia, uczcie z psów, manitu bowiem wysoko sobie cenią ich mięso. Wyjaśniła, że im bardziej jest się do psa przywiązany, tymznaczniejsza zasługa z ofiary z ulubieńca i tym wyższa jej wartość jako leku”. Rob nie zdołał ukryć odrazy.

- Nie wydaje się wam dziwne zjadanie własnych psów?
- Mniej dziwne niż połykanie krwi i ciała Chrystusa.

Był normalnym młodym mężczyzną, toteż czasami, choćokutani byli przed mrozem w warstwy ubrań i futer, doświadczał męczącego

podniecenia. Gdy podawała mu kawę i stykały się ich palce, własne gruczoły wprawiały go w zakłopotanie. Któregoś razu ujął jej zimne kwadratowe dłonie i bardzo się zdumiał bijącą od nich żywotnością. Obejrzał jej krótkie palce, szorstką brunatnoczerwoną skórę, różowawe odciski na dłoniach. Zapytał, czy nie zaszłaby kiedyś z wizytą do jego chaty. Spojrzała nań w milczeniu i cofnęła dłonie. Nie powiedziała, że nie przyjdzie, lecz nie przyszła nigdy.

W porze roztopów Rob wybrał się do indiańskiej wioski, omijając trzęsawiska, które tworzyły się wszędzie, gąbczasta preria nie była bowiem w stanie wchłonąć masy topniejących śniegów. Kiedy przyjechał, Saukowie zwijali właśnie zimowy obóz, towarzyszył im więc do odległego o sześć mil nowego obozowiska na otwartej przestrzeni, gdzie zamiast zacisznych, zimowych tipi wznosili hedonosote -plecione z gałęzi podłużne chaty, przez których ściany z łatwością przewiewały ciepłe wiatry lata. Dla przenoszenia obozów istniały dobre powody. Saukowie nie znali sanitariatów, więc nad ich zimowym obozem wisiał smród odchodów.

Przetrwanie ostrej zimy i przenosiny do letniego obozu podniosły ich wyraźnie na duchu.

Rob widział wszędzie młodzieńców rywalizujących w zapasach, biegających na wyścigi lub grających w piłkę i kije – grę, jakiej nigdy wcześniej nie oglądał.

Używało się do niej tęgich drewnianych kijów, zaopatrzonych u jednego końca w płetwiaste torebki ze skóry, oraz obszytej koźlą skórą drewnianej gałki.

Biegnąc ile sił w nogach jeden z graczy wyrzucał piłkę jak z katapulty z mieszka na kij, a inny chwycił ją zręcznie do swojej



siatki. Wymieniając się tak podaniami, przebywali spore odległości. Gra była szybka i bardzo brutalna. Zawodnik mający piłkę bywał bezlitośnie atakowany przez pozostałych graczy, którzy starali się wyłuskać mu ją z siatki za pomocą walenia kijami, sprowadzającego się często do okładania członków przeciwnika podstępными razami, podstawiania mu nóg i wpadania nań z rozpędu. Zauważywszy, jakim zainteresowaniem biały gość śledzi przebieg akcji, jeden z czterech biorących w niej udział graczy kiwnął na niego i oddał mu swój kij.

Pozostali wyszczerzyli w uśmiechu zęby i ochocho przyjęli go do gry, która robiła na nim wrażenie bijatyki raczej niż sportu. Rob był od nich roślejszy i lepiej umięśniony. Zawodnik mający piłkę przy pierwszej okazji machnął nadgarstkiem i strzelił twardym pociskiem prosto w Roba. Ten próbował schwycić kulę, nie trafił i musiał za nią gonić. Dostał się też zaraz w sam środek wściekłego łupu-cupu.

Długie kije okładały go gdzie popadło. Wyszedł spod ich razów półżywy i otumaniony. Skonstatowawszy ze smutkiem braki w swych umiejętnościach, zwrócił spiesznie kij właścicielowi.

Gdy w chacie Makwa-ikwy raczył się duszonym królikiem, gospodyni zapytała cicho, czy nie wyświadczyłby Saukom przysługi. Przez całą długą i surową zimę chwyтали w sidła zwierzęta futerkowe.

Posiadali obecnie dwie bele wybornych skórek norek, lisów, bobrów i piźmoszczurów. Chcieliby sprzedać futra, aby kupić ziarno na siew pod pierwsze letnie zbiory.

Rob był zaskoczony, bo nie przyszło mu nawet do głowy, aby Indianie mogli być rolnikami.

– Gdybyśmy sami zanieśli futra do białego handlarza, oszu kałby nas-dodała Makwa-ikwa. Powiedziała to tonem wolnym od wyrzutu, jakby zdawała mu sprawę z oczywistego faktu.

Pewnego więc ranka Rob i Alden Kimball poprowadzili dwa konie objuczone skórkami i jednego luzaka do Rock Island. Rob tak zawzięcie targował się ze sklepikarzem, że uzyskał w zamian za futra pięć worków ziarna kukurydzy na siew – worek drobnego wczesnego ziarna, dwa worki większego o twardym jądrze, dobrego na kaszę, i dwa o dużym kaczanie na mąkę – oraz po jednym fasoli i dwóch rodzajów dyni. Wytargował nawet na dokładkę trzy złote dwudziestodolarówki Stanów Zjednoczonych, żeby Saukowie mieli skromny fundusz rezerwowy na zakup innych towarów, jakich mogli potrzebować od białych. Alden był pełen podziwu dla chytryści swego chlebodawcy, sądził bowiem, że ów dokonał tej skomplikowanej wymiany handlowej dla własnej korzyści.

Na noc zatrzymali się w Rock Island. W jednej z oberż Rob wysączył dwa kufle piwa, przysłuchując się chełpliwym wspominkom doświadczonych pogromców Indian.

– Cały ten teren należał do plemion Sauk i Lisów – wywodził barman o zażawionym spojrzeniu. – Pierwsi nazywalisiebie Osaukie, drudzy Mesquakie. Razem wzięci posiadali wszystkie ziemie, jakie leżą od Missisipi na zachodzie po jezioro Michigan na wschodzie, Wisconsin na północy i rzekę Illinois na południu.

Pięćdziesiąt milionów akrów najlepszej ziemi! Ich największa wiocha nazywała się Sauk-e-nuk, istne miasto z ulicami i placem. Mieszkało tam jedenaście tysięcy Indiańców. Uprawiali coś dwa i pół tysiąca akrów od Rock River po Missisipi. Nie zajęło nam dużo

czasu wykurzenie stąd czerwonych skurwieli i zagospodarowanie tych znakomitych ziem!

Zebrani jęli się przerzucać opowiastkami o krwawych walkach z Czarnym Jastrzębiem. Indianie przedstawiani w nich byli nieodmiennie jako diabły wcielone, biali zaś jako ludzie dzielni i szlachetni.

Przypominały te opowiastki historie snute przez weteranów wypraw krzyżowych. Ociekały od jawnych łgarstw i pełne były rojeń o tym, co mogłoby się pewnie i zdarzyć, gdyby ci, którzy je zmyślali, byli mężnymi ludźmi. Rob J. odkrywał, że większość białych patrzy na Indian inaczej niż on. Mówili o Saukach jak o dzikich zwierzętach, które jak najślusniej tępiono, póki nie uciekły, pozostawiając ziemie do bezpiecznego użytku rasie ludzkiej.

Tymczasem on przez całe życie dążył do tej duchowej wolności, jaką odnajdował u Sauków. To jej szukał, pisząc ową ulotkę w Szkocji, to jej zgon, jak mu się zdawało, oglądał, gdy patrzył, jak wieszają Andrew Geroulda. A teraz odnalazł ją wśród czeredy egzotycznych czerwonoskórych obdartusów. Nie popadał w romantyczne mrzonki – dostrzegał brud ich obozu i zacofanie kultury, a jednak miał świadomość, gdy tak drobnymi łyckami osuszał kufel i udawał zaciekawienie pijackimi opowieściami o wypruwaniu flaków, skalpowaniu, grabieży i gwałtach, że Makwa-ikwa i jej Saukowie to najlepsze, z czym się w tym kraju zetknął.

---

## 14 Gra w piłkę i kije

---

Rob zaskoczył Sarę Bledsoe i jej synka tak, jak człowiek zaskakuje dzikie zwierzęta w rzadkich chwilach ich wypoczynku. Zdarzało mu się oglądać ptaki, które po kąpieli w piasku i wygładzeniu piórek z taką samą błogą rozkoszą drzemaływ słońcu. Matka i syn, przymknawszy oczy, siedzieli na ziemi przed chatą. Ona nie wygładziła sobie jednak piórek: długie włosy miała zmatowiałe i skołtunione, jej wychudzone ciało okrywała sukienka wygnieciona i brudna, wymizerowana blada twarz była chorobliwie opuchnięta. Śpiący chłopiec miał włosy jasne jak matka i równie zmierzwione.

Otworzywszy niebieskie oczy, kobieta zobaczyła wpatrzonego w nią Roba. Na jej twarzy odbiła się cała gama uczuć -zaskoczenie, strach, odraza i gniew.

Porwała bez słowa synka i wbiegła do chaty. Rob J.

podszedł do drzwi. Przez tę drewnianą przegrodę gotów znieawidzić ponawiane co pewien czas daremne próby porozumienia się z nieszczęsną samotnicą.

– Pani Bledsoe, proszę. Chcę pani pomóc! – zawołał.

W odpowiedzi usłyszał tylko stęknęcie wysiłku i łoskotzapierającej drzwi ciężkiej zawory.

Indianie nie darli darni pługami, jak czynili biali osadnicy, lecz wyszukiwali miejsca o cieńszej pokrywie traw i dogrzebywali się przez nią do gruntu, siejąc ziarna w redliny wyżłobione zaostrozonymi patykami, a połacie najbujniejszych traw zarzucali stosami chrustu. Chrust sprawiał, że trawa gniła, i w następnym roku na wiosnę dysponowali już nowymi obszarami pod uprawę.

Kiedy Rob J. wybrał się w odwiedzinę do letniego obozu Indian, siew zbóż był już zakończony. W obozie czuło się świąteczną

atmosferę. Makwa-ikwa poinformowała go, że po siewie przychodzi pora na Taniec Żurawi, najradośniejsze święto jej plemienia.

Jego pierwszym punktem jest wielki mecz w piłkę i kije, w którym biorą udział wszyscy mężczyźni.

Składów nie trzeba było kompletować – stawała Połowa przeciwko Połowie. Długowłosi liczyli o pół tuzina mniej członków od Nieustraszonych. Sprawcą nieszczęścia Roba okazał się Nadchodzący ze Śpiewem, gdy ów stał bowiem i gawędził z Makwa-ikwą, podszedł i coś do niej powiedział.

– Zaprasza cię do udziału w grze w drużynie Długowłosych – przetłumaczyła mu słowa olbrzyma znachorka.

– Ach, tak – uśmiechnął się głupkowato do obojga.

Udział w tych zawodach był ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę, pomny zręczności Indian i własnej nieporadności. Miał już na języku słowa odmowy, lecz tamci wpatrywali się weń z jakimś szczególnym napięciem, zrozumiał więc, że ta prośbaposiada dla nich znaczenie, którego on nie pojmował.

Zamiast więc opędzić się od tej propozycji machnięciem ręki, jak postąpiłby na jego miejscu człek roztropny, podziękował uprzejmie i oświadczył, że z chęcią wystąpi w drużynie Długowłosych.

Swoją staranną szkolną angielszczyzną, której tak dziwnie było mu słuchać, Makwa-ikwa wyjaśniła go, że zawody zainicjują się w letniej wiosce. Zwycięży ta Połowa, która umieści piłkę w małej jaskini na drugim brzegu rzeki, około sześciu mil w dole jej biegu.

– Sześć mil!

Jego zdumienie wzmożło się jeszcze, gdy się dowiedział, że nie będzie żadnych linii bocznych ograniczających pole gry. Makwa-

ikwa zdołała mu jakoś wytłumaczyć, że każdy, kto odbiegnie na bok, by uniknąć starcia z przeciwnikami, poniesie uszczerbek na honorze.

Dla Roba były to zawody całkiem obce, gra egzotyczna przejaw kultury dzikusów. Dlaczego więc zgodził się na wzięcie w nich udziału? Dziesiątki razy zadawał sobie tamtej nocy to pytanie, leżąc w hedonosote Nadchodzącego ze Śpiewem, gra miała się bowiem rozpocząć skoro świt. Chata, zbudowana z plecionki z gałęzi ogaconych od zewnątrz płatami kory wiązu, mierzyła około pięćdziesięciu stóp długości i dwudziestu szerokości. Nie miała okien, a drzwi z obu jej końców zawieszane były bizonimi skórami.

Przewiewna budowla zapewniała jednak swobodny dopływ powietrza. W chacie znajdowało się osiem pomieszczeń, cztery po każdej stronie biegnącego środkiem przejścia. W jednym spali Nadchodzący ze Śpiewem i jego żona, Księżyc, w drugim jej starzy rodzice, w kolejnym dwójka dzieci młodszej pary.

Pozostałe służyły jako składy. W jednym z nich spędził Rob J. tę bezseną noc, przez dymnik w dachu wpatrując się w gwiazdy i przysłuchując westchnieniom, echom zmór sennych, pierdnięć, parokrotnie zaś dźwiękom, które nie mogły być niczym innym jak odgłosami żywiołowej i entuzjastycznej kopulacji, choć gospodarz domu nie zaśpiewał przy tym ani nawet nie zanucił choćby jednej nuty.

O świcie, po śniadaniu złożonym z gotowanej kaszy kukurydzianej, w której wyczuwał grudki popiołu, ale na swoje szczęście nie rozpoznawał innych składników, Rob J. dostał wielkiego zaszczytu. Otóż nie wszyscy zawodnicy Długowłosych

nosili długie włosy, toteż graczy przeciwnych drużyn miały odróżniać barwy.

Długowłosi malowali się farbą czarną, mieszaniną zwierzęcego tłuszczu i węgla drzewnego, Nieustraszeni mazali się białą gliną. Jak obóz długi i szeroki mężczyźni zanurzali palce w miseczkach z barwnikami i ozdabiali ciała. Nadchodzący ze Śpiewem poznał sobie czarnymi smugami twarz, piersi i ramiona, następnie podał farbę Robowi.

Czemu nie? pomyślał ów półprzytomnie i zaczerpnął barwnika dwoma palcami jak człowiek nabierający łyżką grochówki. Smarując czoło i policzki wyczuwał gruzkowatość farby. Niczym motyl płci męskiej, strząsający poczwarczy kokon, nerwowo zrzucił na ziemię koszulę i pomalował tors w pasy. Nadchodzący ze Śpiewem przyjrzał się jego ciężkim szkockim buciskom, po czym gdzieś zniknął.

Wrócił po chwili z parą lekkich mokasynów z jeleniej skóry, podobnych do tych, w jakie byli obuci wszyscy Saukowie. Ale choć Rob przymierzył kilka par, okazało się, że stopy ma za duże, większe nawet od Nadchodzącego ze Śpiewem. Śmiali się obaj z ich rozmiaru. Wielki Indianin zaniechał w końcu nalegań i zgodził się, by Rob wystąpił w swych ciężkich buciorach.

Następnie wręczył mu kij z siatkowym mieszkiem – jego rękojeść z drzewa hikory dorównywała masywnością maczudze – i dał mu skinieniem znak, by za nim podążył. Przeciwnicy zebrali się już na otwartym placu pośrodku wioski. Makwa-ikwa wygłosiła krótką mowę w ojczystym języku, prawdopodobnie udzielając błogosławieństwa zawodnikom, i zanim Rob zdążył się połapać, co się dzieje, zamachnęła się i rzuciła piłkę, która leniwą parabolą

poszybowała w stronę czekających wojowników, by wylądować we wściekłym łupu-cupu kijów, wśród dzikich wrzasków i jęków bólu.

Ku rozczarowaniu Roba piłkę chwycili Nieustraszeni.

Unosił ją w swojej siatce długonogi, ubrany w spodnie młodzieniaszek, właściwie chłopiec jeszcze, o muskularnych wszakże nogach dorosłego biegacza.

Mknął jak na skrzydłach, a gracze rzucili się za nim całą zgrają niczym psy za zającem. Był to najwyraźniej sport dla ludzi rączych, ponieważ po kilku podaniach w pełnym biegu piłka znalazła się daleko przed Robem.

Nadchodzący ze Śpiewem trzymał się jego boku.

Kilka razy, gdy w przodzie wywiązała się walka na kije, doganiali najsmiglejszych graczy i zwalniali wówczas biegu. Olbrzymi Indianin chrząknął z satysfakcją, kiedy piłka trafiła wreszcie do siatki Długowłosych, nie zdawał się wszelako rozczarowany, gdy chwilę później odzyskali ją Nieustraszeni. Wataha graczy gnała wzdłuż rosnących nad rzeką drzew, on tymczasem skinął na swojego białego towarzysza i zбочyli obaj z kursu, jaki obrała reszta. Pobiegli na przełaj przez otwartą prerię, dudniącymi stopami rozchlapując osiadłe na młodej trawie grube krople rosy, co wyglądało tak, jakby chmary srebrzystych owadów wzbijały się im spod pięt.

Dokąd go prowadzono? Mógłże zaufać temu Indianinowi? Było jednak za późno, by się trapić podobnymi pytaniami, już wcześniej przecież złożył swój los w ręce czerwonoskórego. Całą energię skoncentrował przeto na dotrzymanywaniu kroku Nadchodzącemu ze Śpiewem, który jak na osobę tak znacznej postury, poruszał się



nader żwawo. Rob zorientował się wkrótce, jakie jego towarzysz ma zamiary: pobiegli na przełaj przez prerię, co stwarzało widoki na doścignięcie głównego korpusu zawodników, galopujących dłuższą drogą wzdłuż biegu rzeki. Gdy wreszcie się zatrzymali, dyszący ciężko Rob czuł w nogach ołów, a w boku kłucie.

Dobiegli jednak do zakrętu rzeki przed całą grupą.

Kilku najbardziej ręcznych biegaczy wysforowało się przed innymi. Ukryci w bikorowo-dębowym zagajniku Rob i Nadchodzący ze Śpiewem, łapiąc haustami powietrze, ujrzeli nagle trzech sadzących susami zawodników w białych barwach. Biegący na przedzie nie niósł piłki, kij z pustą siatką trzymał swobodnie niczym włócznię. Biegł boso, ubrany tylko w postrzępione gacie, które były zapewne pierwotnie brązowymi spodniami z samodziału jakiegoś białego człowieka. Był mniejszy od dwóch zaczajonych za drzewami zawodników Długowłosych, ale muskularny, wyglądał zaś tym groźniej, że w przeszłości postradał lewe ucho, po którym została mu na głowie guzowata blizna. Rob sprężył się do skoku, lecz Nadchodzący ze Śpiewem dotknął jego ramienia, nakazując przepuszczenie czujki. W niewielkiej odległości za pierwszym biegaczem mknął zawodnik z piłką w siatce – ten sam Nieustraszony, który chwycił rzuconą przez Makwę piłkę. Obok niego sadił niski, krępy Sauk w krótko obciętych spodniach, które służyły niegdyś kawalerzyście armii Stanów Zjednoczonych – niebieskich z szerokimi żółtymi lampasami, mocno przybrudzonymi.

Nadchodzący ze Śpiewem wskazał palcem Roba, a potem młodzika. Rob skinął głową: biorę go na siebie. Zdawał sobiesprawę, że uderzyć muszą przez zaskoczenie, gdyż jeśli tak chyży biegacz ucieknie, już go nie dogonią.

Spadli na nich jak grom. Rob zrozumiał dopiero teraz, w jakim celu okręcono mu wokół ramion rzemienne postronki, oto bowiem szybciej niż wprawny pasterz obala tryka i pęta mu nogi, Nadchodzący ze Śpiewem przewrócił na ziemię biegacza, który wysforował się na czoło, i skrępował mu nogi w kostkach i ręce w nadgarstkach. W samą porę – już wracał ten, który biegł jako czujka. Rob nie sprawił się równie szybko ze swoim młodzikiem, tak że Nadchodzący ze Śpiewem musiał w pojedynkę stawić czoło jednouchemu.

Nieustraszony zaatakował go kijem jak maczugą, olbrzym uchylił się jednak przed ciosem jakby od niechcenia. Był półtora raza większy od przeciwnika i bardziej waleczny.

Powalił tamtego na ziemię i związał jak barana, zanim jeszcze Rob uporał się ze swoim jeńcem.

Potem chwycił piłkę, cisnął ją do siatki Roba i bez słowa czy choćby rzutu okiem na trzech związanych przeciwników popędził dalej. Rob pognął jego śladem, niosąc piłkę w siatce, jakby to była bomba z zapalonym lontem.

Zmykali tak przez nikogo nie niepokojeni, póki Nadchodzący ze Śpiewem nie zatrzymał towarzysza i nie dał mu do zrozumienia, że są już na miejscu przeprawy przez rzekę. Zademonstrował następnie kolejne zastosowanie rzemieni, przywiązując mu kij do paska jego spodni, by Rob miał wolne ręce i mógł swobodnie płynąć. Potem przymocował własny kij do przepaski na biodrze i zrzucił znóg mokasyń z jeleniej skóry. Rob zdawał sobie sprawę, że stopy ma zbyt delikatne, aby biegać bosy, związał więc buty za sznurowadła i zawiesił sobie na szyi. Pozostawało uczynić coś z piłką. Po krótkim namyśle wpuścił ją w spodnie.

Jego rosły towarzysz wyszczerzył w uśmiechu zęby i pokazał trzy palce: masz teraz trzy jaja.

Choć żart nie był najwyższego lotu, dzięki niemu Rob rozładował napięcie: odrzucił w tył głowę i wybuchnął śmiechem. Popełnił błąd, echo jego wesołości pobiegło bowiem po wodzie i po chwili wróciło odzewem gromkiego krzyku pogoni, która dzięki temu sygnałowi odkryła ich położenie. Nie zwlekając więc dłużej wskoczył do lodowatej wody.

Płynęli głowa w głowę. Biały po europejsku, żabką, czerwonoskóry „pieskiem”. Rob był w siódmym niebie. Nie czuł się co prawda w pełni szlachetnym dzikusem, ale niewiele byłotrzeba, by uwierzył, że jest Skórzaną Pończochą<sup>[1]</sup>. Kiedy wyszli na przeciwległy brzeg, wielki Indianin burknął coś niecierpliwie, gdy jego towarzysz zaczął wciągać buty. Na powierzchni rzeki, niczym jabłka w balii, unosiły się już głowy goniących. Nim Rob wciągnął buty i umieścił piłkę w siatce, pierwszy z nich dopływał do brzegu.

Gdy ruszyli biegiem, Nadchodzący ze Śpiewem wskazał mu palcem wlot jaskini, która była metą zawodów. Jej czarny otwór przyciągnął Roba jak magnes. Wzbierał mu już w gardle gaelicki okrzyk triumfu – przedwcześnie, jak się okazało, bo drogę do wlotu pieczary przecięło im nagle pół tuzina Sauków. Choć woda prawie całkiem zmyła z nich białą glinę, zachowały się ślady barw ich drużyny. W tej samej niemalże chwili wypadło z lasu i skoczyło na nich dwóch Długowłosych. Jeden z przodków Roba, żyjący w piętnastym wieku Brian Cullen, sam jeden powstrzymał kiedyś całą czeredę McLaughlinów, zakreślając wokół siebie swym potężnym szkockim mieczem świszczące koło śmierci. Za pomocą oręża nie tak śmiercionośnego, siejącego wszelako dostateczny postrach, dwaj

Długowłosi trzymali teraz w szachu trzech przeciwników, wywijając kijami młyńce, podczas gdy pozostali trzej Nieustraszeni podjęli próbę odzyskania piłki. Nadchodzący ze Śpiewem odparował swym kijem potężny cios napastnika, po czym położył go celnie wymierzonym ciosem bosej pięty.

– Bravo, kopa mu, kopa! – wrzasnął Rob, zapominając, że nikt tu jego słów nie rozumie.

Jakiś Indianin natarł na niego z opętańczą furją. Rob uskokzył, gdy zaś nagie palce stopy tamtego znalazły się w zasięgu jego ciężkiego buciora, przygwoździł je tupnięciem.

Odbiegłszy kilka kroków od swej jęczącej ofiary, znalazł się – nawet jak na swoje ograniczone umiejętności – dostatecznie blisko wylotu jaskini. Sprężystym przegięciem nadgarstka skierował do niej piłkę. Nieważne, że zamiast śmignąć prosto do mrocznego celu potoczyła się do niego po ziemi. Ważne, że wszyscy zobaczyli, jak wturlała się do środka.

Wyrzucił kij do góry i zawył:– Zwycięstwooo! Wiwat, Czaarnyyy Klaaan!

Raczej usłyszał, niż poczuł spadający z tyłu na jego głowę cios kija. Był to soczysty trzask, podobny do dźwięku znanego mu z obozu drwali – huknięcia, z jakim siekiera o podwójnym ostrzu wali w twarde dębowy pień. Ku jego zdumieniu ziemia mu się rozwarła pod nogami i wpadł w głęboką jamę. Spowiła go ciemność, czas się zatrzymał niczym w zepsutym zegarku.

---

## 15 Podarunek od Kamiennego Psa

---

Odniesiono go nieprzytomnego do obozu niczym worek zboża. Kiedy otworzył oczy, była ciemna noc. Poczł zapach zgniecionej trawy, pieczonego mięsa, chyba tłustej wiewiórki, dymu ogniska i kobiecego ciała. Makwa-ikwa pochylała się nad nim, wpatrzona weń swoimi zarazem młodymi i sędziwymi oczami. Nie rozumiał pytania, jakie mu zadała. Czł tylko rozrywający mu czaszkę ból. Od zapachu mięsa zrobiło mu się niedobrze. Znachorka przewidziała to najwidoczniej, podstawila mu bowiem zaraz drewniany skopek, żeby mógł wymiotować.

Kiedy osłabiony rzyganiem z wysiłkiem łapał powietrze, podała mu do picia jakiś zimny, zielony i gorzki wywar.

Zdawało mu się, że rozpoznał miętę, ale był tam i jakiś smak silniejszy, nie tak już przyjemny. Spróbował odwrócić głowę, odmawiając przyjęcia napoju, lecz przytrzymała mu ją siłą, jak dziecku, zmuszając do przełknięcia. Był na nią wściekły, szybko jednak zasnął. Gdy się budził co jakiś czas, znowu wmuszała w niego tę gorzką zieloną ciecz. W takim stanie – półprzytomny między snem a jawą, ssąc gorzki cycek Matki Natury-przeleżał blisko dwa dni.

Rankiem trzeciego dnia guz zniknął i ustał ból głowy.

Makwa-ikwa przyznała, że już dobrze, ale napoiła go usypiającym wywarem równie szczodrze jak poprzednio, więc znowu zapadł w sen.

Wokół trwało zaś w najlepsze święto Tańca Żurawia.

Czasami dochodziło go granie wodnego bębenka kapłanki, czasem śpiewy w dziwnym gardłowym języku plemienia Sauk,

czasem bliższe czy dalsze odgłosy zabaw i wyścigów, którymwtórowały pokrzykiwania widzów. Kiedy u schyłku tego dnia otworzył oczy, Makwa-ikwa przebierała się właśnie w mroku chaty. Było dostatecznie widno, tak że gdy wlepił spojrzenie w jej obfite piersi, stwierdził ze zdumieniem, iż pokrywają je biegnące od mostka ku aureolom sutek pręgi i blizny w kształcie jakichś dziwnych ni to symboli, ni to runicznych znaków.

Choć nie poruszył się ani nie wydał żadnego dźwięku, wyczuła szóstym zmysłem, że się zbudził. Ich oczy spotkały się na chwilę, po czym odwróciła się do niego plecami, nie tyle po to, żeby ukryć ciemny kędzierzawy trójkąt łona, ile – jak mu się zdawało – by ochronić przed jego spojrzeniem tajemnicze symbole na piersiach kapłanki. Święte piersi, skonstatował w zamyśleniu. W jej biodrach i pośladkach nie było wszakże nic świętego. Kości była grubej, mimo to nie rozumiał, dlaczego nazywają ją Niedźwiedzicą, z twarzy i gibkości ciała przypominała raczej dużego kota. Nie potrafiłby określić, ile ma lat. Nagle wyobraził sobie plastycznie, jak bierze ją od tyłu, trzymając się oburącz jej grubych warkoczy, splecionych z tłustych czarnych włosów, jakby dosiadał ponętnego ludzkiego wierzchowca. Uzmysłował sobie ze zdumieniem, że marzy mu się zostać kochankiem czerwonoskórej dzikuski, cudowniejszej od tworów wyobraźni wszystkich Jamesów Fenimore'ów Cooperów, po chwili zaś dotarła do jego świadomości żywa reakcja jego ciała. Priapizm mógłby zostać po takim urazie uznany za objaw złowróźbny, ale ponieważ wiedział, że przyczyną tej manifestacji męskości jest kobieta, a nie jego kontuzja, przewidywał, iż jednak wyzdrowieje.

Leżał spokojnie i przyglądał się, jak Indianka wkłada frędzlasty strój z jeleniej skóry. Przez prawe ramię przerzuciła pas spleciony z czterech kolorowych rzemieni, na którym zawieszona była skórzana torba pomalowana w symboliczne figury, oraz koło z wielkich jaskrawych piór nie znanych mu ptaków. I torba, i pierzaste koło zawisły na jej lewym biodrze.

Chwilę później wymknęła się z chaty. Do jego postłania doleciał wkrótce jej wznoszący się chyba w modlitwie, to znów opadający głos.

– Hough! Hough! Hough! – odpowiadali jej Saukowie unisono, a ona śpiewała dalej.

Rob nie miał pojęcia, co Makwa mówi do swojego boga, a mimo to od doniosłości tej modlitwy przebiegł go zimny dreszcz. Wsłuchiwał się w nią z napięciem, wpatrzony w widoczne przez dymnik chaty gwiazdy, podobne do okruchów lodu, które jakimś cudem udało się jej pozapalać.

Tej nocy nasłuchiwał niecierpliwie odgłosów zapowiadających koniec święta Tańca Żurawia. To zapadał w drzemkę, to budził się i nastawiał uszu, dygocząc z niepokoju, i wciąż czekał, póki nie ustały hałasy i nie umilkły głosy, oznajmiając koniec święta.

Wtedy nareszcie ktoś wszedł do chaty. Rob wsłuchiwał się czujnie w szmer zdejmowanego, a potem spadającego na ziemię ubrania. Ktoś usiadł obok niego z cichym sapnięciem, dotknęły go czyjeś ręce, jego dłonie poszukały czyjegoś ciała. Wszystko dokonało się w milczeniu mąconym jedynie cichymi oddechami, pomrukami rozbawienia, syknięciami. Nie musiał przejawiać szczególnej aktywności. Rozkoszy, choćby i chciał, nie byłby w stanie przedłużyć, za długo żył w celibacie. Kobieta była

doświadczona i zręczna, on spragniony i niecierpliwy, potem zaś – rozczarowany.

Jak gdyby wgryzł się w piękny owoc i stwierdził, że nie smakował tak, jak się spodziewał.

Badając w ciemności powaby jej ciała stwierdził, że jej piersi są bardziej obwisłe, niż zapamiętał, a ich powierzchnia pod jego palcami gładka, nie porysowana bliznami. Podczołgał się do ognia, wyjął jakiś patyk i zaczął nim wymachiwać, póki żar na końcu nie rozjarzył się płomieniem.

Przyczółgawszy się z tą pochodnią z powrotem na matę westchnął zawiedziony: uśmiechała się do niego szeroka, wcale nawet niebrzydka twarz nieznajomej Indianki.

Gdy Makwa-ikwa wróciła nazajutrz rano do chaty, znowu miała na sobie codzienny nieforemny strój ze spłowiałego samodziału. Święto Tańca Żurawia najwyraźniej na dobre się skończyło. Rob przyglądał się chmurnie, jak przygotowuje kaszę, danie na zakończenie ich postu. Burknął gniewnie, żeby nie podszyłała mu więcej kobiet, na co bez dyskusji kiwnęła tylko posłusznie głową, czego nauczyła się pewnie jako mała dziewczynka, gdy przemawiali do niej surowo jej chrześcijańscy nauczyciele.

Powiedziała mu, że kobieta, którą do niego przysłała, ma na imię Smużka Dymu. Nie przerywając gotowania posiłku wyjaśniła spokojnie, że sama nie może pokładać się z mężczyzną, gdyż czyniąc tak straciłaby swoją uzdrowicielską moc.

Cholerne aborygeńskie brednie, pomyślał Rob z rozpaczą. Najwyraźniej w nie jednak wierzyła.

Rozważywszy wszelako rzecz całą dokładniej przy posiłku, podczas którego jej mocna indiańska kawa jeszcze nigdy nie



smakowała mu tak gorzko, musiał uczciwie przyznać, że i on szybko by drapnął, gdyby wsunięcie prącia do jej pochwy miało oznaczać koniec jego medycznej kariery. Zrozumiał, że postąpiła z godnym podziwu taktem, zadbawszy najpierw o ugaszenie ognia jego chuci, nim wyjawiała mu, prosto i szczerze, jak się sprawy mają. Nie po raz pierwszy musiał przyznać, że niezwykła z niej kobieta.

Tego popołudnia Saukowie zgromadzili się tłumnie w jej hedonosote. Nadchodzący ze Śpiewem wygłosił krótkie przemówienie, zwracając się nie do Roba, a do swoich pobratymców. Makwa-ikwa tłumaczyła gościowi jego słowa.

– I'netu'wa. On jest mężczyzną – oświadczył olbrzym.

Powiedział, że odtąd Cawso wabeskiou, Biały Szaman, będzie Saukiem i Długowłosym. Saukowie przez resztę swoich dni będą braćmi i siostrami Cawso wabeskiou.

Potem wypchnięto do przodu uśmiechającego się i szurającego nogami zawodnika Nieustraszonych, który zdzielił go w głowę po zwycięskim dla Długowłosych zakończeniu meczu. Winowajca miał na imię Kamienny Pies. Saukowie nie znali przeprosin, uznawali jednak nawiązkę. Kamienny Pies podarował poszkodowanemu skórzany woreczek podobny do tego, jaki nosiła czasem Makwa-ikwa, tyle że ozdobiony nie piórami, a dudkami piór.

Makwa-ikwa wyjaśniła Robowi, że to woreczek na jego „leki”, święte przedmioty zwane mee-shome, których nie należy nikomu pokazywać i z których każdy Sauk czerpie siłę i moc. Żeby miał na czym nosić woreczek, ofiarowała mu plecionkę z czterech pasem brązowego, pomarańczowego, niebieskiego i czarnego – i przywiązała ją tak, by mógł zawieszać mee-shome na ramieniu. Sznurki noszą nazwę plecionek izze, objasniła go.

– Ilekcioć będziesz je miał na sobie, nie dosięgną cię kule, a twoja obecność poprawi zbiory i będzie leczyć chorych.

Rob był wzruszony, ale i zakłopotany.

– Jestem szczęśliwy, że mogę być bratem Sauków – powiedział.

Wyrażanie wdzięczności zawsze przychodziło mu z trudem. Kiedy wuj Ranald za pięćdziesiąt funtów kupił mu posadęstażysty od zakładania opatrunków w szpitalu uniwersyteckim, by jeszcze jako student medycyny mógł zdobywać doświadczenie w chirurgii, słowa podziękowania ledwo mu przeszły przez gardło.

Obecnie również nie poszło mu lepiej. Na szczęście Saukowie także nie nawykli do objawów wdzięczności i czułych pożegnań, toteż nikt nie poczuł się urażony, gdy wyszedł z chaty, osiodłał konia i odjechał.

Wróciwszy do domu zabrał się zaraz za wybieranie przedmiotów do świętego zawiniątka. Kilka tygodni wcześniej znalazł w leśnym poszyciu dokładnie oczyszczoną białą czaszkę jakiegoś zwierzęcia.

Domyślił się z jej rozmiaru, że należała do skunksa.

Dobrze, ale co jeszcze? Paluszek uduszonego przy porodzie dziecka? Oko traszki, palec żaby, sierść nietoperza, język psa?... Zapragnął nagle spakować swoje święte zawiniątka z całkowitą powagą. Jakie przedmioty najpełniej wyrażają jego naturę, są kluczem do jego ducha, stanowią mee-shome, z którego Robert Judson Cole czerpie swoją moc?

Umieścił w woreczku dziedziczny klejnot rodu Cole'ów – chirurgiczny lancet z błękitnej stali, nazywany w rodzinie „skalpelem Roba J.” i zawsze przypadający w spadku najstarszemu synowi, gdy ten zostanie lekarzem.

Co jeszcze z wczesnego okresu swego życia mógłby tu umieścić? Niepodobna zamknąć w torbie zimnego powietrza szkockich gór. Ani atmosfery rodzinnego ciepła. Pragnąłby mieć jakąś podobiznę ojca, którego rysy dawno już zapomniął. Matka żegnając się z nim podarowała mu Biblię i dlatego cenił ją sobie jak najdroższy skarb, ale nie umieści tej księgi w swoim mee-shome. Wiedział, że matki więcej nie zobaczy. Pewnie już nie żyła. Wpadło mu do głowy, żeby spróbować utrwalić na papierze jej portret, dopóki ją jeszcze pamięta. Poszło mu łatwo, trudności nastęrczył jedynie nos, tak że dopiero po wielu godzinach daremnych wysiłków udało mu się narysować jej zadowalającą podobiznę. Zwinął ją w rulonik, związał i wsunął do woreczka.

Włożył doń jeszcze zapis nutowy, który przygotował dla niego Jay Geiger, by mógł grywać Chopina na wiolonczeli. Do świętego zawiniątka powędrował również kawałek szarego mydła jako symbol higieny w chirurgii, o której znaczeniu dowiedział się od Olivera Wendella Holmesa. To natchnęło go nową ideą i po krótkim zastanowieniu usunął z woreczkowszystko prócz skalpela i mydła, po czym dołożył trochę szarpi, a także opatrunki, zestaw leków oraz narzędzia chirurgiczne, jakich potrzebował wyjeżdżając z wizytami do swoich pacjentów. Gdy skończył to pakowanie, jego święte zawiniątko przeobraziło się w torbę lekarską, zawierającą preparaty i przybory jego kunsztu i rzemiosła. Wszak źródłem jego mocy była lekarska torba, niezmiernie był przeto rad z tego podarunku, który w nawiązce za cios w swój twardy czerep otrzymał od zawodnika Nieustraszonych imieniem Kamienny Pies.

---

## 16 Łowcy sikorek

---

Zakup owiec stał się w jego życiu ważnym wydarzeniem, słuchając ich beczenia poczuł się bowiem naprawdę jak u siebie w domu. Początkowo pomagał Aldenowi przy merynosach, rzucało się jednak w oczy, że parobek potrafi obchodzić się z owcami nie gorzej niż z inną żywiną, i wkrótce sam kurtyzował ogony, kastrował jagnięta i chronił zwierzęta przed świerzbem, jak pasterz z dziada pradziada. To, że obecność Roba na farmie nie była konieczna, stanowiło okoliczność nader pomyślną, ledwie bowiem rozeszła się po okolicy wieść o przybyciu dobrego lekarza, wzywano go do pacjentów z coraz odleglejszych stron. Zdawał sobie sprawę, że będzie musiał niedługo ograniczyć obszar swojej lekarskiej praktyki, spełniało się bowiem marzenie Nicka Holdena i do Holden's Crossing ścigało wielu osadników z rodzinami. Nick przyjechał do niego któregoś ranka, by obejrzeć stado. Stwierdził, że brzydko pachnie, i został nieco dłużej, żeby namówić Roba na udział „w przedsięwzięciu bardziej obiecującym. Młyn zbożowy!”

Wśród nowo przybyłych znajdował się otóż Niemiec nazwiskiem Pfersick, młynarz z New Jersey, który wiedział, gdzie można by kupić wyposażenie młyna, nie dysponował jednak kapitałem.

– Dziewięćset dolarów powinno wystarczyć. Ja wyłożę sześć setek za pięćdziesiąt procent udziałów.

Ty dajesz trzysta na dwadzieścia pięć procent.

Założę za ciebie. Pfersickowi damy dwadzieścia pięć procent za prowadzenie interesu.

Rob spłacił Nickowi niecałą połowę kwoty, jaką był mu winien, a długów nie lubił.

– Wykładasz całą sumę, więc czemu nie zatrzymasz dla siebie siedemdziesięciu pięciu procent?

– Bo chcę ci wymościć gniazdko tak mięciuchne i dostatnie, żeby nie przyszła ci ochota stąd wyfrunąć. Jesteś dla miasta równie niezbędny jak woda.

Rob zdawał sobie sprawę, że tak jest w istocie.

Kiedy pojechał z Aldenem do Rock Island kupować owce, oglądali ulotkę rozpowszechnianą przez Nicka, zachwalającą liczne korzyści, jakie płyną z osiedlenia się w Holden's Crossing – wśród nich na plan pierwszy wysuwano opiekę medyczną w osobie doktora Cole'a. Rob nie uważał, żeby udział w takim przedsięwzięciu mógł go skompromitować jako lekarza, więc ostatecznie się zgodził.

– Jesteśmy więc wspornikami! – ucieszył się Nick.

Uściskiem dłoni dobili interesu. Rob podziękował wspólnikowi za olbrzymie cygaro, które Nick mu zaoferował dla uczczenia takiego wydarzenia. Użytek, jaki czynił z mocnych cygar, traktując je jako doodbytnicze czopki nikotynowe, osłabił jego apetyt na tytoń. Gdy zaś Nick wetknął sobie cygaro w zęby, Rob orzekł, że wygląda jak prawdziwy bankier.

– Zostanę nim prędzej, niż myślisz, i dowiesz się o tym jako jeden z pierwszych. – Holden z błogim zadowoleniem wydmuchiwał dym w niebiosa. – Pod koniec tygodnia wybieram się do Rock Island na sikorki. Nie miałbyś też ochoty?

– Polujesz na sikorki? W Rock Island?

– Nie na ptaszki! Na osóbkę płci pięknej. Co ty na to, stary skopie?

– Nie chodzę do burdeli.

– Mam na myśli pierwszorzędny prywatny towar.

– Ostatecznie... czemu nie? – zgodził się Rob.

Dołożył starań, by powiedziane to zostało lekko, jakaś nuta w głosie musiała jednak zdradzić jego podniecenie, Nick Holden ryknął bowiem śmiechem.

Gospoda Stephensona dobrze oddawała charakter miasta nad rzeką Missisipi, do którego przybywało co roku tysiąc dziewięćset parowców i przez które przepływały nieraz tratwy długie na jedną trzecią mili.

Gdy drwale i flisacy mieli w kieszeniach pieniądze, hotel huczał gwarem, bywało też, że trząsał się odbijatyk. Nick Holden poczynił przygotowania kosztowne, gwarantujące odosobnienie – zamówił apartament z dwiema sypialniami, oddzielonymi salonikiem. Jego sikorki okazały się kuzynkami. Obie nosiły nazwisko Dawber i były rade, że ich klienci są ludźmi z pozycją. Nickowi przypadła Lettie, Robowi Virginia. Obie były drobne i żywe jak wróbelki, lecz pozowały na styl łobuzerski, od czego Roba aż mdliło. Lettie była wdową, Virginia wyznała mu, że nigdy nie była mężatką, ale gdy w nocy zapoznał się bliżej z jej ciałem, stwierdził, że rodziła już dzieci.

Kiedy nazajutrz rano jedli we czwórkę śniadanie, panie coś do siebie poszeptywały, wybuchając co chwila chichotem. Virginia musiała powiedzieć Lettie o kondonie, który Rob nazywał Starym Jebuskiem, ta zaś wypaplać to Nickowi, w drodze powrotnej bowiem Holden ze śmiechem wspomniało tym środkiem ostrożności.

- Po co zawracasz sobie głowę tymi zakazanymi zabawkami?
- Zabezpieczają przed chorobą-wyjaśnił spokojnie Rob.
- A i przed ojcostwem.
- Ale psują przyjemność.

Czy rzeczywiście była to aż taka przyjemność? Nie mógłby zaprzeczyć, że jego ciało i duch doznały pewnego odprężenia, więc gdy Nick powiedział, że było całkiem miło, przyznał, że i on dobrze się bawił, i zgodził się, że muszą się jeszcze kiedyś wybrać na sikorki.

Przejeżdżając następnym razem obok gospodarstwa Schroederów, dojrzał na łące Gusa z kosą w ręku, choć nie miał u niej wszystkich palców.

Pozdrowili się z daleka. Roba korciło, by minąć kleć Sary Bledsoe, która dała mu jasno do zrozumienia, że uważa go za natręta, jego zaś na samą myśl o niej brała czemuś złość. W ostatniej jednak chwili skręcił na polankę i zsiadł z konia.

Stanąwszy przed chatką, w porę zatrzymał rękę i nie zastukał do drzwi, ze środka dobiegł go bowiem wyraźnie płacz dziecka i schrypnięte krzyki kobiety, źle wróżące dźwięki.

Pchnął drzwi.

Były otwarte. W nozdrza uderzył go potworny smród.

Choć w chacie panował mrok, dojrzał leżącą na podłodze Sarę Bledsoe. Obok niej siedziało dziecko. Zapłakaną twarzą ścieło mu takie przerażenie z powodu kolejnego strasznego przeżycia – wtargnięcia obcego olbrzyma – że jego usta zastygły w niemym rozdziawieniu. Rob chciał dziecko podnieść i uspokoić, ale z gardła kobiety znowu wydarł się krzyk, zrozumiał więc, że to nią powinien się najpierw zająć.

Przyklęknął i dotknął jej policzka. Był mokry od zimnego potu.

– Co pani dolega, pani Bledsoe?

– Mam raka. Och!...

– Gdzie panią boli?

Jej dłonie o rozczapierzonych długich palcach zbiegły się niczym białe pająki na dolnej części brzucha.

– Czy to ból ostry czy tępy?

– Kłujący! Przeszywający! Panie, to jest... to nie do zniesienia!...

Obawiał się, że mocz wypływa z niej przetoką powstałą podczas porodu. Gdyby tak było, nie zdołałby jej pomóc.

Zamknęła oczy spostrzegłszy widać, że świadectwo jej nieustannego moczenia się odbija się aż nadto wyraźnie w układzie jego nozdrzy i w każdym oddechu.

– Muszę panią zbadać.

Chciała zaprotestować, lecz gdy otworzyła usta, wyrwał się z nich tylko kolejny krzyk bólu. Była zeszywniała z napięcia, udało mu się jednak ułożyć ją na piersiach na lewym boku, z odwiedzionym w bok prawym kolaniem. Stwierdził, że nie ma przetoki.

W torbie miał pudełko ze świeżym smalcem, którego używał jako maści.

– Proszę się nie bać. Jestem lekarzem-uspokajał ją, mimo to rozplakała się, bardziej z upokorzenia niż z bólu, gdy wsunął do pochwy środkowy palec lewej ręki, prawą ugniatając jedno cześnie brzuch. Starał się uczynić z opuszka palca widzące oko.

Przesuwając go badawczo, zrazu nie dostrzegął niczego, kiedy go wszakże zbliżył do kości łonowej, wyczuł coś.

A potem jeszcze coś.



Delikatnie wysunął palec i podał chorej szmatę, aby się wytarła, sam zaś wyszedł umyć ręce w strumieniu.

Żeby z nią porozmawiać, wyprowadził ją na dwór, na jaskrawe słońce, i mrugając powiekami posadził na pieńku, na którym przycupnęła tuląc w ramionach synka.

– Nie ma pani raka. – Wolałby nie musieć nic więcej dodawać. – Ma pani kamienie w pęcherzu.

– Więc nie umrę?

Nie myślał zaprzeczać prawdzie.

– Przy raku miałyby pani znikome szansę na przeżycie.

Przy kamicy ma pani większe.

Wyjaśnił jej mechanizm tworzenia się kamieni w pęcherzu, najprawdopodobniej w rezultacie ubogiej diety i przewlekłej biegunki.

– Zgadza się. Miałam biegunkę jeszcze długo po jego urodzeniu. Jest na to jakieś lekarstwo?

– Nie. Nie ma takiego, które by kamienie rozpuszczało.

Mniejsze same wychodzą czasem z moczem, a że mają zwykle ostre krawędzie, mogą kaleczyć ciało. Przypuszczam, że dlatego oddawała pani krwawy mocz. Pani ma jednak dwa duże kamienie. Za duże, by mogły się precisnąć.

– Więc będzie mnie pan kroił? Boże kochany!... – załamał jej się głos.

– Nie... – Zawahał się, wążąc w myślach, ile jej powie dzieć. W przysiędze Hipokratesa, którą składał, było między innymi zdanie: „Nie będę operował chorego na kamienie”

Niektórzy rzeźnicy niewiele sobie z tego robili i kroili jakby nigdy nic, wrzynając się w krocze między odbytem a sromem lub moszną,

żeby rozciąć pęcherz i dostać się do kamieni.

Nielicz nym w ten sposób przywracali zdrowie, wielu natomiast wysyłali na tamten świat, bo operowani umierali na zapalenie otrzewnej, resztę zaś okaleczali nieodwracalnie, przecinając im jelita bądź mięsień pęcherza. -Dostanę się do pani pęcherza przez cewkę moczową, taki wąziutki kanalik, którym wypływa z pani mocz, za pomocą narzędzia chirurgicznego zwanego litotrypterem. Ma ono dwa małe, podobne do szczęk stalowe szczypczyki, którymi usuwa się kamienie lub je kruszy.

- Czy to będzie bolało?

- Tak, najbardziej wtedy, kiedy będę wprowadzał litotrypter, a potem go wyciągał. Ale nie będzie to ból tak silny jak teraz.

Jeśli zabieg się uda, będzie pani całkiem wyleczona. - Przyzna nie, że największym niebezpieczeństwem groziła jej niedostateczna biegłość operującego, nie przyszło mu łatwo.-Jeżeli usiłując chwycić kamień w szczęki litotryptera, uszczypnę i przebiję pęcherz albo uszkodzę otrzewną, umrze pani najprawdopodobniej na zakażenie.

- Wpatrując się w jej ściągniętą twarz spostrzegł, że jest młodsza i ładniejsza, niż mu się zdawało.

- Od pani zależy, czy spróbujemy.

Z emocji zbyt mocno ścisnęła dziecko, które zaczęło płakać. Dlatego nie od razu dotarło do niego to, co wyszeptała:- Proszę.

Zdawał sobie sprawę, że przy litotrypsji potrzebna mu będzie pomoc. Pamiętając, jaka była napięta podczas badania, czuł, że jego asystentką powinna być kobieta. Pożegnawszy się z Sarą Bledsoe, pojechał prosto na sąsiednią farmę porozmawiać z Alną Schroeder.

- Ach, ja nie mogę, och, nie, przenigdy! - Biedna Alma zbladła jak płótno. Szczere uczucie, jakie miała dla Sary pogarszało jeszcze jej

zmieszanie. – Gott im Himmel! Och, doktorze Cole, bardzo pana proszę, ja nie mogę.

Widząc, jak to przeżywa, zapewnił ją, że odmowa bynajmniej źle o niej nie świadczy. Niektórzy ludzie po prostu nie są w stanie przyglądać się operacji.

– Dobrze, Almo. Poszukam kogoś innego.

W drodze do domu przeglądał w pamięci ewentualne kandydatki na asystentki spośród kobiet z sąsiedztwa, lecz odrzucił kolejno jedną po drugiej. Nie szukał płaksy. Szukał kobiety inteligentnej, o silnych rękach i dostatecznej mocy ducha, by się nie rozkleiła w obliczu cudzego cierpienia.

W połowie drogi skierował konia do indiańskiej wioski.

---

## 17 Córka Midewiwin

---

Makwa-ikwa wracając pamięcią do dawnych czasów, co czyniła rzadko, przypominała sobie, że tylko nieliczni nosili wtedy ubrania białego człowieka, toteż wystrzępiona koszula czy podarta sukienka działały jak mocny lek, ponieważ wszyscy odziewali się w jelenie skóry – wyprawione i przeżute do miękkości – bądź w zwierzęce futra. Kiedy była dzieckiem, mieszkała w Sauk-e-nuk i nosiła imię Nishwiri Kekawi, Dwa Nieba, białych ludzi, mookamonik, było zbyt niewielu, by mogli wywierać wpływ na ich życie. Na wyspie

stacjonował garnizon założony po tym, jak urzędnicy z St. Louis spili kilku Indian z plemion Mesquakie i Sauk i nakłonili ich do podpisania dokumentu, którego treści sygnatariusze, nawet trzeźwi, niebyliby w stanie odczytać. Ojciec Dwóch Nieb, Ashtibugwagupichee, Zielony Bawół opowiedział córce i jej starszej siostrze, Meci-ikwawa, Wysokiej Kobiecie, że gdy założono garnizon, Długie Noże zniszczyły najlepsze jagodowe krzewiny ich plemienia.

Zielony Bawół pochodził z rodu Niedźwiedzi, z którego najczęściej wywodzili się wodzowie, lecz nie pragnął zostać wodzem ani czarownikiem. Chociaż nosił święte imię, otrzymane po jednym z manitu, był człowiekiem prostym.

Szanowano go, gdyż zbierał ze swoich pól bogate plony. W młodości walczył z plemieniem Iowa i zdobył liczne łupy. Nie należał do pyszałków, toteż dopiero gdy umarł wuj Winnawa, Krótki Róg, Dwa Nieba dowiedziała się czegoś o swoim ojcu.

Krótki Róg był pierwszym znanym jej współplemieńcem, który zapił się na śmierć trucizną nazywaną przez białych

whisky z Ohio, a przez jej naród „ognistą wodą”. Saukowie grzebali zmarłych w ziemi w odróżnieniu od plemion, które utykały zwłoki w rozwidleniach konarów drzew. Kiedy ciało wuja spuszczone do grobu, Zielony Bawół uderzył gniewnie w jego brzег swą pucca-maw, bojową maczugą. „Zabiłem na wojnie trzech wrogów. Ich duchy ofiarowuję teraz memu bratu, który tu spoczywa, aby na tamtym świecie służyły mu jako niewolnicy”, wykrzyknął i tak oto Dwa Nieba dowiedziała się, że jej ojciec był niegdyś wojownikiem.

Zielony Bawół był człowiekiem cichym i pracowitym.

Początkowo wraz z Matapyem, Przymierzem Rzek, matką Dwu Nieb, uprawiał dwa poletka kukurydzy, dyni i arbuzów, ale gdy rada plemienna zorientowała się, jak dobrym jest rolnikiem, dodała mu dalsze dwa. Ich kłopoty zaczęły się, kiedy Dwa Nieba skończyła dziesięć lat. Zjawił się u nich wtedy mookamon nazwiskiem Hawkins i zbudował chatę na polu sąsiadującym z pólkiem, które jej ojciec obsiał kukurydzą. Ziemia, na której osiedlił się Hawkins, leżała odłogiem od śmierci uprawiającego ją poprzednio Weguwa, Tancerza Szaunisów, bo rada nie mogła się jakoś zdecydować, komu ją przydzielić. Hawkins sprowadził ze sobą konie i krowy. Pola uprawne przedzielone były tylko chruścianymi płotkami i żywopłotami. Pewnego razu konie Hawkinsa weszły na pole Zielonego Bawołu i wyjadały mu kukurydzę.

Zielony Bawół pochwytał je i odprowadził do właściciela, ale nazajutrz zwierzęta znów wlażyły mu w szkodę. Poskarżył się radzie, lecz ta nie wiedziała, co począć z tymfantem, bo tymczasem do Rock Island zjechało i osiedliło się na ziemi uprawianej od ponad stu lat przez Sauków jeszcze pięć białych rodzin.

Zielony Bawół nie zwrócił więc koni, tylko spętał je na swoim polu. Wkrótce zjawił się u niego kupiec z Rock Island nazwiskiem George Davenport.

Davenport był pierwszym białym, który pośród nich zamieszkał, i Saukowie mieli do niego zaufanie.

Poradził on Zielonemu Bawołowi, żeby oddał konie, gdyż w przeciwnym razie Długie Noże wtrąca go do więzienia. Zielony Bawół postąpił tak, jak mu doradził jego przyjaciel Davenport.

Jesienią 1831 Saukowie przenieśli się, jak co roku, do zimowego obozu w Missouri. Kiedy wiosną wrócili do Sauk-e—nuk, okazało

się, że na ich ziemie ściągęto więcej białych rodzin, że przewracano ich płoty i spalono chaty. Rada nie mogła trwać dłużej w bezczynności. Porozumiała się z Davenportem, Feliksem St. Vrain, agentem do spraw Indian, i majorem Blissem, dowódcą stacjonujących w forcie żołnierzy. Rozmowy przeciągały się, więc tymczasowo przyznała inne poletka tym członkom plemienia, których ograbiono z ziemi.

Niejaki Joshua Vandruff, przysadzisty Holender przybyły z Pensylwanii, zajął pole Sauka o imieniu Makataime-shekia-kiak, Czarny Jastrząb. Vandruff zaczął sprzedawać Indianom whisky w hedonosote, które Czarny Jastrząb wznosił własnymi rękami przy pomocy synów. Makataime-shekiakiak nie był wodzem, wszelako przez całe prawie swoje sześćdziesięcioletnie życie walczył ze szczepami Osagów, Czirokezów, Chippewów i Kaskaskiów.

Kiedy w roku 1812 wybuchła między białymi wojna, zebrał oddział wojowników z plemienia Sauk i ofiarował swe usługi Amerykanom, spotkał się jednak z opryskliwą odmową. Urażony przedłożył tę samą propozycję Anglikom, którzy odnieśli się do niego z szacunkiem i przez całą wojnę korzystali z jego wsparcia, w zamian zaś dawali mu broń, amunicję, medale, otrzymał nawet czerwoną kurtkę, oznakę żołnierza. A teraz, dochodząc sędziwego wieku, Czarny Jastrząb musiał patrzeć, jak w jego domu sprzedaje się whisky. Co gorsza – jak pijaństwo deprawuje i zuboża jego plemię, Vandruff bowiem oraz jego kompan, B. F. Pike, rozpijali Indian i łupili ich z futer, koni, strzelb i sideł. Czarny Jastrząb wybrał się do nich w końcu i poprosił, by przestali sprzedawać Saukom „ognistą wodę”, gdy zaś zlekceważyli jego prośbę, wrócił z

sześciomawojownikami, którzy wytoczyli z chaty wszystkie beczki, przedziurawili je i wylali zawartość na ziemię.

Vandruff nie zwlekając zapakował do juków przy siodle prowiant na długą drogę i pospieszył do Bell ville, gdzie mieszkał John Reynolds, gubernator stanu Illinois. W zaprzysiężonym oświadczeniu zawiadomił go, że Indianie z plemienia Sauk napadli na białych osadników, zadając im rany klute i pustosząc siedziby. Wręczył też gubernatorowi petycję podpisaną przez B. F. Pike'a, w której ów stwierdzał: „Indianie wypasają konie na naszej pszenicy, strzelają do naszego bydła i grożą, że spalą nas w chatach, jeśli się stąd nie wyniesiemy”.

Reynolds był gubernatorem od niedawna. W czasie kampanii wyborczej obiecywał, że w Illinois będzie się można osiedlać bezpiecznie. Gubernator mogący się poszczycić sukcesami w walce z czerwonoskórymi mógł marzyć o fotelu prezydenta.

„Bóg mi świadkiem, sir – zwrócił się z emfazą do Vandraffa – poszukał pan sprawiedliwości u właściwego człowieka.”

Siedmiuset kawalerzystów przyciągnęło i rozłożyło się obozem poniżej Sauk-e-nuk, wzbudzając poruszenie i zaniepokojenie. W tym samym czasie w górę Rocky River, sapiąc i wyrzucając z komina kłęby dymu, płynął parowiec. Osiadł na jednej ze skał, od których rzeka wzięła nazwę, mookamonik wszakże zdołali go z niej zepchnąć, statek zakotwiczono niebawem, a we wioskę wycelowano jedyne na pokładzie działo. Wojenny wódz białych, generał Edmund P. Gaines, wezwał Indian z plemienia Sauk na rokowania. Za stołem zasiedli sam generał, agent do spraw Indian, St. Vrain, oraz kupiec Davenport, który służył jako tłumacz. Na rokowania przybyło około dwudziestu spośród starszyny Sauków.

Generał Gaines oświadczył im, że traktat z roku 1803, ustanawiający fort na Rock Island, przyznawał ponadto Wielkiemu Ojcu z Waszyngtonu wszystkie ziemie Sauków na wschód od Missisipi – pięćdziesiąt milionów akrów. Oznajmił też oszołomionym i zdumionym Indianom, że otrzymali już rentę roczną, a obecnie Wielki Ojciec z Waszyngtonu życzy sobie, aby jego dzieci opuściły Sauk-e-nuk i przeniosły się za wielką rzekę, Masesibowi. Wielki Ojciec z Waszyngtonu ofiarowuje im w darze ziarno kukurydzy, by mogli przetrwać zimę.

Wodzem plemienia Sauk był Keokuk, który wiedział, jak liczni są biali. Kiedy Davenport przetłumaczył mu słowa białegowodza, na sercu Keokuka zacisnęła się wielka pięść. Choć pozostali zwrócili nań oczy, od niego oczekując odpowiedzi, wódz trwał w milczeniu. Podniósł się tedy wojownik, który walcząc po stronie Brytyjczyków, nauczył się trochę ich języka, i przemówił:– Nigdy nie sprzedawaliśmy naszej ziemi. Nigdy nie otrzy maliśmy za nią zapłaty od Wielkiego Białego Ojca. Nie opuś cimy naszej wsi.

Przed generałem Gainesem stał podeszły już w latach Indianin bez wodzowskiego nakrycia głowy, w poplamionym ubraniu z jeleniej skóry, o zapadniętych policzkach i wysokim kościstym czole. W zauszonym kosmyku włosów, który przedzielał jego wygoloną czaszkę, więcej było siwych niżeli czarnych nitek. Wyzywająco orli, wydatny nos wyrastał spomiędzy szeroko rozstawionych oczu. Nad dołkiem w brodzie, nie pasującym do tego oblicza wyostrzonego jak siekiera, zaciskały się surowo wargi.

Gaines westchnął i spojrział pytająco na Davenporta.

– To Czarny Jastrząb.



– Co to za jeden? – zapytał Davenporta generał, ale odpowiedzi udzielił mu sam Indianin.

– Jestem Saukiem. Moi ojcowie byli Saukami, potężnymi wodzami. Chcę pozostać tu, gdzie spoczywają ich kości, i swoje kości złożyć między nimi. Czemu miałbym opuszczać ich pola?

On i generał mierzyli się przez chwilę spojrzeciami, kamienne przeciwko stalowemu.

– Nie przybyłem tu po to, aby was prosić lub nakłaniać, żebyście opuścili waszą wioskę. Moim zadaniem jest usunąć was stąd – oznajmił spokojnie generał. – Pokojowo, jeśli to możliwe. Siłą, jeśli zostanę do tego zmuszony. Daję wam dwa dni na wyniesienie się stąd. Jeśli do tego czasu nie przekroczycie Missisipi, usunę was przemocą.

Emisariusze plemienia naradzili się między sobą, popatrując na wycelowaną w ich stronę lufę działa.

Przewalające się nie opodal kupy rozwrzeszczanych i wyjących żołnierzy były dobrze odżywione, dobrze uzbrojone i zaopatrzone w pociski. Saukowie mieli stare strzelby, kul tyle co kot napłakał i żadnych zapasów żywności.

Keokuk pchnął posłańca po Wabokieshieka, Białą Chmurę, czarownika, który mieszkał wśród plemienia Winnebago. Ojciec Białej Chmury pochodził z plemienia Winnebago, matka z plemienia Sauk. Czarownik był wysoki i gruby, miał długie siwe włosy i – rzadkość u Indian – czarne zwichrzone wąsy. Był wielkim szamanem, dbałym o potrzeby ciała i ducha plemion Winnebago, Sauk i Mesquakie. Wszystkie trzy plemiona uznawały w nim Wróża. Biała Chmura nie miał jednak dla Keokuka krzepiącej wróżby. Oświadczył, że siły milicji są przemożne, a Gaines nie

nakłoni ucha na argumenty rozumu. Ich przyjaciel, handlarz Davenport, spotkał się z wodzem i szamanem i nakłaniał ich, żeby posłuchali rozkazu i opuścili swe ziemie, nim dojdzie do rozlewu krwi.

Drugiej więc nocy wyznaczonego im terminu Indianie opuścili Sauk-e-nuk jak stado przepędzanych zwierząt i przekroczywszy Masesibowi udali się do krainy swoich wrogów, plemienia Iowa.

Tamtej zimy Dwa Nieba straciła wiarę w bezpieczeństwo i ład świata. Ziarno, dostarczone Indianom przez agenta rządowego do ich nowej wioski na zachód od Masesibowi, okazało się kiepskie i było go zbyt mało, by odpędzić głód. Nie mogli polować ani zastawiać sideł, żeby zdobyć mięso, wielu wymieniło bowiem swoje strzelby i wnyki za whisky Vandruffa. Ludzie opłakiwali pozostawione na polach stracone uprawy: kukurydzę na mąkę, pożywne sycące dynie, wielkie słodkie arbuzy. Jednej nocy pięć kobiet przepравиło się przez rzekę i zebrało ze swoich dawnych pól zmarznięte kaczany kukurydzy, którą same siały ubiegłej wiosny.

Odkryte przez białych osadników, zostały dotkliwie poturbowane.

Kilka nocy później Czarny Jastrząb z paroma jeźdźcami wrócił do Rock Island. Kukurydzą stojącą na polach napełnili worki, włamali się do spichrza i zabrali stamtąd arbuzy i dynie. Przez całą tę okropną zimę trwały zaciekle spory.

Wódz Keokuk twierdził, że akcja Czarnego Jastrzębia ściągnie na nich wojska białych. Ich nowa wieś nie dorównywała Sauk-e-nuk, ale i tu dawało się żyć, utrzymywał, sąsiedztwo zaś mookamonik za rzeką zapewniało indiańskim myśliwym zbyt na futra.

Czarny Jastrząb twierdził natomiast, że blade twarze zepchną Sauków tak daleko, jak tylko się da, a w końcu wybiją ich do nogi. Nie mają więc wyboru, muszą walczyć.

Jedyną nadzieją dla wszystkich czerwonoskórych było poniesienie plemiennych waśni, połączenie swych sił, od Kanady po Meksyk, i związanie się sojuszem z Angielskim Ojcem przeciwko najgroźniejszemu wrogowi, Amerykanom.

Saukowie spierali się i spierali. Przed nadejściem wiosny większa część plemienia postanowiła pozostać z Keokukiem po zachodniej stronie wielkiej rzeki. Jedynie 368 wojowników wraz z rodzinami związało swoje losy z Czarnym Jastrzębiem. Należał do nich Zielony Bawół.

Kanu były przeciążone. W pierwszym popłynęli Czarny Jastrząb, Wróż i Neosho, czarownik Sauków, za nimi inni zepchnęli na wodę swe łodzie i powiosłowali mozolnie z prądem Masesibowi. Czarny Jastrząb nie zamierzał pustoszyć ani mordować, chyba że zaatakowano by jego własne siły. Kiedy płynąc w dół rzeki zbliżali się do jakiejś osady bladych twarzy, kazał swoim ludziom bić w bębny i śpiewać. Licząc starców i dzieci, dysponował blisko tysiącem i trzystu gardłami, toteż osadnicy pierzchali w popłochu przed tak gromkim chórem. W kilku osadach zaopatrzyli się w żywność. Gąb do wykarmienia mieli jednak wiele, a czasu na polowanie i połów ryb mało.

Czarny Jastrząb pchnął posłańców do Kanady, prosząco pomoc Brytyjczyków. Zwrócił się także o wsparcie do tuzina plemion. Posłańcy wrócili z niepomysłnymi wieściami.

Nie budziło zdziwienia, że przeciwko białym nie pragnęły sprzymie rzyć się z Saukami plemiona Sjuksów, Chippewa i Osage,

ich odwieczni wrogowie, ale nie wyraził na to ochoty również szczerp ich braci Mesquakie ani żaden inny zaprzyjaźniony lud. Co gorsza, Brytyjski Ojciec przysłał Saukom tylko słowa zachęty i życzenia powodzenia w przyszłej wojnie.

Pamiętając o działach okrętów wojennych, Czarny Jastrząb sprowadził ludzi z rzeki, kierując kanu na jej wschodni brzeg, ten, z którego ich wypędzono.

Ponieważ każdy kęs strawy był na wagę złota, wszyscy, nie wyłączając brzemiennych squaw, jak Przymierze Rzek, musieli zmienić się w tragarzy.

Obszedłszy Rock Island, pociągnęli w górę Rocky River na spotkanie z plemieniem Potawatomi, od którego mieli nadzieję wydzierzawić ziemię pod zasiew zbóż. Od Potawatomi właśnie dowiedział się Czarny Jastrząb, że Wielki Ojciec z Waszyngtonu sprzedał tereny Sauków białym przedsiębiorcom.

Wioskę Sauk—e-nuk oraz wszystkie prawie okoliczne pola nabył George Davenport, ów handlarz, który – mieniąc się ich przyjacielem – nakłonił Indian do porzucenia swej ziemi.

Czarny Jastrząb zarządził psią ucztę, zdawał sobie bowiem sprawę, że ludowi potrzeba wsparcia ze strony manitu. Pod nadzorem Wróża uduszono psy, oporzędzono i oczyszczono mięso. Kiedy się warzyło, Czarny Jastrząb położył przed wojownikami swe święte zawiniątko. „Nieustraszeni wojownicy – rzekł – nie ma już Sauk-e-nuk. Ukradziono nam ziemię. Biali żołnierze spalili nasze hedonosote.

Poprzewracali płoty wokół naszych pól. Zaorali Pole Zmarłych i posiali zboże na czczonych przez nas kościach. Oto moje święte zawiniątko. Należało do naszego ojca, Muka-ataqueta, który dał

początek szczepowi Sauk, później przekazane zostało wielkiemu wodzowi wojny naszego plemienia, Nanamakiemu, który prowadził wojnę z plemionami znad jezior i plemionami z równin i nigdy nie doznał porażki. Oczekuję, że będziecie go strzegli.”

Wojownicy zjedli święte mięso, od czego wzrosła ich odwaga i siła. Było to niezbędne, Czarny Jastrząb wiedział bowiem, że prędzej czy później zostaną zaatakowani przez Długie Noże. Kto wie, czy to nie manitu sprawiły, że Przymierze Rzek urodziła dziecko w obozie, a nie gdzieś po drodze. Powiła syna, co podniosło wojowników na duchu w stopniu nie mniejszym niż psia uczta, ponieważ Zielony Bawół dał synowi na imię Watokimita, Ten-Który-Posiada-Ziemie.

Uległszy powszechnej hysterii wywołanej pogłoskami o wstąpieniu Czarnego Jastrzębia i plemienia Sauk na wojenną ścieżkę, gubernator Reynolds z Illinois poprosił o tysiąc konnych ochotników. Chętnych do gromienia Indian stawiło się dwakroć tylu, ostatecznie zaciągnęło się tysiąc dziewięciuset trzydziestu pięciu nie wyszkolonych mężczyzn. Zebrali się w Beardstown, gdzie ich wymieszano z trzystu czterdziestoma dwoma członkami regularnej milicji, i pośpiesznie uformowano w cztery pułki i dwa bataliony zwiadowców. Dowództwo powierzono mianowanemu generałem-brygadierem Samuelowi Whiteside’owi z hrabstwa St. Clair.

Na podstawie informacji osadników ustalono miejsce pobytu Czarnego Jastrzębia i Whiteside wyprowadził swą brygadę w pole. Wiosna była wyjątkowo dżdżysta, toteż przez najmniejsze nawet strumyki musieli przeprować się w pław, zwykłe zaś mokradła zmieniły się w trzęsawiska, przez które brnęli z trudem. Po pięciu

dniach mozolnego marszu po bezdrożach dotarli do Oquawka, gdzie miały ich czekać podwoły. Ale armia pokpiła sprawę: furazu nie było, a wojacy pospolitego ruszeniadauno już zjedli zapasy z sakiew przy siodłach.

Niezdyscyplinowani i kłótniwi, pokrzykiwali na swoich oficerów -jak cywile, którymi w istocie byli – domagając się, by ich nakarmiono. Whiteside zadeszował do generała Henry'ego Atkinsona z Fortu Armstrong, a ten natychmiast pchnął w dół rzeki parowiec „Chieftain” z ładunkiem żywności. Potem Whiteside wysłał naprzód dwa bataliony regularnej milicji, gdy tymczasem główne siły ochotniczej armii napełniały sobie brzuchy i wczasowały się w najlepsze.

Żołnierze ani na chwilę nie zapominali o tym, że znajdują się na terenie obcym i nieprzyjaznym. Pewnego pogodnego majowego poranka główne siły armii, liczące około tysiąca sześciuset jeźdźców, spaliły Prophetstown, opuszczoną wieś Białej Chmury. Po tym wyczynie żołnierzy ogarnęła niezrozumiała nerwowość. Owładnęło nimi przekonanie, że za każdym pagórkiem czają się pałający żądzą zemsty czerwonoskórzy. Nerwowość zmieniła się wkrótce w strach, ten zaś sprawił, że wojsko rzuciło się do panicznej ucieczki.

Porzucając oręż, sprzęt, prowianty i amunicję, żołnierze wzięli nogi za pas, uchodząc przed urojonym wrogiem.

Uciekali po trawiastej prerii, przedzierali się przez lasy i zarośla, nie popasając, póki nie donieśli swej hańby -w pojedynkę bądź w grupkach-do osiedla Dixon, odległego o dziesięć mil od miejsca, z którego czmychnęli.

W niedługi czas potem doszło do pierwszego prawdziwego starcia. Czarny Jastrząb na czele około czterdziestu wojowników

udał się na spotkanie z plemieniem Potawatomi, od którego chciał pożyczyć ziemię pod uprawę kukurydzy.

Jego oddział rozbił obóz na brzegu Rocky River, kiedy zwiadowca doniósł mu, że zbliżają się do nich znaczne siły Długich Noży. Czarny Jastrząb zawiesił zaraz na kiju białą flagę i wysłał trzech nie uzbrojonych Sauków, by ją zanieśli do białych i poprosili o spotkanie między nim a ich komendantem. W ślad za emisariuszami pchnął pięciu konnych jako obserwatorów.

Idące na nich oddziały składały się z nieopierzonych pogromców Indian, którzy na widok Sauków wpadli w trwogę.

Szybko pojмали i uwięzili trzech posłów z białą flagą, po czym puścili się w pościg za piątką obserwatorów, z których dwóch dopadli i zabili. Trzech pozostałych z milicją na karku uciekło do obozu. Tam zaatakowało żołnierzy około trzydziestu pięciu wojowników, dowodzonych przez rozwścieczonego Czarnego Jastrzębia, który zapragnął polec bohaterską śmiercią i pomścić zdradę białych twarzy. Kawalerzyści, którzy wysforowali się na czoło, sądzili, że za garstką Indian naciera cała armia wojowników. Rzuciwszy okiem na atakujących Sauków, zatoczyli końmi i uciekli.

Nie ma podczas bitwy nic bardziej zaraźliwego niż panika, toteż po chwili w szeregi milicji wkradł się nieopisany popłoch. W powstałym zamieszaniu uciekło dwóch z trzech pojmanych z flagą pokoju indiańskich posłów. Trzeciego zastrzelono. Na dwustu siedemdziesięciu pięciu uzbrojonych i siedzących na koniach milicjantów padła trwoga. Rzucili się do ucieczki, podobnie jak trzon ochotniczej armii, choć niebezpieczeństwo, jakie nad nimi zawisło, nie było całkiem urojone. Kilkudziesięciu wojowników Czarnego

Jastrzębia pędziło ich przed sobą, kąsało maruderów i zdarło z ich czerepów jednaście skalpów. Niektórzy spośród białych niedobitków oparli się aż w domach rodzinnych, większość jednak żołnierzy odnalazła się na koniec w miasteczku Dixon.

Dziewczynka, która nosiła w owym czasie imię Dwa Nieba, do końca życia miała zapamiętać radość, jaka zapanowała po tej bitwie. W dziecku obudziła się nadzieja. Wieść o zwycięstwie obiegła indiański świat i wkrótce dołączyło do nich dziewięćdziesięciu dwóch pobratymców z plemienia Winnebago. Czarny Jastrząb paradował w podartej białej koszuli, z oprawną w skórę księgą prawniczą pod pachą-oba trofea znaleziono w sakwach porzuconych przez jakiegoś czmychającego oficera. Język jego przemówień zhardział.

„Pokazaliśmy, że blade twarze można pokonać – oświadczył – i teraz inne plemiona przyślą swoich wojowników, aby zawrzeć przymierze.” O tym właśnie marzył.

Mijały jednak dni, a wojownicy nie przybywali. W obozie tymczasem kończyła się żywność, łowy zaś szły kiepsko.

Czarny Jastrząb posłał w końcu Winnebagów w jedną stronę, a sam ze swoim plemieniem ruszył w przeciwną.

Winnebagowie, wbrew jego zakazowi, napadali na nie strzeżone osiedla bladych twarzy i zdierali skalpy – znalazł się wśród nich skalp St. Vrain, rządowego agenta do spraw Indian. Potem przez dwa dni z rzędu niebo było sinoczerwone, a manitu Shagwa trząsał ziemią i powietrzem. Wabokieshiek ostrzegł Czarnego Jastrzębia, żeby nie ruszał w drogę, nie posławszy przodem czujek, na co ojciec Dwóch Nieb burknął chmurnie, że nie trzeba wróża, by •twierdzić, że idą złe czasy.



Gubernator Reynolds pienieł się z wściekłości. Jego zawstydzenie spowodowane rejteradą milicji dzielali mieszkańcy wszystkich pogranicznych stanów. Grabieże Winnebagów wyolbrzymiano i przypisywano Czarnemu Jastrzębiowi. Ściągali nowi ochotnicy, zwabieni plotkami, że nadal wypłaca się premie uchwalone przez legislaturę Illinois w roku 1814: pięćdziesiąt dolarów za każdego martwego Indianina, każdą schwytaną squaw lub czerwonoskóre dziecko. Reynolds bez trudu zgromadził trzy tysiące ludzi i odebrał od nich przysięgę. Dwa tysiące rozsierdzonych żołnierzy stacjonowało już w fortach nad Missisipi pod dowództwem generała Henry'ego Atkinsona, którego zastępcą był pułkownik Zachary Taylor. Do Illinois ściągnięto z Baton Rouge w Luizjanie dwie kompanie piechoty, a z posterunków na wschodzie tysiąc żołnierzy regularnej armii pod dowództwem generała Winfielda Scotta.

W oddziałach tych, transportowanych parowcami przez Wielkie Jeziora, wybuchła cholera, ale i bez ich udziału stały już pod bronią olbrzymie siły, żądne rasowej zemsty i zmycia plamy na honorze.

Dla dziewczynki imieniem Dwa Nieba świat skurczył się i zmałał. Przedtem, kiedy przenosili się niespiesznie z zimowego obozu w Missouri do letniej wioski nad Rocky River, wydawał się jej ogromny. W którąkolwiek zaś teraz zwrócili się stronę, napotykali białych zwiadowców i nim się od nich oderwali, wybuchła strzelanina i krzyki. Zdarli kilka skalpów i stracili kilku mężnych wojowników. Mieli szczęście, że nie natknęli się na główne siły białych twarzy. Czarny Jastrząb kołował i kluczył, zostawiał fałszywe ślady, by zmylić żołnierzy, lecz wiodł ze sobą kobiety i dzieci i trudno mu było ukryć ruchy tak licznej gromady.

Gromada owa szybko się zresztą przeredzała. Umierali starcy, zmarło też kilkoro dzieci. Twarz małego braciszka Dwóch Nieb skurczyła się, oczy mu wyogromniały. Mleko ich matki nie wyschło, płynęło jednak coraz skąpszym i rzadszym strumykiem i nie syciło apetytu niemowlęcia. Brata niosła przeważnie Dwa Nieba.

Czarny Jastrząb przestał niebawem zapowiadać, że wypędzi białych. Bąkał teraz o przeniesieniu się na daleką północ, skąd plemię Sauk przybyło przed wiekami. W miarę jak odmieniały się księżyce, wielu z tych, którzy za nim pociągnęli, traciło nadzieję, że warto przy nim trwać. Ród po rodzie opuszczał gromadę Sauków, aby przemykać się na własną rękę. Małe grupki miały niewielką szansę na przetrwanie, ale większość uznała, że manitu odwróciły się od Czarnego Jastrzębia.

Zielony Bawół dochował mu wierności, choć cztery księżyce po odłączeniu się Keokuka partia Czarnego Jastrzębia stopniała do kilkuset wygłodniałych obszarpańców, którzy dla utrzymania się przy życiu jedli korzonki i korę drzew.

Zawrócili nad Masesibowi, jak zawsze szukając oparcia w tej potężnej rzece. Kiedy pewnego razu spora grupa Sauków próbowała łowić ryby na mieliznach u ujścia Wisconsin, najechał na nich parowiec „Warrior”. Czarny Jastrząb dojrzał na dziobie płynącego w ich stronę okrętu sześciofuntowe działo i zrozumiał, że nie zdołają się dłużej opierać. Jego ludzie powiewali białą flagą, ale statek nie przestawał na nich płynąć, aż stojący na pokładzie najemnik z plemienia Winnebago zawołał w ich języku: „Uciekajcie i ukryjcie się, biali będą strzelać!”

Rozchlapując wodę rzucili się z krzykiem ku brzegowi, kiedy działa chlusnęło w nich kartaczami, a potem rozszalała się palba muszkieterów. Dwudziestu trzech Sauków poległo, reszta uciekła do lasu. Niektórzy wlekli lub dźwigali rannych.

W nocy odbyli naradę. Czarny Jastrząb i Wróż postanowili udać się do kraju Chippewa, aby sprawdzić, czy nie dałoby się tam osiedlić. Trzy rody zdecydowały, że pójdą z nimi, pozostaliw tym także Zielony Bawół – nie wierzyli jednak, by Chippewa zechcieli udostępnić Saukom ziemię pod uprawę zbóż, skoro odmówiły im tego inne plemiona, i postanowili połączyć się z ludźmi Keokuka. O świcie pożegnali się z nieliczną gromadką udającą się do Chippewa i ruszyli na południe, w stronę domu.

Parowiec „Warrior” tropił Indian posuwając się w dół rzeki za chmarami sępów i wron. Trop Sauków znaczyli teraz umarli, których uciekający porzucali po prostu po drodze. Marli starcy i dzieci, a także niektórzy z tych, co odnieśli rany podczas ostatniego ataku. Ilekroć statek zatrzymywał się przy jakichś zwłokach, obcinano im uszy i zdzierano skalp. Nie miało znaczenia, że pasmo czarnych włosów pochodziło z głowy dziecka, a czerwone ucho było uchem kobiety. Trofea te miano z dumą ponieść do małych miasteczek na dowód, że ich zdobywcy gromili Indian.

Ocalali Saukowie porzucili w końcu Masesibowi i zwrócili się w głąb lądu, gdzie natknęli się na oddział najemników i plemienia Winnebago. Stojący za ich plecami w szeregach żołnierze zakładali bagnety na karabiny. Od nich to Indianie nazwali białych wojowników Długimi Nożami. Gdy ruszyli do natarcia, z ich gardeł wydarł się chrapliwy zwierzęcy ryk, niższy od okrzyku bitewnego, lecz równie dziki. Było ich bardzo wielu i pałali wściekłą żądzą

mordu, chcąc odzyskać coś, co – jak mniemali – stracili. Saukowie nie mieli innego wyboru, jak tylko cofać się i odpowiadać ogniem. Zepchnięci nad Masesibowi, spróbowali jeszcze podjąć walkę, ale szybko musieli ustąpić i zejść w nurt rzeki. Dwa Nieba stała obok matki w wodzie po pas, gdy ołowiana kula urwała Przymierzu Rzek żuchwę. Matka Dwóch Nieb runęła do wody.

Dwa Nieba musiała przewrócić ją na wznak, trzymając na rękach Tego-Który-Posiada-Ziemie. Udało jej się tego dokonać z największym trudem. Przymierze Rzek już nie żyła.

Dwa Nieba nigdzie nie mogła dostrzec ojca ani siostry. Cały świat skurczył się do huku strzelb i krzyków, więc gdy Saukowie rzucili się w stronę porośniętej wierzbami wysepki, poszła za nimi.

Próbowali skryć się na wyspie, kuląc się za kamieniami i zwalonymi pniami drzew, ale parowiec, wyłoniwszy się z mgieł na rzece jak ogromny duch, zasypał ją wkrótce ogniem kartaczy zdziała. Kilka kobiet rzuciło się do rzeki, chcąc dostać się na ląd. Dwa Nieba nie wiedziała, że wojsko wynajęło Sjuksów, by czekali na drugim brzegu i zabijali każdego, komu uda się tam dopłynąć, więc i ona wśliznęła się w końcu do wody, zacisnąwszy zęby na fałdzie skóry na karku niemowlęcia, aby mieć wolne ręce. Jej zęby wpiły się w miękkie ciało, czuła smak krwi swojego braciszka, omdlewały jej mięśnie szyi i ramion, gdy zapamiętała starała się utrzymać jego główkę nad wodą. Ponieważ szybko traciła siły, uświadomiła sobie, że jeśli popłynie dalej, oboje utoną. Prąd rzeki zniósł ją daleko od palby karabinów, zawróciła więc do brzegu, płynąc jak lis lub wiewiórka niosąca w pyszczku swe małe. Znalazłszy się wreszcie na brzegu, legła obok płaczącego dziecka starając się nie patrzeć na jego poraniony kark.

Po jakimś czasie wzięła na ręce Tego-Który-Posiada-Ziemię, aby go wynieść jak najdalej od ognia strzelb. Na brzegu siedziała jakaś kobieta. Zbliżywszy się do niej Dwa Nieba poznała swoją siostrę. Wysoka Kobieta była zalana krwią, ale uspokoiła zaraz młodszą siostrę, że to krew nie jej, tylko żołnierza, który ją gwałcił, kiedy kula trafiła go w bok. Udało jej się wysunąć spod jego krwawiącego ciała. Podniósł rękę”

błagając ją w swoim języku o pomoc, a ona chwyciła kamień i zabiła go.

Własne przeżycia potrafiła jakoś opowiedzieć, nie zdołała jednak pojąć opowieści Dwóch Nieb o śmierci ich matki.

Krzyki i strzelanina zdawały się przybliżać. Dwa Nieba podniosła brata i wprowadziła siostrę głęboko w nadbrzeżne krzaki, w których wszyscy troje się skulili. Wysoka Kobieta milczała, ale Ten-Który-Posiada-Ziemię nie przestawał się zanosić przenikliwym płaczem. Dwa Nieba bała się, że żołnierze odkryją ich kryjówkę, rozchyliła więc sukienkę i podała mu swoją nie rozwiniętą i Mały suchy sutek nabrzmiał w ssących wargach braciszka, którego mocno do siebie tuliła.

Po kilku godzinach ogień karabinów osłabł, krzyki ucichły.

Długie popołudniowe cienie kładły się na ziemi, gdy Dwa Nieba usłyszała zbliżające się kroki patrolu. Niemowlę znowu zaczęło płakać. Przyszło jej do głowy, że dla ocalenia życia swojego i Wysokiej Kobiety powinna udusić brata, lecz nie zrobiła tego, zwlekała, i parę minut później jakiś chudy biały chłopak rozgarnął krzaki muszkietem i kazał im wychodzić.

W którąkolwiek stronę zwróciły wzrok idąc w stronę parowca, wszędzie widziały trupy współplemieńców z obciętych uszami i

zdartymi skalpami. Długie Noże zgromadziły na pokładzie statku trzydzieści dziewięć kobiet i dzieci. Wszyscy pozostali zginęli. Ten-Który-Posiada-Ziemie wciąż płakał. Jakiś Indianin z plemienia Winnebago spojrział na wychudzone niemowlę z pokąsanym karkiem i warknął: „Mały sznur”, ale rudy żołnierz z dwoma żółtymi paskami na niebieskich rękawach zmieszał cukier z wodą w butelce po whisky i zatkał ją gałgankiem. Potem zabrał chłopczyka z rąk Dwóch Nieb i dał mu do smoktania ten cukrowy cycek. Następnie odszedł z zadowoloną miną, zabierając jej brata. Chciała za nim biec, lecz podskoczył Winnebago i zdzielił ją w głowę, aż zadzwoniło jej w uszach.

Statek wypłynął z ujścia Bad Ax wśród unoszących się na wodzie trupów Sauków. Powiózł ich czterdzieści mil w dół rzeki, do Prairie du Chien. Tam Dwa Nieba, Wysoką Kobietę i jeszcze trzy dziewczynki z ich plemienia – Smużkę Dymu, Księżyc i Żółtego Ptaka – sprowadzono z parowca i wsadzono na wóz. Księżyc była młodsza od Dwóch Nieb, dwie pozostałe starsze, ale nie aż tak dojrzałe jak Wysoka Kobieta. Dwa Nieba nie dowiedziały się nigdy, jaki los spotkał resztę jeńców z plemienia Siuk, i nie zobaczyła już więcej Tego-Który-Posiada-Ziemie.

Wóz dowiózł je do strażnicy, którą nauczyły się potem nazywać Fortem Crawford, i nie zatrzymując się pojechał dalej, aż do oddalonego o trzy mile od fortu białego domu, otoczonego budynkami gospodarskimi i ogrodzonego płotem. Dwa Nieba ujrzała zaorane i obsiane pola, kilka sztuk bydła na pastwisku i drób na podwórzu. Wewnątrz domu omal się nie udusiła, w powietrzu wisił bowiem obcy zapach szarego mydła i wosku do podłóg – woń świętości mookamonik, którą do końca życia miała

zniechęcić. W Ewangelickiej Szkole dla Indiańskich Dziewcząt musiała znosić ją przez cztery lata.

Szkołę prowadziło rodzeństwo w średnim wieku – wielebny Edward Bronsun i jego siostra, panna Ewa. Dziewięć lat, wcześniej, dzięki funduszom Towarzystwa Misyjnego miasta Nowy Jork, wyruszyli na dzikie pogranicze, by zanieść pogańskim Indianom Jezusową wiarę. Otworzyli swoją szkołę dla dwóch początkowo dziewczynek z plemienia Winnebago, z których jedna niedomagała na umyśle. Indianki opierały się złośliwie ich ponawianym stale zaproszeniom, aby przybywały i uprawiały pola rodzeństwa Bronsun, pasły ich trzody, bieleły i malowały budynki i zajmowały się domem.

Trzeba było dopiero współpracy władz sądowych i wojska, by wzmógł się napływ kandydatek, tak że wraz z nowo przybyłymi dziewczętami z plemienia Sauk mieli już u siebie dwadzieścia jeden sposepniałych, ale posłusznych uczennic, uprawiających jedną z najlepiej prowadzonych farm w okolicy.

Wielebny Edward, wysoki chuderlawy mężczyzna o łysiejącej, usianej piegami czasce, uczył dziewczęta sztuki rolniczej i religii, panna Ewa zaś, korpulentna jejmość o zimnych jak u płaza oczach, wpajała im zdolne zadowolić białego człowieka zasady szorowania podłóg i polerowania do połysku mebli oraz innych dzieł stolarki. Uczennice pobierały lekcje prac gospodarskich, od rana do wieczora harowały w polu, uczyły się mówić po angielsku i oduczały w ojczystych językach, miały zapomnieć, o własnej kulturze i modlić się do obcych bogów. Panna Ewa, z zimnym zawsze uśmiechem na ustach, karciała je za przewiny takie jak gnuśność w pracy,

krnąbrność i używanie indiańskich wyrazów, wykorzystując w tym celu giętkie witki ucięte z rosnącej na farmie renklody.

Pozostałe uczennice pochodziły z plemion Winnebago, Chippewa, Illinois, Kickapoo, Irokez i Potawatomi. Do nowo przybyłych odniosły się wrogo, lecz dziewczęta ze szczepu Saukwale się ich nie przestraszyły. W pięć stanowiły plemienną większość, mimo że miejscowy system nauczania nastawiony był na zatarcie tej przewagi. Pierwszym, co każda z nowych traciła, było jej indiańskie imię. Rodzeństwo Bronsun dla wzbudzenia pobożności u świeżo nawróconych uznawało tylko sześć biblijnych imion: Rachel, Ruth, Mary, Marta, Sara i Anna. Ponieważ ograniczony ów wybór sprawiał, że kilka dziewczynek nosiło to samo imię, dla uniknięcia zamieszania dodawali każdej uczennicy numer, przydzielany dopiero po ukończeniu przez jego posiadaczkę szkoły. Tak oto Księżyc została Trzecią Ruth, Wysoka Kobieta Mary Czwartą, Żółty Ptak Rachel Drugą, zaś Smużka Dymu Trzecią Martą. Dwa Nieba była Drugą Sarą.

Dziewczęta przystosowały się łatwo. Pierwszymi angielskimi słowami, jakich je nauczono, były „proszę” i „dziękuję”.

Wszystkie potrawy i napoje nazywano podczas posiłków tylko raz, po angielsku. Każda, która nie poprosiła o nie w tym języku, chodziła głodna. Indianki z plemienia Sauk szybko nauczyły się angielskiego. Posiłki – dwa dziennie – składały się z gotowanej kaszy, kukurydzianego chleba i siekanych roślin okopowych. Mięso podawano rzadko, wyłącznie soloną słoninę bądź drobną zwierzynę.

Dziewczynki zaznały głodu, pałaszowały więc wszystko, aż im się uszy trzęsły. Mimo że ciężko pracowały, przybierały na wadze.



Oczy Wysokiej Kobiety odzyskały blask, ale ponieważ to ona spośród pięciu dziewcząt z jej plemienia zapominała się najczęściej i odzywała w ojczystym języku, najczęściej też brała cięgi. W drugim miesiącu ich pobytu w szkole panna Ewa podsłuchiwała pewnego razu, jak Wysoka Kobieta poszeptuje coś w języku Sauków, i wychłostała ją surowo na oczach pana Edwarda. W nocy wielebny Edward przyszedł do ciemnej sypialni na strychu i oznajmił szeptem, że ma do nacierania maść, która złagodzi ból pleców Mary Czwartej. Następnie wyprowadził Wysoką Kobietę z sypialni.

Nazajutrz dał jej worek kukurydzianego chleba, którym podzieliła się ze swoimi współplemienniczkami. Od tego czasu często przychodził nocą po Wysoką Kobietę, a dziewczynki z plemienia Sauk przywykły do dodatkowych porcji strawy.

Po czterech miesiącach Wysoka Kobieta zaczęła miewać z rana mdłości, więc jeszcze nim urósł jej brzuch, ona i Dwa Nieba domyśliły się, że nosi w sobie dziecko.

Kilka tygodni później wielebny Edward zaprzągnął konia do bryczki i panna Ewa pojechała dokądś z Wysoką Kobietą.

Wróciła sama i oznajmiła Dwóm Niebom, że jej siostra jest błogosławiona. Dodała, że od tej pory Mary Czwarta będzie pracowała na przyzwoitej chrześcijańskiej farmie za Fortem Crawford.

Dwa Nieba nie zobaczyła więcej Wysokiej Kobiety.

Ilekróć miała pewność, że są same, rozmawiała z dziewczętami ze swojego plemienia w ojczystym języku. Zbierając stonkę opowiadała im historie zasłyszane od Przymierza Rzek, pieląc buraki śpiewała pieśni Sauków, rąbiąc drzewo opowiadała o Sauk-e-nuk i zimowym obozie, przypominała tańce, święta, żywych i

umarłych współbraci. Jeśli któraś nie odpowiedziała w rodzimym języku, groziła, że wymierzy jej chłostę surowszą niż panna Ewa. Chociaż dwie dziewczyny były od niej starsze i wyższe, żadna się nie sprzeciwiała i nie zapomniały ojczystego języka.

Mieszkały już w misji od trzech i pół z górą lat, gdy przybyła tam nowa uczennica, dziewczyna z plemienia Sjuksów, Bijąca Skrzydłami, starsza od Wysokiej Kobiety. Pochodziła z rodu Wabashaw i w nocy drażniła dziewczęta z plemienia Sauk opowiadając o tym, jak to jej ojciec i bracia czyhali na drugim brzegu Masesibowi, by zabić i zdzierać skalpy nieprzyjacielskim Saukom, którym udało się przepłynąć rzekę w czasie masakry u ujścia Bad Aa. Bijąca Skrzydłami dostała imię po Wysokiej Kobiecie: Mary Czwarta. Pan Edward wyróżniał ją od pierwszej chwili. Dwa Nieba marzyła o zabiciu Bijącej Skrzydłami, tymczasem jej obecność okazała się szczęśliwa, po paru miesiącach bowiem i ona chodziła już z brzuchem.

Niewykluczone, że imię Mary posiadało jakąś moc zapładniającą.

Dwa Nieba obserwowała, jak wzdyma się żywot Bijącej Skrzydłami, układała plany i czyniła przygotowania. Pewnego letniego dnia, skwarne i cichego, panna Ewa wywiozła faworytę brata jednokonnym wózkiem. Pan Edward został na gospodarstwie sam, więc nie mógł mieć na oku wszystkich podopiecznych. Ledwo jego siostra zniknęła z pola widzenia, Dwa Nieba rzuciła motykę, którą okopywała buraki, i wśliznęła się niepostrzeżenie za stodołę. Ułożywszy stos z sosnowego chrustu pod ścianą z wysuszonych desek, podpaliła go siarkowymi zapałkami, które ukradła zawczasu i trzymała na tę właśnie chwilę. Zanim spostrzeżono ogień, stodoła płonęła w najlepsze. Pan Edward z wytrzeszczonymi oczami

przygnałz kartofliska. Wrzeszczał jak oszalały, ustawiając dziewczęta w łańcuch do gaszenia pożaru wiadrem.

Dwa Nieba przyglądała się chłodno ogólnemu zamieszaniu, później zawołała Księżyc, Żółtego Ptaka i Smużkę Dymu. Po krótkim namyśle wzięła jedną z renklodowych witek panny Ewy i posłużyła się nią do wypędzenia z czarnego gnoju chlewa olbrzymiego tuczniaka. Zagnała wieprza do wyszorowanego, wychuchanego i pachnącego pobożnością domu panny Ewy i zamknęła za nim drzwi. A potem wyprowadziła dziewczęta do lasu, daleko od siedziby mookamon.

Unikając głównych traktów przedarli się borami aż do rzeki.

U jej brzegu utknął wielki dębowy pień, który zepchnęły wspólnymi siłami. Omywające kości i duchy ich bliskich ciepłe wody Masesibowi objęły cztery ucepione pnia dziewczęta i poniosły je na południe.

O zmierzchu wyszły na brzeg. Noc spędziły w lesie, o głodzie.

Nazajutrz rano, zbierając jagody na nadrzecznej polance, znalazły ukryte przy brzegu kanu Sjuksów i ukradły je bez namysłu, z nadzieją, że należało do jakiegoś krewniaka Bijącej Skrzydłami. Było wczesne popołudnie, kiedy wypłynąwszy z zakrętu rzeki ujrzwały Prophetstown. Na brzegu jakiś czerwonoskóry czyścił rybę. Upewniwszy się, że to Indianin z plemienia Mesquakie, roześmiały się z ulgą i kanu pomknęło w jego stronę.

Po zakończeniu wojny Biała Chmura wrócił do Prophetstown najprędzej, jak to było możliwe. Żołnierze bladych twarzy spalili jego chatę, podobnie jak chaty innych mieszkańców wioski, zbudował więc sobie nowe hedonosote. Gdy rozeszła się wieść o powrocie czarownika, jak poprzednio poczęły napływać rodziny z

różnych szczepów, by wznieść swoje domostwa w sąsiedztwie jego domu. Przybywał też czasem ten i ów z jego uczniów, lecz on spoglądał teraz ze szczególną uwagą na cztery dziewczynki, które uciekły od białych. Przez wiele dni obserwował je, gdy odpoczywały i jadły w jego chacie, i zwróciło jego uwagę, że trzy z nich słuchają we wszystkim czwartej. Wziął każdą z osobna na spytki – każda mówiła tylko o Dwóch Niebach. Dwa Nieba to, Dwa Nieba tamto. Zaczął przyglądać się jej z rosnącą nadzieją.

Wreszcie złapał dwa kuce ze swojego stada i kazał dziewczynce jechać za sobą. Przez cały prawie dzień podążała za nim, aż teren jął się wznosić. Wszystkie góry są święte, na nizinie zaś miejscem świętym jest nawet pagórek. Na szczycie lesistego wzgórza powiódł ją na polanę, gdzie powietrze było gęste od woni niedźwiedzi, a na ziemi bieleły kości zwierząt i szarzały popioły ognisk.

Gdy zsiadli z koni, Wabokieshiek zdjął z ramion koc, kazał jej się rozebrać i położyć na kocu. Dwa Nieba nie śmiała się sprzeciwić, choć była przekonana, że stary szaman zamierza ją posiąść. Jednakże Wabokieshiek dotknął jej przyrodzenia nie jak kochanek – upewnił się tylko, czy jest dziewicą.

Kiedy słońce zniżyło się nad horyzontem, zastawił w pobliżu trzy sidła. Potem rozpalił ognisko na polanie, siadł przy ogniu i jął zawodzić śpiewy, ona zaś usnęła na ziemi.

Po jej przebudzeniu przyniósł złowionego w sidła królika i rozplatał mu brzuch. Dwa Nieba była głodna, ale czarownik nie zabierał się do gotowania zwierzątka – wetknął palec w jego wnętrzności i badał je skrupulatniej niż ciało dziewczynki. Skończywszy chrząknął z zadowoleniem i przyjrzał się jej z pełną zdumienia uwagą.

Kiedy do niego i Czarnego Jastrzębia doszła wieść o masakrze ich ludu u ujścia rzeki Bad Ax, upadli obaj na duchu. Nie chcieli, żeby pod ich przywództwem ginęli kolejni Saukowie, poddali się więc agentowi do spraw Indian w Prairie du Chien. W Fort Crawford przekazano ich młodemu porucznikowi o nazwisku Jefferson Davis, który powiózł więźniów w dół Masesibowi do St. Louis. Całą zimę przesiedzieli zamknięci w Jefferson Barracks, znosząc hańbę żelaznej kuli i łańcuchów. Na wiosnę, chcąc pokazać bladym twarzom, jak sromotnie ich armia upokorzyła Indian, Wielki Ojciec z Waszyngtonu rozkazał, by obu więźniów obwożono po amerykańskich miastach. Pierwszy raz w życiu zobaczyli wtedy kolej – zawieszono ich pociągiem do Waszyngtonu, Nowego Jorku, Albany i Detroit. Wszędzie zbierały się tłumy, podobne do stad bizonów, by gapić się na dziwowisko – pokonanych „indiańskich wodzów”.

Biała Chmura ujrział ogromne osady, wspaniałe budowle, przerażające maszyny, nieprzebrane rzesze Amerykanów.

Kiedy pozwolono mu wreszcie wrócić do Prophetstown, uświadomił sobie gorzką prawdę – Saukowie nigdy nie wypędzą mookamonik ze swej ziemi. Czerwonoskórzy będą nadal spychani z najżyźniejszych gruntów uprawnych i najlepszych terenów łowieckich. Jego dzieci – plemiona Sauk, Mesquakie i Winnebago – będą musiały przywyknąć do okrutnego świata poddanego władzybiałych. Nie szło już o to, jak wypędzić najeźdźców.

Czarownik zastanawiał się teraz, jak jego lud powinien się zmienić, by przetrwać, nie zapominając jednocześnie o manitu i zachowując moc swoich duchów opiekuńczych. On był już stary i miał wkrótce odejść z tego świata, zaczął się więc rozglądać za kimś,

komu mógłby przekazać swoją wiedzę, za naczyniem, w które mógłby przelać ducha algonkińskich szczepów, lecz nie dostrzegając wokół siebie nikogo odpowiedniego. Aż ujrzawszy tę dziewczynę.

Wszystko to objaśnił Dwóm Niebom siedząc na świętym miejscu na wzgórzu i odczytując pomyślnie wróżby z wnętrzości królika, który zaczynał już śmierdzieć. Na koniec spytał, czy się zgadza, żeby jej przekazał swą wiedzę szamana.

Dwa Nieba była jeszcze dzieckiem, ale wiedziała już dosyć, żeby poczuć strach. Wielu rzeczy nie pojmowała, rozumiała wszakże to, co istotne.

– Spróbuję – wyszeptwała.

Biała Chmura odesłał Księżyc, Żółtego Ptaka i Smużkę Dymu do Sauków skupionych wokół Keokuka, Dwa Nieba zaś została w Prophetstown i zamieszkała w szałasie Wabokieshieka niczym jego ukochana córka. Starzec pokazywał jej liście, korzenie i korę i objaśniał, które sprawiają, że duch ulatuje z ciała i może rozmawiać z manitu, którymi barwić skórę jelenia, a z których wyrabiać farby na wojenne barwy, które suszyć, a które moczyć, które należy parować, których używać na okłady, które oskrobywać ku górze, a które ku dołowi, które otwierają wnętrzości, a które je zamykają, które spędzają gorączkę, a które łagodzą ból, które leczą, a które zabijają.

Dziewczynka słuchała uważnie. Gdy upłynęły cztery pory roku, Wróż poddał ją sprawdzianowi i okazał zadowolenie z wyniku. Oświadczył, że przeprowadził ją przez pierwszy Namiot Mądrości.

Zanim ją wprowadził do drugiego Namiotu, przysłała na nią po raz pierwszy kobieca przypadłość. Jedna z siostrzenic Białej Chmury pokazała jej, co należy wokół siebie robić. Odtąd każdego miesiąca,

gdy zaczynała krwawić, przenosiła się do domu kobiet. Wróż wyjaśnił, że nie wolno jej odprawiać obrzędów, leczyć chorób ani pielęgnować ran, nim się nie oczyści po miesięcznym krwawieniu w parowej łaźni.

W ciągu następnych czterech lat dowiedziała się, jak za pomocą śpiewu i bębna przyzywać manitu, jak na kilka obrzędowych sposobów zabijać psy i gotować ich mięso na psią ucztę, jak uczyć śpiewaków oraz mruczących im do wtóru, aby mogli uczestniczyć w świętych tańcach. Nauczyła się odczytywać przyszłość z wnętrzości nieżywych zwierząt.

Poznała potęgę iluzji – nauczyła się, jak wysysać chorobę z ciała i wypluwać ją z ust w postaci małego kamyka, aby chory mógł jej dotknąć i przekonać się, że ją zeń wygnano. Nauczyła się też, jak wtórować śpiewem przewodźce na tamten świat duszy umierającego, gdy manitu nie dawały się nakłonić do zachowania kogoś przy życiu.

Było siedem Namiotów Mądrości. W piątym Wróż nauczył ją, jak panować nad własnym ciałem, by potrafiła zapanować nad ciałami innych. Nauczyła się pokonywać pragnienie i obywać się przez długi czas bez pożywienia. Wróż często wyjeżdżał z nią konno w dalekie strony, po czym wracał do Prophetstown z oboma wierzchowcami, jej każąc iść pieszo.

Stopniowo nauczył ją opanowywać ból przez zamykanie umysłu w małym, odległym zakątku własnej istoty, gdzie ból nie miał przystępu.

U schyłku tamtego lata zabrał ją znowu na świętą polankę na szczycie wzgórza. Rozpalili ognisko, śpiewem uczcili manitu i zastawili sidła jak za pierwszym razem. Wpadł w nie chudy

brązowy królik. Gdy rozplatali mu brzuch i odczytali z trzewi wróżbę, Dwa Nieba stwierdziła, że znaki są pomyślne.

Po zapadnięciu zmierzchu Biała Chmura polecił jej zdjąć sukienkę i buty. Kiedy stanęła przed nim naga, angielskim nożem zrobił na jej ramionach po dwa nacięcia, po czym ostrożnie podważył ostrzem skórę, formując coś na kształt epoletów, jakie noszą biali oficerowie. Następnie przez krwawe szczeliny przewlókł sznur, zawiązał pętle i zaciągnął węzeł, sznur przerzucił przez gałąź drzewa i podciągnął na nim Dwa Nieba, aż na wieszadłach z własnego krwawiącego ciała zawisła nisko nad ziemią.

Potem rozżarzonymi w ogniu do białości ostrymi końcami dębowych gałęzi wypalił na stromiźnie jej piersi znaki duchów Ludu i symbole manitu.

Zapadła ciemność, a Dwa Nieba wciąż walczyła, żeby się uwolnić. Przez pół nocy trzepotała się na sznurze, aż rozdarł się płat skóry na lewym ramieniu. Wkrótce potem pękł i prawy epolet i dziewczyna upadła na ziemię. By uciec przed bólem, schowała swą jaźń w małym, dalekim zakątku w głębi swego ciała, mogła przeto zasnąć.

O bladym świetle zbudziło ją szuranie łap niedźwiedzia wchodzącego na polankę z przeciwległego skraju. Nie zwęszył jej, nadszedł bowiem od strony porannego wiatru, człapał zaś tak powoli, że mogła się przyjrzeć dokładnie jego szpakowatemu pyskowi i stwierdzić, że to niedźwiedzica.

Wkrótce potem zjawił się i drugi niedźwiedź – czarny młody samiec, gotów do miłosnych zalotów mimo ostrzegawczych pomruków samicy. Dwa Nieba widziała jego wielkiego sztywnego coska, obrośniętego szarą ochronną szczeciną, gdy wspinał się na



zad samicy. Niedźwiedzica ryknęła, odwróciła się, kilka razy kłapnęła paszczką i samiec uciekł.

Goniła go przez chwilę, lecz zwęszywszy padlinę królika, porwała ją w zęby i zniknęła.

Doświadczając srogiego bólu, Dwa Nieba dźwignęła się w końcu na nogi. Czarownik zabrał jej ubranie. Na polance nie znalazła niedźwiedzich śladów. W aksamitnym popiele wypalonego ogniska widniał jednak wyraźny pojedynczy lisi trop. To lis pewnie przyszedł tam nocą i porwał królika.

Niedźwiedzie jej się chyba przyśniły albo były to manitu.

Droga powrotna zajęła jej cały dzień. Raz usłyszała tętent końskich kopyt i schowała się w krzakach, przeczekując przejazd dwóch młodych Indian z plemienia Sjuksów. Było jeszcze widno, gdy wiedziona przez duchy wchodziła do Prophetstown – naga, zakurzona i oblepiona krwią. Jacyś trzej mężczyźni przerwali rozmowę, kiedy się zbliżyła, jakaś kobieta przestała mleć ziarno. Dwa Nieba po raz pierwszy dostrzegła lęk na twarzach patrzących na nią ludzi.

Wróż własnoręcznie obmył ją. Opatrując jej poranione ramiona i oparzeliny zapytał, czy nic się jej nie śniło. Kiedy opowiedziała o niedźwiedziach, zabłysły mu oczy.

„Najmocniejszy znak!” – wymamrotał. Wyjaśnił jej, co znaczył ten sen: dopóki nie legnie z mężczyzną, nie opuszczą jej manitu.

Gdy rozważała sobie jego słowa, oświadczył jej, że nie będzie dłużej nosiła imienia Dwa Nieba, podobnie jak nigdy już nie będzie Sarą Drugą. Tej nocy w Prophetstown została Makwa-ikwą, Niedźwiedzicą.

Wielki Ojciec z Waszyngtonu po raz kolejny okłamał Sauków.

Wojsko obiecało Indianom Keokuka, że będą mogli na zawsze zamieszkać na terytorium Iowa na zachodnim brzegu Masesibowi, tymczasem zaczęli tam szybko przenikać biali osadnicy. Po drugiej stronie rzeki naprzeciwko Rock Island powstało miasto białych.

Nazwano je Davenport, dla uczczenia handlarza, który poradził Saukom, żeby porzucili kości swoich przodków i opuścili Sauk-enuk, a potem dla własnej korzyści kupił od rządu ich ziemię.

Obecnie zaś armia oświadczyła Saukom Keokuka, że zaciągnęli ogromny dług w amerykańskich pieniądzech, więc muszą sprzedać swoją nową ziemię na terenach Iowa i przenieść się do rezerwatu, który Stany Zjednoczone założyły dla nich daleko na południowym zachodzie, na terytorium Kansas.

Czarownik przykazał Niedźwiedzicy, żeby nigdy nie wierzyła słowom białego człowieka.

Tego roku Żółtego Ptaka ukąsił wąż, połowa jej ciała spuchła i podeszła wodą, a potem Żółty Ptak umarła. Księżyc znalazła sobie męża z plemienia Sauk o imieniu Nadchodzący ze Śpiewem i rodziła mu już dzieci. Smużka Dymu nie wyszła za mąż. Sypiała z wieloma mężczyznami, a tak radośnie, że ludzie ze śmiechem wymawiali jej imię. Makwa-ikwe paliła czasem miłosna żądza, nauczyła się jednak panować nad pożądaniem, podobnie jak nad każdym przykrym doznaniem cielesnym. Smutkiem jednak napełniała ją bezdzietność. Pamiętała, jak ukrywała się z Tym-Który-Posiada-Ziemię podczas masakry u ujścia Bad Ał i jak wargi braciszka ssaly jej pierś. Pogodziła się wszakże również z tym. Żyła już zbyt blisko manitu, by kwestionować ich postanowienie, że nigdy nie będzie matką. Cieszyło ją, że mogła zostać kobietą-czarownikiem.

Dwa ostatnie Namioty Mądrości poświęcone były złym urokom: jak rzucić czary na zdrowego, żeby zachorował, jak sprowadzić zły los i jak nim kierować. Makwa-ikwa poznała małe złośliwe chochliki zwane watawinona, poznała duchy i wiedźmy, a także Panguka, Ducha Śmierci.

Znajomość z tymi duchami można było zawrzeć dopiero w ostatnich Namiotach, gdyż kobieta-czarownik musiała przed ich wezwaniem osiągnąć pełne panowanie nad sobą, aby nie przyłączyła się do watawinona w czynieniu zła. Czarna magia wymagała wielkiej odpowiedzialności. Watawinona odebrały Makwa-ikwie dar śmiechu. Wynędzniała i wychudła tak, że zostały z niej sama skóra i kości, zdarzało się też, że nie przychodziło jej miesięczne krwawienie. Zauważyła, że i z Wabokieshieka watawinonawypijają życie, skurczył się bowiem i zmałał, obiecał jej jednak, że na razie nie umrze.

Pod koniec następnych dwóch lat Wróż przeprowadził ją przez ostatni z Namiotów Mądrości.

W dawnych czasach wymagałoby to zwołania szczepów Sauk z najdalszych stron, wyścigów i gier, zapalenia fajki pokoju i sekretnego zebrania Midewiwin, rady czarowników algonkińskich plemion. Ale dawne czasy minęły. Czerwonoskórzy żyli w rozproszeniu i poniewierce. Jedyne, co Wróż mógł uczynić, to wezwać na sędziów trzech starców: Zgubiony Nóż z plemienia Mesquakie, Jałowego Konia z plemienia Ojibwa i Małego Wielkiego Węża z plemienia Menomini. Kobiety z Prophetstown uszyły Makwa—ikwie sukienkę i mokasyny ze skóry łani, włożyła też plecionki izze, a na nogi i ręce bransolety, które pobrzękiwały przy każdym jej ruchu. Rytualnym kijem udusiła dwa psy i

dopilnowała ich oczyszczenia i warzenia mięsa. Po uczcie ona i starcy całą noc przesiedzieli przy ognisku.

Na ich pytania odpowiadała z szacunkiem, lecz bez skrępowania, jako równa przed równymi.

Śpiewem i wygrywanymi na wodnym bębenku suplikacjami przywołała manitu oraz dobre duchy.

Starcy wyjawili jej tajemnice Midewiwin, swoje sekrety zatrzymując wszelako dla siebie, podobnie jak ona miała odtąd strzec przed innymi swoich. Nim wstał świt, była już szamanką.

W dawniejszych czasach czyniłoby ją to osobą wielce możną, obecnie Wabokieshiek pomógł jej tylko zebrać zioła, które nie rosną tam, dokąd się miała udać. Zioła wraz z bębenkami i świętym zawiniątkiem załadowano na cętkowanego muła, który miał jej służyć jako zwierzę juczne.

Pożegnawszy się na zawsze z sędziwym Wrózem, odjechała na szarym kucu – drugim od niego podarku – do Kansas, gdzie żyli wtedy Inkowie.

Rezerwat położony był na terenach jeszcze bardziej płaskich od równin Illinois. I suchych.

Wody ledwo starczało do picia, w dodatku trzeba ją było nosić z daleka. Tym razem biali przydzielili Saukom ziemie dość żyzne, na których udawało się wszystko. Zasiewy bujnie wystrzeliły na wiosnę, ale już w pierwszych dniach lata uschły i zwiędły. Wiatr niósł pył, przez który słońce przeświecało jak okrągłe czerwone oko.

Jedli więc pożywienie białych, dostarczone przez żołnierzy: zepsutą wołowinę, zaśmierdłą słoninę, stare warzywa. Okruchy ze stołu bladych twarzy.

Hedonoso-te nie pobudowali. Lud mieszkał w szałasach skleconych z mokrego drewna, które paczyło się i zsychało, aż powstawały szerokie szpary przepuszczające zimą śnieg. Dwa razy do roku przyjeżdżał z żołnierzami mały, nerwowy agent do spraw Indian, i zrzucał na prerii stertę towarów: tanie lusterka, szklane paciorki, spękaną i porwaną uprząż z dzwoneczkami, znoszone ubrania, rojące się od robaków mięso.

Saukowie pożerali z początku tę stertę pożądlivym wzrokiem, póki ktoś nie zapytał agenta, po co te rzeczy przywiózł. W odpowiedzi usłyszeli, że to zapłata za przejęte przez rząd ziemie Sauków. Od tamtej pory tylko najślabi i najbardziej wynędzniali łaszczyli się na śmiecie z tej kupy. Stos powiększał się co sześć miesięcy i gnił na dworze.

Saukowie słyszeli już o Makwa-ikwie. Powitali ją z szacunkiem, lecz nie byli teraz plemieniem dostatecznie licznym, żeby potrzebować szamana.

Najdzielniejsi wyruszyli z Czarnym Jastrzębiem i polegli z rąk białych, pomarli z głodu, utonęli w Masesibowi albo też zostali zamordowani przez Sjuksów, chociaż nie brakowało w rezerwacie takich, którzy nosili jeszcze w piersi mężne serce dawnych Sauków. Ich odwaga poddawana była nieustannej próbie w walkach toczonych z zamieszkującymi te tereny szczepami, zasoby zwierzyny łownej kurczyły się bowiem i plemiona Komanczów, Kiowów, Czejenów i Osagów niechętnym okiem patrzyły na konkurencję ze strony przybyszów ze wschodu, wypartych przez Amerykanów. Biali nie ułatwiali Saukom zadania, ponieważ zatroszczyli się o to, aby nie zabrakło im podłej whisky, którą płacili za skóry

złowionych przez Indian zwierząt futerkowych. Toteż coraz więcej Sauków trawiło czas w alkoholowym otępieniu.

Makwa-ikwa mieszkała w rezerwacie niewiele ponad rok, gdy wiosną pokazało się na prerii małe stado bizonów. Mąż Księżyc, Nadchodzący ze Śpiewem, wyprawił się razem z innymi myśliwymi i zdobył mięso. Makwa-ikwa zarządziła Tańce Bizona i pouczyła tych, którzy mieli mruzczyć i śpiewać, jak to należy czynić. Ludzie tańczyli jak za dawnych czasów, dostrzegła też w oczach niektórych blask, jakiego dawno już nie oglądała. Ten widok napełnił jej serce radością.

Odczuli ją także inni. Po odtańczeniu Tańca Bizona podszedł do niej Nadchodzący ze Śpiewem i oznajmił, że niektórzy z Ludu pragną opuścić rezerwat i żyć tak, jak żyli ich ojcowie. Pytają, czy szamanka nie pojechałaby z nimi.

Makwa-ikwa zapytała Nadchodzącego ze Śpiewem, dokąd zamierzają się udać.

– Do domu – odrzekł.

Tak więc najmłodszy i najsilniejszy porzucili rezerwat, a ona wyruszyła z nimi. Przed jesienią dotarli do krainy, której widok uradował ich serca, napełniając je zarazem bólem. Niełatwo im przychodziło unikać spotkań z białymi. Kołowali wokół ich osad jak pijani. Łowy przynosiły nędzne łupy, zima ich zaskoczyła. Latem tego roku umarł Wabokieshiek i Prophetstown opustoszało. Makwa-ikwa nie mogła zwrócić się o pomoc do białego człowieka, pomna przestrogi, jakiej udzielił jej sędziwy czarownik, by nigdy nie wierzyła słowu bladej twarzy.

Ale manitu wysłuchali jej modłów i zesłali ratunek w postaci białego doktora nazwiskiem Cole, ona zaś, sprzeciwiwszy się

duchowi Wróza, uznała, że temu białemu zaufać jednak można.

Toteż kiedy przyjechał do obozu Sauków i powiedział, że teraz on potrzebuje jej pomocy w swoich praktykach lekarskich, bez wahania zgodziła się z nim jechać.

---

## 18 Kamienie

---

Rob J. starał się wytłumaczyć Makwa-ikwie, co to takiego kamień w pęcherzu, nie umiałby jednak powiedzieć, czy uwierzyła, że właśnie to jest przyczyną choroby Sary Bledsoe. Indianka spytała go, czy wyssie kamienie, a w trakcie rozmowy wyszło na jaw, że spodziewała się uczestniczyć w zręcznym oszustwie, czymś w rodzaju kuglarskiej sztuczki, mającej przekonać pacjentkę, iż usunął przyczynę jej dolegliwości. Musiał kilkakrotnie wyjaśniać, że kamienie są rzeczywiste i tkwią w pęcherzu Sary przygotowując ją o cierpienie, on zaś ma zamiar wnikać w głąb jej ciała za pomocą pewnego instrumentu i usunąć je.

Zdumienie Makwa-ikwy nie zmalowało, gdy weszli do chaty Roba i ten wodą z szarym mydłem wyszorował stół, dzieło rąk Aldena, na którym miał operować. Po Sarę pojechali we dwoje wozem. Jej mały synek, Alex, został z Alną Schroeder.

Chora oczekiwała doktora z rozszerzonymi strachem oczyma, błyszczącymi w pobladłej, wymizerowanej twarzy. W drodze

powrotnej Makwa-ikwa milczała, a Sara Bledsoe zacięła się w trwożnym otępieniu. Rob J. usiłował rozładować napięcie błahą pogawędką. Daremnie.

Gdy przyjechali pod jego chatę, Makwa-ikwa lekko zeskoczyła z wozu. Z delikatnością, która zdumiała Roba, pomogła zsiąść białej kobiecie z wysokiego kozła. Wtedy też po raz pierwszy przemówiła.

– Mnie nazywano kiedyś Sarą Drugą – powiedziała do Sary Bledsoe.

Rob J. zrozumiał z tego, że ją także nazywano kiedyś Sarą.

Sara nie miała wprawy w picie. Zakrztusiła się raz, gdy spróbowała przełknąć miarkę samogonu, którego na trzy palce nalał jej do kubka, a potem drugi, gdy dolał jej alkoholu na cal. Chciał ją otępić i znieczulić na ból, nie na tyle wszakże, by stała się niezdolna do współpracy z nim.

Czekając, aż wódka zacznie działać, ustawił wokół stołu świece i zapalił je mimo letniego upału, gdyż w chacie panował półmrok. Ciało Sary Bledsoe, gdy ją rozebrali, okazało się zaczerwienione od szczotki ryżowej. Jej chude pośladki były drobne jak u dziecka, a uda o niebieskawej skórze tak wychudzone, że sprawiały niemal wrażenie wklęsniętych. Skrzywiła się, kiedy wprowadził cewnik i napełnił jej pęcherz wodą. Pokazał Makwa-ikwie, jak ma trzymać kolana pacjentki, następnie posmarował litotrypter świeżym smalcem, dbając, by nie pomazać nim małych kleszczyków, w które miał chwycić kamienie. Chora jęknęła, gdy wprowadzał instrument w cewkę moczową.

– Wiem, że to boli, Saro. Boli, kiedy wsuwam, ale... Już, teraz będzie mniej bolało.



Przywykła do znacznie ostrzejszego bólu, toteż nie wydała więcej jęku, lecz Rob nie wyzbył się obaw. Minęło już kilka lat,• Gra podobnie brzmiących słów: Sarah Two (Sara Druga) i Sarah too (Sara także).

odkąd ostatni raz sondował kamienie, a i to pod czujnym okiem człowieka należącego bez wątpienia do pierwszych chirurgów na świecie. Poprzedniego dnia przez długie godziny robił ćwiczenia z litotrypterem. Podnosił nim rodzynki i kamyki, ujmował w jego kleszcze orzechy i zgniatał je, ćwiczył chwytanie przedmiotów w misce z wodą, powtarzał to samo z zamkniętymi oczami. Ale zupełnie czym innym było manipulowanie narzędziem wewnątrz delikatnego pęcherza żywej istoty ze świadomością, że jeden nieostrożny ruch lub zaciśnięcie szczęk na fałdce tkanki zamiast na kamieniu może spowodować jej przerwanie, a w konsekwencji groźne zakażenie i śmierć w męczarniach.

Ponieważ oczy nie na wiele mogły mu się przydać, zamknął je i poruszał litotrypterem wolno i delikatnie, całą swoją istotą wczuwając się w pojedynczy nerw na końcu instrumentu. Dotknął w końcu czegoś. Otworzył oczy i obmacał pachwinę i podbrzusze chorej, żałując, że nie potrafi przeniknąć wzrokiem ciała.

Makwa-ikwa obserwowała jego ręce, czytała z twarzy, baczna na najdrobniejszy sygnał. Odpędził bzyzącą muchę, po czym wszystko inne – poza pacjentką, zadaniem, jakie przed nim stało i litotrypterem w rękach – przestało dla niego istnieć. Kamień... Chryste, zorientował się od razu, że jest ogromny! Prawdopodobnie wielkości kciuka, ocenił, jak najwolniej i naj-ostrożniej manewrując i obracając litotrypterem.

Chcąc się przekonać, czy kamień da się wyjąć, zacisnął szczęki instrumentu, ledwo jednak cofnął go nieznacznie, leżąca na stole kobieta krzyknęła.

– Chwyciłem największy kamień, Saro – poinformował ją ze spokojem. – Jest za duży, żeby go usunąć w kawałku, dlatego spróbuję go rozkruszyć.

Mówiąc to, przesunął palce ku pokrętle śruby na końcu narzędzia. Czuł, że z każdym jej obrotem rośnie w nim napięcie, bo gdyby kamień nie dał się skruszyć, rokowanie dla chorej byłoby fatalne. Na szczęście gdy mocniej dokręcił śrubę, rozległo się głucho chrupnięcie, jakby chrząst gniecionej pod obcasem glinianej skorupy.

Rozbił kamień na trzy części. Choć starał się manipulować jak najdelikatniej, sprawił Sarze ból usuwając pierwszy odłamek. Makwa-ikwa zmoczyła ścierkę i otarła spoconą twarz chorej. Rob sięgnął ręką, rozwarł zbielełe palce jej lewej dłoni, rozchylając je niczym płatki, i położył na niej kamienny okruch.

Kamień był paskudny, brunatno-czarny. Środkowa część była gładka i owalna jak jajko, ale dwie pozostałe miały kształt nieregularny, najeżony małymi igiełkami i ostrymi krawędziami. Kiedy trzymała już w dłoni wszystkie trzy fragmenty, wprowadził cewnik i przepłukał pęcherz. Z cewki moczowej Sary wypłynęło jeszcze wiele okruszyn, które odprysnęły od kamienia, gdy go zgniatał.

Biedaczka była zupełnie wyczerpana.

– Wystarczy – zdecydował. – Został ci w pęcherzu jeszcze jeden kamień, ale mniejszy, więc uda nam się go chyba usunąć bez trudu. Wyjmiemy go kiedy indziej.

Po niecałej godzinie chorą chwyciła gorączka, zwykle następstwo każdego niemal zabiegu chirurgicznego. Wmusili w nią trochę płynów, w tym skuteczny napar Makwa-ikwy z kory wierzbowej. Nazajutrz rano jeszcze trochę gorączkowała, ale mogli ją już odwieźć do jej chaty. Rob J.

zdawał sobie sprawę, jak była obolała i poraniona, mimo to zniosła niewygodę podróży po wyboistej drodze bez słowa skargi. Jej oczy nadal płonęły gorączką, lecz obok gorączki jaśniał już w nich nowy blask. Rozpoznał w nim blask nadziei.

Kiedy kilka dni później Nick Holden zaprosił go na drugie „polowanie na sikorki”, Rob J. zgodził się niechętnie.

Tym razem popłynęli statkiem w dół rzeki do miasta Dexter, gdzie czekały na nich w gospodzie siostry LaSalle. Choć Nick zachwalał mu je z ordynarną męską przesadą, Rob J. zorientował się od razu, że to zużyte dziwki. Holden wybrał sobie młodszą i atrakcyjniejszą Polly, pozostawiając Robowi Lidię, starzejącą się damulkę o chmurnym spojrzeniu. Na górnej wardze ciemniał jej wąsik, którego nie zdołała ukryć pod pudrem z palonego ryżu. Lidia była jawnie niechętna naciskowi, jaki Rob kładł na wodę i mydło, oraz użyciu przezeń Starego Jebuska, swoją część umowy wypełniła jednak z zawodową biegłością. Leżąc obok niej w nocy w pokoju przesyconym dusznymi woniami minionych płatnych żarów miłosnych, zastanawiał się, co też on robi w takim miejscu. Z sąsiedniego pokoju dobiegały podniesione głosy, dał się słyszeć odgłos klapsa, zachrypnięty krzyk kobiety, a potem wstrętne, acz niewątpliwe co do swego pochodzenia dudnienie.

– Chryste Jezu. – Rob J. huknął pięścią w cienką ścianę.

– Nick! Wszystko tam u was w porządku?

– Byczo. Cholera, Cole, zdrzemnij się lepiej trochę.

Albo zajmij czym innym. Dobra? – odkrzyknął Holden głosem schrypniętym od whisky i złości.

Polly zjawiała się nazajutrz na śniadaniu z czerwoną opuchlizną po lewej stronie policzka. Nick musiał suto opłacić lanie, jakie jej spuścił, zegnała się z nimi bowiem głosem nader przymilnym.

Na pokładzie statku w drodze powrotnej niepodobna było uniknąć rozmowy o tym incydencie. Nick położył rękę na ramieniu Roba.

– Kobiety lubią czasem, żeby je brać twardo, nie wiedziałeś o tym, stary byku? Praktycznie aż się o to proszą. Zwilża im się od tego cipka.

Rob przyglądał mu się w milczeniu. Wiedział już, że było to jego ostatnie „polowanie na sikorki”. Nick zdjął po chwili dłoń z jego ramienia i zaczął opowiadać o nadchodzących wyborach. Postanowił ubiegać się o urząd stanowy, stanąć do wyborów do legislatury z ich okręgu. Trudno wątpić, wywodził z zapałem, że bardzo by mu pomogło, gdyby doktor Cole zachęcał swoich pacjentów podczas domowych wizyt do głosowania na swego serdecznego druha.

---

## 19 Przemiana

---

Dwa tygodnie po uwolnieniu Sary od dużego kamienia Rob J. był gotów do usunięcia również mniejszego, tymczasem ona zaczęła się temu sprzeciwiać. W ciągu pierwszych paru dni po zabiegu wydalila z moczem, czasami odczuwając ból, trochę drobnych kryształków. Gdy ostatnie drobiny rozkruszonego kamienia wyszły z pęcherza, dolegliwości ustały jak ręką odjął. Po raz pierwszy od początku choroby nie doświadczała przeszywającego bólu, uwolniona zaś od skurczów, odzyskała kontrolę nad własnym ciałem.

– Nadal masz kamień w pęcherzu – przypomniał jej.

– Nie chcę go usuwać. Już mnie nie boli. – Spojrzała na niego wyzywająco, lecz zaraz spuściła oczy. – Teraz boję się bardziej niż za pierwszym razem.

Zauważył, że lepiej wygląda. Twarz miała jeszcze ściągniętą cierpieniami długiej choroby, ale przybierała już na wadze i w jej wychudzeniu ukazały się pierwsze wyłomy.

– Ten duży kamień, który usunęliśmy, też był kiedyś małym kamykiem. One rosną, Saro – przekonywał ją łagodnie.

W końcu się zgodziła. I znowu Makwa-ikwa siedziała przy niej, kiedy Rob usuwał z jej pęcherzaminiejszy kamień – wielkości około jednej czwartej pierwszego. Nie bardzo cierpiała, jego zaś, gdy skończył, ogarnęło uczucie triumfu.

Tym razem wszakże gorączka pooperacyjna okrutnie rozpaliła jej ciało. Rob wcześniej rozpoznał nadciągającą katastrofę i w duchu przeklinał siebie za złą radę, jakiej udzielił Sarze. Nim zapadła noc, potwierdziły się jej mroczne przecucia. Jak na złość łatwiejszy zabieg usunięcia mniejszego kamienia wywołał ostrą infekcję. Rob i Makwa-ikwa przez cztery noce i pięć dni czuwali na zmianę przy

łóżku chorej, której organizm toczył ząartą walkę. Ujmując jej ręce w swoje dłonie Rob wyczuwał, że siły Sary się wyczerpują. Makwa-ikwa co jakiś czas zagapiała się w przestrzeń i zawodziła coś cicho w ojczystym języku. Wyznała Robowi, że prosi Ducha Śmierci, Panguka, żeby zostawił tę kobietę w spokoju. Sami

niewiele mogli dla Sary uczynić. Obmywali ją zwilżonymi szmatami, podnosili, przytykali do ust kubek z wywarem i prosili, żeby wypiała, smarowali maścią jej spieczone wargi. Jeszcze przez jakiś czas opadała z sił, ale rankiem piątego dnia – czy to za sprawą Panguka, czy jej własnego ducha, czy może naparu wierzbowego? – uderzyły na nią poty. Jej nocne koszule nasiąkały potem szybciej, niż byli w stanie je zmieniać. Rano zapadła w głęboki ozdrowieńczy sen, a gdy po południu Rob dotknął jej czoła, stwierdził, że jest niemal równie chłodne jakjego.

Wyraz twarzy Makwa-ikwy pozostał niewzruszony, ale Rob J. znał ją już na tyle, by wiedzieć, że propozycja przypadła jej do gustu, nawet jeśli nie potraktowała jej początkowo całkiem poważnie.

– Pracować z tobą? Stale?

Przytaknął. Miało to sens. Przekonał się, że Makwa umie pielęgnować pacjentów i bez wahania wykonuje jego polecenia. Taka współpraca, powiedział, mogłaby się okazać korzystna dla obojga.

– Nauczyłabyś się ode mnie trochę mojej medycyny. A ty możesz mnie tyle nauczyć o roślinach i ziołach: na co są skuteczne, jak je stosować...

Po raz pierwszy omawiali tę sprawę wracając wozem po odwiezieniu do domu Sary. Nie próbował jej przekonywać.

Przedstawiwszy swoją propozycję zamilkł, zostawiając jej czas do namysłu.

Kilka dni później zatrzymał się w pobliżu obozu Sauków i wrócili do tej rozmowy nad miską potrawy z królika. W jego propozycji najmniej podobał jej się warunek, by zamieszkała blisko niego, aby w nagłych wypadkach mógł ją szybko wzywać.

– Muszę mieszkać ze swoimi.

Rozważył położenie jej plemienia.

– Wcześniej czy później biali osadnicy dostaną od rządu papier na każdy skrawek gruntu, na którym twój lud zechce założyć wieś lub rozbić zimowy obóz. Nie będziecie się mieli gdzie podziać i przyjdzie wam wrócić do rezerwatu, z któregoście uciekli. – Powiedział jej, że muszą się nauczyć żyć w zmienionym świecie. – Potrzebuję rąk do pracy na farmie, Alden Kimball wszystkiemu nie podoła. Mógłbym zatrudnić jakieś małżeństwo, na przykład Księżyc i Nadchodzącego ze Śpiewem.

Moglibyście zbudować chaty na mojej ziemi.

Płaciłbym wam w pieniądzech Stanów Zjednoczonych, a także procent od dochodów farmy. Gdyby to zdało egzamin, może i w innych gospodarstwach znalazłaby się dla was praca. A zarabiając i odkładając pieniądze, prędzej czy później oszczędzicie dość, żeby odkupić własną ziemię zgodnie ze zwyczajem i prawem białych ludzi, a wtedy już nikt was z niej nie wyrzuci.

Popatrzyła na niego.

– Wiem, że czujesz się dotknięta, bo zmusza się was do kupowania waszej własnej ziemi. Biali okłamali was, oszukali.

Wielu z was zabili. Ale Indianie też okłamywali się nawzajem.

Okradali jeden drugiego. Różne szczepy mordowały się wzajemnie, samaś mi opowiadała. Kolor skóry nie ma tu nic do rzeczy, łajdaków znajdziesz w każdej rasie. Ale to nie znaczy, że na tym świecie są sami łajdacy.

Dwa dni później przyjechała na jego farmę z Księżyc, Nadchodzącym ze Śpiewem i dwójką ich dzieci. Zbudowali kedonoso-te z dwoma dymnikami, które szamanka miała dzielić z tą rodziną, chatę dość przestronną, by mogła pomieścić także trzecie dziecko Księżyc, mające niebawem przyjść na świat.

Wzniesli swój dom na brzegu rzeki, ćwierć mili w dół jej nurtu od chaty Roba. W pobliżu postawili łaźnię parową i dom dla kobiet na czas ich miesięcznej przypadłości.

Alden Kimball chodził nadąsany.

– W okolicy są biali, którzy rozglądają się za pracą – poinformował z kamienną miną Roba. – Biali.

Czy nigdy nie przyszło panu do głowy, że mogę nie mieć ochoty pracować z jakimiś cholernymi Indiańcami?

– Nie, nie przyszło mi to do głowy. Wydaje mi się, że gdybyś spotkał dobrego białego robotnika, już dawno byś mi doradził, żebym go najął. Ja ich poznałem. To naprawdę dobrzy ludzie. Wiem, że możesz mnie teraz opuścić, Aldenie, bo głupcem byłby ten, kto by cię nie capnął, skoro będziesz wolny.

Strasznie bym nie chciał, żeby do tego doszło, bo gdzie ja znajdę lepszego od ciebie zarządcę do prowadzenia farmy? Ufam więc, że jednak zostaniesz.

Alden przyglądał mu się w zakłopotaniu, mile połechtany pochwałą, ale i dotknięty wyraźnie sformułowaną opinią Roba. Na



koniec odwrócił się i wziął się za ładowanie na wóz palików na ogrodzenie.

Ostatecznie przeważyły szalę olbrzymia postura i siła Nadchodzącego ze Śpiewem, idące w parze z jego łagodnym usposobieniem, co czyniło zeń wyśmienitego parobka. Księżyc nauczyła się kuchni białych jeszcze jako dziewczynka w chrześcijańskiej szkole. Dla mieszkających samotnie kawalerów świeże placki, pasztety i smacznie podane potrawy równały się prawdziwym ucztom. Po tygodniu, choć Alden nadal się boczył i ani myślał ogłaszać kapitulacji, było już jasne, że Saukowie na dobre przyjęli się na farmie.

Z podobnym niezbyt zaciekłym buntem Rob J.

spotkał się wśród swoich pacjentów, Nick Holden ostrzegł go zaś nad szklanką jabłecznika:– Niektórzy osadnicy zaczęli cię już nazywać Indiańcem Cole'em. Powiadają, że jesteś indiańskim lubownikiem. Mówią, że chyba sam musisz mieć w żyłach krew Sauków.

Rob J. roześmiał się, zachwycony takim podejrzeniem.

– Coś ci powiem. Kiedy następnym razem ktoś będzie ci się skarżył na pana doktora, wręcz mu po prostu jedną z tych eleganckich ulotek, które z takim staraniem rozpowszechniasz.

Mam na myśli tę, w której zachwala się pod niebiosa szczęście, jakim jest dla miasta posiadanie lekarza z doświadczeniami wiedzą doktora Cole'a. Nie sądzę, żeby mieli coś przeciwko mojemu rzekomemu pochodzeniu albo kolorowi rąk mojej pomocnicy, gdy złożą ich choroba lub gdy się skaleczą...

Zajechawszy do Sary, by sprawdzić, czy wraca do zdrowia, zauważył, że ścieżka od gościńca pod same drzwi jej budy została

wypielona, zagrabiona i zamieciona. Od zewnątrz upiększały małą chatkę świeże rabaty leśnych kwiatów. W środku wszystkie ściany były pobielone, a jedyna woń, jaka unosiła się w powietrzu, to zapach szarego mydła zmieszany z przyjemnymi aromatami wiszących u krokwi pęków lawendy, mięty, szaławii i marchewnika.

– Dostałam te zioła od Almy Schroeder – wyjaśniła Sara.

– Za późno już na sadzenie ich w ogródku, ale w przyszłym roku zrobię to na pewno.

Pokazała mu zagon pod ogródek, którego fragment oczyściła już z chwastów i jeżyn.

Metamorfoza, jaka w niej zaszła, była bardziej jeszcze zdumiewająca od zmiany w jej obojętności.

Pochwaliła mu się, że zaczęła sobie sama codziennie gotować, zamiast poprzestawać na ciepłych posiłkach, które jej przynosiła od czasu do czasu uczynna Alma. Regularne odżywianie i treściwa dieta zaczęły już odziewać jej wychudzoną kościstą sylwetkę krągłościami powabnej kobiecości. Gdy się schyliła, by zerwać kilka zielonych cebul, które wyrosły w zapuszczonym ogródku, przyjrzał się jej zaróżowionemu karkowi. Zostanie wkrótce zakryty, włosy odrastały jej bowiem szybko płowym puszkami.

Biegało za nią jasnowłose stworzonko, jej mały synek. I on był teraz czyściutki. Rob spostrzegł, z jakim zatroskaniem Sara próbuje usunąć z jego kolan plamy po glinie.

– Chłopca nie upilnujesz, zawsze się pobrudzi – zauważył wesoło.

Malec wodził za nim rozszerzonymi strachem oczyma. Rob zawsze nosił w torbie trochę łakoci, żeby łatwiej zawierać przyjaźń z małymi pacjentami.

Wyjął teraz cukierek i odwinął z papierka. Dopiero po bez mała półgodzinie łagodnych perswazji udało mu się zbliżyć do małego Alexa i podać mu cukierek. Kiedy dziecko wzięło w końcu łańcuch drobną rączką, z ust Sary wyrwało się westchnienie ulgi. Podniósłszy głowę Rob J. ujrzał jej wpatrzone w siebie oczy – piękne, pełne życia.

– Upiekłam pasztet z dziczyzny. Może by pan zjadł z nami obiad?

Już miał odmówić, gdy uderzyły go miny obojga: małego chłopczyka smoktającego cukierek i poważnej, wyczekującej twarzy jego matki. Te twarze zdawały się o coś go pytać, lecz o co, nie umiał odgadnąć.

– Ubóstwiam pasztet z dziczyzny – powiedział.

---

## 20 Adoratorzy Sary

---

Z medycznego punktu widzenia to, że Rob J. w następnym tygodniu zajrzał kilka razy do Sary wracając z domowych wizyt, miało pełne uzasadnienie, tym bardziej że za każdym razem wystarczyło mu tylko trochę zbroczyć z drogi. Przecież jako jej lekarz musiał się upewnić, czy proces rekonwalescencji przebiega pomyślnie. Na temat stanu Sary niewiele miałby do powiedzenia, wyjąwszy spostrzeżenie, że barwa jej skóry zmieniła się z trupio

bladej na rumianą jak brzoskwinia, z czym było jej wielce do twarzy, a oczy zajaśniały blaskiem i nabrały wyrazu intrygującej bystrości. Któregoś popołudnia poczęstowała go herbatą i kukurydzianym chlebem.

W następnym tygodniu trzy razy zajechał do jej chaty, przyjmując dwa razy zaproszenie na obiad. Gotowała lepiej niż Księżyc. Nie mógł się wprost nachwalić jej kulinarnych umiejętności, wyniesionych, jak mu wyznała, z rodzinnej Wirginii. Zdawał sobie sprawę z pustek w jej spiżarni, zaczął więc przywozić ze sobą produkty spożywcze: a to worek kartofli, a to małą szynkę. Pewnego ranka jeden z osadników, któremu zabrakło gotówki, dorzucił mu do należności za wizytę cztery tłuściutkie, dopiero co upolowane kuropatwy. Rob J. przytroczył je do siodła i zawiózł do wdowy Bledsoe.

Gdy tam przybył, Sara i Alex siedzieli na ziemi w pobliżu ogródka, w którym machał szpadlem jakiś spocony, nagi do pasa osiłek z wielkimi bułami mięśni i opaloną na brąz skórą człowieka zarabiającego na życie pracą na powietrzu. Sara przedstawiła Robowi Samuela Merriama, farmera z Hooppole. Merriam przywiózł z Hooppole wóz świńskiego gnoju, którego połowę rozrzucił już w ogrodzie.

– To najlepszy nawóz na świecie – poinformował pogodnie Roba.

W porównaniu z królewskim darem w postaci fury świńskiego łajna, rozrzuconego w dodatku od ręki, mizerne ptaszki Roba wyglądały na skąpy prezencik, mimo to wręczył je gospodyni, wyraźnie szczerze mu za ten gościniec wdzięcznej. Podziękował grzecznie za zaproszenie na obiad, którym podejmowała Samuela

Merriama, i pojechał do Almy Schroeder, nie kryjącej podziwu dla rezultatów kuracji, jakiej poddał Sarę.

– I już ma adoratora, patrzcie no! – Alma jaśniała zadowoleniem. Żonę Merriama zabrała ubiegłej jesieni zarazachłopisko pilnie potrzebował gospodyni, która by się zajęła piątką jego drobiazgu i pomogła mu przy świniach. – To wielka szansa dla Sary – zawyrokowała. – Co prawda przy takim braku kobiet na pograniczu nie opędziłaby się pewnie od konkurentów.

W drodze powrotnej do domu Rob znowu wstąpił do wdowy Bledsoe. Podjechał do niej i nie zsiadając z konia patrzył na nią z góry. Tym razem w uśmiechu Sary pojawiło się zakłopotanie, spostrzegł też, że Merriam przerwał pracę w ogródku i popatruje na nich w zamyśleniu. Dopóki Rob nie otworzył ust, nie miał pojęcia, co chce właściwie powiedzieć.

– Pani powinna w miarę możliwości sama jak najwięcej pracować – oświadczył z powagą. – Pani do wyzdrowienia potrzebny jest ruch. – To powiedziawszy, dotknął kapelusza w kwaśnym humorze pojechał do domu.

Kiedy trzy dni później zatrzymał się znowu przed jej chatą, nie zastał tam żadnego zalotnika. Sara próbowała podzielić do rozsady wielki stary korzeń rabarbaru i poradziła sobie w końcu ćwiartując go siekierą. Potem razem wykopali dołki w gliniastej glebie, posadzili fragmenty korzenia przykryli rozgrzaną ziemią. Ten rolniczy znoj sprawił Robowi radość i dał mu prawo do zostania na obiedzie, na który Sara podała siekane mięso z ziemniakami, a do popicia zimną wodę źródlaną.

Po obiedzie Alex zasnął w cieniu drzewa, oni zaś siedząc na brzegu rzeki czuwali nad jego snem. Rob J. opowiedział Sarze i

Szkocji, a ona zwierzyła mu się, że chciałaby mieć w pobliżu kościół, aby jej syn nie wyrósł na bezbożnika.

– Często teraz rozmyślam o Bogu – wyznała. – Kiedy myślałam, że umrę i zostawię Alexa samego, modliłam się do Niego, a On zesłał mi ciebie.

Nie bez obaw wyjawiał jej, że nie wierzy w Boga.

– Uważam, że bogowie są wynalazkiem człowieka i że tak było zawsze – powiedział.

Dostrzegł przestach w jej oczach i zląkł się, że skazał ją swoim wyznaniem na pobożne życie w chlewie. Nie drażyła wszakże tematu religii, zaczęła mu natomiast opowiadać o swoich młodych latach w Wirginii, gdzie jej rodzice mieli farmę. Jej wielkie oczy były tak ciemnoniebieskie, że niemal fiołkowe. Nie dostrzegł w nich rozczulania się nad sobą, jedynie tęsknotę za tamtymi prostszymi, lepszymi czasami.

– Konie! – przypomniała sobie z uśmiechem. – W dzieciństwie kochałam konie.

Dało mu to sposobność zaproszenia jej na konną przejażdżkę, czekała go bowiem nazajutrz wizyta u pewnego umierającego na suchoty starca. Sara przyjęła jego propozycję z radością, której nawet nie starała się ukryć. Nazajutrz rano przyjechał po nią na Margaret Holland, prowadząc za uzdę Monikę Grenville. Alexa zostawili u Almy, która dosłownie rozpromieniła się ze szczęścia na wieść, że jej podopieczna „wyjeżdża” z doktorem.

Dzień był w sam raz na przejażdżkę, rześki, nie za gorący.

Nie spieszyło im się, pozwolili więc koniom iść stępa. Sara zapakowała do sakwy przy siodle chleb i ser i urządzili sobie piknik w cieniu zielonego dębu. Gdy przyjechali do domu chorego,

trzymała się na uboczu, słuchając jego charczącego oddechu i przyglądając się z daleka, jak Rob J. ujmuje w dłonie rękę starca. Kiedy zagrzała się woda na palenisku, obmył kościste członki i łyżeczką napoił pacjenta wywarem nasennym, żeby sen miłosierny skrócił mu czas oczekiwania na zgon. Usłyszała, jak mówił do jego syna i synowej, którzy nie okazywali żadnego wzruszenia, że zostało mu tylko kilka godzin życia.

Opuściwszy dom konającego, Sara była przygnębiona i milcząca. Pragnąc, aby wrócił wesoły nastrój, jakim się przedtem oboje cieszyli, Rob zaproponował, by w drodze powrotnej zamienili się końmi, była bowiem wytrawną amazonką i mogła bez trudu okiełznać Margaret Holland. Spodobała jej się jazda na bardziej rączym wierzchowcu.

– Czy obie klacze noszą imiona kobiet, które znałeś?

– spytała, a on przyznał, że tak.

Pokiwała w zamyśleniu głową. Pomimo jego starań drogę powrotną przebyli głównie w milczeniu.

Zaszedłszy dwa dni później do jej chaty, zastał tam jakiegoś mężczyznę. Timothy Mead, wysoki, chudy jak szczapa domokrażny handlarz, patrzył na świat brązowymi, wezbranymi żałością oczyma. Przedstawiony doktorowi, przywitał go z uszanowaniem. Sarze przyniósł w prezencie nici w czterech kolorach.

Wyjmując cierń z bosej stopy Alexa Rob J. zorientował się, że chłopiec nie ma porządnych butów, a tymczasem lato miało się już ku końcowi. Wziął więc obrys jego stopy i za najbliższą bytnością w Rock Island zaszedł do szewca i zamówił parę bucików, co nieoczekiwanie sprawiło mu wielką przyjemność. Kiedy w

następnym tygodniu przywiózł je chłopcu, zauważył, że podarunek wytrącił Sarę z równowagi.

W dalszym ciągu stanowiła dla niego zagadkę. Nie wiedział, czy jest mu wdzięczna czy złości się na niego.

Nazajutrz po wyborze do legislatury Nick Holden zjawił się rankiem na polance koło chaty Roba. Za dwa dni miał wyjechać do Springfield, aby stanowiąc prawa sprzyjające rozwojowi Holden's Crossing. Splunąwszy z pogardą, skierował rozmowę na temat, o którym ćwierkały już wszystkie wróble: przejażdżkę doktora Cole'a z wdową Bledsoe.

– Hm, no więc tak. Jest coś, o czym powinieneś wiedzieć, stary byku.

Rob popatrzył na niego.

– Chodzi o tego jej dzieciaka, o tego jej synalka. Wiesz, że to bękart? Urodził się prawie dwa lata po śmierci jej męża.

Rob wstał.

– Do widzenia, Nick. Życzę ci szczęśliwej drogi do Springfield.

Trudno było nie zrozumieć, co znaczy ton jego głosu, toteż gość zebrał się do odejścia.

– Chciałem ci tylko powiedzieć, że chłop nie musi zaraz...

– zaczął, dostrzegłszy wszakże wyraz twarzy gospodarza, przełknął resztę rady, wskoczył w siodło, pożegnał się zmieszany i odjechał.

Rob J. dostrzegał na twarzy Sary Bledsoe zagadkową mieszaninę uczuć: zadowolenie, gdy go widziała i mogła przebywać w jego towarzystwie, czułość, gdy sobie na nią pozwalała, ale czasem i coś w rodzaju trwogi. Któregoś wieczora pocałował ją. Zrazu jej rozchylone wargi poddały mu się miękko i chętnie, a ciało do niego przywarło, lecz potem coś się popsuło i wyrwała mu się z objęć. Do



licha, pomyślał, nie podobam się jej, w tym cała bieda. Przemógł się jednak i zapytał łagodnie, co się stało.

– Jak ja cię mogę pociągać? Czy nie widziałeś mnie sponiewieranej, zbydlęconej? Czy nie... wachałeś mojego smrodu? – zapytała z płonącymi policzkami.

– Saro – szepnął i zajrzał jej w oczy. – Kiedy leżałaś w chorobie, byłem twoim lekarzem. Teraz patrzę na ciebie jak na czarującą inteligentną kobietę, z którą mogę wymieniać myśli i snuć marzenia, i sprawia mi to wielką przyjemność. Pragnę cię mieć całą. Stale o tobie myślę. Kocham cię.

Dotykali się samymi tylko dłońmi. Sara wzmocniła uścisk palców, lecz nic nie powiedziała.

– Może zdołasz mnie kiedyś pokochać?

– Czy zdołam? A czyż ja mogłabym ciebie nie pokochać? – zawołała z żarem. – Ciebie, który wróciłeś mi życie, jak gdybyś był Bogiem?

– Nie jestem bogiem, u licha, jestem zwyczajnym człowiekiem! I jako taki pragnę być...

Teraz naprawdę zaczęli się całować. Całowali się namiętnie, wciąż nienasytzeni. Temu, co z łatwością mogło być nastąpić, zapobiegała Sara, odpychając go szorstko.

Odwróciła się i poprawiła na sobie sukienkę.

– Saro, wyjdź za mnie. Ponieważ nie odpowiadała, ciągnął:– Ty nie jesteś stworzona na to, żeby całe dni lać świniom pomyje do koryta albo tłuc się po okolicy z pudłem domokrążcy na grzbiecie.

– Na cóż więc jestem stworzona? – spytała ściszym, kłótliwym głosem.

– No cóż, na żonę lekarza, jak sądzę. To chyba całkiem oczywiste – odrzekł z udawaną powagą.

Sara nie potrzebowała udawać powagi.

– Znajdą się zaraz tacy, co do ciebie przylecą, żeby ci donieść o Aleksie, o jego pochodzeniu, więc wolę sama ci o tym powiedzieć.

– Pragnę mu być ojcem. Ważny jest dla mnie dzisiaj, będzie ważny jutro. Nie interesuje mnie, co było wczoraj. Ja też mam rozmaite grzeszki na sumieniu... Wyjdź za mnie, Saro.

Łzy jej stanęły w oczach, lecz coś jeszcze musiała wyjaśnić.

Wpatrywała się weń ze spokojem.

– Ludzie mówią, że żyjesz z tą Indianką. Musisz ją odprawić.

– „Ludzie mówią”, „znajdą się tacy, co zaraz ci doniosą”...

Coś ci powiem, Saro Bledsoe. Jeśli mnie poślubisz, będziesz się musiała nauczyć posyłać takich ludzi do diabła. – Zrobił głęboki wdech. – Makwa-ikwa to dobra, ciężko pracująca kobieta. Mieszka co prawda na mojej ziemi, ale we własnym domu. Odprawienie jej byłoby nieuczciwością i wobec niej, i wobec mnie samego, więc tego nie zrobię. Już gorzej nie moglibyśmy zacząć wspólnego życia... Musisz mi uwierzyć na słowo, że nie ma żadnego powodu do zazdrości. – Nie wypuszczał jej rąk z mocnego uścisku swych dłoni. – Jeszcze jakieś warunki?

– I owszem – potwierdziła gniewnie. – Musisz inaczej nazwać obie klacze. Noszą imiona kobiet, które dosiadałeś, prawda?

Zachciało mu się śmiać, lecz pohamował się dojrząwszy w jej wzroku prawdziwą złość.

– Jedna. Druga była podeszłą w latach pięknnością, którą znałem jako chłopiec, przyjaciółką mojej matki. Palilem się do niej, ale ona widziała we mnie tylko dziecko.

Nie zapytała, która klacz nosi imię po której kobiecie.

– To okrutny i wstrętny, łącie męski żart, a przecież ty nie jesteś okrutnym i wstrętnym człowiekiem, więc musisz zmienić imiona tych koni.

– Ty sama nadasz im nowe – zaproponował z miejsca.

– I musisz mi przyrzec, że nigdy, cokolwiek się między nami w przyszłości wydarzy, nie nazwiesz konia moim imieniem.

– Przysięgam ci to. Ma się rozumieć – nie mógł się oprzeć, by tego nie powiedzieć – zamierzam kupić świniaka u Samuela Merriama i...

Na szczęście dla siebie trzymał ją mocno za ręce i nie puścił, póki nie oddała mu szczerze pocałunku. Ale kiedy oderwali się od siebie, stwierdził, że płacze.

– Co się stało? – wykrzyknął z trwożnym przecuciem, że małżeństwo z tą kobietą nie będzie sprawą łatwą.

Zapłakane oczy Sary błyszcząły.

– Nadawanie listów dylizansem to taki okropny wydatek – wyszłochała. – Ale nareszcie będę mogła posłać mojemu bratu i siostrze w Wirginii jakąś pomyślną wiadomość.

---

## 21 Wielkie przebudzenie

---

Łatwiej było zdecydować się na małżeństwo, niż znaleźć księdza, z tego też powodu niektóre stadła na pograniczu w ogóle nie zawracały sobie głowy składaniem formalnych ślubów. Sara odmówiła jednak życia „na kocią łapę”. Miała dar jasnego wystawiania się. „Zakosztowałam już, co to znaczy urodzić i chować dziecko bez ojca, i nie chcę więcej przez to przechodzić” – oświadczyła.

Rozumiał ją. Nastąpiła jednak jesień i zdawał sobie sprawę, że gdy prerię zasypią śniegi, mogą minąć miesiące, nim jakiś wędrowny kaznodzieja bądź inny objeżdżający swój rewir duchowny zawita do Holden’s Crossing. Rozwiązanie ich kłopotu przyniosła ulotka, którą przeczytał w sklepie, zapowiadająca tygodniowe spotkanie religijnego odrodzenia.

„Nazywa się to Wielkie Przebudzenie i odbędzie się w miasteczku Belding Greek. Musimy tam pojechać. Kogo jak kogo, ale duchownych tam na pewno nie zabraknie.”

Gdy uparł się, żeby wzięli ze sobą Alexa, zgodziła się skwapliwie. Pojechali wozem. Podróżowali cały jeden dzień i ranek dnia następnego po znośnej, choć kamienistej drodze.

Na pierwszy nocleg zatrzymali się u jakiegoś gościnnego farmera w stodole, gdzie rozstali koce na pachnącym sianie na stryszku. Nazajutrz rano Rob J., w podziękę za użyczenie im dachu nad głową, spędził pół godziny na kastrowaniu dwóch byków gospodarza i usuwaniu narośli z boku jego krowy. Mimo tej zwłoki dotarli do Belding Greek przed południem. Miasteczko było nowe, o pięć lat tylko starsze od Holden’s Crossing, ale znacznie już rozleglejsze. Gdy do niego wjechali, oczy Sary stały się okrągłe, przysunęła się do Roba i chwyciła Alexa za rączkę. Nie była przyzwyczajona do

widoku tak nieprzebranych tłumów. Wielkie Przebudzenie odbywało się na prerii w cieniu wierzbowego gaju. Ściągnęli na nie ludzie z całej okolicy.

Wszędzie widziało się namioty, rozbite dla osłony przed południowym słońcem i jesiennym wiatrem, różnego rodzaju wozy, spętane konie i woły. Wśród zgromadzonych rzesz kręcili się obrotni handlarze. Trójka podróżnych z Holden's Crossing przejeżdżała obok ognisk, na których sprzedawcy gotowali przysmaki rozsiewające takie zapachy, aż ślinka sama napływała do ust: gulasz z dziczyzny, zupę z rzecznych ryb, smażoną wieprzowinę, słodką kukurydzę, zające z rusztu. Zanim Rob J. przywiązał konia do jakiegoś krzaka – klacz, która nosiła imię Margaret Holland, zwała się teraz Wiki, skrót od królowej Wiktorii; „Nie dosiadałeś chyba młodej królowej?” upewniła się Sara – myśleli już z apetytem o obiedzie. Nie musieli wyrzucać pieniędzy na kupne jedzenie. Alma Schroeder zaopatrzyła ich grupkę w tak ogromny kosz wiktuałów, że starczyłoby tego na tygodniową ucztę weselną. Na obiad mieli zimnego kurczaka i jabłka w cieście.

Pożywiali się szybko, udzieliło im się bowiem podniecenie otoczenia, gapiąc się na tłumy ludzi, słuchając ich okrzyków, przysłuchując się rozmowom. Po posiłku, wzięwszy chłopczyka z obu stron za rączki, obeszli niespiesznie całe zgromadzenie. Były to w gruncie rzeczy dwa spotkania odrodzeńcze w jednym, nie ustająca ani na moment wojna religijna, rywalizacja na kazania metodystów i baptystów.

Przez jakiś czas słuchali duchownego baptystów, wygłaszającego kazanie na polance wśród wierzbowego gaju.

Nazywał się Charles Prentiss Willard, tak zaś krzyczał i lamentował, że Sarę przebiegały dreszcze. Ostrzegał, że Bóg zapisuje ich imiona w swojej księdze i jednym przeznaczają życie wieczne, a drugim wieczną śmierć. Powiedział, że na grzeszników śmierć wieczną sprowadzą niemoralne i niechrześcijańskie czyny, mianowicie: cudzołóstwo, zastrzelenie bliźniego chrześcijanina, wdawanie się w bójki i rzucanie przekleństw, picie whisky i wydawanie na świat bękartów.

Rob J. był posępny, a Sara drżąca i blada, gdy wychodzili na otwartą prerię, żeby posłuchać kaznodziei metodystów. Nazywał się Arthur Johnson i nie był ani w części tak grzmiącym mówcą jak pastor Willard. Zapowiadał, że zbawienie dostępne jest dla każdego, kto spełnia dobre uczynki, wyznaje grzechy i prosi Boga o przebaczenie. Gdy Rob zapytał więc Sarę, czy nie sądzi, że wielebny Johnson mógłby połączyć ich węzłem małżeńskim, skinęła przyzwalająco głową. Predykant sprawiał wrażenie uszczęśliwionego, kiedy Rob J. podszedł do niego po kazaniu. Chciał udzielić im ślubu przed całym zgromadzeniem, ale ani Rob J., ani Sara nie mieli ochoty robić z siebie widowiska. Rob wsunął mu do ręki trzy dolary i pastor zgodził się pójść z nimi za miasto, nad brzeg Missisipi, gdzie ustawił państwa młodych pod drzewem. Alex usiadł na ziemi i przyglądał się ceremonii, a cicha jak myszka, pulchna kobiecina, którą kaznodzieja przedstawił im jako siostrę Jane, służyła za świadka.

– Mam tu pierścionek – oświadczył Rob J. zanurzając rękę w kieszeni. Sara szeroko otworzyła oczy. Nie powiedział jej wcześniej o zaręczynowym pierścionku swojej matki. Długie palce Sary były szczupłe i pierścionek okazał się za luźny.

Jasne włosy związała otrzymaną w podarunku od Almy Schroeder ciemnoniebieską wstążką, którą teraz zdjęła i potrząsnęła głową, aż płowe pukle rozsypały się wokół jej twarzy. Oznajmiła, że będzie nosiła pierścionek na szyi na tej wstążce, dopóki go nie zmniejszą. Kiedy pastor Johnson prowadził ich przez rotę ślubowań z nabytą w długiej praktyce wprawą, z całej siły ścisnęła narzeczonego za rękę. Rob J.

powtarzał słowa przysięgi głosem, którego ochrypłość jego samego zdumiała. Głos panny młodej drżał. Wyglądała tak, jakby nie dowierzała, że to, co się dzieje, dzieje się naprawdę.

Po ceremonii, gdy jeszcze się całowali, kaznodzieja próbował ich namówić, żeby wrócili na odrodzeńcze zebranie, najwięcej dusz osiąga bowiem zbawienie w czasie wieczornego zgromadzenia. Podziękowali mu jednak, pożegnali się i skierowali Wiki w drogę powrotną do domu. Alex zaczął wkrótce marudzić i kapryścić, ale Sara podśpiewywała sobie wesoło, plotła trzy po trzy, parę razy zaś, gdy Rob J. zatrzymywał konia, zsadzała synka z wozu, goniła się z nim, skakała i dokazywała.

Zjedli wczesną kolację, złożoną z wołowo-cynaderkowych pasztetów Almy i funtowego ciasta<sup>[2]</sup> z lukrem, którą popili wodą ze strumyka, a potem naradzili się, gdzie mają nocować.

O parę godzin drogi przed nimi znajdowała się gospoda.

Perspektywa spędzenia nocy w zajeździe najwyraźniej ucieszyła Sarę, która nigdy nie miała dość pieniędzy na mieszkanie w takim miejscu, lecz gdy Rob J. wspomniał o pluskwach i właściwym dla tego rodzaju przybytków brudzie, bez sprzeciwów przystała na jego propozycję, by przenocować w tej samej stodole co poprzedniej nocy.

Dotarli do niej o zmroku. Uzyskawszy zgodę gościnnego farmera, wdrapali się na ciepły, mroczny stryszek z takim niemalże uczuciem, z jakim się wraca do domu.

Zmęczony trudami dnia i brakiem poobiedniej drzemki Alex zasnął natychmiast jak kamień. Nowożeńcy przykryli go i rozesłali sobie obok koc. Nie rozbierając się do naga, sięgnęli po swe ciała. Robowi podobało się, że Sara nie udaje dziewicy.

Ich wzajemne pożądanie było szczere i zrozumiałe. Zwarli się w akcie gwałtownym i hałaśliwym. Potem nasłuchiwali, czy nie obudzili Alexa, ale chłopczyk spał mocno.

Rob J. rozebrał Sarę, żeby ją sobie obejrzeć. W stodole było już ciemno, podczołgali się więc oboje do małych drzwiczek, przez które na stryszek podawano siano. Kiedy Rob je pchnął, do środka wpadł czworokąt poświaty księżycyca w trzeciej kwadrze. W jego blasku mogli do woli przyjrzeć się swym ciałom. Rob J. obejrzał złoczone ramiona i dłonie swojej żony, jej pełne piersi, łono podobne do srebrnego gniazdka małego ptaszęcia, blade, widmowe pośladki. Zapragnął ją posiąść w tym prostokącie księżycowej poświaty, ale ciągnęło już jesiennym chłodem, poza tym Sara bała się, że mógłby ich zobaczyć gospodarz, zamknął więc wrotka. Tym razem kochali się niespiesznie, z ogromną czułością. W chwili szczytowego napięcia dał wszakże upust rozpierającym go uczuciom i zawołał do niej w uniesieniu: „Teraz się pocznie nasz baim. Teraz!” Chrapliwe jęki Sary obudziły Alexa, który zaczął płakać.

Położyli chłopca między sobą. Skulił się i wnet zasnął. Rob delikatnie wodził dłonią po ciele Sary, przypominając sobie jego kształt i strącając z niej źdźbła słomy.

– Nie wolno ci umrzeć – szepnęła.



- Żadnemu z nas, jeszcze nieprędko.
- Bairn znaczy dziecko?
- Tak.
- Myślisz, że poczęliśmy już dziecko?
- Kto wie?...

Usłyszał, jak przełyka ślinę.

- Może lepiej jeszcze raz spróbować dla pewności? Jako jej mąż i lekarz uznał tę propozycję za rozsądną.

W pachnącym sianem mroku oddalił się na czworakach od ich śpiącego synka, podążając za półkulami pełnych bladych pośladków żony.

---

---

[1] Biały traper, bohater słynnego cyklu powieściowego J. F. Coopera (ten i następne przypisy pochodzą od tłumacza).

[2] Ciasto z jajek oraz funta mąki, funta masła i funta cukru.

# CZĘŚĆ TRZECIA

## HOLDEN'S CROSSING

14 listopada 1841

---

### 22 Przekleństwa i Błogosławieństwa

---

W połowie listopada nastąpiły chłody, wcześniej niż zwykle spadły obfite śniegi. Wiki grzęzła w kopnych zaspach. Kiedy Rob J. wyjeżdżał w najgorszą pogodę, nazywał klacz Margaret, a ona strzygła krótkimi uszami na dźwięk dawnego imienia. Oboje, i kobyła, i jeździec, wiedzieli, jaki cel mają na oku. Jej było spieszno do podgrzanej wody i worka z owsem, jemu do chaty, której więcej ciepła i światła przydawali kobieta i dziecko niż kominek i naftowe lampy.

Jeśli nawet Sara nie poczęła w czasie ich weselnej wyprawy, musiało to nastąpić wkrótce potem. Nękające ją poranne mdłości nie zgasiły ognia ich pożądania. Czekali niecierpliwie, kiedy Alex zaśnie, i szepiali się ze sobą – ciała niemal równie szybko jak usta – z nie słabnącym zapałem, w miarę jednak jak rósł jej brzuch, Rob stawał się ostrożniejszym i czulszym kochankiem. Raz w miesiącu

brał do ręki szkicownik i ołówki i w przytulnym cieple ognia rysował nagą żonę, dokumentując rozwój ciąży nie mniej naukowo przez to, że szkice naznaczone były jego emocjami.

Sporządzał też rysunki architektoniczne. Ustalili, że będą mieli w domu trzy sypialnie, dużą kuchnię i salon.

Przygotował plan konstrukcji w pomniejszonej skali, żeby Alden mógł po skończeniu prac wiosennych nająć dwóch stolarzy i zacząć budowę. Niechęć Sary budziło to, że Makwa-ikwa ma dostęp do zamkniętego przed nią świata jej męża.

Kiedy cieplejsze dni zmieniły prerię w trzęsawisko, a potem okryły delikatnym zielonym kobiercem, oświadczyła Robowi, że gdy wybuchnie coroczna epidemia, ona z nim będzie jeździła do chorych i pomagała mu ich pielęgnować. Pod koniec kwietnia wszakże jej ciało ogromnie się rozduło. Dręczona jednak zazdrością i ciążą, siedziała w domu i gryzła się, kiedy Indianka wyjeżdżała z jej mężem na całe godziny, a bywało, że i dni.

Rob J. wracał z tych wizyt przemoczony do nitki i półżywy ze zmęczenia. Przekąszał coś, kąpał się, przesypiał parę godzin, jeśli to było możliwe, po czym wzywał Makwe i znów wyjeżdżali.

Pod koniec czerwca, ostatniego miesiąca brzemienności Sary, zaraza zelżała na tyle, że nie musiał już zabierać z sobą Makwy. Jednego ranka, gdy on jechał w strugach ulewy do konającej w męczarniach żony pewnego farmera, Sarę chwyciły bóle porodowe. Makwa wsadziła jej w zęby kij, żeby miała co kąsać, do drzwi przywiązała sznur i kazała ciągnąć za jego zawężony koniec.

Kiedy po wielu godzinach przegranej ostatecznie walki z różą zgorzelinową (śmiertelne zakażenie, jak donosił w liście Oliverowi Wendellowi Holmesowi, spowodowała zaniedbana ranka:

kobiecina zacięła się w palec przy krojeniu ziemniaków na sadzeniaki) Rob J. wrócił do domu, jego dziecko jeszcze się nie urodziło. Sara zwróciła na niego obłąkane z bólu oczy.

– To mnie rozdziera, zrób coś, ty skurwysynu!... – krzyknęła, ledwie przestąpił próg.

Nim do niej podszedł – niewolnik nauk Holmesa – starannie najpierw wyszorował ręce. Kiedy po zbadaniu żony odchodził od jej łóżka, Makwa pospieszyła za nim.

– Dziecko za wolno się rodzi – powiedziała.

– Wychodzi nóżkami.

Oczy jej spochmurniały, potaknęła jednak głową i wróciła do położnicy.

Poród trwał dalej. W środku nocy Rob, drżąc ze strachu, jaką odbierze wiadomość, zmusił się do ujęcia rąk żony.

– No i?... – spytała schrypniętym głosem.

Wyczuł jej słabnące, lecz nadal pocieszająco krzepkie siły witalne. Wymamrotał coś o swojej miłości, ale Sara zanadto cierpiała, żeby zwracać uwagę na słowa czy pocałunki.

I tak to się ciągnęło – chrapliwe jęki na przemian z krzykami. Rob nie wytrzymał w końcu i zaczął się modlić, niewprawnie, ze strachem, że nie potrafi się należycie targować, dręczony uczuciem, że jest zarazem arogantem i hipokrytą. .

Jeżeli jestem w błędzie i Ty istniejesz, proszę, ukarż mnie w jakiś inny sposób, ale nie krzywdź tej kobiety. Ani tego dziecka – dodał spiesznie – które się chce z niej wydostać.” Nad ranem ukazały się małowzrastające stopki, wielgachne wszelako jak na noworodka, zakończone prawidłową liczbą palców. Rob szeptał rodzącemu się

opornie dziecku słowa zachęty, uprzedzał je, że całe życie jest walką. Nóżki wyślizgiwały się cal po calu.

Przestraszył się, kiedy zaczęły wierzgać.

Potem ujrzął rozkoszny siusiak niemowlęcia i rączki o prawidłowej liczbie palców. Foremnie ukształtowany chłopaczek, tyle że zaklinowany barkami w kanale rodnym. Rob J. musiał naciąć krocze żony, przyczyniając jej dodatkowego bólu.

Ponieważ mała buzia była wciśnięta w ciało matki, Rob w obawie, że malec się udusi, wsunął do pochwy dwa palce i odciągnął jej ściankę. Po chwili na stojący do góry nogami świat wyśliznęła się zagniewana twarzą, zanosząc się od razu świdrującym płaczem.

Rob J. trzęsącymi się palcami podwiązał i odciął pępowinę, po czym zeszył szlochającą żonę. Zanim jej rozmasował brzuch, by spowodować skurcz macicy, Makwa zdążyła już obmyć niemowlę i zawinięte w powijaki położyła matce na piersi.

Wycieńczona dwudziestoma trzema godzinami ciężkiego porodu Sara zasnęła jak kamień. Gdy otworzyła oczy, ujrzała pochylonego nad sobą i ściskającego ją za rękę męża.

\_ Piękna robota – pochwalił.

\_ Jest ogromny jak bizon. Alex też się taki urodził – powiedziała ochrypłym głosem. Rob J. zważył niemowlę: miało osiem funtów i jedenaście uncji.

- Dorodny bairri! – zapytała, badając wzrokiem twarz męża. Skrzywiła się, gdy odrzekł, że diablo dorodny.

- Nie bluźnij. Przysunął usta do jej ucha.

- A pamiętasz, jak ty mnie wczoraj nazwałaś? – zapytał szeptem.

- Jak?

– Skurwysyn.

– Ja? Niemożliwe! – zawołała, wstrząśnięta i zła. Nie odzywała się potem do niego przez blisko godzinę.

Dali chłopcu na imię Robert Jefferson. W rodzinie Cole'ów pierworodny syn dostawał na pierwsze Robert, a na drugie jakieś imię na „j”. Rob uważał trzeciego amerykańskiego prezydenta za geniusza, a Sara dopatrywała się w imieniu Jefferson” powinowactwa z Wirginią. Martwiła się, że jej starszy syn będzie o młodszego zazdrosny, Alex nie zdradzał jednak innych poza zachwytem uczuć. Nie odstępował braciszka na krok i ani na chwilę nie spuszczał go z oka. Od początku postawił sprawę jasno: rodzicom wolno opiekować się dzieckiem, karmić je, przewijać, bawić się z nim, obsypywać pocałunkami i składać mu hołdy, ale pilnowanie malca należy do niego.

Rok 1842 okazał się pod wieloma względami pomyślny dla rodziny Cole'ów. Alden przyjął do pomocy przy budowie domu młynarza Ottona Pfersicka oraz niejakiego Morta Londona, osadnika ze stanu Nowy Jork. London był doskonałym doświadczonym stolarzem. Pfersick co prawda nadawał się tylko do wstępnej obróbki drewna, znał się za to na murarce, toteż we trzech po całych dniach wybierali w rzece najlepsze kamienie i przyciągali je na plac budowy przy pomocy wołów. Fundamenty, komin i kominki udały się znakomicie. Pracowali powoli, świadomi, że w tym kraju drewnianych domów wznoszą budowlę na lata, więc przed nadejściem jesieni, gdy Pfersick musiał cały swój czas poświęcić mieleniu mąki, a pozostali dwaj mężczyźni pracowali w gospodarstwie, stał dopiero szkielet domu, ale już pod dachem.

Do ukończenia go było jednak daleko, toteż Sara siedziała jeszcze przed starą chatą, obłuskując sagan zielonego bobu, kiedy na prowadzącą do ich zagrody drogę wtoczył się wóz z budą zaprzężony w dwa zmęczone konie. Na koźle siedział barczysty mężczyzna o ciemnych, przyprószonych kurzem gościńca włosach i takiejż brodzie.

– Czy to dom doktora Cole’a, łaskawa pani?

– A i owszem, jego. Ale doktora nie ma, wyjechał do pacjenta. Wieziecie rannego czy chorego?

– Ani rannego, ani chorego, dziękować Bogu. Jesteśmy przyjaciółmi doktora, sprowadzamy się tutaj.

Z tyłu wozu wytknęła głowę kobieta. Jej bladą, niespokojną twarz okalał miękki czepiec.

– Czy wy czasem... czy wy czasem nie jesteście Geigerowie?

– Nie tylko czasem, ale zawsze.

Mężczyzna miał ładne oczy, a jego miły, szczerzy uśmiech zdawał się przydawać mu całą stopę wzrostu.

– Och, jakże rada was witam, sąsiedzi! Zsiadajcie z wozu, proszę.

Zerwała się z ławki z takim ożywieniem, aż wysypała bób. Na wozie znajdowała się trójka małych dzieci. Herman, najmłodszy syn Geigerów, spał, ale Rachel, której szło już na czwarty rok, i dwuletni Dawid rozplakali się, gdy ich zsadzano na ziemię, do ich chóru zaś przyłączyło się wkrótce maleństwo Sary.

Sara zauważyła, że pani Geiger jest o dobre cztery cale wyższa od męża i że nawet zmęczenie długą uciążliwą podróżą nie zdołało zatrzeć delikatności jej rysów. Dziewczyna z Wirginii rozpoznała klasę. Przyjezdna miała w sobie rys egzotycznej urody, jakiego Sara nigdy jeszcze nie widziała, zaczęła więc przemyśliwać zaraz z

niepokojem, jak przygotować i podać obiad, żeby nie okryć się wstydem. A potem, gdy Lillian rozplakała się nagle, stanęła jej przed oczyma nie kończąca się podróż identycznym wozem, którą sama niegdyś odbyła, toteż objęła tę obcą kobietę i ku własnemu zdumieniu również zalała się łzami. Stropiony Geiger stał wśród płaczących kobiet i dzieci, aż wreszcie Lillian wysunęła się z objęć Sary i wybąkała w zmieszaniu, że cała jej rodzina odczuwa pilną potrzebę wyszorowania się w jakimś spokojnym potoku.

– Ten problem możemy rozwiązać od ręki – zawołała Sara z uczuciem wszechmocy.

Kiedy wrócił do domu Rob, włosy mieli jeszcze mokre po kąpieli w rzece. Gdy już wyściskali sobie ręce i wyklepali się po plecach, miał możliwość spojrzeć na swe gospodarstwo świeżym okiem nowo przybyłych. Byli zatrwożeni bliskością Indian i zachwyceni talentami Aldena. Jay z ochotą przyjął propozycję Roba, by osiedłali Wiki i Bess i pojechali obejrzeć posiadłość Geigerów. Po powrocie na obiad (wyśmienity) z błyszczącymi radością oczami opisywał żonie zalety ziemi, o którą wystarał im się ich przyjaciel Cole.

– Zobaczysz, sama zobaczysz! – wykrzykiwał ze szczerym entuzjazmem.

Po obiedzie przyniósł z wozu swoje skrzypce. Pianina Babcocka przywieźć ze sobą nie mogli, powiedział, ale zapłacili za jego przechowanie w bezpiecznym i suchym pomieszczeniu, miał więc nadzieję któregoś dnia po nie posłać.

– Nauczyłeś się już tego utworu Chopina? – zapytał, a Rob J. w odpowiedzi ustawił wiolonczelę między kolanami i wyciągnął pierwsze skoczne nuty mazurka.



Muzyka, jaką grali w Ohio, była pełniejsza, bo wzbogacona o dźwięki pianina Lillian. Mimo tego braku skrzypce i wiolonczela zdołały się zestroić w radosnym upojnym współbrzmieniu. Uporawszy się ze swoją robotą weszła do pokoju Sara i przystanąła zasłuchana. Zauważyła, że palce pani Geiger poruszają się czasem tak, jakby przebiegały klawisze. Miała ochotę ująć ją za rękę i pocieszyć, lecz usiadła tylko obok na podłodze, a muzyka to wzmagająca się, to cichła, napełniając ich wszystkich błogością i nadzieją.

Geigerowie rozbili się obozem przy źródle na własnej parceli i Jason wziął się za ścinanie drzew na budowę chaty. Byli tak samo wyczuleni na to, by nie sprawiać Cole'om kłopotu, jak ci na okazywanie im gościnności. Obie rodziny często się nawzajem odwiedzały. Pewnej mroźnej nocy, gdy siedzieli wokół ogniska Geigerów, na prerii zaczęły wyc wilki i Jay wydobyl ze swoich skrzypiec równie przeciągły, rozedrgany dźwięk. W odpowiedzi dobiegło ich wilcze zawodzenie, tak że przez jakiś czas niewidoczne zwierzęta i skrzypek rozmawiali ze sobą poprzez ciemność, póki Jason nie zauważył, że jego żona drży nie tylko z zimna, dorzucił więc nową kłodę do ogniska i odłożył instrument.

Jay nie należał do wprawnych stolarzy, ukończenie domu Cole'ów zostało więc ponownie odłożone, ledwo bowiem Alden uwolnił się od prac gospodarskich, musiał się zabierać za budowę chaty Geigerów. Po paru dniach dołączyli do niego Otto Pfersick i Mort London. We trójkę szybko wzniesli przytulną chatę z przybudówką na aptekę, która miała pomieścić pudła z ziołami i lekarstwami stanowiące lwią część ładunku wozu Geigerów. Jay, zgodnie z żydowskim obyczajem, jak objaśnił, przybił do framugi

drzwi cynową tulejkę mieszczącą kawałek pergaminu, na którym zapisany był fragment Piątej Księgi Mojżeszowej, i osiemnastego listopada, na kilka dni przed nadciągnięciem z Kanady przenikliwych chłódów, Geigerowie wprowadzili się do własnego domu.

Jason i Rob J. wycięli w lesie ścieżkę łączącą oba domostwa.

Szybko przyjęła się dla niej nazwa Długiej Ścieżki w odróżnieniu od tej, którą Rob J. przeprowadził wcześniej od swojego domu do rzeki, zwanej Krótką Ścieżką.

Budowniczo wie skupili teraz wszystkie siły na domu Cole'ów.

Mieli całą zimę na wykończenie wnętrza, ogrzewali je zatem paląc w kominie odpadkami drewna i pracowali rażno nad wykrawaniem listew wykończeniowych i boazeryjnych z pni młodych dębczaków, długie godziny trawili też na dobieraniu koloru sporządzonej z mleka farby, żeby uzyskać odcień, który by zadowolił Sarę. Bizonie bagno w pobliżu domu zamarzłoi Alden przerywał czasem stolarskie zajęcia, przypinał do butów łyżwy i popisował się umiejętnościami nabytymi za swych chłopięcych lat w stanie Vermont. Rob J. również każdej zimy ślizgał się w Szkocji na łyżwach i chętnie pożyczylby je od Aldena, okazały się jednak o wiele za małe na jego ogromne stopy.

Pierwszy drobny śnieżek spadł na trzy tygodnie przed Bożym Narodzeniem. Wiatr miótł czymś, co wyglądało jak dym, a czego maleńkie drobiny w zetknięciu ze skórą zdawały się piec. A potem spadły prawdziwe puszyste płatki, świat okrył się bielą i pod nią już pozostał.

Sara z rosnącym podnieceniem układała bożonarodzeniowy jadłospis, omawiając z Lillian wypróbowane przepisy z Wirginii.

Odkrywała teraz różnice między swoją rodziną a Geigerami. Lillian nie podzielała na przykład jej rozgorączkowania z powodu zbliżających się świąt. Sara dowiadywała się ze zdumieniem, że jej nowi sąsiedzi nie czczą narodzin Chrystusa, świętują natomiast dziwaczną rocznicę jakiejś starożytnej zamorskiej bitwy w Ziemi Świętej, a obchody sprowadzają się do zapalenia świeczek i usmażenia placków ziemniaczanych! Ofiarowali jednak Cole'om prezenty – przywiezione aż z Ohio konfitury śliwkowe oraz ciepłe skarpety dla całej czwórki, które Lillian sama zrobiła na drutach. Cole'owie zaś sprezentowali im czarną żeliwną patelnię na trójnogu, którą Rob kupił w sklepie wielobranżowym w Rock Island.

Prosili Geigerów, by spożyli z nimi wieczerę wigilijną, i ci w końcu zgodzili się przyjść, choć Lillian nigdzie poza domem nie jadła mięsa. Sara podała na stół zupę cebulową, sumika w sosie grzybowym, pieczoną gęś w sosie z podróbek, pyzy ziemniaczane, angielski pudding śliwkowy z konfitur, które dostała od Lillian, suchary, ser i kawę. Sara obdarowała swoją rodzinę wełnianymi swetrami, Rob ofiarował żonie etolę z lisów tak lśniąca, aż zaniemówiła z wrażenia, a pozostałym wyrwały się okrzyki zachwytu, Aldenowi zaś dał nową fajkę oraz pudełko tytoniu. Jemu parobek zrobił niespodziankę w postaci pary łyżew o ostrych płozach, które wykonał w ich kuźni, dostatecznie przy tym długich na nogę Roba!

– Teraz lód jest pod śniegiem, ale w przyszłym roku będzie pan z nich miał pociechę – przyrzekł Alden roześmiany.

Po wyjściu gości zapukała do drzwi Makwa-ikwa. Przyniosła rękawiczki z króliczych skórek, po parze dla Sary, Roba i Alexa. Uciekła, nim zdążyli zaprosić ją do środka.

– Dziwna kobieta – orzekła Sara w zamyśleniu. – Powinniśmy jej byli też coś ofiarować.

– Pomyślałem o tym – uspokoił ją Rob, oznajmiając żonie, że podarował Makwie patelnię na trójnogu, taką samą, jaką dali Geigerom.

– Nie powiesz mi chyba, żeś dał tej Indiance taki drogi kupny prezent? – Gdy zaś nie odpowiadał, dodała napiętym już głosem: – Musisz dużo myśleć o tej kobiecie!

Popatrzył na nią.

– Istotnie – przyznał cicho.

W nocy ociepliło się i zamiast śniegu spadł deszcz. Nad ranem przybiegł ociekający wodą, zapłakany piętnastoletni Freddy Grueber i załomotał w drzwi. Wół, duma Hansa Gruebera, kopnął i przewrócił lampę naftową i – mimo deszczu – spaliła im się stodoła.

– Matko, jak żyję czegoś podobnego nie widziałem.

Nieśmy nie mogli zrobić. Udało się tylko wyprowadzić inwentarz, prócz muła. Ale tata mocno się poparzyli. Ręce, kark, obie nogi... Musi pan do nas przyjechać, doktorze!

Chłopiec przebył czternaście mil – przy takiej pogodzie – więc Sara chciała, żeby coś zjadł i napił się czegoś, ale pokręcił tylko głową i ruszył zaraz w drogę powrotną do domu. Wobec tego zapakowała tylko do koszyka resztki wigilijnej wieczerzy, a Rob J. wziął czyste szmaty i maście, jakich mógł potrzebować, po czym poszedł do indiańskiej chaty po Makwę. Kilka minut później Sara patrzyła, jak znikają oboje w szarudze. Rob, z twarzą zasłoniętą kapturem, kuląc na siodle swą ogromną postać w zacinającym deszczu, dosiadał Wiki. Owinięta kocem Indianka jechała na Bess. Wyjeżdża z moim własnym mężem, na moim własnym koniu,

pomyślała z goryczą Sara, po czym postanowiła, że upiecze chleb, z pewnością już bowiem nie zaśnie.

Przez cały dzień czekała ich powrotu i do późnej nocy siedziała przy ogniu, wsłuchując się w szelest deszczu i patrząc, jak obiad, który dla męża w kółko podgrzewała, zamienia się w coś, czego on już na pewno zjeść nie zechce.

W końcu położyła się do łóżka, lecz zasnąć nie mogła. Leżała wyrzucając sobie, że jeśli umościli sobie ciepłe gniazdko w jakimś tipi albo pieczarze, to tylko jej wina, ona bowiem swoją zazdrością sprawiła, że Rob się od niej odsunął.

Rano siedziała przy stole znosząc katusze wyobraźni, kiedy zajrzała do niej Lillian, którą tęsknota za miejskim życiem i samotność wygnały z domu pomimo ulewy. Sara miała ciemne kręgi pod oczami i wyglądała jak z krzyża zdjęta, lecz gawędziła z sąsiadką pogodnie, aż nagle, w środku rozmowy o nasionach kwiatów, zalała się łzami. W następnej zaś chwili, ku swej konsternacji, dzieliła się najgorszymi obawami z Lillian, która ją tuliła w objęciach.

– Zanim się zjawił, moje życie było koszmarem. Teraz jest takie dobre. Gdybym go straciła...

– Saro – odezwała się miękko Lillian – tego, jak się układa w cudzym małżeństwie, nikt wiedzieć nie może, to oczywiste, ale... sama przyznajesz, że twoje obawy mogą być bezpodstawne. A ja jestem pewna, że tak jest faktycznie. Rob nie należy do ludzi zdolnych do oszustwa.

Sara pozwoliła się przyjaciółce pocieszać i odwodzić od podejrzeń, którymi się zadreęzała. Kiedy Lillian wychodziła do domu, burza jej uczuć już ucichła.

Rob J. wrócił w południe.

– No i jak tam Hans Grueber? – zapytała.

– Och, jest okropnie poparzony – odparł ze znużeniem. – Potwornie cierpi. Mam nadzieję, że się wyliże. Zostawiłem przy nim Makwę, żeby go pielęgnowała.

– Dobrze zrobiłeś.

Przespał całe popołudnie i wieczór. Tymczasem deszcz ustał, a temperatura gwałtownie spadła. Obudzony się w środku nocy, ubrał się i wyszedł na dwór. Po drodze do wygodki pośliznął się, nasiąknięty deszczem śnieg zamarzył bowiem na kamień. Wrócił do łóżka, ulżywszy pęcherzowi, nie mógł już jednak zasnąć. Miał zamiar odwiedzić z rana Gruebera, ale teraz zwątpił, by kopyta konia mogły znaleźć jakiś punkt oparcia na skuwającej ziemi lodowej caliznie. Ubrał się ponownie, wyszedł z domu i stwierdził, że jego obawy są uzasadnione. Choć z całej siły tupął obcasem w twardą skorupę śniegu, nie zdołał jej przebić.

W stodole poszukał łyżew, które zrobił dla niego Alden, i przypiął je do butów. Droga prowadząca do domu, często używana, zamarzała w grudy, trudno się więc było po niej ślizgać, lecz dalej rozpościerała się otwarta preria, pokryta twardym, wyszlifowanym wiatrami śniegiem, gładka jak lustro. Rob J. puścił się po lśniącej smudze księżyca, zrazu ostrożnie, potem – nabrawszy pewności ruchów – dłuższymi i posuwistymi odbiciami, aż dotarł daleko w głąb bezkresnej równiny, podobnej do wielkiego arktycznego morza, mając w uszach jedynie zgrzyt łyżew i własny wysiłony oddech.

Wreszcie zatrzymał się zadyszany i powiódł spojrzeniem po niesamowitym świecie skutej lodem, okrytej ciemnościami prerii.

Gdzieś całkiem blisko i przeraźliwie głośno odezwało się wycie wilka, rozwibrowane i upiorne jak zawodzenie banshee<sup>[3]</sup>. Robowi włosy na głowie stanęły dęba. Wiedział, że gdyby upadł, a nie daj Boże jeszcze złamał nogę, wygłodzone drapieżniki zbiegłyby się do niego w ciągu kilku chwil. Wilk, ten sam, a może już drugi, zawył znowu i Rob usłyszał w tym wyciu wszystko to, czego wolałby nie słyszeć: zew samotności, głodu i dzikości, puścił się więc czym prędzej w drogę powrotną ku domowi. Ślizgał się teraz ostrożniej i uważniej niż przedtem, ale z duszą na ramieniu, jak człowiek ścigany.

Wróciwszy do domu sprawdził najpierw, czy Alex i jego mały synek nie rozkopali się przypadkiem. Spali obaj smacznie.

Kiedy wszedł do łóżka, Sara odwróciła się do niego przodem.

Jej piersi ogrzały mu zmarzniętą twarz. Zamruczała coś cicho i przymilnie – głos skruszonej miłości – i oplotła go nęcąco rękami i nogami. Zatrzymała mnie w domu pogoda, usprawiedliwił się w myślach. Z Makwą u boku Grueber i beze mnie wydobrzeje.

To pomyślawszy zatopił się w ciepłe warg, ciało i dusz, oddając się rozkoszy znajomej, a bardziej tajemniczej niż poświata księżycy, przyjemniejszej niż pęd na łyżwach po lodzie, nawet gdy wilki nie gonią.

---

## 23 Przemiany

---

Gdyby Robert Jefferson Cole przyszedł na świat w północnej Brytanii, nosiłby od narodzin imię Rob J., a Robert Judson Cole zostałby Dużym Robem albo zwyczajnie Robem. U Cole'ów w Szkocji inicjał przynależał pierworodnemu, póki sam nie został ojcem syna, na którego J" przechodziło gładko i bezdyskusyjnie. Rob J. ani myślał naruszać tę rodzinną, wiekami uświęconą praktykę, ale ród Cole'ów znalazł się teraz w nowym świecie i jego nowi członkowie nie dbali o ustaloną od stuleci tradycję. Choć usilnie ich do tego zachęcał, nie przenieśli imienia Rob J. na nowo narodzonego syna. Dla Aleka mały braciszek był z początku Dzidziom. Dla Aldena – Chłopaczkiem. Natomiast imię, które do niego przyłgnęło i zrosło się z nim, nadała mu Makwa-ikwa. Pewnego ranka malec, który dopiero raczkował i zaczynał wymawiać wyrazy, siedział na klepisku w jej hedonoso-te wraz z dwojgiem z trójki dzieci Księżycy i Nadchodzącego ze Śpiewem: trzyletnim Anemohą, Małym Psem, i o rok odeń młodszą Gsaw-ikwą, Kobietą Ptakiem. Bawili się lalkami z kolb kukurydzianych. W pewnej chwili biały malec odpełznął od towarzyszy zabawy. W padającym przez dymniki mrocznym świetle dojrzał wodny bęben czarownika. Zabębniwszy weń rączką, wydobył z instrumentu dźwięk, na który podniosły się wszystkie w chacie głowy.

Chłopczyk oddalił się następnie od źródła tego dźwięku, nie wrócił już jednak do pozostałej dwójki, tylko przyraczkował do składu ziół Makwa-ikwy i niczym człowiek dokonujący inspekcji, zatrzymywał się z poważną miną przed każdym ze stosików, przyglądając się im z najżywszym zainteresowaniem.

Makwa-ikwa uśmiechnęła się na ten widok.

– Ubenu migegee-ieh, mały szaman – orzekła.



Odtąd już zawsze nazywała go Szamanem, a i inni szybko podchwycili to imię, wydawało się bowiem do niego z jakiegoś powodu pasować. Chłopczyk od razu uznał je za własne. Były co prawda wyjątki. Alex lubił nazywać go Braciszkiem, sam zaś był dla Szamana Dużym, bo tak ich obu nazywała od początku matka: Mały Braciszek i Duży Brat.

Jedynie Lillian Geiger usiłowała zwracać się do dziecka imieniem Rob J., słyszała bowiem, co jej przyjaciel mówił o rodzinnym zwyczaju, dla rodziny i tradycji miała zaś wielki szacunek. Ale nawet ona zapominała się czasem i nazywała chłopczyka Szamanem. Rob J. (dorosły) musiał na koniec ustąpić i zachował inicjał drugiego imienia. Wiedział zresztą, że czy ma inicjał, czy nie, niektórzy spośród jego pacjentów mówią nań za jego plecami „Indianiec Cole”, a są wśród nich i tacy, dla których jest „pieprzonym łapiduchem, gachem Sauków”. Zarówno jednak ludzie o głowach otwartych, jak i głupcy uznawali w nim dobrego lekarza.

On zaś, gdy go wezwano, do każdego jechał chętnie, czy go tam kochali, czy nie.

Miejsce, które figurowało niegdyś jako Holden's Crossing jedynie na drukowanych ulotkach Nicka Holdena, miało teraz nawet główną arterię – Main Street, zabudowaną licznymi domami i sklepami. Ulicę tę zwano powszechnie Wiochą.

Main Street chlubiła się ratuszem, wielobranżowym sklepem Haskinsa z galanterią, artykułami spożywczymi, narzędziami rolniczymi i materiałami siewnymi, sklepem z nasionami i paszą N. B. Reimera, „Kasą Oszczędnościową i Hipoteczną Holden's Crossing”, pensjonatem Anny Wiley wydającym posiłki również dla stołowników z zewnątrz, apteką Jasona Geigera, barem Nelsona

(według pierwotnych planów rozwoju miasta Nicka Holdena miał to być zajazd, lecz konkurencja ze strony pensjonatu pani Wiley nie pozwoliła mu wyrosnąć ponad niskie pomieszczenie z długim szynkwasem), stajniami wreszcie i kuźnią Paula Williama, kowala ogólnego. Roberta Williams, kowalicha, urządziła w swoim drewnianym domu we Wiosze pracownię krawiecką.

Przez kilka lat do sklepu w Holden's Crossing w każde środowe popołudnie zjeżdżał dla zawierania transakcji agent ubezpieczeniowy z Rock Island nazwiskiem Harold Ames.

Jednakże gdy rozprzedano niemal wszystkie działki z rządowego funduszu ziemi, niektórzy zaś z niedoszłych farmerów zbankrutowali i zaczęli odprzedawać swoje posiadłości na prerii, nowym przybyszom ukazała się jasno potrzeba posiadania własnego biura handlu nieruchomościami, wnet też istotnie założył takowe przybyły do Holden's Crossing Carroll Wilkenson, przejmując zarazem zadania agenta ubezpieczeniowego. Burmistrzem miasta wybrany został w pierwszych wyborach – i bywał wybierany we wszystkich następnych przez wiele jeszcze lat – Charlie Anderson, który kilka lat wcześniej został też prezesem banku. Anderson był powszechnie lubiany, choć wszyscy zdawali sobie sprawę, że jest burmistrzem z nadania Nicka Holdena i siedzi u niego w kieszeni. To samo dałoby się powiedzieć o szeryfie. Mort London potrzebował tylko roku, by się zorientować, że nie ma powołania do pracy na roli. A ponieważ i zapotrzebowanie na prace stolarskie nie było dostatecznie duże, by mógł się z nich utrzymać, gdyż osadnicy sami w miarę możliwości parali się stolarką, kiedy Nick wystąpił z propozycją, że poprze jego kandydaturę na urząd szeryfa, Mort zgodził się skwapliwie. Człek był zeń spokojny, pilnujący

własnego podwórka i ograniczający się do uciszania pijaczków u Nelsona.

Robowi J. nie było obojętne, kto piastuje urząd szeryfa. Każdy lekarz w hrabstwie był zastępcą koronera, a właśnie szeryf decydował, kto ma przeprowadzić sekcję zwłok, kiedy zgon był następstwem zbrodni bądź nieszczęśliwego wypadku. Dla wiejskiego lekarza autopsje były często jedyną okazją do podtrzymania sprawności chirurga. Rob J. rygorystycznie przestrzegał podczas sekcji wysokich standardów naukowych Edynburga: ważył wszystkie ważniejsze organy i prowadził zapiski. Na szczęście zawsze żyli w zgodzie z Mortem Londonem, toteż nie narzekał na brak zwłok do krojenia.

Holdena przez trzy kadencje z rządu wybierano do legislatury stanowej, aż niektórym obywatelom miasta dojadł do żywego wielkopański ton, jaki Nick przybierał. Cóż z tego, wyrzekali między sobą, że Holden posiada większość udziałów w banku, część młyna, sklep wielobranżowy, szynk i Bóg raczy wiedzieć ile akrów ziemi? Ich samych ani ich gruntów przecież, u licha, na własność nie posiadł! Zasadniczo jednak śledzili jego karierę z dumą i niedowierzaniem, prowadził się bowiem w Springfield jak prawdziwy polityk – pijał bourbona z urodzonym w Tennessee gubernatorem, występował na posiedzeniach legislatury i tak zręcznie pociągał za sznurki, że jego krajanom pozostawało tylko spluwać z uśmiechem i kręcić głowami.

Nick żywił dwie ambicje, do których otwarcie się przyznawał.

– Chciałbym doprowadzić do Holden's Crossing kolej, żeby pewnego dnia ta miejscina stała się miastem co się zowie – wyjawiał pewnego poranka Robowi, siedząc na ławce przed sklepem

Haskinsa i zaciągając się królewskim cygarem. – Żeby tego dopiąć, muszę zostać wybrany do Kongresu Stanów Zjednoczonych. Tkwiąc w Springfield nie doprowadzę tu linii kolejowej.

Odkąd Nick próbował odwieść Roba od poślubienia Sary, skończyła się ich zażyłość, ilekroć się jednak spotykali, odnosili się do siebie przyjaźnie. Rob obrzucił go teraz powątpiewającym spojrzeniem.

– Niełatwo ci będzie wejść do Izby Reprezentantów, Nick.

Potrzebowałbyś głosów z okręgu znacznie większego niż nasz.

Nie mówiąc o tym, że stary Singleton jeszcze żyje.

Urzędujący kongresmen, Samuel Turner Singleton, znany w całym hrabstwie Rock Island jako „nasz Sammil”, mocno siedział w siodle.

– Sammil Singleton to spierniczały staruch. Tylko patrzeć, jak wyciągnie kopyta albo się wycofa. A gdy ta chwila nadejdzie, przekonam wszystkich w okręgu, że głos oddany na Nicka Holdena to głos oddany na sukces. – Uśmiechnął się do rozmówcy. – Nie poniosłeś przy mnie strat, co, doktorze?

Rob musiał przyznać, że istotnie nie. Miał udziały i w młynie zbożowym, i w banku. Nick kontrolował ponadto finanse sklepu wielobranżowego i szynku, lecz Roba nie zaprosił do udziału w tych przedsięwzięciach. Rob odgadywał przyczynę: zapuścił już w Holden's Crossing dostatecznie mocne korzenie, a Nick po próżnicy łaskami nie szafował.

Apteka Jaya Geigera i stały napływ osadników w te strony ściągnęły wkrótce do Holden's Crossing następnego lekarza.

Doktor Thomas Beckermann był mężczyzną w średnim wieku, o niezdrowej cerze, cuchnącym oddechu i zaczerwienionych oczach.

Przyjechał z Albany w stanie Nowy Jork i zamieszkał w małym drewnianym domku we Wiosze, nie opodal apteki. Nie skończył żadnej szkoły medycznej, na temat zaś swojej praktyki lekarskiej – którą, jak mówił, odbywał u niejakiego doktora Cantwella w Concord w stanie New Hampshire – snuł jakieś mgliste opowieści. Rob J. z radością powitał jego przybycie. W okolicy było wystarczająco wielu pacjentów dla dwóch niezbyt pazernych lekarzy, a obecność kolegi po fachu mogłaby go odciążyć od długich, męczących wizyt domowych, które wiodły go nieraz daleko w głąb prerii. Beckermann okazał się jednak nędznym konowalem i nałogowym moczymordą, które to przymioty społeczność lokalna wnet dostrzegła. Tak więc Rob J. po staremu odbywał męczące i długie podróże i miał zbyt wielu pacjentów.

Przekraczało to jego siły co prawda tylko na wiosnę, gdy wybuchała coroczna epidemia – febry nad brzegami rzeki, świerzbu na rozrzuconych po prerii farmach, a wszędzie indziej rozmaitych chorób zakaźnych. Sara marzyła o tym, by u boku męża nieść pomoc cierpiącym, toteż na wiosnę po urodzeniu młodszego syna zaczęła molestować Roba, żeby jej pozwolił towarzyszyć sobie w wyjazdach do pacjentów. Źle wybrała czas. Chorobami, które tamtego roku przysparzały największych kłopotów, była gorączka wywołana zatrzymaniem mleka u karmiących matek i odra. Gdy Sara zaczęła nękać Roba prośbami, miał już wielu ciężko chorych, wśród nich kilku umierających, i nie mógłby jej okazać należytej uwagi.

Biedaczce przyszło więc przez kolejną wiosnę patrzeć, jak wyjeżdża z Makwa-ikwą, i cierpieć katusze zazdrości.

W połowie lata epidemia osłabła i Rob wrócił do bardziej uregulowanego rozkładu dziennych zajęć. Pewnego wieczoru, kiedy on i Geiger odświeżyli się odegraniem koncertu G-dur na skrzypce i wiołę Mozarta, Jay podniósł drażliwy temat zgryzot Sary. W tym czasie byli już bliskimi przyjaciółmi, mimo to Rob poczuł się urażony naruszeniem przez Geigera sfery, którą uważał za najściślej prywatną.

– Skąd znasz jej uczucia?

– Rozmawiała o tym z Lillian. A Lillian mi powtórzyła– odparł Jay, zmagając się z zapadłym na chwilę milczeniem.

– Mam nadzieję, że mnie zrozumiesz. Mówię to... ze szczerego przywiązania... do was obojga.

– Rozumiem. A czy w dodatku do szczerego przywiązania miałbyś też dla mnie... jakąś radę?

– Przez wzgląd na żonę musisz oddalić tę Indiankę.

– Nie ma między nami nic oprócz przyjaźni. – Rob nie zdołał ukryć niechęci, z jaką składał to wyjaśnienie.

– To nie ma znaczenia. Przyczyną cierpień Sary jest sama obecność Makwa-ikwy.

– Ależ ona nie ma dokąd pójść! Żadne z nich nie ma dokąd pójść. Biali uważają ich za dzikusów i nie pozwalają im żyć tak jak przedtem. Nie znajdziesz lepszych robotników rolnych od Nadchodzącego ze Śpiewem i Księżyc, a mimo to, psiakrew, żaden farmer w okolicy nie zatrudni ci Indianina.

Tych dwoje i Makwa-ikwa utrzymują jakoś całą gromadkę z tego, co u mnie zarobią. Ta kobieta ciężko pracuje, jest lojalna, dlatego nie mogę jej wypędzić i skazywać na głód, a może na los gorszy od głodu.

Jay westchnął i pokiwał głową. Nie wracał już więcej do tego tematu.

Nadejście listu było rzadkością. Niemal wydarzeniem. A Rob J. odebrał list, przysłany mu przez poczmistrza z Rock Island, u którego przeleżał pięć dni, dopóki Harold Ames, agent ubezpieczeniowy, nie wybrał się do Holden's. Crossing w interesach.

Rob z ciekawością rozerwał kopertę. Zawierała długi list od doktora Harry'ego Loomisa, jego bostońskiego przyjaciela.

Przeczytał go raz, a potem jeszcze raz, uważniej, i jeszcze raz.

List napisano 20 listopada 1846 roku, szedł więc do adresata całą zimę. Harry był najwyraźniej na drodze do pięknej kariery – bostońskiej kariery. Donosił, że został niedawno mianowany asystentem anatomii na Harvardzie, napomykał o rychłym ślubie – z panną Julią Salmon, lecz jego list był raczej biuletynem medycznym niż korespondencją prywatną.

Harry z jawnym podnieceniem powiadamiał przyjaciela o wynalazku, który otwierał widoki na chirurgię bez zadawania bólu. Był nim gaz znany jako eter, używany od lat jako rozpuszczalnik przy wyrobie świec woskowych i perfum.

Loomis przypominał Robowi o przeprowadzanych niegdyś w bostońskich szpitalach doświadczeniach nad zastosowaniem do znieczuleń tlenu azotu, nazywanego „gazem rozweselającym”, zapytując żartem, czy pamięta jeszcze igraszki, którym oddawano się za murami szpitali. Rob pamiętał użytek, jaki z flaszeczki otrzymanego od Harry'ego gazu rozweselającego zrobili z Meg Holland (te wspomnienia budziły w nim wyrzuty sumienia, lecz były zarazem przyjemne). Czas i oddalenie odmalowywały tamto

wydarzenie w miłszym i zabawniejszym świetle, ubarwiając smętną rzeczywistość.

„Na 5 października, a więc niedawno – pisał Loomis – zapowiedziano kolejny eksperyment, tym razem z eterem.

Miano go przeprowadzić w sali wykładowej Szpitala Ogólnego Massachusetts. Poprzednie doświadczenia z uśmierzaniem bólu tlenkiem azotu zakończyły się kompletnym fiaskiem przy okrzykach studentów i lekarzy z galerii: »Bujanie gości! Oszustwo! Próby te stały się już przedmiotem kpin, toteż zapowiedziana operacja zanosila się na podobne widowisko.

Operować miał dr John Collins Warren. Na pewno go pamiętasz – to ten zgryźliwy, gburowaty chirurg, słynący raczej z prędkości skalpela niż z pobłażliwości dla durniów.

Oznaczonego więc dnia stawiliśmy się w sali wykładowej liczną gromadą, jak widzowie przybyli do teatru na komedię.

Wyobraź sobie tę scenę: człowiek, który miał dostarczyć eter – dentysta o nazwisku Morton – spóźnia się. Warren, wściekły jak sto diabłów, wykorzystuje tę zwłokę na opis zabiegu: ma zamiar usunąć duży rakowaty guz z języka pewnego młodzieńca, niejakiego Abbotta, który umiera już ze strachu na czerwonym fotelu operacyjnym. Po kwadransie Warren wyczerpuje temat i z ponurą miną wyciąga zegarek. Na galerii odzywają się chichoty, gdy oto zjawia się zapóźniony dentysta, doktor Morton. Aplikuje gaz i oznajmia niebawem, że pacjent jest gotów. Dr Warren, wciąż wściekły, kiwa głową, podwija rękawy i wybiera skalpel. Asystenci rozdziawiają paszczę Abbotta i wywlekają język. Inne ręce przytwierdzają go do fotela, żeby się nie rzucił. Warren nachyla się



nad nim i błyskawicznie wykonuje pierwsze głębokie cięcie. Z kącika ust młodzieńca poczyną spływać krew.

Pacjent ani drgnie.

Na galerii cisza jak makiem zasiał. Usłyszelibyśmy przelatującą muchę, nie mówiąc już o westchnieniu czy jęku. Warren kontynuuje. Wykonuje drugie, potem trzecie cięcie. Ostrożnie, szybko wycina guz, wyskrobuje ranę, zakłada szwy, przykładą gąbkę, by zatamować krwawienie.

Pacjent śpi. Pacjent śpi!... Warren się prostuje. Dasz wiarę, Rob? Ten kostyczny gbur miał łzy w oczach! »Panowie, to nie jest oszustwo! – powiedział.»

Harry zawiadamiał dalej, że odkrycie eteru jako środka uśmierzającego ból zostało ogłoszone w prasie medycznej Bostonu. „Nasz Holmes, błyskotliwy jak zawsze, zdążył już zaproponować, żeby nazwać to zjawisko anestezją od greckiego słowa oznaczającego nieczułość.”

Geiger nie miał w aptece eteru.

– Jestem wcale dobrym chemikiem – rzekł z namy słem Jay. – Chyba potrafię go przygotować.

Trzeba by przeprowadzić reakcję spirytusu zbożowego z kwasem siarkowym. Nie mogę użyć mojego aparatu destylacyjnego, bo kwas by go przeżarł, ale mam szklaną wężownicę i sporygąsior.

Przejrzeli zawartość półek i znaleźli pod dostatkiem spirytusu, lecz ani kropli kwasu siarkowego.

– Potrafiłbyś zrobić kwas siarkowy? – zapytał Rob.

Geiger podrapał się w brodę, wyraźnie z siebie kontent.

– W tym celu należałoby utlenić siarkę. Siarki mam w bród, ale sam proces chemiczny jest nieco skomplikowany.

Utleniwszy siarkę, uzyskasz dwutlenek siarki. Żeby otrzymać kwas siarkowy, musiałbym dodatkowo utlenić dwutlenek siarki.

Ale... no cóż, mogę spróbować.

Po paru dniach Rob J. dysponował już zapasem eteru.

Harry Loomis opisał mu, jak sporządzić stożek eterowy z drutu i gałganków. Rob wypróbował najpierw eter na kocie – zwierzę pozostało nieprzytomne przez dwadzieścia minut, potem na ponad godzinę pozbawił przytomności psa. Tak długie omdlenie pozwoliło mu

stwierdzić, że eter jest niebezpieczny i trzeba się z nim obchodzić ostrożnie. Zaaplikował jeszcze ten środek jagnięciu przed kastracją i zwierzę nawet nie zabezczało, gdy je trzebił, na koniec zaś nauczył obchodzenia się z eterem Geigera i Sarę, którzy podali go jemu. Stracił przytomność tylko na kilka minut, gdyż ze zdenerwowania poskąpili dawki, było to jednak niezwykle doświadczenie.

W parę dni później Gus Schroeder, któremu pozostało już tylko osiem i pół palca, wsadził palec wskazujący prawej, zdrowej ręki pod łódź do przewozu kamieni i zgruchotał go sobie na miazgę. Rob podał mu przed zabiegiem eter.

Obudziwszy się z jeszcze jednym palcem mniej, Gus zapytał, kiedy zacznie się operacja.

Rob był oszołomiony otwierającymi się przed medycyną widokami. Czuł się tak, jakby pozwolono mu zajrzeć w zagwiezdne przestwory. Od razu zrozumiał, że eter jest czymś potężniejszym niż Dar. Dar posiadało tylko paru członków jego rodziny, a od tej pory każdy lekarz na świecie będzie mógł operować bez sprawiania pacjentowi potwornego bólu.

Kiedy Sara zeszła w środku nocy do kuchni, zastała tam siedzącego samotnie męża.

– Dobrze się czujesz?

Wpatrywał się w bezbarwny płyn w szklanej buteleczce, jakby chciał utrwalić go sobie w pamięci.

– Gdybym miał to wtedy, kiedy cię operowałem Saro, nie nacierpiałabyś się tyle.

– I bez tego świetnie się spisałeś. Przecież wiem, że uratowałeś mi życie.

– Ta ciecz niejednego uratuje. – Podniósł do góry butelkę. Dla Sary zawarty w niej płyn nie różnił się niczym od wody. – To miecz na Czarnego Rycerza.

Nie znosiła, kiedy mówił o śmierci jak o osobie, która może w każdej chwili otworzyć drzwi i wkroczyć do ich domu. Objęła białymi ramionami swoje ciężkie piersi i zadrżała, od nocnego chłodu.

– Chodź do łóżka, Robię J. – powiedziała.

Następnego dnia Rob rozesłał do lekarzy z okolicy zaproszenia na spotkanie. Odbędzie się ono kilka tygodni później w pokoju nad sklepem z paszą w Rock Island. Do tego czasu zastosował eter w trzech jeszcze przypadkach. Siedmiu przybyłych na spotkanie lekarzy wysłuchało relacji z listu Loomisa oraz sprawozdania Roba z własnych doświadczeń.

Reakcje były różne – od żywego zainteresowania po jawny sceptycyzm. Dwaj z obecnych lekarzy zamówili u Jaya eteri stożki.

– To przejściowa moda – zaopiniował Thomas Beckermann – jak wszystkie te brednie na temat mycia rąk. – Kilku spośród zebranych uśmiechnęło się, wszyscy bowiem wiedzieli o ekscentrycznym

nadużywaniu przez Roba wody i mydła. – Miejskie szpitale mogą sobie tracić czas na takie fiu-bździu, ale byle lekarzyny z Bostonu nie będą nas pouczać, jak uprawiać medycynę na zachodnim pograniczu.

Pozostali lekarze wykazali się większą od Beckermanna powściągliwością. Tobias Barr oświadczył, że spodobała mu się idea spotkań z kolegami po fachu dla wymiany poglądów, i zaproponował, by powołali Towarzystwo Lekarskie Hrabstwa Rock Island, co też uczyniono. Na przewodniczącego wybrano doktora Barra. Roba J. zrobiono sekretarzem-korespondentem. Nie mógł się wykręcić od tego zaszczytu, gdyż każdy z obecnych otrzymał jakiś urząd bądź funkcję w komitecie, „ciele – jak to określił Tobias Barr – o nieprzecenionym znaczeniu.”

To był zły rok. Pewnego upalnego, dusznego popołudnia pod koniec lata, gdy dojrzewały już zboża, niebo zaciągnęło się naraz i pociemniało gwałtownie. Przetoczył się grzmot, skłębione chmury przecięła błyskawica. Sara, która pielęła ogródek, ujrzała nad prerią jakby wąski komin wyrastający ze zwałów chmur i rozszerzający się ku ziemi. Lej ten wił się jak ogromny wąż i jak gad ów syczał, a potem, kiedy jego gardziel sięgnęła prerii i zaczęła zasysać do góry wierzchnią warstwę gleby, wydał grzmiący ryk.

Słup przesunął się daleko od niej, mimo to Sara pobiegła po dzieci, żeby je sprowadzić do piwnicy.

Osiem mil dalej Rob J. również obserwował tornado.

Zniknęło po kilku minutach, ale gdy zajechał na farmę Hansa Buckmana, zobaczył, że czterdzieści akrów najlepszej kukurydzy leży pokotem.

– Jakby szatan chwycił się ogromnej kosy – zauważył z goryczą Buckman.

Niektórzy farmerzy stracili i kukurydzę, i pszenicę.

Starą siwą kobyłę Muellerów wir wessał i wyrzucił martwą na sąsiednie pastwisko o kilkaset stóp dalej.

Wśród ludzi nie było jednak ofiar, więc uznano, że Holden's Crossing miało szczęście.

Ludzie gratulowali go sobie jeszcze, kiedy jesienią wybuchła epidemia. Spadła na nich w okresie, gdy chłodne, rześkie powietrze powinno raczej darzyć zdrowiem i dobrym samopoczuciem. W pierwszym tygodniu października osiem rodzin zapadło na chorobę, której Rob J. nie potrafił przypisać żadnej nazwy. Charakteryzowała się wysoką gorączką z pewnymi objawami duru brzuszego, nie sądził jednak, aby to był dur. Gdy zaczął odbierać sygnały o co najmniej jednym nowym przypadku zachorowań dziennie, zorientował się, że ma do czynienia z epidemią.

Zmierzał już w stronę chaty Makwa-ikwy, by ją uprzedzić, żeby szykowała się do drogi, lecz zmienił zdanie i wszedł do kuchni własnego domu.

– Zaczyna się u nas szerzyć jakieś paskudne choróbsko. Będę musiał wyjechać na parę tygodni.

Sara z powagą skinęła głową na znak, że to rozumie, ale gdy zapytał, czy nie miałyby ochoty z nim pojechać, aż się rozpromieniła. To rozwiało jego wątpliwości.

– Będziesz z dala od chłopców – ostrzegł.

– Makwa-ikwa się nimi zajmie pod naszą nieobecność. Doskonale sobie z nimi radzi.

Wyjechali tego samego popołudnia. We wczesnym stadium epidemii Rob obrał taktykę objeżdżania wszystkich domów, w których pojawiła się choroba, by spróbować ugasić zarzewie, zanim roznieci się w pożar. Zaobserwował, że każdy przypadek zachorowania zaczyna się tak samo – wysoką temperaturą i zapaleniem gardła. Zazwyczaj pojawiała się też zaraz biegunka z obfitymi zielonkawymi wypróżnieniami. U wszystkich pacjentów występowała opryszczka warg niezależnie od tego, czy język był suchy czy obłożony, czarny czy biały.

Po tygodniu Rob J. wiedział już, że jeśli nie występują dodatkowe objawy, pacjent umiera, jeśli zaś po tych pierwszych symptomach przychodzą dreszcze i bóle w kończynach, często ostre, wraca do zdrowia.

Pomyślnym znakiem były również wyskakujące pod koniec choroby czyraki oraz inne ropnie. Ponieważ pojawiająca się we wczesnym okresie biegunka spędzała gorączkę, starał się ją czasem sztucznie wywołać. Pacjentom, którzy mieli dreszcze, podawał na poty zielony napar Makwa-ikwy z odrobiną alkoholu. Aplikował im też gorczyczne plastry.

Jakiś czas po wybuchu epidemii Rob J. i Sara spotkali Toma Beckermanna wybierającego się do ofiar zarazy.

– To z pewnością dur – orzekł.

Rob był innego zdania. Nie stwierdzał czerwonych piętn na brzuchach chorych, żaden też nie krwawił z odbytnicy. Nie spierał się jednak. Przypisanie temu, co zabijało ludzi, tej czy innej nazwy nie czyniło sytuacji mniej dramatyczną. Beckermann poinformował go, że dwóch jego pacjentów zmarło poprzedniego dnia mimo obfitego puszczenia krwi i stawiania baniek. Rob próbował mu

wyperswadować puszczanie krwi chorym z wysoką gorączką, ale Beckermann należał do tego gatunku lekarzy, którzy za nic w świecie nie zastosują kuracji zalecanej przez jedynego w okolicy kolegę po fachu. Porozmawiali z nim nie dłużej niż kilka minut, po czym pożegnali się.

Nic nie drażniło Roba J. bardziej niż zły lekarz.

Początkowo czuł się dziwnie mając obok siebie Sarę zamiast Makwa-ikwy. Sara starała się jak mogła, w lot spełniała wszystkie jego polecenia. Różnica polegała na tym, że jednak wydawać je musiał i musiał ją uczyć, gdy tymczasem Makwa-ikwa odgadrywała, czego mu potrzeba, zanim to wyraził.

Przy pacjentach i podczas długich podróży od obejścia do obejścia zachowywali z Makwą-ikwą niekrępujące milczenie. Sarze, uszczęśliwionej, że towarzyszy mężowi, nie zamykały się z początku usta, w miarę jednak jak przybywało pacjentów i dawać im się zaczęło we znaki zmęczenie, przycichała coraz bardziej.

Epidemia rozprzestrzeniała się szybko. Jeden dotknięty chorobą członek rodziny zarażał zwykle wszystkich pozostałych. Mimo to Rob J. i Sara jeździli od farmy do farmy i nie zapadali na zdrowiu, jakby ich okrywały niewidzialne zbroje. Co trzy, cztery dni starali się wpadać do domu, żeby się wykąpać, przebrać i przespać choć parę godzin. Ich chata, ciepła i czysta, pachniała gorącą strawą przygotowaną przez Makwa-ikwę. Pobawiwszy się chwilę z synami, małżonkowie pakowali zielony napar, który pod ich nieobecność warzyła Indianka dolewając do niego – zgodnie z instrukcją Roba – odrobinę wina, i znowu puszczali się w drogę. Pomiędzy wizytami w domu sypiali gdzie popadło, kuląc się zwykle na stryszkach z sianem lub na podłodze przed cudzym kominkiem.

Farmer Benjamin Haskell, wszedłszy pewnego ranka do swojej stodoły, wybałuszył oczy ze zdziwienia widząc, że doktor Cole trzyma rękę pod spódnicą swojej asystentki. Bardziej niż wtedy nie pragnęli zbliżenia przez całe sześć tygodni trwania epidemii.

Wybuchła, gdy zaczynały rdzewieć liście; ustąpiła, kiedy preria leżała pod śniegiem.

W dniu w którym przyjechali do domu i uświadomili sobie, że nie muszą w te pędy wyjeżdżać, Sara wyprawiła dzieci i Makwa-ikwę wozem na farmę Muellera po kosze zimowych jabłek na sok. Długo moczyła się przed kominkiem, potem nagrzała więcej wody i przygotowała kąpiel dla Roba, a gdy siedział już w cynowej wannie, przyszła i umyła go, powoli i delikatnie, jak pacjenta, ale zarazem zupełnie inaczej, posługując się dłonią, nie myjką. Mokry i dygoczący popędził za nią przez zimny dom na górę. W sypialni wskoczyli do ciepłej pościeli i spędzili w niej kilka godzin, póki Makwa-ikwa nie wróciła z chłopcami.

Parę miesięcy później Sara zaszła w ciążę, lecz wczesnie poroniła, napędzając Robowi okropnego strachu, krew bowiem dosłownie z niej buchnęła i lała się długo. Zdał sobie sprawę, że ponowna ciąża może się dla niej okazać niebezpieczna, i od tej pory stosował środki ostrożności. Wypatrywał z niepokojem, czy nie pojawią się na jej ciele czarne piętna, co zdarzało się często u kobiet po poronieniu, ale poza bladością i skłonnością do zamyśleń (zwykła zamykać swe fiołkowe oczy i na długie chwile zatapiać się w zadumie) wracała do zdrowia szybciej, niż można się było spodziewać.

---



## 24 Wiosenna muzyka

---

Chłopcy Cole'ów przebywali teraz częściej i dłużej pod opieką Makwa-ikwy. Szaman tak przywykł do zapachu Indianki, przypominającego woń zgniecionych jagód, jak do zapachu rodzonej matki, a jej miedziana karnacja była mu równie bliska jak mleczna cera i blond włosy Sary. Z czasem stała się nawet bliższa, bo im wyraźniej Sara zaczynała stronić od obowiązków macierzyństwa, tym skwapliwiej przejmowała je Makwa-ikwa. Chętnie przygarniała małego synka cawso wabes-kiou do gorących piersi, znajdując w tym spełnienie, jakiego nie doświadczała od czasu, gdy nosiła na ręku swojego braciszka, Tego-Który-Posiada-Ziemię. Rzuciła na białego malca zaklęcie miłości. Czasem mu śpiewała: Ni-na ne-gi-se ke-wi-to-se-me-ni ni-na, Ni-na ne-gi-se ke-wi-to-se-me-ne ni-na, Wi-a-ya-ni, Ni-na ne-gi-se ke-wi-to-se-me-ni ni-na.

Chodzę z tobą, mój synku, Chodzę z tobą, mój synku, Gdzie ty, synku, Tam idę i ja.

Kiedy indziej znowu nuciła pieśni, które miały go chronić: Tti-la-ye ke-wi-ta-mo-ne i-no-ki, Tti-la-ye ke-wi-ta-mo-ne i-no-ki, Me-ma-ko-te-si-ta Ki-ma-ma-to-me-ga. Ke-te-ma-ga-yo-se. Przyzywam cię dzisiaj, Duchu, Przemawiam do ciebie, Duchu. Ktoś, kto jest w wielkiej potrzebie Cześć dzisiaj odda tobie, A ty pobłogosław mu.

Te właśnie pieśni podśpiewywał sobie Szaman biegając za piastunką jak mały psiak. Alex snuł się za nimi z ponurą miną, bo oto kolejny dorosły przywłaszczał sobie część jego braciszka. Słuchał się Makwa-ikwy, a ona zgadywała, że podejrzliwość i niechęć, które

dostzegła niekiedy w jego młodych oczach, są odbiciem uczuć, jakie żywiła dla niej Sara Cole. Alex był dzieckiem, jego zaufanie mogła sobie jeszcze zaskarbić. Co do Sary... No cóż, odkąd sięgała pamięcią, Saukowie zawsze mieli jakichś wrogów.

Jay Geiger, pochłonięty apteką, najął Morta Londona do pierwszej orki na swym polu. Żmudne to było i trudne zadanie. Przerwanie wrosniętej głęboko, zbitej gęsto darni zajęło Mortowi czas od kwietnia do końca czerwca. Koszty powiększało dodatkowo to, że odwrócone skiby należało pozostawić na dwa, trzy lata, żeby przegniły, nim będzie można pole ponownie zaorać i obsiać. Na domiar złego Mort nabawił się „świerzbu Illinois”, na który zapadali niemal wszyscy oracze dziewiczej prerii. Zdaniem jednych chorobę tę wywoływały wyziewy gnijącej darni, inni utrzymywali, że powodują ją ukąszenia małych owadów, których spokój zakłócił lemiesz pług. Dolegliwości były przykre, na skórze otwierały się bowiem małe swędzące ranki. Leczenie świerzbu siarką pozwalało go ograniczyć do dokuczliwej przypadłości.

Zaniedbany – mógł się rozwinąć w chorobę śmiertelną, taką jak gorączka, która zabiła Alexandra Bledsoe, pierwszego męża Sary.

Jay uparł się, żeby starannie zaorano i obsiano nawet narożne zakątki jego pól. Zgodnie ze starożytnym żydowskim obyczajem nie sprzątał ich w żniwa, aby biedacy mogli tam zbierać pokłosie. Gdy pierwsze poletko wydało piękny plon kukurydzy, chciał drugie obsiać pszenicą, lecz Mort został tymczasem szeryfem, a nikt inny z osadników nie kwapił się do pracy za zapłatą. Były to czasy, gdy chińscy kulisi nie odważali się odłączać od brygad robotników torowych, gdyby się bowiem pokazali w najbliższym miasteczku, mogliby zostać ukamienowani. Od czasu do czasu zabłąkał się do

Holden's Crossing jakiś Irlandczyk lub rzadszy jeszcze ptaszek – Włoch, uciekający od niewolniczej harówki przy budowie kanału Illinois-Michigan. Na papistów jednak większość miejscowych spoglądała ze zgrozą, toteż szybko tych intruzów przepędzano. Jay zawarł znajomość z niektórymi z Sauków, oni to bowiem byli biedakami, którzy zbierali pokłosie na jego polach. Na koniec kupił cztery woły i stalowy pług i zgodził dwóch wojowników, Małego Rogu i Kamiennego Psa, żeby wydzierali dla niego prerii uprawne grunty.

Indianie znali sekret krojenia równiny w skiby, a następnie odwracania ich tak, by odsłoniły swe ciało i krew – czarnoziem. Podczas tej pracy przepraszała ziemię za to, że ją ranią, i śpiewali pieśni mające odpędzić złe duchy. Byli zdania, że biali orzą głęboko. Kiedy ustawili lemiesz pługa na płytką orkę. Mg korzenna pod zoraną ziemią gniła szybciej, orali zaś dziennie nie akr, a dwa akry i ćwierć. I ani Mały Róg, ani Kamienny Pies nie nabawili się świerzbu.

Zachwycony Jay próbował upowszechnić ich metodę wśród sąsiadów, nie znalazł jednak chętnych słuchaczy.

– To dlatego, że te tępe dranie uważają mnie za obcokrajowca, choć urodziłem się w Południowej Karolinie, a niektórzy z nich w Europie – skarżył się z gniewem Robowi. – Nie ufają mi. Nienawidzą Irlandczyków, Żydów, Chińczyków i Włochów i Bóg raczy wiedzieć kogo jeszcze, za to tylko, że za późno przyjechali do Ameryki. Z zasady nienawidzą Francuzów i mormonów. Indian nienawidzą za to, że zjawili się w Ameryce za wcześnie. Kogo oni, do ciężkiej cholery, lubią?

Rob uśmiechnął się do niego.

– No cóż... lubią siebie, Jay! Uważają, że są w porządku, bo mieli nosa i przyjechali do Ameryki dokładnie wtedy, kiedy należało.

Co innego znaczyło w Holderfs Crossing być lubianym, co innego – akceptowanym. Rob J. Cole i Jay Geiger zyskali niechętną akceptację, ponieważ ich profesje były ludziom potrzebne. Obie rodziny stały się ważnymi elementami społecznej mozaiki. Ze sobą pozostawały w zażyłych stosunkach, znajdując jedna u drugiej oparcie i dobre słowo. Dzieci zżyły się z utworami wybitnych kompozytorów, do snu usypiała je bowiem cudowna muzyka płynąca to ciszej, to znów głośniejsz z instrumentów strunowych, na których z miłością i pasją grali ich ojcowie.

Główną chorobą wiosny w piątym roku życia Szamana była odra. Okrywająca Sarę i Roba niewidzialna zbroja odporności gdzieś zniknęła, opuściło ich też szczęście chroniące dotąd przed epidemią. Do domu przyniosła odrę Sara, ale przechodziła ją lekko, podobnie jak Szaman.

Zdaniem Roba dobrze się stało, że chwycili tak niegroźną formę tej choroby, wiedział bowiem z doświadczenia, że odra nigdy nie atakuje dwa razy tego samego organizmu. Alex przechodził ją jednak najciężej jak można. Podczas gdy jego matka i brat gorączkowali, on płonał, gdy ich swędziało, jego ciało spływało krwią od wściekłego drapania wysypki.

Rob J. robił mu okłady z kiszanej kapusty i dla jego własnego dobra związywał mu ręce.

Dominującą chorobą następnej wiosny była szkarlatyna. Zarazili się nią Saukowie, a od nich Makwa-ikwa, Sara musiała więc zostać w domu, nader niechętnie, i pielęgnować Indiankę, zamiast jeździć z mężem jako jego asystentka. Potem pochorowali się obaj chłopcy.

Tym razem Alex lżej przechodził chorobę. Szaman miał wysoką gorączkę, wymiotował, uszy bolały go tak bardzo, aż krzyczał z bólu, i dostał takiej wysypki, że skóra schodziła z niego płatami jak z węża.

Kiedy choroba minęła, Sara otworzyła szeroko drzwi i okna i wpuściła do domu ciepłe majowe powietrze.

Oświadczyła, że rodzinie należy się święto. Upiekła gęś i zaprosiła Geigerów. Tego wieczoru w domu Cole'ów królowała muzyka, od tygodni w nim nie słyszana.

Dzieci gości położono spać na siennikach obok łóżek Szamana i Alexa w ich pokoju. Lillian Geiger poszła przytulić i pocałować całą gromadkę przed snem.

Wychodząc zatrzymała się w progu i życzyła im dobrej nocy. Alex oraz jej dzieci – Rachel, Davey, Herm i Cubby, który był jeszcze za mały, by go obarczać jego prawdziwym imieniem: Lionel – odpowiedzieli jej zgodnym chórem. Ale jedno z dzieci, jak spostrzegła, milczało.

– Dobranoc, Rob J.

Znów żadnej odpowiedzi. Lillian zauważyła, że chłopiec patrzy prosto przed siebie, jakby zatopiony w myślach.

– Szaman, kochanie?

Nie doczekawszy się i tym razem odpowiedzi, odczekała chwilę, po czym głośno klasnęła w dłonie.

Pięć twarzątek obróciło się w jej stronę, jedna nie.

W drugim pokoju muzycy grali duet Mozarta, utwór, który najlepiej im wychodził i sprawiał, że jaśnieli obaj szczęściem. Rob J. zdziwił się, kiedy Lillian stanęła przed nim i w pół frazy, którą szczególnie lubił, chwyciła ręką smyczek.

– Twój syn, ten młodszy, nie słyszy.

---

## 25 Ciche dziecko

---

Rob J., który przez całe życie usiłował ratować ludzi przed chorobami sprowadzającymi fizyczne i umysłowe upośledzenie, przekonywał się ze zdumieniem, jak to boli, gdy pacjentem jest ktoś ukochany. Żywił ciepłe uczucia dla wszystkich swoich pacjentów, również dla tych, którzy znikczemnieli w chorobie, a nawet dla tych, których znał niktzemnikami przed zachorowaniem, już przez samo to bowiem, że szukali u niego pomocy, stawali mu się w pewien sposób bliscy. Jako świeżo upieczony lekarz, jeszcze w Szkocji, patrzył, jak na śmiertelną chorobę zapada jego matka, i doświadczenie to stało się dla niego wyjątkowo gorzką lekcją bezsilności medycyny. A teraz poczuł się boleśnie zraniony nieszczęściem, jakie dotknęło tego silnego, dużego jak na swój wiek chłopca, który wyrósł z jego nasienia i duszy.

Szaman przyglądał się ze zdziwieniem, jak jego ojciec klaszcze w dłonie, upuszcza na podłogę ciężkie książki, potem staje przed nim i coś krzyczy.

– Czy ty coś słyszysz, synku?! – krzyczał Rob, pokazując na swoje uszy, ale chłopczyk tylko wpatrywał się w niego okrągłymi ze zdumienia oczyma. Ogłuchł zupełnie.

– Czy to przejdzie? – dopytywała się Sara.

– Być może – odrzekł Rob, przerażony bardziej niż ona, bo większą od niej miał wiedzę, oglądał nieszczęścia, których istnienia Sara ledwie się domyślała.

– Ty go wyleczysz. – Miała do męża bezgraniczne zaufanie. Jak niegdyś ją, tak teraz ocali jej dziecko.

Nie wiedział, jak się do tego zabrać, próbował na oślep: wlewał do uszu syna podgrzany olej, robił mu gorące kąpiele, przykładał kompresy. Sara modliła się do Jezusa, Geigerowie do Jehowy. Makwa-ikwa bębniła w swój wodny bębenek i zanosila śpiewy do manitu i różnych duchów. Ani żaden bóg, ani żaden duch nie zwracał na to uwagi.

Początkowo Szaman był zbyt oszołomiony, aby wpaść w przerażenie, po paru jednak godzinach zaczął pochlipywać i krzyżeć. Potrzasał głową i drapał się w uszy. Sara sądziła, że wróciły mu znowu te okropne bóle, lecz Rob zorientował się wkrótce, iż tym razem to co innego, był już bowiem świadkiem podobnych przypadków.

– On słyszy dźwięki, których my nie słyszymy. W swojej głowie.

Zbladła.

– To u niego coś nie w porządku z głową?

– Ach, nie.

Mógł podać jej nazwę tego zjawiska – szum w uszach – lecz nie potrafił wyjaśnić jego przyczyny.

Chłopiec nie przestawał płakać. Rodzice i Makwa-ikwa kładli się przy nim na zmianę i tulili go do siebie.

Rob miał się później dowiedzieć, że jego syn słyszał wówczas różne łaskoty, trzaski, dzwonienie, grzmiące huki i syki, a wszystko tak głośne, że ogarnięty był ciągłym przerażeniem.

Ten wewnętrzny harmider ucichł po trzech dniach.

Szaman odczuł wtedy ogromną ulgę. Powrót ciszy uspokoił go, ale dorośli, którzy go kochali, widząc malującą się na bladej twarzy rozpacz domyślali się, jakie przeżywa męki.

Tego wieczora Rob napisał list do Olivera Wendella Holmesa do Bostonu, prosząc o radę, jak leczyć głuchotę. Prosił go też na wypadek, gdyby nic już nie dało się zrobić, o przysłanie mu informacji na temat wychowywania dzieci głuchych.

Żadne z nich nie wiedziało, jak pomóc Szamanowi.

Podczas gdy Rob J. miotał się w poszukiwaniu jakiegoś medycznego ratunku, Alex zajął się bratem.

Choć zaszokowany i przerażony tym, co go spotkało, szybko się przystosował do nowej sytuacji. Wziął malucha za rączkę i już jej nie wypuścił.

Dokądkolwiek szedł starszy brat, tam podążał też młodszy. Gdy cierpły im palce, Alex obchodził brata i zmieniali ręce. Szaman szybko przywykł do bezpiecznego uścisku spoczonej, często brudnej dłoni Dużego.

Alex ani na chwilę nie wypuszczał go spod swej opieki. „On chce dokładki” – oznajmiał przy stole podczas posiłków, podsuwając matce pustą miseczkę Szamana.

Sara obserwowała obu swoich synów i widziała, jak każdy z nich cierpi. Szaman przestał mówić, Alex więc towarzyszył mu w niemocie i prawie się nie odzywał. Porozumiewali się ze sobą za pomocą wyrazistych gestów, jak urzeczeni nie odrywając od siebie



oczu. Ich matka zaś zadrezczała się wyobrażaniem sobie sytuacji, w których następcstwie spotyka Szamana coś złego, bo nie usłyszał jej trwożnych ostrzegawczych krzyków. W związku z tym nie pozwałała chłopcom oddalać się od domu, przesiadywali więc na ziemi znudzeni, grając orzechami lub kamieniami w jakieś głupie gry albo rysując coś w kurzu patykami. Czasami, choć trudno w to uwierzyć, dolatywał do niej ich śmiech. Nie mogąc słyszeć własnego głosu, Szaman miał skłonność do zbyt cichego mówienia, toteż musieli nieraz prosić, żeby powtórzył, co wymamrotał. W końcu przestał w ogóle mówić, wydawał tylko niezrozumiałe pomruki. Alex zapominał się czasem i krzyczał ze złością: „Co? Co mówisz, Szaman?” Potem przypominał sobie o głuchocie brata i wracał do języka gestów. Wkrótce i on nabrał nieszczęsnego zwyczaju wydawania pomruków, kiedy chciał podkreślić coś, co usiłował przekazać za pomocą rąk. Sara nie mogła ścierpieć tych pomruków i pochrząkiwań, które upodabniały jej synów do zwierząt.

Ale i ona nie ustrzegła się innego niefortunnego zwyczaju: przy każdej okazji sprawdzała głuchotę Szamana – podkładała się do obu chłopców od tyłu, klaskała w dłonie, pstrykała palcami albo wołała ich głośno po imieniu, w domu zaś tupiała w podłogę. Drzenie desek sprawiało, że Szaman odwracał głowę. Efektem tych wszystkich prób bywała tylko zmarszczona gniewnie twarz Alexa.

Sara nie była zbyt przykładną matką. Wolała wyjeżdżać z mężem, niż zajmować się synami. Przyznawała sama przed sobą, że Rob J. jest osobą w jej życiu najważniejszą, podobnie jak uznawała, że medycyna jest najważniejsza w jego życiu, ważniejsza może nawet niż jego miłość do niej. Tak po prostu było i już. Tego, co

czuła do Roba J. Cole'a, nie czuła nigdy do Alexandra Bledsoe ani do żadnego innego mężczyzny.

Obecnie, kiedy jednego z jej synów tak doświadczył los, na powrót skierowała na nich całą swoją miłość, lecz było już za późno. Alex nie chciał oddać ani cząstki brata, ten zaś przywykł szukać opieki u Makwa-ikwy.

Indianka nie zniechęcała go do tej zależności. Zabierała Szamana na całe dni do swojego hedonosote i ani na chwilę niepuszczała go z oka. Sara podejrziała raz, jak biegnie dosikającego pod drzewem malca i zgarnia zmoczoną ziemię domatego kubeczka, jakby zbierała relikwie świętego. Uważała ją za sukubę próbującą zawłaszczyć tę część jej męża, którą tennajwyżej w sobie cenił, a teraz usiłującą odebrać jej syna.

Wiedziała, że Makwa rzuca zaklęcia, zanosi jakieś pienia, odprawia obrządki dzikusów, i cierpła na niej skóra na samą nich myśl, nie śmiała wszakże protestować. I chociaż z całej duszy pragnęła, aby ktoś – ktokolwiek, w jakikolwiek sposób – uzdrowił jej dziecko, nie mogła się oprzeć uczuciu złośliwej satysfakcji, uzyskując potwierdzenie jedynej prawdziwej wiary: oto bowiem mijały dni, a te pogańskie brednie nie przynosiły żadnej poprawy jej synowi.

Nie mogła spać po nocach, zadręczając się wspomnieniami wszystkich głuchoniemych, jakich w życiu znała.

Szczególnie żywo stawała jej w pamięci pewna niedorozwinięta i brudna dziewczka, za którą biegała z rówieśnikami po rodzinnej wsi w Wirginii, szydząc z otyłości i głuchoty nieszczęsnej kaleki. Bessie, nazywała się Bessie Turner. Ciskali w nią patykami i kamieniami, wybuchając okrzykami radości, gdy głupia reagowała gniewem na

take zaczepki, choć całkowitą obojętnością kwitowała najwulgarniejsze wyzwiska, jakimi ją obrzucali. Sara zastanawiała się, czy i za Szamanem będą kiedyś biegały po ulicach jakieś okrutne dzieciaki.

Z wolna docierała do niej myśl, że Rob – nawet Rob! – nie potrafi pomóc ich synowi. Wyjeżdżał co rano na domowe wizyty, zaprzątnięty leczeniem chorób innych ludzi. To nie znaczy, że zanieczywał własną rodzinę. Tak się tylko Sarze czasami zdawało, bo to ona spędzała z synami całe dni i była świadkiem ich cierpień.

Geigerowie starali się jak mogli okazywać sąsiadom pomoc.

Kilkakrotnie zapraszali ich na wspólne spędzenie wieczoru, jak to obie rodziny miały w zwyczaju, ale Rob odmawiał. Nie grał już na wiolonczeli. Sara domyślała się, że muzyka straciła dla niego cały powab, odkąd Szaman nie mógł jej słyszeć.

Rzuciła się teraz w wir prac gospodarskich. Alden Kimball przekopał dla niej nowe poletko i zabrała się do zakładania najambitniejszego ze swoich warzywników. Przeszukała całe mile(nadbrzeżnych łąk w poszukiwaniu żółtego liliowca i obsadziła nim klomb przed domem. Pomagała Aldenowi i Księżyc zaganiać na tratwę stadka beczących owiec, wywozić je na środek rzeki i spychać do wody, żeby płynąc do brzegu prały sobie runo przed strzyżką. Alden łypnął na nią z ukosa, gdy po wykastrowaniu wiosennych jagniąt poprosiła o wiadro „ostryg prerii”, jej przysmaku. Ściągnęła z nich przezroczyste błonki, zastanawiając się, czy tak samo wyglądają męskie jądra pod pomarszczoną skórą moszny, następnie poprzekrawała na pół delikatne kuleczki i usmażyła na boczku z dziką cebulą i pokrojonymi w plasterki purchawkami. Alden

połknął swoją porcję z apetytem, orzekł, że potrawa była wyśmienita, i przestał się bocyć.

Mogłaby się uważać za niemal szczęśliwą, gdyby nie...

Rob J. wrócił któregoś dnia do domu i powiedział jej, że rozmawiał na temat Szamana z Tobiasem Barrem.

– Niedawno założono w Jacksonville szkołę dla dzieci głuchych, ale Barr niewiele o niej słyszał. Mógłbym tam pojechać i obejrzeć ją na własne oczy. Tyle że... Szaman jest taki mały.

– Do Jacksonville będzie od nas ze sto pięćdziesiąt mil!

Prawie byśmy go nie widywali.

Powiedział jej, że lekarz z Rock Island przyznał mu się do niewiedzy w kwestii leczenia głuchoty u dzieci. Parę lat wcześniej zaniechał kuracji ośmioletniej dziewczynki i jej sześcioletniego brata. Dzieci odesłano w końcu na koszt stanu Illinois do przytułku dla umysłowo chorych w Springfield.

– Robię... – Przez otwarte okno wpadały gardłowe pochrząkiwania jej synów. Sarze stanęło nagle przed oczami puste spojrzenie Bessie Turner. – Żeby zamykać głuche dziecko z wariatami... to podłe. – Myśl o podłości aż ją zmroziła. – Czy nie sądzisz – zapytała szeptem – że Szaman pokutuje za mojej grzechy?

Wziął ją w ramiona i Sara jak zwykle wzmocniła się jego siłą.

– Nie. – Długo trzymał ją w objęciach. – Och, Saro, nie powinnaś tak nawet myśleć. – Nie powiedział jej jednak, co powinna zrobić.

Pewnego ranka, gdy obaj chłopcy siedzieli z Małym Psem i Kobieta Ptakiem przed hedonoso-te i darli łozinową korę, z której Makwa-ikwa warzyła swój lek, z nadrzecznego lasu wyjechał dziwny Indianin na chudej szkapie. Wyglądał na Sjuksa, był niemłody i kościsty jak jego chabeta, wynędzniały i obszarpany.

Jego bose stopy były brudne jak święta ziemia. Na nogach miał skórzane nogawice, biodra przepasane przepaską z jeleniej skóry, na ramiona zarzucił, niczym etolę, strzęp bizoniej skóry ściągniętej węzlastym szmacianym sznurem. Długie, siwiejące zaniedbane włosy splótł z tyłu głowy w krótki warkoczyk, a dwa dłuższe, przeplecione rzemykami z wydry, zwisały mu u skroni.

Jeszcze kilka lat wcześniej każdy Sauk podniósłby na widok Sjuksa broń, teraz zdawali sobie sprawę, że są otoczeni przez wspólnego wroga, więc gdy jeździec przywitał Makwa-ikwę w języku znaków, którym posługują się plemiona z równin mówiące różnymi narzeczami, oddała mu podobne pozdrowienie. Domyśliła się, że przebył Winsconsin jadąc lasami wzdłuż Masesibowi.

Powiedział jej w mowie znaków, że przybywaw pokoju, a udaje się za zachodzącym słońcem do krainy Siedmiu Plemion. Poprosił o coś do jedzenia.

Dzieci wpatrywały się w niego jak zauroczone. Chichotały i małymi rączkami naśladowały gest oznaczający Jedzenie”.

Był Sjukssem, toteż Makwa-ikwa nie mogła mu ofiarować niczego za darmo. Dokonali zatem wymiany: pleciony sznur za talerz duszonej wiewiórki, kawał kukurydzianego ciasta i woreczek suszonej fasoli na drogę. Gulasz z wiewiórki był zimny, Indianin zsiadł jednak z konia i rzucił się na jedzenie jak wygłodniały wilk.

Dostrzegłszy bęben wodny, zapytał, czy Makwa-ikwa jest zaklinaczką duchów. Wyglądał na zaniepokojonego, gdy to potwierdziła. Nie przyznali jedno drugiemu prawa poznania swych imion. Kiedy wędrowiec zjadł, ostrzegła go, żeby nie polował na owce, bo biali go zabiją, a on wsiadł na konia i odjechał.

Dzieci bawiły się dalej w mowę gestów, czyniąc znaki, które niczego nie wyrażały. Tylko Alex zrobił znak Jedzenia". Ułamała trochę ciasta i dała mu, a potem pokazała pozostałym, jak robić ten znak, nagradzając ich kawałkami ciasta, gdy im się udało. Dzieci plemienia Sauk powinny znać międzyszczepowy język, nauczyła je więc gestów oznaczających „wierzbę”, po czym to samo pokazała – zrazu przez uprzejmość – również dwóm białym braciom. Nagle spostrzegła, że Szaman w lot się uczy, i uderzona pewną myślą, na nim odtąd skupiła uwagę.

Oprócz Jedzenia" i „wierzby” nauczyła dzieci znaków określających „dziewczyne”, „chłopca”, „mycie się” i „ubieranie”.

Uznała, że to dosyć jak na pierwszy dzień, zachęciła je wszakże, aby czyniąc z tego nową zabawę, ćwiczyły się w tej gestykulacji, póki dobrze sobie znaków nie przyswoją.

Kiedy po południu wrócił do domu Rob J., przyprowadziła do niego dzieci, żeby popisały się przed nim tym, czego się nauczyły.

Rob J. przyglądał się w zamyśleniu swemu głuchemu synowi.

Zauważył, że Makwa-ikwie błyszczą z radości oczy, pochwalił dzieci, a jej podziękował. Indianka obiecała, że będzie nadal uczyła malców mowy znaków.

– I co z tego za pożytek? – spytała z goryczą Sara, kiedy zostali sami. – Co nam da, że nasz syn będzie umiał rozmawiać gestami z małą garstką Indian?

– Istnieje podobny do tego język głuchoniemych – odrzekł w zamyśleniu Rob J. – Wymyślił go, jak mi się zdaje, jakiś Francuz. W akademii sam widziałem dwóch głuchych rozmawiających ze sobą swobodnie za pomocą rąk. Gdybym zamówił książkę z tymi

znakami i gdybyśmy się ich razem z Szamanem nauczyli, moglibyśmy z nim rozmawiać.

Sara zgodziła się niechętnie, że warto spróbować, Rob J. był zaś zdania, iż nauka indiańskich znaków z pewnością chłopcu nie zaszkodzi.

Od Olivera Wendella Holmesa przyszedł długi list. Z typową dlań dokładnością przejrzał literaturę dostępną w bibliotece Harvard Medical School i przeprowadził wywiad wśród autorytetów, podając im szczegóły przypadku Szamana, jakich mudostarzył Rob J.

Nie robił wielkich nadziei na poprawę jego stanu.

„Zdarza się czasem – pisał – że pacjentom, u których całkowita głuchota powstała w następstwie chorób takich jak odra, szkarlatyna czy zapalenie opon, powraca słuch. Często jednak ogólne zapalenie wywołane chorobą bliznowaci i uszkadza tkanki, niszcząc nieodwracalnie wrażliwe i delikatne organy, których nie można już wyleczyć ani zrekonstruować.

Piszesz mi, że zbadałeś oba zewnętrzne kanały słuchowe, używając do tego wziernika. Jestem pełen uznania dla Twojej pomysłowości, która podpowiedziała Ci, by światło świecy skierować do uszu za pomocą lusterka. Ale do uszkodzenia doszło na pewno głębiej, niż mogłeś wejrzeć. Obaj zdajemy sobie sprawę, przy naszym doświadczeniu sekcyjnym, jak delikatne i skomplikowane jest ucho środkowe i wewnętrzne. Z pewnością nigdy się nie dowiemy, czy kłopoty małego Roberta mają związek z błoną bębenkową, kosteczkami słuchowymi, młoteczką, kowadełkiem, strzemiączkiem czy ślimakiem. Jedyne, co możemy stwierdzić, drogi przyjacielu, to że jeśli Twój syn będzie nadal

głuchy w chwili, gdy czytasz te słowa, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa pozostanie już głuchy do końca swoich dni.

Należy więc rozważyć kwestię, jak go najlepiej wychować.”

Holmes skonsultował się z doktorem Samuelem G. Howe’em z Bostonu, który pracował z dwójką głuchoniemychi niewidomych dzieci, ucząc je porozumiewania się z innymi zapomocą alfabetu wystukiwanego palcami. Trzy lata wcześniej Howe odbył podróż po Europie, gdzie widział głuche dzieci, które z powodzeniem uczone wyraźnie mówić.

„W Ameryce nie ma jednak szkół, w których by uczone mówić osoby głuche – pisał Holmes – zamiast tego prowadzi się naukę języka migowego.

Jeśli Twój syn się go nauczy, będzie w stanie porozumiewać się wyłącznie z innymi głuchymi. Gdyby zaś nauczył się mówić i czytać z ust osoby mówiącej, z pewnością mógłby żyć w normalnym społeczeństwie.

Doktor Howe zaleca zatem, aby Twój syn został w domu i abyś sam go uczył. Podzielam jego pogląd.”

Konsultanci uprzedzili, że jeśli Szamana nie zmusi się do mówienia, chłopiec przez to, że nie będzie używał narządów mowy, z czasem całkiem zaniemówi.

Holmes przestrzegał przy tym, że aby nauczyć małego Roberta normalnej mowy, Co-le’owie nie mogą porozumiewać się z nim językiem znaków ani w żadnej sytuacji reagować na jego gesty.



---

Makwa-ikwa nie mogła zrazu pojąć, dlaczego cawso wabes-kiou zakazuje jej uczyć dzieci indiańskiej mowy znaków, Rob J. zdołał jednak wytłumaczyć jej przyczynę, dla której było to dla Szamana szkodliwym lekarstwem. Chłopiec zdążył poznać dziewiętnaście znaków: potrafił wyrazić, że jest głodny, poprosić o wodę, zakomunikować, że jest mu zimno bądź gorąco, że czuje się zdrow albo chory, jest zadowolony lub niezadowolony, umiał się przywitać, pożegnać, określić rozmiar, stwierdzić, że coś jest mądre bądź głupie. Dla reszty dzieci język znaków był nową zabawą. Dla Szamana, w tak niepojęty sposób odciętego od możliwości porozumiewania się ze światem, odnowieniem tego kontaktu.

Jego palce nie przestawały mówić.

Rob J. zabronił innym dzieciom prowadzenia z nim rozmów na migi, ale były to tylko dzieci, więc gdy Szaman pokazywał im jakiś znak, impuls, by nań odpowiedzieć, okazywał się często silniejszy od zakazu.

Zauważywszy to kilkakrotnie, Rob J. przyniósł szarpie, które Sara zwinęła na bandaż, okręcił nimi nadgarstki Szamana i przywiązał mu ręce do paskaspodni.

Chłopiec krzyczał i zanosił się płaczem.

– Traktujesz własnego syna... jak zwierzę! – zarzuciła mu szeptem Sara.

– Boję się, czy nie jest już za późno.

Niewykluczone, że to ostatni moment i jego ostatnia szansa. – Ująwszy dłonie żony, usiłował ją pocieszyć. Żadne błagania nie

zdołały odmienić jego postanowienia i rączki malca pozostały spętane, jak gdyby dziecko było małym więźniem.

Alex nie zapomniał, jak się czuł, kiedy przechodził odrę, wszystko strasznie go swędziało, a Rob J.

skrępował mu ręce, by się nie mógł drapać. Już nie pamiętał, jak jego ciało od tego drapania krwawiło, pamiętał tylko nieznośne swędzenie i swoje przerażenie tym, że został spętany. Przy pierwszej więc okazji przeciął więzy brata znalezionym w stodole sierpem.

Rob J. kazał mu za karę siedzieć w domu, Alex nie posłuchał. Wyszedł i nożem kuchennym ponownie uwolnił Szamana z pęt, a potem wziął go za rączkę i obaj gdzieś zniknęli.

Ich nieobecność spostrzeżono dopiero w południe.

Wszyscy na farmie rzucili pracę i przyłączyli się do poszukiwań. Przeszali lasy, przeszukali pastwiska na prerii, brzegi rzeki, wykrzykiwali imiona obu chłopców, choć tylko jeden mógł ich usłyszeć. O wodzie nikt nie wspominał, ale tej wiosny przewróciło się na fali kanu dwóch Francuzów z Nauvoo i obaj utonęli, więc myśl o tragedii na rzece prześladowała wszystkich. Zapadał już zmrok, a na ślad chłopców nie natrafiono. Dopiero gdy się ściemniło, na podwórze Cole'ów wjechał Jay Geiger. W siodle przed sobą miał Szamana, za sobą Alexa. Powiedział Robowi, że znalazł ich w swojej kukurydzy. Siedzieli na ziemi między rzędami roślin, trzymali się za ręce i płakali.

– Gdybym nie zajrzał na pole, żeby sprawdzić, czy nie puściły się chwasty, siedzieliby tam do tej pory – powiedział. Rob J. poczekał, aż zapłakane twarze zostaną umyte, a głodne brzuchy napełnione. Potem wziął Alexa na spacer ścieżką nad rzeką. Jej nurt marszczył się i szemrał na leżących na brzegu kamieniach, a toń, ciemniejsza

od powietrza, lśniła już mrokiem nocy. Jaskółki zataczały nad wodą śmigłe kręgi, muskając od czasu do czasu jej lustro. Wysoko w górze przeciągał żuraw, zmierzając do wytkniętego celu wytrwale jak statek pocztowy.

– Czy wiesz, dlaczego tu z tobą przyszedłem?

– Żeby mi wlać.

– Nigdy cię nie uderzyłem, prawda? Nie zamierzam i teraz. Nie, chciałbym z tobą coś przekonsultować.

Chłopiec obrzucił go trwożnym wzrokiem, nie mając pewności, czy przekonsultowanie nie jest czymś gorszym od lania.

– A co to znaczy?

– Czy wiesz, co to takiego wymiana? Alex potaknął.

– Jasne. Masę razy wymieniałem się na różne rzeczy.

– Otóż właśnie. Więc ja chciałbym wymienić z tobą poglądy. Na temat twojego brata. Szczęściarz z Szamana, że ma takiego jak ty dużego brata, który się o niego troszczy. Twoja matka i ja... oboje jesteśmy z ciebie dumni. Dziękujemy ci.

– Brzydko zrobiłeś, tato, że mu związałeś ręce, i w ogóle.

– Alex, jeśli będziesz nadal porozumiewał się z nim za pomocą znaków, on nigdy nie zazna potrzeby mówienia. Wkrótce całkiem zapomni, jak się mówi, i nie usłyszysz więcej jego głosu. Nigdy. Wierzysz mi?

W rozszerzonych oczach chłopca odbiło się brzemień troski ponad jego siły. Skinął głową.

– Życzyłbym sobie, żebyś nie rozwiązywał mu rąk. I proszę, już nigdy nie porozumiewaj się z nim na migi.

Jak ze sobą rozmawiacie, wskaż najpierw na swoje usta, poczekaj, aż skieruje na nie wzrok, a potem staraj się mówić wolno i

wyraźnie. Powtarzaj, coś powiedział, póki nie zaczniesz czytać z twoich warg. – Rob J. spojrział na chłopca. – Rozumiesz, synu? Czy pomożesz nam nauczyć go mówić?

Alex kiwnął głową. Rob J. przygarnął go do piersi.

Chłopiec pachniał tak, jak pachną dziesięcioletni chłopcy, którzy przesiedzieli cały dzień na nawiezionym polu kukurydzy, zalewając się potem i łzami. Kiedy wrócili do domu, Rob J. pomógł mu nanosić wody do kąpieli.

– Kocham cię, Alex.

– Ja ciebie też, tato – odszepnął Alex.

Wszyscy domownicy dostali podobne instrukcje: zdobądź uwagę Szamana; wskaż na swoje usta; staraj się mówić wolno i wyraźnie; przemawiaj do jego oczu, nie do uszu.

Rano, zaraz po wstaniu z łóżek, Rob J. krępował ręce młodszego syna. Alex rozwiązywał mu je do posiłków, żeby brat mógł jeść, a potem na powrót mu je pętał. Pilnował, żeby żadne z dzieci nie używało mowy znaków.

Oczy Szamana w ściągniętej, zamkniętej przed innymi twarzy wezbrały udręką. Przestał się całkiem odzywać.

Gdyby Rob J. się dowiedział, że ktoś krępuje ręce swojemu synowi, czyniłby co w jego mocy, żeby takie dziecko ratować. Okrucieństwo nie leżało w jego charakterze, odbicie mąk Szamana dostrzegał ponadto w zachowaniu reszty domowników.

Wyjazdy do pacjentów stały się dla niego ucieczką.

– Sprawy świata za opłotkami jego farmy toczyły się tymczasem swoim trybem, nie zakłócone troskami rodziny Cole'ów. Tego lata trzy kolejne rodziny z Holden's Crossing postawiły nowe drewniane domy w miejsce ziemianek z darni. Wielkie zainteresowanie

wzbudził projekt budowy szkoły i zatrudnienia nauczyciela, który to zamiar Rob J. i Jason Geiger gorąco popierali. Obaj uczyli swoje dzieci w domu, czasem, gdy zachodziła potrzeba, zastępując jeden drugiego. Zgadziali się jednak, że dla dzieci byłoby lepiej, gdyby mogły chodzić do normalnej szkoły.

Wstąpiwszy któregoś dnia do apteki Jaya Rob zauważył, że jego przyjaciela rozsadza jakaś nowina. Nie wytrzymał w końcu i powiedział, o co chodzi: on i Lillian postanowili posłać po pianino Babcocka. Zapakowane do skrzyni w Columbus, przebyło ponad tysiąc mil na pokładzie tratwy i statku rzecznego.

– W dół rzeki Scioto do Ohio, potem Ohio do Missisipi i w górę złotonośnej Missisipi do nadbrzeża Great Southern Transport Company w Rock Island, gdzie czeka teraz na mój wóz i woły!

Alden Kimball poprosił Roba, żeby zajął się jego chorym przyjacielem z Nauvoo, opuszczonego miasta mormonów.

Pojechał z nim jako przewodnik. Podróż w dół rzeki odbyli razem z końmi na pokładzie płaskodennej barki.

Nauvoo było opustoszałym, wymarłym niemal miastem, siatką szerokich ulic rozłożonym w uroczym zakolu rzeki.

Składało się z porządných, zamożnych domów, wśród których sterczały kamienne ruiny olbrzymiej świątyni, wyglądające jakzwaliska świątyni króla Salomona. Alden poinformował Roba, że w mieście mieszka już tylko garstka mormonów, starców i odszczepieńców, którzy zerwali ze swymi przywódcami, kiedy Święci Ostatnich Dni przenosili się do Utah. Nauvoo ściągało wolnomyślicieli. Jeden z zakątków miasta wynajęto małej kolonii Francuzów, którzy nazywali siebie ikarianami i żyli we wspólnocie. Alden, dumnie wyprostowany w siodle, przeprowadził Roba J. przez

dzielnicę francuską i zatrzymał konia przed stojącym przy schludnej uliczce podnieszczonym domem z czerwonej cegły.

Na jego pukanie otworzyła drzwi i kiwnęła im na powitanie głową kobieta w średnim wieku, o surowym wyrazie twarzy.

Gdy Alden przedstawił ją Robowi jako panią Bidamon, skwitowała to powtórным skinieniem głowy. W saloniku siedziało bądź stało z tuzin osób, ale pani Bidamon wprowadziła Roba po schodach wprost na górę, gdzie leżał w łóżku chory na odrę smutny chłopiec lat około szesnastu.

Przypadek nie był ciężki. Rob dał jego matce nasiona gorzycy, udzielając jej wskazówek, jak ma je dodawać do kąpeli syna, oraz paczuszkę suszonych jagód czarnego bzu, aby mu je parzyła jak herbatę.

– Nie wydaje mi się, aby mnie jeszcze potrzebował – zakończył. – Prosiłbym jednak, żeby pani natychmiast po mnie przysłała, gdyby przyplątało się zapalenie uszu.

Zeszła po schodach pierwsza. Musiała przekazać jakieś uspokajające wiadomości czekającym w jej salonie ludziom, ponieważ gdy Rob J. zmierzał w stronę drzwi, podeszli do niego z darami – słojem miodu, trzema słoikami konfitur i butelką wina – bąkając słowa wdzięczności. Objuczony tymi prezentami wyszedł przed dom i zwrócił pytające spojrzenie na Aldena.

– Są panu wdzięczni za wyleczenie chłopaka – wyjaśnił tamten. – Pani Bidamon jest wdową po Josephie Smisie, proroku Świętych Ostatnich Dni, założycielu ich religii. Ten chłopiec to jego syn, również Joseph Smith. Ci ludzie wierzą, że on też jest prorokiem.

Kiedy wyjeżdżali z Nauvoo, Alden ogarnął miasto wzrokiem i westchnął.

– Dobrze się tutaj mieszkało. I wszystko poszło w ruinę, bo Joseph Smith nie potrafił utrzymać fajfusa w gaciach.

Wielożeństwa mu się zachciało. Nazywał te swoje baby żonami duchowymi. A nie było w tym nic duchowego, po prostu lubił się pieprzyć.

Rob J. orientował się, że mormoni zostali przegnani z Ohio w stanie Missouri, a w końcu i z Illinois, gdyż pogłoski o ich poligamicznych praktykach rozsierzały miejscową ludność.

Nigdy nie naprzykrzał się Aldenowi pytaniami o jego dawne życie, teraz wszakże nie zdołał się powstrzymać.

– Ty też miałeś więcej niż jedną żonę?

– Trzy. Jak zerwałem z Kościołem, rozdzielono je wraz z przychówkiem między innych Świętych.

Rob nie odważył się zapytać, ile tamten miał tego przychówku, ale jakiś diabeł podszeptał mu jeszcze jedno pytanie.

– Czy było ci z tego powodu żal?

Alden rozważał to chwilę, po czym strzyknął śliną.

– Z parą bab jest fajna zabawa, nie zaprzeczę. Ale bez nich mam przynajmniej święty spokój – odrzekł.

Tamtego tygodnia przyszło Robowi leczyć nie tylko młodego proroka, ale i leciwego kongresmena. Wezwano go mianowicie do Rock Island, żeby zbadał deputowanego Samuela T. Singletona, który zaniemógł w drodze powrotnej z Waszyngtonu do Illinois.

Wchodząc do domu Singletona, Rob J. minął się w drzwiach z wychodzącym stamtąd właśnie Thomasem Beckermannem, od którego się dowiedział, że i Tobias Barr badał już kongresmena.

– Takiemu jedna diagnoza nie wystarczy, potrzebuje ich całego pęczka, co? – zauważył kwaśno Beckermann.

Dodał jeszcze, że Samuel Singleton jest śmiertelnie wystraszony. Zbadawszy kongresmena, Rob J. uznał jego obawy za uzasadnione. Singleton liczył sobie siedemdziesiąt dziewięć lat, był niemal zupełnie łysy, miał zwiotczone ciało i wydatne brzuszisko. Rob J. posłuchał jego serca. Świszcząc, bulgocząc i potrzaskując usiłowało jeszcze bić.

Ujrawszy dłonie starca, zajrzał nagle w oczy Czarnego Rycerza.

Asystent Singletona, Stephen Hume, i jego sekretarz, Billy Rogers, siedzieli w nogach łóżka.

– Cały rok spędziliśmy w Waszyngtonie. Kongresmen musi wygłaszać mowy. Zajmować stanowisko. Ma masę roboty, doktorze – rzucił oskarżycielskim tonem Hume, jakby to Rob J. był winien niedyspozycji jego pryncypała. Choć Hume to szkockie nazwisko, Rob J. nie zapałał sympatią do człowieka, który je nosił.

– Pan musi leżeć w łóżku – zalecił bez ogródek Singletonowi. – Musi pan zapomnieć o mowach i stanowiskach.

Przejsz na dietę lekko strawną. Unikać alkoholu.

Roger uniósł się gniewem.

– Nie tośmy usłyszeli od innych lekarzy. Doktor Barr uspokoił nas mówiąc, że podróż z Waszyngtonu zmęczyłaby najzdrowszego. Ten drugi medyk z waszego miasteczka, doktor Beckermann, zgodził się z nim. Jego zdaniem kongresmenowi potrzeba domowej kuchni i powietrza prerii, to wszystko.

– Uznaliśmy za wskazane wezwać panów kilku – wtrącił Hume – na wypadek gdyby zaistniały między wami różnice zdań. Z czym się też spotykamy, jak widzę. Pańscy koledzy po fachu przegłosowali pana w stosunku dwa do jednego.

– Bardzo demokratycznie. Tyle że to nie wybory. – Rob J.



zwrócił się do Singletona. – Dla pańskiego własnego dobra spodziewam się, że posłucha pan mojej rady.

W zimnych oczach starca błysnęło rozbawienie.

– Pan jest przyjacielem senatora stanowego Holdena, prawda? Jego wspornikiem w paru interesach, o ile się nie mylę?

Hume parsknął śmiechem.

– Nick nie może się wprost doczekać, kiedy kongresmen przejdzie na emeryturę.

– Jestem lekarzem. Polityka mnie nie interesuje. Pan sam mnie wezwał.

Singleton kiwnął głową i wydał wzrokiem dyspozycję swoim dwóm asystentom. Billy Rogers wyprowadził Roba z pokoju.

Kiedy ten próbował wskazywać na poważny stan Singletona, sekretarz przytaknął tylko ruchem głowy i jak przystało na polityka, wyraził mu uprzejme podziękowanie. Następnie wypłacił honorarium, jakby dawał napiwek chłopcu stajennemu i gładko, sprawnie wyekspediował go za drzwi.

Przejeżdżając kilka godzin później na Wiki główną ulicą Holden's Crossing, Rob J. mógł się przekonać, jak szybko działa wywiad Nicka Holdena. Rozwalony na odchylonym na ścianę krześle, z nogą na balustradzie, senator stanowy czekał na ganku przed sklepem Haskinsa. Dojrawszy Roba J., wskazał mu zapraszającym gestem słupek do przywiązywania koni.

Następnie, nie kryjąc podniecenia, wprowadził go spieszenie do pomieszczenia za sklepem.

– No i?

– Co: no i?

– Słyszę, że wracasz od Samuela Singletona.

- O sprawach moich pacjentów rozmawiam tylko z pacjentami. Albo z ich najbliższymi. Należysz do najbliższych Singletona?
- Holden uśmiechnął się.
- Cholernie go lubię.
  - Samo lubienie nie wystarczy, Nick.
  - Nie wygłupiaj się, Rob. Chcę wiedzieć tylko jedno: czy będzie się musiał wycofać?
  - Jeśli chcesz się tego dowiedzieć, zapytaj jego.
  - Jezu Chryste!... – rozzłościł się Holden. Wychodząc ze sklepu Rob J. obszedł ostrożnie naciągniętą pułapkę na myszy. Odprowadziła go wściekłość Nicka zmieszana z zapachem skórzanej upręży i gnijących sadzeniaków.
  - Kłopot z tobą polega na tym, Cole, że jesteś za głupi, żeby zmiarkować, kto jest twoim prawdziwym przyjacielem! Haskins musiał pewnie pod koniec dnia chować sery, zabijać beczułki z sucharami i stosować inne środki ostrożności. Myszy potrafią dokonywać nocami istnych spustoszeń w sklepach spożywczych, pomyślał Rob J., gdy wychodził ze sklepu.
- Mieszkając zaś w sąsiedztwie prerii, nie sposób ustrzec się myszy.
- Cztery dni później Samuel T. Singleton siedział przy stole z dwoma radnymi z Rock Island i trzema z Davenport w stanie Iowa i wyjaśniał im sytuację podatkową kompanii Chicago and Rock Island Railroad, która miała zamiar wybudować most kolejowy przez Missisipi łączący oba te miasta. Omawiał właśnie prawo przejazdu, gdy naraz westchnął cicho, jak gdyby czymś zirytowany, i obwisł w krześle. Nim zjawił się doktor Tobias, po którego natychmiast posłano, już wszyscy dokoła wiedzieli, że Samuel Singleton umarł.

Wyznaczenie jego następcy zajęło gubernatorowi tydzień. Nick Holden zaraz po pogrzebie wyjechał do Springfield czynić starania o tę nominację. Rob potrafił sobie wyobrazić, jakie musiał wywierać naciski i ile trudu wkładał w te zabiegi jego przyjaciel od kieliszka, urodzony w Kentucky wicegubernator. Partia Singletona miała jednak najwidoczniej możniejszych kompanów od kieliszka, gubernator mianował bowiem na resztę kadencji, czyli na półtora roku, Stephen Hume'a, prawą rękę zmarłego kongresmena.

– Nick jest załatwiony – orzekł Jay Geiger. – Hume zdąży się do końca kadencji mocno usadowić na stołku. Stanie do wyborów jako osoba na urzędzie i Nickowi będzie diablo trudno go pokonać.

Roba J. niewiele to obchodziło. Był zaprzątnięty tym, co się działo w jego własnym domu.

Po dwóch tygodniach przestał krępować synowi ręce. Szaman nie próbował już używać języka migowego. Przestał się w ogóle odzywać. Oczy mu zgasły, zrobiły się jakieś martwe. Rodzice często go przytulali, lecz on na krótko tylko znajdował w tym pociechę. Ilekroć Rob patrzył na swoje dziecko, ogarniało go uczucie zwątpienia i bezradności.

Tymczasem wszyscy dokoła stosowali się ściśle do jego wskazówek, jakby był nieomylną wyrocznią w leczeniu głuchoty.

Zwracając się do Szamana, wymawiali słowa powoli i wyraźnie, wskazywali najpierw na swoje usta, a gdy już na nie spojrzeli, zachęcali go, by czytał z ich warg.

Na pomysł nowego podejścia pedagogicznego wpadła Mak-wa-ikwa. Opowiedziała Robowi o metodzie, jaką stosowano w Ewangelicznej Szkole dla Indiańskich Dziewcząt, by ją i jej współplemienniczki nauczyć szybko i skutecznie mówić po

angielsku: przy stole nie dawano im jeść, jeśli nie poprosiły o daną potrawę w tym języku.

Sara uniosła się gniewem, gdy Rob J. odkrył przed nią swój zamiar.

– Najpierw pętałeś go jak niewolnika, a teraz będziesz gojeszcie głodził!

Ale Robowi niewiele już pozostało sposobów do wypróbowania.

Zaczynała go ogarniać rozpacz. Odbił długą i poważną rozmowę z Alexem, który zgodził się współpracować, i poprosił żonę, żeby przygotowała jakiś specjalny przysmak. Szaman uwielbiał dania słodko-kwaśne, Sara zrobiła więc potrawkę z kurczęcia z kluskami, a na deser upiekła ciasto z rabarbaru.

Gdy usiedli tego wieczora do stołu i wniosła pierwsze danie, wszystko potoczyło się z grubsza wedle ustalonego od kilku tygodni rytuału. Rob zdjął pokrywkę z parującej wazy, pozwalając, by woń kurczaka, klusek i warzyw, od której ślinka napływała do ust, rozeszła się nad stołem. Najpierw nałożył Sarze, potem Alexowi. Ruchem ręki zwrócił na siebie uwagę Szamana, a gdy chłopiec skierował nań oczy, wskazał na swoje usta.

– Kurczak – powiedział, podnosząc wazę. – Kluski. Chłopiec wpatrywał się w niego w milczeniu.

Rob J. nałożył więc sobie i usiadł.

Szaman przyglądał się przez chwilę pałaszującym z apetytem rodzicom i bratu, po czym podniósł swój pusty talerz i chrumk-nął z irytacją.

Rob wskazał na swoje usta i unióś wazę.

– Kurczak.

Szaman podsunął mu talerz.

– Kurczak – powtórzył Rob J., a gdy syn trwał w milczeniu, odstawił naczynie i zabrał się z powrotem do jedzenia.

Chłopiec wybuchnął płaczem. Poszukał wzrokiem pomocy u matki. Sara, jedząc z przymusem, skończyła właśnie swoją porcję. Wskazawszy na swe usta, podsunęła mężowitalerz.

– Proszę o kurczaka – powiedziała i Rob jej nałożył. Alex również poprosił o dokładkę i dostał ją. Szaman zanosił się szlochem, skrzywieniem twarzy manifestując swój sprzeciw wobec tej nowej męki, nowej tortury: morzenia go głodem.

Kiedy kurczaka i kluski zjedzono, zebrano talerze i Sara wniosła – jeszcze gorący po wyjęciu z piekarnika – deser i dzbanek mleka.

Była dumna ze swojego ciasta rabarbarowego, robionego wedle starego przepisu z Wirginii, z dużą ilością cukru klonowego spieczonego na wierzchu z cierpkim sokiem z rabarbaru w karmelizowanej zapowiedź kryjących się pod tym lukrem rozkoszy podniebienia.

– Ciasto – ogłosił Rob, a Sara i Alex powtórzyli to słowo.

– Ciasto – zwrócił się do Szamana.

Nadaremnie. Serce mu pękało. Przecież nie może dopuścić, by jego syn cierpiał głód. Lepsze dziecko głuchonieme niż martwe.

Z rozpaczą w duszy ukroił dla siebie kawałek.

– Ciasto!

Był to krzyk oburzenia, cios wymierzony w całą niesprawiedliwość świata, wzniesiony głosem znajomym i kochanym, którego od tak dawna już nie słyszał. Mimo to przez chwilę siedział jak zdębiały, niepewny, czy to nie Alex tak wrzasnął.

– Ciasto! Ciasto! Ciasto! – krzyczał Szaman. – CIASTO! Aż dygotał z gniewu i żalu, twarz miał mokrą od łez. Wyrwał się matce, gdy

usiłowała obetrzeć mu nos.

Rob J. ocenił, że w takim momencie nie ma co zwracać uwagi na formy grzecznościowe. Na „proszę” i „dziękuję” przyjdzie pora później.

Wskazał na swoje usta.

– Dobrze – powiedział do syna, potakując głową i krojąc dla niego ogromny kawałek. – Dobrze, synu! Ciasto.

---

## 27 Polityka

---

Płaski kawałek bujnej łąki na południe od ziemi Jaya Geigera kupił od rządu imigrant ze Szwecji nazwiskiem August Lund. Trzy lata rwał pługiem zbitą darni, a wiosną czwartego roku jego młodziutka żona zachorowała na cholere i szybko umarła. Ta strata złamała mu serce i zohydziła posiadłość. Jay odkupił od niego krowę, a Rob J.

zaprzęgi trochę narzędzi. Obaj przepłacili, zdając sobie sprawę, jak bardzo Lund pragnie stamtąd uciec. Wrócił do Szwecji, a jego świeżo uprawione grunty ugorowały przez dwa sezony jak porzucona kobieta, usiłująca powrócić do stanu sprzed uwiedzenia. Potem całą posiadłość sprzedał handlarz nieruchomości ze Springfield.

Kilka miesięcy później karawana złożona z dwóch wozów z budami przywiozła nowych osadników: mężczyznę i pięć kobiet.

Gdyby on był alfonsem, a one ladacnicami, mniejsze wzbudziłyby w Holden's Crossing poruszenie. Ale mężczyzna był kapłanem, kobiety zaś mniszkami rzymskokatolickiego zakonu Św. Franciszka z Asyżu. Po hrabstwie Rock Island rozeszła się wieść, że przybyli z zamiarem otworzenia szkółki parafialnej i zwabienia młodych dzieci w sidła papieżstwa.

Holden's Crossing potrzebowało i szkoły, i kościoła, lecz każdy z tych projektów pozostawałby zapewne przez długie lata w stadium narad, gdyby przybycie franciszek nie wzburzyło nastrojów. Po serii „wieczorków towarzyskich”, organizowanych w salonikach coraz to innych farm, powołano komitet dla zbierania funduszy na budowę kościoła. Sara chodziła poirytowana.

– Nie potrafią się pogodzić, kłócą się jak smarkacze. Ci chcą zwykłej chaty z bali, niby że taniej, ci budynku z desek, ci znów z cegły, tamci z kamienia!

Sama była zwolenniczką budowli kamiennej, z dzwonnica, wieżą i witrażami w oknach – jak w prawdziwym kościele.

Przez całe lato, jesień i zimę ciągnęły się spory, aż do marca, gdy się okazało, że mieszkańcom miasteczka przyjdzie również składać się na szkołę. Komitet budowy zdecydował się wówczas na prosty drewniany kościółek, oszalowany deskami na styk, nie na zakładkę, pomalowany na biało.

Sprzeczki wywołane kwestiami architektonicznymi zbladły wobec żartej kłótni nad wyborem wyznania, do którego miano by się przyłączyć, że jednak w Holden's Crossing baptyści stanowili najliczniejszą grupę, większość w końcu zwyciężyła. Komitet

porozumiał się z kongregacją Pierwszego Kościoła Baptystów w Rock Island, ta zaś wsparła go radą oraz skromną sumką na rozruch siostrzanejświątyni.

Zaczęła się zbiórka pieniędzy. Nick Holden olśnił wszystkich najhojniejszym datkiem – kwotą pięciuset dolarów.

– Nie wystarczą mu filantropijne gesty, żeby wejść do Kongresu – prognozował w rozmowie z przyjacielem Rob.

– Hume nie zasypiał gruszek w popiele i nominację Partii Demokratycznej ma już praktycznie w kieszeni.

Holden był najwyraźniej podobnego zdania, wnet bowiem rozeszła się nowina, że zerwał z demokratami. Niektórzy się spodziewali, że poszuka poparcia wigów, on tymczasem ogłosił się członkiem Partii Amerykańskiej.

– Partia Amerykańska? Nie słyszałem o czymś takim – przyznał się Jay.

Rob go objaśnił, przypomniawszy sobie antyirlandzkie kazania i artykuły, z jakimi spotykał się na każdym kroku w Bostonie.

– To partia urodzonych w Ameryce białych, nawołująca do ograniczenia praw katolików i cudzoziemców.

– Nick jest typowym populistą, przeważa nastroje i obawy, jakie nurtują ludzi – skomentował to Jay. – Przedwczoraj wieczorem na ganku pod sklepem ostrzegał zebranych przed Sankami Makwawikwy, jakby byli bandą Czarnej Jastrzębia. Niektórych udało mu się podburzyć.

Powiada, że jeśli nie będziemy się mieli na baczności, dojdzie do rozlewu krwi i rzezi farmerów.

– Skrzywił się. – Nasz Nick. Niestrudzony mąż stanu.



Od Herberta, brata Roba, który został w Szkocji, przyszedł jednego dnia list. Była to odpowiedź na list Roba wysłany przedośmioma miesiącami. Opisywał w nim swoją rodzinę, praktykę lekarską, farmę i obraz swego codziennego życia w Holden's Crossing. Na koniec prosił Herberta, żeby zrewanżował mu się nowinami o bliskich, których zostawił w ojczyźnie. list brata przyniósł mu teraz smutne, choć spodziewane wiadomości, już bowiem kiedy uciekał ze Szkocji, zdawał sobie sprawę, że z jego matki uchodzi życie. Umarła trzy miesiące po jego wyjeździe, pisał Herbert, i została pochowana obok ich ojca na porośniętym mchem „nowym cmentarzu” przy kościele w Kilmarnock. W następnym roku umarł także stryj Ranald.

Herbert donosił mu, że powiększył stado i wznosił nową stodołę, zwożąc w tym celu kamień spod urwiska. Wspominało tym powściągliwie, najwyraźniej rad, iż może zawiadomić Roba, że gospodarka idzie mu dobrze, przezornie unikając jednak wzmianki na temat własności. Rob uświadomił sobie, że młodszy brat musi czasem myśleć z obawą o jego powrocie do Szkocji. Ziemia należała się z prawa starszeństwa jemu, Robowi. W noc przed opuszczeniem Szkocji wprawił w zachwyty Herberta, który kochał hodowlę owiec, przepisując na niego dzierżawę.

Brat zawiadamiał go, że ożenił się z Alice Broome, córką Johna Broome'a, sędziego na wystawie jagniąt w Kilmarnock, i Elsy z McLarkinów. Rob pamiętał Alice Broome jak przez mgłę – chuda dziewczyna o myszowatych włosach, która wstydliwie zasłaniała dłonią usta, kiedy się śmiała, bo miała długie zęby. Doczekali się trójki dzieci, samych dziewczynek, ale że znowu chodziła w ciąży,

Herbert miał nadzieję, że tym razem urodzi mu syna, hodowla owiec rozrastała się bowiem i przydałby mu się pomocnik.

„Czy teraz, kiedy sytuacja polityczna się unormowała, nie przemyślisz o powrocie?”

Rob wyczuł w tym pytaniu, skreślonym ciasnym charakterem pisma Herberta, napięcie i zawstydzenie, pod którymi krył się niepokój o gromadzoną w pocie czoła majątność. Usiadł więc i napisał do brata list, mający rozwiać jego obawy. Nie wróci już do Szkocji, zapowiadał, chyba że z wizytą, jako czerstwy i zamożny emeryt. Przesyłał ucałowania bratowej i bratanicom i chwalił Herberta za sukcesy w gospodarce. Cieszy go, zakończył, że farma Cole'ów przeszła w najgodniejsze ręce.

Skończywszy list wybrał się na spacer ścieżką nad rzeką i zaszedł aż do kopca z kamieni, rozgraniczającego jego ziemię od ziemi Geigerów. Wiedział, że tu już zostanie. Stan Illinoisza władnął jego sercem mimo wściekłych wichur, niszczycielskich trąb powietrznych, siarczystych mrozów i strasznych upałów. A może właśnie dzięki tym oraz wielu innym swoim cechom.

Amerykańska farma Cole'ów miała lepszą ziemię niż dzierżawa w Kilmarnock, grubszą warstwę szczyku, obfitsze wody, bujniejsze trawy. Czuł się za nią odpowiedzialny. Nosił wpamięci jej zapachy i dźwięki, kochał szmer wysokich traw przeczesywanych wiatrem w upalne cytrynowożółte poranki letnie i surowy, lodowaty uścisk głębokich zimowych zasp. To był jego kraj i kropka.

Zajechawszy kilka dni później do Rock Island na zebranie Towarzystwa Lekarskiego, wstąpił do sądu i wypełnił dokument, w którym oświadczał, że pragnie starać się o naturalizację. Roger Murray, urzędnik sądowy, długo wczytywał się w podanie.

– Jak panu zapewne wiadomo, doktorze, obywatelstwo może pan uzyskać dopiero po trzech latach.

Rob J. kiwnął głową.

– Poczekam – odrzekł. – Nigdzie się nie wybieram.

Im więcej pił Tom Beckermann, tym jednostronniejsza stawała się służba zdrowia w Holden's Crossing i tym większe obciążenie Roba, który przeklinał alkoholizm kolegi i marzył o tym, żeby do miasteczka sprowadził się trzeci lekarz. Steve Hume i Billy Rogers pogorszyli jego sytuację, rozgłaszając na prawo i lewo, że doktor Cole okazał się jedynym konsyliarzem, który ostrzegł Sammila Singletona, że jest poważnie chory. Gdyby tylko kongresmen posłuchał jego ostrzeżenia, twierdzili, żyłby jeszcze. Rosła więc legenda Roba i liczba szukających u niego pomocy pacjentów.

Robił co mógł, żeby wykroić trochę czasu dla Sary i synów.

Szaman go zaskakiwał – przypominał roślinę, której wzrost zahamowano i której groziło uschnięcie, aż raptem wystrzeliła w górę, wypuszczając bujnie zielone pędy.

Rozkwitał w oczach. Sara, Alex, Saukowie, Alden, wszyscy mieszkańcy farmy Cole'ów cierpliwie i z oddaniem – wręcz zapamiętaniem, tak wielką odczuli ulgę, gdy przerwał milczenie – ćwiczyli z nim czytanie z warg, chłopcu zaś, gdy raz zaczął mówić, nie zamykały się usta. Czytać nauczył się na rok przed ogłuchnięciem i molestował ich teraz o książki.

Sara uczyła synów, dopóki potrafiła, ukończyła jednak tylko sześć klas wiejskiej szkółki i zdawała sobie sprawę ze swej ograniczonej wiedzy. Ojciec uczył ich łaciny i arytmetyki.

Alex radził sobie świetnie, był bystry i przykładał się do pracy, lecz pojętnością zdumiewał Szaman. Rob niemal z bólem odkrywał

wrodzoną inteligencję chłopca.

– Byłby z niego lekarz jakich mało, wiem o tym – powiedział z żalem Jayowi, gdy pewnego upalnego popołudnia siedzieli w chłodnym cieniu za domem Geigerów i rzeźwili się wodą z imbirem. Przyznał się Jayowi, że każdy Cole pragnąłby widzieć swojego męskiego potomka lekarzem.

Przyjacieli potaknęli ze współczuciem.

– No cóż, masz jeszcze Alexa. Też łebski chłopak. Rob J. pokręcił głową.

– Co za ironia losu! Do chorych chętnie jeździłby ze mną Szaman, który nigdy nie zostanie lekarzem, ponieważ nie słyszy. Alex, jak dorośnie, będzie mógł zostać, kim zechce, ale teraz snuje się po farmie krok w krok za Aldenem. Woli się przyglądać, jak Alden wbija kołek płotu albo wycina jaja jurnemu jagnięciu, niż temu, co ja robię.

Jay roześmiał się.

– A ty w jego wieku byś nie wolał? A może twoi synowie będą kiedyś razem prowadzili farmę? Udane z nich chłopaki.

Lillian ćwiczyła w domu dwudziesty trzeci koncert fortepianowy Mozarta. Traktowała te swoje wprawki niezwykle poważnie, toteż aż żal było słuchać, jak powtarza wciąż od początku tę samą frazę, póki nie nabierze pożądanej barwy i wyrazu. Ale gdy była wreszcie rada z efektu i pozwalała tonom popłynąć swobodnie, zlewały się w prawdziwą muzykę.

Pianino Babcocka zniosło długą podróż doskonale, nie straciło tonu, tylko lśniąca nieskazitelność jednej z jego smukłych orzechowych nóg skaziła długa płytka rysa niewiadomego pochodzenia. Lillian rozplakała się na jej widok, natomiast Jay

oświadczył, że nigdy nie pozwoli tej rysy usunąć. „Niech przypomina naszym wnukom, jaką drogę musieliśmy przebyć, żeby się tu dostać.”

Pierwszy kościół w Holden's Crossing poświęcono w ostatnich dniach czerwca i uroczystości przeciągnęły się do Czwartego Lipca. Na poświęcenie wygłosili mowy obaj kongresmeni, Steven Hume oraz Nick Holden, pretendent do urzędu Hume'a. Rob J. osądził, że Hume był rozluźniony i pewny swego, natomiast Nick sprawiał wrażenie człowieka zdesperowanego, który ma świadomość, że przegrywa.

W najbliższą niedzielę po tym święcie odprawił w nowym kościele nabożeństwo pierwszy z długiego szeregu wędrownych kaznodziejów. Sara przyznała się Robowi, że odczuwa zdenerwowanie, on zaś domyślił się, że to na wspomnienie kazania, jakie na Wielkim Przebudzeniu wygłosił predykant baptystów, wzywający pomsty ognia piekielnego na niewiasty, które wydają na świat nieślubne dzieci. Sara wolałaby zapewne łagodniejszego pasterza, takiego jak Arthur Johnson, duchowny metodystów, który połączył ich węzłem małżeńskim, wszelako wybór kapłana należał do całej kongregacji. Przez całe długie lato przybywali tedy do Holden's Crossing najrozmaitsi kaznodzieje. Rob uczestniczył w kilku nabożeństwach, żeby wesprzeć żonę na duchu, poza tym nie przekraczał jednak progu świętego przybytku.

Pewnego dnia przybita przed sklepem drukowana ulotka zaanonsowała wizytę niejakiego Ellwooda Pattersona, który w sobotę drugiego września o piątej po południu miał wygłosić w kościele prelekcję pod tytułem „Potop, który grozi zalaniem

chrześcijaństwa”, w niedzielę rano zaś odprawić nabożeństwo i wygłosić kazanie.

Rankiem tej soboty zjawił się w ambulatorium Roba J. jakiś nieznajomy. Czekał cierpliwie w służącym za poczekalnię małym saloniku, podczas gdy Rob zajmował się środkowym palcem Charleya Haskinsa, który przytrzymał go sobie między dwoma kłodami. Charley, dwudziestoletni syn sklepikarza, był drwalem. Obolały i zły na siebie za nieostrożność, która doprowadziła do wypadku, był jednak młodzieńcem o niewyparzonej gębie, zawsze tryskającym humorem.

– To co, doktorze, nie mogę się teraz żenić?

– Po jakimś czasie będziesz się mógł posługiwać tym palcem nie gorzej niż dotąd – odrzekł sucho Rob. – Obierze ci się paznokieć, ale odrośnie. A teraz zmiataj mi stąd. Przyjdź za trzy dni na zmianę opatrunku.

Wciąż z uśmiechem na twarzy zaprosił do gabinetu człowieka z poczekalni, a ten przedstawił mu się jako Ellwood Patterson.

Wędrowny kaznodzieja, pomyślał Rob, przypomniawszy sobie nazwisko z ulotki. Miał przed sobą mężczyznę lat około czterdziestu, przyciężkawego, ale trzymającego się prosto, o dużej zuchowatej twarzy, czarnych długich włosach, zdrowej cerze i cienkich jak pajęczyna, lecz wyraźnie widocznych niebieskich żyłkach na nosie i policzkach.

Pastor Patterson powiedział mu, że cierpi na czyraki. Gdy się rozebrał do pasa, Rob J. zobaczył na jego ciele ciemniejsze plamki po zagojonych wypryskach, około tuzina otwartych ranek, krostkowate wykwyty skórne, ziarniste, pokryte strupkami pęcherzyki i miękkie kilakowate guzki.

Spojrzał na mężczyznę ze współczuciem.

– Czy pan wie, że ma pan syfilis?

– Powiedziano mi to. Jakiś człowiek w barze mówił, że jest pan wybitnym lekarzem. Pomyślałem sobie: czemu by nie spróbować, może znajdzie pan na to jakiś lek?

Wyznał Robowi, że przed trzema laty pewna dziwka ze Springfield obsłużyła go po francusku, w następstwie czego zrobił mu się twardy szankier i powstał obrzęk za jądrami.

– Zaszedłem do niej znowu. Nikogo już nie uszczęśliwi. Po kilku miesiącach dostał gorączki, ciało obsypały mu wypryski miedzianego koloru, zaczęły go okropnie boleć stawy i głowa. Wszystkie te symptomy ustąpiły same z siebie, więc sądził już, że ozdrowiał, gdy pokazały się te wrzody i guzki.

Rob napisał jego nazwisko na karcie chorobowej, a obok rozpoznanie: „kiła trzeciorzędowa”.

– Skąd pan pochodzi, pastorze?

– Z Chicago.

Tak długo zastanawiał się nad odpowiedzią, iż Rob J. nabrał podejrzeń, że kłamie. Nie miało to zresztą znaczenia.

– Na to nie ma lekarstwa, panie Patterson.

– No cóż... Czego więc mam się teraz spodziewać? Ukrywanie przed nim prawdy nie miałoby sensu.

– Jeśli choroba dojdzie do serca, umrze pan. Jeśli do mózgu, dostanie pan pomieszania zmysłów. Jeśli zaatakuje kości albo stawy, zostanie pan kaleką. Zdarza się jednak nieraz, że nie dochodzi do żadnego z tych strasznych następstw. Objawy ustępują i więcej nie wracają. Pozostaje panu ufać i wierzyć, że należy pan do szczęśliwców.

Patterson skrzywił się.

– Dotychczas wrzody nie były widoczne, kiedy miałem na sobie ubranie. Czy mógłby pan dać mi coś, co by zapobiegało ich wyskakiwaniu na twarzy i szyi? Jestem, widzi pan, osobą publiczną.

– Mógłbym panu sprzedać pewną maść. Nie wiem tylko, czy przy tego rodzaju owrzodzeniach okaże się skuteczna – uprzedził go łagodnie Rob. Ellwood Patterson kiwnął głową i sięgnął po koszulę.

Nazajutrz o bladym świcie na farmę Cole'ów przyjechał na mule bosy chłopiec w postrzępionych gaciach i powiedział:– Psze pana doktora, czy nie mógłby pan doktor do nas przyjechać, bo moja mama jest okropnie chora?

Nazywał się Malcolm Howard i był najstarszym synem w rodzinie, która ledwie parę miesięcy wcześniej przybyła z Luizjany i zamieszkała na prerii sześć mil w dół rzeki. Rob osiodłał Wiki i podążył za mułem po wyboistych traktach, aż zajechali przed chatę, zapewniającą schronienie niewiele tylko lepsze od przyklejonego do niej kurnika. Wewnątrz leżała na barłogu Mollie Howard, a wokół niej stali wianuszkami jej mąż Julian i gromadka dzieci. Chora cierpiała srogie bóle malaryczne, Rob J. stwierdził jednak, że nie grozi jej poważniejsze niebezpieczeństwo. Kilka słów pociechy i solidna dawka chininy ulżyły i jej, i rodzinie.

Julian Howard nie zabierał się do uiszczania zapłaty za wizytę, Rob J. nie domagał się jej zresztą, widząc, w jakiej są biedzie.

Howard wyszedł z nim przed dom i wciągnął go w rozmowę o ostatnich posunięciach senatora Stanów Zjednoczonych Stephena A. Douglasa, który przeprowadził właśnie w Kongresie Ustawę



Kansas-Nebraska, powołującą do istnienia na Zachodzie dwa nowe terytoria. Ustawa Douglasa przewidywała, że o tym, czy mają to być terytoria niewolnicze, zdecydują ich legislatury, i z tego powodu spotkała się z ostrym potępieniem opinii publicznej Północy.

– Co ci zasańcy z Północy mogą wiedzieć o czarnuchach, nie? Ja i jeszcze paru farmerów zakładamy tu taką małą organizację, która by pilnowała, żeby stan Illinois nie palnął czasem głupstwa i pozwolił człowiekowi posiadać niewolników. Może by się pan do nas przyłączył? Kolorowi są po to, żeby uprawiać pola białych, nie? Jak słyszę, wziął pan już sobie paru czerwonych do roboty.

– To są Indianie z plemienia Sauk, a nie niewolnicy. Pracują u mnie za zapłatę. Osobiście nie jestem zwolennikiem niewolnictwa.

Starli się spojrzeniami. Howard poczerwieniał. Zmilczał, najwyraźniej powstrzymując się od wygarnięcia Robowi, co o nim myśli. Ostatecznie ten nadęty lekarzyna nie policzył mu za usługę. Co do Roba, pożegnał się z radością z mężem swojej pacjentki, zostawiwszy mu zapas chininy.

W domu czekał już na niego przerażony Gus Schroeder.

Głupia Alma, sprząając zagrodę w oborze, wlaźła między ścianę a wielkiego, morengowatego buhaja, z którego byli tacy dumni. Byk bodnął ją i przewrócił akurat w chwili, gdy Gus wchodził do stajni.

– A potem to przekłete bydlę za nic nie chciało się ruszyć! Stanęło nad nią z opuszczonymi rogami i stoi, aż musiałem wziąć widły i dziabnąć go, dopiero się ruszył. Alma twierdzi, że nic jej nie jest, ale zna pan Almę.

Tak więc – wciąż bez śniadania – pojechał do Schroederów. Alma nie bardzo ucierpiała, była tylko blada i rozdygotana. Skrzywiła się,

kiedy ucisnął piąte i szóste żebro po lewej stronie, wolał więc nie podejmować ryzyka i postanowił ją obandażować. Zdawał sobie sprawę, jakim upokorzeniem będzie dla niej konieczność obnażenia się przed nim, poprosił więc Gusao zajęcie się jego koniem, aby nie był świadkiem jej poniżenia.

Owijając ją bandażem, starał się w miarę możliwości nie dotykać jej tłustego białego ciała, poprosił, by sama podtrzymywała swoje wielkie obwisłe piersi, porysowane błękitnymi żyłkami, i przez cały czas odwracał jej uwagę pogawędką o owcach, pszenicy, Sarze i dzieciach. Gdy skończył, zdobyła się na uśmiech i wyszła do kuchni, by zaparzyć kawę, po czym zasiedli do niej we trójkę.

Gus powiedział mu, że „prelekcja” Ellwooda Pattersona była jawnym przemówieniem wyborczym na rzecz Nicka Holdena i Partii Amerykańskiej.

– Ludzie mówią, że to sam Nick ściągnął go tutaj.

„Potopem, który grozi zalaniem chrześcijaństwa” był, zdaniem Pattersona, napływ katolików do Stanów Zjednoczonych.

Schroederowie po raz pierwszy tego ranka nie poszli do kościoła. Oboje byli luteranami, ale „prelekcja” całkowicie zniechęciła ich do tego kaznodziei, oznajmił bowiem, że cudzoziemcy – a więc i Schroederowie – ograbiają z chleba amerykańskich robotników. Nawoływał do wydłużenia okresu oczekiwania na przyznanie obywatelstwa z lat trzech do dwudziestu jeden.

Rob J. skrzywił się niechętnie.

– Wolałbym nie czekać aż taki kawał czasu – mruknął, a ponieważ wszyscy mieli jeszcze tej niedzieli wiele do zrobienia, podziękował Almie za kawę i pożegnał się z sąsiadami.

Miał przed sobą pięć mil jazdy w górę rzeki do gospodarstwa Johna Ashe'a Gilberta, którego sędziwy teść, Fletcher White, ciężko się przeziębiał. White miał osiemdziesiąt trzy lata, był stary, ale trzymał się jeszcze krzepko. Chorował już na oskrzela i Rob J. był pewien, że znowu na nie zapadnie.

Polecił jego córce, Suzy, poić ojca gorącymi napojami i stale gotować wodę w czajniku, aby oddychał parą. Rob J. odwiedzał go częściej może, niż to było niezbędnie potrzebne, ale nadzwyczaj się troszczył o swoich wiekowych pacjentów, miał ich bowiem tak niewielu. Wśród pionierów przeważali ludzie młodzi i silni. Leciwych krewnych nikt w drogę na Zachód nie zabierał, toteż starcy, którzy tę podróż odbyli, należeli do rzadkości.

Fletcher znalazł już w lepszym zdrowiu. Suzy Gilbert poczęstowała go obiadem, złożonym z pieczonej przepiórki i placków ziemniaczanych. Poprosiła, by zajechał do jej najbliższych sąsiadów, Bakerów, których synowi zrobił się wrzód na dużym palcu u nogi i trzeba by go przeciąć. Donny Baker, dziewiętnastolatek, był w okropnym stanie, gorączkował i cierpiał potworny ból z powodu silnego zakażenia. Szerniała mu już połowa podeszwy prawej stopy.

Rob amputował mu dwa palce, rozciął stopę i założył tampon, miał jednak poważne wątpliwości, czy uda się stopę uratować, widział bowiem wiele przypadków, gdy tego rodzaju infekcji nie dawało się powstrzymać inaczej jak amputacją kończyny.

Było już późne popołudnie, gdy ruszył ku domowi. W połowie drogi usłyszał za sobą wołanie i ściągnął wodze Wiki, żeby Mort London na swoim wielkim kasztanowatym wałachu mógł go dogonić.

– Witam, szeryfie.

– Doktorze, ja... – Mort zdjął kapelusz i opędzał się nim ze złością przed jakąś natrętną muchą. Westchnął. – A niech to jasna cholera. Boję się, że będzie nam potrzebny koroner, doktorze.

Rob J. również poczuł irytację. Placki ziemniaczane Suzy Gilbert zalegały mu w żołądku. Gdyby Calvin Baker zwrócił się do niego o pomoc tydzień wcześniej, mógłby bez trudu wyleczyć palec Donny'ego. Teraz będą z tym poważne trudności, może nawet dojść do tragedii. Zastanawiał się, ilu z jego pacjentówściąga właśnie na siebie niebezpieczeństwo, gdyż nie powiadomili go o swych dolegliwościach, i postanowił przed nocą odwiedzić przynajmniej troje z nich.

– Niech pan zwróci się do Beckermanna – powiedział. – Mam dziś jeszcze masę roboty.

Szeryf obracał w rękach rondo kapelusza.

– Hm... Zdaje mi się, że pan by wolał zająć się tym osobiście, doktorze.

– Chodzi o któregoś z moich pacjentów? – Przebiegł w myśli listę ewentualnych kandydatów.

– Chodzi o tę Indiankę... – Rob J. spojrział na niego. – Tę, która u pana pracowała – wyjaśnił London.

---

## 28 Aresztowanie

---

Miał nadzieję, że London mówi o Księżyc. Nie znaczy to, żeo nią nie dbał, że jej nie lubił, nie cenił, ale pracowały u niego tylko dwie Indianki z plemienia Sauk, więc jeśli to nie Księżyc... Wolał nie myśleć o drugiej możliwości.

Niestety.

– O tę, która panu pomagała – dopowiedział Mort.

– Została zasztyletowana. Sprawca trochę ją przedtem pobił.

Miała podarte ubranie. Chyba została zgwałcona.

Przez chwilę jechali w milczeniu.

– Mogło ich być paru. Na tej polance, gdzie ją znaleziono, aż gęsto od śladów kopyt – informował szeryf. Po czym zamilkli znowu jechali w milczeniu.

Gdy dotarli na farmę, ciało Makwa-ikwy złożono już w szopie.

Między przychodnią a stodołą stała grupka osób– Sara, Alma, Szaman, Jay Geiger, Księżyc, Nadchodzący ze Śpiewem oraz ich dzieci. Indianie nie lamentowali głośno, ich spojrzenia wyrażały jednak rozpacz i przygnębienie, odbijały świadomość nędzy życia, na jakie ich skazano. Sara popłakiwała cicho. Rob J. podszedł do żony i pocałował ją.

Jay Geiger odprowadził go na bok.

– To ja ją znalazłem. – Potrząsnął głową, jakby chciał odegnąć jakiegoś natrętnego owada. – Lillian wyprawiła mniedo was z konfiturą morelową dla Sary. Po drodze zobaczyłem śpiącego pod drzewem Szamana. Ta nowina przeraziła Roba.

– Szaman przy tym był? Widział ją?

– Nie. Sara mówi, że Makwa-ikwa wzięła go rano na zbieranie ziół do lasu nad rzeką, jak to miała w zwyczaju.

Kiedy się zmęczył, pozwoliła mu zdrzemnąć się w cieniu. A dobrze wiesz, że żadne hałasy ani krzyki nie mogły go zbudzić. Domyśliłem się, że nie jest sam, pozwoliłem mu więc dalej spać i pojechałem kawalek dalej, na tę polankę. I tam ją znalazłem... Ona wygląda strasznie, Rob. Potrzebowałem dłuższej chwili, żeby się pozbierać. Potem wróciłem i obudziłem Szamana. Niczego nie widział. Przywiozłem go tutaj i pojechałem do Londona.

– Wygląda na to, że to zawsze ty odwozisz mi moich chłopców.

Jay zerknął na niego.

– Dobrze się czujesz?

Rob kiwnął głową. Jay był natomiast blady i zgnębiony.

Skrzywił twarz.

– Obawiam się, że czeka cię przykre zadanie. Saukowie chcieliby ją umyć i pogrzebać.

– Nie wpuszczaj do mnie przez jakiś czas nikogo – poprosił go Rob J., po czym wszedł do szopy i zamknął za sobą drzwi.

Leżała na boku, nakryta prześcieradłem. Nie przynieśli jej tam Jay ani żaden z Sauków, to było widać. Pewnie dwaj zastępcy Londona, rzucili ją bowiem na stół sekcyjny jak worek, przedmiot bez wartości, kłodę drewna – martwą Indiankę. Ściągnął z niej prześcieradło. Zobaczył tył jej głowy, nagie plecy, pośladki i nogi.

Zasinienia wskazywały na to, że w chwili zgonu leżała na plecach. Plecy i spłaszczone pośladki podbiegły krwią z pękniętych naczynek włosowatych. W bruździe między pośladkami dostrzegł czerwony strupek i zaschniętą białawą maź, zabarwioną szkarłatnie w miejscu, gdzie zetknęła się z krwią.

Odwrócił Makwa-ikwę ostrożnie na plecy.

Na policzkach miała zadrapania. Powstały pewnie od gałęzi, gdy wgniatano jej twarz w ściółkę leśną.

Kobiece pośladki zawsze go ogromnie pociągały, o czym Sara przekonała się wcześniej. Lubiła mu się w ten sposób oddawać. Schowawszy twarz w poduszkę, rozpłaszczona piersiami na prześcieradle, rozstawiała szeroko swoje zgrabne, pięknie sklepione stopy i podawała mu rozcięte biało-czerwone owale o kształcie gruszki nad złotymi kędziorkami.

Była to pozycja niewygodna, mimo to przybierała ją czasem, gdyż jego żądza rozpaliała i jej namiętność. Dla Roba J.

stosunek płciowy był wyrazem miłości, nie zaś tylko narzędziem prokreacji, składał więc hołd nie jednemu wyłącznie otworowi jako naczyniu rozkoszy. Będąc lekarzem, orientował się wszakże, iż zwieracz odbytu, gdy go nadużywać, może utracić elastyczność, a mieli przecież dość sposobów kochania się, które nie wyrządzały Sarze krzywdy.

Makwa-ikwie ktoś podobnych względów nie okazał.

Jej zahartowane pracą ciało wyglądało jak ciało kobiety o dobrych dziesięć lat młodszej, niż w istocie była. Przed laty wspólnie uporali się ze wzajemnym pociąganiem fizycznym i odtąd zawsze mieli się w tym względzie na baczności. Mimo to czasem wyobrażał ją sobie nagą i zastanawiał się, jak by to było, gdyby się z nią kochał. A teraz śmierć przystępowała już do dzieła zniszczenia. Brzuch Makwa-ikwy obrzmiał, rozkład tkanek sprawił, że jej piersi się rozpląszczyły, mięśnie zaczęły sztywnieć. Póki to było jeszcze możliwe, wyprostował jej w kolanach nogi. Jej owłosienie łonowe, zlepione krwią, przypominało czarną kędzierzawą wełnę. Może to i lepiej, że umarła, wszak utraciłaby swą leczniczą moc.

„Bydlaa-kii! Pieprzone bydlaa-kii!”

Przetarł oczy, uświadomiwszy sobie nagle, że osoby czekające na zewnątrz musiały usłyszeć jego krzyk, a przecież wiedzą, że jest z Makwa-ikwą sam. Tułów miała pokryty sińcami i ranami, górną wargę zmiażdżoną, prawdopodobnie od ciosu ciężkiej pięści.

Na podłodze obok stołu sekcyjnego leżały zebrane przez szeryfa dowody rzeczowe: podarta i zakrwawiona bawełniana sukienka, którą Makwa-ikwa dostała od Sary, koszyk powyżej połowy napełniony miętą, rzeżuchą i liśćmi jakiegoś drzewa, chyba czeremchy, jeden mokasyn z jeleniej skóry... Jeden? Rozejrzył się za drugim; nie było go. Kanciaste brunatne stopy Makwa-ikwy były bosc. Były to stopy szorstkie, schodzone, z drugim palcem lewej zniekształconym po jakimś starym złamaniu. Często widywał ją bosą i zastanawiał się, jak go sobie złamała, ale nigdy o to nie zapytał.

Przeniósł wzrok na jej twarz – twarz swojej dobrej przyjaciółki. Oczy miała otwarte, ale ciśnienie w wysychającym ciałku szklistym już spadło i właśnie oczy były w niej najbardziej martwe. Zamknął je spieszenie i przycisnął powieki monetami, mimo to wciąż miał wrażenie, że ona na niego patrzy. Jej nos stał się po śmierci jeszcze wydatniejszy i brzydszy. Nie byłaby ładna na starość, lecz jej twarz już teraz odznaczała się wielkim dostojeństwem. Wzdrygnął się i splótł jej palce jak modlącemu się dziecku.

– Tak mi przykro, Makwa-ikwo.

Nie łudził się, że go słyszy, przemawianie do niej przynosiło mu jednak ulgę. Wziął pióro, atrament i papier i przekopiował podobne do pisma runicznego blizny na jej piersiach, czując, że są ważne. Nie był pewien, czy ktokolwiek zdoła odczytać te symbole, sądząc



bowiem, że ma przed sobą długie lata życia, szamanka plemienia Sauk nie wykształciła dotąd następcy. Domyślał się, że kandydata na ucznia upatrywała w dzieciach Księżyc i Nadchodzącego ze Śpiewem.

Naszkićował jej portret – takiej, jak wyglądała w tej chwili.

Spotkało ich oboje ogromne nieszczęście. Jego prześladował dotąd sen o studencie medycyny i kacie zarazem, wznoszącym uciętą głowę jego przyjaciela, Andrew Geroulda z Lanark, teraz będzie wracała do niego w snach również ta śmierć. Nie wiedział jak się rodzi przyjaźń, nie wiedział także, jak się budzi miłość, ale tak się złożyło, że on i ta Indianka zostali bliskimi przyjaciółmi, toteż odczuł jej śmierć jako bolesną stratę. Zapomniał na chwilę swoim ślubie, że nie będzie stosował przemocy; gdyby dostał morderców w swoje ręce, zgniótłby ich jak pluskwy.

Jego zapamiętanie wnet jednak minęło. Zabezpieczając się przed smrodem, owiazał sobie chustką nos i usta. Wziął skalpeli zrobił szybkie cięcie w kształcie wielkiej litery U – od ramienia do ramienia – a potem proste cięcie między piersiami, sięgające pępka i rozgałęziające się w bezkrwiste Y. Jego odrętwiałe palce nieporadnie wykonywały dyspozycje umysłu. Całe szczęście, że nie kroił żywego pacjenta. Póki nie odchylił trzech płatów skóry, leżące przed nim z maltretowane ciało było Makwa-ikwą. Gdy wszakże sięgnął po nożyce do przecinania żeber, aby usunąć mostek, przeniósł się na inny poziom świadomości, gdzie nie istniało już nic prócz konkretnych zadań. Rutyna wzięła górę nad emocjami i Rob J. zajął się tym, czym powinien.

AKT NAGŁEGO ZGONU Denat: Makwa-ikwa Adres: Farma owcza Cole'a, Holden's Crossing, Illinois Zawód: Asystentka dr. Roberta J.

Cole'a Wiek. Około 29 lat Wzrost. 1,752 m Waga: Około 63 kg.

Okoliczności: Zwłoki ofiary, Indianki z plemienia Sauk, zostały znalezione przez przygodnego przechodnia w lesistej części farmy owczej Cole'a wczesnym popołudniem 3 września 1851 roku. Ofierze zadano jedenaście ran kłutych, biegnących nieregularną linią od wcięcia szyjnego przez mostek aż do punktu położonego około dwóch centymetrów poniżej wyrostka mieczykowatego. Szerokość ran waha się od 0,947 do 0,952 centymetra. Zadano je ostrym narzędziem, prawdopodobnie metalowym ostrzem o trójkątnym przekroju, którego każda krawędź była wyostrzona.

Ofiara, która była dziewczcą, została zgwałcona. Na to, że była imperforata, wskazują resztki błony dziewiczej, zgrubiałej i nieelastycznej. Gwałciciel prawdopodobnie nie był w stanie dokonać penetracji penisem. Defloracji dokonano przy użyciu jakiegoś tępego narzędzia, ząbkowanego bądź o szorstkich zadziarach, powodując znaczne uszkodzenia sromu, w tym głębokie zadrapania krocza i warg sromowych większych oraz rozdarcie i poranienie warg sromowych mniejszych oraz przedsiionka pochwy. Bądź to przed, bądź po tej krwawej defloracji ofiara została obrócona twarzą do ziemi. Sińce na jej udach świadczą o tym, że podczas aktu sodomii była unieruchomiona, co wskazuje na udział co najmniej dwóch napastników, a zapewne większej ich liczby. Uszkodzenia spowodowane aktem sodomii to rozciągnięcie i rozdarcie odbytnicy. W prostnicy stwierdzono pewną ilość spermy, a w okrężnicy wstępującej ślady krwawienia. Pozostałe obrażenia na ciele i twarzy wskazują na to, że ofiara była okrutnie bita, prawdopodobnie męską pięścią.

Można stwierdzić, że broniła się przed atakiem. Pod paznokciami wskazującego, dużego i serdecznego palca prawej ręki stwierdzono skrawki skóry i dwa czarne włosy, pochodzące prawdopodobnie z brody.

Ciosy ostrym narzędziem zadawane były z tak wielką siłą, że złamały trzecie żebro i kilkakrotnie przebiły mostek. Lewe płuco zostało przebite dwukrotnie, a prawe trzykrotnie, ponadto została przebita opłucna i poszarpana tkanka wewnętrzna płuca. Oba płuca zapadły się od razu. Trzy ciosy dosięgły serca: dwa z nich w okolicy prawego przedsionka pozostawiły rany o szerokości odpowiednio 0,887 i 0,799, trzecia rana, prawej komory, ma 0,803 cm. szerokości. Przebicie serca spowodowało rozległy wylew do jamy brzusznej.

Narządy nie były uszkodzone, nie licząc wymienionych urazów. Serce ważyło 263 g, mózg 1,43 kg, wątroba 1,62 kg, śledziona 199 g.

Wnioski: Zabójstwo poprzedzone gwałtem dokonany przez nieznanego sprawcę bądź sprawców.

podpisano: Robert Judson Cole, lek. med. współpracownik koronera hrabstwo Rock Island, stan Illinois.

Rob J. pracował tej nocy do późna. Sporządził kopię raportu dla sędziego okręgowego, a potem jeszcze jedną dla Morta Londona. Rano przybyli na farmę Saukowie i pochowali Makwa-ikwę na urwisku nad rzeką nie opodal hedonoso-te.

Rob wyznaczył to miejsce na pochówek nie uzgadniając tego z Sarą.

Wpadła w gniew, kiedy się o tym dowiedziała.

– Na naszej ziemi? Co ci strzeliło do głowy? Przecież grób zostanie tu już na zawsze! Nigdy się jej nie pozbędziemy! – krzychała ze złością.

– Zamilcz, kobieto – syknął, na co ona odwróciła się na pięcie i odeszła.

Księżyc umyła Makwę-ikwę i ubrała ją w uszytą z jeleniej skóry tunikę szamanki. Alden zaofiarował się, że zbije sosnową trumnę, ale Księżyc oświadczyła, że Saukowie zwykli grzebać swoich zmarłych zawiniętych jedynie w ich najlepszy koc. Alden pomógł wobec tego Nadchodzącemu ze Śpiewem wykopać grób. Księżyc poleciła im, by kopali go wczesnym rankiem. Tak nakazuje zwyczaj, oznajmiła. Grób kopie się wczesnym rankiem, a zmarłego chowa wczesnym popołudniem. Zapowiedziała, że Makwa-ikwa ma być zwrócona stopami na zachód, i posłała do obozu Sauków po ogon krowy bizona, żeby go włożyć do grobu. Miało to pomóc Makwa-ikwie – wyjaśniła Robowi J. – w bezpiecznej przeprawie przez spienioną rzekę, która oddziela świat żywych od Zachodniej Krainy.

Pogrzeb był skromny. Przy grobie stanęli Indianie, rodzina Cole'ów i Jay Geiger. Rob spodziewał się, że któryś ze współplemieńców Makwa-ikwy przemówi, lecz nikt się nie kwapił.

Zabrakło im szamana. Zauważył ku swojej irytacji, że Indianie popatrują w jego stronę. Gdyby zmarła była chrześcijanką, może by się ugiął i wygłosił kilka słów, w które nie wierzył. Ponieważ nie była, całkiem się na mówcę nie nadawał. Nagle nie wiedzieć skąd, przyszły mu na pamięć słowa: Jej łódź, podobna do jasnego tronu, Zdała się palić kołysana falą; Rufa jej była ze szczerego złota, Żagle z purpury, a tak woniejące, Że wiatry przy nich mdlały zakochane; Wiosła ze srebra, przy odgłosie fletni W takt biły wodę, która spieszniej biegła, Jak zakochana w wiosel uderzeniu. By jej dać obraz, na to ludzka mowa Zbyt jest uboga...<sup>[4]</sup> Jay Geiger popatrzył na niego jak na człowieka niespełna rozumu. Skąd tu Kleopatra? W

następnej chwili uświadomił sobie, że dla jego przyjaciela Indiankę otaczała aura mrocznego majestatu, opromieniał ją blask królewskiej świętości, była piękna specjalnym rodzajem urody. Lepsza od Kleopatry, bo tamta nie wiedziała tyle o samopoświęceniu, wierności i ziołach. Kogoś takiego jak ona nigdy już na swojej drodze nie spotka. John Donne podsunął Robowi inne wyzwanie śmierci: Śmierci, próżno się pysznisz; coż, że wszędy słynie Potęga twa i groza: licha w tobie siła, Skoro ci, których – myślisz – już powaliła, Nie umrą, biedna śmierci; mnie też to ominie.<sup>[5]</sup> Kiedy stało się już jasne, że doktor Cole nic więcej nie powie, Jay odchrząknął i wypowiedział kilka zdań w języku, jak Rob J. się domyślił, hebrajskim. Obawiał się przez chwilę, że Sara wyjedzie ze swoim Jezusem, ale była na to zbyt nieśmiała.

Makwa-ikwa nauczyła Sauków kilku pieśni modlitewnych, teraz więc, zacinając się, odśpiewali wspólnie jedną.

Tti-la-ye ke-wi-ta-mo-ne i-no-ki, Tti-la-ye ke-wi-ta-mo-ne i-no-ki-i-i. Me-ma-ko-te-si-ta Ke-te-ma-ga-yo-se.

Makwa-ikwa często nuciła tę pieśń Szamanowi. Rob J.

zauważył, że choć jego syn nie śpiewa na głos, wymawia słowa ruchami warg. Pieśń ucichła. Pogrzeb był skończony.

Po ceremonii pochówku Rob poszedł na leśną polankę, gdzie dokonano zbrodni. Płatanina odcisków końskich kopyt.

Zapytał Księżyc, czy są jeszcze wśród Sauków tropiciele śladów, na co odrzekła, iż wszyscy dobrzy tropiciele odeszli już z tego świata. A zresztą i tak przez polankę przewalił się tabun pomocników Londona, ziemia była zdeptana przez konie i ludzi. Mimo to Rob J. znalazł w krzakach to, czego szukał. Patyk jak patyk, tym tylko różny od innych, że jego koniec był zabarwiony na czerwono. Drugi

but Makwa-ikwy ktoś o silnym ramieniu cisnął do lasu po drugiej stronie polanki. Niczego więcej nie udało mu się odszukać, zawinął więc oba znaleziska w kawałek sukna i pojechał do biura szeryfa.

Mort London przyjął bez słowa pisemny raport i dowody rzeczowe. Zachowywał się oficjalnie i nieco opryskliwie, może dlatego, że jego ludzie przegapili w trakcie poszukiwań ten patyk i but. Rob J. nie zabawiał u niego długo.

Gdy po wyjściu z biura szeryfa przechodził przez ganek przed sklepem, zawołał go Julian Howard.

– Mam coś dla pana – oznajmił. Zaczął grzebać w kieszeni.

Rob J. usłyszał brzęk monet. Howard podał mu srebrnego dolara.

– Nie ma gwałtu, panie Howard. Tamten wcisnął mu jednak monetę.

– Ja spłacam swoje długi – warknął ze złością, Rob przyjął więc zapłatę nie wypominając już, że jest mu jeszcze winien pięćdziesiąt centów za lekarstwo. Zresztą Howard odwrócił się zaraz ordynarnie.

– A jak tam pańska żona? – zapytał Rob.

– Poprawiło się jej. Nie będzie już pana potrzebować.

To była pomyślna wiadomość, oszczędzała Robowi długiej i męczącej podróży. Pojechał wobec tego na farmę Schroederów. Alma zabrała się już za wczesne jesienne porządki. Na pierwszy rzut oka widać było, że żebra ma całe.

Potem wstąpił do Donny'ego Bakera i stwierdził, że chłopak nadal gorączkuje. Wygląd zaognionej stopy nie pozwalał przewidzieć, jak się rozwinie choroba. Wszystko, co mógł zrobić, to zmienić opatrunek i podać mu trochę laudanum na uśmierzenie bólu.

Od tego momentu chmurny i smutny poranek przynosił Robowi coraz posępniejsze zdarzenia. Ostatnią wizytę złożył w gospodarstwie Gilbertów. Starego Fletchera White'a zastał w okropnym stanie: oczy miał zmatowiałe i niewidzące, jego wychudzonym zgrzybiałym ciałem szarpał kaszel. Każdy oddech sprawiał mu ból.

– Miał się już lepiej – poinformowała szeptem Suzy Gilbert.

Rob J. domyślił się, że zbyt wcześnie przestała grzać wodę na parówkę i podawać ojcu gorące napoje. Choć zdawał sobie sprawę, że kobiecina ma na głowie dom pełen dzieci i ciężko haruje, miał ochotę solidnie ją zwymyślać. Ująwszy jednak dłonie Fletchera zrozumiał, że godziny starca są już policzone, a nie zamierzał wzbudzać w Suzy wyrzutów sumienia i poczucia winy, że to jej niedbalstwo go zabiło. Zostawił im trochę silnego środka znieczulającego Makwa-ikwy, żeby ulżyć cierpieniom umierającego. Uświadomił sobie, że niewiele mu go już zostało. Często był świadkiem, jak go parzyła, i wydawało mu się, że zapamiętał tych kilka prostych ziołowych składników owego tonizującego leku. Będzie musiał spróbować samemu go sporządzić.

Po południu miał przyjmować pacjentów w swoim ambulatorium, wróciwszy na farmę zastał tam jednak istny koniec świata. Sara była blada jak płótno. Księżyc, która po śmierci Makwa-ikwy ani razu nie zapłakała, zalewała się łzami, a jej dzieci drżały z przerażenia. Okazało się, że pod jego nieobecność zjawili się na farmie Mort London, Fritz Graham, stały zastępca szeryfa, i Otto Pfersick, mianowany zastępcą na tę okazję, wycelowali strzelby w Nadchodzącego ze Śpiewem i Mort go aresztował. Następnie

skrępowali mu ręce na plecach i powlekli go na powrozie za końmi jak spętanego wołu.

---

## 29 Ostatni Indianie w Illinois

---

– Popełnił pan błąd – powiedział Rob J.

Mort London wyglądał na zakłopotanego, zaprzeczył jednak ruchem głowy.

– Nie wydaje mi się. Naszym zdaniem wszystko przemawia za tym, że zabił ją ten wielki sukinsyn.

Rob J. zaszedł do biura szeryfa ledwie kilka godzin wcześniej, ale London ani słówkiem nie zająknął się wówczas, że wybiera się na jego farmę z zamiarem aresztowania jednego z jego pracowników. Coś tu było nie w porządku. Kłopoty Nadchodzącego ze Śpiewem wyglądały na chorobę o tajemniczej etiologii. Uwagi Roba nie uszła również liczba mnoga: „naszym zdaniem”. Wiedział, kogo ona obejmuje; domyślił się, że Nick Holden ma nadzieję zbić kapitał polityczny na śmierci Makwa—ikwy. Przezornie ukrył jednak swój gniew.

– Poważny błąd, Mort.

– Na krótko przedtem, nim to się stało, pewien świadek widział tego wielkiego Indianina na polance, gdzie ją znaleziono.



Nic w tym dziwnego, odrzekł Rob J. Nadchodzący ze Śpiewem jest jednym z jego parobków, a las nad rzeką leży na jego ziemi.

– Chciałbym wnieść za niego kaucję – zakończył.

– Nie mogę wyznaczyć kaucji. Musimy poczekać, aż przyjedzie sędzia objazdowy z Rock Island.

– Ile to może potrwać? London wzruszył ramionami.

– Jednym z niegłupich rozwiązań, jakie przejęliśmy od Anglików, jest procedura postępowania sądowego. Ponoć tu obowiązuje. Nie będę popędzał sędziego objazdowego dla jakiegoś Indiańca. Pięć, sześć dni. Może tydzień lub coś koło tego.

– Chciałbym się zobaczyć z zatrzymanym.

London dźwignął się i zaprowadził go do mieszczącego się za jego biurem aresztu. W mrocznym korytarzyku pomiędzy dwiema celkami, z których się składał, siedzieli ze strzelbami na kolanach obaj zastępcy szeryfa. Fritz Graham wyglądał jak człowiek, który się pysznie bawi. Otto Pfersick miał taką minę, jakby tylko marzył o tym, żeby wrócić do młyna i dalej mleć mąkę. Jedna z cel była pusta, druga – wypełniona postacią Nadchodzącego ze Śpiewem.

– Rozwiążcie go – polecił cicho Rob J.

London zawahał się. Rob J. zmiarkował, że strażnicy boją się zbliżyć do więźnia. Nadchodzący ze Śpiewem miał nad prawym okiem zaogniony siniec. Od uderzenia kolbą? Jego postura budziła respekt.

– Wpuśćcie mnie do niego. Sam go rozwiążę. London otworzył celę i Rob J. wszedł do środka.

– Pyawanegawa – zwrócił się do Nadchodzącego ze Śpiewem jego prawdziwym imieniem, dotykając jego ramienia.

Potem obszedł Indianina i spróbował rozsupłać powróż, którym go związano, węzeł zaciągnięto jednak okrutnie mocno.

– Muszę to przeciąć – zwrócił się do Londona. – Dajcie mi nóż.

– Jeszcze czego!

– Więc moje nożyczki, są w torbie.

– Też broń niczego sobie – mruknął London, pozwolił jednak Grahamowi przynieść nożyczki. Robowi udało się przeciąć nimi sznur. Rozcierając nadgarstki Nadchodzącego ze Śpiewem i patrząc mu w oczy, przemówił do niego jak do swojego głuchego syna.

– Cawso wabeskiou pomoże Pyawan egawie. Jesteśmy przecież braćmi z tej samej Połowy, Długowłosych, Keeso-qui.

Zignorował pełne zdumienia rozbawienie i pogardliwe spojrzenia białych słuchaczy po drugiej stronie krat. Nie miał pojęcia, ile z tego, co powiedział, Nadchodzący ze Śpiewem zrozumiał. Oczy Sauka były mroczne i posępne, lecz Rob J. dojrzał w nich zmianę; rozbłysło w nich coś, czego natury nie był do końca pewien – mogła to być wściekłość, ale też nieśmiały przebłysk budzącej się nadziei.

Jeszcze tego samego popołudnia przyprowadził do męża Księżyc. Służyła za tłumaczkę, gdy London poddał go przesłuchaniu.

Nadchodzący ze Śpiewem wydawał się przepytywaniem zmieszany. Przyznał się od razu, że był tamtego ranka na polance. Pora znosić drewno na zimę, burknął, spojrzawszy na tego, który mu za to płacił. Szukał też klonów cukrowych, notując je sobie w pamięci na wiosenne nacinanie kory.

London zauważył, że więzień mieszkał z denatką pod jednym dachem. Nadchodzący ze Śpiewem przytaknął. A czy kiedykolwiek obcował z nią płciowo? – indagował szeryf.

Księżyc zawahała się, nim przetłumaczyła to pytanie. Rob J. ostro spojrział na Londona, ale dotknął ramienia Indianki, która powtórzyła słowa szeryfa mężowi. Nadchodzący ze Śpiewem odpowiedział bez wahania ani widocznych oznak gniewu – nie, nigdy.

Po skończonym przesłuchaniu Rob J. wszedł za Mordem Londonem do jego biura.

– Czy może mi pan powiedzieć, dlaczego aresztował pan tego człowieka?

– Już panu mówiłem. Świadek widział go na polance na krótko przed morderstwem.

– A kim jest ten pański świadek?

– Julian Howard.

Rob zadał sobie w duchu pytanie, co też Julian Howard robił na jego ziemi. Przypomniał sobie brzęk dolarów, gdy tamten regulował należność za wizytę.

– Zapłaciłście mu za zeznanie – powiedział, jakby stwierdzał fakt dla siebie oczywisty.

– Ja nie. Co to, to nie – zaprzeczył żywo poczerwieniały London, ale ponieważ był podlecem-amatorem, słuszny gniew bezpodstawnie oskarżonego wypadł nieporadnie.

Tutaj nagrody rozdzielał Nick, okrasivszy je umiarkowaną dozą pochlebstw. Przekonał zapewne Howarda, że jest świętym człowiekiem, który spełnia jedynie swą powinność.

– Nadchodzący ze Śpiewem przebywał tam, gdzie powinien, pracował na mojej farmie. Równie dobrze moglibyście aresztować mnie jako właściciela ziemi, na której popełniono to morderstwo, albo Jaya Geigera jako tego, który znalazł ciało.

– Jeśli ten czerwony tego nie zrobił, sprawiedliwy proces oczyści go z zarzutu. W końcu żył przecież z tą kobietą...

– Makwa-ikwa była jego szamanem, kimś w rodzaju księdza. Poza tym mieszkali pod jednym dachem, co wykluczało współżycie między nimi jak między bratem i siostrą.

– Ludzie mordują i księży. Obrabiają też własne siostry, skoro o tym mowa.

Rob J. zmierzał już do wyjścia. Teraz odwrócił się, tłumiąc odrazę.

– Jeszcze nie jest za późno, żeby się z tego wyplątać, Mort.

Posada szeryfa to robota jak każda inna, nie zginie pan, jeśli ją pan straci. Wierze, że w gruncie rzeczy jest pan uczciwym człowiekiem. Ale jeśli raz zrobi pan coś takiego, niegodziwość wejdzie panu w krew.

To był błąd. Mort potrafił jakoś żyć ze świadomością, że całe miasto wie, iż siedzi w kieszeni u Nicka Holdena, dopóki nikt nie wypominał mu tego w oczy.

– Przeczytałem to gównno, które pan nazywa raportem z sekcji zwłok, doktorze Cole. Czeka pana ciężka przeprawa, jeśli chce pan przekonać sędziego i sześciu przyzwoitych białych, że ta kobieta była dziewicą. Przystojna Indianka w jej wieku, do tego wszyscy w hrabstwie wiedzieli, że była pana kochanką. I pan ma czelność wygłaszać mi tu kazanie?... A teraz zjeżdżaj pan stąd. I nie waż mi się pan tutaj więcej pokazywać, chyba że z urzędową sprawą.

Księżyc powiedziała, że Nadchodzący ze Śpiewem się boi.

– Nie sądzę, żeby mieli zrobić mu jakąś krzywdę – pocieszał ją Rob J. Odparła na to, że on nie tego się boi.

– On wie, że biali czasem wieszają ludzi. Jeśli Sauk zostanie uduszony, nie będzie mógł się przeprawić przez spienioną rzekę i

nigdy nie wejdzie do Zachodniej Krainy.

– Nikt nie ma zamiaru wieszać Nadchodzącego ze Śpiewem – rzekł z irytacją. – Nie mają żadnych dowodów jego winy.

To sprawa polityczna, za dzień, dwa będą musieli go zwolnić.

Zaraziła go wszakże swą obawą. Jedyнным prawnikiem w Holden's Crossing był Nick Holden. Było kilku prawników w Rock Island, ale Rob J. nie znał ich osobiście. Nazajutrz rano udzielił pomocy pacjentom, którzy jej najpilniej potrzebowali, i pojechał do siedziby władz okręgowych. W poczekalni kongresmena Stephena Hume'a siedziało jeszcze więcej osób niż zwykle u niego, toteż musiał czekać blisko półtorej godziny, nim przyszła jego kolej.

Hume wysłuchał go z uwagą.

– Dlaczego przychodzi pan z tym do mnie? – zapytał na koniec.

– Ponieważ stara się pan o ponowny wybór, a pańskim przeciwnikiem jest Nick Holden. Z jakichś powodów, dla mnie osobiście niejasnych, Nick robi wszystko co w jego mocy, żeby zaszkodzić Saukom w ogóle, a Nadchodzącemu ze Śpiewem w szczególności. Hume westchnął.

– Nick związał się z nader niebezpieczną grupą, więc nie mogę jego kandydatury lekceważyć. Partia Amerykańska zaraża urodzonych w Ameryce robotników nienawiścią i strachem przed imigrantami i katolikami. W każdym miasteczku mają tajny lokal z judaszem w drzwiach i nie wpuszczają nikogo, kto nie jest ich członkiem. Nazywani bywają partią „Nic Nie Wiedzących”, bo gdy zapyta pan o jej działalność któregoś z jej członków, odpowie panu, jak go nauczono: że on tam nic nie wie. Głoszą i stosują przemoc wobec cudzoziemców i ze wstydem przychodzi mi przyznać, że politycznie podbijają kraj. Choć imigranci nadal napływają, w tej

chwili siedemdziesiąt procent mieszkańców Illinois stanowią ludzie tutaj urodzeni, a spośród pozostałych trzydziestu procent większość nie posiada obywatelstwa, nie może więc głosować. W ubiegłym roku „Nic Nie Wiedzący” omal nie wygrali wyborów na urząd gubernatora Nowego Jorku i zdobyli czterdzieści dziewięć miejsc w legislaturze. W sojuszu z wigami w cuglach wygrali wybory w Pensylwanii i Delaware, a i stan Cincinnati dostał się im we władanie, co prawda po zaciętej walce.

– Ale dlaczego Nick miałby prześladować Sauków? Toż to nie cudzoziemcy!

Hume skrzywił się.

– Wygląda na to, że polityczny instynkt udziela im trafnych podszeptów. Minęło dopiero dziewiętnaście lat od czasów, gdy w tych stronach Indianie masakrowali białych, a biali odpłacali im pięknym za nadobne, i to z nawiązką. Wielu zginęło podczas wojny Czarnego Jastrzębia. Dziewiętnaście lat to niedługi kawałek czasu. Chłopcy, którzy przeżyli najazdy Indian i noszą po nich blizny, wkroczyli teraz w wiek wyborczy, a do tej pory czują nienawiść i strach przed czerwonoskórymi. Toteż mój czcigodny przeciwnik rozdmuchuje to zarzewie. Onegdajszego wieczora wylał w Rock Island morze whisky, a następnie zaczął snuć opowiadki z indiańskich wojen, nie pomijając żadnego skalpu, ani jednej domniemanej niegodziwości. Po czym oznajmił słuchaczom, że nie gdzie indziej, tylko w waszym mieście dmucha się i chucha na krwiożerczych Indian z Illinois. Na koniec obiecał, że jeśli zostanie wybrany reprezentantem Stanów Zjednoczonych, dopilnuje, żeby czerwonoskórzy wrócili do rezerwatu w Kansas, gdzie ich miejsce.

– Czy mógłby pan podjąć jakieś kroki, żeby tym ludziom pomóc?

– Podjąć kroki? – Hume westchnął. – Jestem politykiem, doktorze Cole. Indianie nie biorą udziału w wyborach, więc nie mogę angażować się publicznie po ich stronie, czy to w sprawie incydentalnej, czy grupowej. Ale z politycznego punktu widzenia byłoby mi na rękę, gdyby dało się ukręcić łeb tej sprawie, ponieważ mój przeciwnik próbuje ją wykorzystać, żeby zająć moje miejsce.

– W sądzie objazdowym naszego okręgu – ciągnął Hume – zasiadają dwaj sędziowie: czcigodny Daniel P. Allan oraz czcigodny Edwin Jordan. Sędzia Jordan to łajdak i wig. Dan Allan jest całkiem niezłym sędzią i jeszcze lepszym demokratą.

Znam go, długo z nim pracowałem. Jeśli dostanie tę sprawę, nie dopuści, żeby ludzie Nicka zmienili ją w igrzyska, skazali pańskiego indiańskiego przyjaciela na podstawie wątplych poszlak i pomogli wygrać Nickowi wybory. Tylko że nie ma jak się dowiedzieć, któremu z nich ta sprawa przypadnie. Jeśli Allanowi, poprowadzi ją uczciwie, to mogę zagwarantować. Co do obrony... Spójrzmy prawdzie w oczy: żaden prawnik w mieście nie będzie się rwał bronić Indianina. Najlepszym adwokatem jest tu młody człowiek nazwiskiem John Kurland.

Jeśli pan pozwoli, porozmawiam z nim. A nuż uda się go nam pozyskać?

– Byłbym panu wdzięczny, panie pośle.

– Hm, wdzięczność może mi pan okazać podczas wyborów.

– Niestety, należę do wspomnianych przez pana trzydziestu procent. Wystąpiłem już o naturalizację, ale czeka się na nią trzy lata...

– A więc będzie pan już mógł głosować, gdy będę się ponownie ubiegał o urząd – stwierdził przewidująco Hume i uśmiechnął się do Roba. Podali sobie ręce. – Tymczasem proszę agitować przyjaciół.

W Holden's Crossing nie myślano pasjonować się zbyt długo zabójstwem jakiejś Indianki. O wiele ciekawsze były dyskusje nad założeniem miejscowej szkoły. Każdy z mieszkańców rad oddałby pod budowę kawałek własnego gruntu, żeby jego dzieci miały blisko, uzgodniono jednak, że powinna się mieścić w centralnym punkcie osady, toteż zebranie rady miejskiej zaakceptowało ostatecznie trzy akry ziemi ofiarowane przez Nicka Holdena, co ofiarodawcę ogromnie uradowało, tę bowiem właśnie parcelę przewidywał dla instytucji oświatowej w swoich „wymarzonych planach” rozwoju Holden's Crossing.

Jednoizbową szkołę z bali wzniesiono wspólnym wysiłkiem, choć ledwie zabrano się do budowy, przedsięwzięcie strawił ogień. Nie położono podłogi na legarach; z miejsca odległego o sześć mil ściągnięto pnie drzew i pocięto na belki podłogowe. Wzdłuż jednej ze ścian przymocowano długą półkę, mającą służyć za jedno dla wszystkich uczniów biurko, i ustawiono przed nią ławę.

Uczniowie mieli pisać siedząc twarzą do ściany, a wydawać lekcje – odwróciwszy się do nauczyciela. Pośrodku izby stanął kwadratowy żeliwny piecyk na drewno. Ustalono, że nauka w szkole będzie się zaczynała po żniwach i trwała przez trzy dwunastotygodniowe okresy. Nauczyciel miał otrzymywać dziewiętnaście dolarów zapłaty za okres plus wikt i dach nad głową. Prawo stanowe wymagało, aby miał kwalifikacje do nauki czytania, pisania i rachunków i jakie takie pojęcie o geografii, gramatyce i historii. O kandydatów na belferską posadę nie było



łatwo, płaca była bowiem mizerna, znoje zaś liczne, w końcu miastu udało się jednak zaangażować Marshalla Byersa, ciotecznego brata Paula Williamsa, kowala.

Pan Byers był szczupłym, wyłupiastookim młodzieńcem lat dwudziestu jeden, który przed przybyciem do Illinois nauczał już w stanie Indiana, wiedział więc, czego się spodziewać po „latających stancjach”, czyli przenoszeniu się co tydzień do rodziny innego ucznia. Wyznał Sarze, że lubi mieszkać na owczej farmie, gdyż woli jagniecinę z marchewką od szynki z ziemniakami.

– Gdzie indziej nic tylko świnina z ziemniakami, świnina z ziemniakami – narzekał.

Rob J. uśmiechnął się.

– Spodoba się więc panu u Geigerów – powiedział. Nauczyciel nie przypadł mu do gustu. Było coś śliskiego w ukradkowych spojrzaniach, jakimi łypał na Księżyc i Sarę. Na Szamana zaś patrzył jak na dziwoląga.

– Nie mogę się już wprost doczekać, kiedy Alexander przyjdzie do naszej szkoły – oświadczył.

– Szaman również nie może się już doczekać, kiedy pójdzie do szkoły – rzekł spokojnie Rob J.

– Ach, niestety, to wszak niemożliwe. Chłopiec nie potrafi normalnie mówić. I czyż można nauczyć czegoś w szkole dziecko niesłyszające?

– Szaman czyta z warg. On łatwo się uczy, panie Byers.

Byers zmarszczył brwi. Miał ochotę dalej oponować, lecz spojrzawszy na twarz Roba J., zmienił zamiar.

– Ma się rozumieć, doktorze Cole – zgodził się sztywno. – Ma się rozumieć.

Nazajutrz przed śniadaniem do drzwi z tyłu domu zapukał Alden Kimball. Wracił ze sklepu z paszą i przynosił nowiny.

– No i doigrali się ci przekłeci czerwoni durnie! – powiedział. – Schlali się zeszłej nocy i spalili stodołę u tych papieskich mniszek.

Gdy Rob zapytał o to Księżyc, stanowczo zaprzeczyła.

– Byłam wczoraj wieczorem w obozie Sauków i rozmawiałam z przyjaciółmi o Nadchodzącym ze Śpiewem. To kłamstwo, co powiedziano Aldenowi.

– Może zaczęli pić już po twoim odejściu?

– Nie. To kłamstwo. – Mówiła głosem opanowanym, ale drżącymi palcami już zdejmowała fartuch. – Pójdę zobaczyć się z moimi.

Westchnął. Uznał, że będzie lepiej, jeśli złoży tymczasem wizytę katolickim siostrom.

Słyszał, jak ludzie mówią o nich „te brązowe żuki gnojaki”

Dlaczego – zrozumiał, kiedy je zobaczył: nosiły brązowe wełniane habity, za ciepłe na jesień, a o katusze zapewne przyprawiające w skwarze lata. Cztery z nich kręciły się na ruinach schludnej szwedzkiej stodołki, którą zbudowali, ożywieni młodzieńczymi nadziejami, August Lund i jego żona.

Wyglądało na to, że przetrząsają zwęglone pogorzelsko, w którego jednym kącie wciąż snuł się dym, w poszukiwaniu wszystkiego, co warto ocalić.

– Dzień dobry – zawołał.

Nie spostrzegły jego nadejścia. Rąbki długich habitów utknęły za paski, żeby mieć przy pracy swobodę i wygodę, i teraz opuszczały je pośpiesznie, chcąc ukryć cztery pary grubych nóg w białych, poczernionych teraz sadzą pończochach.

– Nazywam się doktor Cole – przedstawił się zsiadając z konia. – Jestem dalekim sąsiadem pań. – Przyglądały mu się w milczeniu, aż zaczął podejrzewać, że może nie rozumieją po angielsku. – Czy mógłbym mówić z kimś, kto tu zarządza?

– No to z matką przełożoną – zaszemrała jedna z mniszek głosem niewiele donośniejszym od szeptu.

Skinęła mu oszczędnie ręką i poszła w stronę domu. Ruszył jej śladem. Obok nowo wzniesionej szopy-przybudówki jakiś na czarno ubrany starzec kopał zwarzony mrozami ogródek warzywny. Nie zwrócił uwagi na gościa. Zakonnica zapukała dwa razy, równie cicho, jak się odezwała.

– Proszę!

Brązowy habit wszedł przodem i dygnął.

– Jakiś pan do matki. Mówi, że jest lekarzem i naszym sąsiadem – zaanonsowała go szepcząca zakonnica, dygnęła i uciekła.

Matka przełożona siedziała na drewnianym krześle za małym stolikiem. Miała dużą, nie zakrytą welonem twarz i szeroki wydatny nos. Jej przenikliwe niebieskie oczy, jaśniejsze niż Sary i nie tak piękne, raczej zaczepne, patrzyły pytająco.

Przedstawił się i wyraził ubolewanie z powodu pożaru.

– Może mógłbym jakoś paniom pomóc?

– Ufam, że Bóg nam pomoże. – Mówiła szkolną angielszczyzną, z akcentem chyba niemieckim, choć niepodobnym do akcentu Schroederów. Może pochodziła z innej części Niemiec? – Proszę siadać – zachęciła, wskazując jedyne wygodne siedzisko w tym pomieszczeniu: wielki jak tron, obity skórą fotel.

– Wiozły panie ten mebel całą drogę na wozie?

– Tak. Kiedy odwiedzi nas biskup, będzie miał godne miejsce do siedzenia – odrzekła z powagą na twarzy. Ci ludzie zjawili się w czasie niesporów, poinformowała go. – Siostry były tak pochłonięte nabożeństwem, że nie usłyszały z początku hałasów ani trzasków, ale wnet zaleciał nas swąd dymu.

– Mówiono mi, że zrobili to Indianie.

– Tacy oni Indianie jak ci, co chodzą na przyjęcia z herbatką w Bostonie – odrzekła sucho.

– Jest pani pewna? Uśmiechnęła się niewesoło.

– To byli pijani biali mężczyźni, wywrzaskujący plugawe przekleństwa, jakie zwykle wywrzaskują pijani biali mężczyźni.

– Mamy tutaj lokal Partii Amerykańskiej. Pokiwała głową.

– „Nic Nie Wiedzących”. Kiedy przed dziesięcioma laty przyjechałam do Ameryki z rodzinnej Wirtembergii, zatrzymałam się we wspólnocie franciszkańskiej w Filadelfii.

„Nic Nie Wiedzący” powitali mnie cały tydzień trwającymi burdami, podczas których napadnięto na dwa kościoły, dwunastu katolików poturbowano na śmierć, spalono tuzin katolickich domów. Nie od razu zdałam sobie sprawę, że nie reprezentują całej Ameryki.

Potaknął. Zauważył, że siostry przerobiły dwa pokoiki w ziemiance Augusta Lunda na spartańską sypialnię. Pomieszczenie, w którym się znajdowali, służyło Szwedowi za spichlerz. Teraz w kącie piętrzyły się sienniki do spania.

Jedynymi meblami – prócz biurka, krzesła, na którym siedziała przełożona, i biskupiego tronu – były duży ładny stół jadalny i ławki ze świeżego drewna. Rob J. wyraził uznanie dla umiejętności stolarza.

- Czy to dzieło waszego zakonnika? Uśmiechnęła się i wstała.
- Ojciec Russell jest naszym kapelanem. Stolarką zajmuje się siostra Mary Peter Celestine. Czy chciałby pan obejrzeć naszą kaplicę?

Przeszedł za nią do pokoju, gdzie Lundowie jedli, spali, kochali się i gdzie Grecie Lund w końcu się zmarło. Ściany wybielono. Pod jedną z nich stał drewniany ołtarz, przed nim klęcznik. Pod krucyfiksem na ołtarzu znajdowała się wielka gromnica ze szklanym czerwonym kloszem, a po obu jej stronach mniejsze świece. Były tam ponadto cztery gipsowe figury, pogrupowane chyba według płci. Rozpoznał Niepokalaną Dziewicę. Matka przełożona wyjaśniła go, że obok Marii stoi święta Klara, założycielka ich żeńskiego zakonu, po lewej zaś stronie ołtarza święty Franciszek ze świętym Józefem.

- Poinformowano mnie, że macie zamiar otworzyć tu szkołę.
- Niedokładnie pana poinformowano. Uśmiechnął się – I że nosicie się z zamiarem przywabienia dzieci do papieżstwa.
- A to już nie całkiem rozmija się z prawdą – odrzekła z powagą.
- Nie ustajemy w nadziei zbawiania dusz przez Chrystusa, czy to duszy dziecka, niewiasty czy mężczyzny.

Gdzie to możliwe, staramy się pozyskiwać przyjaciół, gromadzić żyjących w miejscowej społeczności katolików. Ale nasz zakon jest właściwie zakonem szpitalnym.

- Szpitalnym! A gdzież to będziecie przyjmowały chorych? Macie zamiar zbudować tu szpital?
- Niestety – westchnęła z żalem. – Nie mamy na to środków. Kościół, nasza Święta Matka, nabył tę posiadłość i posłał nas tutaj.

Odtąd musimy radzić sobie same. Ale nie tracimy nadziei, że Pan nas wspomże.

Rob J. miał co do tego niejake wątpliwości.

– Czy mógłbym liczyć na pomoc waszych sióstr, gdybym potrzebował kogoś do opieki przy chorych?

– Miałyby wchodzić do ich domów? Wykluczone – odrzekła stanowczo.

Nie najlepiej się czuł w tej kaplicy, zwrócił się więc ku wyjściu.

– Zdaje się, że pan nie jest katolikiem, prawda, doktorze Cole?

Pokręcił przecząco głową. Zastanowiła go nagle pewna myśl.

– Gdyby zaszła konieczność okazania Indianom pomocy, czy zaświadczyłaby pani, że waszą stodołę spalili biali?

– Oczywiście – potwierdziła chłodno. – Przecież to jasne jak słońce, prawda?

Domyślił się, że jej podwładne muszą żyć w ciągłym przed nią lęku.

– Dziękuję pani... – Zawahał się, stwierdziwszy, że nie potrafi skłonić się przed tą wyniosłą kobietą i nazwać ją „wielebną matką”

– Jak matce na imię?

– Miriam Ferocia.

W szkole był latynistą, przysiadawał fałdów nad przekładami Cyncerona i towarzyszył Cezarowi w wojnie galijskiej. Nie wszystko uleciało mu z pamięci, toteż zrozumiał, że jej imię znaczy Maria Nieustraszona. I nawet później, ilekroć o niej myślał, nie nazywał jej inaczej – acz wyłącznie na własny użytek – Sroga Miriam.

Odbył długą wyprawę do Rock Island, żeby zobaczyć się ze Stephenem Hume'em, i nie na darmo – kongresmen miał dla niego dobre wiadomości. Przewodniczącym składu sędziowskiego będzie

Daniel P. Allan. Ponieważ oskarżenie nie zostało poparte dowodami, sędzia nie widzi przeszkód dla zwolnienia Nadchodzącego ze Śpiewem za kaucją.

– Ponieważ jednak mamy do czynienia ze zbrodnią morderstwa, nie mógł wyznaczyć kaucji mniejszej niż dwieście dolarów. Po poręczyciela będzie się pan musiał udać do Rockford albo do Springfield.

– Sam wyłożę tę sumę. Nie mogę sprawić zawodu Nadchodzącemu ze Śpiewem – powiedział Rob J.

– Doskonale. Młody Kurland zgodził się wziąć tę sprawę.

Byłoby najlepiej, gdyby pan się nie pokazywał w pobliżu aresztu. Mecenas Kurland spotka się z panem za dwie godziny w pańskim banku. To ten w Holden's Crossing?

– Tak.

– Proszę wystawić przekaz na hrabstwo Rock Island, podpisać i oddać weksel Kurlandowi. Resztą już on się zajmie.

– Hume uśmiechnął się. – Sprawa zostanie rozpatrzona w najbliższych tygodniach. Dan Allan i John Kurland zadbają już o to, żeby Nick się ośmieszył, gdyby spróbował upiec przy tym procesie własną pieczeń.

Mocnym uściskiem ręki życzył doktorowi Cole powodzenia.

Powróciwszy do domu Rob J. zaprzągnął do wozu konia, uznał bowiem, że Księżyc także powinna zająć miejsce w Komitecie Powitalnym. Ubrana w zwykłą domową sukienkę i należący niegdyś do Makwa-ikwy kapelusz, siedziała na wozie sztywno wyprostowana, nawet jak na nią niezwykle milcząca.

Wyczuwał, jak bardzo jest zdenerwowana. Przywiązał konia przed bankiem. Czekąca na wozie, kiedy realizował przekaz.

Następnie wręczył go Johnowi Kurlandowi, poważnemu młodemu człowiekowi, który uprzejmie acz chłodno przywitał się z Księżyc, gdy Rob J. przedstawił ich sobie.

Kiedy adwokat się oddalił, Rob J. wdrapał się na wóz i usiadł obok Indianki. Nie podjechał pod areszt, czekali tam, gdzie stanęli, nie odrywając oczu od biura Morta Londona w głębi ulicy. Słońce, jak na wrzesień, przypiekało mocno.

Czekali i czekali, zdawało się, bez końca. W pewnej chwili Księżyc dotknęła ramienia Roba, drzwi otworzyły się bowiem i pochylając głowę, żeby się zmieścić w futrynie, wyszedł przez nie Nadchodzący ze Śpiewem, a za nim Kurland.

Dostregli Księżyc i Roba J. i szybkim krokiem ruszyli w ich stronę. Po chwili Indianin puścił się nawet biegiem – czy to z radości, że odzyskał wolność, czy też jakiś instynkt kazał mu się oddalić jak najspieszniej z miejsca uwięzienia. Zdołał jednak zrobić tylko parę długich susów, gdy z góry, gdzieś z prawej strony, gruchnął strzał, a potem jeszcze dwa z dachu po drugiej stronie ulicy.

Pyawanegawa – myśliwy, wódz, bohater meczów w piłkę i kije – powinien był runąć majestatycznie, jak ogromne drzewo, tymczasem upadł niezgrabnie jak każdy inny człowiek, twarzą do ziemi.

Rob J. zeskoczył z kozła i podbiegł do niego. Księżyc siedziała na wozie jak skamieniała. Kiedy znalazł się przy Nadchodzącym ze Śpiewem i obrócił go na plecy, stwierdził to, co ona już wiedziała. Jedna kula trafiła go w kark, dwie pozostałe w pierś, jedna o cal od drugiej. Prawdopodobnie oba te strzały były śmiertelne, przeszły bowiem serce.



Nadbiegł Kurland i przystanął nad nimi, bezsilny i struchlały z przerażenia. Dopiero po chwili wyszli z biura szeryfa London i Holden. Mort wysłuchał relacji Kurlanda z przebiegu wydarzeń, po czym jął wykrzykiwać rozkazy, nakazując sprawdzenie dachów najpierw po jednej, potem po drugiej stronie ulicy. Nikt nie zdawał się specjalnie zdziwiony, że na dachach nie znaleziono żywego ducha.

Rob J. przez cały czas klęczał obok zabitego Indianina, na koniec podniósł się i stanął przed Nickiem. Holden był blady, ale rozluźniony, jakby na wszystko zdecydowany. Roba J.

uderzyła po raz kolejny – całkiem nie w porę – jego męska uroda. Spozregł, że w kaburze ma rewolwer, zrozumiał więc, że słowa, jakie mu rzuci w twarz, mogą ściągnąć nań niebezpieczeństwo, toteż powinien dobierać je oględnie. Paść jednak muszą.

– Nie chcę cię więcej widzieć – powiedział. – Nie chcę cię więcej znać.

Nadchodzącego ze Śpiewem zawieziono do szopy na owczej farmie, gdzie Rob J. zostawił go z jego rodziną. O zmierzchu poszedł tam z zamiarem zaproszenia Księżyc i jej dzieci na kolację i stwierdził, że Indianie zniknęli, zabierając ze sobą ciało Nadchodzącego ze Śpiewem. Późnym wieczorem Jay Geiger znalazł przywiązane do słupa przed swoją stodołą konia Cole'ów, zaprzęzonego do ich wozu. Odprowadził przyjacielowi jego własność, informując przy okazji, że z jego farmy zniknęli Mały Róg i Kamienny Pies. Księżyc z dziećmi nie wróciła. Tej nocy Rob J. nie mógł zasnąć. Myślał o Nadchodzącym ze Śpiewem, pochowanym

prawdopodobnie w nie oznakowanej mogile gdzieś w nadrzecznych lasach. Na cudzej ziemi, która niegdyś należała do Sauków.

Dopiero przed południem następnego dnia dowiedział się od Jaya, który specjalnie doń w tym celu zajechał, że wielka stodoła Nicka Holdena spłonęła tej nocy do szczętu.

– Trudno wątpić, że tym razem to rzeczywiście sprawa Sauków. Wszyscy uciekli. Nick prawie przez całą noc walczył z pożarem, żeby nie przerzucił się na dom. Odgrażał się, że wezwie milicję i wojsko, sam zaś nie czekając ruszył w pościg na czele blisko czterdziestu śmiałków, najzawziętszych pogromców Indian, jakich tylko możesz sobie wyobrazić: Morta Londona, doktora Beckermanna, Juliana Howarda, Fritza Grahama i wszystkich bez mała bywalców szynku Nelsona. Pociągnęła z nim połowa moczymordów z tej części hrabstwa, a wszyscy święcie przekonani, że ścigają Czarnego Jastrzębia. Będą mieli szczęście, jeśli nie wystrzelają się nawzajem.

Po południu tego dnia Rob J. pojechał do obozu Sauków. To, co zobaczył, upewniło go, że Indianie wynieśli się na dobre.

Bizonie skóry zniknęły z otworów drzwiowych hedonosote, które przypominały teraz ziejące pustką szczyby. Wszędzie walały się odpadki obozowego życia. Podniósł z ziemi jakąś cynkową puszkę. Jej poszarpane wieczko świadczyło o tym, że otwierano je nożem lub bagnetem. Naklejka informowała, że puszka zawierała połówki brzoskwiń z Georgii. Nigdy nie udało mu się namówić Sauków do kopania latryn, toteż przywiewany podmuchami wiatru zza obozu smród ludzkich odchodów utrudniał mu teraz rozczulanie się nad ich odjazdem, przynosząc ostatnie, fekalne przypomnienie, że odeszło stamtąd coś cennego, czego już ani zaklęcia, ani zabiegi polityków przywrócić nie zdołają.

Cztery dni ścigali Sauków Nick Holden i jego zgraja, nigdy się do nich tak naprawdę nie zbliżając. Indianie przedzierali się lasami wzdłuż Missisipi, kierując się stale na północ. Nie orientowali się już tak dobrze w terenie jak ich zmarli współplemieńcy, ale nawet najbardziej gapowaci byli przebieglejsi od białych prześladowców. Zawracali po własnych tropach, kluczyli, zostawiali fałszywe ślady, na które tropiciele nieodmiennie się nabierali.

Pogromcy Indian zapędzili się w pościgu hen, na terytorium Wisconsin. Woleliby wracać z trofeami – paru skalpami obciętych uszami – ale i tak zapewniali jeden drugiego, że odnieśli wiekopomne zwycięstwo. Zatrzymali się w Prairie du Chien, gdzie wypili morze whisky, a Fritzie Graham wdał się w bójkę z jakimś traperem, za co wylądował w więzieniu. Nick go stamtąd wyciągnął, przekonawszy miejscowego szeryfa, że bawiącemu w jego stronach w gościnie zastępcy szeryfa należą się względy grzeczności jako koledze po fachu. Po powrocie trzydziestu ośmiu apostołów poniosło w świat dobrą nowinę, głosząc, że Nick Holden ocalił stan przed czerwonym zagrożeniem, a przy tym równy z niego gość.

Jesień tego roku była ciepła i przyjemniejsza od lata, gdyż wczesne przymrozki wytępiły insekty. Prawdziwie złota jesień; zimne noce okryły kolorowymi liśćmi nadrzeczne drzewa, ale dni były nadal ciepłe i pogodne. W październiku parafia powołała na ambonę wielebnego Josepha Hillsa Perkinsa, który prócz pensji zażądał również plebanii, toteż po żniwach wzniesiono małą chatę z bali, do której duchowny wprowadził się ze swoją żoną, Elizabeth. Pastorostwo dzieci nie mieli. Sara brała aktywny udział w pracach komitetu powitalnego.

Rob J. znalazł nad rzeką uschnięte już lilie i posadził ich cebulki w nogach grobu Makwa-ikwy. Saukowie nie mieli zwyczaju oznaczać mogił kamiennymi nagrobkami, poprosił jednak Aldena, żeby wyciął tablicę z robinii akacjowej, której drewno nie gnije. Nie wydawało mu się stosowne upamiętnianie Makwa-ikwy napisem w języku angielskim, polecił więc Al-denowi, by wyrył w drewnie podobne do runów symbole, jakie zmarła nosiła na piersiach, w ten sposób znacząc miejsce jej pochówku. Odbił też daremną rozmowę z Mortem Londonem, usiłując go nakłonić, żeby przeprowadził śledztwo w sprawie zabójstwa Makwa-ikwy i Nadchodzącego ze Śpiewem, lecz szeryf mu oznajmił, że zadowala go całkowicie śmierć mordercy, który zginął najpewniej od kul swoich współbraci.

W listopadzie wszyscy obywatele Stanów Zjednoczonych płci męskiej powyżej lat dwudziestu jeden poszli do urn wyborczych. Robotnicy w całym kraju dali wyraz swojemu stosunkowi do zagrożenia, jakie dla ich miejsc pracy stanowili imigranci. Stany Rhode Island, Connecticut, New Hampshire, Massachusetts i Kentucky wybrały gubernatorów z partii „Nic Nie Wiedzących”. W ośmiu stanach członków tej partii wybrano do legislatur. W Wisconsin partia Nicka Holdena pomogła w wyborze republikańskich prawników, ci zaś znieśli następniestanowe agencje imigracyjne. „Nic Nie Wiedzący” zdobyli większość głosów w Teksasie, Tennessee, Kalifornii i Marylandzie, uzyskali też dobre rezultaty w większości stanów Południa. W Illinois zdobyli większość głosów w Chicago oraz w południowych regionach stanu. W hrabstwie Rock Island urzędujący kongresmen Stanów Zjednoczonych Stephen Hume przegrał stu osiemdziesięcioma trzema głosami z pogromcą Indian Nicholasem Holdenem, który

niemal nazajutrz po wyborze wyjechał do miasta stołecznego Waszyngtonu, by reprezentować tam swój okręg.

---

---

[3] W mitologii irlandzkiej duch kobiety, którego zawołanie zapowiada śmierć temu, kto je usłyszy.

[4] Fragment Antoniusza i Kleopatry W. Szekspira; przekład L. Ulricha.

[5] Fragment sonetu X z cyklu Sonetów świętych J. Donne'a; przekład St. Barańczaka.

# CZĘŚĆ CZWARTA

## GŁUCHY CHŁOPIEC

12 października 1851

---

### 30 Lekcje

---

Linia kolejowa zaczęła się w Chicago. Świeżo przybyli imigranci z Niemiec, Irlandii i Skandynawii kładli lśniące szyny na płaskich przeważnie terenach, aż dotarli na koniec do wschodniego brzegu Missisipi, do Rock Island.

Jednocześnie po drugiej stronie rzeki Kompania Kolejowa Missisipi i Missouri budowała linię kolejową od Davenport do Council Blues, utworzono więc Kompanię Budowy Mostu nad Missisipi, aby połączyć obie linie przerzuconym nad tą wielką rzeką przęsłem.

Pewnego ciepłego wieczoru, tuż po zmierzchu, w głębi jej tajemniczego, leniwego nurtu miliony wijących się larw wodnych przepoczwarzyły się w chruściki. Każdy z ważkopodobnych owadów wyfrunął z łożyska rzeki na czterech srebrzystych skrzydełkach, przepychając się i potracając inne, a następnie całe ich chmary

spadły na Davenport tumanami migotliwych płatków, które zalepiły okna, wpadały do oczu, uszu i ust ludzi oraz zwierząt, dając się srodze we znaki każdemu, kto odważył się wyjść za próg domu.

Chruściki żyją tylko jedną noc. Zjawisko ich nalotu zdarzało się kilka razy do roku, więc mieszkańcy terenów nad Missisipi umieli już sobie z nim radzić. O świcie było po inwazji – muszki leżały martwe. Czterech mężczyzn, siedzących o ósmej rano w bladym jesiennym słońcu na ławkach na brzegu, przyglądało się, paląc papierosy, jak brygady zamiataczy zgarniają owadzie trupki na sterty, które następnie ładują szuflami na wozy, zwożą nad rzekę i z powrotem do niej wrzucają. Po jakimś czasie jeszcze jeden mężczyzna nadszedł na koniu, prowadząc cztery luzaki.

Siedzący na ławkach wstali i dosiedli wierzchowców.

Był czwartkowy ranek. Dzień wypłaty. W biurze Chicago and Rock Island Railroad przy Drugiej Ulicy skarbnik z dwoma pomocnikami przygotowywał listę płac załogi budującej nowy most.

O 8.19 podjechało pod biuro pięciu jeźdźców. Czterech zsiadło i weszło do środka, piąty został przy koniach. Nie byli zamaskowani, wyglądali jak zwykli farmerzy, z tą różnicą że wszyscy mieli broń. Kiedy cicho i grzecznie przedstawili swoje żądania, jeden z urzędników okazał się na tyle nierozsądny, że próbował sięgnąć po leżący na półce pistolet, zastrzelili go więc i padł, martwy jak chruściki, z kulą rewolwerową w czaszce. Nie napotykając dalszego oporu czterej bandyci spokojnie zapakowali całą wypłatę, 1106 dolarów i 37 centów, do brudnego parcianego worka, po czym wyszli. Skarbnik zeznał później przed władzami, że w bandycie, który dowodził napadem, rozpoznał ponad wszelką wątpliwość

niejakiego Franka Mosby'ego który przez kilka lat uprawiał ziemię po drugiej stronie rzeki, na południe od Holden's Crossing.

Sara nie w porę wybrała się ze swoją spowiedzią. Owego niedzielnego ranka czekała, aż wielebny Perkins poprosi zebranych w kościele wiernych, aby zechcieli być świadkami wyznania grzechu, po czym zebrawszy całą odwagę, podniosła się i stanęła przed współbraćmi. Cichym głosem wyznała kapłanowi i wiernym, że po owdowieniu, jako młoda kobieta, wystąpiła przeciwko świętemu przykazaniu małżeństwa, w następstwie czego urodziło się dziecko. Oświadczyła, że tą publiczną spowiedzią ma nadzieję zmyć z siebie grzech dzięki łasce odkupiającej Jezusa Chrystusa.

Powiedziawszy to, podniosła pobladłą twarz i spojrzała w wezbrane łzami oczy wielebnego Perkinsa.

– Chwalmy Pana – wyszeptał. Długimi szczupłymi palcami ujął jej głowę i zmusił ją, by uklękała. – Boże! – zawołał surowym tonem. – Opuść tej zacnej niewieście jej występki, albowiem złożyła go dzisiaj z siebie w domu Twoim, zmyła purpurę z duszy swojej i uczyniła ją białą jako róża, czystą jak nieskalany śnieg.

Westchnienia wiernych wezbrały okrzykami i wzbiły się wołaniami.

– Chwalmy Pana!

– Amen!

– Alleluja!

– Amen, amen.

Sara naprawdę poczuła, jak dusza się w niej rozjaśnia. Miała wrażenie, że zaraz, w tej chwili, gdy moc Pańska wstępowała w jej ciało poprzez pięć wpijających się w jej czaszkę palców pastora Perkinsa, mogłaby wzlecieć do rajów.



Wierni nie posiadali się z podniecenia. Wszyscy już wiedzieli o bandyckim napadzie na biuro kampanii kolejowej, a także o tym, że w herszcie rzezimieszków rozpoznano Franka Mosby'ego, którego brat Will spłodził był właśnie, jak o tym poszeptywano, pierworodnego syna Sary Cole. Zebrani w kościele, porwani dramatyzmem tej spowiedzi, pożerali tedy wzrokiem oblicze i całą postać Sary Cole, wyobrażając sobie najróżniejsze sprośne sceny, które przekazywać mieli następnie potruchlałym szeptem przyjaciom i sąsiadom jako wydarzenia prawdziwe.

Gdy więc na koniec pastor Perkins pozwolił Sarze wrócić na miejsce, wyciągnęły się ku pokutnicy żarliwe dłonie, a liczne głosy poczęły jej składać mamrotliwe wyrazy radości i gratulacji. Było to przejaśnione blaskiem spełnienia snu, jaki prześladował Sarę od lat. Dowód, że Bóg jest dobry, że chrześcijańskie przebaczenie potrafi darzyć nową nadzieją i że oto przyjęto ją wreszcie do wspólnoty, w której królują miłość i miłosierdzie. Była to najszcześniejsza chwila w jej życiu.

Nazajutrz rano otwarto szkołę i odbyły się pierwsze lekcje.

Szamana cieszyło towarzystwo oamnościorga dzieci różnego wzrostu, ostry zapach świeżego drewna bijący od budynku szkoły i jej sprzętów, tabliczka, rysiki oraz egzemplarz „Czwartej powszechnej czytanki” McGuffeya, zniszczony już i wysłużony, bo szkoła w Rock Island kupiła dla swoich uczniów nowszą, „Piątą powszechną czytanekę” McGuffeya, odstępując raczkującej placówce oświatowej w Holden's Crossing stare podręczniki. Wszelako od progu niemal zaczęły się jego kłopoty.

Pan Byers rozsadził uczniów według alfabetu, w czterech grupach wiekowych, toteż Szamanowi przypadło miejsce na samym końcu

długiej półko-ławki, tak daleko od Alexa, że nie mógł liczyć na jego pomoc. Nauczyciel mówił z nerwowym pośpiechem, miał więc kłopoty z czytaniem z jego warg. Pan

Byers polecił uczniom, by narysowali na tabliczkach swoje domy, a potem napisali, jak się nazywają, ile mają lat i czym się zajmują ich ojcowie. Uczniowie pochylili się nad półką i zabrali się z entuzjazmem pierwszoklasistów do wykonywania polecenia.

Szaman zorientował się, że coś jest nie w porządku, gdy pacnęła go w ramię drewniana linijka.

Pan Byers nakazał chwilę wcześniej klasie, aby przerwała pracę i obróciła się w jego stronę. Posłuchali go wszyscy z wyjątkiem głuchego chłopca, który tego polecenia nie usłyszał. Kiedy Szaman odwrócił się spłoszony, dzieci już się z niego śmiały.

– Przeczytamy teraz głośno to, coście napisali na tabliczkach, i pokażemy swoje rysunki klasie. Zaczniemy od ciebie.

– Linijka spadła ponownie na ramię Szamana.

Zaczął czytać, potykając się na niektórych słowach. Potem pokazał swój obrazek, a pan Byers wywołał do odpowiedzi Rachel Geiger z drugiego końca klasy. Choć Szaman wychylał się ze swojego miejsca najdalej jak mógł, nie był w stanie dojrzeć twarzy koleżanki, a tym bardziej czytać z jej warg. Podniósł rękę.

– Słucham?

– Proszę pana – zwrócił się do nauczyciela tak, jak przykazała mu surowo matka. – Nie widzę stąd ich twarzy.

Czy mógłbym stawać przed odpowiadającym?

W swoim ostatnim miejscu pracy pan Byers miał wielkie kłopoty z utrzymaniem dyscypliny, tak niekiedy poważne, że wprost bał się wchodzić do klasy. Nowa szkoła stwarzała szansę na

nowy początek, obiecał więc sobie trzymać małe łobuziaki twardą ręką. Uznał, że jedną z dróg do wymuszenia posłuchu będzie posadzenie uczniów według alfabetu, w czterech małych grupach podług wieku, każdego na wyznaczonym mu miejscu.

Zdawał sobie sprawę, że nie osiągnie celu, jeśli ten chłopak będzie stawał przy każdym z udzielających odpowiedzi uczniów i gapił się na ich usta, a może stroił miny za jego plecami, pobudzając resztę wisusów do śmiechu i płatania złośliwych figli.

– Nie, nie możesz – odparł zatem.

Większą część tego pierwszego przedpołudnia w szkole Szaman przesiedział po prostu beczynnie. Nie był w stanie zrozumieć, co się wokół niego dzieje. W przerwie na lunch dzieci wyległy na dwór i zaczęły grać w berka. Szamanowi zabawa się podobała dopóty, dopóki najroślejszy chłopak w szkole, Lucas Stebbins, czyniąc Alexa „berkiem”, nie zdzielił go tak mocno, że ten padł jak długi. Kiedy z zaciśniętymi pięściami zerwał się na nogi, Stebbins natarł na niego.

– Chcesz się bić, gnojku? W ogóle nie powinniśmy się z tobą bawić. Jesteś berkantem. Tak mówi mój tata.

– Co to znaczy berkant? – zainteresował się David Geiger.

– To nie wiesz? – zdziwił się Lukę Stebbins. – To znaczy, że inny facet niż jego tata, ten zawszony bandzior i złodziej Will Mosby, wsadził fajfusa pani Cole.

Alex rzucił się na roślejszego od siebie chłopaka, dostał pięścią w nos, zasmarkał się krwią i upadł na ziemię. Szaman skoczył na prześladowcę swego brata i oberwał takie lanie po uszach, że niektóre dzieci ze strachu przed Lukiem odwróciły głowy.

– Przestań! Jeszcze mu coś zrobisz! – z groźnym błyskiem w oczach krzyknęła Rachel Geiger.

Lukę słuchał się jej zwykle, imponowało mu bowiem, że w wieku lat dwunastu Rachel ma już piersi, lecz tym razem roześmiał się tylko urągliwie.

– On i tak jest głuchy jak pień. Już gorzej mu uszów nie popsuję. Głuche to tak mówią, że tylko boki zrywać – oświadczył wesoło i poczęstował Szamana na odchodnym ostatnim kuksańcem. Rachel objęłaby zbitego, gdyby jej pozwolił, i pocieszyła go, tymczasem, ku jej zgrozie, obaj bracia Cole'owie usiedli na ziemi i na oczach wszystkich dzieci zanieśli się płaczem.

Po przerwie obiadowej była lekcja muzyki. Polegała na nauce melodii i słów różnych hymnów i pieśni. Spodobała się uczniom, dawała bowiem wytchnienie po dukaninie z podręczników. Pan Byers kazał głuchemu uczniowi, zbędnemu wszak na lekcji muzyki, wynieść stojące obok pieca wiadro popiołu z poprzedniego dnia i nanosić do skrzyni ciężkich drew na opał.

Szaman uznał, że nienawidzi szkoły.

O spowiedzi w kościele poinformowała Roba J. – sądząc, że już o niej wie – zachwycona Alma Schroeder. Kiedy poznał bliżej szczegóły tego wydarzenia, posprzeczał się z Sarą.

Zdawał sobie sprawę z jej poprzedniej udręki, wyczuwał obecną ulgę, ale w oszołomienie i przygnębienie wprawiło go to, że jakkolwiek bolesne było ukrywanie tak intymnych tajemnic jej życia, zwierzyła się z nich przed obcymi.

– Nie przed obcymi – poprawiła go. – Przed braćmi i siostrami w Chrystusie, świadkami mojej spowiedzi.

Pastor Perkins powiedział, że każdy, kto chciałby zostać tej wiosny ochrzczony, musi się wyświadczyć i otrzymać rozgrzeszenie, wyjaśniła mężowi. Nie pojmowała, jak Rob J. może tego nie rozumieć. Dla niej było to tak oczywiste.

Kiedy jego synowie zaczęli wracać ze szkoły poturbowani, Rob J. powziął podejrzenie, że przynajmniej niektórzy z miłosiernych braci i sióstr w Chrystusie nie uważali za niegodne dzielenia się z otoczeniem uwagami na temat spowiedzi, których byli świadkami w kościele. Obaj chłopcy nabrali wody w usta, słowem nie wspominając o sińcach, a on nie mógł omawiać z nimi przeszłości ich matki. Mógł tylko wyrażać się o niej z podziwem i miłością, ilekroć to było możliwe. Przedyskutował jednak z nimi zagadnienie używania siły fizycznej.

– Po prostu nie warto się bić, kiedy człowiek wpadł we wściekłość. Bieg wypadków może się nam łatwo wymknąć spod kontroli, doprowadzić nawet do czyjegoś zgonu, a zabijania nic nie usprawiedliwia.

Chłopcy byli zaskoczeni. Mówili o bójkach na pięści na szkolnym podwórku, nie o zabijaniu.

– Tato, jak można nie oddać, kiedy ktoś cię pierwszy uderzy? – zapytał Szaman.

Rob J. pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Tak, wiem, że to trudne. Trzeba czynić użytek ze swoich głów, a nie z pięści.

Posłyszał jego słowa Alden Kimball. W jakiś czas potem popatrzył na chłopców i splunął z odrazą.

– Gówna prawda! Gówna prawda! Wasz tata jest bezwarunkowo jednym z najmądrzejszych ludzi, jacy kiedykolwiek chodzili po

ziemi, ale widzi mi się, że i jemu zdarza się mylić. Powiadam wam, jak was kto uderzy, oddajcie takiemu psubratu z nawiązką, bo inaczej nie przestanie was obijać.

– Ale Alden, Lukę jest strasznie wielki! – Szaman wyraził głośno to, o czym starszy brat tylko po cichu pomyślał.

– Lukę? Czy to ten osiłek od Stebbinsów? Lukę Stebbins? – zapytał Alden i splunął ponownie, gdy potaknęli z nieszczęśliwymi minami.

– Za młodych lat byłem jarmarcznym bokserem. Wiecie, kto to jarmarczny bokser?

– Taki, co nieźle się bije? – zapytał Alex.

– Nieźle się bije! Biłem się lepiej niż nieźle. Boksowałem na jarmarkach. W karnawał i przy różnych takich okazjach, kapujecie? Walczyłem z każdym, kto postawił pół dolara. Jak mnie nabił, dostawał trzy. Nie myślcie sobie, cała banda osiłków próbowała się połaszczyć na te trzy dolary.

– Zarobiłeś harmonię forsy, co? – dopytywał się Alex.

Twarz Aldena pociemniała.

– A gdzie tam!... Miałem impresaria, ten to na mnie zarobił.

Boksowałem przez dwa lata, latem i na jesieni, aż mnie taki jeden nalał. Mój impresario wypłacił typkowi trzy dolary i przyjął go na moje miejsce. – Popatrzył na chłopców.

– Chodzi o to, że jak byście chcieli, mógłbym was nauczyć się bić.

Wlepili się w niego dwie pary oczu. Przytaknęły obydwie głowy.

– Nie kiwać mi tu łepetynami. Nie możecie po prostu powiedzieć „tak”? – burknął ze złością Alden. – Wyglądacie jak dwa zafajdane

głoby.

– Trochę boja nie zawadzi – instruował ich. – Poprawia krążenie. Ale jak za bardzo się zestrachasz, szkoda gadać: musisz dostać wciiry. Nie wolno się też dawać ponosić złości.

Bokser, który się wkurzył, zaczyna machać łapskami jak cepami, odkrywa się i obrywa.

Bracia podśmiewali się ze zmieszania, gdy Alden z całkowitą powagą pokazywał im, jak trzymać ręce – lewą na wysokości oczu dla ochrony głowy, prawą niżej dla osłony korpusu. Dużą wagę przykładął do zwijania dłoni w pięść, nalegając, by tak mocno zaciskali palce i usztywniali kostki, jakby grzmocili w przeciwnika trzymając w każdej ręce kamień.

– W walce używamy tylko czterech uderzeń – tłumaczył– lewy prosty, lewy hak, prawy sierpowy, prawy prosty.

Prostym kąsas jak wąż. Powinien zapiec, ale nie bardzo nadweręża przeciwnika, wytrąca go tylko trochę z równowagi i odsłania, tak że możesz myśleć o czymś poważniejszym. Lewy hak bije krótko, ale jest skuteczny: obracasz się w lewo, przenosisz ciężar ciała na prawą nogę i walisz gościa z całej siły w mordę. Teraz prawy sierpowy: przenosisz ciężar ciała na drugą nogę i czerpiesz siłę uderzenia z gwałtownego obrotu w pasie, o tak. Mój ulubiony cios to prawy prosty. Nazywam go dyszlem. Skręcasz się nisko w lewo, przenosisz ciężar ciała na lewą nogę i pakujesz gościowi prawą piączę prosto w kałdun, jakby twoje ramię było dzidą.

Jeszcze raz zademonstrował im wszystkie uderzenia, po kolei, żeby nie wywołać w ich głowach mętliku. Pierwszego dnia kazał im przez dwie godziny wyprowadzać ciosy proste w powietrze, aby oswoilili się z ich zadawaniem i wdrożyli do ich rytmu. Następnego

dnia po południu spotkali się ponownie na polance za chatą Aldena, gdzie nikt nie powinien im przeszkadzać. Od tej pory schodzili się każdego popołudnia.

Długo ćwiczyli poszczególne uderzenia, zanim pozwolił im się boksować. Alex był o trzy i pół roku starszy od brata, za to Szaman był tak wyrosnięty, że różnica wieku kurczyła się w istocie do jednego roku. Walczyli ze sobą bardzo ostrożnie.

Potem sam Alden stawał z nimi po kolei, zachęcając ich, aby zadawali ciosy z całej siły, jak w prawdziwej walce. Ku ich zaskoczeniu nie mogli go trafić – uchylał się, blokował ciosy przedramieniem albo zbijał pięścią.

– Sami widzicie: to, czegom was nauczył, to żaden sekret.

Inni też mogą umieć wyprowadzać ciosy. Ważniejsza jest obrona. – Nalegał, aby każdy opuścił podbródek, aż zetknie się z mostkiem. Pokazał im, jak trzymać przeciwnika w zwarciu, ostrzegł jednak Alexa, żeby za wszelką cenę starał się unikać klinchu z Lukiem. – Z facetem o tyle od ciebie większym walcz na dystans i nie daj się powalić na ziemię.

W skrytości ducha nie sądził, by Alexowi udało się pokonać takiego dryblasa jak Luke, ale może choć da mu się na tyle we znaki, że tamten będzie wolał zostawić braci Cole w spokoju.

Nie próbował z nich zrobić jarmarcznych bokserów. Chciał jedynie, żeby umieli się bronić, nauczył ich więc ledwie podstaw pięściarskiego rzemiosła, bo tyle go zresztą znał, by uczyć boksu smarkaczy. Nie usiłował im nawet pokazać, co mają robić z nogami. Po latach wyznał Szamanowi, że gdyby wiedział ile należy o pracy nóg, prawdopodobnie nie oberwałby w tej walce o trzy dolary.



Alexiowi zdawało się już kilkakrotnie, że jest gotów do zmierzenia się z Lukiem, lecz Alden oświadczył, że o tym on sam zdecyduje i że ta chwila jeszcze nie nadeszła. Bracia nadal chodzili więc do szkoły ze świadomością, że przerwa w lekcjach będzie dla nich wielce nieprzyjemnym terminem.

Lukę już z przyzwyczajenia robił z nich sobie zabawę.

Częstował ich kuksańcami i obrażał do woli, nie nazywając Szamana inaczej jak „głupek”, Alexa zaś inaczej jak „berkant”. W grze w berkagrmocił ich w karki ile siły w ramieniu, a gdy się z nimi brał za bary, wgniatał im twarze w ziemię.

Dla Szamana ciężca Lukę nie stanowił jedynego problemu, z jakim stykał się w szkole. Ponieważ widział tylko niewielką część tego, co mówiono w czasie lekcji, od początku zaczął odstawać od klasy. Marshall Byers nie bez satysfakcji obserwował taki rozwój wydarzeń. Toż usiłował przekonać ojca chłopca, że normalna szkoła to nie miejsce dla głuchego dziecka, lecz nie usiłował udowodniać mu tego za wszelką cenę. Zdawał sobie sprawę, że gdy ów temat ponownie wypłynie, lepiej, by miał w ręku przekonujące dowody na poparcie swego stanowiska. Zapisywał sobie drobiazgowo wszystkie uchybienia Roberta J. Cole’a i regularnie zatrzymywał chłopca po lekcjach na dodatkowe zajęcia, co wszakże nie poprawiało wcale jego ocen.

Czasem kazał również zostawać po lekcjach Rachel Geiger, ku niemałemu zdziwieniu Szamana, gdyż dziewczynka była uważana za najzdolniejszą uczennicę w klasie. W takie dni wracali ze szkoły razem. Pewnego szarego popołudnia, gdy w pierwszym tego roku śniegu we dwójkę wracali do domu, przestraszyła go, ni stąd, ni

zowąd wybuchając płaczem. Nie wiedział, co robić, więc przyglądał się jej tylko ze zmieszaniem.

Po chwili Rachel przystanęła i zwróciła w jego stronę twarz, aby mógł czytać z jej warg.

– Okropny ten pan Byers! Ilekroć może, zawsze staje... o wiele za blisko. I wciąż mnie dotyka.

– Dotyka?

– Tutaj – wyjaśniła, kładąc rękę na górnej partii niebieskiego płaszczyka. Szaman nie miał pojęcia, jak powinno się zareagować na podobne wyznanie, jego treść wykraczała bowiem znacznie poza zakres jego dotychczasowych doświadczeń.

– Co możemy na to poradzić? – zapytał raczej siebie niż ją.

– Ach, sama już nie wiem! – Ku jego przerażeniu znów się rozszłochała.

– Będę musiał go zabić – postanowił ściszym głosem. To oświadczenie skupiło całą jej uwagę. Przestała płakać.

– To niemądre.

– Wcale nie. Zrobię to.

Sypnął gęstszy śnieg. Osiadł na kapeluszu i włosach Rachel.

Jej brązowe oczy, ocienione grubymi czarnymi rzęsami, które mrugając otrząsały łzy, spojrzały nań z żywym zainteresowaniem. Puszysty biały płatek śniegu topniał na jej aksamitnym policzku, ciemniejszym niż Szamana, barwy pośredniej między jasną karnacją jego matki a smagłością Makwa-ikwy.

– Zrobiłbyś to dla mnie?

Spróbował uczciwie zastanowić się nad odpowiedzią. Już z jego tylko punktu widzenia byłoby korzystnie pozbyć się pana Byersa,

jej zaś kłopoty z nauczycielem przepęłniły czarę niegodziwości, mógł więc z pełnym przekonaniem przytaknąć.

Od uśmiechu Rachel zrobiło mu się tak ciepło na sercu jak jeszcze nigdy dotąd.

Z powagą dotknęła jego piersi w miejscu, którego dotykania na własnym ciele chętnie by zabroniła panu Byersowi.

– Jesteś moim najlepszym przyjacielem, a ja twoją najlepszą przyjaciółką – oświadczyła, on zaś uświadomił sobie, że tak jest w istocie.

Gdy ruszyli w dalszą drogę, ku jego zdumieniu wzięła go za rękę. I jej niebieskie, i jego czerwone rękawiczki zrobiła matka Rachel, która zawsze sprawiała członkom rodziny Cole'ów tę część garderoby na urodziny. Dłoń dziewczyny promieniowała poprzez wełnę tak zadziwiającą ilością ciepła, że rozgrzewało mu ono połowę ramienia. Po niewielu krokach Rachel zatrzymała się znowu i zwróciła ku niemu twarz.

– Jak zamierzasz... no, wiesz... to zrobić? Zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym wydobyłz mroźnego powietrza wyrażenie, którego jego ojciec często używał przy rozmaitych okazjach. – To wymaga głębszego namysłu.

---

## 31 Szkolne dni

---

Rob J. lubił zebrania Towarzystwa Lekarskiego. Bywały kształcące, stwarzały ponadto okazję do spędzenia wieczoru w towarzystwie ludzi, którzy mieli podobne do jego własnych doświadczenia, znajdował więc z nimi bez trudu wspólny język. Na spotkaniu w listopadzie Julius Barton, młody lekarz z pomocy hrabstwa, przedstawił referat o ukąszeniach węży, po czym wspomniał o dziwacznych zwierzęcych ugryzieniach, jakie zdarzało mu się leczyć, w tym o przypadku kobiety ugryzionej w pulchne pośladki tak mocno, aż spłynęła krew.

– Jej mąż się zaklinał, że zrobił to pies, co czyni owo ukąszenie nader osobliwym, bo sądząc po śladach, musiał to być najwyraźniej pies o ludzkich zębach!

Żeby nie okazać się gorszym, Tom Beckermann opowiedział o miłośniku kotów, który zjawił się u niego z podrapanymi jądrami, co mogło – acz nie musiało – być sprawką jakiegoś kocura. Tobias Barr dorzucił, że tego rodzaju przypadki nie należą do rzadkości. Nie dalej jak kilka miesięcy wstecz miał pacjenta z podrapaną fizys.

– Powiedział mi, że zrobił to kot. Jeśli mu wierzyć, musiał to być kot o trzech jedynie pazurach, i to tak szerokich jak paznokcie dziwki – zakończył doktor Barr prowokując kolejną salwę śmiechu.

Kując żelazo póki gorące, przystąpił do opowiadania kolejnej anegdotki i nie krył zniecierpliwienia, gdy Rob Cole przerwał mu pytaniem, czy nie mógłby sobie przypomnieć, kiedy to dokładnie leczył tego pacjenta z poharataną twarzą.

– Nie pamiętam – mruknął i wrócił do swej historyjki. Rob J. dopadł go po spotkaniu.

– Chodzi mi o tego pacjenta z pokiereszowaną twarzą. Czy nie zjawił się u pana przypadkiem w niedzielę trzynastego września?

– Naprawdę nie pamiętam. Nie zapisałem sobie. – Doktor Barr najężył się z lekka składając to oświadczenie, wynikało bowiem z niego, że nie prowadzi notatek, a świadom był skrupulatności doktora Cole’a, który hołdował bardziej naukowemu podejściu do medycyny. – Nie ma chyba potrzeby, u Boga Ojca, zapisywać każdego zadraśnięcia, prawda? Szczególnie gdy chodzi o takiego pacjenta jak ten, jakiegoś wędrownego kaznodzieję spoza granic hrabstwa, bawiącego przejazdem na naszym terenie. Prawdopodobnie nigdy więcej go nie zobaczę, a cóż dopiero jako swojego pacjenta.

– Kaznodzieja? Pamięta pan jego nazwisko?

Doktor Barr zmarszczył czoło, wyteżając pamięć, pokręcił jednak przecząco głową.

– Czy aby nie Patterson? – podsunął mu Rob J. – Ellwood R. Patterson?

Barr szeroko otworzył oczy, mimo to odparł, że pacjent nie podawał chyba dokładnego adresu.

– Mówił, o ile pamiętam, że pochodzi ze Springfield – dodał.

– A mnie że z Chicago.

– Przyszedł do pana z syfilisem?

– W stanie trzeciorzędowym.

– Zgadza się, syfilis trzeciorzędowy – potwierdził doktor Barr. – Zagadnął mnie o to, jak opatrzyłem mu twarz.

Należał do tego gatunku ludzi, którzy starają się dostać jak najwięcej za swojego dolara. Gdyby miał odcisk na palcu, kazałby mi go wyciąć, skoro już przyszedł do gabinetu.

Sprzedalem mu trochę maści na trypra.

– Ja również – przyznał się Rob J.

Roześmiali się obaj. Doktor Barr sprawiał wrażenie zaciekawionego.

– Dał drapaka, nie uiściwszy się z długu, czy tak? Dlatego pan go szuka?

– Nie. Robiłem autopsję kobiety, którą zamordowano właśnie tego dnia, gdy zjawił się u pana. Została zgwałcona przez kilku mężczyzn. Pod paznokciami jej trzech palców znalazłem kawałki skóry. Zdarła ją prawdopodobnie któremuś z napastników.

Doktor Barr odchrząknął.

– Pamiętam, że czekało na niego przed gabinetem jakichś dwóch drabów. Zsiedli z koni i siedzieli na stopniach przed wejściem frontowym. Jeden był ogromny, postury niedźwiedzia sprzed zimowego snu, dobrze obłożony sadłem.

Drugi chuderlawy, młodszy. Na policzku pod okiem, chyba prawym, miał znamię jak plama po portwajnie. Nie powiedzieli, jak się nazywają, pamiętam ich jak przez mgłę.

Prezes Towarzystwa Lekarskiego miał skłonność do zazdrości na polu zawodowym i bywał patetyczny, mimo to Rob J. go lubił. Podziękował Tobiasowi Barrowi i wyszedł.

Mort London znacznie złagodniał od czasu ich ostatniego spotkania, zapewne dlatego, że odkąd Nick Holden wyjechał do Waszyngtonu, nie czuł się już tak pewnie na swoim stanowisku, a może i zdał sobie sprawę, że obieralnemu urzędnikowi nie opłaca się folgować zbyt językowi.

Wysłuchał Roba J., zanotował rysopisy Ellwooda R. Pattersona oraz dwóch pozostałych mężczyzn i obiecał grzecznie, że wdroży śledztwo. Rob przeczuwał, że jak tylko wyjdzie za próg biura Londona, notatki wylądują w koszu. Mając do wyboru Morta

butnego i Morta układowego dyplomatę, wolałby mieć do czynienia z butnym.

Rozpoczął śledztwo na własną rękę. Przewodniczącym komitetu parafialnego, który zajmował się sprawami przyjezdnych kaznodziejów, zanim kościół powołał na ambonę pastora Perkinsa, był Carroll Wilkenson, agent ubezpieczeniowy i pośrednik handlu nieruchomościami. Jak przystało na dobrego przedsiębiorcę, miał wszystko zapisane.

– Proszę – powiedział, wyszperawszy złożoną na pół ulotkę. – Wziąłem ją sobie podczas spotkania ubezpieczeniowego w Galesburgu.

Ulotka zapowiadała kościołom chrześcijańskim wizytę kaznodziei, który wygłosi kazanie na temat Bożych zamiarów względem doliny rzeki Missisipi. Oferta nie nakładała na zapraszający kościół żadnych wydatków, wszystkie koszty ponosił Instytut Religijny „Stars and Stripes”, mający siedzibę przy Palmer Avenue 282 w Chicago.

– Napisałem do nich, podając do wyboru trzy niedzielne daty. Odpowiedzieli, że Ellwood Patterson mógłby wygłosić kazanie trzeciego września. Resztą zajęli się sami. – Przyznał, że kazanie Pattersona nie spotkało się ze zbyt entuzjastycznym przyjęciem. – Składało się głównie z ostrzeżeń przed katolikami. – Uśmiechnął się. – Samo w sobie nikogo by to nie ubodło, jeśli już chce pan znać prawdę, ale on zabrał się następnie za tych, którzy przyjechali nad Missisipi z obcych krajów. Oświadczył, że kradną miejsca pracy urodzonym tutaj, czym wkurzył tych, którzy się tu nie urodzili. – Nie wiedział, pod jakim adresem szukać Pattersona. – Nikomu ani do głowy by nie przyszło ponownie go zapraszać. Ostatnią rzeczą,

jakiej potrzebuje taki nowy kościół jak nasz, jest kaznodzieja, który by jednych członków gminy napuszczał na drugich.

Właściciel szynku, Ike Nelson, pamiętał Ellwooda Pattersona.

– Siedzieli tu u mnie w sobotę do późnej nocy. Ten cały Patterson to tęgi moczymorda, jak i zresztą tamtych dwóch, co z nim byli. Płacili, nie mogę powiedzieć, ale więcej żem miał z nimi urwania głowy niż zarobku. Ten wielki, Hank, cały czas wrzeszczał, żebym poszedł i sprowadził im jakieś dziwki, ale szybko się urżnął i kobity całkiem wyleciały mu ze łba.

– Pamięta pan jego nazwisko?

– Jakies takie komiczne. Nie Sneeze... Cough! Hank Cough<sup>[6]</sup>. Na tego drugiego, tego drobnego chudzińkę, wołali Len. Czasem Lenny. Nazwiska chyba nie słyszał. To on miał to purpurowe znamię na gębie. Utykał, pewnie jedną nogę miał krótszą od drugiej.

Toby Barr nie wspominał nic o utykaniu. Prawdopodobnie nie widział, jak tamten chodzi, uświadomił sobie Rob.

– Czy na tę nogę? – zapytał Rob, udając, że utyka na lewą.

– Czy może na tę? – kuśtyknął na prawej.

– Nie kuśtykał aż tak wyraźnie, ledwo było widać. Nie pamiętam, na którą nogę. Pamiętam tylko, że wszyscy trzej mieli kabłąkowane kulasy. Patterson położył na ladę gruby plik banknotów, kazał mi nalewać i odliczać sobie, co się należy. Pod koniec wieczoru musiałem posyłać po Morta Londona i Fritziego Grahama i dać im parę dolarów z tego zwitka, żeby zataszczyli tych trzech moczymordów do gospody Anny Wiley i położyli lulu. Alen słyszał, że na drugi dzień Patterson był trzeźwy jak świnia i święty jak się patrzy. – Ike uśmiechnął się szeroko. – Takich kaznodziejów lubię!



Osiem dni przed Bożym Narodzeniem Alex Cole przyszedł do szkoły z pozwoleniem Aldena na stoczenie walki. Szaman przyglądał się na przerwie, jak jego brat idzie przez szkolny dziedziniec. Ku swojemu przerażeniu zauważył, że Dużemu trzęsą się kolana.

Alex podszedł prosto do Luke'a Stebbinsa, który stał wśród grupki chłopców, skaczących z rozbiegu w dal na nie zgarnięty z tego kawałka podwórka puszysty śnieg. Los się do niego uśmiechnął. Luke rozpędał się już niezdarnie dwa razy i oddał dwa nieudane skoki, aby się zatem poprawić, zdjął grubą kurtkę z krowiej skóry. Gdyby ją miał na sobie, tłuczenie w nią przypominałoby walenie pięścią w drzewo.

Luke sądził, że Alex chce wziąć udział w zawodach, i już się szykował do natrząsania z niego, tymczasem starszy Cole podszedł i wyrznął go prawym sierpowym w roześmianą gębę.

Był to błąd, początek chaotycznej walki. Szczegółowe instrukcje Aldena przewidywały całkiem co innego. Pierwszy, zaskakujący cios miał wylądować na żołądku przeciwnika, co dawało nadzieję na odebranie mu tchu. Alex ze strachu zgłupiał. Jego cios rozciął Luke'owi dolną wargę, toteż dryblas rzucił się na niego z furią. Widok szarżującego Luke'a jeszcze dwa miesiące wcześniej sparaliżowałby Alexa, który teraz, przyzwyczajony do natarć Aldena, ustąpił tylko na bok i poczęstował przelatującego obok napastnika zamaszystym lewym w rozkwaszone usta. Następnie, zanim Luke odzyskał równowagę i przyjął pozycję obronną, ułokował w tym samym obolałym punkcie dwa kolejne proste.

Po pierwszym ciosie Szaman zaczął wznosić okrzyki radości, toteż po chwili ze wszystkich stron dziedzińca zbiegli się do walczących

pozostali uczniowie.

Alex popełnił swój drugi błąd, gdy zerknął w stronę wrzeszczącego brata. Wtedy to ciężki kułak wylądował pod jego prawym okiem, chłopiec zatoczył się i omal nie upadł. Alden dobrze jednak przygotował swego wychowanka, który szybko poderwał się na nogi i przyjął postawę, nim spadły na niego chaotyczne jak uderzenia cepów razy przeciwnika.

Twarz mu odrętwiała, zapuchło prawe oko, ale – o dziwo – przestały drżeć kolana. Zaczął myśleć i boksował jak podczas codziennych treningów. Lewym okiem widział dobrze, więc zgodnie z zaleceniami Aldena, nie odrywał spojrzenia od klatki piersiowej Luke'a, co pozwalało ocenić, w którą stronę przeciwnik odchylił korpus i którą zamierza uderzyć ręką. Raz tylko spróbował zablokować zamachowy cios i aż zdrętwiało mu od tego ramię; Luke był za silny. Alex zaczął odczuwać zmęczenie, podskakiwał jednak na nogach i robił uniki, nie zważając na szkodę, jaką mógłby mu wyrządzić lądujący u celu któryś z kolejnych ciosów przeciwnika. Jego lewa wystrzeliwała raz za razem, młóćąc usta i twarz Stebbinsa.

Pierwszym mocnym, inaugurującym walkę ciosem obluzował mu przedni ząb, następne grzmocące z uporem dopełniły dzieła – Luke targnął w pewnej chwili wściekle głową i ku przerażeniu Szamana wypluł na śnieg ząb.

Alex uczył to wydarzenie punktując lewą, po czym niezgrabnym prawym sierpowym rozkwasił Luke'owi nos.

Oszołomiony osiłek podniósł ręce do zakrwawionej twarzy.

– Duży, dyszłem go! – wrzasnął Szaman. – Dyszłem!

Alex usłyszał odpowiedź brata i z całej siły wraził prawą pięść w żołądek Luke'a, który zgiął się w pół i zatchnął. Tu nastąpił koniec pojedynku, widzowie pierzchali już bowiem przed gniewem nauczyciela. Stalowe palce podkręciły ucho Alexa. Wyrosły jak spod ziemi pan Byers zgromił pojedyńkowiczów wzrokiem i ogłosił koniec przerwy.

W szkole, postawieni pod wielką tablicą z napisem „POKÓJ NA ZIEMI”, zostali obaj napiętnowani przed klasą jako bardzo zły przykład do naśladowania.

– Nie będę w mojej szkole tolerował bójek – zapowiedział pan Byers.

Linijką, której używał jako wskazówki, wymierzył winowajcom po pięć soczystych uderzeń we wnętrza dłoni. Lukę się rozbeczał, Alexowi, gdy odbierał karę, zadrżała dolna warga.

Zapuchnięte oko przybrało już barwę dojrzałego bakłażana, prawa ręka zaś piekła go z obu stron; w walce zdarł sobie skórę z kostek, a wewnątrz dłoni miał czerwone i spuchnięte od razów pana Byersa. Ale w oczach obu braci, gdy ich spojrzenia się spotkały, jaśniał triumfalny blask.

Po lekcjach otoczyła Alexa gromadka dzieci, roześmianych i zasypujących go pełnymi podziwu pytaniami. Lukę Stebbins wracał ze szkoły sam, chmurny i wciąż oszołomiony. Kiedy podbiegł do niego Szaman, pomyślał z przerażeniem, że teraz będzie go chciał doświadczyć również młodszy z braci, przyjął więc gardę, prawą rękę zacisnąwszy w pięść, a lewą wzniosł otwartą w geście nieomal błagalnym.

Tymczasem Szaman zażądał od niego grzecznie, lecz stanowczo:– Od tej chwili mojego brata będziesz nazywał Alexander. A mnie

Robert.

Rob J. napisał do Instytutu Religijnego „Stars and Stripes” informując, że pragnąłby się skontaktować z wielebnyim Ellwoodem Pattersonem w pewnej kościelnej sprawie, prosi więc o jego adres.

Odpowiedzi mógł się spodziewać zapewne nie wcześniej niż za kilka tygodni, tymczasem nie zwierzał się nikomu ze swoich podejrzeń. Aż do pewnego wieczoru. On i Geiger skończyli grać „Eine Kleine Nachtmusik”, Sara i Lillian gawędziły w kuchni, przygotowując herbatę i krojąc funtowe ciasto, i wtedy Rob J. podzielił się z Jayem swoimi zmartwieniami.

– Co mam zrobić, jeśli znajdę tego kaznodzieję z podrapaną gębą? Wiem, że Mort London nawet palcem nie ruszy, żeby go postawić przed sądem.

– Wtedy będziesz musiał podnieść taki raban i narobić takiego hałasu, żeby cię usłyszano aż w Springfield – poradził Jay. – A jeśli i od władz stanowych nie uzyskasz pomocy, będziesz się musiał odwołać do Waszyngtonu.

– Jak dotąd władza nie chciała sobie zawracać głowy sprawą jednej zabitej Indianki.

– W takim razie – powiedział Jay – zgromadziwszy dowody winy, skrzyknijemy kilku uczciwych ludzi, którzy wiedzą, jak się obchodzić z rewolwerem.

– Zrobiłbyś to?

Jay popatrzył na niego ze zdziwieniem.

– Jasne. A ty nie?

Rob powiedział mu o swoim ślubie, że nie będzie stosował przemocy.

– Ja nie mam takich skrupułów, przyjacielu. Jak grożą mi niegodziwcy, uważam, że mam prawo się bronić.

– Wasza Biblia mówi: „Nie zabijaj”.

– Ha! Ale mówi też: „Oko za oko, ząb za ząb”. A także: „Ten, kto uderzy człowieka i ów umrze, niech sam śmiercią zginie”.

– „Gdy ktoś uderzy cię w prawy policzek, nadstaw mu i drugi.”

– To już nie z mojej Biblii – zauważył Geiger.

– Sam widzisz, Jay!... w tym właśnie kłopot, że za dużo tych biblii, a każda utrzymuje, że posiadała klucz do prawdy.

Geiger uśmiechnął się smutno.

– Mój drogi, nigdy nie próbowałem cię odwozić od twojej postawy wolnomyśliciela. Ale dam ci pod rozwagę jeszcze i taką maksymę: „Bojaźń Boża to początek mądrości”.

Weszły kobiety z herbatą i potoczyła się rozmowa o czym innym.

Rob J. często wracał później w myślach do tej rozmowy z przyjacielem, bywało, że z niechęcią. Dla Jaya było to proste.

Kilka razy w ciągu dnia okrywał się frędzlastym szalem modlitewnym, zyskując poczucie bezpieczeństwa i ufności w dzień wczorajszy i jutrzejszy. Całe jego życie było ujęte w ramy przepisów: to wolno, tego nie wolno, kierunki miał wyraźnie wytyczone. Wierzył w prawa ludzkie i prawo Jahwe, wystarczało mu przestrzegać odwiecznych nakazów i statutów Zgromadzenia Ogólnego stanu Illinois. Objawieniem zaś Roba J. była nauka, wiara nie tak wygodna i daleko mniej przynosząca pociechy, jego sacrum – prawda, stanem łaski – naukowy dowód, liturgią – wątplenie. Nauka pełna tajemnic jak każda inna religia, poprzecinana mrocznymi drózkami wiodącymi do miejsc niebezpiecznych, zawrotnych urwisk i bezdennych głębi. Żadna wyższa moc nie

oświetlała tej mrocznej, spowitej gęstymi cieniami drogi i tylko jego własny wąty osąd wskazywał mu bezpieczne ścieżki.

W mroźny, jak przystało na styczeń, czwarty dzień nowego 1852 roku, do budynku szkoły powtórnie wkroczyła przemoc.

Tego przeraźliwie zimnego poranka Rachel spóźniła się na lekcje. Zjawiła się w końcu cicho jak myszka i przycupnęła na swoim miejscu, nie witając się z Szamanem ani uśmiechem, ani bezgłośnym poruszeniem warg, jak miała w zwyczaju.

Chłopiec skonstatował ze zdumieniem, że razem z nią przyszedł do szkoły jej ojciec, Jason Geiger. Podszedł do katedry i utkwiał wzrok w panu Byerse.

– O, pan Geiger. Jakże mi miło! Czym mogę panu służyć? W odpowiedzi Jay Geiger porwał leżącą na katedrze linijkę pana Byersa i ciął go przez policzek.

Byers porwał się na nogi, wywracając krzesło. Był o głowę wyższy od Jaya, jednakże skromnej postury. Przypominano sobie później z rozbawieniem, jak przysadzisty pan Geiger siekł wysokiego, bezbrzeżnie zdumionego nauczyciela jego własną linijką. Ale w danym momencie nikomu nie było do śmiechu. Uczniowie, nie śmiąc oddychać, siedzieli na ławkach zeszywniali ze zgrozy. Nie wierzyli wprost własnym oczom – podobnie jak nie wierzył swoim pan Byers. Zdarzenie to było bardziej jeszcze niebywałe niż bójka Alexa z Lukiem.

Szaman popatrywał co chwila na Rachel. Jej twarz, zrazu pociemniała ze zmieszania, zbielała następnie jak chusta.

Zdawało mu się, że jego przyjaciółka usiłuje ogłuchnąć, stać się głuchą jak on, i oślepnąć na wszystko, co się wokół niej rozgrywa.

– Co pan u diabła wyprawia? – Byers podniósł rękę, chcąc osłonić twarz, i syknął z bólu, gdy linijka smagnęła go po żebrach. Natarł groźnie na Jaya. – Ty przeklęty idioto! Ty parszywy żydzie!

Jay nie przestawał siec nauczyciela, który ustępował przed jego furią, aż w końcu wypadł z klasy, zatrzaskując za sobą drzwi. Jay chwycił jego palto i wyrzucił je za nim na śnieg.

Następnie, dysząc ciężko, usiadł za katedrą.

– Lekcji dzisiaj nie będzie – oświadczył na koniec. Wsadził Rachel na konia i zawiózł ją do domu. Jego synowie, David i Herman, mieli wracać pieszo z chłopcami Cole'ów.

Na dworze panował przeraźliwy ziąb. Szaman okutał szyję dwoma szalami – jeden okręcił pod brodą, drugim osłonił usta i nos – mimo to za każdym razem, gdy wciągał powietrze, zamarzały mu na chwilę nozdrza.

Kiedy przyszli do domu, Alex wbiegł do środka, żeby opowiedzieć matce, co się zdarzyło w szkole, Szaman zaś zszedł nad rzekę. Okuwający ją lód pękał na mrozie. Musiało to dźwięczeć cudownie. Mróz rozszczepił też wielką bawełnicę, rosnącą nie opodal przysypanego śniegiem hedonoso-te Makwa-ikwy. Wyglądała, jakby roztrzaskał ją piorun.

Był zadowolony, że Rachel powiedziała o wszystkim ojcu.

Doznał ulgi, że już nie będzie musiał zabijać pana Byersa, chyba więc już nigdy nie zawiśnie na szubienicy. Pewna myśl nie dawała mu jednak spokoju, niczym wysypka, która nie chce zniknąć: skoro Alden uważał, że należy walczyć, gdy jest się do tego zmuszonym, skoro Jay uważał, że słuszną jest rzeczą występować w obronie córki, czy to znaczy, że z jego ojcem coś jest nie tak?

---

## 32 Nocna wizyta

---

Kilka godzin po ucieczce Marshalla Byersa z Holden's Crossing wybrano komitet mający za zadanie znaleźć nowego nauczyciela. Powołano doń Paula Williamsa na dowód, że nikt nie myśli winić kowala za to, że jego kuzynek, pan Byers, okazał się niegodziwcem. Powołano doń też Jasona Geigera, aby podkreślić, że w opinii ogółu postąpił właściwie przepędzając Byersa. Powołano wreszcie Carrolla Wilkensonsona, co okazało się nader fortunne, agent ubezpieczeniowy wypłacił był bowiem niedawno skromną polisę ubezpieczenia na życie Johnowi Meredithowi, sklepikarzowi z Rock Island, któremu umarł właśnie ojciec.

Meredith wspomniał mu przy okazji o swojej wdzięczności dla siostrzenicy, Dorothy Burnham, która rzuciła posadę nauczycielki, aby się opiekować jego ojcem w ostatnich dniach życia. Komitet przesłuchał Dorothy Burnham.

Wilkensonsonowi spodobała się, bo miała brzydką twarz i była panną pod trzydziestkę, co czyniło raczej mało prawdopodobnym, aby miała odejść ze szkoły z powodu zamążpójścia. Paul Williams poparł jej kandydaturę, im prędzej bowiem obsadzone zostanie stanowisko nauczyciela, tym szybciej zatrze się w ludzkiej pamięci wspomnienie o jego niecnym kuzynie Marshallu. Jaya przekonało do kandydatki to, że mówiła o nauczaniu ze spokojną pewnością siebie oraz świadczącym o prawdziwym powołaniu ciepłym.



Zatrudnili ją więc z płacą siedemnastu i pół dolara za okres, o półtora dolara niższą od poborów Byersa, jako że była kobietą.

Tydzień po ucieczce poprzedniego nauczyciela katedrę po nim objęła panna Burnham. Nie zmieniła rozporządzeń poprzednika dotyczących porządku miejsc, ponieważ dzieci już do niego przywykły. Uczyła przedtem w dwóch szkołach: w mniejszej od tej szkółce we wsi Bloom i większej w Chicago.

Jedynym kalectwem, z jakim spotkała się dotąd w swoich kontaktach z dziećmi, było utykanie, ze szczerym więc zaciekawieniem przyjęła nowinę, że będzie miała pod opieką głuchego chłopca.

Podczas pierwszej rozmowy z Robertem Cole'em juniorem odkryła ze zdumieniem, że chłopak czyta z jej warg. Potem wzięła ją złość na samą siebie, minęło bowiem niemal pół dnia, nim pojęła, że z miejsca, na którym siedzi, nie może widzieć tego, co mówi większość dzieci. W szkole znajdowało się tylko jedno krzesło, przeznaczone dla wizytujących ją osób dorosłych. Panna Burnham oddała je Szamanowi, ustawivszy je w pewnym oddaleniu od półki i nieco z boku, aby mógł widzieć usta jej i swoich kolegów.

Drugą wielką odmianę przyniosła mu lekcja muzyki. Szykował się już – z nawyku – do wygarniania popiołu z pieca i noszenia drewna, gdy nauczycielka powstrzymała go i poleciła, by wracał na miejsce.

Dorothy Burnham poddała uczniom ton dmuchając w małą okrągłą piszczałkę stroikową, a następnie nauczyła ich słów do melodii wznoszącej się: „Na-sza-szko-ła-t o-i-stny-raj!”, a potem opadającej: „U-czy-my-się-myś-leć-tu-taj!” W połowie pierwszej frazy spostrzegła, że wyświadczyła głuchemu chłopcu wątpliwą

przysługę włączając go do zajęć, mały Cole siedział bowiem i gapił się tępo przed siebie, w jego oczach pojawił się zaś wkrótce wyraz nieznośnej dla niej, apatycznej cierpliwości.

Trzeba mu dać instrument, postanowiła, którego drgania pozwoliłyby mu „słyszeć” rytm muzyki. Może bębenek? Ale łoskot bębena zagłuszałby śpiew dzieci słyszających.

Zastanowiwszy się nad rozwiązaniem tego problemu, wybrała się do sklepu wielobranżowego Haskinsa, gdzie wyprosiła pudełko po cygarach. Następnie umieściła w nim sześć czerwonych kamieni, takich, jakimi chłopcy grywają wiosną w kamyki. Kiedy się nimi potrzasało, czyniły okropny hałas, ale gdy wykleiła pudełko od środka miękką niebieską tkaniną ze starej koszuli, efekt okazał się zadowalający.

Nazajutrz na lekcji muzyki poleciła Szamanowi trzymać pudełko i potrzasała nim przy każdej nucie pieśni „Ameryka” śpiewanej przez uczniów. Uchwycił rytm, odczytując słowa z warg nauczycielki w takt potrzęsania pudełkiem. Nie potrafił śpiewać, ale oswoił się wkrótce z rytmem i miarą dźwięków i jął towarzyszyć ruchami warg słowom śpiewanych przez kolegów piosenek, ci zaś przywykli niebawem do głuchego łoskotu „grzechotki Roberta”. Szaman pokochał to pudło po cygarach. Na nalepce widniał wizerunek kruczowłosej księżniczki z obfitym biustem wzburzonym pianą szyfonu, słowa „Panatellas de la Jardines de la Reina” oraz znak firmowy Importowej Kompanii Tytoniowej Gottlieba, Nowy Jork. Po podniesieniu wieczka wciągało się w nozdrza zapach aromatycznego cedru i delikatną woń kubańskich liści.

Panna Burnham wprowadziła wkrótce nowy zwyczaj: wszyscy chłopcy po kolei mieli obowiązek przychodzić wcześniej do szkoły,

żeby wyrzucić popiół i nanieść dREW na opał. W życiu Szamana – choć on nie myślał o tym w takich kategoriach – dokonał się ogromny przełom dzięki temu, że pan Marshall Byers nie umiał się powstrzymać od dotykania piersi dorastających dziewcząt.

Był mroźny początek marca. Prerię skuwiała lodowa okowa. W poczekalni doktora Cole'a każdego rana tłoczyli się pacjenci; po godzinach przyjęć Rob zmuszał się zaś do odbycia tylu domowych wizyt, ile się tylko dało, za kilka tygodni bowiem roztopy miały zmienić podróżę w drogę przez błotną mękę. W dni wolne od nauki zabierał ze sobą Szamana. Syn doglądał konia, a ojciec spieszył do pacjenta.

Pewnego późnego, ciemnego jak ołów popołudnia wracali drogą wzdłuż rzeki od Freddy'ego Walla, który cierpiał na zapalenie opłucnej. Rob J. zastanawiał się właśnie, czy wstąpićjeszcze do Anne Frazier, która całą zimę przekwękała, czy odłożyć tę wizytę do następnego dnia, gdy spomiędzy drzew wyjechało trzech mężczyzn na koniach. Choć podobnie jak obaj Cole'owie, byli szczelnie okutani przed mrozem, Rob J.

zauważył, że wszyscy mają broń – po dwa rewolwery zatknięte za pasy opinające ich grubaśne przyodziewki, trzeci w olstrach przy siodle.

- Pan jest lekarzem, nie? Rob J. przytaknął.
- A kim wy jesteście?
- Jeden nasz znajomy potrzebuje na gwałt doktora. Miał mały wypadek.
- Jaki wypadek? Coś sobie złamał?
- Nie. Chyba nie, ale na pewno nie wiemy. Został postrzelony. Tu
- mówiący dotknął lewego ramienia poniżej barku.

- Bardzo krwawi?
- Nie za bardzo.
- Dobrze, przyjadę, tylko syna odwiozę do domu.
- Nic z tego – burknął tamten, a Rob J. przyjrzał mu się baczniej. –

Wiemy, gdzie pan mieszka, po drugiej stronie miasteczka, a do naszego przyjaciela kawał drogi. W tę stronę.

- Daleko?
- Z godzinę jazdy. Rob J. westchnął.
- Prowadźcie.

Przodem ruszył ten, który z nim rozmawiał. Nie uszło uwagi Roba J., że dwaj pozostali zaczekali, póki nie podąży za przewodnikiem, i dopiero wtedy ruszyli za nim w niejakiej odległości, odcinając mu odwrót.

Początkowo – był tego pewien – zmierzali na północny zachód. Zorientował się potem, że co jakiś czas zawracają i kluczą, jak czyni tropiony lis. Strategia okazała się skuteczna, bo wkrótce całkiem się pogubił i stracił poczucie kierunku. Po jakiejś półgodzinie wjechali w pasmo lesistych wzgórz, ciągnących się między prerią a rzeką. Między wzgórzami rozpościerały się trzęsawiska, przejezdne, gdyż skute lodem, dopiero roztopy miały je zamienić w niedostępne błotne fosy.

Przewodnik się zatrzymał.

- Teraz musimy zawiązać wam oczy.

Rob J. nie zamierzał protestować.

– Chwileczkę – powiedział i zwrócił się do Szamana: – Ci panowie zawiążą ci teraz oczy, synku, ale niczego się nie bój – uprzedził go, konstatuując z radością, że chłopiec kiwa głową.

Bandzior, który zawiązywał mu oczy, nie był zbyt czysty. Rob J. miał nadzieję, że Szaman ma więcej szczęścia, wstrętem bowiem napawała go myśl, że ten śmierdzący potem, oblepiony zaschniętymi smarkami drab miałby dotykać jego syna.

Poprowadzili jego konia za uzdę. Wydawało mu się, że jechali długo wśród wzgórz, ale możliwe też, że gdy ma się zawiązane oczy, czas płynie wolniej. W końcu poczuł, że wierzchowiec zaczyna piąć się pod górę i wkrótce przystanęli. Gdy zdjęto mu opaskę, ujrzął przed sobą jakąś szopę pod wielkimi drzewami, raczej szałas niż chatę. Zmierzchało już, dzięki czemu ich oczy szybko przywykały do światła. Szaman mrugał powiekami.

– Dobrze się czujesz, synku?

– Dobrze, tato.

Znał twarz syna. Przyjrzawszy się jej teraz stwierdził, że Szaman, który był dzieckiem wrażliwym, jest nieźle wystraszony. Kiedy wszakże zatupał nogami, by pobudzić krążenie krwi, weszli do szopy, stwierdził z rozbawieniem, że w oczach chłopca czai się nie tylko lęk, ale i ciekawość. Zły był na siebie, że nie znalazł jakiegoś sposobu zostawienia go gdzieś, ochrony przed niebezpieczeństwem.

W szopie żarzyły się na palenisku węgle, w nagrzanym powietrzu wisiał smród. Nie było tam żadnych sprzętów. Na podłodze, oparty o siodło, leżał gruby mężczyzna. Był łysy, Szaman dojrzał jednak w blasku ognia, że twarz ma zarośniętą bujniejszą szczeciną szorstką i czarną niż większość mężczyzn głowę. Skotłowane na ziemi koce wskazywały legowiska pozostałych mężczyzn.

– Długoście się guzdrali – burknął grubas. Z trzymanego w garści czarnego dzbana pociągnął łyk i zakasłał.

– Nie marudziłim – odrzekł pośępnie ten, który jechał przodem. Kiedy odwinął szal, Szaman stwierdził, że ma małą siwą bródkę; wyglądał starzej od swoich kompanów. Położył rękę na ramieniu chłopca i przygniół go do ziemi.

– Siad – warknął jak do psa.

Szaman kucnął w pobliżu ognia. Był rad, że przypadło mu to właśnie miejsce, mógł zeń bowiem widzieć zarówno usta rannego, jak i ojca.

Starszy mężczyzna wyjął z kabury rewolwer i wycelował w chłopca.

– Lepiej dla ciebie, żebyś wyleczył naszego przyjaciela jak się patrzy, doktorze.

Szaman struchlał ze strachu. Otwór w lufie wpatrywał się w niego jak nie mrugające powieką okrągłe oko.

– Pod groźbą pistoletu nie ruszę nawet palcem – oświadczył jego ojciec leżącemu na podłodze mężczyźnie.

Ten zdawał się namyślać.

– Wynoście się – rozkazał na koniec kompanom.

– Zanim wyjdziecie – zwrócił się do nich Rob J. – nanieście drew, rozpalcie ogień i zagotujcie wodę. Macie tu może jakąś drugą lampę?

– Jest latarnia – burknął ten starszawy.

– Przynieście ją. – Rob dotknął czoła grubasa, rozpiął i rozchylił mu koszulę na piersiach. – Kiedy to się stało?

– Wczoraj rano. – Ranny łypnął spod ciężkich powiek na Szamana. – Pana chłopak – stwierdził.

– Mój młodszy syn.

– Ten głuchy.

– Wygląda na to, że zna pan moją rodzinę. Tamten przytaknął.  
– Niektórzy mówią, że starszy jest bękartem mojego brata Willa. Nawet podobny do niego. Małe diable, po tatusiu. Pan się orientuje, kto ja jestem?

– Mogę się domyślić... – Rob przysunął twarz do twarzy rannego i wbił weń oczy. – Oni są obaj moimi synami. Jeśli mówi pan o starszym chłopcu, to mój starszy syn. I będzie się pan w przyszłości trzymał od niego z daleka, podobnie jak dotąd.

Grubas się uśmiechnął.

– I czemu to niby nie miałbym zgłosić do niego pretensji?  
– Dlatego przede wszystkim, że to dobry i uczciwy chłopiec z najlepszymi widokami na przyzwoite życie. A nie chciałby pan chyba, założywszy, że jest pańskim bratankiem, widzieć go na swoim miejscu, brozącego krwią jak ranne i tropione zwierzę w brudnym, cuchnącym chlewie.

Przez dłuższą chwilę mocowali się wzrokiem, potem ranny poruszył się i skrzywił, a Rob przystąpił do swego zadania.

Wyjął mu z garści dzban i ściągnął z pleców koszulę.

– Nie widzę rany wylotowej.  
– To cholerstwo wciąż tam siedzi, mogłem być pana uprzedzić. Pewnie będzie bolało jak sto piorunów, jak pan zacznie dłubać w ranie. Mogę sobie jeszcze golnąć?

– Nie, dam panu coś, po czym pan zaśnie. Mężczyzna łypnął na niego podejrzliwie.

– Ani myślę zasypiać, żebyś mógł wyrabiać ze mną, co ci się spodoba.

– Decyzja należy do pana – mruknął Rob J. Oddał rannemu dzban i pozwolił mu pić, czekając, aż się woda zagrzeje.

Następnie szarym mydłem i czystą szmatką, które wyjął ze swej torby, obmył okolice rany, czego Szaman nie mógł już dokładnie widzieć, po czym wsunął w otwór po kuli cienką stalową sondę. Grubas zeszywniał, rozdziawił usta i wywalił mięsisty czerwony jęzor.

– Mam ją, utkwiła w kości, ale sama kość nie jest chyba złamana. Kula musiała już wytracać impet, gdy pana trafiła.

– Przypadkowe trafienie – wymamrotał operowany. – Skurwysyn strzelił z daleka. – Jego zmierzwioną brodę skleił pot, twarz mu poszarzała.

Ojciec Szamana wydobył z torby pincetę do wyłuskiwania ciał obcych z ran.

– Wyjmę kulę tą pincetą. Jak pan widzi, jest znacznie grubsza od sondy. Będzie o wiele bardziej bolało. Niech mi pan lepiej zaufa – poradził.

Pacjent odwrócił głowę i Szaman nie dojrzał jego odpowiedzi.

Widać jednak poprosił o środek silniejszy od whisky, gdyż Rob J. wyjął z torby stożek eterowy i skinął na syna. Chłopak był już kilka razy świadkiem podawania eteru, ale jeszcze nigdy przy tym nie pomagał. Trzymał ostrożnie stożek nad ustami i nosem grubasa, a ojciec kapał nań z góry eter. Rana od kuli była większa, niż Szaman sądził, i miała purpurowe brzegi.

Gdy eter zaczął działać, ojciec bardzo ostrożnie wprowadził instrument, zagłębiając go kawałek po kawałku. Na krawędzi otworu pojawiła się jasnoczerwona kropla i spłynęła po ramieniu uspiętego. Kiedy Rob J. wyciągnął w końcu pincetę, w jej kleszczykach tkwiła ołowiana kula, którą umył do czysta i położył



na kocu obok mężczyzny, by mógł ją sobie obejrzeć, kiedy odzyska przytomność.

Potem zawołał czekających na mrozie kompanów rannego.

Wrócili wnosząc miskę białej fasoli, zmrożonej, bo trzymali ją na dachu. Podgrzali fasolę na ogniu i poczęstowali nią lekarza i jego syna. Znajdowały się w niej kawałki czegoś, co mogło być niegdyś królikiem, i Szaman uznał, że smakowałaby lepiej z melasą, ale i bez niej pałaszował ją z apetytem.

Po kolacji Rob J. zagrzał jeszcze więcej wody i wziął się do mycia całego ciała pacjenta, czemu pozostali mieszkańcy szopy przyglądali się zrazu podejrzliwie, a potem już tylko ze znużeniem. Wyciągnęli się na posłaniach i jeden po drugim zasnęli; Szaman czuwał jednak dalej. Wkrótce przyszło mu być świadkiem, jak pacjentem szarpia torsje.

– Whisky i eter źle się ze sobą godzą – wyjaśnił mu ojciec.

– Śpij już. Ja się nim zajmę.

Chłopiec usłuchał.

Przez szpary w ścianach wsączał się już blady świt, gdy ojciec potrzęsnał go za ramię i kazał się ubierać. Grubas przyglądał im się ze swego posłania.

– Przez dwa, trzy tygodnie będzie pan odczuwał dosyć silne bóle – uprzedził go Rob. – Zostawiam panu trochę morfiny, niedużo, ale więcej nie mam. Najważniejsze to utrzymać ranę w czystości. Gdyby rozwinęła się zgorzel, proszę mi dać znać, natychmiast przyjadę.

Grubas parsknął.

– Nim pan zdąży wrócić, będziemy już dobry kawał drogi stąd, doktorze.

– Gdyby jednak miał pan jakieś kłopoty, proszę po mnie przysłać. Przyjadę, gdziekolwiek będziecie.

Mężczyzna kiwnął głową.

– Dobrze mu zapłać – polecił mężczyźnie z siwą bródką, który wyjął z paczki zwitek banknotów i wręczył go Cole’owi.

Ojciec Szamana wziął tylko dwa, resztę rzucił na koc.

– Półtora dolara za nocną wizytę, pół za eter. – Ruszył do wyjścia, ale odwrócił się jeszcze. – Słuchajcie, przyjaciele, nie obito wam się czasem o uszy nazwisko Ellwood Patterson? Gość włóczy się czasem z niejakim Hankiem Cough i jeszcze jednym typkiem, młodzieńcem imieniem Lenny.

Popatrzyli na niego obojętnie. Mężczyzna na podłodze pokręcił przecząco głową. Rob J. kiwnął głową i obaj z synem wyszli na powietrze, które pachniało wyłącznie drzewami.

Tym razem miał ich eskortować tylko ten, który poprzedniego dnia jechał pierwszy. Zaczekał, aż wsiedą na konia, po czym zawiązał im chustami oczy. Rob J. usłyszał, że jego syn szybciej oddycha, i pożałował, iż nie przemówił do niego, kiedy Szaman mógł jeszcze widzieć jego wargi.

Sam pilnie nadstawiał uszu. Ich wierzchowiec szedł z tyłu, kopyta konia przewodnika słychać było w przodzie. Za nimi nie jechał już nikt, co nie oznaczało, że któryś z bandytów nie będzie czatował przy drodze. Wystarczyłoby mu, gdy będą koło niego przejeżdżali, wychylić się trochę, a mógłby niemal przystawić lufę do potylicy okręconej chustą głowy i pociągnąć za spust.

Długo tak jechali. Kiedy się w końcu zatrzymali, Rob wiedział, że kula, jeśli jest im przeznaczona, dosięgnie ich teraz. Tymczasem odwiązano im chusty.

– Pojedziecie prosto przed siebie. Niedługo znajdziecie się na znanym wam terenie.

Mrugając oczami Rob J. kiwnął głową, nie przyznając się tamtemu, że już wie, gdzie się znajdują. Pojechali w jedną stronę, rewolwerowiec w drugą.

Rob J. zatrzymał niebawem konia w jakimś zagajniku, by mogli ulżyć pęcherzom i rozprostować nogi.

– Szaman – zwrócił się do syna – czy przyglądałeś się wczoraj mojej rozmowie z tym rannym?

Wpatrując się w ojca, chłopiec przytaknął.

– Czy zrozumiałeś, o czym mówiliśmy, synku? Kolejne potaknięcie.

Rob J. uwierzył zapewnieniu chłopca.

– Jak to możliwe, że rozumiesz podobne tematy? Czy ktoś ci już coś mówił o... – Nie przeszły mu przez usta słowa: „twojej matce” – ...O twoim bracie?

– Różni chłopcy w szkole...

Rob J. westchnął. Oczy dorosłego człowieka w takiej młodej twarzy, pomyślał.

– No cóż, synku, moim zdaniem to, co się nam przytrafiło: nasza wizyta u tych ludzi, to, że operowałem tego rannego, a przede wszystkim to, o czym rozmawialiśmy... Uważam jednym słowem, że powinno to pozostać naszą tajemnicą.

Twoją i moją. Bo gdybyśmy powiedzieli o tym twojemu bratu i matce, mogłoby ich to zabołec, zaniepokoić.

– Dobrze, tato.

Wsiedli na konia. Wiał ciepły wiatr. Chłopak miał rację, pomyślał, nadchodzi wiosenna odwilż. Za parę dni ruszą wody.

Po chwili wybił go z zamyślenia drewniany głos Szamana:–  
Chciałbym być taki jak ty, tato. Chciałbym być dobrym lekarzem.

Roba J. zaszczypały oczy. Odwrócony plecami do siedzącego za nim na siodle syna, zziębniętego, głodnego i zmęczonego, nie mógł nawet podjąć próby wytłumaczenia mu, że niektórych marzeń, kiedy jest się głuchym, zrealizować niepodobna. Musiał poprzestać na wyciągnięciu do tyłu swoich długich ramion i przytuleniu syna. Poczul dotyk jego czoła na plecach i przestał się na chwilę zadrećzać smutnymi myślami, pozwalając sobie na kosztowanie snu w małych porcjach, jak człowiek głodny, lękający się połknąć cały na raz talerz karmelków; koń tymczasem wiozł ich stępa ku domowi.

---

## 33 Pytania i odpowiedzi

---

Instytut Religijny „Stars and Stripes”

282 Palmer Avenue

Chicago, Illinois

18 maja 1852

Dr Robert J. Cole

Holden’s Crossing, Illinois

*Szanowny Panie Doktorze!*

*Otrzymaliśmy Pański list z pytaniem o miejsce pobytu i adres wielebnego Ellwoda Pattersona. Z przykrością zawiadamiamy, że nie jesteśmy w stanie wyświadczyć Panu tej przysługi.*

*Jak Panu zapewne wiadomo, Instytut nasz służy zarówno Kościołowi, jak i amerykańskim robotnikom stanu Illinois, niosąc Chrześcijańskie Posłanie uczciwym, tu urodzonym pracownikom. W ubiegłym roku pan Patterson zgłosił się do nas oferując swą pomoc w naszej posłudze, czego owocem była jego wizyta w Pańskiej społeczności i jej kościele. Potem jednakże wyjechał z Chicago, my zaś nie posiadamy żadnych informacji do miejsca jego pobytu. Zapewniam, że jak tylko taka wiadomość do nas dotrze, niezwłocznie ją Panu prześlemy.*

*Jeśli tymczasem istnieją jakieś sprawy, w których mógłby okazać Panu pomoc jeden ze współpracujących z nami Ministrów Bożych, bądź jakiś przedmiot teologicznej natury, w którym mógłbym usłużyć Panu osobiście, proszę skontaktować się z nami bez wahania.*

*Pański w Chrystusie*

*(podpis)*

*Oliver G. Prescott, D.D.*

*Kierownik Instytutu Religijnego*

*„Stars and Stripes”*

Takiej właśnie z grubsza odpowiedzi Rob J. się spodziewał, usiadł więc i opisał rzeczowo mord na Makwa-ikwie. Informował w swym liście o bytności w Holden's Crossing trzech nieznanym mężczyznom; napisał o strzępkach ludzkiej skóry znalezionych podczas

sekcji pod paznokciami trzech palców Makwa-ikwy, a także o tym, że doktor Barr po południu w dniu morderstwa opatrywał wielebnego Ellwooda R.

Pattersona, który zgłosił się do niego z trzema głębokimi zadrapaniami twarzy.

Listy identycznej treści wysłał do gubernatora Illinois w Springfield i do obu urzędujących w Waszyngtonie senatorów z tego stanu. Zmusił się następnie, zwracając się do Nicka Holdena oficjalnie, do wysłania trzeciej kopii do stanowego kongresmena. Prosił władze, by za pośrednictwem swoich urzędów odnalazły Pattersona i jego dwóch towarzyszy i przeprowadziły śledztwo w sprawie ich ewentualnego udziału w morderstwie Niedźwiedzicy.

Na czerwcowym zebraniu Towarzystwa Lekarskiego zjawił się gość – przybyły z Hannibal w stanie Missouri lekarz o nazwisku Naismith. Podczas towarzyskich pogaduszek przed zebraniem opowiedział o wniesionej do sądu Missouri przez pewnego niewolnika sprawie o uznanie go człowiekiem wolnym.

– Przed wybuchem wojny Czarnego Jastrzębia niejaki doktor John Emerson pracował jako chirurg tu, w Illinois, w Fort Armstrong. Miał Murzyna nazwiskiem Dred Scott. Kiedy rząd przeznaczył pod osiedlenie dawne ziemie Indian, Emerson wystąpił o przydział działki w miejscu, które nazywało się podówczas Stephenson, a obecnie zowie się Rock Island. Niewolnik sklecił sobie na tej ziemi szopę i mieszkał w niej przez kilka lat, żeby jego pan mógł się ubiegać o prawa osadnika. Kiedy Emersona przeniesiono do Wisconsin, Dred Scott pojechał z nim, następnie pan i sługa wrócili do Missouri, gdzie się doktorkowi zmarło. Murzynisko próbował kupić od wdowy wolność dla siebie,

połowicy i dwóch córek, wszelako pani Emerson z własnych niewątpliwie słusznych powodów sprzedać mu jej nie chciała.

Bezczelny czarnuch wniósł tedy do sądu sprawę o uznanie go człowiekiem wolnym, argumentując, że był takowym przez wiele lat, gdy bawił w Illinois i Wisconsin. Tom Beckermann zarechotał.

– Czarnuch powodem w sprawie!

– No cóż – odezwał się Julius Barton – uważam, że jego roszczenie ma pewne podstawy. Niewolnictwo jest nielegalne zarówno w Illinois, jak i w Wisconsin.

Doktor Naismith śmiał się w najlepsze.

– Ależ sprzedany i kupiony został przecie w Missouri, stanie niewolniczym, dopiero potem przyjechał tutaj.

Tobias Barr sprawiał wrażenie zakłopotanego.

– A jaki jest pański pogląd na kwestię niewolnictwa, doktorze Cole?

– Uważam – odparł z rozwagą Rob J. – że człowiek ma prawo posiadać zwierzę, jeśli o nie dba i dostarcza mu pod dostatkiem wody i pożywienia. Ale nie uważam za słuszne, żeby jeden człowiek posiadał na własność drugiego.

Doktor Naismith starał się robić dobrą minę do złej gry.

– Cieszy mnie, że panowie jesteście moimi kolegami po medycznym fachu, a nie adwokatami bądź sędziami.

Doktor Barr skłonił głowę, wyrażając uznanie dla widocznych starań gościa, by nie rozpętywać przykrego sporu.

– Czy mieliście w tym roku w Missouri wiele przypadków cholery, doktorze Naismith?

– Cholery nie, za to dała się nam we znaki choroba, na którą mówiono „zimna dżuma” – odrzekł zapytany, po czym wdał się w

opis przypuszczalnej etiologii tego schorzenia i reszta zebrania zeszła na rozmowie o kwestiach natury medycznej.

Kilka dni później Rob J. przejeżdżał po południu obok klasztoru sióstr św. Franciszka z Asyżu i choć nie miał takiego zamiaru, skierował konia na prowadzącą doń dróżkę. Tym razem zawczasu dostrzeżono jego przyjazd; jakaś młoda zakonnica wybiegła z ogrodu i wpadła do budynku. Matka Miriam Ferocia z łagodnym uśmiechem zaprosiła gościa na biskupi fotel.

– Mamy kawę – oświadczyła tonem, który pozwolił mu się domyślić, że nie zawsze tak było. – Wypije pan filiżankę?

Nie miał zamiaru uszczuplać skromnych klasztornych zapasów, ale coś w wyrazie jej twarzy kazało mu z podziękowaniem przyjąć propozycję. Przyniesiono kawę, czarną i gorącą. Była szatańsko mocna i zalatywała stęchlizną, podobnie zresztą jak ich wyznanie.

– Nie mamy mleka – oznajmiła pogodnie matka Miriam Ferocia.  
– Pan Bóg nie zesłał nam jeszcze krowy.

Na jego pytanie, jak zakon sobie radzi, odrzekła nieco oschle, że wiążą jakoś koniec z końcem.

– Jest sposób, żeby klasztor mógł zarobić trochę pieniędzy.  
– Człowiek mądry nastawia ucha, kiedy inni mówią o pieniądzach – orzekła ze spokojem.  
– Jesteście zakonem szpitalnym, ale nie macie szpitala.

Wśród moich pacjentów są tacy, którzy potrzebują stałej opieki. Niektórzy z nich mogliby za nią płacić.

Reakcja matki przełożonej była równie nieprzychylna jak wtedy, gdy po raz pierwszy poruszył ten temat. Zrobiła urażoną minę.

– Jesteśmy zakonem sióstr miłosierdzia.



– Niektórych pacjentów nie stać na zapłatę. Opiekując się nimi, spełniałybyście miłosierny uczynek. Innych na nią stać.

Opiekując się nimi, zdobywałybyście środki na utrzymanie konwentu.

– Kiedy Pan Bóg ześle nam szpital, w którym będziemy mogli leczyć chorych, będziemy ich leczyły.

Poczuł rozgoryczenie.

– Czy może mi siostra powiedzieć, dlaczego nie chce pozwolić swoim mniszkom, żeby się opiekowały pacjentami w ich domach?

– Nie. Nie zrozumiałby pan tego.

– Proszę mnie poddać próbie.

Ale matka przełożona – „Sroga Maria” – przybrała tylko lodowatą minę.

Rob J. westchnął i siorbnął jej gorzki napar.

– Mam jeszcze jedną sprawę. – Przedstawił jej garść faktów, jakie zdołał zebrać, i opowiedział o swych próbach odnalezienia Ellwooda Pattersona. – Może słyszała coś siostra o tym człowieku?

– O samym Pattersonie nic. Ale słyszałam o Instytucie Religijnym „Stars and Stripes”. To instytucja antykatolicka, wspierana przez działającą w ukryciu organizację, która popiera Partię Amerykańską. Nazywa się Najwyższy Zakon Gwiazdzistego Sztandaru.

– Skąd siostra o tym wie?... Najwyższy...?

– Zakon Gwiazdzistego Sztandaru. W skrócie NZGS. – Spojrzała na niego bystro. – Kościół, nasza Matka, to organizacja szeroko rozgałęziona. Dysponuje środkami zdobywania informacji. Owszem, nadstawiamy drugi policzek, ale byłoby głupotą nie starać się dowiedzieć, z której strony go nam wymierzą.

- A może Kościół mógłby mi pomóc w odnalezieniu Pattersona?
- Widzę, że to dla pana ważne.
- Podejrzewam, że zabił moją przyjaciółkę. Nie wolno dopuścić, żeby dalej mordował.
- Nie woli pan zostawić go Bogu? – zapytała cicho.
- Nie. Westchnęła.
- Jest mało prawdopodobne, żeby udało się go panu odszukać dzięki mojej pomocy. Informacja przebiega czasem tylko parę ogniw w nieskończenie długim łańcuchu Kościoła.

Zdarza się często, że zadaje pan pytanie, ale nigdy nie usłyszysz odpowiedzi. Mimo to spróbuję się czegoś wywiedzieć.

Z klasztoru Rob J. pojechał na farmę Daniela Raynera, gdzie bez powodzenia próbował ulżyć Lydii-Belle Rayner w bólach krzyża, następnie udał się na kozią farmę Lestera Shedda.

Shedd omal nie umarł na zapalenie płuc i był znakomitym przykładem pacjenta, dla którego pielęgniarska posługa zakonnicy byłyby nieocenioną pomocą. Rob J. zajeżdżał do niego przez część zimy całą wiosną tak często, jak tylko się dało, i wspierany przez panią Shedd, która nie skąpiła mężowi starań, zdołał jakoś przywrócić go do zdrowia.

Gdy oświadczył, że dalsze wizyty nie będą już konieczne, Shedd odetchnął z ulgą, po czym z niepokojem podniósł kwestię należności za kurację.

- A może znalazłaby się u pana jakaś ładna mleczna kózka?
- zagadnął go Rob J., sam z lekka własnym pytaniem zaskoczony.
- Mlecznych jak raz nie ma, ale jest jedna maluśka ślicznotka, na razie za młoda, żeby ją kryć. Za parę miesięcy przyprowadziłbym do

niej któregoś z moich capów i ten już by ją obsłużył jak się patrzy. A po pięciu miesiączkach mleka a mleka!

Rob J. powiódł na postronku za koniem opierające się stworzenie, nie dalej jednak niż do klasztoru sióstr franciszkanek.

Matka Miriam podziękowała mu dość uprzejmie, choć nie omieszkała dodać cierpko, że gdy za siedem miesięcy przyjedzie z wizytą, zostanie już podjęty śmietanką do kawy, jak gdyby mu wyrzucała, że zrobił ten prezent wyłącznie dla zaspokojenia własnych egoistycznych zachcianek. Rob wszakże zauważył, że oczy jej rozbłyły, a uśmiech przydał ciepła i łagodności srogiej twarzy. Mimo wszystko odjechał więc do domu w przeświadczeniu, że godziwie spędził ten dzień.

Dorothy Burnham uważała młodego Roberta Cole'a za pilnego i pojętnego ucznia, toteż gdy obok jego nazwiska ujrzała w dzienniku pana Byersa same mierne oceny, była tym zrazu zaskoczona, potem oburzona; chłopiec był wyjątkowo bystry, nie ulegało przeto wątpliwości, że oceniano go niesprawiedliwie.

Nie miała żadnej praktyki w postępowaniu z głuchymi dziećmi, lecz będąc nauczycielką z powołania, cieszyła się, że może nabyć teraz doświadczenie. Kiedy więc następnym razem przyszło jej przez kolejne dwa tygodnie mieszkać i stołować się w domu Cole'ów, poczekała na odpowiedni moment, aby pomówić o tym na osobności z doktorem Cole'em.

– Chodzi o sposób mówienia Roberta – zaczął, on zaś skinął głową i jak spostrzegła, słuchał jej z najwyższą uwagą.

– Mamy szczęście, że mówi wyraźnie. Co nie znaczy, jak pan doskonale wie, że nie ma z mówieniem kłopotów.

Rob J. ponownie potaknął.

– Mówi monotonię, bez modulacji. Sugerowałem mu, żeby różnicował ton głosu, ale... – pokręcił głową.

– Moim zdaniem on mówi tak monotonię, bo coraz bardziej zapomina, jak brzmi ludzki głos, jak wznosi się i opada.

Sądzę, że będziemy w stanie mu to przypomnieć – powiedziała panna Burnham.

Dwa dni później, uzyskawszy zgodę Lillian Geiger, panna Burnham przyprowadziła Szamana po lekcjach do domu Geigerów. Poleciała mu, by stanął obok pianina i położył na nim dłoń wnętrzem do dołu, następnie uderzyła z całej siły w klawisz w niskich rejestrach i przytrzymała go, by vibracja struny dotarła poprzez płytę rezonansową i skrzynię instrumentu do dłoni chłopca. Spojrzała wtedy na niego i położywszy płasko dłoń prawej ręki na skrzyni pianina, powiedziała:– Na! – Uderzyła inny klawisz. – Sza! – Uniosła nieco rękę. – Szko!... – Podniosła rękę jeszcze trochę wyżej.

I tak nuta po nucie przeszła w górę całą gamę, z każdą następną wymawiając cząstkę litanii, którą zdążył już poznać w klasie: „Na-sza-szko-ła-to-i-stny-raj!” A potem zbiegła w dół gamy: „U-czy-my-się-my-śleć-tu-taj!”

Przegrała gamę wiele razy, aby chłopiec przywykł do różnicy między docierającymi do jego ręki drganiami i aby ona nabrała pewności, że Szaman dostrzega związek między stopniowym wznoszeniem się i obniżaniem dźwięków a ruchem jej dłoni.

Następnie poleciała mu, by zaśpiewał słowa, które podłożyła pod gamę, tylko że nie tak, jak zwykł czynić w szkole, mamrocąc je pod nosem, ale głośno. Rezultat okazał się zdecydowanie mało melodyjny, lecz pannie Burnham nie szło muzyczną finezję, a o to,

żeby Szaman zdobył jaką taką kontrolę nad wysokością swojego głosu, który po wielu próbach istotnie wzniósł się w odpowiedzi na energiczne podrygi jej dłoni w powietrzu, zanadto jednak, bardziej niż o ton, choć Szaman wlepiął wzrok w kciuk i palec wskazujący nauczycielki, odmierzające mu przed oczami niewielki odstęp.

Długo się tak nad nim pastwiła ku jego wielkiemu niezadowoleniu. Jej lewa ręka wędrowała po klawiaturze bębniąc w klawisze i wspinając się uparcie na szczyt gamy, a potem z niej zstępując, podczas gdy prawa wznosiła się przy każdej wyższej nucie, aby następnie tą samą drogą opadać. Szaman zaś raz po raz deklamował skrzekliwie swą miłość dla szkoły.

Czasem mroczyła mu twarz, dwa razy stanęły w oczach łzy, lecz panna Burnham zdawała się tego nie dostrzegać.

Wreszcie przestała wystukiwać gamy. Otworzyła ramionami zamknęła w nich młodego Roberta Cole'a. Tuliła go do siebie długo; zanim wypuściła chłopca z objęć, pogłaskała go dwa razy po grubych włosach z tyłu głowy.

– Możesz iść do domu – powiedziała, a gdy się już odwracał, zatrzymała go jeszcze. – Jutro po szkole znowu poćwiczmy.

Wydłużyła mu się mina.

– Dobrze, proszę pani – bąknął matowym głosem, co jej bynajmniej nie zniechęciło. Po jego wyjściu nie wstała od pianina, jeszcze raz przebiegła gamę palcami.

– Dobrze, proszę pani – powiedziała sama do siebie.

Wiosna tamtego roku przeminęła szybko. Po krótkim okresie miłego ciepła przydusiła prerię pierzyna nieznośnych upałów.

Pewnego skwarne piątkowego poranka w połowie czerwca zatrzymał Roba J. na Main Street w Rock Island kwakier George

Cliburne, który z farmera przedzierzgnął się w handlarza zbożem.

– Nie poświęciłby mi pan chwili czasu, doktorze? – zagadnął go grzecznie, po czym za obopólną milczącą zgodą usunęli się obaj z palącego słońca w zmysłowy niemal chłód cienia hikory.

– Słyszałem, że żywi pan współczucie dla osób żyjących w niewoli.

Roba J. zaskoczyło to stwierdzenie. Znał handlarza zbożem jedynie z widzenia. George Cliburne cieszył się reputacją dobrego kupca, chytrego, lecz rzetelnego.

– Moje poglądy są moją prywatną sprawą. Kto to panu powiedział?

– Doktor Barr.

Rob J. przypomniał sobie rozmowę z doktorem Naismithem na zebraniu Towarzystwa Lekarskiego. Zauważył, że Cliburne rozgląda się dokoła, jakby chciał się upewnić, czy rozmawiają bez świadków.

– Co prawda niewolnictwo jest w naszym stanie zabronione – zaczął – ale sądy uznają prawa posiadaczy niewolników z innych stanów. Toteż zbiegli niewolnicy z Południa są u nas aresztowani, a następnie zwracani właścicielom. Traktuje się ich przy tym okrutnie. Na własne oczy widziałem w Springfield wielki dom pełen ciasnych celek z przytwierdzonymi do ścian ciężkimi kajdanami i łańcuchami

na nogi. Dlatego niektórzy z nas... ludzie podobnych przekonań, zgodni co do tego, że niewolnictwo jest złem, podejmują się pomagać zbiegom szukającym wolności.

Chcieliśmy zaprosić pana do udziału w naszym zbożnym trudzie.

Rob J. czekał, że Cliburne wprowadzi go w szczegóły, w końcu zdał sobie jednak sprawę, iż złożono mu propozycję, do której musi

się ustosunkować.

– Miałbym im pomagać?... W jaki sposób?

– Nie wiemy, skąd ci ludzie przybywają ani dokąd stąd odchodzą. Przywożą ich do nas i zabierają tylko w bezksiężycowe noce. Musiałby pan przygotować bezpieczną kryjówkę, dostatecznie dużą, żeby mogła pomieścić człowieka.

Jakąś piwniczkę, schowek, dziurę w ziemi... Do tego żywność na trzy, cztery dni.

Rob J. nie namyślał się ani przez chwilę. Pokręcił głową.

– Bardzo żałuję, nie mogę.

Na twarzy Cliburne'a nie odbiło się ani zdziwienie, ani niechęć. Wyraz, jaki się na niej odmalował, był jednak Robowi J. skądś znajomy.

– Czy zechce pan zachować naszą rozmowę dla siebie?

– Rozumie się. Oczywiście. Cliburne odetchnął i kiwnął głową.

– Niech Bóg ma pana w opiece – powiedział, po czym obaj zebrawszy się w sobie, by móc stawić czoło lejącemu się z nieba żarowi, wystąpili z cienia hikory.

Dwa dni później przyszli do Cole'ów na niedzielny obiad Geigerowie. Chłopcy Cole'ów przepadali za tymi proszonymi obiadami, ponieważ były wystawne. Sara czuła się z początku dotknięta, że zaproszeni sąsiedzi odmawiają spożycia jej pieczeni, przestrzegając koszerii, potem to jednak zrozumiała i starała się im zrekompensować owo wyrzeczenie. Kiedy na obiad przychodzili Geigerowie, na stole pojawiały się zawsze specjalne frykasy – bezmięsna zupa, dodatkowe leguminy i warzywa, bogaty wybór deserów.

Tej niedzieli Jay przyniósł z sobą egzemplarz wychodzącej w Rock Island gazety „Weekly Guardian”, gdzie opisywano sprawę sądową Dreda Scotta, i orzekł, że niewolnik ma mizerne widoki na pomyślne zakończenie wszczętego przez siebie procesu.

– A Malcolm Howard mówi, że u nich w Luizjanie wszyscy mają niewolników – wtrącił się Alex, na co jego matka uśmiechnęła się z lekka.

– Nie wszyscy – sprostowała cicho. – Wątpię, żeby ojciec Malcolma Howarda miał kiedy niewolników lub w ogóle cokolwiek.

– A czy twój tata miał niewolników w Wirginii? – zapytał Szaman.

– Mój ojciec miał raptem niewielki tartaczek – odrzekła. – I trzech niewolników, ale potem przyszły ciężkie czasy, więc musiał ich sprzedać razem z tartakiem i nająć się do roboty u swojego ojca. Dziadek miał wielką farmę, na której pracowało ponad czterdziestu czarnych.

– A rodzina mojego taty z Wirginii? – zapytał Alex.

– Oni mieli sklep – odparła Sara. – Nie trzymali niewolników.

– A dlaczego ludzie chcą zostawać niewolnikami? – zainteresował się Szaman.

– Oni wcale tego nie chcą – wyjaśnił synowi Rob J. – To są biedni, nieszczęśliwi ludzie, którym przypadł w udziale opłakany los.

Jay pociągnął łyk wody studziennej i odął usta.

– Widzisz, tak to już jest po prostu urządzone, chłopcze, od dwustu lat już tak się na Południu sprawy mają. Istnieją co prawda radykałowie, którzy twierdzą, że czarnych powinno się uwolnić. Ale



gdyby taki stan jak Południowa Karolina wyzwolił wszystkich niewolników, cóż by oni ze sobą poczęli? Widzisz, teraz pracują dla białych i biali się o nich troszczą. Kuzyn Lillian, Juda Benjamin, miał przed paroma laty na swojej plantacji cukru w Luizjanie stu czterdziestu niewolników. I naprawdę bardzo o nich dbał. Mój ojciec w Charlestonie ma w domu dwóch czarnych służących. Miał ich, odkąd pamięcią sięgam. Obchodzi się z nimi tak łaskawie, że choćby ich wyrzucano, nie chcieliby odejść.

– Święta prawda – potwierdziła Sara.

Rob J. już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale rozmyślił się i podsunął Rachel groszek z marchewką. Sara wyszła do kuchni i po chwili wniosła ogromnych rozmiarów ziemniaczany pudding, upieczony według przepisu Lillian Geiger. Na jego widok Jay jęknął, że jest objedzony jak bąk, mimo to podstawił swój talerz.

Gdy Geigerowie zbierali się do odejścia, Jay począł namawiać przyjaciela, by do nich zaszedł, to razem z Lillian pograją sobie tria. Rob wymówił się zmęczeniem. Naprawdę zaś nie był usposobiony towarzysko, humor miał nieszczerólny.

Żeby się z tego nastroju otrząsnąć, poszedł się przewietrzyć nad rzekę. Zobaczył, że na grobie Makwy wyrosły chwasty, i jął je z wściekłością wyrywać, tak że po chwili nie został po nich ani ślad.

Uświadomił sobie, skąd znał ów wyraz, jaki ukazał się na obliczu George'a Cliburne'a. Był dokładnie taki sam jak ten, który odmalował się na twarzy Andrew Geroulda, gdy pierwszy raz poprosił Roba o napisanie ulotki przeciwko panowaniu Anglików i spotkał się z odmową. Miny obu mężczyzn ujawniały mieszaninę uczuć – fatalizmu, upartej siły oraz obawy wynikłej z

uświadomienia sobie, że ich los zawisł teraz od prawości jego charakteru i dyskrekcji.

---

## 34 Powrót

---

Pewnego ranka, gdy nad rzeką wisiała mgła, wdzierając się w pasmo lasu ciężkim kożuchem mlecznych oparów, Szaman wyszedł z domu i minąwszy wygodkę, sikał leniwie do obfitszego nurtu. Przez wyższe warstwy mgielnego tumanu przeświecała pomarańczowa tarcza, rozjarzając w ich niższych pokładach blade rozbłyski. Świat pachniał mile świeżością i chłodem, a krąg rzeki i lasu, który chłopiec ogarniał wzrokiem, współbrzmiał z wieczną ciszą w jego uszach. Gdyby chciał dzisiaj łowić, (twierdził w duchu, należałoby wziąć się za to wcześniej.

Odwrócił się od rzeki. Pomiedzy nim a domem znajdował się grób, kiedy więc dostrzegł czyjąś majaczącą wśród strzępów mgły postać, nie uczuł lęku, miotał się tylko przez chwilę między niedowierzaniem a uczuciem najgłębszego szczęścia i wdzięczności. „Duchu, wzywam dziś ciebie. Duchu, przemawiam do ciebie.”

– Makwa! – wykrzyknął z radością i skoczył w jej stronę.

– Szaman?

Dobiegłszy do spowitej w mgłę postaci stwierdził z rozpaczą, że to nie Makwa.

– Księżyc?... – Wyglądała tak nędznie, że opatrzył jej imię znakiem zapytania.

Za jej plecami dostrzegł sylwetki dwóch mężczyzn. Jednego z Indian nie znał, drugim był Kamienny Pies, który pracował u Jaya Geigera. Kamienny Pies był nagi od pasa w górę, nogiokrywały mu spodnie z jeleniej skóry. Nieznajomy miał na sobie gacie z samodziału i postrzępioną koszulę. Obaj Indianie mieli na nogach mokasy, a Księżyc robocze buciska białych ludzi i starą, brudną, rozerwaną na prawym ramieniu niebieską sukienkę. Mężczyźni trzymali w rękach rzeczy, które Szaman rozpoznał – gomółkę sera, wędzoną szynkę, surowy udziec barani. Odgadł, że włamali się do spiżarni.

– Macie whisky? – zagadnął Kamienny Pies wskazując gestem dom, na co Księżyc powiedziała coś ostrym tonem w języku plemienia Sauk i zaraz potem osunęła się na ziemię.

– Dobrze się czujesz, Księżyc? – zaniepokoił się Szaman.

– Szaman... patrzcie no, jak wyrósł. – Patrzyła nań z niedowierzaniem.

Ukląkł obok niej.

– Gdzieście się podziewali? Czy inni też z tobą wrócili?

– Nie... są w Kansas. Wrezerwacie. Zostawiłam tam dzieci, ale...

– Zamknęła oczy.

– Pójdę po ojca – powiedział i jej oczy się otworzyły.

– Oni nas bardzo skrzywdzili, chłopcze – wyszeptała. Jej ręce poszukały jego dłoni, uczepiły się ich.

Chłopiec poczuł, jak coś przepływa z jej ciała do jego mózgu.

Miał wrażenie, że odzyskał słuch, że uderzył grom i nagle go oświecił. Wiedział – nie miał pojęcia skąd, ale wiedział – co ją

czeka. Poczuł mrowienie w dłoniach. Otworzył usta, lecz nie był w stanie wykrztusić słowa, nie potrafił jej ostrzec. Był sparaliżowany strachem dotąd mu nie znanym, straszliwszym od przerażenia wywołanego nagłym ogłuchnięciem, gorszym od wszystkiego, czego w życiu doświadczył.

Udało mu się w końcu odepchnąć jej rękę.

Puścił się pędem w stronę domu, jakby cała jego nadzieja zawierała się w tym biegu.

– Tato! – krzyknął.

Rob J. przywykł do tego, że budzą go w nagłych wypadkach, ale nie był przyzwyczajony do hysterii syna. Szaman bełkotał coś w kółko o Księżyc – że wróciła i że umiera. Rodzice dopiero po kilku minutach zrozumieli, o czym mówi, i skłonili go do skupienia uwagi na ich ustach, aby mogli zadawać mu pytania. Kiedy dotarło do nich, że Księżyc naprawdę wróciła i leży ciężko chora na ziemi nad rzeką, wypadli oboje z domu.

Mgła podnosiła się szybko. Widoczność była już lepsza, mogli się więc z łatwością przekonać, że we wskazanym miejscu nikogo nie ma. Jeszcze raz drobiazgowo wypytali o wszystko syna. Upierał się, że na pewno widział Księżyc, Kamiennego Psa i jeszcze jakiegoś Sauka. Opowiedział, jak byli ubrani, co mówili, jak wyglądali.

Usłyszawszy, co trzymali w rękach, Sara pośpieszyła do spiżarni, skąd wróciła po chwili zagniewana, ktoś bowiem włamał się i ukradł kilka ciężką pracą zdobytych produktów.

– Robercie Cole – natarła ostro na syna – czy to aby nie ty przez złośliwą psotę zabrałeś te rzeczy, a potem zmyśliłeś tę opowiastkę o powrocie Sauków?

Rob J. poszedł w górę, a potem w dół rzeki. Wołał Księżyc po imieniu, lecz nikt mu nie odpowiedział. Szaman zanosił się od płaczu.

– Ona umiera, tato.

– Skąd możesz o tym wiedzieć?

– Wzięła mnie za rękę i... – Zadrżał.

Rob J. popatrzył na syna i westchnął. Pokiwał głową, podszedł, objął go i mocno przytulił.

– Nie bój się. To, co spotkało Księżyc, nie jest twoją winą.

Porozmawiamy o tym później, postaram ci się to wytłumaczyć.

Ale najpierw spróbuję ją odnaleźć – powiedział.

Wyruszył na poszukiwania konno. Przez cały ranek przetrząsał gęsty nadrzeczny las, gdyby bowiem sam uciekał i pragnął się ukryć, zaszyłby się właśnie w te bory. Pojechał najpierw na północ, w stronę Wisconsin, potem zawrócił i ruszył na południe. Co pewien czas wołał Księżyc po imieniu, ale nikt mu nie odpowiadał.

Niewykluczone, że w trakcie tych poszukiwań zbliżał się do trójki Indian na niewielką odległość. Niewykluczone, że kilka razy przejechał tuż obok nich, zaczajonych w leśnym poszyciu. Wczesnym popołudniem zmuszony był przyznać, że nie potrafi sobie wyobrazić, jakim torem biegną myśli uciekających Sauków, gdyż nie był uciekającym Saukiem.

Być może od razu oddalili się od rzeki. U schyłku lata preria porośnięta była bujną roślinnością, wysokie trawy skryłyby bez trudu trójkę uciekinierów, a i pola kukurydzy, przerastającej człowieka o stopę, zapewniały wyborne schronienie.

W końcu zaniechał prób i wrócił do domu, gdzie czekał na niego Szaman, wyraźnie rozczarowany, gdy się dowiedział, że

poszukiwania okazały się daremne.

Rob J. siadł z synem pod drzewem nad rzeką i opowiedział mu o Darze, który jak daleko sięgała pamięć w ich rodzinie, spływał na pojedynczych członków rodu Cole'ów.

– Chociaż nie na wszystkich – tłumaczył. – Bywało, że przeskakiwał pokolenie. Mój ojciec go miał, ale już brat i stryj nie. Dar spływa na wybranych Cole'ów, kiedy są jeszcze bardzo młodzi.

– Czy ty go masz, tato?

– Tak.

– Ile miałeś lat, kiedy...?

– Obudził się we mnie, jak byłem o pięć lat starszy niż ty teraz.

– A co to właściwie takiego? – zapytał cicho chłopiec.

– No cóż... prawdę mówiąc nie wiem, synku. Wiem tylko, że nie ma w tym żadnych czarów. Wydaje mi się, że to rodzaj zmysłu, podobnie jak wzrok, słuch czy węch. Niektórzy z naszej rodziny dotknąwszy ręk drugiego człowieka, potrafią określić, czy on umrze czy nie. Myślę, że to po prostu swoista nadwrażliwość, podobnie jak umiejętność wyczuwania pulsu, kiedy się dotyka różnych części ciała. Niekiedy talent ten... – wzdrygnął się. – Bywa przydatny, jak się jest lekarzem.

Szaman potaknął z drzeniem.

– Myślę, że i mnie się przyda, kiedy zostanę lekarzem.

Ojciec uznał, że skoro chłopiec jest już na tyle duży, że doświadczył Daru, okaże się też chyba wystarczająco dojrzały, by spojrzeć w oczy również gorzkiej prawdzie.

– Ty nie możesz zostać lekarzem, Szamanie – rzekł miękko. – Lekarz musi słyszeć. Ja codziennie posługuję się słuchem, lecząc

moich pacjentów. Osłuchuję ich płuca, słucham, jak oddychają, wsłuchuję się w dźwięk ich głosu.

Lekarz musi być w stanie usłyszeć wołanie o pomoc.

Potrzebuje po prostu wszystkich pięciu zmysłów.

Syn obrzucił go spojrzeniem, które przeszło mu serce.

– Więc co będę robił, jak dorosnę?

– To dobra farma. Możesz ją prowadzić do spółki z Dużym – odrzekł Rob J., na co chłopiec pokręcił tylko głową. – No więc możesz zostać przedsiębiorcą, możesz pracować w sklepie. Panna Burnham twierdzi, że należysz do najlepszych uczniów, jakich kiedykolwiek miała. Może będziesz chciał uczyć w szkole.

– Nie chcę uczyć w szkole.

– Jesteś jeszcze młody, synku. Dopiero za parę lat będziesz musiał podjąć decyzję. Tymczasem miej oczy szeroko otwarte.

Przyglądaj się innym ludziom, przypatruj ich zajęciom.

Istnieje wiele sposobów zarabiania na życie. Będziesz mógł wybrać, co tylko zechcesz.

– Z wyjątkiem... – przypomniał Szaman.

Rob J. nie miał zamiaru przyczynić chłopcu bólu robiąc mu złudzenia, że może się spełnić to marzenie, jego zdaniem absolutnie nieziszczalne.

– Tak. Z tym wyjątkiem – potwierdził stanowczo.

Smutny to był dzień i napełnił Roba J. gniewem na niesprawiedliwość życia. Bolesnie przeżył konieczność zabicia jasnego i pięknego marzenia swego syna. Było to równie okropne jak powiedzenie komuś, kto kocha życie, że nie ma sensu, by układał plany na przyszłość. Snuł się bez celu po farmie. Nad rzeką

cięty dotkliwie komary, rywalizując z nim o miejsce w cieniu drzew – i odnosząc zwycięstwo.

Wiedział, że nigdy już nie ujrzy Księżyc, i żałował, że nie mógł się z nią pożegnać. Zapytałby, gdzie pochowali Nadchodzącego ze Śpiewem. Chciałby wyprawić obojgu godny pochówek, a teraz pewnie i Księżyc zostanie wrzucona do nie oznaczonego grobu. I zagrzebana jak psie łajno.

Ta myśl przyprawiała go o wściekłość i napełniała poczuciem winy, był wszak po części, on i jego farma, przyczyną ich nieszczęść. Indianie z plemienia Sauk posiadali niegdyś żyzne ziemie, a groby w ich Wiosce Zmarłych nie były anonimowe.

„Oni nas bardzo skrzywdzili” – powiedziała Szamanowi.

Ameryka miała dobrą konstytucję, przeczytał ją uważnie.

Konstytucja Ameryki przyznawała wolność – przekonał się jednak, że wyłącznie tym, których kolor skóry mieścił się w przedziale odcieni od bieli po brąz opalenizny. Ludzi o ciemniejszej karnacji mogła równie dobrze porastać sierść lub pierze.

Wałęsając się tak po farmie przez cały czas nieświadomie czegoś szukał. Gdy w końcu zdał sobie sprawę, za czym się rozgląda, poczuł się nieco lepiej. Miejsce, jakiego szukał, nie powinno się znajdować na polu ani w lesie, gdzie mogliby natknąć się na nie Alden bądź któryś z chłopców, a choćby i jakiś kłusownik. Dom również nie wchodził w rachubę, Rob musiał bowiem zachować sekret przed resztą rodziny, co bardzo mu zresztą doskwierało. Jego przychodnia bywała pusta, lecz w godzinach przyjęć tłoczno w niej było od pacjentów. Do obory też często ktoś zaglądał. Chociaż...

Za stodołą, oddzielona ślepią ścianką od dojarni, znajdowała się długa, wąska komórka – szopa Roba J. Przechowywał w niej leki,



środki uśmierzające ból oraz inne specyfiki. Oprócz wiszących u powały ziół i półek pełnych butelek i słoików, miał tam drewniany stół i dodatkowy zestaw misek drenażowych, kiedy mu bowiem polecano wykonać sekcję, przeprowadzał ją w tej komórce, zaopatrzonej w grube drewniane drzwi, zamykane na solidny zamek. Węższa, północna ściana tego pomieszczenia, podobnie jak cała północna ściana stodoły, była wpuszczona w stok wzgórza. W komórce część tej ściany stanowiła skała, część – ziemia.

Nazajutrz miał sporo pacjentów w przychodni i odbył wiele domowych wizyt, dopiero więc rankiem następnego dnia zdołał się uwolnić od lekarskich obowiązków. Tak się złożyło, że akurat Szaman i Alden naprawiali płot i stawiali karmnik w odległej części farmy, Sarę zaś pochłaniały jakieś kościelne sprawy. W domu została tylko Kate Stryker, którą po odejściu Księżyc jego żona najęła do pomocy w prowadzeniu gospodarstwa, lecz Kate nie będzie mu przeszkadzać.

Ledwo pozostali domownicy udali się do swoich zajęć, Rob zaniósł do komórki kilof i szpadel i zabrał się do roboty. Już od dawna nie wykonywał cięższych prac fizycznych, toteż sam siebie studził w zapale. Ziemia była kamienista i gliniasta, jak większość gruntów na farmie, lecz on był silny, więc kilof rozdzierał ją bez trudu. Co pewien czas ładował urobek na taczkę i wywoził do małego jaru, spory kawałek za stodołę.

Obliczał, że kopanie zajmie mu zapewne kilka dni, tymczasem już wczesnym popołudniem dotarł do litej skały.

Skalista ściana odchylała się ku północy, toteż jama, którą udało mu się wykopać, miała jedynie trzy stopy głębokości z jednego końca, nieco ponad pięć z drugiego, szeroka zaś była na niecałe pięć

stóp. Wydrążona nisza ledwie mogła pomieścić dorosłego człowieka na leżąco, a przecież musiało w niej starczyć jeszcze miejsca na żywność i inne zapasy, Rob J.

uznał jednak, że się nada. Zasłonił otwór calowymi, pionowo mocowanymi deskami, które od prawie roku leżały na dworze, nie odróżniały się więc od reszty stodołnego budulca. Szydłem powiększył nieco ponad miarę część otworów na gwoździe, które przed wbiciem naoliwił, tak że kilka desek dawało się wyjmować i zakładać z powrotem łatwo i bez hałasu.

Zachowując wszelkie środki ostrożności, pojechał na koniec z taczka do lasu, gdzie nakopał ziemi przemieszanej z liśćmi, i potem rozrzucił ją w jarze, żeby przykryć tę świeżo zwiezioną.

Nazajutrz rano zaś wybrał się do Rock Island i odbył krótką, ale treściwą rozmowę z George'em Qiburne'em.

---

## 35 Kryjówka

---

Jesienią tego roku w świecie Szamana zaszły wielkie zmiany, co prawda nie tak nagłe i zatrważające jak utrata słuchu, lecz nie mniej rewolucyjne, czego nie łagodziło bynajmniej to, że zachodziły stopniowo. Alex i Mai Howard zostali serdecznymi przyjaciółmi i rzadko dopuszczali Szamana do swej wesołej, zawadiackiej kompanii. Państwo Cole niechętnym okiem spoglądali na tę

przyjaźń. Mollie Howard znali jako wiecznie biadolącą flejtuchę, a jej męża, Juliana, jako ciemięgę i obiboka, toteż bez sympatii patrzyli na przesiadywanie ich syna w zatłoczonej i brudnej chałupie Howardów, dokąd spory odłam miejscowej ludności udawał się po zakup bimbrowej domowej produkcji, z niezmierną powagą destylowanego przez Juliana ze zbożowego zacieru dwukrotnie w ukrytym parowniku z zardzewiałą pokrywą.

Ich niepokój wzrósł dodatkowo, kiedy w wigilię zaduszek Alex i Mai przeprowadzili degustację whisky, której próbki ten drugi odlał zmyślnie podczas butelkowania ojcowskiego produktu. Podochoceni trunkiem przebyli pół miasteczka, znacząc szlak swego przejścia przewracanymi ubikacjami aż do momentu, gdy z wywróconej wygodki wypełzła z krzykiem Alma Schroeder. Wtedy to jej mąż, Gus, przerwał ich szampańską zabawę, wypadając z domu ze strzelbą na bizony.

Incydent ów dał początek serii przykrych dysput między Alexem a jego rodzicami. Szaman owych rozmów starannie unikał, przyjrzawszy się bowiem wstępnej wymianie zdań, nieznajdował żadnej przyjemności w czytaniu z warg. Jeszcze mniej przyjemne było spotkanie chłopców oraz ich ojców z szeryfem Londonem.

Julian Howard splunął i wyraził zdziwienie, że robi się „tyle hałasu o to, że dwóch smarkaczy narozrabiało trochę przy święcie”.

Rob J. starał się zapomnieć o swojej antypatii do Howarda, który – gotów był pójść o zakład – należał z pewnością do Najwyższego Zakonu Gwiazdzistego Sztandaru (o ile istniał w Holden's Crossing oddział tej organizacji) i sam potrafił nieźle narozrabiać. Zgodził się z nim co prawda, że chłopcy nie są mordercami ani łobuzami, ale ponieważ jego profesja podchodziła do procesu trawiennego

człowieka z należytą powagą, nie podzielał powszechnej skłonności do traktowania wszystkiego, co ma związek z wypróżnianiem się – w tym do wywracania wychodków – jako niewinnej zabawy. Zdawał sobie sprawę, że szeryf przyszedł na to spotkanie z pół tuzinem skarg na młodych urwisów w zanadru i będzie domagał się kary, nie przepadał bowiem za ich ojcami. Zasugerował więc, by zobowiązać sprawców szkód do ich naprawienia. Trzy z przewróconych ubikacji połupały się bądź całkiem rozpadły, dwóch nie można było postawić nad tymi samymi dołami kloacznymi, gdyż były już przepełnione. W akcie zadośćuczynienia chłopcy powinni wykopać nowe doły i naprawić zdemolowane wygodki. Jeśli będzie do tego celu potrzebna świeża tarcica, Rob J. za nią zapłaci, a winowajcy odpracują potem dług na jego farmie.

Gdyby zaś nie wywiązali się z tej umowy, szeryf London weźmie sprawę w swoje ręce.

Mort London przyznał niechętnie, że nie dostrzega żadnych uchybień w tym planie. Julian Howard był mu przeciwny, dopóki się nie dowiedział, że w przeciwnym razie jego chłopak i syn Cole'ów odpowiedzialiby także za inne swoje sprawki, w końcu zatem na takie rozstrzygnięcie przystał. Ani Alexa, ani Mala nie pytano w tej kwestii o zdanie, toteż w ciągu następnego miesiąca stali się obaj ekspertami od renowacji latryn. Zaczęli od wykopania dołów, nie czekając, aż mrozy skują grunt, a następnie zgrabiałymi z zimna rękami jęli się prac stolarskich. Budowali solidnie; ich ustępy miały przetrwać lata, wyjąwszy wychodek za domem Humphreya, który latem roku sześćdziesiątego trzeciego trąba powietrzna rozdarła na drzazgi, zrównując przy okazji z ziemią sam dom i stodołę i zabijając Ininga i Letty Humphreyów.

Alex okazał się nieposkromiony. Wróciwszy pewnej nocy późno, wszedł z lampą naftową do sypialni, którą dzielił z Szamanem, i oświadczył ze szczerym ukontentowaniem, że wreszcie to zrobił.

– Co takiego? – zapytał Szaman, mruganiem powiek spędzając z oczu sen, aby widzieć brata.

– No, wiesz... Zrobiłem to. Z Pattie Drucker. Szaman był już zupełnie rozbudzony.

– Srali muszki, Duży. Łżesz jak pies.

– Nie łżę, naprawdę to zrobiłem. Z Pattie Drucker. U niej w domu, jej rodzina wyjechała do jakiegoś wujka.

Szaman z zachwytem i zgrozą pożerał wzrokiem brata. Trudno mu było dać wiarę jego słowom, a odczuwał zarazem przemożną pokusę, aby w nie jednak uwierzyć.

– Skoro to zrobiłeś, to gadaj, jak to jest?

Alex uśmiechnął się pyszałkowato i przystąpił do udzielania odpowiedzi na to pytanie.

– Jak już precyzyjnie małego przez te kudełki i wepchniesz go w cipkę, robi ci się ciepło i przyjemnie. Cholernie ciepło i przyjemnie. A potem coś ci się każe ruchać w te i nazad. W te i nazad, zupełnie jak tryk na owcy, i masz z tego cholerną frajdę.

– A dziewczyna też się rucha w te i nazad?

– Nie. Dziewczyna leży zadowolona jak licho i tylko pozwala się bzykać.

– A potem?

– No, wiesz, dostajesz zezę. Śmietanka strzela ci z fajfusa jak kula.

– Ojejku! Czy ją to boli?

– Coś ty, głupi? Chodzi o to, że jest szybka jak kula, a nie że taka twarda. Laksa jest miękka niż budyń, taka jak wtenczas, gdy

trzepiesz patafiana. No a potem jest już właściwie po wszystkim.

Szaman nie mógł dłużej wątpić w słowa brata, przekonany mnogością szczegółów, z jakimi się dotąd nie zetknął.

– To znaczy, że Pattie Drucker jest teraz twoją dziewczyną?

– Jeszcze czego!– Na pewno nie? – dopytywał się zaniepokojony Szaman.

Pattie Drucker była już prawie tak duża jak jej matka o nalanej twarzy i miała śmiech podobny do rżenia osła.

– Za smarkaty jesteś, żeby to zrozumieć – mruknął Alex z niechęcią i rozczarowaniem, po czym zdmuchnął lampę, przecinając tym samym rozmowę.

Szaman leżał w ciemności, podniecony i zmartwiony zarazem, i rozmyślał o tym, co mu powiedział brat. Nie spodobało mu się to o dostawaniu zeza. Od Luke'a Stebbinsa wiedział, że ten, kto się brandzluje, może oślepnąć. Dość mu już było głuchoty, nie miał zamiaru tracić następnego zmysłu. Kto wie, czy już nie zaczyna, ślepnąć? przestraszył się. Nazajutrz chodził jak struty, sprawdzając swój wzrok na przedmiotach bliskich i dalszych.

Im mniej czasu poświęcał mu Duży, tym więcej spędzał go Szaman nad książką. Książki dosłownie pochłaniał i dopraszał się ich bezwstydnie. Geigerowie mieli zasobną bibliotekę i pozwalali mu z niej korzystać. Na urodziny i na gwiazdkę dawano mu książki – paliwo, na którym rozpalał ogień ogrzewający jego samotność. Panna Burnham oświadczyła, że jeszcze nigdy nie spotkała takiego pożeracza słowa drukowanego.

Dręczyła go bez litości pracą nad jego wymową. Podczas wakacji mieszkała i stołowała się za darmo w domu Cole'ów, Rob J. dbał przy tym, by wysiłek, jaki wkładała w naukę jego syna, nie

pozostawał bez nagrody, choć ona nie pracowała z Szamanem dla prywatnych korzyści. Wyraźna wymowa ucznia stała się celem jej osobistej ambicji. Ćwiczenia z ręką na skrzyni pianina trwały nieprzerwanie. Pannę Burnham zafascynowało spostrzeżenie, że jej uczeń od początku przejawiał wrażliwość na różnice drgań i wkrótce umiał rozpoznawać ton, zaledwie uderzyła w klawisz.

Dzięki lekturom słownik chłopca szybko się powiększał, trudności sprawiała mu jednak wymowa słów, będąc głuchym nie mógł się bowiem uczyć od innych, jak winna brzmieć poprawnie. Wyraz „katedra” wymawiał na przykład z przyciskiem na ostatniej sylabie: „ka-te-dra”. Panna Burnham odkryła w końcu, że jego kłopoty z mówieniem biorą się po części z niewiedzy o tym, jak akcentować wyrazy. Żeby zobrazować mu to zagadnienie, używała gumowej piłeczki.

Odbijała ją lekko, chcąc wskazać na akcent poboczny, i silniej, by wskazać na główny. Nawet nauka tego prostego ćwiczenia wymagała czasu, ponieważ samo łapanie odbitej piłki nastroczało chłopcu trudności. Panna Burnham uświadomiła sobie, że ją do złapania piłki przygotowuje odgłos jej odbicia się od podłogi. Szaman był tego uprzedzającego sygnału pozbawiony, toteż musiał nauczyć się chwycić ją zapamiętawszy, ile dokładnie czasu potrzebuje piłka rzucona z określoną siłą na uderzenie o podłogę i powrót do jego ręki.

Kiedy nauczył się już identyfikować odbicia piłki z przyciskiem akcentowym, nauczycielka opracowała serię ćwiczeń z użyciem przyborów piśmiennych: drukowanymi literami wypisywała kredą na tabliczce słowa, zaznaczając mniejszymi kółeczkami sylaby nie

akcentowane, a większymi te, na które padał akcent: Ka-te-dra. Dzien-do-bry. e-Wa-zSk. Przy-ję-cie.

Ćó-ra”

Rob J. przyłączył się do jej starań i zaczął uczyć Szamana żonglerki. W lekcjach tych brali często udział Alex i Mai Howard. Rob żonglował też czasem dla rozrywki chłopców.

Przyjmowali jego popisy z rozbawieniem i zaciekawieniem, lecz nauka żonglerki szła im mozolnie. Zachęcał ich jednak, by nie rezygnowali z wysiłków.

– W Kilmarnock wszystkie dzieci z rodziny Cole’ów uczą się żonglerki. To nasz stary rodzinny obyczaj. Skoro one mogą się jej nauczyć, możecie i wy – powiedział, a chłopcy stwierdzili z czasem, że miał słuszość. Ku rozczarowaniu Roba najzręczniejszym z całej trójki żonglerem okazał się młody Howard, który nauczył się żonglować czterema kulami.

Szaman nie pozostawał za nim zbyt daleko w tyle, co do Alexa zaś, to tak długo i uparcie trenował, aż doszedł w końcu do wprawy w podrzucaniu trzech kul. Celem Roba J. nie było wszakże wykształcenie kuglarza, lecz wyrobienie w Szamanie poczucia zmiennych rytmów – i ten cel został osiągnięty.

Któregoś popołudnia, gdy panna Burnham i jej uczeń ćwiczyli przy pianinie Lillian Geiger, nauczycielka położyła rękę chłopca na swojej szyi.

– Kiedy mówię – powiedziała – struny głosowe mojej krtani drżą jak stalowe struny pianina. Czy czujesz ich wibrację, czujesz, jak się zmienia przy wymawianiu różnych słów?

Pokiwał skwapliwie głową. Uśmiechnęli się do siebie.



– Ach, drogi chłopcze – zawołała Dorothy Burnham, zdejmując jego dłoń ze swej szyi i biorąc ją w ręce – robisz takie wspaniałe postępy! Ale powinieneś stale ćwiczyć, częściej, niż zdolna ci to jestem zapewnić, kiedy mamy zajęcia w szkole.

Może znalazłby się ktoś, kto by nam pomógł?

Szaman zdawał sobie sprawę, że ojciec jest zajęty leczeniem pacjentów, a matka działalnością w kościele; wyczuwał zresztą jej niechęć – zastanawiającą dlań, lecz bynajmniej nie urojoną – do zajmowania się jego głuchotą. Alex natomiast uporawszy się z obowiązkami, natychmiast zniknął gdzieś z Malem.

Dorothy westchnęła.

– Kogo by tu znaleźć, kto mógłby ćwiczyć z tobą regularnie?

– Ja chętnie pomogę – odezwał się czyjś głos. Dobięł z wielkiego, stojącego tyłem do pianina fotela z końskiego włosia, z którego w następnej chwili, ku zdumieniu nauczycielki, zerwała się Rachel Geiger i podeszła do nich.

Ciekawe, jak też ona często siedziała tak nie zauważona, przysłuchując się ich treningom w mówieniu, pomyślała panna Burnham.

– Na pewno sobie poradzę, proszę pani – powiedziała szybko dziewczynka.

Szaman sprawiał wrażenie zadowolonego. Dorothy uśmiechnęła się do Rachel i uściśnęła jej rękę – Jestem pewna, że świetnie sobie poradzisz, kochanie – przytaknęła.

Rob J. nie doczekał się odpowiedzi na żaden z listów, które wysłał w sprawie śmierci Makwy, pewnej nocy usiadł więc i dał upust swemu rozgoryczeniu, pisząc jeszcze jeden list, ostrzejszy od poprzednich, w nadziei, że jego ton wzburzy zatęchłe bajoro.

„Zbrodnia gwałtu i zabójstwa została zbagatelizowana przez przedstawicieli rządu i sądownictwa, co każe zadać pytanie, czy stan Illinois – a w gruncie rzeczy całe Stany Zjednoczone Ameryki – jest królestwem prawdziwej cywilizacji czy może terytorium, na którym wolno postępować jak najnikczemniejsze bestie i być pewnym całkowitej bezkarności.”

Kopie tego listu wysłał do tych samych władz, do których skierował poprzednią petycję, licząc, że ostrzejszy ton wywrze pożądaný skutek.

W ogóle nikt się z nim nie komunikował, pomyślał z żalem.

Niemal w gorączce wykopał jamę za komórką, a gdy czekałagotowa, George Giburne nie dawał znaku życia. Początkowo, kiedy mijające dni sumowały się w tygodnie, rozważał, jaką drogą zostanie zawiadomiony, potem zastanawiał się już tylko, dlaczego go pomijają. W końcu zapomniał o tajemnym loszku i jak co roku oddał się obserwacji coraz krótszych dni, kluczy gęsi ciągnących na południe po błękitnym niebie, szmerowi rzeki, której wody im były zimniejsze, tym bardziej krystaliczne. Kiedy pewnego ranka zajechał do miasteczka i zsiadał z małego konika rasy pinto o zapadniętej siodłowato szyi, z krzeselka na ganku przed sklepem podniósł się Carroll Wilkenson i podszedł do niego.

– Nowy koń, doktorze? – zagadnął.

– Na razie jej tylko próbuję. Nasza Wiki jest już prawie ślepa. Nadaje się tylko dla dzieci na przejażdżki po pastwisku, ale... Ta ślicznotka należy do Toma Beckermanna. – Pokręcił głową. Doktor Beckermann zapewniał go, że klaczka liczy sobie wszystkiego pięć lat, lecz jej dolne siekacze były już tak starte, że musiała być

dwakroć starsza, płoszyła się zaś na widok byle muszki i poruszającego się cienia.

– Przywiązał się pan do klaczek?

– Nie w tym rzecz. Choć przyznać muszę, że są stateczniejsze od ogierów.

– Uważam, że ma pan absolutną rację. Absolutną... Widziałem się wczoraj z George'em Cliburne'em. Prosił, żebym panu powtórzył, że dostał trochę nowych książek i pyta, czy nie miałby pan ochoty ich sobie obejrzeć.

To był umówiony sygnał. Zaskoczył go całkowicie.

– Dzięki, Carroll. George ma naprawdę wspaniałą bibliotekę. – Miał nadzieję, że udało mu się opanować drżenie głosu.

– Co to, to prawda. – Wilkenson pożegnał go uniesieniem ręki. – Dobra, rozpuszczę wieści, że chciałby pan kupić konia.

– Będę panu zobowiązany – odparł Rob J.

Po kolacji pilnie wpatrując się w niebo doszedł do wniosku, że noc zapowiada się bezksiężycowa. Całe popołudnie gromadziły się grube, wełniste chmury. Powietrze było wilgotne jak w pralni po dwudniowym praniu, zanosiło się na deszcz jeszcze przed świtem.

Położył się do łóżka wcześniej niż zwykle i zdołał się nawet zdrzemnąć na kilka godzin, że zaś posiadał właściwą lekarzomumiejtność zapadania w krótki sen, obudził się przed pierwszą i już nie zasypiał. Przed drugą odsunął się na brzeg łóżka, by się oddalić od rozgrzanej żony. Położył się w bieliźnie, teraz więc w ciemnej sypialni zebrał tylko po cichu wierzchnie ubranie i zszedł po schodach na dół. Sara przywykła, że o najróżniejszych porach wychodził do swoich pacjentów, toteż spała spokojnie dalej.

Jego buty stały pod paltem w sieni. W stajni osiodłał Wiktorię, wyjeżdżał bowiem tylko do miejsca, gdzie ich droga łączyła się z publicznym gościńcem, a Wiki znała ją tak dobrze, że mogła się na niej obyć bez dobrego wzroku. Z podniecenia wyjechał z domu za wcześnie, po dotarciu do gościńca przez dziesięć minut siedział więc głaszcząc szyję klaczy. Zaczął siąpić drobny deszczyk. Rob J. nastawiał uszu, łowiąc w jego szmerze urojone dźwięki. W końcu doleciały go odgłosy rzeczywiste, nie wyimaginowane – skrzypienie osi, dzwonienie uprzęży i człapanie kopyt perszerona. Po chwili wyłonił się z ciemności zarys wozu z sianem.

– To pan? – doleciał go spokojny głos George’a Giburne’a.

Rob J. zwalczył pokusę udzielenia mu przeczącej odpowiedzi.

Siedział i przyglądał się, jak Cliburne rozgarnia kopę siana.

Wyłoniła się spod niej jakaś postać. Giburne udzielił najwidoczniej zbiegłemu niewolnikowi wskazówek, co ma robić, ów chwycił się bowiem bez słowa tyłu siodła i wskoczył na Wiki za Robem.

– Jedźcie z Bogiem – pożegnał ich pogodnie handlarz, szarpnął lejce i wóz odjechał.

Murzyn musiał ostatnio tracić, prawdopodobnie nie jeden raz, kontrolę nad pęcherzem. Doświadczony nos Roba powiedział mu, że uryna już wyschła, przed paroma chyba nawet dniami, mimo to pochylił się do przodu, by odsunąć się bodaj o cal od bijącego z tyłu smrodu amoniaku. Przejechali obok tonącego w ciemności domu. Rob J. zamierzał jak najszybciej umieścić zbiega w kryjówce, rozsiodłać konia i wrócić do łóżka, lecz kiedy się znaleźli w komórce, zmienił plany.

Zapaliwszy lampę, ujrzał w jej blasku czarnego mężczyznę między trzydziestym a czterdziestym chyba rokiem życia.

Miał przerażone, czujne oczy osaczonego zwierzęcia, duży garbaty nos i skołtunione włosy, podobne do runa czarnego barana. Ubrany był w grube buciory, zgrzebną koszulę i spodnie takpostrzępione i podziurawione, że mniej materiału w nich zostało, niż ubyło.

Rob J. miał ochotę zapytać, jak mu na imię, skąd uciekł, lecz Giburne przestrzegł go: żadnych pytań, to wbrew zasadom.

Wyjął więc tylko deski i zapoznał zbiega z zawartością skrytki – naczynie z pokrywką na potrzeby naturalne, gazeta do podcierania się, dzbanek wody do picia, woreczek sucharów. Murzyn wysłuchał tych objaśnień w milczeniu, schylił się i wcisnął do dziury, a Rob J. na powrót umocował deski.

Na wystygłym piecu stał kocioł z wodą. Podłożył drewno do pieca i rozпалиł ogień. W stodole na gwoździu wisiały jego najstarsze robocze spodnie, za długie i za obszerne, oraz szelki, które Alden nazywał wieszadełkami, niegdyś czerwone, teraz szare od kurzu. Podwinięte spodnie mogłyby stworzyć zagrożenie, gdyby ich posiadaczowi przyszło ruszyć biegiem, toteż nożyczkami chirurgicznymi skrócił obie nogawki o osiem cali. Nim rozsiodła konia, zagrzała się woda na piecu. Usunąwszy ponownie deski, podał Murzynowi wodę, szmaty, mydło i spodnie, po czym zakrył otwór, wygasił piec i zdmuchnął lampę.

Przed wyjściem z komórki zawahał się na chwilę.

– Dobranoc – rzucił w stronę desek.

Dochodziły zza nich odgłosy podobne do moszczenia się niedźwiedzia w wacie. Mężczyzna się mył.

– Dziękuję, panie – dał się w końcu słyszeć schrypnięty szept, jakim ludzie odzywają się w kościele.

Pierwszy gość w zajezdzie, myślał o nim Rob J. Tego pierwszego lokatora przechowywał u siebie siedemdziesiąt trzy godziny. Którejś z następnych nocy zajechał po niego George Cliburne, przywitawszy się z Robem swobodnie i pogodnie, w obejściu tak uprzejmy, że wręcz urzędowy. Choć panowała ciemność i nie wszystko było widać, Rob J. byłby przysiągł, że resztki czupryny na łysej czaszce kwakra są gładko zaczesane, a jego różowe policzki wygolone tak starannie jak w środku dnia.

Mniej więcej tydzień później Rob J. najadł się strachu dowiedziawszy się, że Mort London zatrzymał zbiegłego niewolnika. Bał się, że zostanie aresztowany wraz z Giburne'em, doktorem Barrem i Carrollem Wilkensonem za udzielanie pomocy w kradzieży własności prywatnej. Okazało się jednak, że to nie Jego" Murzyn, ale jakiś zbiegły z Luizjany niewolnik, który ukrywał się na barce rzecznej bez niczyjej wiedzy i pomocy. Dla Morta Londona był to szczęśliwy tydzień. Kilka dni po zainkasowaniu nagrody w gotówce za schwytanie niewolnika Nick Holden wynagrodził jego długoletnią wobec siebie lojalność postarawszy się o to, by jego protegowanego wyznaczono na zastępcę egzekutora sądowego Stanów Zjednoczonych w Rock Island. London nie zwlekając zrezygnował z posady szeryfa, a burmistrz Anderson za jego rekomendacją powołał na to stanowisko – do następnych wyborów – jego jedyne go zastępcę, Fritziego Grahama. Rob J. nie przepadał za Grahamem, nowy szeryf oznajmił mu jednak zaraz przy pierwszym spotkaniu, że nie myśli odgrzewać niesnasek Morta Londona.

– Mam szczerą nadzieję, że zostanie pan znowu czynnym koronerem, doktorze. Naprawdę czynnym – powiedział.

– Z największą ochotą – odrzekł Rob. Była to prawda, odczuwał już bowiem dotkliwie to, że nie może doskonalić swej sztuki chirurgicznej, do czego okazją było przeprowadzanie sekcji.

Zachęcony tak przyjaznym wstępem nie mógł się powstrzymać, by nie zapytać Grahama o wznowienie dochodzenia w sprawie zabójstwa Makwa-ikwy, doczekał się jednak tylko uważnego, niedowierzającego spojrzenia. Zrozumiał, że nie ma na co liczyć, mimo że Fritzie obiecał uczynić „wszystko, co w mojej mocy, może być pan pewien, sir”.

Gęsta, mleczna katarakta przysłoniła oczy Królowej Wiktorii i pocziwa stara szkapa na dobre oślepła. Gdyby była młodsza, zoperowałby ją i usunął zaćmę, lecz kobyła nie miała już siły do pracy, on zaś nie widział powodu, by zadawać jej ból. Nie myślał jej też zabijać, wydawała się bowiem całkiem rada, mogąc chodzić sobie po pastwisku, a żaden z mieszkańców farmy nie przeszedł obok niej, aby się nie zatrzymać i nie podetknąć jej to jabłka, to marchewki.

Rodzina musiała mieć konia, kiedy Rob J. wyjeżdżał do chorych. Druga klacz, Bess, była jeszcze starsza od Wiki i należało już myśleć o jej następcy, rozglądał się więc stale za jakimś dobrym wierzchowcem. Należał do ludzi, którzy kierują się w życiu przyzwyczajeniami, toteż niechętnie myślał o nowym koniu, ale ostatecznie pod koniec listopada nabył od Schroederów małą gniadą kobyłkę, ani młodą, ani starą, za cenę tak wszakże niską, że nie poczytywałby sobie za stratę, gdyby nie okazała się taka, jakiej potrzebowali. Schroederowie nazwali ją żeńskim imieniem Truda,

mimo to ani on, ani Sara nie widzieli potrzeby, żeby je zmieniać. Rob odbywał na niej krótkie przejażdżki czekając, kiedy się do nowego nabytku rozczaruje, choć w głębi ducha był pewien, że Gus i Alma nie sprzedaliby mu marnej szkapiny.

Pewnego chłodnego popołudnia wybrał się na Trudzie ze zwykłymi wizytami. Objechał całą osadę, zapuścił się nawet poza jej granice. Klaczka była drobniejsza od Wiki i Bess i wydawała się bardziej pod siodłem koścista, lecz okazała się delikatna w pysku, a przy tym nienerwowa. Gdy o zmierzchu wrócił do domu, wiedział już na pewno, że będzie miał z niej pociechę. Długo wycierał Trudę, następnie nalał jej wody i zadał paszy. Schroederowie zwracali się do niej wyłącznie po niemiecku. Rob J., który przez cały dzień przemawiał do niej po angielsku, teraz poklepał jej bok i uśmiechnął się.

– Gute Nacht, Meine Gnadige Liebchen – powiedział, rozrzutnie pozbywając się całego na raz zasobu niemieckich słów.

Wziął latarnię i ruszył do wyjścia. Wychodził właśnie przez wrota stodoły, gdy padł strzał. Rob zawahał się na moment, próbując zidentyfikować usłyszany odgłos, skłonny poszukać innego źródła dźwięku, który brzmiałby podobnie do karabinowego strzału, wszelako niemal jednocześnie z wybuchem prochu na panewce rozległ się huk i trzask, gdy kula odłupała drzazgę z hikorowego nadproża stodołnych wrót, niecałe osiem cali nad jego głową.

Ochłonawszy z wrażenia cofnął się szybko do środka i zgasił latarnię.

Usłyszał, jak otwierają się, a następnie zamykają z trzaskiem drzwi z tyłu domu, po czym dobiegł go szybki tupot stóp.



- Tata? Nic ci się nie stało? – usłyszał wołanie Alexa.
- Nic. Wracaj do domu.
- Co to by...
- Zmiataj mi stąd, ale już!

Kroki się oddaliły, po czym doleciał go łoskot otwieranych i zamykanych drzwi. Rob J. starał się przeniknąć wzrokiem ciemność. Uzmysłował sobie, że dygocze. Trzy konie kręciły się nerwowo w swoich boksach, Wiki zarżała. Czas przestał płynąć.

- Doktorze Cole? – dobiegł go głos zbliżającego się Aldena.
- To pan strzelał?
- Nie. Ktoś strzelił i trafił w stodołę. Cholernie blisko mnie.
- Niech się pan stamtąd nie rusza – rzucił krótko Alden.

Rob J. wiedział, co tamten zamyśla. Przyniesienie guldynkiz jego chaty trwałoby za długo, postanowił się zatem uzbroić w strzelbę wiszącą w domu Cole'ów. Rob usłyszał jego kroki i uspokajające: „To ja”, a potem trzask otwieranych i zamykanych drzwi.

Za chwilę otwarły się ponownie. Dobiegł go dźwięk oddalających się kroków parobka, potem zapadła cisza. Jakieś siedem następnych minut trwało wieczność, po czym kroki wróciły do stodoły.

– Nikogo nie widziałem, doktorze, choć dobrze wyślepiałem gały. Gdzie trafił? – Rob J. wskazał mu strzaskaną belkę nadproża. Aby jej dotknąć, Alden musiał się wspiąć na palce.

Nie zapalili latarni, żeby lepiej obejrzeć ślad po kuli. – Co to ma znaczyć, u czorta? – głos Aldena drżał, jego twarz bielała w gęstniejącej ciemności. – Nie wygląda mi na to, żeby ktoś kłusował na pańskim terenie. Polować tak blisko domu, po ćmaku prawie... Jak dostanę tego durnia w swoje ręce, gorzko pożałuje!

– Nic się nie stało. Cieszę się, że byłeś w pobliżu – powiedział Rob J., dotykając ramienia Kimballa. Wrócili obaj do domu, żeby uspokoić domowników i starać się zatrzeć pamięć tym zajściu. Rob J. nalał Aldenowi brandy i – niezwykła rzadkość – napił się razem z nim.

Sara przygotowała ulubioną potrawę męża: zieloną paprykę młodą dynię nadziewane mielonym mięsem z przyprawami, duszone z kartoflami i marchewką. Zjadł z apetytem i pochwalił ją za tak smaczną kolację, ale później poszukał samotności w fotelu na ganku.

Wiedział, że żaden myśliwy nie zachowałby się tak nierozważnie w pobliżu ludzkiej siedziby i nie polowałby o zmierzchu, przy słabej widoczności. Rozważył ewentualny związek tego incydentu ze skrytką w komórce i wykluczył go zdecydowanie. Gdyby ktoś chciał narobić mu kłopotów za pomaganie zbiegłym niewolnikom, zaczekałby, aż będzie miał u siebie kolejnego zbiega, i dopiero wtedy by doprowadził do aresztowania durnego doktora Cole'a, zgarniając przy okazji nagrodę za schwytanego Murzyna.

Mimo to Rob J. nie potrafił się uwolnić od rosnącego podejrzenia, że ten strzał był ostrzeżeniem i że ktoś chciał, by ono do niego dotarło.

Księżyc stał wysoko na niebie, ciemnościcy była prześwietlona jego blaskiem. Nieodpowiednia to pora na przekazywanie zbiegłych niewolników. Rob J. przyglądał się z fotela rzucanym przez księżycową poświatę ruchliwym cieniom targanych wiatrem drzew i przyznawał słusność własnej intuicji, która podpowiada mu, że oto otrzymał w końcu odpowiedź na swe listy.

---

## 36 Pierwszy Żyd

---

Rachel bała się Sądnego Dnia, uwielbiała za to Pesach, trwające bowiem osiem dni święto wyrównywało jej z nawiązką brak obchodzonego przez innych Bożego Narodzenia. W Pesach Geigerowie nie wychodzili z domu, który wydawał się dziewczynie prześwietlony jakimś ciepłym blaskiem. Było to święto muzyki, śpiewów i zabaw, strasznych biblijnych opowieści z dobrymi zakończeniami i specjalnych sederowych potraw – sprowadzanej z Chicago macy i wypiekanych przez matkę biszkoptów, tak wyrosniętych i lekkich, że jako dziecko wierzyła zapewnieniom ojca, iż jeśli będzie się w nie wpatrywała dostatecznie bacznie, na jej oczach zerwą się do lotu.

Każdej zaś jesieni, na Rosz-haszana i Jom Kippur, po tygodniach przygotowań i planów rodzina się pakowała, prawie cały dzień tłukła wozem do Galesburga, potem jechała pociągiem do przystani na Illinois, a stamtąd parowcem w dół rzeki do Peorii, gdzie znajdowały się gmina żydowska i synagoga. Choć Geigerowie zjeżdżali do Peorii tylko na dwa uroczyste tygodnie w roku, opłacali składki jak zwykli członkowie zgromadzenia i mieli zarezerwowane na swoje nazwiska miejsca w synagodze. Zatrzymywali się zawsze w domu Morrisa Goldwassera, handlarza tekstyliami, który był ważną osobistością w bożnicy. Wszystko, co miało związek z panem Goldwasserem – nie wyłączając jego osoby, rodziny i domu – było wielkie i okazałe. Zapłaty za gościnę przyjmować nie chciał,

dowodząc, że umożliwienie drugiemu Żydowi oddawania czci Bogu to miewa; twierdził, iż gdyby Geigerowie płacili mu za gościnę, pozbawiliby go błogosławieństwa. Tak więc każdego roku Lillii ani Jason tygodniami łamali sobie głowy, jakim by tu stosownym prezentem okazać mu swoją wdzięczność.

Rachel nie cierpiała tej całej procedury, która kładła się cieniem na każdej jesieni – przygotowań, troski o wybór prezentu, męczącej podróży, niedogodności związanych z dwutygodniowym pobytem w domu obcych ludzi, bóleści i zawrotów głowy w następstwie całodobowego postu w Jom Kippur.

Co się tyczy jej rodziców, to każdy wyjazd do Peorii był dla nich okazją do odnowienia związków z żydostwem.

Geigerowie stanowili towarzyską atrakcję, ponieważ kuzyn Lillian, Juda Benjamin, został wybrany senatorem Stanów Zjednoczonych z Luizjany – pierwszym żydowskim członkiem Senatu – i każdy chciał pogawędzić o nim z jego krewniakami. Nie opuszczali żadnej sposobności do wizyty w synagodze. Lillian wymieniała z innymi kobietami przepisy kulinarne i plotecki, Jay w męskim gronie rozprawiał o polityce, wypijał dla towarzystwa kilka sznapsów, częstował się cygarami. Wychwalał pod niebiosa Holden's Crossing i powtarzał, że pragnąłby zachęcić do osiedlenia się tam również innych Żydów, aby stworzyli minjan, zgromadzenie dziesięciu mężczyzn, pozwalające na odprawienie publicznej modlitwy. Słuchacze odnosili się do jego zamiarów z przyjaznym zrozumieniem. Tylko Jay i Ralph Seixas, urodzony w Newport w stanie Rhode Island, byli wśród nich rodowitymi Amerykanami. Pozostali przybyli do Ameryki z zagranicy, wiedzieli zatem, co

znaczy być pionierem. Niełatwo być pierwszym Żydem, który osiedla się na danym terenie, co do tego zgadzali się wszyscy.

Goldwasserowie mieli dwie pulchne córki: o rok od Rachel starszą Rosę i o trzy lata starszą Clarę. Kiedy Rachel była małą dziewczynką, lubiła się bawić z córkami Goldwasserów w domu, w szkole, w dorosłych, ale gdy skończyła dwanaście lat, Clarę wydano za mąż za kapelusznika Harolda Greena.

Młoda para zamieszkała u rodziców Clary. Gdy Geigerowie zjechali tego roku na święta, Rachel odkryła, że w domu ich gospodarzy zaszły wielkie zmiany. Clara nie bawiła się już w dorosłych, bo sama była prawdziwą osobą dorosłą, mężatką. Z siostrą i Rachel rozmawiała obecnie tonem pobłażliwej wyższości, z utęsknieniem czekała na swego małżonka i wolno jej było odmawiać błogosławieństwa nad szabasowymi świecami, co jest zaszczytem zarezerwowanym dla pani domu. Jednego wszakże wieczoru trzy dziewczęta zostały w ogromnym domu same, uraczyły się winem z winogron w pokoju Rosę i piętnastoletnia Clara Goldwasser-Green zapomniawszy, że jest szacowną matroną, opowiedziała obszernie Rachel i siostrze, na czym polegają kobiece obowiązki małżeńskie. Wyjawiała im najświętsze tajemnice dojrzałej kobiecości, rozwodząc się nad podniecającymi szczegółami fizjologii i zwyczajów żydowskiego mężczyzny.

I Rosę, i Rachel oglądały już męskie przyrodzenie, lecz tylko w miniaturze, u niemowląt w kąpeli, swoich maleńkich braciszków i kuzynów, którzy mieli mięciutkie różowe dzyndzelki zakończone obrzezanymi, gładkimi żółdziami z dziurką do siusiania. Jednakże Clara, z przymkniętymi powiekami sącząc wino, przedstawiła im

bezwstydnie różnicę między żydowskimi berbeciami a dorosłymi Żydami.

Wylizując językiem ostatnie krople płynu z kielicha, opisała im przemianę, jakiej podlega ten uroczy niewinny wyrostek, gdy Żyd kładzie się obok żony, oraz co następuje potem.

Młodsze dziewczęta stłumiły okrzyk zgrozy, a Rosę przycisnęła oburącz poduszkę do twarzy.

– I to się zdarza często? – spytała zduszonym głosem. Clara odparła, że bardzo często, a już nieodzownie w szabati święta religijne, Bóg powiadomił bowiem żydowskich mężczyzn, że zapewnia to błogosławieństwo.

– Oczywiście nie wtedy, gdy krwawię – dodała. Rachel słyszała już o tym krwawieniu. Był to jedyny sekret, w jaki wtajemniczyła ją matka. Nie doświadczyła tego jeszcze, lecz nie przyznała się przed siostrami. Zaniepokoiło ją jednak co innego: niepojęta na zdrowy rozum kwestia mechaniki i rozmiarów. Oczyma wyobraźni ujrzała tę potworną scenę i odruchowo osłoniła ręką łono.

– Ale przecież – odezwała się mdlejącym głosem – takie coś nie może się zmieścić!...

Clara poinformowała je wyniośle, że jej Harold smaruje go sobie czasem czystym koszernym masłem.

Rosę Goldwasser zrobiła wielkie oczy i odjęła poduszkę od twarzy.

– To dlatego zawsze brakuje u nas masła! – wykrzyknęła w olśnieniu.

Następne dni były dla Rachel jednym pasmem udręki. Mając do wyboru uznanie rewelacji Clary za przerażające bądź komiczne, ona i Rosę w akcie samoobrony przychyliły się ku interpretacji

komicznej. Podczas śniadań i lunchów wystarczyło im spojrzeć na siebie, by wybuchnąć tak niepowstrzymanym śmiechem, że parę razy zawstydzano je, każąc im odejść od stołu. Jeszcze gorzej było podczas kolacji, do których zasiadali również mężczyźni. Rachel siedząc o dwa krzesła od Harolda Greena, patrząc na niego, rozmawiając z nim, nie potrafiła nie myśleć tym, że on smaruje się masłem.

Kiedy Geigerowie zjechali w następnym roku do Peorii, Rachel przeżyła rozczarowanie, okazało się bowiem, że ani Clara, ani Rosę nie mieszkają już w domu rodziców. Clarzei Haroldowi urodził się chłopczyk, przenieśli się więc do własnego małego domu na skarpie nad rzeką. Gdy odwiedzali Goldwasserów, Gara zajmowała się głównie synkiem i niewiele uwagi poświęcała Rachel. Rosę natomiast wyszła w lipcu poprzedniego roku za mąż za Samuela Bidfidda, który wywiózł ją do St. Louis.

Tego roku w święto Jom Kippur do stojących przed synagogą Rachel i jej rodziców podszedł starszy mężczyzna nazwiskiem Benjamin Schoenberg. Miał na sobie wysoki cylinder z bobrowego filcu, białą plisowaną koszulę z bawełny i wąski czarny krawat. Pogawędziwszy z Jayem o stanie interesów w branży farmaceutycznej, począł uprzejmie wypytywać Rachel o postępy w nauce oraz o to, czy pomaga matce w prowadzeniu domu.

Lillian Geiger uśmiechnęła się do starszego pana i z tajemniczą miną pokręciła głową.

– Jeszcze na to za wcześnie – powiedziała, na co pan Schoenberg również się uśmiechnął, skinął głową i oddalił się, zamieniwszy na odchodnym kilka grzecznych zdań.

Tego wieczora Rachel podsłuchiwała strzępki rozmowy między swoją matką a panią Goldwasser, z których wynikało, że Benjamin Schoenberg jest szadchenem, pośrednikiem w kojarzeniu małżeństw. On właśnie naraił mężów Clarzei Rosę. Rachel przeraziła się okropnie, pocieszenie znajdowała zaś jedynie w tym, co jej matka odpowiedziała swatowi.

Jest jeszcze za młoda do zameścia, z czego rodzice w pełni zdają sobie sprawę, dodawała sobie otuchy, nie biorąc pod uwagę, że Rose Goldwasser-Bidfield była tylko o osiem miesięcy od niej starsza.

Przez całą tamtą jesień, nie wyłączając dwóch spędzonych w Peorii tygodni, w ciele Rachel zachodziły zmiany. Piersi rozwinęły jej się od razu obfite jak u dorosłej kobiety, burząc równowagę jej chudego ciała, tak że poznała, co znaczy zmęczenie mięśni i ból pleców. Było to tego roku, kiedy pan Byers swoimi dotknięciami obrzydzał jej życie, zanim ojciec nie wkroczył do akcji. Przyglądając się w matczynym lustrze swemu ciału, Rachel była przekonana, że żaden mężczyzna nie zechce panny o prostych czarnych włosach, wąskich ramionach, zbyt długiej szyi, za ciężkich piersiach, skórze niemodnie żółtawej i niczym się nie wyróżniających brązowych, krowich oczach.

Potem przyszło jej na myśl, że adorator takiej panny sam musiałby być brzydki, głupi i biedny jak mysz kościelna, i zrozumiała, że każdy kolejny dzień zbliża ją do przyszłości, o jakiej wolałaby nawet nie myśleć. Czuła niechęć do swoich braci i odnosiła się do nich z pogardą, ponieważ nie zdawali sobie nawet sprawy z tego, jak hojnie zostali obdarzeni i jakim było przywilejem urodzić się mężczyzną – mieli prawo mieszkać w bezpiecznym cieple



rodzicielskiego domu tak długo, jak długo zechcą, mieli prawo chodzić do szkoły i uczyć się bez ograniczeń.

Miesiączkować zaczęła późno. Matka podpytywała ją co jakiś czas, niby od niechcienia, czy jeszcze nie krwawi, okazując zatroskanie, gdy otrzymywała odpowiedź przeczącą. Aż jednego popołudnia, kiedy Rachel pomagała robić w kuchni dżem z poziomek, przygiął ją nagle do ziemi okropny skurcz.

Lillian kazała jej wyjść i sprawdzić, czy nie krwawi.

Krwawiła. Serce waliło jej jak młotem, ale ostatecznie nie zdarzyło się nic nieoczekiwanego i nie była w tej chwili sama.

Miała przy sobie matkę, która uspokoiła ją i pouczyła, co należy robić. Wszystko było dobrze, dopóki nie pocałowała jej w policzek i nie powiedziała, że odtąd jest kobietą.

Wtedy Rachel się rozpłakała. Nie mogła przestać, szlochała wiele godzin i w żaden sposób nie dało się jej pocieszyć. Jay Geiger przyszedł wreszcie do pokoju córki i położył się na łóżku obok niej, czego nie robił od czasu, gdy była małą dziewczynką. Głaskał ją po głowie wypytując, co się stało. Jej ramionami wstrząsał płacz, który ranił mu serce; musiał kilka razy powtarzać pytanie.

Na koniec szepnęła:– Ja nie chcę wychodzić za męża, tatku. Nie chcę opuszczać ciebie i domu.

Jay pocałował ją w policzek i poszedł naradzić się z żoną.

Lillian była bardzo zaniepokojona. Wiele dziewcząt wydawano za męża w trzynastym roku, uważała więc, że byłoby lepiej dla ich córki, gdyby ułożyli jej życie w przyzwoitym żydowskim małżeństwie, nie ulegając jej nierozumnej bojaźni, na co mąż przypomniał jej, że gdy ich swatano, Lillian miała skończone szesnaście lat, nie była już zatem taką młódką. Co wyszło na dobre

matce, powinno wyjść na dobre i córce, należy przeto pozwolić jej dorosnąć i oswoić się z myślą o zamążpójściu.

Tak więc Rachel uzyskała długie odroczenie. Ponadto w jej życiu nastąpiła raptowna poprawa. Otóż panna Burnham oznajmiła Jayowi, że Rachel jest wybitnie zdolną uczennicą i daleko zajdzie, jeśli będzie mogła kontynuować naukę.

Rodzice zdecydowali więc, że zamiast całymi dniami ciężko pracować w domu i na farmie, co normalnie przypadłoby jej w udziale, będzie nadal chodziła do szkoły. Nagrodzeni zostali za tę decyzję widokiem szczęścia na twarzy córki i blaskiem radości w jej oczach.

Rachel była z natury dobra, a własne nieszczęście uczyniło ją tym wrażliwszą na niedolę innych. Z rodziną Cole'ów była zżyta jak z najbliższymi krewnymi. Kiedy Szamana jako małego jeszcze berbecia położono pewnego razu do jej łóżka, a on się zlał, nie kto inny jak Rachel pocieszała zakłopotanego malca i broniła go przed drwinkami innych dzieci. Choroba, która pozbawiła go słuchu, wstrząsnęła nią do głębi: po raz pierwszy zetknęła się wtedy z czymś, co odkryło przed nią zagrożenia nie znane, takie, których istnienia nawet się nie podejrzewa. Zmagania Szamana obserwowała z przygnębieniem, jakie odczuwa ktoś, kto chciałby, aby wszystko było jak najlepiej, lecz jest bezsilny i nic nie może poradzić. Każde osiągnięcie chłopca na drodze ku poprawie przyjmowała z taką dumą i radością, jakby był jej rodzonym bratem. W okresie własnego pokwitania obserwowała, jak Szaman zmienia się z małego chłopca w dorodnego młodzieńca, który rychło przerósł Alexa.

Ponieważ jego ciało dojrzewało tak szybko, w pierwszych latach dorastania bywał często niezgrabny i nieporadny, jak ledwo wyrosły ze szczenięcia psiak, na co patrzyła z czułością szczególną.

Kilka razy siadała nie zauważona w fotelu z wysokim oparciem, przysłuchiwała się lekcji, podziwiała jego odwagę i upór i śledziła zafascynowana sposób postępowania wytrawnej nauczycielki, jaką była Dorothy Burnham. Kiedy zaś ta zaczęła się zastanawiać, kto by też mógł pomóc Szamanowi, zareagowała instynktownie, chwytając skwapliwie nadarzącą się okazję. Doktor Cole i jego żona byli jej wdzięczni za tę gotowość do pracy z Szamanem, a i jej rodzina z aprobatą przyjęła decyzję, widząc w niej szlachetny gest. Rachel jednak zdawała sobie sprawę, że jej chęć pomocy przynajmniej po części wynika z tego, że Szaman był jej najwierniejszym przyjacielem, ponieważ kiedyś, jako mały chłopiec, zaproponował najzupełniej serio, że zabije człowieka, który sprawiał jej ból.

Podstawą pracy nad wymową Szamana były długie i żmudne, trwające godzinami ćwiczenia, podczas których należało zapomnieć o znużeniu. Chłopak szybko wystawił na próbę autorytet Rachel zachowaniem, na jakie nie pozwoliłby sobie wobec panny Burnham.

– Na dziś wystarczy. Jestem zmęczony – oświadczył jej podczas drugiego spotkania we dwójkę, odbytego po kilku ćwiczeniach, przy których asystowała panna Burnham.

– O nie, mój drogi – sprzeciwiła się stanowczo dziewczyna.

– Jeszcześmy nie skończyli.

Szaman jej wtedy po prostu uciekł.

Gdy zdarzyło się to po raz drugi, wybuchnęła gniewem, on zaś omal nie odpowiedział jej śmiechem. Oburzona zachowała się jak w czasie ich dziecięcych zabaw – obrzuciła go wyzwiskami. Wszelako gdy ta sama sytuacja powtórzyła się i następnego dnia, w oczach Rachel zakręciły się łzy i Szaman musiał skapitulować.

– No dobra, spróbujmy jeszcze raz – zgodził się niechętnie.

Rachel była mu wdzięczna, lecz nigdy więcej nie uległa pokusie, by zmuszać go do pracy tym sposobem, wyczuwała bowiem, że chłopak więcej skorzysta, jeśli będzie go trzymała twardą ręką. Po jakimś czasie długie godziny wspólnych ćwiczeń weszły obojgu w nawyk. Wraz z upływem miesięcy i postępami, jakie Szaman czynił, Rachel do metod panny Burnham dodała i własne.

Wiele czasu spędzali na ćwiczeniach obrazujących, jak zmieniać się może znaczenie tego samego zdania w zależności od tego, na które słowo położy się nacisk, na przykład: Dziecko jest chore.

Dziecko jest chore.

Dziecko jest chore.

Rachel czasami ujmowała rękę chłopca i ścisnęła ją, by mu pokazać, w którym miejscu pada akcent.

Znajdował w tym ćwiczeniu szczególną przyjemność, niechęci nabrał natomiast do ćwiczeń polegających na rozpoznawaniu wysokości tonu poprzez drgania, które odczytywał dłonią, ponieważ matka zaczęła się popisywać jego umiejętnościami w salonie i przywoływała go czasem, by zademonstrował tę sztuczkę. Mimo to Rachel nadal wykorzystywała w ich pracy pianino, zafascynowana tym, że jeśli zagrała gamę w innej tonacji, Szaman wyczuwał nawet tak subtelną zmianę.

Chłopiec przechodził powoli od rozpoznawania tonów pianina do rozróżniania wibracji w otaczającym go świecie. Nauczył się rozpoznawać pukanie do drzwi, choć go nie słyszał. Wyczuwał kroki osoby wchodzącej po schodach, kiedy nie słyszeli ich nawet słyszący domownicy.

Któregoś dnia Rachel ujęła jego wielką dłoń i tak jak czyniła Dorothy Burnham, położyła ją sobie na szyi. Najpierw przemówiła do niego głośno, następnie osłabiła dźwięczność głosu, zniżając go do szeptu.

– Wyczuwasz różnicę?

Skórę miała ciepłą i aksamitnie gładką, ciało delikatne, lecz jędrne. Czuł napięcie jej mięśni i strun głosowych. Jej puls trzepotał pod jego dłonią, czego nie zauważał, gdy dotykał grubszej i krótszej szyi panny Burnham. Przyszedł mu na myśl łabędź, a potem jakiś mniejszy ptak.

Uśmiechnął się do dziewczyny. – Wyczuwam – powiedział.

---

## 37 Znaki wodne

---

Nikt już więcej nie strzelał do Roba J. Jeśli incydent przy stodole miał stanowić przestrożę, by przestał nalegać na przeprowadzenie śledztwa w sprawie śmierci Makwy, ten, kto pociągnął za spust, miał prawo uznać, że ostrzeżenia posłuchano. Rob J. zaniechał

dalszych działań, nie wiedział zresztą, jakie jeszcze kroki mógłby podjąć. Dostał w końcu zdawkowe listy od kongresmena Nicka Holdena i gubernatora Illinois. Tylko ci dwaj urzędnicy zareagowali na jego monity, lecz ich odpowiedzi, choć uprzejme, zbywały go właściwie niczym. Roba opadły posępne myśli, nie pogrążył się w nich jednak, miał teraz pilniejsze sprawy na głowie.

Początkowo tylko sporadycznie korzystano z przygotowanej przezeń kryjówki, po paru jednak latach udziału w akcji pomocy zbiegłym niewolnikom ich wąski strumyk wezbrał do rozmiarów bystrego potoku i zdarzały się okresy, gdy często i regularnie przyjmował do swej komórki nowych lokatorów.

Kwestia murzyńska budziła ogólne zainteresowanie i powszechne spory. Dred Scott wygrał przed sądem niższej instancji w Missouri sprawę o uznanie go człowiekiem wolnym, ale Najwyższy Sąd Stanowy orzekł, że powód jest nadal niewolnikiem, toteż jego abolicjonistycznie nastawieni adwokaci odwołali się od tego orzeczenia do Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych. Tymczasem publicyści i kaznodzieje wygłaszali grzmiące tyrady, a dziennikarze i politycy ciskali gromy – jedni za, inni przeciw niewolnictwu. Pierwszą czynnością Fritza Grahama na urzędzie szeryfa, na który został wybrany na okres pięciu lat, było zakupienie sfory „murzyńskich posokowców”, chwywanie niewolników zaczęło bowiem przynosić spore zyski i stało się źródłem dodatkowych dochodów: nagrody za zwrot uciekinierów wydatnie wzrosły, kary zaś za pomaganie zbiegom zaostrozono. Rob J. drżał z obawy, co by się z nim stało, gdyby został przyłapany, na co dzień wszakże nie dopuszczał do siebie takich myśli.

George Cliburne, ilekroć się gdzieś przypadkiem zeszli, witał się z nim z powściągliwą uprzejmością, jakby nigdy nie spotykali się w innych okolicznościach, pod osłoną nocy. Dla Roba J. 283 produktem ubocznym tej znajomości był dostęp do bogatej biblioteki Cliburne'a, co pozwalał sobie wykorzystywać, regularnie znosząc do domu książki dla Szamana, które czasem sam również czytał. Biblioteka handlarza zbożem obfitowała w dzieła treści filozoficznej i religijnej, uboga zaś była w naukowe, co zdaniem Roba dobrze charakteryzowało jej właściciela.

Po około roku ich współpracy w akcji przemykania Murzynów Cliburne zaprosił go jednego dnia na spotkanie kwaków. Odmowę przyjął ze zrozumieniem i pokorą.

– Sądziłem, że mogłoby się to panu okazać pomocne w zbożnym dziele, które pan wypełnia.

Rob miał już na końcu języka uściślenie: chciał powiedzieć, że wypełnia dzieło ludzkie, a nie Boże. Sprostowanie to było jednak nadto pompatyczne i bez wypowiedania go głośno, toteż uśmiechnął się tylko i pokręcił głową.

Zdawał sobie sprawę, że jego kryjówka jest tylko pojedynczym ogniwem w długim najpewniej łańcuchu, lecz nic nie wiedział o reszcie tego systemu. Ani on, ani doktor Barr nie wspominali nigdy o tym, że Rob J. został przestępcą w oczach prawa z rekomendacji kolegi po fachu. Jego jedyne tajne kontakty stanowili Cliburne i Carroll Wilkenson, który zawiadamiał go, kiedy kwakier miał „nową ciekawą książkę”.

Rob J. był pewien, że zbiegów po odebraniu z jego kryjówki transportowano na północ i przez terytorium Wisconsin przerzucano

do Kanady. Niewykluczone, że przeprawiano ich łodziami przez Jezioro Górne. On w każdym razie taką wybrałby trasę ucieczki.

Zdarzało się, że Cliburne przywiózł mu kobietę, ale większość uciekinierów stanowili mężczyźni. Bywali bardzo różni, podobni jedynie przyrodziwkiem, zawsze podartym i zgrzebnym. Niektórzy mieli skóry tak czarne, że mogłyby służyć za idealny wzorec czerni, lśniące niczym dojrzałe śliwy, czarne jak spalona kość, oleście smoliste niczym skrzydła kruków.

Kolor skóry innych rozjaśniała domieszka krwi ich białych ciemzców, dając w efekcie paletę odcieni od barwy kawy z mlekiem po brunatność wypieczzonego chleba. Wśród zbiegów przeważali rośli mężczyźni o silnych, muskularnych ciałach, zdarzył się wszakże i jeden szczupły młodzieniec, niemal całkiem biały, w okularach w drucianej oprawce.

Powiedział, że jest synem czarnej służącej i właściciela plantacji z miejscowości o nazwie Shreve's Landing w Luizjanie. Umiał czytać i był wdzięczny, kiedy gospodarz przyniósł mu świeczki, zapałki i stare gazety z Rock Island.

Rob J. miał wyrzuty sumienia jako lekarz, za krótko bowiem przechowywał u siebie zbiegów, by mógł leczyć ich fizyczne dolegliwości. Zdawał sobie na przykład sprawę, że szkła okularów jasnego Murzyna były o wiele za mocne. Kilka tygodni po wyjeździe młodzieńca znalazł stare okulary, które jego zdaniem powinny być dla niego odpowiednie. Gdy następnym razem odwiedził Rock Island, żeby spotkać się z Cliburne'em, zapytał go, czy nie mógłby przekazać jakoś tych okularów, na co ów zerknął na nie tylko i pokręcił głową.



– Więcej rozsądku, doktorze Cole – poradził i oddalił się bez pożegnania.

Innym razem przechowywał w swoim tajnym loszku ogromnego Murzyna o skórze czarnej jak heban. Gościł go u siebie przez trzy dni – czas aż nadto długi, by mógł stwierdzić, że uciekinier cierpi na załamanie nerwowe i bóle brzucha. Jego twarz powlekała czasem chorobliwa szarość, tracił apetyt.

Rob był przekonany, że biedak ma tasiemca. Dał mu buteleczkę z lekarstwem, przestrzegł jednak, aby nie zaczynał go brać, póki nie dotrze do celu.

– W przeciwnym razie byłbyś zbyt osłabiony, żeby kontynuować podróż, i zostawiłbyś za sobą ślad w postaci rzadkiej sraczki, po którym wytropiłby cię każdy szeryf w tym kraju! Do końca życia miał zachować w pamięci każdego ze swych sekretnych gości. Odczuwał odruchowe współczucie dla ich lęków i przeżyć, i to nie tylko dlatego, że sam był niegdyś zbiegiem. Uświadomił sobie, że na jego współczucie składa się w znacznej mierze podobieństwo ich losu do cierpień plemienia Sauk, na które patrzył własnymi oczami.

Już dawno przestał się stosować do polecenia Cliburne'a, by nie zadawać uciekinierom żadnych pytań. Zdarzali się wśród nich ludzie rozmowni, zdarzały i milczki. W najgorszym razie starał się przynajmniej poznać ich imiona. Młodzieniec w okularach miał na imię Nero, ale większość nosiła imiona judeochrześcijańskie: Mojżesz, Abraham, Izaak, Aaron, Piotr, Paweł, Józef... Te imiona powtarzały się najczęściej.

Przypomniał sobie, co Makwa-ikwa opowiadała mu o nadawaniu biblijnych imion w chrześcijańskiej ochronce dla indiańskich dziewcząt.

Z gadatliwymi zbiegami spędzał tyle czasu, na ile tylko pozwalały względy bezpieczeństwa. Pewien niewolnik z Kentucky, który już raz uciekał i został schwytany, pokazał mu zabliznione pręgi na plecach. Inny, uciekinier z Tennessee, przyznał, że jego właściciel nie obchodził się z nim źle. Rob J.

zapytał, dlaczego wobec tego uciekł, na co tamten zagryzł wargi i zmarszczył brwi, jakby namyślał się nad odpowiedzią.

– Nie chciałem czekać aż do jubileuszu – odrzekł.

Rob zapytał Jaya, co to takiego „Jubileusz”, i dowiedział się, że w starożytnej Palestynie, zgodnie z zaleceniami Biblii, co siedem lat pozostawiano ziemię uprawną odłogiem, aby się odrodziła. Po upływie siedmiu sabatowych lat rok pięćdziesiąty obwoływano rokiem jubileuszu; obdarowywano wówczas niewolników prezentami i wolnością.

Rob J. orzekł, że lepsze to niż trzymanie ludzi w wiecznym poddaństwie, choć trudno taką łaskę uznać za wielkie dobrodziejstwo, skoro pięćdziesiąt lat w niewoli było w przeważającej liczbie przypadków okresem dłuższym niż życie.

Przyjaciele krążyli wokół tematu niewolnictwa jak lis wokół jeża, przekonali się bowiem już dawno, jak głębokie ich dzielą różnice poglądów.

– Czy ty wiesz, ilu jest niewolników w południowych stanach? Cztery miliony!... To znaczy, że na dwóch białych przypada tam jeden czarny. Uwolnij ich, a trzeba będzie zlikwidować farmy i plantacje, które żywią całe gromady abolicjonistów z Północy. No i co byśmy zrobili z tymi czterema milionami czarnych? Jak oni by żyli? Kim by się stali?

– W ostateczności żyliby tak jak my wszyscy.

Gdyby zdobyli jakieś wykształcenie, mogliby zostać, kim by tylko chcieli. Na przykład farmaceutami – odparł, nie zdoławszy się oprzeć pokusie złośliwego przycinka.

Jay pokręcił głową.

– Nic nie rozumiesz. Samo istnienie Południa zależy od niewolnictwa. To dlatego nawet te stany, w których go nie ma, uznają pomaganie zbiegom za przestępstwo.

Dotknął czułego punktu.

– Ty mi tu lepiej nie mów o przestępstwie! Handel niewolnikami z Afryki został zabroniony prawem już w tysiąc osiemset ósmym, a na Afrykańczyków dalej się poluje, ładuje ich na statki, zawozi do południowych stanów i sprzedaje na targu.

– Mówisz o prawie krajowym. Każdy ze stanów ustanawia własne prawa. I to one obowiązują.

Rob J. prychnął wzgardliwie i na tym się ta rozmowa skończyła.

Byli sobie z Jayem bliscy i wspierali jeden drugiego we wszystkich innych sprawach, jedynie kwestia niewolnictwa wznosiła między nimi mur niezrozumienia, nad czym boleli obaj. Rob należał do ludzi, którzy cenią sobie miłą pogwarkę z przyjacielem, począł więc coraz częściej, ilekroć przejeżdżał w pobliżu, zwracać Trudę na ścieżkę prowadzącą do klasztoru franciszkanek.

Miałby trudności ze sprecyzowaniem, od kiedy mógł się uważać za przyjaciela matki Miriam Ferocii. Sara zaspokajała jego potrzebę miłości fizycznej, dotąd nie osłabła i równie dla niego ważną jak picie i jedzenie, więcej wszakże czasu spędzała na rozmowach z pastorem niż z mężem.

Przyjaźń z Makwą udowodniła Robowi, że może pozostawać z kobietą w stosunkach zażyłych, a przy tym wolnych od fizycznego pożądania. Teraz potwierdziło się to wobec siostry z zakonu świętego Franciszka, kobiety o piętnaście lat odeń starszej, o stanowczych oczach spoglądających z ujętej w kornet surowej twarzy.

Aż do wiosny tamtego roku widywali się rzadko.

Zimę mieli dziwną, łagodną, z ulewnymi deszczami. Poziom wód podnosił się niepostrzeżenie, aż raptem strumyki i potoki stały się trudne do przebycia, w marcu zaś miasto zapłaciło wysoką cenę za twoje położenie między dwiema rzekami, zaczęła się bowiem wielka powódź roku 1857. Rob obserwował, jak rzeka na jego ziemi występuje z brzegów, skłębioną wirami tonią wdziera się w głąb łądu, zmywa łaźnię parową Makwa-ikwy i dom kobiet. Jej hedonosy-te ocalało, zbudowała je bowiem przezornie na pagórku. Dom Cole'ów również stał wyżej, niż sięgnęła fala powodziowa. Niedługo zaś po spłynięciu wód wezwano Roba do pierwszego przypadku złośliwej febry. A potem do następnego. I następnego.

Sara była zmuszona przeobrazić się w pielęgniarkę, ale potrzeby przekroczyły wkrótce siły jej, jej męża i Toma Becker-manna. Pewnego ranka, przyjechawszy na farmę Haskella, Rob stwierdził ku swojemu zaskoczeniu, że gorączkującego Bena Haskella zdążyły już obmyć gąbką i podnieść na duchu dwie siostry od świętego Franciszka. „Brazowe żuki” opuściły klasztorne mury i opiekowały się chorymi.

Przejęty wdzięcznością zorientował się od razu, że są doskonałymi pielęgniarkami.

Spotykał je zawsze parami. Nawet przeorysza miała przy sobie drugą mniszkę. Rob wyraził jej z tego powodu swoje zastrzeżenia, mniemając, że to chodzenie w parze wynika z jakiegoś niedostatku ich umiejętności, na co Miriam Ferocia udzieliła mu porywczej i chłodnej odpowiedzi, dając jasno do zrozumienia, że jego uwagi są zbędne.

Uświadomił sobie wówczas, że zakonnice pracują parami po to, by jedna drugiej strzegła przed zachwianiem się w wierze i pokusami ciała. Kilka wieczorów później, racząc się u schyłku dnia kawą w klasztorze, wyrzucił przyjaciółce, że boi się zostawiać mniszki same w protestanckich domach. Przyznał, że tego nie rozumie.

– Czy to znaczy, że wasza wiara jest tak słaba?

– Jest silna! Ale podobnie jak inni lubimy ciepło i oparcie w drugich. Życie, jakie sobie wybrałyśmy, nie jest wesołe. Dość w nim udręki bez dodatkowego przekleństwa pokus.

Zrozumiał i z wdzięcznością przyjął pomoc siostr na warunkach matki przełożonej. Ich pielęgniarska opieka była nieoceniona.

Uwagi, jakie mu robiła przeorysza, nie były zwykłe wolne od drwinek.

– Nie mógł pan sobie znaleźć innej torby lekarskiej, doktorze Cole, niż ta wyświechtana skórzana sakwa, ozdobiona dudkami piór?

– To moje mee-shome, święte zawiniątko Sauków. Te rzemyki są zrobione z plecionki izze. Gdy je zakładam, nie imają się mnie kule.

Spojrzała na niego rozszerzonymi zdumieniem oczyma.

– Nie wierzy pan w Zbawiciela, a oddaje się pod opiekę pogańskich zabobonów Indian?

– Cóż zrobić, kiedy to działa? – odparł i opowiedział jej o kuli, którą w jego stronę wystrzelono, gdy wychodził ze stodoły.

– Powinien pan zachowywać szczególną ostrożność – poradziła, dolewając mu kawy.

Koza, którą od niego dostała, kociła się już dwa razy, za każdym razem wydając na świat samce. Miriam Ferocia jedno z koźląt sprzedała i zdobyła jakimś cudem następne trzy samice, marzyła jej się bowiem wytwórnia serów. Mimo to ilekroć Rob J. zjawiał się w klasztorze, dostawał kawę bez mleka, wszystkie kozy były bowiem zawsze jeśli nie kotne, to karmiące. Obchodził się więc bez mleka, podobnie jak mniszki, aż nauczył się pić czarną kawę i nawet ją polubił.

Zaczęli rozmawiać poważnie. Rob wyraził rozczarowanie, że poszukiwania kanałami kościelnymi nie naprowadziły go na ślad Ellwooda Pattersona, i odkrył przed matką Miriam plan, jaki od pewnego czasu chodził mu po głowie.

– A gdyby tak udało nam się wprowadzić zaufanego człowieka do Najwyższego Zakonu Gwiazdzistego Sztandaru? Znalibyśmy wtedy z góry ich zamiary i mogli je pokrzyżować.

– W jaki sposób chciałby pan tego dokonać?

Dobrze to sobie rozważył. Potrzebny byłby do tego rodowity Amerykanin, godzien najgłębszego tamtych zaufania, a zarazem człowiek w pełni jemu oddany. Jay Geiger odpadał, ponieważ NSGS najprawdopodobniej odrzuciłby Żyda.

– Pozostaje mój parobek. Urodzony w Vermont. Bardzo zacny człowiek.

Pokręciła z zatroskaniem głową.

– To, że jest zacy, tylko rzecz pogarsza, bo wprowadzając w życie swój plan naraziłby pan i jego, i siebie na pewną niemal zgubę. Ci ludzie są nadzwyczaj niebezpieczni.

Musiał przyznać słusność jej roztropnej uwadze. Nie wolno też było zapominać i o tym, że Alden miał już swoje lata. Nie kwękał jeszcze, ale dawały mu się już we znaki.

Poza tym nadużywał alkoholu.

– Musi pan uzbroić się w cierpliwość – doradziła miękko matka Miriam. – Ponowię poszukiwania. Tymczasem proszę spokojnie czekać.

Zabrała jego kubek, zrozumiał więc, że pora mu wstawać z biskupiego fotela i żegnać się, by przełożona mogła się przygotować do nieszpórów. Podniósł swój zdobny ptasimi dudkami puklerz przeciw kulom i uśmiechnął się, uchwyciwszy spojrzenie konkurentki, jakim jego przyjaciółka obrzuciła mee-shome.

– Dziękuję, czcigodna matko – powiedział.

---

## 38 Słuchanie muzyki

---

Przyjęty w Holden's Crossing model edukacji przewidywał posyłanie dzieci do szkoły na kilka semestrów, by nauczyły się jako tako czytać, sumować proste liczby i pisać kaligraficznie. Gdy posiadały te umiejętności, edukacja była zakończona i absolwenci

rozpoczynali żywot pełnoetatowych robotników rolnych. Doszedłszy lat szesnastu Alex oświadczył, że ma dosyć szkoły. Choć Rob J. proponował, że będzie ponosił koszty jego dalszego kształcenia, chłopak wolał pracę na owczej farmie u boku Aldena w pełnym wymiarze godzin. Tak oto Szaman i Rachel zostali najstarszymi uczniami miejscowej placówki oświatowej.

Szaman pragnął się uczyć dalej, dziewczyna zaś pozwalała się z wdzięcznością unosić monotonnej fali wpływających dni, uciepiona tej spokojnej egzystencji niczym liny ratunkowej.

Dorothy Burnham zdawała sobie sprawę, że miała szczęście spotykając na swej nauczycielskiej drodze takich uczniów jak ta dwójka. Obchodziła się też z tą parą jak z drogocennym skarbem, przekazując im całą swoją wiedzę i robiąc co w jej mocy, by ich dopingować do nauki. Rachel była od Szamana trzy lata starsza i dłużej pobierała naukę, mimo to panna Burnham zaczęła wkrótce odbywać zajęcia z obojgiem jak z osobną klasą, liczącą dwóch jedynie uczniów. Ale oni, spędzając razem tyle czasu na nauce, przywykli do swojego towarzystwa.

Zaraz po lekcjach w szkole Rachel zabierała przyjaciela na ćwiczenia wymowy. Dwa razy w miesiącu spotykali się we trójce Szaman demonstrował pannie Burnham, czego się nauczył.

Nauczycielka doradzała czasem wprowadzenie jakiejś zmiany bądź proponowała nowe ćwiczenie. Była zachwycona postępami, jakie czynił, i szczęśliwa, że Rachel Geiger okazuje mu tyle serca.

W miarę jak krzepła ich przyjaźń, zwieźali się sobie niekiedy ze swoich przeżyć. Rachel wyjawiała, jaką niechęcią napawają ją coroczne wyprawy do Peorii na żydowskie święta. Szaman roztkliwił przyjaciółkę złożonym w bardzo oszczędnych słowach



wyznaniem, że boli go chłodny stosunek do niego własnej matki. „Makwa była mi lepszą matką niż Sara i ona o tym wie. Cierpię tego powodu, ale to niestety prawda”, powiedział. Rachel zauważyła, że pani Cole nigdy nie zwraca się do syna imieniem Szaman. Nazywała go Robert – oficjalnie wręcz, jak panna Burnham w szkole. Dziewczyna zastanawiała się, czy bierze się to stąd, że pani Cole nie lubi indiańskich słów.

Słyszała kiedyś, jak zwierzyła się jej matce, że cieszy ją, iż Saukowie na zawsze wynieśli się z ich ziemi.

Szaman i Rachel odbywali ćwiczenia w mówieniu, gdziekolwiek się znaleźli – czy to pływając po rzece płaskodenną łodzią Aldena, czy to łowiąc z brzegu ryby, czy to zrywając wodną brukiew, czy to włócząc się po prerii, czy to wreszcie obierając na prośbę Lillian owoce i warzywa na zbudowanej w stylu Południa werandzie Geigerów. Kilka razy w tygodniu siadali do pianina. Szaman potrafił wyczuwać drgania strun głosowych Rachel, gdy dotykał jej głowy lub pleców, ale najbardziej lubił kłaść rękę na jej gładkiej i ciepłej szyi, w której wibrowały słowa. Zdawał sobie sprawę, że dziewczyna wyczuwa drżenie jego palców.

– Żałuję, że nie pamiętam brzmienia twojego głosu.  
– A pamiętasz muzykę?  
– Właściwie nie... Ale słyszałem ją w zeszłym roku w dzień po Bożym Narodzeniu.

Spojrzała nań ze zdumieniem.  
– Śniła mi się – wyjaśnił.  
– I słyszałeś ją we śnie?  
– Tak. Widziałem tylko czyjeś stopy i nogi. Myślę, że musiały należeć do mojego ojca. Pamiętasz, jak nasi rodzice kładli nas

czasem spać na podłodze, a sami muzykowali? Twoich rodziców nie widziałem, ale słyszałem dźwięki skrzypiec i pianina. Nie pamiętam, co grali. Pamiętam tylko...

muzykę!

Rachel ścisnęło coś za gardło.

– Nasi rodzice lubią Mozarta, może grali to – powiedziała i zaczęła coś wystukiwać na pianinie.

Pokręcił po chwili głową.

– Dla mnie to tylko drgania, a wtedy to była prawdziwa muzyka. Od tamtej nocy próbuję ją sobie znowu przyśnić, ale jakoś mi się nie udaje.

Zauważył, jak zabłyśły jej oczy. Ku jego zaskoczeniu pochyliła się i pocałowała go w usta. Oddał pocałunek – nowe doświadczenie, jakby nowy rodzaj muzyki, przeleciało mu przez myśl. Nie wiedział, jak i kiedy to się stało, że jego ręka zsunęła się na pierś Rachel i pozostała tam, choć już przestali się całować.

Być może wszystko skończyłoby się dobrze, gdyby zaraz cofnął dłoń, lecz wyczuwając – tak samo jak drgania tonów muzycznych – sztywnienie i pogrubianie się jej twardniejącego sutka, nacisnął jędrną pierś, a wtedy Rachel z rozmachem wyrznęła go w usta.

Drugi cios wylądował pod jego prawym okiem. Szaman siedział jak ogłupiały, nie próbując się bronić. Mogłaby go zabić, gdyby chciała, ale uderzyła go tylko jeszcze raz.

Wzrastała na farmie, więc miała krzepę, a ciosy zadawała zaciśniętą pięścią. Górną wargę rozbitą miał na miazgę, z nosa ciekła mu krew. Patrzył zdębiały, gdy dziewczyna z płaczem zerwała się na nogi.

Powlókł się za nią do sieni. Na szczęście w domu nikogo nie było.

– Rachel – zawołał, nie potrafiłby jednak powiedzieć, czy mu odpowiedziała, a nie śmiał wchodzić za nią na górę.

Opuścił dom Geigerów i pociągając nosem, żeby krwią nie poplamzić chusteczki, wrócił na owczą farmę. Zmierzając w stronę domu, natknął się na wychodzącego Aldena.

– Rany boskie! Kto cię tak urządził?

– Aaa... Pobiłem się z jednym takim.

– Właśnie widzę. Aż miło patrzeć. Bo już zaczynałem podejrzewać, że tylko Alex Cole jest chłopak z jajami. A jak wygląda tamten skurczybyk?

– Okropnie. O wiele gorzej niż ja.

– To rozumiem. To się chwali – zaopiniował wesoło Alden i oddalił się.

Przy kolacji Szaman musiał wysłuchać kilku długich tyrad przeciw bójkom.

Rano młodsze dzieci w szkole z szacunkiem oglądały jego bitewne obrażenia, ostentacyjnie ignorowane przez pannę Burnham. On i Rachel prawie się do siebie przez cały ten dzień nie odzywali. Mimo to, ku jego zaskoczeniu, czekała na niego jak zwykle po lekcjach. W chmurnym milczeniu wracali razem do domu.

– Powiesz ojcu, że cię dotknąłem?

– Nie! – zaprzeczyła ostro.

– To dobrze. Bo nie chciałbym, żeby mnie wychłostał – powiedział, naprawdę się tego obawiając. Chcąc z nią rozmawiać,

musiał na nią patrzeć, mógł więc stwierdzić, jak wygląda, kiedy się rumieni. Zmieszał się, gdy się uśmiechnęła.

– Och, Szaman! Ale ty wyglądasz! Naprawdę bardzo cię przepraszam – powiedziała i uścisnęła mu rękę.

– Ja ciebie też – odburknął, nie do końca pewien, za co mianowicie ją przeprosza.

W domu matka Rachel poczęstowała ich ciastem imbirowym.

Zmiotłszy je z talerzy, usiedli przy stole naprzeciwko siebie i odrobili lekcje. Potem przeszli do salonu, gdzie Szaman przycupnął na taborecie przed pianinem, dokładając starań, żeby nie przysuwać się do Rachel zbyt blisko. Zdarzenie z poprzedniego dnia zmieniło – jak się tego zresztą obawiał – ich wzajemny stosunek, stwierdzał jednak ze zdziwieniem, że nie było to wcale takie nieprzyjemne. To, co zaszło, trwało między nimi i grało ich swoim istnieniem jak rzecz, która niczym wspólny kubek do nich dwojga tylko należy.

Rob J. otrzymał urzędowe wezwanie do sądu w Rock Island „dwudziestego pierwszego czerwca roku pańskiego tysiąc osiemset pięćdziesiątego siódmego celem naturalizacji”.

Dzień dwudziestego pierwszego czerwca był pogodny i upalny, mimo to okna w sali sądu były szczelnie zamknięte, zasiadający bowiem za stołem sędziowskim czcigodny Daniel P. Allan nie cierpiał much. Procedura naturalizacji nie była skomplikowana, toteż dopóki sędzia Allen nie przystąpił do odbierania przysięgi, Rob J. miał wszelkie powody przypuszczać, że długo w gmachu sądu nie zabawi.

– Czy przysięga pan zatem, że wyrzeka się od tej chwili wszystkich zagranicznych tytułów i zobowiązań wobec innych państw?

– Przysięgam.

– Czy przysięga pan szanować Konstytucję i występować w jej obronie oraz walczyć z bronią w ręku w obronie Stanów Zjednoczonych Ameryki?

– Przepraszam, wysoki sędzie, ale tego przysięc nie mogę – odrzekł zdecydowanie Rob J.

Sędzia Allan, wyrwany tym oświadczeniem ze stanu sennego otępienia, wytrzeszczył na niego oczy.

– Nie uznaję zabijania, wysoki sędzie, więc nie mogę brać udziału w wojnie.

Sędzia Allan wyglądał na człowieka poirytowanego. Siedzący obok za stołem protokolanta Roger Murray odchrząknął.

– Prawo stanowi, panie sędzio, że w podobnym przypadku kandydat uchylający się od służby wojskowej musi dowieść, że jego wiara zabrania mu noszenia broni. To znaczy, że należy do wyznania takiego jak kwakrzy, którzy jak powszechnie wiadomo, wyrzekają się używania przemocy.

– Znam przepisy prawa i wiem, co one znaczą – oświadczył kwaśno sędzia, zły, że Murray nigdy nie potrafi oprzeć się pokusie, by nie udzielać mu publicznie pouczeń. Łypnął znad okularów.

– Jest pan kwakrem doktorze Cole?

– Nie, wysoki sędzie.

– No więc kim, u licha?

– Nie identyfikuję się z żadną religią – odparł Rob J. i zauważył, że sędzia zrobił minę człowieka osobiście urażonego.

– Wysoki sędzie, czy mógłbym podejść? – zapytał ktoś z tyłu sali.

Rob J. poznał głos Stephena Hume'a, który odkąd Nick Holden zajął jego miejsce w Kongresie, był radcą prawnym kompanii

kolejowej. Sędzia Allan skinął przyzwalająco dłonią.

– Proszę, panie kongresmenie.

– Panie sędzio – zaczął z uśmiechem Hume. – Pragnąłbym złożyć osobiste poręczenie za doktora Cole’a. To jeden z najwybitniejszych obywateli stanu Illinois, lekarz gotów dniem i nocą śpieszyć z pomocą potrzebującym. Wiemy wszyscy, że jego słowo jest jak złoty kruszec. Jeśli taki człowiek stwierdza, że nie może walczyć na wojnie z powodu swych przekonań, winno to stanowić dla każdego myślącego człowieka dowód wystarczający.

Sędzia Allan zmarszczył brwi, niepewny, czy ten stojący przed nim prawnik o znanych powszechnie koneksjach politycznych nie imputował mu aby przed chwilą, że on sam nie należy do osób myślących, po zastanowieniu uznał jednak, że najbezpieczniej będzie zerknąć na Rogera Murraya.

– Kontynuujemy procedurę naturalizacji – oświadczył w następstwie tego spojrzenia i Rob J. został bez dalszych przeszkód uznany obywatelem Stanów Zjednoczonych.

W drodze powrotnej do Holden’s Crossing dręczyły go smutne wspomnienia ojczystej Szkocji, której się właśnie wyrzekł, lecz z drugiej strony przyjemnie mu było czuć się Amerykaninem. Mimo że jego nowa ojczyzna kłopotów miała aż nadmiar. Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych zdecydował właśnie ostatecznie, że Dred Scott pozostanie niewolnikiem, Kongres nie ma bowiem prawa znosić niewolnictwa w terytoriach. Południowcy triumfowali, ale wnet wpadli ponownie we wściekłość, ponieważ przywódcy Partii Republikańskiej oświadczyli, że nie uznają decyzji sądu za obowiązującą.

Nie miał tego zamiaru również Rob J., mimo że jego żona i starszy syn stali się zagorzałymi sympatykami Południa.

Przepuścił już przez swoją tajną kryjówkę dziesiątki zbiegłych niewolników w drodze do Kanady i kilka razy omal nie został zdemaskowany. Alex powiedział mu któregoś dnia, że poprzedniej nocy spotkał na drodze o milę od ich farmy George'a Cliburne'a.

– O trzeciej nad ranem siedział na wozie na kupie siana! Co ty o tym myślisz?

– Myślę, że niełatwo ci będzie zaczynać dzień wcześniej od pracowitego kwakra. Ale skąd to się wracało o trzeciej nad ranem? – zapytał Rob J. i Alex tak się zajął wymigiwaniem się od odpowiedzi grożącej odkryciem, że do późnej nocy pił i rozrabiał z Malem Howardem, że kwestia osobliwej etyki pracy George'a Cliburne'a poszła w zapomnienie.

Innym znów razem, gdy Rob J. zamykał o północy kłódkę na drzwiach komórki, napatoczył się Alden.

– Nijak nie mogę zasnąć. Skończyło mi się mleko od wściekłej krowy, a przypomniałem sobie, że mam jeszcze to i owo schowane w stodole. – Wzniósł do góry dzbanek i podsunął go Robowi, który choć prawie nigdy nie pił wiedząc, że alkohol osłabia Dar, zapragnął przynajmniej tym się podzielić z parobkiem, pociągnął więc łyk i zakasłał się.

Alden wyszczerzył w uśmiechu zęby.

Rob wolałby się go pozbyć z pobliza komórki, ponieważ w kryjówce siedział akurat Murzyn w sile lat o nieco świszczącym z powodu astmy oddechu. Rob J. podejrzewał, że ten świst może się czasem nasilać, nie miał zaś pewności, czy nie byłby słyszalny z miejsca, w którym rozmawiali. Alden nie zamierzał jednak

odchodzić. Przykucnął na piętach i zademonstrował, jak pije whisky prawdziwy mistrz – przełknąwszy paluch przez ucho dzbana, przechylił go na łokciu uniesionym na tyle wysoko, by odpowiednia porcja alkoholu spłynęła mu do gardła.

– Masz trudności z zasypianiem? Kimball wzruszył ramionami.

– Jak jestem zmęczony, zasypiam jak dziecko. A jak nie mogę zasnąć, golnę sobie i zaraz mi pomaga.

Wydawało się, że od śmierci Nadchodzącego ze Śpiewem Alden coraz częściej bywał zmęczony.

– Będę musiał nająć kogoś, kto ci pomoże na farmie – po raz chyba dwudziesty oświadczył Rob J.

– Ciężko będzie znaleźć białego, który chciałby się nająć do roboty. A z czarnuchem pracować nie będę – zapowiedział Alden, a Rob J. począł się zastanawiać, czy ich głosy przedostają się także w drugą stronę, do skrytki w komórce.

– A zresztą mam teraz wyrękę w Aleksie. Chłopak jest naprawdę zdatny.

– Rzeczywiście zdatny?

Alden stał wyprostowany, czasem chwiejąc się z lekka; zanim mu się skończyło to „mleko od wściekłej krowy”, musiał go sporo wydudlić.

– Tam do diabła, doktorze – rzucił z przekonaniem – że też pan nigdy nie odda tym biednym smarkaczom, co im się należy.

Co oświadczywszy odmaszerował w stronę swojej chaty, ostrożnie niosąc dzbanek.

Pewnego dnia pod koniec tego lata przywędrował do Holden's Crossing niemłody już Chińczyk o nie ustalonych personaliach. Gdy odmówiono mu obsługi w szynku Nelsona, kazał jednej dziwce,



Penny Davis, kupić butelkę whisky i poszedł z nią do jej szopy, gdzie nazajutrz rano na jej barłogu wyzionął ducha. Szeryf Graham oświadczył, że nie chce oglądać w mieście dziwki, która daje żółtkom, a potem idzie z białymi klientami, i dopilnował osobiście wyprowadzki Penny Davis z Holden's Crossing. Następnie kazał załadować trupa Chińczyka na wóz i odwieźć go do najbliższego koronera.

Kiedy tego popołudnia Rob J. przyszedł do swojej komórki, Szaman już tam na niego czekał.

- Jeszcze nigdy nie widziałem skośnookiego, tato.
- Ten akurat nie żyje. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę, synku?
- Tak, tato.

Rob J. kiwnął głową i otworzył drzwi szopy.

Zwłoki były przykryte prześcieradłem, które Rob J. poskładał i położył na starym drewnianym krześle. Szaman, blady, lecz opanowany, wpatrywał się z przejęciem w leżące nastole ciało. Chińczyk był drobny i szczupły, ale muskularny.

Powieki miał zamknięte. Barwa jego skóry mieściła się gdzieś między bladością białych a czerwienią Indian. Paznokcie u nóg, rogowate i pożółkłe, domagały się obcięcia. Rob był poruszony, spojrzawszy na nie oczyma swego syna.

- Muszę się brać do pracy, chłopcze.
- Nie mógłbym popatrzeć?
- Jesteś pewien, że tego chcesz?
- Tak, tato.

Rob wziął do ręki skalpel i otworzył klatkę piersiową trupa.

Oliver Wendell Holmes podchodził do śmierci z nonszalancją, podejście do niej Roba cechowała prostota. Ostrzegł syna, że

wnętrze człowieka cuchnie gorzej niż wnętrzności upolowanych zwierząt, które dotąd oprawiał, poradził mu więc, by starał się oddychać przez usta. Zwrócił mu następnie uwagę, że wystygłe zwłoki nie są już człowiekiem.

– Cokolwiek ożywiało jego ciało... niektórzy nazywają to coś duszą... już je opuściło.

Chłopiec zbladł na twarzy, lecz patrzył uważnie.

– Czy to ta część, która idzie do nieba?

– Dokąd ona idzie, nie wiem – odparł miękko Rob. Kiedy przystąpił do ważenia narządów, pozwolił Szamanowi zapisywać wyniki, co było mu nawet pomocne. – Mój nauczyciel, William Fergusson, mawiał, że duch opuszcza ciało jak człowiek swój dom, powinniśmy je więc traktować z powagą i szacunkiem, przez wzgląd na tego, kto je zamieszkiwał... Tu masz serce, a tu widać przyczynę jego zgonu. – Wyjął serce i podał je chłopcu, by mógł sobie obejrzeć ciemniejsze koliste wybrzuszenie martwej tkanki na ścianie mięśnia.

– Czemu go to spotkało, tato?

– Nie wiem, synu.

Powkładał z powrotem narządy i zaszył korpus trupa. Nim skończyli się myć po sekcji, na policzki Szamana wróciły rumieńce.

Rob J. był zaskoczony dzielną postawą syna.

– Zastanawiam się – rzekł – czy nie miałbyś ochoty prowadzić tu ze mną czasem studiów.

– O, tak, tato! – oblicze Szamana pojaśniało.

– Bo sądzę, że zechcesz kształcić się dalej. Mógłbyś zarabiać na życie jako nauczyciel. Może nawet w college’u, kto wie? Wydaje mi się, że byś to lubił, prawda?

Szaman patrzył na ojca z powagą; jego twarz na powrót sposepniała, kiedy zastanawiał się nad odpowiedzią. Wzruszył ramionami.

– Może i tak – mruknął w końcu.

---

## 39 Nauczyciele

---

W styczniu tego roku Rob J. zaopatrzył kryjówkę w dodatkowe koce, ponieważ uciekinierzy z dalekiego południa okrutnie marzli w północnym klimacie. Śniegu spadło mniej niż zwykle, dość jednak, by przykrył pola uprawne i upodobił je do prerii w zimowej okrywie. Kiedy wracał czasami o północy od swoich pacjentów, wyobrażał sobie, że wystarczyłoby mu podnieść wzrok, by ujrzeć długi szereg postaci czerwonoskórych, ciągnących na dobrych koniach za swym szamanem i wodzami przez błyszczące, białe, bezkresne równiny, lub wynurzające się z ciemności masywne garbate istoty z oszronionymi kudłami brunatnych futer i krzywymi rogami o złowrogich, posrebrzonych blaskiem księżycza szpicach. Nigdy jednak podobnego widoku nie zobaczył, w duchy bowiem wierzył jeszcze mniej niż w Boga.

Gdy przyszły wiosenne roztopy, wody spływały nieobficie, więc rzeki i strumienie nie wystąpiły z brzegów. Zapewne głównie ztego powodu nie miał owej wiosny tyle co zwykle pracy przy chorych, z

jakiegoś wszakże względu wielu z tych, których złożyła gorączka, umierało na nią. Między innymi odeszła jedna z jego pacjentek, Matylda Cowan, której mąż, Simeon, uprawiał na północy hrabstwa, na bardzo dobrej, choć nieco suchej ziemi, pół mili kwadratowej kukurydzy. Matylda Cowan osierociła trzy małe córeczki. Kiedy umierała młoda kobieta zostawiając nieletnie dzieci, należało zawsze liczyć się z tym, że wdowiec poszuka sobie szybko nowej żony, wszelako gdy Cowan oświadczył się pannie Dorothy Burnham, nauczycielce, wielu nie mogło wyjść ze zdumienia.

Został od razu przyjęty.

Pewnego dnia przy śniadaniu Rob J. opowiadał ze śmiechem Sarze, że rada szkolna jest niepokieszona.

– Sądziłyśmy, że możemy polegać na dożywotnim staropanieństwie Dorothy. Nielichy spryciarz z tego Cowana.

Panna Burnham będzie dobrą żoną.

– Ma kobieta szczęście – stwierdziła sucho Sara. – Jest znacznie od niego starsza.

– Och, Simeon Cowan ma tylko trzy czy cztery lata mniej od swojej narzeczonej – powiedział Rob J., smarując masłem bułkę. – To nie taka znów wielka różnica. – Spozrzegł ze zdziwieniem, że Szaman potakuje mu z zapałem, włączając się do rozmowy na temat swej nauczycielki, i roześmiał się serdecznie na ten widok.

Ostatniego dnia pobytu panny Burnham w szkole Szaman zaczekał, aż pozostali uczniowie pójdą do domu, po czym podszedł do niej, żeby się pożegnać.

– Mam nadzieję, że będę widywał panią w mieście. Cieszę się, że nie poszła pani za mąż gdzieś daleko.

– I ja się cieszę, Robercie, że będę nadal mieszkała w Holden's Crossing.

– Chciałem pani podziękować – mruknął nieporadnie.

Zdawał sobie sprawę, jak znaczącą rolę odegrała w jego życiu ta ciepła i dobra kobieta.

– Nie ma za co, kochanie. – Powiadomiła już rodziców Szamana, że nie będzie w stanie pracować dalej nad jego wymową, mając farmę, męża i troje małych dzieci na głowie.

– Jestem przekonana, że Rachel doskonale sobie beze mnie poradzi. Osiągnąłeś już zresztą tyle, że można by właściwie zaniechać tych ćwiczeń głosu.

– Uważa pani, że mówię już tak jak inni?

– No cóż... – Potraktowała to pytanie z całą powagą.

– Niezupełnie. Gdy jesteś zmęczony, wciąż mówisz gardłowo.

Masz wyczuloną świadomość, jak powinny brzmieć słowa, więc nie połykasz zgłosek jak niektórzy ludzie. Dlatego istnieje niewielka różnica. – Zauważyła, że zmartwiła go ta opinia, ujęła zatem jego rękę i uściśnęła ją. – Ale to urocza różnica – dodała i ucieszyła się na widok jego rozjaśnionej twarzy.

Za własne pieniądze kupił jej w Rock Island mały prezent-obszytą jasnoniebieską koronką chusteczkę.

– Ja też mam coś dla ciebie – powiedziała i wręczyła mu tom sonetów Szekspira. – Masz zawsze o mnie myśleć, ilekroć będziesz je czytał – przykazała. – Szczególnie, ma się rozumieć, przy sonetach miłosnych! – dorzuciła śmiało i zawtórowała mu śmiechem, uświadamiając sobie z zachwytem, że pani Cowan będzie mogła robić i mówić rzeczy, o jakich biedna nauczycielka, panna Burnham, nie mogła nawet marzyć.

Wzmógł na wiosnę ruch na Missisipi owocował obfitszym żniwem topielców. Gdzieś w górze rzeki wypadł z barki i utonął młody flisak; nurt wciągnął ciało, a wyrzucił je dopiero na obszarze jurysdykcji Holden's Crossing. Pozostali członkowie załogi barki nie wiedzieli, skąd chłopak pochodził, ani w ogóle nic na jego temat. Wiedzieli tylko, jak miał na imię: Billy. Szeryf Graham dostarczył trupa topielca doktorowi Cole.

Szaman asystował więc przy swojej drugiej sekcji zwłok. Jak poprzednio zapisywał w ojcowskim notesie wagę poszczególnych narządów. Dowiedział się, jakie zmiany zachodzą w płucach, gdy człowiek utonie. Tym razem trudniej mu było przyglądać się nieboszczykowi. Chińczyk był mu obojętniejszy z powodu wieku i egzotycznego pochodzenia, ten zaś młodzieniec był tylko o kilka lat starszy od jego brata, Dużego, jego trup przypominał więc Szamanowi, że on także jest śmiertelny. Udało mu się jednak przegnać te myśli z głowy na tyle skutecznie, by mógł obserwować i uczyć się.

Po skończonej sekcji Rob J. zabrał się do preparowania prawej dłoni Billy'ego.

– Większość chirurgów boi się zabiegów na dłoni – wyjaśnił Szamanowi. – Bierze się to stąd, że nie poświęcają dostatecznie wiele czasu na jej badanie. Jeśli chcesz zostać nauczycielem anatomii lub fizjologii, musisz poznać budowę ręki.

Nietrudno było zrozumieć, dlaczego chirurdzy boją się operacji na dłoni. Składała się z samych mięśni, ścięgien i stawów zawiasowych, Szaman był więc zaskoczony, ale i przerażony, kiedy ojciec, skończywszy preparować prawą dłoń, polecił mu samodzielnie zrobić to samo z lewą.

Rob uśmiechnął się do syna, jakby świetnie wiedział, co w tym momencie przeżywa.

– Nie bój się. Cokolwiek zrobisz, nie sprawisz mi bólu. I Szaman spędził prawie cały dzień na krojeniu, sondowaniu, oglądaniu i uczeniu się na pamięć nazw najdrobniejszych kosteczek; dowiedział się też, jak poruszają się stawy w dłoniach osób żywych.

Parę tygodni później szeryf przywiózł doktorowi Cole zwłoki starej kobiety, która zmarła w prowadzonym przez hrabstwo przytułku dla nędzarzy. Szaman aż palił się do podjęcia dalszych lekcji, lecz ojciec zagroził mu tym razem wejście do komórki.

– Czy widziałeś już kiedyś kobietę bez ubrania, synu?

– Raz, Makwę. Zabrała mnie ze sobą do łaźni parowej i śpiewała tam pieśni, żeby mi wrócił słuch.

Ojciec przyglądał mu się przez chwilę ze zdumieniem, następnie poczuł się w obowiązku wyjaśnić:– Uważam, że źle by się stało, gdyby pierwsza kobieta, którą zobaczysz naga, była stara, brzydka i do tego martwa.

Szaman przytaknął, czując, jak pali go twarz.

– Ona nie będzie pierwsza, tato. A Makwa nie była stara ani brzydka.

– To prawda, nie była – przyznał Rob J. Poklepał syna po ramieniu, po czym weszli obaj do szopy i zamknęli za sobą drzwi.

W czerwcu rada szkolna zaproponowała Rachel Geiger posadę nauczycielki. Powoływanie najstarszego ucznia na wakującą posadę nauczyciela było na porządku dziennym, a do tego Dorothy Burnham gorąco rekomendowała Rachel jako swoją następczynię w liście, w którym zgłaszała własną rezygnację.

Ponadto pannie Geiger, jak zauważył Carroll Wilkenson, można będzie zaoferować wynagrodzenie dla stażystów, ponieważ zaś mieszkała w domu rodziców, odpadała konieczność zapewnienia jej stancji.

Oferta rady szkolnej wniosła do domu Geigerów atmosferę niepokoju i niezdecydowania i wywołała gorące, ściszonymi głosami prowadzone narady Lillian i Jaya.

– I tak już za długo zwlekamy z decyzją – przedkładał Jay.

– Ale weź pod uwagę, że rok na posadzie nauczycielki stanie się jej prawdziwym atutem, pomoże jej znaleźć lepszą partię.

Nauczycielka... to takie amerykańskie!

Jay westchnął. Chlubił się swoimi trzema synami, Daveyem, Hermem i Cubbym. Dobrzy, kochani chłopcy. Wszyscy trzej grali na pianinie, podobnie jak ich matka, choć z różną biegłością, a Dave i Herm chcieli się ponadto uczyć grać na instrumentach dętych, gdyby udało im się kiedyś znaleźć nauczyciela. Rachel była jedyną córką Jaya, pierworodnym dzieckiem. To ją nauczył grać na skrzypcach. Zdawał sobie sprawę, że nadejdzie dzień, kiedy dziewczyna opuści jego dom i odtąd będzie odżywała dlań jedynie w rzadko pisanych listach i podczas krótkich wizyt – jej w domu rodziców lub jego w domu jej męża, najpewniej gdzieś na końcu świata.

Postanowił okazać się samolubem i zatrzymać ją jeszcze przez jakiś czas przy sobie.

– Dobrze, niech zostanie nauczycielką – ustąpił.

Minęło już kilka lat, odkąd powodzie zmyły łaźnię parową Makwa-ikwy. Pozostały po niej tylko dwie kamienne ściany, na sześć stóp długie, na trzy wysokie, stojące jedna od drugiej w



odległości dwóch i pół stopy. W sierpniu Szaman zaczął kłaść nad tymi ścianami półkoliste sklepienie z przygiętych pni drzewek. Pracował powoli i nieskładnie, przeplatając pnie zielonymi łozami wierzby. Zobaczywszy, czym się zajmuje jego syn, Rob J. zapytał, czy nie mógłby mu pomóc, po czym pracując we dwójkę w wolnych chwilach przez blisko dwa tygodnie, zdołali zbudować coś, co przypominało z grubsza łaźnię Makwy, którą ta wzniosła w kilka godzin przy pomocy Księżyca i Nadchodzącego ze Śpiewem.

Następnie, używając do tego celu młodych drzewek i łóz, upletli kołyskę rozmiaru człowieka i umieścili ją w łaźni, osadzając na podporach dwóch kamiennych ścian.

Rob J. miał jedną wystrzępioną skórę bizona i jedną jelenią. Kiedy nakryli obiema skórami szkielet budowli, spora jej część pozostawała nie przykryta.

– Może by kocem? – zaproponował Szaman.

– Lepiej weźmy dwa, położymy podwójną warstwę, inaczej ulotni nam się para.

Wypróbowali łaźnię w pierwszy mroźny dzień wrześniowy. Kamienie łaźiebne Makwy leżały tam, gdzie je zostawiła. Rozpaliwszy ogień, ustawili je w płomieniach, żeby się rozgrzały do białości. Szaman podszedł do łaźni zawinięty tylko w koc, który przed samym wejściem zrzucił.

Kiedy drząc z zimna wyciągnął się w wiklinowej kołysce, Rob J. przyniósł na rozwidlonych gałęziach rozżarzone kamienie, ułożył je pod kołyską, po czym chlusnął na nie wiadrem zimnej wody i szczelnie okrył szałas.

Szaman leżał w gęstniejącej parze i ociekając potem wspominał, jak się bał za pierwszym razem i wtulał w ramiona

Makwy, przerażony gorącem i ciemnością. Przypomniawszy sobie dziwne znaki na jej piersiach i dotyk tych szram na swoim policzku. Rachel była szczuplejsza i wyższa od Makwy, a piersi miała cięższe. Na myśl o niej doznał wzwołu i przestraszył się, że ojciec może wejść i zobaczyć go w tym stanie.

Zmusił się do powrotu myślą do Makwy.

Wspomniał ciepłą serdeczność, jaka od niej emanowała, równie przyjemną jak pierwsze ciepło unoszącej się pary. Dziwnie mu było leżeć tak w szałasie, w którym ona tyle razy brała parówkę.

Wspomnienie o niej zatarło się z latami.

Zastanawiał się, czemu ktoś miałby ją zabijać i dlaczego istnieje na tym świecie tylu złych ludzi.

Niemal bezwiednie zaczął śpiewać pieśni, których go nauczyła: „Wi-a-yam, Ni-na ne-gi-seke-wi-to-seme-ne nie-na...”  
Dokądkolwiek idziesz, ja idę z tobą, mój synku...

Po jakimś czasie ojciec przyniósł więcej rozpalonych kamieni, oblał je zimną wodą i szałas wypełniły świeże kłęby pary. Szaman znosił żar tak długo, jak długo był w stanie, oddychając spazmatycznie i zlewając się potem. W końcu nie wytrzymał, wyskoczył z kołyski, puścił się pędem przez mroźne powietrze i dał nurka do lodowatej rzeki. Przez chwilę zdawało mu się, że umiera najczystszy rodzajem śmierci, ale w miarę jak trzepał się i pływał, krew poczynęła coraz żywiej krążyć w jego ciele, aż wyrwał mu się z gardła okrzyk prawdziwego Sauka. Wtedy wyskoczył z wody, pognął do stodoły, wytarł się szybko i ubrał w ciepłe ubranie.

Objawił najwyraźniej zbyt wiele radości, kiedy bowiem wyszedł ze stodoły, ojciec już czekał w kolejce do łaźni. Teraz Szamanowi

przyszło rozgrzewać i nosić kamienie, a następnie zlewać je wodą, żeby wytworzyć parę.

Gdy rozgrzani i roześmiani dotarli w końcu do domu, okazało się, że przegapili w łaźni porę na kolację. Matka Szamana uniosła się gniewem i zostawiła ich talerze na stole, więc jedzenie wystygło. Musieli się obejść bez zupy i zdrapywać zgęstniały tłuszcz z baraniny, zgodzili się jednak obaj, że opłaciła się skórka za wyprawkę. Makwa naprawdę wiedziała, jak należy zażywać kąpieli.

Kiedy zaczął się rok szkolny, Rachel stwierdziła, że wcale nie tak trudno być nauczycielką. Rutynę zajęć znała doskonale: lekcje, prace klasowe, śpiew, zadania domowe. Szaman był od niej lepszy z matematyki, poprosiła go więc, żeby prowadził lekcje rachunków. Choć nie otrzymywał gaży, Rachel wychwalała go przed rodzicami i radą szkoły, on zaś był zadowolony mogąc przygotowywać z nią lekcje.

Żadne z nich nie wspominało o opinii panny Burnham, że ćwiczenia głosowe nie są mu dłużej potrzebne. Teraz, kiedy Rachel była nauczycielką, odbywali je w szkole po wyjściu dzieci do domu, z wyjątkiem tych, do których potrzebne było pianino jej matki. Szaman lubił siedzieć obok przyjaciółki na kanapce przed instrumentem, ale jeszcze bardziej lubił zostawać z nią w szkole sam na sam.

Uczniowie śmiali się zawsze, że panna Burnham nigdy nie chodzi siku. Obecnie Rachel doświadczała tych samych ograniczeń, toteż gdy tylko szkoła pustoszała, wybiegała do ustępu. Czas oczekiwania na jej powrót Szaman wypełniał wyobrażaniem sobie, co też ona nosi pod spódnicą. Duży opowiadał mu, że gdy robił to z Pattie Drucker, musiał jej pomagać ściągnąć starą, dziurawą bieliznę po

ojcu. Szaman orientował się jednak, że większość kobiet nosi bądź fiszbinowe krynoliny, bądź koszule z końskiego włosia, drapiące, za to ciepłe. A Rachel była zmarzluchą. Wracając z dworu wieszała palto na kołku i podbiegała do piecyka, żeby się ogrzać, najpierw z przodu, a potem z tyłu.

Po miesiącu zaledwie pracy na posadzie nauczycielki musiała wyjechać z rodziną do Peorii na żydowskie święta i Szaman zastępował ją przez pół października, za co mu zapłacono.

Uczniowie zdążyli się już do niego przyzwyczaić na lekcji arytmetyki. Wiedzieli, że aby rozumieć, co mówią, głuchy nauczyciel musi patrzeć na ich usta, toteż zaraz pierwszego dnia rano Randy Williams, najmłodszy syn kowala, odwrócony do Szamana plecami rzucił jakiś żarcik. Szaman pokiwał tylko głową, gdy dzieci parsknęły śmiechem, i zapytał Randy'ego, czy ma ochotę powisnąć trochę głową w dół trzymany za pięty. Ponieważ był roślejszy od większości znanych dzieciom mężczyzn, śmiech uciął jak nożem uciął, a Randy odparł z lekkim drzeniem w głosie, że nie, nie ma na to ochoty. Przez następne dwa tygodnie lekcje szły jak po maśle.

Pierwszego dnia po powrocie do szkoły Rachel wydawała się czemuś zgaszona. Po południu, po wyjściu dzieci, wróciła z ubikacji drżąca i zapłakana.

Szaman podszedł i wziął ją w ramiona. Nie protestowała, stała po prostu z zamkniętymi oczami między nim a piecem.

– Nie cierpię Peorii – wyszeptała. – To ohydne, kiedy się spotyka tyłu ludzi. Rodzice... wystawiają mnie na targ jak jałówkę.

Uznał za rzecz samą przez się zrozumiałą, że Geigerowie chlubią się córką. Poza tym nie będzie musiała jechać do Peorii przez cały następny rok. Nie powiedział tego jednak.

Kiedy tak stali, nawet nie pomyślał o tym, żeby ją pocałować, szczęśliwy, że czuje dotyk jej miękkiego ciała, święcie przekonany, że cokolwiek robią ze sobą mężczyzna i kobieta, nic nie może już być od tego przyjemniejsze. Po chwili Rachel wysunęła się z jego objęć i spojrzała na niego poważnie zapłakanyymi oczyma.

– Jesteś moim najlepszym przyjacielem.

– Jestem – przytaknął.

Dwa wydarzenia stały się dla Roba J. odkryciem. Pewnego mroźnego listopadowego poranka Szaman zatrzymał go na ścieżce przed stodołą.

– Odwiedziłem wczoraj pannę Burnham, to znaczy panią Cowan. Prosiła, żebym pozdrowił od niej ciebie i matkę.

Rob J. się uśmiechnął.

– Tak? To miło z jej strony. Mam nadzieję, że przywykła już do życia na farmie Cowana?

– Owszem. Dziewczynki chyba ją lubią. Mają oczywiście masę roboty we dwójkę. – Popatrzył na ojca. – Tato, czy dużo jest małżeństw takich jak oni? To znaczy takich, w których kobieta jest starsza od mężczyzny?

– No cóż, synku, zwykle bywa na odwrót, choć nie zawsze.

Przypuszczam, że jest takich sporo. – Czekał na dalszy ciąg rozmowy, lecz Szaman skinął tylko głową i poszedł do szkoły, a Rob J. wszedł do stajni i osiodłał konia.

Kilka dni później pracowali razem w mieszkaniu. Sara zobaczyła w paru domach w Rock Island maty podłogowe i tak długo molestowała Roba J., aż zgodził się, żeby i ona miała trzy podobne. Sporządzało sieje nasączając part żywicą, a następnie malując pięcioma warstwami farby. W rezultacie tych zabiegów powstawała

wykładzina podłogowa odporna na zabłocenie, zalanie wodą, a do tego dekoracyjna. Do położenia żywicy i czterech pierwszych warstw farby Sara zatrudniła Alexa i Aldena, do końcowego szlifu zaangażowała męża.

Rob J. farbę barwy młodej pszenicy mieszał na wszystkie pięć warstw, używając do tego maślanki, kupnego oleju i drobnozmielonych brązowych skorupki jaj. Ostatnią warstwę kładli we dwóch z Szamanem, w to zaś niedzielne słoneczne przedpołudnie pracowicie wykańczali każdą z mat czarną wąską obwódka, starając się zdążyć, nim Sara wróci z kościoła.

Szaman umiał być cierpliwy. Rob J. wiedział, że w kuchni czeka na niego Rachel, mimo to chłopiec nie gonił z robotą, gdy zdobili brzeg ostatniego ze swoich dzieł.

– Tato, czy małżeństwo drogo kosztuje? – zagadnął go naraz syn.

– Hm, sporo. – Rob J. wytarł pędzelek w szmatę. – To naturalnie zależy. Niektóre małżeństwa mieszkają z rodziną, jej lub jego, do czasu aż będzie je stać, żeby pójść na swoje. – Z cienkiej listwy zrobił szablon, żeby ułatwić sobie pracę, i Szaman przesunął go teraz po malowanej powierzchni, a on pociągnął ostatni, wieńczący dzieło pas czarnej farby.

Wytarli pędzle i odnieśli narzędzia do stodoły. Przed powrotem do domu Szaman pokiwał głową.

– Rozumiem, że to zależy.

– Co zależy? – zapytał wyrwany z zamyślenia Rob J.

Zastanawiał się właśnie, jak odciągnąć wodę ze spuchniętego jak bania kolana Harolda Hayse'a.

– To, ile kosztuje małżeństwo. Zależy od tego, ile się zarabia, jak prędko przyjdzie na świat dziecko i od podobnych rzeczy.

– Otóż to – zgodził się z nim ojciec. Był zaskoczony, miał wrażenie, że umknął mu jakiś istotny fragment rozmowy.

Kilka minut później Szaman i Rachel Geiger przeszli obok stodoły, kierując się ku gościńcowi. Szaman wpatrywał się w Rachel, żeby wiedzieć, co do niego mówi, ale Rob J. zrozumiał od razu, co znaczy wyraz twarzy jego syna.

Skrzywił się. Pewne stany uczuciowe rzucają się wręcz w oczy.

Przed opatrzeniem kolana Harolda Hayse'a pojechał na farmę Geigerów. Jego przyjaciel ostrzył w szopie z narzędziami parę kos. Przywitał go uśmiechem, ale nie przerwał zgrzytliwych pociągnięć osełką.

– Witaj, Rob.

– Witaj, Jason.

Rob J. wziął zapasową osełkę i zabrał się do ostrzenia drugiej kosi.

– Chciałbym z tobą o czymś porozmawiać – rzekł.

---

## 40 Dorastanie

---

Zima. pokrywała pola ostatnią, nieustępliwą, do cienkiego lukru podobną warstwą śniegu, gdy Rob J. zaczął na farmie prace wiosenne. Szaman był zaskoczony, ale i kontent, kiedy i jemu po raz pierwszy przydzielono zadanie. Dotąd pomagał w pracy jedynie

od przypadku do przypadku, zostawiano mu bowiem swobodę, aby mógł się uczyć i ćwiczyć wymowę.

– W tym roku będzie nam pilnie potrzebna twoja pomoc – oświadczył mu ojciec. – Alden i Alex nigdy by się do tego nie przyznali, ale trzech mężczyzn nie podołają sami pracy, jaką wykonywała Księżyc. A poza tym – dodał – stado z każdym rokiem się powiększa i trzeba grodzić nowe pastwiska. Rozmawiałem z Rachel i Dorothy Cowan. Obie uważają, że nauczyłeś się już w szkole wszystkiego, czego nauczyć się mogłeś. Zapewniały mnie też, że już nie potrzebujesz ćwiczeń głosowych, a ja muszę powiedzieć – uśmiechnął się do syna – że się z nimi zgadzam. Moim zdaniem mówisz doskonale!

Rob J. uspokoił Szamana, że taka sytuacja nie będzie trwała wiecznie.

– Wiem, że nie chcesz pracować na farmie. Pomożesz nam teraz, a potem pomyślimy, co mógłbyś robić dalej.

Alden i Alex zajmowali się ubojem jagniąt, Szaman miał obsadzać krzewami granice pastwisk, jak tylko grunt zmięknie na tyle, by dało się wbić weń szpadel. Plecione płoty nie zdawały na farmie egzaminu. Owce bez trudu przez nie uciekały, a drapieżniki zakradały się do środka. Żeby ogrodzić nowe pastwisko, Szaman musiał oborać je wkoło pojedynczą redliną, a potem wysiać żółtnicę pomarańczową tak gęsto, by wyrósł niedostępny żywopłot. Siał oszczędnie, funt nasion kosztował bowiem pięć dolarów. Krzewy żółtnicy były mocne, rozrastały się gęsto i jeżyły długimi groźnymi cierniami, które spełniały dwie funkcje: nie pozwalały wymykać się owcom i broniły dostępu wilkom i kojotom. Trzeba było aż trzech lat, by utworzyły wokół pastwiska ochronny



żywopłot, ale Rob J. sadził te cierniste bariery od początku swego gospodarzenia na farmie, więc gdy Szaman posiał nowe rośliny, spędził następnie wiele dni na drabinie przycinając stare. Uporawszy się zaś z tym zadaniem, musiał jeszcze wywieźć z pola kamienie, narąbać drewno na opał, wyciosać paliki, wykarczować pniaki pod lasem.

Ręce miał podrapane od cierni, na dłoniach porobiły mu się odciski, wszystkie mięśnie najpierw go bolały, potem stwardniały. W jego ciele zachodziły zmiany nieodłączne od okresu dorastania. Zgrubiał mu głos, w nocy miewał sny erotyczne.

Nie zawsze je pamiętał, nie zawsze też potrafił zidentyfikować występujące w nich kobiety, lecz kilka razy zapamiętał wyraźnie, że śniła mu się Rachel. Przynajmniej raz przyśniła mu się Makwa, co go wystraszyło i wprawiło w okropne zmieszanie. Robił co mógł, choć bezskutecznie, by usunąć plamy z prześcieradła, nim je zabiorą do pralni do wygotowania.

W poprzednich latach widywał Rachel niemal codziennie, teraz jedynie z rzadka. Któregoś niedzielnego popołudnia poszedł ją odwiedzić. Zapukał do drzwi, otworzyła mu Lillian.

– Rachel jest zajęta, nie może się z tobą teraz zobaczyć.

Pozdrowię ją od ciebie, Robię J. – powiedziała uprzejmie.

Pewnego sobotniego wieczoru, gdy ich rodziny zebrały się na zwyczajowe muzykowanie i pogawędki, udało mu się usiąść obok niej i porozmawiać o szkole. Brakowało mu lekcji arytmetyki z dziećmi, wypytywał o nie Rachel, pomógł jej ułożyć plan na następne zajęcia. Przyjaciółka wydawała mu się dziwnie skrępowana. To, co tak w niej kochał, jej ciepło i wewnętrzny blask, było jakies przytłumione, jak ogień, do którego dołożono za dużo

drew. Kiedy zaproponował, by poszli się przejść, miał wrażenie, że na jej odpowiedź czekają w napięciu wszyscy zebrani w pokoju dorośli; odprężyli się dopiero wtedy, kiedy powiedziała:– Dziękuję, Szamanie, nie mam teraz ochoty na spacer.

Rodzice objaśnili Rachel sytuację. Poinformowali ją w oględnych słowach o uczuciach młodego chłopca i dali wyraźnie do zrozumienia, że obowiązek zniechęcenia go spoczywa na niej. Było to niezmiernie trudne. Szaman był jej przyjacielem, tęskniła do jego towarzystwa. Martwiła się też o jego przyszłość, ale ponieważ sama stała na krawędzi otchłani, wysiłek, jaki wkładała w przeniknięcie jej mrocznych głębi, wyczerpywał w niej niemal cały niepokój i lęk.

Powinna była zdawać sobie sprawę, iż uczucie Szamana tylko przyspieszy zmiany w jej życiu, lecz tak się broniła przed tym, co ją czeka, że gdy zjechał do nich na weekend niejaki Johann C. Regensberg, uznała go natychmiast za przyjaciela ojca. Gość był miłym, pulchnawym, dobiegającym czterdziestki mężczyzną, który swojego gospodarza tytułował z szacunkiem „panem Geigerem”, jego zaś prosił, by mówił mu Joe. Był średniego wzrostu i miał nieco skośne niebieskie oczy o przenikliwym spojrzeniu, którymi spoglądał uważnie na świat zza szkieł okularów w metalowej oprawie. Jego sympatyczna twarz umieszczona była w symetrycznej równowadze między krótką bródką a rzednącą kasztanową fryzurą, która spęzła aż na czubek głowy. Lillian opisywała go później przyjacielom jako mężczyznę „o wysokim czole”.

Joe Regensberg zjawił się na farmie w piątek, gdy miano właśnie siadać do szabatowej wieczerzy. Cały wieczór i następny dzień spędził z Geigerami. W sobotę rano obaj z Jasonem czytali ustępy z Pisma i studiowali księgę Leviticus.

Po zimnym podwieczorku pokazano mu stodołę i aptekę, a następnie – ciepło okutanego z powodu pochmurnego dnia – oprowadzono go po polach przewidzianych tej wiosny pod siew.

Geigerowie kończyli szabat czulentem, daniem składającym się z fasoli, mięsa, jęczmiennych krup perłowych i suszonych śliwek, które prażyło się na gorących węglach od popołudnia poprzedniego dnia, ponieważ żydom nie wolno rozpalać w szabat ognia. Po jedzeniu słuchano muzyki. Jason odegrał fragment sonaty skrzypcowej Beethovena, po czym oddał instrument córce, która z radością dokończyła utwór, czemu gość przysłuchiwał się z wyraźnym ukontentowaniem. Na zakończenie wieczoru Joe Regensberg podszedł do swego ogromnego, wybitego sukmem kufra i wydobył z jego wnętrza prezenty: dla Lillian komplet brytfann wyprodukowanych w należącej do niego fabryczce naczyń cynowych w Chicago, dla Jaya butelkę starej zacnej brandy, a dla Rachel książkę „Klub Pickwicka”

Dla jej braci nie przywiózł żadnych prezentów. Gdy to spostrzegła, pojęła od razu znaczenie jego wizyty i zmartwiała z trwogi i zmieszania. Zdrętwiałymi wargami podziękowała mu za prezent, dodając, że bardzo lubi utwory pana Dickensa, choć dotąd czytała tylko „Nicholasa Nickleby”

– „Klub Pickwicka” to moja ulubiona powieść – wyznał ofiarodawca. – Musimy o niej koniecznie porozmawiać, gdy już ją pani przeczyta.

Nikt uczciwy nie nazwałby go mężczyzną przystojnym, ale twarz miał inteligentną. Tylko ktoś nietuzinkowy, pocieszała się Rachel, mógł w podobnych okolicznościach ofiarować kobiecie książkę.

– Uważam, że to odpowiedni prezent dla nauczycielki – oświadczył, jak gdyby czytał w jej myślach. Garnitur leżał na nim lepiej niż na większości mężczyzn, których znała; prawdopodobnie był lepiej uszyty. Kiedy się uśmiechał, w kącikach jego oczu pojawiały się „kurze łapki”.

Jason napisał do Benjamin Schoenberga, szadchena z Peorii, ale dla pewności wysłał też drugi list do Solomona Rosena, swata z Chicago, gdzie mieszkała coraz liczniejsza żydowska społeczność. Schoenberg odpowiedział kwiecistą epistołą donosząc, że dysponuje całym sznurem młodych kandydatów na mężów, z których każdy stanowi doskonałą partię.

Geigerowie będą ich mogli poznać, kiedy rodzina zjedzie na święta do Peorii. Natomiast Solomon Rosen przystąpił od razu do dzieła. Do jego najlepszych kandydatów na małżonków należał Johann Regensberg. Gdy ów wspomniał mu więc, że wybiera się na zachód Illinois, aby objechać punkty sprzedaży swoich cynowych wyrobów, w tym kilka sklepów w Rock Island i Davenport, Solomon Rosen umówił go nie zwlekając z rodzicami dziewczyny.

Kilka tygodni po tej wizycie przyszedł od pana Rosena drugi list. Johann Regensberg był Rachel oczarowany. Pan Rosen informował, że rodzina Regensbergów posiada jiches, prawdziwe wyróżnienie, na które rodzina mogła sobie zasłużyć dopiero po wielu pokoleniach służby dla wspólnoty. W liście była też informacja, że do przodków pana Regensberga należeli nauczyciele i badacze Pisma począwszy od czternastego stulecia.

W miarę jednak jak Jay czytał dalej, jego twarz powlekał ciemny rumieniec oburzenia. Rodzice Johanna, Leon i Golda Regensbergowie, już nie żyli. W sprawie ożenku ich syna

reprezentowała zmarłych pani Harriet Ferber, siostra Leona Regensberga, która zgodnie z rodzinną tradycją żądała przedstawienia świadectwa bądź innych dowodów stwierdzających dziewictwo ewentualnej narzeczonej.

– To nie Europa, a oni nie kupują jałówek – mruknął przez zęby Jason.

Na jego chłodny list odmowny pan Rosen odpowiedział pośpiesznym listem pojednawczym, w którym wycofał wysunięte żądanie, prosząc w zamian o zgodę na przyjazd ciotki Johanna z wizytą do Geigerów. Tak więc parę tygodni później zjechała do Holden's Crossing pani Ferber, drobna, dumnie wyprostowana niewiasta o lśniących siwych włosach, szesanych gładko do tyłu i upiętych w kok. Podobnie jak jej bratanek przybyła tuż przed szabatem, taszcząc ze sobą podróżny kosz z kandyzowanymi owocami, czekoladkami z likierem i pół tuzinem butelek koszernego wina. Smakowały jej potrawy Lillian, podobały się muzyczne występy rodzinne, ale obserwowała głównie Rachel i to z nią rozmawiała o szkole i dzieciach, najwyraźniej od pierwszej chwili podbita jej urokiem.

Nie była wcale taka straszna, jak się obawiali. Późnym wieczorem, kiedy Rachel sprzątała w kuchni, pani Ferber zasiadła z jej rodzicami w salonie i każde z nich opowiedziało dzieje swej rodziny.

Przodkami Lillian byli hiszpańscy Żydzi, którzy uciekli przed inkwizycją najpierw do Holandii, a potem do Anglii. W Ameryce odznaczyli się na polu polityki. Po ojcu była spokrewniona z Francisem Salvadorem, który został wybrany przez swoich chrześcijańskich sąsiadów do Kongresu Prowincjonalnego

Południowej Karoliny i który zdążywszy przesłużyć ledwie kilka tygodni w milicyjnych formacjach patriotów po przyjęciu Deklaracji Niepodległości, jako pierwszy Żyd poległ za Stany Zjednoczone: wpadł w zastawioną przez Indian i torysów zasadzkę i stracił skalp. Po matce była kuzynką Judy Benjamina, senatora Stanów Zjednoczonych z Luizjany.

Z kolei przodkowie Jasona, właściciele wytwórni medykamentów w Niemczech, przyjechali do Charlestonu w roku 1819, uciekając przed zamieszkami, podczas których dumy krążyły po ulicach wyszukując Żydów i wrzeszcząc: „Hep! Hep! Hep!” Okrzyk ów wywodził się z czasów krucjat, a składał z pierwszych liter zawołania Hierosolyma est perdita, przepadła Jeruzalem.

Pani Ferber powiedziała im, że Regensbergowie, którzy posiadali winnice w Nadrenii, opuścili Niemcy dziesięć lat przed wybuchem tych samych zamieszek. Nie mieli wielkiego majątku, lecz byli finansowo zabezpieczeni, a fabryczka naczyń cynowych Joego Regensberga prosperowała znakomicie. Johann należał do rodu kohanim, w jego żyłach płynęła krew arcykapłanów Świątyni Salomona. Jeśli dojdzie do zawarcia małżeństwa, napomknęła delikatnie, wnuki Lillian i Jaya będą wywodziły swój ród od dwóch naczelnych rabinów Jerozolimy. Cała trójkasiedziała i przyglądała się sobie z zadowoleniem, popijając dobrą angielską herbatę, wydobytą z przepastnego kosza pani Ferber.

– Siostra mojej matki też miała na imię Harriet – przypomniała sobie Lillian. – Nazywaliśmy ją Hattie.

Co do niej, oświadczyła pani Ferber, nikt nigdy nie nazywał jej inaczej jak Harriet; zakomunikowała to jednak z tak ciepłą

dobroduszością, że zgodzili się ochoczo, gdy zaprosiła ich do siebie do Chicago.

Parę tygodni później, we środę, cała szóstka Geigerów wsiadła do pociągu na stacji w Rock Island i ruszyła w trwającą pięć godzin bez przesiadki podróż do Chicago, które okazało się miastem ogromnym, szeroko rozrzuconym, brudnym, zatłoczonym, obskurnym, hałaśliwym i szalenie zdaniem Rachel podniecającym. Zamieszkali na trzecim piętrze hotelu Illinois House Palmera. W czwartek i piątek spotkali się na obiadach w domu Harriet na South Wabash Avenue z innymi członkami rodziny, a w sobotę rano uczestniczyli w obrzędzie religijnym w rodzinnej synagodze Regensbergów, gminy Kehilat Ansze Maariw, i Jason został zaszczycony wezwaniem do Tory dla odśpiewania błogosławieństwa.

Wieczorem tego dnia wybrali się do sali, w której wędrowna trupa operowa wystawiała „Wolnego strzelca” Carla Marii von Webera. Rachel nigdy jeszcze nie była w operze. Wzniosłe romantyczne arie ogromnie ją zachwyciły. W czasie pierwszego antraktu Joe Regensberg wyszedł z nią na dwór i poprosił ją o rękę, a ona się zgodziła, choć czuła się z lekka urażona, ponieważ prawdziwe oświadczenia oraz ich przyjęcie zostały wcześniej ułożone przez starszych. Joe wyjął z kieszeni pierścionek, który należał ongiś do jego matki.

Diament w jego oczku – pierwszy, jaki Rachel w życiu oglądała – był skromny, lecz pięknie osadzony. Pierścionek okazał się trochę za duży, zacisnęła więc dłoń, żeby nie zsunął się z palca i nie zginął. Kiedy wśliznęli się z powrotem na swoje miejsca, drugi akt opery właśnie się zaczynał.

Siedząc w ciemności obok matki Rachel ujęła jej rękę, położyła na pierścionku i uśmiechnęła się radośnie, gdy Lillian wyrwało się westchnienie. Pozwalając się nieść cudownej muzyce do niemieckich borów, uświadomiła sobie, że wydarzenie, przed którym tak długo drżała ze strachu, może się w istocie okazać wrotami do wolności i nader przyjemnej władzy.

Kiedy pewnego majowego ranka zjawiła się na owczej farmie, Szaman od paru już godzin oblewał się potem, machając najpierw kosą, następnie grabiami, był cały zakurzony i przyprószony sieczką. Rachel miała na sobie starą szarą, dobrze mu znaną sukienkę, ciemną pod pachami od wyciśniętej upałem wilgoci, szeroki szary kapelusz, który widział po raz pierwszy, oraz białe bawełniane rękawiczki. Gdy go spytała, czy nie odprowadziłby jej do domu, skwapliwie odrzucił grabie.

Chwilę rozmawiali o szkole, a zaraz potem Rachel zaczęła opowiadać o sobie i o zmianie, jaka zaszła w jej życiu.

Uśmiechając się do niego, ściągnęła lewą rękawiczkę i pokazała mu pierścionek, zrozumiał więc, że wychodzi za mąż. – To znaczy, że stąd wyjedziesz? Wzięła go za rękę.

Kiedy przypominał sobie po latach tę scenę, palił go wstyd, że się wtedy do Rachel nie odezwał. Nie życzył jej szczęścia, nie powiedział, ile dla niego znaczyła, nie podziękował.

Nie pożegnał się nawet.

Nie mógł na nią patrzeć, toteż nie wiedział, co do niego mówi.

Był jak skamieniały, a jej słowa spływały po nim jak deszcz.

Gdy doszli do ścieżki prowadzącej do jej domu, zawrócił bez słowa. Bolała go ręka, bo tak mocno mu ją ścisnęła.



Nazajutrz po wyjeździe Geigerów do Chicago, gdzie Rachel miała stanąć w synagodze pod chuppą, na spotkanie wracającego od pacjentów Roba J. wyszedł Alex i zaofiarował się, że zajmie się koniem.

– Ty lepiej zajrzyj do Szamana, tato. Coś mu się stało. W domu Rob J. stanął pod drzwiami pokoju młodszego synai nasłuchiwał jego schrypniętego, gardłowego szlochu. On też tak płakał, będąc w wieku Szamana, gdy jego ukochana suka zbiesiła się, zaczęła, gryźć i matka oddała ją mieszkającemu w górach na odludziu małorolnemu chłopu. Zdawał sobie jednak sprawę, że jego syn płacze z żalu po ukochanej kobiecie, a nie po zwierzęciu.

Wszedł do pokoju i usiadł na jego łóżku.

– Musisz sobie coś uświadomić, synku – powiedział. – Żydów jest na świecie tylko garstka, a mieszkają przeważnie w otoczeniu nie-Żydów. Doszli więc do wniosku, że jeśli nie będą zawierali małżeństw między sobą, zginą jako naród...

Ale w twoim wypadku nie o to chodziło. Ty nigdy nie miałeś u niejszans. – Wyciągnął rękę i pogładziwszy wilgotne włosy syna, zatrzymał dłoń na jego głowie. – Bo ona jest już dorosłą kobietą – zakończył – a ty jeszcze chłopcem.

Latem komitet szkolny, mając nadzieję zdobyć dobrego nauczyciela, któremu z racji młodego wieku można by mało płacić, zaproponował posadę w swojej placówce oświatowej Szamanowi, ten jednak odmówił.

– Co więc myślisz robić? – zapytał go ojciec.

– Jeszcze nie wiem.

– W Galesburgu jest dobra szkoła średnia, Knox College – podsunął mu Rob J. – Podobno wyśmienita. Nie chciałbyś się dalej

uczyć? Zmienić otoczenie?

Szaman przytaknął.

– Chybabym chciał – powiedział.

I dwa miesiące po swych piętnastych urodzinach wyjechał z domu.

---

## 41 Zwycięzcy i zwyciężeni

---

We wrześniu roku 1858 wielebnego Josepha Hillsa Perkinsa powołano na kazalnicę największego kościoła baptystów w Springfield. Jego nowe stadko wiernych miało w swoich szeregach gubernatora i kilku stanowych ustawodawców, toteż pastor Perkins był bardziej nawet olśniony własnym powodzeniem niż jego parafianie z Holden's Crossing, którzy w tym wyniesieniu widzieli jawne potwierdzenie inteligencji, jaką się wykazali, wybierając go na swego pasterza. Sara była przez jakiś czas szalenie zajęta organizowaniem pożegnalnych kolacji i przyjęć, kiedy zaś Perkinsonowie wreszcie wyjechali, zaczęło się poszukiwanie nowego duchownego. Przez miasteczko przeciągnął nowy szereg przyjezdnych kaznodziejów, których trzeba było gościć i karmić, i znów podjęto kłótnie i spory o pożądane walory kandydata.

Początkowo sympatie zwracały się ku przybyszowi z pomocy Dlinois, ognistemu tępicielowi grzechu, lecz ku uldze kilku parafian,

w tym również Sary, którym nie przypadł do gustu styljego kazań, kandydatura ta upadła, kiedy wyszło na jaw, że pretendent ma sześcioro dzieci, a siódme jest w drodze; parafia była na utrzymywanie takiej rodziny zbyt mała.

Wybór padł w końcu na niejakiego Luciana Blackmera, jegomościa o rumianych policzkach i piersi jak dzwon, świeżo przybyłego na Zachód.

– Ze stanu Rhode Island do stanu łaski – jak to ujął Carroll Wilkenson, przedstawiając nowego duchownego Robowi J.

Pastor Blackmer sprawiał wrażenie sympatycznego człowieka, Roba przygnębiło jednak spotkanie z jego żoną. Julia Blackmer była chuda, blada i nerwowa; chorowała na płuca i stale kasłała. Witając się z nią Rob J. czuł na sobie badawcze spojrzenie jej męża, jak gdyby Blackmer czekał na słowa otuchy i zapewnienie, że doktor Cole ma dla jego żony nową niezawodną kurację.

Holden's Crossing, Illinois 12 października 1858

Kochany Szamanie

Ucieszył mnie Twój list, w którym donosisz, że zadomowiłeś się już w Galesburgu, jesteś zdrów i lubisz swoją szkołę. U nas wszystko w porządku. Alden i Alex skończyli ubój świń, więc opływamy w świeże bekony, żeberka, łopatki, szynki (gotowane, wędzone i peklowane), marynaty, głowiznę i smalec.

Nasz nowy pastor, jak słyszę, przeobraża się w zajmującego mówcę, kiedy wchodzi na kazalnicę. Muszę mu oddać sprawiedliwość i stwierdzić, że jest człowiekiem odważnym, jego pierwsze kazanie traktowało bowiem o pewnych moralnych aspektach niewolnictwa i choć spotkało się, jak mi się zdaje, z aprobatą większości zebranych, wpływowa i wymowna mniejszość

(w tym również Twoja matka!) wyraziła mu po nabożeństwie swą dezaprobatę.

Poruszyła mnie wiadomość, że Abraham Lincoln ze Springfield i senator Douglas mają odbyć 7 października debatę w Knox College. Mam nadzieję, że miałeś okazję być na niej. Ich współzawodnictwo o fotel w senacie zbiega się z moim pierwszym głosowaniem jako obywatela tego kraju i wciąż, prawdę mówiąc, nie potrafię się zdecydować, który z dwóch kandydatów byłby gorszy na tym urzędzie. Douglas pomstuje na ciemnotę i fanatyzm „Nic Nie Wiedzących”, ale jednocześnie robi oko do właścicieli niewolników. Lincoln grzmi przeciwko niewolnictwu, lecz zabiega – wręcz umizguje się! – o poparcie „Nic Nie Wiedzących”. Irytują mnie obaj niemiłosiernie. Politycy!

Ambitnie wybrałeś sobie kursy. Pamiętaj jedynie, że nie tylko botanika, astronomia i fizjologia może Cię wiele nauczyć, ale i strofy poezji.

Niniejszy załącznik ułatwi ci może dokonanie gwiazdkowych prezentów. Żyję nadzieją ujżenia Cię w święta!

Twój kochający Ojciec.

Brakowało mu Szamana. Jego stosunki z Alexem cechował chłód. Sara była stale zajęta w kościele. Rob J. lubił od czasu do czasu pomuzykować wieczorami u Geigerów, wszelako gdy cichły instrumenty, przyjaciołom zamykały usta dzielące ich różnice poglądów politycznych. Coraz częściej, wracając późnymi popołudniami z wizyt u pacjentów, Rob kierował więc konia w stronę klasztoru świętego Franciszka z Asyżu. Dostrzegał z każdym rokiem coraz jaśniej, że matkę Miriam można raczej nazwać odważną niż bezwzględną, raczej pełną cnót niż surową.

– Mam coś dla pana – powiedziała pewnego popołudnia i wręczyła mu plik brązowych kartek, zapisanych niewyraźnym maczkiem piórem maczanym w czarnym wodnistym atramencie. Przeczytał je, siedząc w skórzanym fotelu i popijając kawę. Zawierały opis struktury organizacyjnej Zakonu Gwiazdzistego Sztandaru, opis, jaki mógł sporządzić jedynie członek tej organizacji.

Zaczynał się od zarysu krajowej struktury tego tajnego stowarzyszenia politycznego. Jego bazę stanowiły rady okręgów, z których każda wybierała swoich przedstawicieli, uchwałała własne statuty i dokonywała inicjacji członków.

Ponad nimi stały rady hrabstw złożone z delegatów rad okręgowych – po jednym z każdej. Rady hrabstw nadzorowały polityczną działalność rad okręgowych i typowały wśród lokalnych polityków kandydatów zasługujących na poparcie Zakonu.

Wszystkimi komórkami w danym stanie zarządzała wielka rada, złożona z przedstawicieli (po trzech) wszystkich rad okręgowych, kierowana przez prezydenta i grono obieralnych urzędników. Na szczycie tej skomplikowanej struktury stała rada krajowa, która podejmowała decyzje we wszystkich sprawach politycznych o ogólnokrajowym zasięgu, w tym o wyborze kandydata Zakonu na urząd prezydenta i wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych. Rada krajowa wyznaczała kary dla zaniedbujących się w obowiązkach członków i ustanawiała liczne obrzędy Zakonu.

Istniały dwa stopnie członkostwa. Aby dostąpić pierwszego, kandydat musiał być dorosłym mężczyzną urodzonym w Stanach Zjednoczonych z rodziców protestantów i nie mającym za żonę katoliczki. Każdemu z potencjalnych członków zadawano proste pytanie: „Czy jesteś gotów użyć wszelkich swoich wpływów i

głosować wyłącznie na urodzonych w Ameryce obywateli Stanów Zjednoczonych na wszystkie obsadzone z woli narodu urzędy honorowe, które wymagają

zaufania bądź też przynoszą korzyści, z absolutnym wykluczeniem obcokrajowców, a w szczególności rzymskich katolików, i bez względu na upodobania partyjne?”

Od kandydata, który to przysiągł, żądano dalej, aby wyrzekł się wszystkich partyjnych zobowiązań, popierał polityczne cele Zakonu i nie ustawał w staraniach o zmianę ustaw naturalizacyjnych. Powierzano mu następnie tajne informacje, drobiazgowo w raporcie opisane: znak rozpoznawczy, uścisk ręki, wezwania i ostrzeżenia.

Drugi stopień członkostwa mógł uzyskać wyłącznie zaufany weteran. Tylko członkowie drugiego stopnia mieli prawo piastować stanowiska w organizacji, brać udział w jej tajnej działalności i tylko oni mogli liczyć na poparcie Zakonu przy ubieganiu się o urzędy publiczne na szczeblu lokalnym i ogólnokrajowym. Gdy zaś zostali wybrani bądź mianowani na stanowisko dające władzę, mieli nakazane usuwać z grona podległych im osób wszystkich obcokrajowców i rzymskich katolików i pod żadnym pozorem „nie powoływać takowych na którykolwiek z urzędów w ich gestii”

Rob J. spojrzął na matkę przełożoną.

– Ilu ich jest? Wzruszyła ramionami.

– Sądzymy, że w tajnym jądrze Zakonu niezbyt wielu. Może z tysiąc osób. Ale to właśnie one stanowią rdzeń Partii Amerykańskiej – odparła. – Daję panu ten dokument, ponieważ jest pan wrogiem tej działającej na szkodę Kościoła grupy, powinien pan więc znać naturę ludzi, którzy nas krzywdzą i za których dusze modlimy się do Boga. – Popatrzyła nań z powagą. – Musi mi pan

jednak obiecać, że nie wykorzysta zawartych tu informacji dla zbliżenia z osobą, którą podejrzewałby pan o przynależność do komórki zakonnej stanu Illinois, bo gdyby pan to zrobił, naraziłby pan na wielkie niebezpieczeństwo autora tego raportu.

Rob potaknął, że rozumie. Złożył kartki i chciał je oddać przełożonej, która pokręciła głową.

– Daję je panu – powiedziała. – Wraz z moimi modlitwami.

– Nie musi się matka za mnie modlić! – Czuł się niezręcznie, gdy przychodziło mu rozmawiać z nią o kwestiach wiary.

– Nie może mi pan tego zabronić. Zasługuje pan na modlitwę, a ja często wspominam Bogu o panu.

– Ostatecznie modli się też matka za naszych wrogów – rzekł kwaśnym tonem, nie zdawała się jednak urażona.

Później, w domu, przeczytał raport jeszcze raz, wpatrując się uważnie w pajęczy charakter pisma. Ten, kto to napisał – może jakiś ksiądz? – musiał prowadzić podwójną grę. Udawał kogoś, kim nie był, ryzykował własne bezpieczeństwo, może nawet życie. Rob J. chętnie by porozmawiał z tym człowiekiem.

Nick Holden już dwukrotnie, i to z łatwością, wygrywał wybory, korzystając ze swojej reputacji pogromcy Indian, ale teraz stawał do nich już po raz czwarty, jego przeciwnikiem zaś był John Kurland, adwokat z Rock Island. Kurlanda nader wysoko cenili demokraci, i nie tylko oni, natomiast poparcie „Nic Nie Wiedzących” dla Holdena osłabło. Ten i ów przebąkiwał, że kongresmen może stracić urząd, toteż Rob J.

tylko czekał, kiedy Nick zrobi jakiś spektakularny gest obliczony na pozyskanie głosów. Nie bardzo się więc zdziwił, gdy wróciwszy

któregoś popołudnia do domu, dowiedział się, że kongresmen Holden i szeryf Graham zbierają nowy oddział ochotników.

– Szeryf powiada, że na północy hrabstwa osaczono Franka Mosby’ego, tego bandytę – poinformował go Alden.

– Nick tak podrajcował ludzi, że wedle mego zdania prędzej go tam zlinczują, niż aresztują. Graham na prawo i lewo mianuje swoich zastępców. Alex wyjechał stąd dobrze nakręcony. Chwyć ptaszniczkę, wsiadł na Wiki i pognął do miasta.

– Zmarszczył twarz w grymasie samousprawiedliwienia. – Usiłowałem mu to wybić z głowy, ale gdzie tam. – Wzruszył ramionami.

Choć Truda nie zdążyła jeszcze ostygnąć, Rob J. narzucił na nią siodło i pojechał do miasta.

Mężczyźni w małych grupkach zbierali się na ulicach. Z ganku przed sklepem, gdzie rej wodzili Nick i szeryf, dolatywały głośne salwy śmiechu. Rob J. zignorował tę bandę. Alex stał w towarzystwie Mala Howarda i dwóch innych młodzieńców. Wszyscy trzymali strzelby; widać było po ich błyszczących oczach, jacy czują się ważni. Alexowi na widok ojca zredła mina.

– Chciałbym z tobą pomówić, synu – rzekł Rob, odprowadzając go na bok. – Przyjechałem zabrać cię do domu – powiedział, gdy oddalili się od kolegów Alexa na tyle daleko, że tamci nie mogli go już słyszeć.

– Ja nie pojedę, tato.

Alex miał osiemnaście lat i porywczy charakter. Gdyby poczuł przymus, mógł po prostu powiedzieć: „A idźcie wy do diabła” i odejść z domu.

– Nie chcę, żebyś z nimi jechał. Mam swoje powody.



– Całe życie słyszę o jakichś twoich powodach – burknął ze złością chłopak. – Spytałem raz mamę wprost, czy Frank Mosby jest moim wujkiem. Odpowiedziała, że nie.

– Postąpiłeś głupio, narażając na to matkę. Niczego nie zmienisz, jeśli tam pojedziesz i osobiście zastrzelisz Mosby'ego, czy tego nie rozumiesz? Pewni ludzie i tak nigdy nie przestaną gadać. Ale to, co oni gadają, nie ma żadnego znaczenia... Mógłbym ci kazać wrócić do domu – ciągnął – bo to moja strzelba i moja ślepawa kobyła, ale mam ważniejszy powód, dla którego nie chcę, żebyś z nimi jechał.

Jesteś moim synem i nie dopuszczę, żebyś zrobił coś, czego potem będziesz przez całe życie żałował.

Alex zerknął z rozpaczą w stronę przypatrujących się im ciekawie Mała i pozostałych dwóch chłopców.

– Powiedz im, że kazałem ci wracać, bo czeka cię na farmie fura roboty. A potem idź po Wiki, odwiąż biedaczkę i wracamy do domu.

Odwrócił się, wsiadł na Trudę i pojechał główną ulicą miasteczka. Przed kościołem awanturowali się jacyś mężczyźni. Widać było, że mają już dobrze w czubach.

Przez pół mili nie oglądał się za siebie, gdy się zaś w końcu obejrzał, zobaczył z tyłu na drodze stawiającego niepewne kroki konia, który niedowidział, i sylwetkę jeźdźca pochylonego nadkońską szyją, jakby przedzierał się pod silny wiatr. Alex trzymał strzelbę lufą do góry, jak Rob J. nauczył synów.

Przez kilka następnych tygodni Alex schodził ojcu z drogi, nie tyle z gniewu, ile dlatego, że nie chciał doświadczać jego władzy. Oddział pospolitego ruszenia wrócił po dwóch dniach. Ochotnicy wytropili swą ofiarę w jakiejś rozwalającej się lepiance. Przed

przystąpieniem do szturmowi przedsięwzięli daleko idące środki ostrożności, okazało się wszelako, że osaczony spał jak suseł i ataku się nie spodziewał. Poza tym nie był Frankiem Mosbym, lecz Burenem Harrisonem, który napadł na sklepikarza w Geneseo i zrabował mu czternaście dolarów. Nick Holden i jego egzekutorzy prawa odprowadzili tedy rzezimieszka pod triumfalną pijacką eskortą i oddali go w ręce sprawiedliwości. Później wyszło na jaw, że Frank Mosby utonął przed dwoma laty w stanie Iowa, usiłując w czasie powodzi przeprowić się na koniu przez wezbraną rzekę Cedar.

W listopadzie Rob J. głosował na Johna Kurlanda w wyborach do Kongresu i za ponownym wyborem Stevena A.

Douglassa na urząd senatora. Gdy następnego dnia wieczorem dołączył do grupki mężczyzn, oczekujących na wiadomość o wynikach wyborów w sklepie Haskinsa, zauważył na wystawie parę wspaniałych scyzoryków. Miały jedno duże ostrze, po dwa mniejsze i małe nożyczki, a wszystko z hartowanej stali, wykładane zaś były polerowanym szylkretem, ujętym z obu końców w lśniące srebrne okucia. To były noże dla mężczyzn, którzy nie boją się kroić życia grubymi strużynami, kupił więc oba scyzoryki jako prezenty gwiazdkowe dla swoich synów.

Wnet po zmroku Harold Ames przywiózł z Rock Island wyniki wyborów. Dzień okazał się pomyślny dla kandydatów na urzędach. Nick Holden, pogromca Indian i bojownik o sprawiedliwość, pokonał nieznaczną większością głosów Johna Kurlanda. Senator Douglas miał również powrócić do Waszyngtonu. – To nauczy Abrahama Lincolna, że nie wolno zabraniać ludziom trzymać niewolników – zawyrokował z rechetem Julian Howard, potrząsając

triumfalnie kułakiem. – Od tego psubrata nie będziemy już więcej wysłuchiwać pouczeń!

---

## 42 Student

---

Do Holden's Crossing nie dochodziła kolej, Rob J. odwiózł więc bryczką Szamana i jego kufer do odległego o trzydzieści dwie mile Galesburga. Plany tego miasta i college'u powstały ćwierć wieku wcześniej w stanie Nowy Jork. Sporządzili je prezbiterianie i kongregacjoniści, którzy zjechali tam następnie i wzniesli domy wzdłuż ulic wytyczonych na planie regularnej szachownicy wokół rynku. Dziekan do spraw studentów, Charles Hammond, oświadczył, że Szaman, jako młodszy od większości zapisanych, nie może zamieszkać w bursie. Hammond wraz z żoną prowadzili stancję dla kilku studentów w swoim drewnianym, pomalowanym na biało domu przy Cherry Street i tam to, w pokoju na piętrze, ulokowano Szamana.

Schody za jego pokojem prowadziły na podwórko z tyłu domu, gdzie znajdowały się studnia i wygodka. Pokój na prawo od niego zajmowało dwóch bladawych studentów teologii, kongregacjonistów, którzy najchętniej rozmawiali między sobą. W pokojach po drugiej stronie korytarza mieszkał niski, napuszony bibliotekarz z college'u oraz student starszego roku nazwiskiem

Ralph Brooke, piegowaty wesołek o śmiejących się oczach, które zdawały się wiecznie wyrażać leciutkie zdziwienie. Brooke studiował łacinę. Przy śniadaniu pierwszego dnia Szaman zobaczył w jego ręku tom dzieł Cyncerona, a że od ojca otrzymał niezłe podstawy łaciny, powiedział:– *Iucwuii acti labores*. Miłe są skończone prace. Twarz Brooke'a rozjaśniła się niczym lampa.

– *Ita vivam, ut scio* – odrzekł. „Żyję, aby się uczyć.” Brooke był jedyną z zamieszkujących dom osób, z którą Szaman regularnie rozmawiał oprócz dziekana i jego kościstej siwej połowicy, czującej się w obowiązku wymamrotać codziennie parę słów.

– *Ave!* – witał go co dnia łacinnik. – *Quomodo vales hodie, iuuenis* Jak się dziś miewasz, młodzieńcze?

– *Tam bene* *Quam fieri possit talibus in rebus, Cæsar* – odpowiadał na to nieodmiennie Szaman. „Na tyle dobrze, na ile to możliwe w danych okolicznościach, Cezarze.” Witali się tak co rano, uczyniwszy z tego żartobliwy rytuał.

Brooke podkładał przy śniadaniu bułki i nieustannie ziewał.

Tylko Szaman wiedział dlaczego: student łaciny miał w mieście kochankę, u której przesiadywał do późnej nocy. Dwa dni po wprowadzeniu się Szamana poprosił go, by zszedł po cichu na dół i otworzył z klucza drzwi od podwórka, gdy pozostali domownicy położą się już do łóżek, żeby Brooke mógł wemknąć się niepostrzeżenie. O tę przysługę miał zwracać się doń później dość często.

Wykłady zaczynały się co dzień o ósmej. Szaman zapisał się na kursy fizjologii, kompozycji literackiej i literatury angielskiej oraz astronomii. Ku niepomiernemu zdumieniu Brooke'a zdał egzamin z łaciny. Zmuszony do wyboru dodatkowego języka, wybrał nie

grekę, a hebrajski z powodów, których wolał sobie nie tłumaczyć. Zaraz pierwszej niedzieli jego pobytu w Galesburgu dziekan wraz z żoną zabrali go na nabożeństwo do kościoła prezbiteriańskiego – po raz ostatni zresztą, powiedział im bowiem, że jest kongregacjonalistą, a studentom teologii, że prezbiterianinem, tak że niedzielne poranki miał odtąd wolne i mógł bez przeszkód włączyć się po mieście.

Kolej dotarła do Galesburga na sześć lat przed Szamanem, przynosząc miastu rozkwit oraz ciągnącą zwykle jego tropem zbieraninę ludzką. W dodatku w pobliskiej miejscowości Mission Hill upadła szwedzka kooperatywa i wielu jej członków zjechało do Galesburga, chcąc się tu osiedlić.

Szaman lubił patrzeć na szwedzkie dziewczęta i kobiety o jasnoblond włosach i zdrowej cerze. Bohaterkami jego nocnych fantazji, gdy już przedsięwziął odpowiednie kroki mające zapobiec plamieniu prześcieradeł pani Hammond, stały się teraz Szwedki. Któregoś razu, przechadzając się po South Street, stanął jak wryty na widok ciemnej kobiecej główki. Wydała mu się znajoma. Na chwilę zaparło mu dech w piersiach, okazało się jednak, że się pomylił. Panienka spostrzegłszy, że na nią patrzy, uśmiechnęła się do niego, lecz Szaman zwiesił tylko głowę i oddalił się w pośpiechu.

Wyglądała na lat co najmniej dwadzieścia, a on nie miał zamiaru zawierać znajomości ze starszymi od siebie kobietami.

Tęsknił za domem i za miłością, lecz obie te choroby zelżały wkrótce na tyle, że związane z nimi dolegliwości stały się łatwiejsze do zniesienia, jak ćmiący ból zęba. Nie znalazł sobie przyjaciół, prawdopodobnie z powodu młodego wieku oraz głuchoty, co

miało ten skutek uboczny, że stał się dobrym studentem, większość bowiem czasu poświęcał nauce. Ulubionymi jego przedmiotami były astronomia i fizjologia, choć ten drugi kurs go rozczarował, ponieważ wykładowca, pan Rowells, ograniczał się do wyliczania części i składników ciała. Najbliższy przedstawienia zachodzących w organizmie procesów był na wykładzie poświęconym trawieniu i znaczeniu regularnego odżywiania się. W pracowni fizjologii znajdował się jednak poszczepiany drucikami szkielet, zawieszony na wkręconej w czubek czaszki śrubie, i Szaman spędzał przed nim samotne godziny, karbując sobie w pamięci nazwy, kształty i funkcje poszczególnych kości, starych już i zbieleżałych.

Galesburg był ładnym miastem. Wzdłuż ulic rosły, sadzone jeszcze przez pierwszych osadników, wiązy, klony i włoskie orzechy. Jego mieszkańcy mieli trzy powody do dumy: Hanrey Henry May wynalazł tu stalowy pług bezkoleśny; galesburżanin Olmsted Ferris wyhodował odmianę kukurydzy nadającą się do prażenia – w Anglii, dokąd się wybrał, prażył ją przed samą królową Wiktorią; wreszcie siódmego października roku 1858 w miejscowym college’u odbyli debatę senator Douglas i jego przeciwnik Lincoln.

Szaman wybrał się na nią, zjawiwszy się jednak wieczorem w auli głównej, zastał już tam zbity tłum słuchaczy i zdał sobie sprawę, że nawet z najlepszego z wolnych jeszcze miejsc nie będzie w stanie czytać z ust dysputujących kandydatów.

Opuścił więc aulę i wszedł po schodach na piętro, skąd było wyjście na dach, gdzie profesor astronomii Gardner założył małe obserwatorium; każdy ze studentów jego seminarium miał obowiązek przez kilka godzin w miesiącu obserwować niebo. Tego wieczoru Szaman był w obserwatorium zupełnie sam. Wlepił oko w

okular pięciocalowego refraktora Alvana Clarka, przedmiot dumy i miłości profesora Gardnera, i pokręcił gałką, skracając odległość między okulem a wypukłymi soczewkami obiektywu. I oto nagle w polu jego widzenia ukazały się gwiazdy dwieście razy większe niż przed chwilą. Noc była zimna, a powietrze tak czyste, że można było dojrzeć dwa z pierścieni Saturna. Szaman wpatrywał się jakiś czas w mgławice Oriona i Andromedy, a następnie jął obracać teleskopem na trójnogu, przeszukując firmament. Profesor Gardner nazywał to „przechesywaniem nieba”. Poinformował swoich studentów, że niejaka Maria Mitchell zdobyła sobie nieśmiertelną sławę, gdy przeczesując w ten sposób nieboskłon odkryła komety.

Szaman komety nie odkrył. Wpatrywał się w gwiazdy tak długo, aż poczęły mu wirować przed oczami, ogromne i błyszczące. Kto je pozawieszał tam wysoko? I kto porozwieszał gwiazdy za tymi gwiazdami? I te jeszcze dalsze?...

Miał wrażenie, że każda z tych gwiazd i planet jest częścią skomplikowanego systemu, podobnie jak każda pojedyncza kosteczka w szkielecie i każda kropla krwi w organizmie.

Natura sprawiała wrażenie zorganizowanej i przemyślanej, przynajmniej w znacznej swojej części, była tak uporządkowana i tak przy tym skomplikowana. Co ją taką stworzyło? Pan Gardner powiedział mu kiedyś, że temu, kto chce zostać astronomem, wystarczy dobry wzrok i zdolności matematyczne. Szaman przez kilka dni nosił się z myślą poświęcenia życia astronomii, lecz potem zmienił zamiar.

Gwiazdy miały w sobie magiczny urok, ale można było na nie tylko patrzeć, nic więcej. Gdyby organizm sfer niebieskich kiedykolwiek zaczął niedomagać, nie można by mu pomóc.

Kiedy przyjechał na święta do domu, Holden's Crossing wydało mu się jakieś odmienione; czuł się tam bardziej samotny niż w swoim pokoiku w domu dziekana. Po feriach wracał do college'u nieomal z radością. Scyzoryk, który dostał od ojca, wprawił go w zachwyty. Kupił zaraz małą osełkę i fiolkę z oliwą i tak wywecował ostrza, że przecinały włos.

W drugim semestrze zamiast astronomii wybrał sobie chemię.

Kompozycja literacka okazała się dla niego zbyt trudna. „A zapewniałeś mnie pan – nabazgrał mu w kąśliwej notatce profesor od angielskiego – że Beethoven napisał był sporą część swoich utworów już po ogłuchnięciu.” Profesor Gardner zachęcał go, żeby korzystał z teleskopu, kiedy tylko przyjdzie mu na to ochota. Noc przed lutowym egzaminem z chemii Szaman przesiedział więc na dachu, przeczesując niebo zamiast wkuwać tablice mas atomowych Berzeliusa. W rezultacie dostał pałę. Po tym doświadczeniu rzadziej wpatrywał się w gwiazdy, świetnie sobie za to radził z chemią.

Kiedy na Wielkanoc przyjechał do domu i Geigerowie zaprosili ich na obiad, zainteresowanie Jasona tym przedmiotem sprawiało, że bolesne przeżycie, jakim była dla Szamana wizyta u rodziców Rachel, okazało się wcale nie tak przykre, Jay przez cały bowiem czas zasypywał go pytaniami o kurs chemii.

Odpowiedzi Szamana musiały wypaść zadowolająco.

– Co ty zamierzasz robić w życiu, mój chłopcze? – zapytał go na koniec Jay.

– Jeszcze nie wiem. Myślałem, że... może mógłbym pracować na polu naukowym.

– Gdyby przypadła ci do gustu farmacja, byłbym zaszczycony mając cię za ucznia.



Szaman poznał po twarzach rodziców, że ta propozycja sprawiła im zadowolenie, podziękował więc Jayowi niezgrabnie i obiecał, że na pewno to sobie przemyśli, choć już wiedział, że nie zamierza być pigularzem. Przez jakiś czas nie odrywał oczu od talerza, toteż umknął mu fragment rozmowy. Kiedy podniósł wzrok, zauważył, że twarz Lillian spochmurniała. Opowiadała właśnie jego matce, że dziecko Rachel miało się urodzić za pięć miesięcy. Następnie obie kobiety przez jakiś czas rozmawiały o poronieniach.

Tego lata Szaman pracował przy owcach i czytał książki filozoficzne, które pożyczał od George'a Cliburne'a. Kiedy po wakacjach wrócił do college'u, dziekan Hammond pozwolił mu zrezygnować z języka hebrajskiego. Za przedmiot studiów z zakresu sztuki obrał sobie Szekspira, do tego wyższą matematykę, botanikę i zoologię. Z dwóch studentów teologii tylko jeden wrócił na następny rok do Knox College. Zjawił się też Brooke, z którym Szaman nadal konwersował jak Rzymianin, żeby nie dać zardzewieć łacinie. Wykłady z zoologii prowadził jego ulubiony nauczyciel, profesor Gardner, lepszy wszelako astronom niż biolog. Preparowali wyłącznie żaby, myszy, małe rybki i sporządzali dziesiątki rysunków. Szaman nie odziedziczył po ojcu talentów artystycznych, ale dzięki temu, że dzieciństwo upłynęło mu przy Makwie, czuł się swobodnie na polu botaniki. Swoją pierwszą rozprawkę napisał z anatomii kwiatów.

Tego roku rozpętała się w college'u dyskusja na temat niewolnictwa. Wraz z innymi studentami i wykładowcami Szaman wstąpił do Stowarzyszenia na rzecz Zniesienia Niewolnictwa. W samym college'u oraz w mieście niemało wszakże było takich,

którzy się solidaryzowali ze stanami Południa, i spory bywały czasem nieprzyjemnie zażarte.

Otoczenie zostawiało na ogół młodego Cole'a w spokoju.

Mieszkańcy miasta, nie mówiąc o studentach, przywykli do niego, dla ludzi ciemnych i przesądnych stał się jednak zagadką, kimś na podobieństwo lokalnego dziwowiszcza. Nie rozumieli, czym jest głuchota ani w jaki sposób głusi mogą kompensować sobie kalectwo nadwrażliwością pozostałych zmysłów. Upewnili się szybko, że chłopak jest naprawdę głuchy jak pień, ale niektórzy utrzymywali, że ma magiczną moc, kiedy bowiem uczył się w samotności, a ktoś za jego plecami wszedł cicho do pokoju, on zawsze to wyczuwał.

Mówili, że ma „oczy z tyłu głowy”. Nie pojmowali, że odbiera drgania wywołane przez kroki zbliżającej się osoby, wyczuwa chłodny powiew od otwieranych drzwi, dostrzega wzbudzone przez ruch powietrza drżenie trzymanej w ręku kartki. Był rad, iż żaden z tych ludzi nie poznał jego umiejętności rozróżniania wygrywanych na pianinie dźwięków. Wiedział, że nazywają go czasem „głuchym odmieńcem”.

Pewnego ciepłego majowego popołudnia, gdy wałęsał się po mieście przyglądając się rosnącym w ogródkach kwiatom, zza rogu skrzyżowania South Street i Cedar Street wyjechała nagle pędem kolejowa rolwaga zaprzęzona w czwórkę koni.

Szamana nie doszedł łoskot kopyt i krzyk woźnicy, spostrzegł jednak małego kosmatego pieska, który cudem uniknął stratowania przez ciężkie perszerony i rozjechania przez przednie koła pojazdu, dostał się natomiast pod prawe tylne koło, które porwało go na cały niemal obrót wokół osi, a potem odrzuciło jak z katapulty.

Rolwaga przetoczyła się z hurkotem, pozostawiając na jezdni wijący się w pyłe kosmaty kształt. Szaman podbiegł do psa.

Okazał się żółtą suczką o krótkich łapkach, rasy trudnej do określenia, z białym pędzelkiem na końcu ogona. Szamanowi wydało się, że ma w sobie coś z teriera. Wiła się leżąc na grzbiecie, z jej pyska ciekła strużka krwi.

Jakaś przechodząca w pobliżu para podeszła, żeby się przypatrzeć.

– Potworność – orzekł mężczyzna. – Ci woźnice całkiem podurnieli. O mały figiel, a przejechałby kogoś. – Wyciągnął rękę w ostrzegawczym geście zauważywszy, że Szaman ma zamiar przyklęknąć. – Nie radziłbym. Z bólu może ugryźć.

– Nie wiedzą państwo, czyj to pies? – zapytał Szaman.

– Nie – powiedziała kobieta.

– Jakiś bezpański kundel – stwierdził mężczyzna, po czym oboje się oddalili.

Szaman ukląkł i pogłaskał psa ostrożnie, ale zwierzę tylko polizało mu rękę.

– Biedny pieseczek – uzalił się nad nim.

Obejrzał jego łapki. Chyba żadna nie była złamana, ale krwawienie nie wróżyło dobrze. Po chwili namysłu zdjął marynarkę i zawinął w nią suczkę. Niosąc ją przed sobą jak dziecko albo tobołek z brudną bielizną do pralni, wrócił do domu. Nikt nie wyglądał z okien, nikt więc nie zauważył, jak przechodził ze swoim zawiniątkiem przez podwórko za domem. Na schodach również nikogo nie spotkał. Zamknąwszy za sobą drzwi swojego pokoju, położył psa na podłodze, po czym z dolnej szuflady komody wyjął bieliznę i skarpetki. Z szafy w korytarzu przyniósł trochę szmat, których pani Hammond używała przy domowych porządkach,

wymościł nimi szufladę i złożył w tym legowisku psa. Obejrawszy marynarkę stwierdził, że nie jest bardzo zakrwawiona. Do tego tylko od podszewki.

Suka leżała w szufladzie dysząc ciężko i wodząc za nim wzrokiem.

Idąc na kolację spotkał w korytarzu Brooke'a. Łacinnik przyglądał się ze zdziwieniem, jak Szaman zamyka na klucz drzwi swego pokoju, czego nie robił nigdy żaden z domowników, chyba że wychodził do miasta.

– Quid vis? – zapytał.

– Condo parvam catidam in meo cubiculo. Tamten podniósł ze zdumieniem brwi.

– Masz... – Nie ufał swojej łacinie. – Masz w pokoju sukę?

– Sic est.

– Ho, ho! – zawołał z niedowierzaniem Brooke i poklepał sąsiada po plecach.

Na stole w jadalni (było to w poniedziałek) stały na talerzu resztki niedzielnej pieczeni. Szaman wsunął kilka jej kawałków do kieszeni, czemu Brooke przyglądał się z zaciekawieniem.

Kiedy zaś pani Hammond wyszła do spiżarni po deser, porwał kubek mleka i uciekł od stołu korzystając z tego, że dziekan był zajęty rozmową z bibliotekarzem o wysokości funduszu na zakup książek.

Suka nie okazała żadnego zainteresowania mięsem, nie chciała też pić mleka. Szaman maczał w nim palce i zwilżał jej język, jak gdyby karmił osieroczone przez matkę jagnię, i tym sposobem trochę ją pożywił.

Na kilka godzin pogrążył się w nauce. Pod koniec wieczoru pogłaskał i popieścił otępiałą suczkę. Nos miała gorący i suchy.

– Teraz dziewczynka zaśnie – powiedział i zgasił lampę.

Czuł się trochę dziwnie, ale i przyjemnie, mając żywą istotę w pokoju.

Z samego rana poszedł zobaczyć, jak się miewa jego lokatorka. Stwierdził, że nos ma zimny. Prawdę mówiąc cała była zimna i sztywna.

– Mój ty Boże!... – westchnął z żalem.

Musiał się teraz zastanowić, jak pozbyć się zdechłej suki.

Najpierw jednak umył się, ubrał i zszedł na śniadanie, tym razem także drzwi zamykając na klucz. Brooke czekał na niego w korytarzu.

– Myślałem przedtem, że tylko żartujesz – mruknął ze złością. – Pół nocy słyszałem, jak popłakuje i skamle.

– Przepraszam. Więcej ci nie będzie przeszkadzała.

Po śniadaniu wrócił do siebie na górę, usiadł na łóżku i popatrzył na psa. Na brzegu szuflady zauważył pchłę. Próbował ją zgnieść, ale nie mógł trafić. Trzeba będzie poczekać, aż wszyscy wyjdą, i wtedy wynieść psa, rozważał. Chyba znajdzie się w piwnicy jakiś szpadel. Wynika z tego, że straci pierwszą godzinę zajęć.

W następnej wszakże chwili uświadomił sobie, że oto nadarza się okazja przeprowadzenia samodzielnie sekcji zwłok.

Ta myśl go zaintrygowała, zamiar nastęrczał jednak trudności. Po pierwsze krew. Pomagając ojcu przy autopsjach przekonał się, że krew w pewien czas po śmierci krzepnie, mimo to trochę jej zawsze wypływa...

Kiedy wszyscy prawie domownicy wyszli z domu, zakradł się po dużą metalową wannę, wiszącą na gwoździu na ścianie sieni od podwórka. Przeniósł ją do swojego pokoju i postawił pod oknem, gdzie było najwidniej. Ułożona w niej zdechła suka, leżąca na

grzbiecie z zadartymi łapkami, wyglądała tak, jakby czekała, że ją pogłodzi po brzuchu. Pazury miała długie, jak zapuszczone paznokcie niechlujnego człowieka, jeden był złamany. U tylnych łap miała ich po cztery, u przednich jeszcze po jednym; piąty, mniejszy pazur umieszczony był nieco wyżej, niczym kciuk, który jakimś cudem zawędrował do góry. Szaman zapragnął się przekonać, czym różnią się stawy kończyn zwierzęcych od ludzkich.

Otworzył małe ostrze scyzoryka, który dostał od ojca.

Suka miała długą rzadką sierść i gęsty podszerstek, ale nagie prawie ciało na brzuchu nie stanowiło dla ostrza scyzoryka żadnej przeszkody.

Nie poszedł na zajęcia, opuścił też obiad. Przez cały dzień preparował zwłoki, robił notatki i szkice. Późnym popołudniem skończył z organami wewnętrznymi i kilkoma stawami. Zamierzał jeszcze zbadać i naszkicować kręgosłup, tymczasem jednak włożył trupa z powrotem do komody i wsunął szufladę. Nalał wody do miski i długo szorował ręce, zużywając w tym celu mnóstwo szarego mydła, a następnie wodę z miski wylał do wanny. Przed zejściem na kolację przebrał się od stóp do głów w świeże ubranie.

A mimo to dziekan Hammond już przy zupie zmarszczył swój mięsisty nos.

- Co się stało? – zaniepokoiła się jego małżonka.
- Coś cuchnie – oświadczył. – Może kapusta?
- Niemożliwe – zaprzeczyła.

Szaman był szczęśliwy, gdy po skończonym posiłku mógł wreszcie wymknąć się do siebie. Siedział w swoim pokoju i oblewał się zimnym potem, drżąc ze strachu, że któryś z domowników zechce się wykapać. Na szczęście nikt nie zechciał.

Zbyt zdenerwowany, żeby odczuwać senność, czekał długo, aż wszyscy się położą. Kiedy miał już pewność, że leżą w łóżkach, zniósł wannę na spowite ciepłą ciemnością podwórko za domem i wylał krwawe pomyje na trawnik. Studnia zdawała się skrzypieć głośniejsz niż zwykle, gdy obracał rączką, zawsze istniało też niebezpieczeństwo, że ktoś będzie schodził do ubikacji. Wyszorował wanienkę kilka razy mydłem i dobrze opłukał, a potem wniósł do sieni i zawiesił z powrotem na gwoździu.

Rano okazało się, że nie będzie już mógł spreparować kręgosłupa, gdyż w ciepłym pokoju zgęstniał trupi odór.

Szaman nie tylko nie otworzył szuflady, ale opatulił ją nawet dodatkowo poduszką i ściągniętą z łóżka pościelą w nadziei, że zahamuje w ten sposób wydobywający się z niej fetor. Gdy zszedł na śniadanie, twarze zasiadających wokół stołu osób wykrzywiały grymas obrzydzenia.

– Przypuszczam, że to zdechła mysz albo szczur gdzieś w ścianie – powiedział bibliotekarz.

– Nie – zaprzeczyła pani Hammond. – Zlokalizowaliśmy dziś rano źródło tego smrodu. Wygląda na to, że wydobywa się z ziemi przy studni.

Dziekan westchnął.

– Mam nadzieję, że nie będziemy musieli kopać nowej.

Brooke wyglądał tak, jakby zaczął cierpieć na bezsenność.

Przez cały czas odwracał nerwowo oczy.

Szaman, półprzytomny ze strachu, pobiegł na lekcję chemii, aby dać domownikom czas na opuszczenie domu. Po zajęciach na stancję, ponieważ pilno mu było oczyścić swój pokój.

Wdrapawszy się na schody od podwórka natknął się wszelako pod swoimi drzwiami na Brooke'a, panią Hammond oraz jednego z dwóch policjantów, którzy pilnowali porządku w mieście. Pani Hammond trzymała w ręku klucz. Cała trójka obróciła oczy na Szamana.

– Czy w tym pokoju znajdują się jakieś zwłoki? – zapytał go policjant.

Chłopak nie był w stanie wykrztusić odpowiedzi.

– Powiedział mi, że ukrył tam kobietę – poinformował usłużnie Brooke.

Szaman odzyskał mowę.

– Nic podobnego – zaprzeczył, tymczasem policjant odebrał już klucz z rąk pani Hammond i otwierał drzwi.

Gdy weszli do środka, Brooke rzucił się na podłogę i zajrzał pod łożko. Policjant spostrzegł jednak poduszkę i knebel z pościeli na szufladzie komody. Podszedł i wysunął ją.

– Pies – stwierdził. – Cały pokrajany.

– Więc nie kobieta? – spytał rozczarowany Brooke.

Spojrzał na Szamana. – A mówiłeś, że suka.

– Toś ty powiedział. Ja powiedziałem „catulam” – sprostował Szaman. – Czyli pies rodzaju żeńskiego.

– Spodziewam się, sir, że nie ukrywa pan tutaj żadnych więcej trupów? – zwrócił się do niego policjant. – Da mi pan na to swoje słowo honoru?

– Daję – rzekł Szaman.

Pani Hammond spojrzała tylko na niego i nie odezwawszy się ani słowem zbiegła po schodach, a po chwili doleciał ich odgłos



otwieranych drzwi frontowych, które następnie zamknęły się z trzaskiem.

Policjant westchnął.

– Pobiegnę do gabinetu małżonka. Przypuszczam, że i my powinniśmy się tam udać.

Szaman przytaknął i podążył za nim. Kiedy mijał Brooke'a, ten spoglądał na niego z żalem znad chusteczki, którą zatykał •obie nos i usta.

– Vale – pożegnał go Szaman.

Ze stacji go wyrzucono. Do końca semestru pozostały niecałe trzy tygodnie, więc profesor Gardner pozwolił mu nocować na kozetce w swojej ogrodowej szopie. Szaman przekopał mu z wdzięczności ogródek i posadził liczący trzydzieści dwie stopy kwadratowe zagon pomidorów.

Przestraszył się mieszkającego pod ogrodowymi doniczkami węża, lecz kiedy się przekonał, że to tylko mały wężyk mleczny, żyli dalej obaj w najlepszej zgodzie.

Oceny otrzymał celujące, wraz ze świadectwem wręczono mu jednak zalakowaną kopertę, którą miał oddać ojcu. Po przyjeździe do domu siedział w gabinecie czekając, aż Rob J. skończy czytać list od władz szkoły. Wiedział, co zawiera.

Dziekan Hammond poinformował go, że zaliczono mu dwa lata college'u, ale równocześnie zawieszono go na rok, by dorósł do współżycia we wspólnocie akademickiej. Kiedy zaś po tym okresie wróci, będzie musiał poszukać sobie innej stacji.

Ojciec przeczytawszy list podniósł na niego wzrok.

– Czy ta mała przygoda czegoś cię nauczyła?

– Tak, ojcie – odrzekł. – Pies jest w środku zadziwiająco podobny do człowieka. Serce ma oczywiście znacznie mniejsze, przeszło o połowę, ale wygląda prawie tak samo jak serca ludzkie, które przy mnie wyjmowałeś i ważyłeś. Ten sam mahoniowy kolor...

– Nie nazwałbym go mahoniowym...

– Może rzeczywiście nie... czerwony...

– Na czerwony zgoda.

– Płuca i przewód jelitowy także są podobne. Ale śledziona już nie. Śledziona psa nie jest okrągła i spoista, przypomina raczej wielki język, na stopę długi, na dwa cale szeroki i na cal grubo. U tej suczki aorta została rozerwana. To spowodowało śmierć. Przypuszczam, że się wykrwawiła.

Jama brzuszna była pełna krwi.

Ojciec przypatrywał mu się z uwagą.

– Zrobiłem notatki. Gdybyś był zainteresowany...

– Byłbym. I to bardzo – odrzekł w zamyśleniu Rob J.

---

## 43 Aspirant

---

W nocy Szaman leżał na łóżku, którego sznurowe naciągi domagały się już naprężenia, i przyglądał się ścianom tak dobrze mu znajomym, że z różnych konfiguracji zapalających się na nich o

wschodzie słonecznych plam potrafiłby odczytać porę roku. Ojciec zaproponował mu, żeby okres zawieszenia spędził w domu.

– Teraz, kiedy liznąłeś już trochę fizjologii, byłbyś tym użyteczniejszym pomocnikiem przy sekcjach. Przydałbyś mi się też podczas wizyt u pacjentów. Zawsze co dwie pary rąk to nie jedna.

A w wolnych chwilach pomagałbyś na farmie.

Po niedługim czasie można było odnieść wrażenie, że Szaman nigdy się z domu nie ruszał, ale po raz pierwszy w życiu czuł się w spowijającej go ciszy dotkliwie samotny.

Tego roku, ucząc się na zwłokach samobójców, bezdomnych włóczęgów i nędzarzy, zgłębił tajniki autopsji. W domach pacjentów złożonych chorobą bądź rannych przygotowywał narzędzia i opatrunki, obserwując jednocześnie, jak ojciec stara się sprostać wymaganiom każdej nowej sytuacji.

Zdawał sobie sprawę, że sam również jest przezeń obserwowany, przykładał się więc do pracy i pilnie na wszystko baczył, ucząc się nazw instrumentów, szyn i opatrunków, aby mieć je na podorędziu, nim jeszcze Rob J. o nie poprosi.

Pewnego ranka, gdy zatrzymali bryczkę nad rzeką, by ulżyć pęcherzom, oświadczył ojcu, że nie wróci po roku zawieszenia do Knox College, ponieważ zamierza studiować medycynę.

– Masz ci los!... – mruknął Rob J. i Szamanowi zrobiło się przykro, poznał bowiem po wyrazie twarzy ojca; że jego niechęć do tego zamiaru nie uległa zmianie. – Czy ty nie rozumiesz, synu? Chcę ci po prostu oszczędzić bolesnych rozczarowań. Dla mnie jest oczywiste, że masz prawdziwy talent do nauki. Skończ college, a ja zapłacę za najlepsze studia, jakie tylko zdołasz znaleźć, w

dowolnym miejscu świata. Mógłbyś uczyć, prowadzić badania naukowe... Jestem przekonany, że możesz dokonać wielkich rzeczy.

Chłopak pokręcił głową.

– Nie boję się bólu. Pamiętasz? kiedyś związałeś mi ręce i nie pozwalałeś dawać mi jeść, dopóki się nie odezwę. Chciałeś wykrzesać ze mnie wszystko, na co mnie stać, a nie oszczędzać mi bólu.

Rob J. westchnął.

– No dobrze – zgodził się – skoro już zdecydowałeś się na medycynę, możesz praktykować u mnie.

Ale Szaman znowu pokręcił głową.

– Wyświadczałbyś tylko łaskę głuchemu synowi.

Dopatrywałbyś się osiągnięć w niewiele wartych głupstwach, zaprzeczałbyś samemu sobie.

– Co też ty mówisz, synu... – zaprotestował zboląłym głosem Rob.

– Chcę odbyć takie studia, jakie ty odbyłeś, w prawdziwej akademii medycznej.

– To pomysł wyjątkowo niefortunny. Wątpię, żeby zechciała cię przyjąć którakolwiek z renomowanych uczelni. Owszem, mogłaby cię przyjąć jakaś szkoła medyczna podejrzanego autoramentu, które wyrastają wszędzie jak grzyby po deszczu. Te przyjmą każdego, kto wpłaci czesne. Byłoby jednak żalosną pomyłką studiować medycynę w którejś z tych placówek.

– Nie mam takiego zamiaru – odrzekł Szaman i poprosił ojca o listę najlepszych uczelni medycznych, położonych w rozsądnej odległości od doliny Missisipi.

Po powrocie do domu Rob J. poszedł zaraz do swego gabinetu, ułożył ten wykaz i wręczył go synowi jeszcze przed kolacją, jak gdyby chciał jak najprędzej zapomnieć o całej sprawie. Szaman dolał nafty do lampy, zamknął się w swoim pokoju i przy małym stoliku zasiadł do pisania listów.

Było już dobrze po północy, kiedy skończył. Dla uniknięcia przykrych niespodzianek podkreślał wyraźnie, że aspirant jest głuchy.

Bess, niegdyś Monica Gremille, chuda i ochwacona kiedy wiozła na grzbiecie Roba J.

przez pół kontynentu, obecnie, zażywając wywczasów sędziwego wieku, była pulchna i miała się dobrze. Natomiast dla jej następczyni, biednej ślepej Wiki, życie straciło wszelki urok. Wracając pewnego popołudnia późną jesienią do domu Rob J. zauważył, że ze zwieszonym łbem i szeroko rozstawionymi kościstymi nogami stoi na pastwisku wstrząsana drgawkami. Straciła już kontakt ze światem, jakczłowiek, który dożył późnej starości, ale jest słaby, otępiały i schorowany.

Nazajutrz rano poszedł do Geigerów i zapytał Jaya, czy nie ma zapasu morfiny.

– A ile byś chciał?

– Tyle, ile potrzeba, żeby zabić konia. Wyprowadził Wiki na środek pastwiska i dał jej do zjedzenia dwie marchewki i jabłko, potem wstrzyknął narkotyk w prawą żyłę szyjną. Przemawiał do klaczy łagodnie i głaskał ją po szyi, gdy chrupała swój ostatni słodki posiłek. Raptem jak gromem rażona padła na kolana i przewróciła się na bok. Rob J. stał nad nią, póki nie skończyła, a kiedy to nastąpiło, westchnął i poprosił synów, by się nią zajęli, sam zaś

pojechał do swoich pacjentów. Bracia zaczęli kopać tuż za jej grzbietem. Zabrało im to dużo czasu, dół musiał być bowiem głęboki i szeroki. Gdy już był gotowy, stali przyglądając się zdechłej klaczy.

– Dziwne, jak jej wystają siekacze – zauważył Szaman.

– U koni właśnie po tym poznaje się wiek, po zębach – pouczył go Alex.

– Pamiętam, że miała zęby równie proste jak twoje czy moje... poczciwe z niej było kobyliśko.

– Dużo pierdziała – przypomniał Alex. Wybuchnęli śmiechem, lecz zepchnąwszy trupa do dołu, szybko machali łopatami, żeby jak najkrócej patrzeć na jej pogrzeb. Spocili się obaj, chociaż dzień był chłodny. Alex zaprowadził następnie brata do stodoły i pokazał mu miejsce za workami, gdzie Alden chowa samogon, po czym pociągnął z dzbanka długi łyk; Szaman umoczył tylko wargi.

– Muszę stąd spieprzać – wyznał bratu Alex.

– Myślałem, że lubisz pracę na farmie.

– Nie układa mi się coś z ojcem. Szaman się zawahał.

– Alex, jemu na nas zależy.

– Wiem. Jest dla mnie dobry. Ale widzisz... Nie daje mi spokoju pytanie, kto był moim prawdziwym ojcem. Nikt mi nie chce powiedzieć, więc dam dyla, bo tutaj czuję się jak bękart.

Zabolało to Szamana.

– Masz przecież ojca i matkę. Nie wspominając już o bracie – dodał gniewnym tonem. – To powinno każdemu, kto nie jest skończonym głupcem, do szczęścia wystarczyć.

– Poczciwy Szamanek, zawsze taki rozsądny. – Wyszczrzył w uśmiechu zęby. – Coś ci powiem, spieprzajmy stąd razem. Do

Kaliforniji... Zostało tam pewnie jeszcze trochę złota. Ubawimy się po pachy. Wzbogacimy się, wrócimy tu i odkupimy od Nicka Holdena tę dziurę.

Życie na swobodzie z Alexem... Propozycja była kusząca, złożona zaś została bardziej niż na wół poważnie.

– Ja mam już inne plany, Duży. Ty zresztą też nie powinienesz stąd wiać, bo kto będzie zakopywał owcze bobki?

Alex rzucił się na niego i powalił na ziemię. Wydając dzikie okrzyki i pomruki starali się założyć jeden drugiemu chwyt zapaśniczy. Dzbanek Aldena potoczył się na bok i opróżniał z gulgotem, podczas gdy oni kotłowali się i kłębili na zasłanym słomą klepisku. Alex nabrał krzepy w codziennej pracy na farmie, Szaman za to był roślejszy i silniejszy, toteż wkrótce zakleszczył głowę brata pod łokciem. Po chwili wydało mu się, że Alex usiłuje coś powiedzieć, nie wypuszczając więc jego karku spod lewego ramienia prawą ręką odchylił mu do tyłu głowę, żeby widzieć jego twarz.

– Poddaj się, to cię puszcze – wycharczał Duży i Szaman, zanosząc się od śmiechu, upadł plecami na siano.

Alex podczołgał się do leżącego na ziemi dzbanka i przyjrzał mu się z żalem.

– Alden będzie wściekły.

– Powiedz mu, że to ja wypięłem.

– Aha. Zaraz ci uwierzy! – prychnął Alex, przechylając naczynie do ust, żeby spić z niego ostatnie krople.

Jesień była tamtego roku wyjątkowo dżdżysta, deszcze padały jeszcze w porze, kiedy zwykle sypał już śnieg. Przelotne ulewy przesuwały się srebrzystymi kurtynami, dni deszczowe przedzierały

jednak okresy parodniowych rozpodzeń, rzeki wezbrały więc i huczały rwącym nurtem, lecz nie wystąpiły z brzegów. Wysoki kopiec, usypany na grobie Wiki na pastwisku, zapadł się, tak że wkrótce trudno było to miejsce odnaleźć.

Rob J. kupił dla żony zabiedzonego siwka, którego nazwali Boss, choć gdy Sara siadała w siodle, to ona była bossem.

Obiecał też Alexowi, że będzie się rozglądał za przyzwoitym koniem dla niego. Chłopak przyjął to z należną wdzięcznością, nie da się bowiem zaprzeczyć, że skrzętność nie była jego mocną stroną, te zaś pieniądze, jakie zdołał odłożyć, przeznaczył na zakup myśliwskiej odtylcówki.

– Wygląda na to, że wciąż się rozglądam za jakimiś końmi – zażartował Rob J., nie zaproponował jednak, że postara się wierzchowca również dla Szamana.

Worki z pocztą przychodziły do Holden's Crossing z Rock Island we wtorki i piątki przed obiadem. Począwszy od świąt Bożego Narodzenia Szaman zaczął wypatrywać tych przesyłek, pierwsze listy nadeszły jednak dopiero w trzecim tygodniu lutego. Pewnego wtorku odebrał dwie zwiężłe, niemal opryskliwe odpowiedzi odmowne – jedną z Medical College w Wisconsin, drugą z wydziału lekarskiego uniwersytetu w Luizjanie. Trzeci list zawiadomił go w piątek, że jego wykształceniei przygotowanie wydają się doskonałe, wszelako „Medical College Rusha w Chicago nie mógłby służyć żadnymi udogodnieniami dla osoby dotkniętej głuchotą.”

Udogodnieniami? Czy im się wydaje, że trzeba go trzymać w klatce?



Doktor Cole wiedział o nadejściu listów, a z powściągliwego zachowania Szamana domyślił się, że przyniosły odmowę.

Rozgniewałby syna, gdyby okazywał mu względy bądź współczucie, nie czynił więc tego. Odmowy zabolowały Szamana.

Przez następne siedem tygodni nie przyszedł już żaden list, z czym jakoś zdołał się pogodzić.

Rob J. przeczytał zapiski Szamana z sekcji zdechłej suczki i uznał je za obiecujące, choć cokolwiek powierzchowne. Zasugerował, że może jego notatki mogłyby nauczyć Szamana, jak sporządzać opisy anatomiczne, i chłopiec poświęcał odtąd ich studiowaniu każdą wolną chwilę. W ten oto sposób, całkiem przypadkowo, natrafił na raport z autopsji Makwa-ikwy.

Czytał go ze zgrozą, zdawał sobie sprawę, że gdy działały się te opisane w raporcie potworności, on – mały chłopiec – spał smacznie w lesie nie opodal miejsca zbrodni.

– Ona została zgwałcona! Wiedziałem, że ją zamordowano, ale...

– Zgwałcona, także per anum. Nie opowiada się o takich sprawach dziecku – zauważył ojciec.

Co było niewątpliwie prawdą.

Szaman przeczytał raport jeszcze i jeszcze raz, jak zahipnotyzowany.

Jedenaście ran kłutych, biegnących nieregularną linią od wcięcia szyjnego przez mostek do punktu położonego mniej więcej dwa centymetry poniżej wyrostka mieczykowatego.

Trójkątne rany, szerokości od 0,947 do 0,952 centymetra. Trzy w sercu – 0,887, 0,799 i 0,803 cm.

– Dlaczego te rany miały różną szerokość?

– Świadczyłoby to o tym, że ostrze narzędzia, którym je zadano, zwężało się w szpic. Im większa siła ciosu, tym szersza była rana.

– Jak myślisz, znajdą tego, kto to zrobił?

– Nie wydaje mi się. Napastników było prawdopodobnie trzech. Dość długo prowadziłem przez znajomych poszukiwania niejakiego Ellwooda R. Pattersona, ale zaginął po nim wszelki ślad. Nazwisko było najpewniej fałszywe. Jego kolega nazywał się Cough. Nigdy nie spotkałem ani nawet nie słyszałem człowieka o takim nazwisku. Był z nimi jeszcze jeden mężczyzna, młodszy od tamtych dwóch. Ten znów miał na twarzy znamię koloru portwajnu. Drętwiałem cały, ilekroć spotykałem kogoś z taką plamą albo kogoś, kto utykał na nogę. Ale nie zdarzyło się nigdy, żeby ktoś taki odznaczał się jednym drugim: i znamieniem, i chromą nogą... Władzom nigdy nie zależało na znalezieniu ich, a teraz... Zbyt wiele minęło czasu, zbyt wiele upłynęło lat.

Szaman usłyszał ton smutku w głosie ojca, zorientował się jednak, że najsilniejszy gniew i wściekłość już dawno w nim wygasły.

Kiedy pewnego kwietniowego dnia przejeżdżali w pobliżu klasztoru sióstr franciszkanek, Rob J. skierował Trudę na prowadzącą do niego dróżkę, a Szaman na Bossie podążył za nim.

Gdy znaleźli się wewnątrz zabudowań klasztornych, Szaman zauważył, że kilka mniszek przywitało jego ojca po imieniu i nie wydawało się bynajmniej jego wizytą zdziwionych. Rob J.

przedstawił syna matce Miriam Ferocii, która sprawiła na chłopcu wrażenie przełożonej. Poprosiła, żeby usiedli – doktor Cole na wielkim, obitym skórą tronie, Szaman na prostym drewnianym krześle pod wiszącym na ścianie krzyżem, na którym był rozpięty

drewniany Jezus o smutnych oczach. Po jakimś czasie jedna z mniszek podała im doskonałą kawę i ciepły jeszcze chleb.

– Będę musiał częściej przyjeżdżać tu z synem – zwrócił się Rob J. do przełożonej. – Kiedy zjawiam się sam, nie podajecie mi do kawy chleba.

Szaman uświadomił sobie, że jego ojciec jest człowiekiem składającym się z różnych zaskakujących cech i że on pewnie nigdy nie zdoła go zrozumieć.

Wiedział o tym, że zakonnice – zawsze w parach – opiekowały się czasem jego pacjentami. Rob J. i matka przełożona gawędzili krótko o rozmaitych sprawach, po czym rozmowa zesłała na politykę; stało się wówczas jasne, że wizyta nosi charakter towarzyski. Rob J. zerknął na krucyfiks.

– W chicagowskiej „Tribune” – rzekł – cytują Ralpa Walda Emersona, który miał powiedzieć, że John Brown ozdobił szubienicę chwałą krzyża.

Miriam Ferocia zwróciła uwagę, że ten Brown, abolicjonistyczny zelant, którego powieszono za opanowanie arsenału w zachodniej Wirginii, w oczach przeciwników niewolnictwa wyrasta już na męczennika.

– A przecież nie niewolnictwo jest prawdziwą przyczyną niesnasek między Północą a Południem, tylko gospodarka.

Południe sprzedaje bawełnę i cukier do Anglii i Europy i stamtąd, a nie z przemysłowej Północy, sprowadza wyroby przemysłowe. Południowcy uznali więc, że reszta Stanów Zjednoczonych Ameryki nie jest im do niczego potrzebna.

Niezależnie od zwróconych przeciwko niewolnictwu filipik pana Lincolna, tu tkwi prawdziwa zadra.

– Nie znam się na ekonomii – wtrącił w zamyśleniu Szaman. – Miałem ją studiować na drugim roku, gdybym wrócił do college’u.

Na pytanie zakonnicy, dlaczego nie wrócił, Rob J. odpowiedział, że został zawieszony za spreparowanie psa.

– Matko święta! Czy biedne stworzenie było wtedy martwe? – zakrzyknęła.

Uspokojona, że tak, pokiwała głową.

– Ja, a zatem wszystko w porządku. Ja również nigdy nie studiowałam ekonomii. Mam ją we krwi. Mój ojciec zaczynał jako stolarz, robił wozy drabiniaste. Teraz ma fabrykę furmanek we Frankfurcie i manufakturę powozów w Monachium. – Uśmiechnęła się. – Nazwisko mojego ojca brzmi Brotknecht, to znaczy „piekarz”. Moi przodkowie byli w średniowieczu piekarzami. Choć w Baden, gdzie byłam w nowicjacie, był znów piekarz o nazwisku Wagenknecht!

– Jak pani miała na imię, zanim została pani mniszka?

– zapytał Szaman. Dostrzegł jej wahanie i zmarszczone brwi ojca, więc zrozumiał, że zadał pytanie nietaktowne.

Miriam Ferocia odpowiedziała mu jednak.

– Gdy należałam do świata, nosiłam imię Andrea. – Wstała z krzesła, podeszła do półki i zdjęła z niej jakąś książkę.

– Możesz ją sobie pożyczyć, jeśli interesuje cię ten temat – powiedziała. – Napisał ją angielski ekonomista, David Ricardo.

Szaman czytał tę książkę do późnej nocy. Nie wszystko rozumiał, zorientował się jednak, że Ricardo opowiada się za swobodnym handlem między narodami, na co również nalegało Południe.

Gdy wreszcie zasnął, przyśnił mu się Chrystus na krzyżu.

Jego długi orli nos skracał się w miarę trwania snu i poszerzał, skóra mu pociemniała i zaczerwieniła się, włosy poczerniały. Wyrosły mu kobiece piersi o ciemnych sutkach, poznaczone symbolami runicznymi. Ukazały się stygmaty. Szaman nie potrzebował liczyć, by wiedzieć, że ran było jedenaście; kiedy się im przyglądał, pojawiła się w nich krew, która zaczęła następnie spływać po ciele Makwy i kapać z jej stóp.

---

## 44 Listy i liściki

---

Wiosną roku 1860 urodziło się na farmie Cole'ów czterdzieści dziewięć jagniąt, więc przy trudniejszych porodach i kastrowaniu musiała pomagać cała rodzina.

– Trzódka powiększa się z każdą wiosną – z dumą i troską zauważył Alden. – Musi mi pan powiedzieć, co pan zamierza z nią zrobić.

Rob J. wybór miał ograniczony. Zarznąć można było najwyżej kilka sztuk. Wśród sąsiadów, którzy hodowali własną żywinę, zapotrzebowanie na mięso było niewielkie, gdyby je zaś chcieć wozić na sprzedaż do miasta, zepsułoby się po drodze. Można by co prawda transportować i sprzedawać żywe zwierzęta, ale było to skomplikowane, wymagało czasu, wysiłku i pieniędzy.

– Wełna staje się tym bardziej opłacalna, im ma się jej więcej – stwierdził Rob J. – Najlepiej więc nadal powiększać stado i zacząć zarabiać na sprzedaży runa, jak robiła zawsze moja rodzina w Szkocji.

– No tak. Czyli że będzie jeszcze więcej roboty niż dotąd.

Trzeba będzie nająć drugą parę rąk do pracy – oznajmił niepewnie Alden, a Szaman zaczął się zastanawiać, czy Alex nie wspomniał aby parobkowi o swym zamiarze ucieczki. – Doug Penfield, jak mi mówił, byłby gotów się nająć do roboty na przychodne.

– Uważasz, że to przyzwoity człowiek?

– Jasne, pochodzi z New Hampshire. To nie Vermont, ale już blisko.

Rob J. zgodził się, że istotnie niedaleko, i Doug Penfield został przyjęty.

Tej wiosny Szaman nawiązał kontakt z Lucille Williams, córką kowala Paula Williamsa. Lucille przez kilka lat uczęszczała do szkoły, kiedy Szaman uczył arytmetyki. Teraz była już dorosłą panną. Jej blond włosy, które upinała w duży kok, były co prawda bardziej popielate od płowych grzyw szwedzkich dziewcząt z jego snów, ale miała skorą do śmiechu, ładną buzię. Przystawał, ilekroć spotkał ją w miasteczku, żeby z nią pogawędzić jak stary przyjaciel i wypytać o pracę. Lucille pomagała ojcu w kuźni i matce w sklepie „Odzież damska Roberty” na Main Street. Taki podział obowiązków stwarzał jej pewną swobodę, rodzice przyjmowali bowiem jej nieobecność za rzecz naturalną i nie pytali, dokąd się wybiera, jedno zakładało bowiem, że ma coś do zrobienia u drugiego. Kiedy Lucille spytała więc Szamana, czy nie mógłby następnego dnia około

drugiej po południu przynieść jej do domu trochę masła z farmy, wpadł w nerwowe podniecenie.

Uprzedziła go przezornie, żeby przywiązał konia przed sklepami na Main Street, a następnie okrążył kwartał ulic, przeszedł na Illinois Avenue, przeciął posiadłość Reimersów, zasłoniętą od strony domu przez rząd bujnych krzaków bzu, przelazł przez parkan na podwórko za domem i zapukał do drzwi od ogrodu.

– Żeby nie wyglądało... rozumiesz, żeby sąsiedzi nie zaczęli czegoś gadać – wyjaśniła, spuszczać oczy. Nie zdziwił się, ostatecznie Alex nosił do niej masło przez cały ubiegły rok i zdawał mu relacje z tej posługi. Szaman mimo to drżał z obawy: przecież nie był Alexem.

Bzy Reimersów stały nazajutrz w pełnym rozkwicie. Przeleźć przez parkan nie było trudno, drzwi z tyłu domu otworzyły się zaś, ledwo zastukał. Lucille nie mogła się nachwalić, że osetka masła została tak ślicznie zawinięta w szmatki, które poskładała i położyła na stole w kuchni wraz z talerzem, a masło zniosła do zimnej piwniczki. Wróciwszy wzięła Szamana za rękę i wprowadziła go do pokoju za kuchnią, który najwyraźniej służył Robercie Williams za pracownię krawiecką. W kącie stało pół beli farbowanego sukna w kratę, na długiej półce leżały porządnie ułożone resztki jedwabiu, atłasu, drelichu oraz motki wełen. Obok wielkiej kanapy z końskiego włosia stał manekin krawiecki z drutu i płótna, który – co Szaman stwierdził nie bez ekscytacji – pośladki miał z kości słoniowej.

Lucille podała mu usta do długiego pocałunku, po czym zaczęli się oboje rozbierać w pośpiechu, lecz starannie składali ubrania na dwa dobrze zaplanowane i skomponowane kopczyki, skarpetki zaś

włożyli do butów. Szaman ocenił lekarskim spojrzeniem, że dziewczyna jest zbudowana nieproporcjonalnie. Ramiona miała wąskie i spadziste, jej piersi przypominały lekko wypukłe naleśniki, każdy z małym stawikiem syropu pośrodku ozdobionym brązową jagodą.

Dolną natomiast połowę ciała miała ciężką, biodra rozłożyste, nogi grube. Kiedy się odwróciła, żeby narzucić na kanapę szare prześcieradło, („Końskie włosie drapie!”) stwierdził, że manekin krawiecki nie jest modelem na spódnice dla niej, ona bowiem powinna mieć o wiele szersze.

Nie rozpuściła włosów.

– Za długo trzeba je potem upinać – usprawiedliwiła się, a Szaman zapewnił niemal urzędowo, że mu to wcale nie przeszkadza.

Poradził sobie całkiem dobrze. Lucille mu to ułatwiła, on zaś tyle się już nasłuchał przechwałek Alexa i innych chłopców, że choć sam nigdy jeszcze nie przecierał tego szlaku, miał dobrą znajomość punktów orientacyjnych. Jeszcze dzień wcześniej nie marzył nawet o dotykaniu kościanych pośladków manekina krawieckiego, a oto teraz pieścił ciepłe, żywe ciało, zlizywał syrop, kosztował jagódek. Bardzo szybko, ku niezmiernej swojej uldze, pozbył się balastu dziewictwa; pożegnał go z dreszczem rozkoszy. Niezdolny słyszeć, co dziewczyna dyszy mu do ucha, uczynił maksymalny użytek z innych swoich zmysłów, czego Lucille wcale mu nie broniła, przyjmując każdą pozycję, jakiej wymagało uważne badanie, aż wróciła mu w końcu gotowość do powtórzenia wcześniejszego doświadczenia, co tym razem trwało nieco dłużej.



Szaman byłby skłonny całkiem w tej sytuacji zapomnieć o czasie, Lucille zerknęła jednak wkrótce na zegar i zeskoczyła z kanapy, oświadczając, że przed powrotem rodziców musi jeszcze przygotować kolację. Ubierając się układali plany na najbliższą przyszłość. Ona (i ten pusty dom!) była do jego dyspozycji o każdej porze dnia. Niestety, właśnie wtedy on pracował. Uzgodnili, że Lucille postara się czekać w domu w każdy wtorek i piątek o drugiej po południu na wypadek, gdyby Szaman mógł się zjawić w mieście. Tym sposobem, powiedział, wykazując się praktycznym zmysłem, mógłby odbierać przy okazji pocztę.

Lucille okazała się równie praktyczna wyjawiając mu, gdy żegnali się pocałunkiem, że uwielbia lodowy cukier, ale ten różowy, nie ten zielonkawy o miętowym zapachu. Zapewnił ją, że dostrzega różnicę. Przelazszy przez parkan, wracał z nie znaną mu dotąd lekkością wzdłuż długiego szeregu ciężkich od kwiatów bzów, wdychając gęstą woń purpurowych kiści, która już do końca życia miała być dla niego zapachem wybitnie erotycznym.

Lucille lubiła gładkość jego dłoni, nie wiedząc, że są tak miękkie, ponieważ co dzień na nowo pokrywał je bogaty w lanolinę tłuszczopot z runa owiec. Strzyża trwała na farmie do ostatnich niemal dni maja. Strzygli głównie Szaman, Alex i Alden. Doug Penfield objawiał ochotę do nauki, lecz nie miał jakoś talentu do nożyc, poruczali mu więc najczęściej zbieranie i czyszczenie wełny. Doug znosił na farmę wiadomości ze świata, wśród nich nowinę, że republikanie nominowali na kandydata na prezydenta Abrahama Lincolna. Zanim wełna została zwałowana, powiązana i zapakowana w bele, dowiedzieli się również, iż demokraci zebrali się w Baltimore i po zażartej debacie wybrali Douglasa. W ciągu

paru tygodni demokraci z Południa zwołali w tym samym mieście drugą konwencję i dali nominację wiceprezydentowi Johnowi C.

Breckinridge'owi, wzywając go, aby bronił ich prawa do posiadania niewolników.

Miejscowi demokraci byli bardziej zwarcii i po raz kolejny wybrali na swojego kandydata Johna Kurlanda, adwokata z Rock Island, licząc na to, że odbierze Nickowi Holdenowi krzesło w Kongresie. Nick startował w wyborach jako kandydat zarówno Partii Amerykańskiej, jak i republikanów. Prowadził wytężoną kampanię na rzecz Lincolna, mając nadzieję zdobyć popularność miejscem na prezydenckiej platformie z orkiestrą. Lincoln przyjął z zadowoleniem poparcie „Nic Nie Wiedzących”, więc Rob J.

oświadczył, że nie może głosować na tego człowieka.

Szaman nie był w stanie skupić się na polityce. W lipcu dostał kolejną odmowną odpowiedź z Develand Medical College, do końca lata odmówiły mu zaś jeszcze Ohio College of Medicine i uniwersytet z Louisville. Pocieszał sam siebie, że potrzebna mu jest przecież tylko jedna zgoda.

W pierwszy wtorek września, gdy Lucille na próżno czekała, pocztę przywiózł do domu ojciec i wręczył mu długą brązową kopertę, której adres zwrotny informował, że nadano ją z Kentucky School of Medicine. Szaman poszedł z nią do stodoły i tam ją dopiero rozerwał. Był rad, że jest sam, przynosiła bowiem kolejną odmowę. Leżał na plecach na sianie, starając się nie poddać rozpacz.

Nie było jeszcze za późno, żeby wrócić do Galesburga i zapisać się na trzeci rok w Knox College. Byłoby to rozwiązanie bezpieczne, powrót do czegoś, co już znał i w czym się nawet sprawdził. Gdyby

uzyskał stopień bakałarza, jego życie mogłoby się stać wręcz pasjonujące. Mógłby pojechać na Wschód i poświęcić się badaniom naukowym. A może nawet do Europy.

A jeśli nie wróci do Knox i nie zostanie też przyjęty do żadnej uczelni medycznej, jak się dalej potoczy jego życie?

Nie wstał jednak, żeby pójść do ojca i poprosić go o zgodę na powrót do college'u. Długo leżał na sianie, podniósłszy się zaś chwycił za szpadel i taczkę i zabrał się za wywożenie obornika, która to czynność stanowiła sama w sobie coś w rodzaju odpowiedzi.

Od polityki niepodobna było wszakże uciec. W listopadzie Rob J. wyznał nie pytany, że oddał głos na Douglasa. Był to jednak rok Lincoln: demokraci z Północy i z Południa podzielili partię osobnymi kandydaturami, toteż Lincoln zwyciężył bez trudu. Niewielką pociechę stanowiło to, że Nick Holden stracił w końcu swoje stanowisko na rzecz Kurlanda.

– Nareszcie będziemy mieli przyzwoitego kongresmana – cieszył się Rob J.

Ludzie zastanawiali się w sklepie, czy Nick wróci teraz do Holden's Crossing i ponownie otworzy kancelarię prawniczą.

Pytanie to przez kilka tygodni pozostawało bez odpowiedzi, dopóki Abraham Lincoln nie ogłosił pierwszych nominacji nowego rządu. Czcigodny kongresman Nicholas Holden, bohater wojen z plemieniem Sauk i oddany stronnik kandydata Lincoln, został mianowany pełnomocnikiem Stanów Zjednoczonych do spraw Indian. Powierzono mu zadanie zawarcia traktatów z zachodnimi szczepami i przydzielenia im stosownych rezerwatów w zamian za pokój i zrzeczenie się wszystkich ziem i terytoriów indiańskich.

Rob J. chodził potem przez parę tygodni jak struty.

Był to czas przykry i trudny dla Szamana, przykry też i trudny dla kraju, po latach wszakże miał wspominać tamtą zimę z nostalgią, zapisała się bowiem w jego pamięci cudowną wiejską scenerią, rzeźbioną rękami zręcznego i cierpliwego twórcy, a następnie zamrożoną w kryształach. Dom i stodoła w czapach śniegu. Skute lodem rzeki, zasłane śniegiem pola.

Owce, konie, mleczne krowy, cała rodzina razem, wszyscy bezpieczni, u siebie.

Ale kryształ strącono już ze stołu i oto spadał właśnie.

Kilka dni po wyborze prezydenta, który kandydował z programem ograniczenia niewolnictwa, stany południowe wstąpiły na drogę prowadzącą do secesji. Gorliwe przywództwo w tym dążeniu objęła Południowa Karolina, więc oddziały armii Stanów Zjednoczonych, stacjonujące w dwóch fortach w porcie Charleston, przeniosły się do większego z nich, Fortu Sumter, wokół którego zamknął się natychmiast pierścień oblężenia. Milicje stanowe z Georgii, Alabamy, Florydy, Luizjany i Missisipi poszły szybko za tym przykładem i zajęły placówki wojskowe Stanów Zjednoczonych, odbierając je, po zaciętej nieraz walce, garnizonom federalnym, niezbyt licznym, jak to w pokojowych czasach.

Kochani Mamo i Tato!

Wyjeżdżam z Malem Howardem, żeby dołączyć do sił Południa. Jeszcze nie wiemy, w którym stanie się zaciągniemy. Mal chciałby jechać do Tennessee, żeby służyć wśród swojaków.

Mnie to nie robi różnicy, chyba żeby wpadł do Wirginii złożyć uszanowanie krewniakom.

Pan Howard mówi, że Południe powinno wystawić wielką linię, żeby pokazać Lincolnowi, że to nie przelewki. Mówi, że wojny nie

będzie, że to tylko sprzeczka w rodzinie.

Powinienem więc wrócić przed wiosennym wykotem. Może już z własną strzelbą i koniem, Tato!

Wasz kochający syn, Alexander Bledsoe Cole.

W swoim pokoju Szaman znalazł drugi liścik, nabazgrany na skrawku papieru pakowego i przyciśnięty do poduszki bliźniakiem scyzoryka, który dostał od ojca: Braciszku, Przechowaj go dla mnie. Nie chciałbym go zgubić. Do zobaczenia niedługo. Duży.

Rob J. pojechał natychmiast do Juliana Howarda, który przyznał z butną miną, acz nieco zaniepokojony, że poprzedniego wieczoru, zaraz po robocie, odwiózł chłopców wozem do Rock Island.

– Nie ma powodu się tak pieklić, do cholery! To już dorosłe chłopaki, a tu szykuje się tylko mała rozróbka.

Rob J. zapytał, przy jakim nabrzeżu ich zostawił. Howard łypnął na napierającego nań szeroką pierśią rosnącego doktora, wyczuł zimną pogardę w jego głosie, wybąkał więc, że wysadził ich przy nabrzeżu firmy przewozowej Three—Star.

Rob J. pojechał tam zaraz, chwytając się wątpliej nadziei, że zdoła sprowadzić uciekinierów do domu. Gdyby panowały takie mrozy, jakie czasem zdarzały się zimą, może by mu się to i powiodło, ale teraz rzeki nie były skute lodem i żegluga szła w najlepsze. Kierownik kompanii przewozowej obrzucił go zdziwionym spojrzeniem, gdy Rob zapytał, czy nie zauważył dwóch chłopców szukających pracy na pokładzie jakiejś barki lub tratwy płynących w dół rzeki.

– Panie drogi, rozładowali my wczoraj i załadowali przy tym nabrzeżu siedemdziesiąt dwie krypy, a to dołek sezonu i jesteśmy tylko jedną z wielu firm transportowych na Missisipi. Na prawie

każdą z tych łajb najmują chłopaków, którzy nawiali od jakiejś rodziny, więc się im ta za bardzo i nie przyglądam – odrzekł wcale grzecznie.

Szamanowi przyszło na myśl, że secesja stanów południowych przypomina pęknięcie prażonej w rynce kukurydzy.

Matka chodziła z zaczerwienionymi oczami i stale się modliła, ojciec wyjeżdżał do pacjentów bez uśmiechu na twarzy. W jednym ze sklepów z paszą w Rock Island tyle towaru, ile się tylko dało, przeniesiono do pomieszczenia na zapleczu, po czym połowę powierzchni wynajęto na lokal werbunkowy. Szaman zabłąkał się tam pewnego razu, pomyślawszy sobie, że skoro wszystko inne go w życiu zawiodło, być może – będąc młodzieńcem dorodnym i silnym – zostanie choć noszowym. Wszelako na wiadomość, że ochotnik jest głuchy, sierżant, który prowadził nabór, uniósł tylko zabawnie brwi i kazał mu zmiatać do domu.

Szaman uznał, że kiedy cały świat się wali, on nie ma prawa zamartwiać się zamętem w swoim życiu osobistym. W drugi wtorek stycznia ojciec przywiózł mu z miasta list, a w piątek jeszcze jeden. Zaskoczył go, okazało się bowiem, że liczył odpowiedzi i doliczył się już dziewięciu, a wszak wiedział, że rekomendował synowi tylko dziewięć uczelni.

– To już ostatni, co? – zapytał wieczorem po kolacji.

– Tak. Z Missouri Medical College. Odmowny – odparł Szaman, ojciec zaś pokiwał głową, bynajmniej nie zdziwiony.

– Ale tu mam list, który przyszedł we wtorek – powiedział chłopak, wyjmując z kieszeni i rozkładając list. Otrzymał go od dziekana Lestera Nasha Berwyna, doktora nauk medycznych, z Akademii Medycznej Polikliniki w Cincinnati. Dziekan był skłonny

przyjąć go na studia pod warunkiem, że zaliczy pomyślnie pierwszy semestr studiów, traktowany jako okres próbny. Uczelnia, związana ze szpitalem Southwestern Ohio w Cincinnati, oferowała dwuletni program studiów uwieńczony tytułem doktora medycyny, po cztery semestry w roku. Kolejny miał się rozpocząć 24 stycznia.

Szaman powinien był odczuwać radość ze zwycięstwa, lecz zdawał sobie sprawę, że ojciec zwrócił przede wszystkim uwagę na słowa „pod warunkiem” i „okres próbny”, szykował się więc do trudnej rozmowy. Po wyjeździe Alexa stał się tym potrzebniejszy na farmie, postanowił jednak, że w ostateczności ucieknie, nie przepuści nadarzającej się okazji. Z rozmaitych powodów, po części samolubnych, był zły na ojca, że nie powstrzymał Alexa. Pozwoliwszy zaś sobie na uczucie gniewu, zły był na niego również za to, że jest tak cholernie pewny nieistnienia Boga i nie rozumie, że ludzie nie są przeważnie dość silni, aby być pacyfistami.

Jednakże kiedy Rob J. podniósł wzrok znad listu i Szaman zobaczył jego oczy i usta, uświadomił sobie, że doktor Cole nie jest z kamienia i to odkrycie ugodziło go niczym strzałą.

– Alex nie zostanie ranny. Nic mu się nie stanie – zawołał, świadom, że nie jest to odpowiedzialna ocena dorosłego mężczyzny. Choć bywał już w pokoju, gdzie stał manekin o poślach z kości słoniowej, i choć dostał ten list z Cincinnati, zdawał •obie sprawę, że składa jedynie pustą obietnicę zrozpaczonego chłopca.

---

---

[6] Sneeze znaczy po angielsku „kichać”, cough – „kaścić”

# CZĘŚĆ PIĄTA

## SPRZECZKA W RODZINIE

24 stycznia 1861

---

### 45 W poliklinice

---

Cincinnati okazało się miastem znacznie większym, niż Szaman się spodziewał. Ulice tętniły ruchem, rzeka Ohio, wolna od lodu, niosła flotyllę łodzi. Z wysokich kominów fabryk buchały przerażające kłęby dymu. Wszędzie tłoczyli się ludzie. Potrafił sobie wyobrazić, jaki czynili hałas.

Tramwaj konny powiózł go z dworca kolejowego nad rzeką prosto do jego ziemi obiecanej na Dziewiątej Ulicy. Szpital Southwestern Ohio składał się z paru dwupiętrowych gmachów z czerwonej cegły i drewnianego jednopiętrowego budynku, mieszczącego szpital chorób zakaźnych. Po drugiej stronie ulicy, w innym, zwieńczonym szklaną kopułą ceglanym budynku, mieściła się poliklinika i Akademia Medyczna w Cincinnati.

W gmachu uczelni Szaman zobaczył obskurne klasy i także sale wykładowe. Zapytał jakiegoś studenta o gabinet dziekana i ten



wskazał mu prowadzące na pierwsze piętro dębowe schody. Doktor Berwyn okazał się jowialnym mężczyzną w średnim wieku o białych wąsach i łysej czasce, pośniewającej w rozproszonym świetle, które wpadało przez wysokie zakurzone okna.

– A, więc to pan jest ten Cole.

Wskazał Szamanowi krzesło. Następnie zrobił mu krótki wykład z historii niniejszej akademii, o powinnościach dobrego lekarza oraz konieczności pilnego przykładania się do nauki. Szaman wyczuwał szóstym zmysłem, że identycznymi słowami witał każdego nowego studenta, zakończenie dziekańskiej przemowy przeznaczone było wszakże wyłącznie dla niego.

– Nie powinien pana przerażać pański warunkowy status – pocieszył go ostrożnie doktor Berwyn. – W pewnym sensie każdy z kandydatów trafia do nas na próbę i musi dopiero wykazać, że jest godnym miana studenta.

„W pewnym sensie.” Szaman gotów był iść o zakład, że nie każdego studenta informuje się listownie o przyjęciu warunkowym, podziękował jednak grzecznie dziekanowi. Doktor Berwyn skierował go do bursy, która mieściła się w dwupiętrowym drewnianym budynku mieszkalnym, ukrytym na tyłach akademii medycznej. Przybita na ścianie w sieni lista lokatorów akademika poinformowała Szamana, że Cole, Robert J. jest zakwaterowany w pokoju 2B wraz z Cookiem, Paulem P., Torringtonem, Ruelcm oraz Henriedem, Williamem.

Pokój 2B okazał się ciasną klitką mieszczącą dwa piętrowe łóżka, dwie komody i stół z czterema krzesłami. Na jednym z nich siedział pulchny młodzieniec, który gdy Szaman otworzył drzwi, przestał coś pisać w notesie.

– Serwus! P.P. Cooke z Xenii – przedstawił się. – Billy Henried wyszedł po książki. A więc pan musi być albo Torringtonem z Kentucky, albo tym głuchym gościem.

Szaman się roześmiał. Opadło z niego naraz całe napięcie.

– Jestem tym głuchym gościem. Czy nie ma pan nic przeciwko temu, żebym mówił panu po imieniu, Paul?

Tego wieczoru obserwowali jeden drugiego, wyrabiając sobie zdanie na swój temat. Cooke był synem handlarza paszą, i to chyba majątnego, sądząc po jego stroju i rzeczach. Szaman zauważył, że ma zwyczaj udawać głupka, być może z powodu swojej zażywej postury, lecz w jego piwnych oczach błyszczała przenikliwa inteligencja, której uwagi mało co uchodziło. Billy Henried był szczupły i cichy jak myszka.

Powiedział im, że wyrósł na farmie niedaleko Columbus i spędził dwa lata w seminarium duchownym, nim stwierdził, że nie ma powołania na księdza. Ruel Torrington, który zjawił się dopiero po kolacji, zaskoczył współlokatorów. Był od nich dwa razy starszy i od dawna już praktykował jako medyk. Oddany w młodym wieku na praktykę do lekarza, postanowił ukończyć teraz uczelnię medyczną i uprawomocnić swój tytuł „doktora”.

Pozostali trzej studenci z pokoju 2B ucieszyli się, że będą mieli kolegę z taką przeszłością, sądzeni bowiem, że studiowanie u boku doświadczonego konsyliarza będzie dla nich korzystne.

Torrington przyjechał wszakże w kwaśnym humorze i taki już pozostał do końca ich znajomości. Nie spodobało mu się, że jedynym nie zajęтым do jego przyjazdu łóżkiem było górne pod ścianą. Dał do zrozumienia, że pogardza Cookiem, ponieważ ten jest gruby, Szamanem – bo głuchy, Henriedem – bo katolik. Jego

wrogość szybko związała pozostałą trójkę sojuszem i niewiele się nim odtąd przejmowali.

Cooke przyjechał na uczelnię kilka dni wcześniej i zdążył już zebrać trochę wiadomości, którymi podzielił się teraz z kolegami. Akademia dysponowała kadrą wykładowców cieszącą się powszechnie doskonałą reputacją; spośród jej gwiazd dwie wszakże świeciły najjaśniejszym blaskiem: profesor chirurgii, doktor Berwyn, pełniący zarazem obowiązki dziekana, i doktor Barnett A. McGowan, anatomopatolog, który prowadził bumii i fizjologii.

– Za plecami nazywają go Barney – objaśnił ich Cooke.

– Mówią, że obcina więcej studentów niż wszyscy pozostali profesorowie razem wzięci.

Nazajutrz rano Szaman wybrał się do jednego z banków i złożył tam przywiezione ze sobą pieniądze. Obaj z ojcem skrupulatnie wyliczyli jego finansowe potrzeby. Czesne wynosiło sześćdziesiąt dolarów rocznie, a jeśli płaciło się z góry – pięćdziesiąt. Dodali do tego kwoty potrzebne na pokój, wyżywienie, książki, przejazdy oraz inne wydatki. Rob J. był skłonny z radością pokryć je wszystkie, Szaman upierał się jednak, że skoro edukacja medyczna to jego widzimisie, powinien za nią zapłacić z własnej kieszeni. Uzgodnili na koniec, że podpisze ojcu weksel, zobowiązując się po skończeniu studiów spłacić dług do ostatniego dolara.

Po wyjściu z banku zajął się z kolei odszukaniem uczelnianego kwestora i uiszczeniem czesnego. Nie podniosło go na duchu wyjaśnienie tego urzędnika, że jeśli będzie musiał porzucić studia z powodów natury szkoleniowej bądź zdrowotnej, otrzyma tylko częściowy zwrot czesnego.

Pierwszym kursem, na który się wybrał, był godzinny wykład o chorobach kobiecych. Szaman nauczył się w college'u jak najwcześniej przychodzić na zajęcia, by zajmować dobre miejsce i móc czytać z warg wykładowcy. Zjawił się więc w sali wykładowej wcześniej i usiadł w pierwszym rzędzie, co okazało się okolicznością nader pomyślną, ponieważ profesor Harold Meigs wykładał bardzo szybko. Szaman nauczył się notować bez odrywania oczu od warg wykładowcy i bez patrzenia na kartkę. Pisał wyraźnie, wiedząc, że ojciec zechce przeczytać jego notatki, aby się zorientować, co słyhać w medycznej edukacji.

Następne zajęcia, z chemii, wykazały, że ma dostateczne jak na wymagania akademii medycznej przygotowanie laboratoryjne. Ucieszyło go to i pobudziło jego apetyt zarówno na jedzenie, jak i na studia. W szpitalnej stołówce przełknął na chybcika lunch złożony z sucharów i zupy z mięsem, wyjątkowo niesmacznej. Następnie pognął do księgarni Cniikshanka, służącej potrzebom studentów medycyny, gdzie wypożyczył mikroskop i kupił książki z listy lektur obowiązkowych: „Terapeutykę ogólną i farmację” Dunglisona, „Fizjologię człowieka” McGowana, „Atlas anatomiczny” Quaina, „Chirurgię operacyjną” Berwyna, „Chemię” Fowne'a oraz dwa podręczniki Mapa: „Kobieta, jej choroby oraz sposoby ich leczenia” i „Choroby dziecięce”.

Kiedy starszawy subiekt podliczał należność, spojrzenie Szamana powędrowało w głąb księgarni, gdzie zobaczył doktora Berwyna zatopionego w rozmowie z jakimś niskim mężczyzną o surowej powierzchowności, którego schludnie przystrzyżona broda połyskiwała nitkami siwizny, podobnie jak grzywa jego bujnej czupryny. Był w równym stopniu kudłaty co Berwyn wyłysiały.

Pograżeni byli najwyraźniej w jakimś sporze, który jednak prowadzić musieli przyciszonymi głosami, żadna bowiem ze znajdujących się w pobliżu osób nie zwracała na nich uwagi. Doktor Berwyn był obrócony do Szamana tyłem, lecz ten drugi stał do niego twarzą, tak że chłopak, z nawyku raczej niż z chęci podsłuchiwania, zaczął czytać z jego warg.

„...wiem, że kraj zmierza do wojny. Zdaję sobie doskonale sprawę, mój panie, że pierwszy rok liczy czterdziestu dwóch studentów zamiast sześćdziesięciu, jak to zwykle bywało.

Wiem również, że i wielu z tych czmychnie na pola bitew, ledwie studia medyczne okażą się dla nich za trudne. Ale zwłaszcza w takim momencie powinniśmy się pilnować, by nie obniżyć poziomu. Tymczasem dowiaduję się od Harolda Meigsa, że przyjął pan pewną liczbę studentów, których pan w ubiegłym roku odrzucił. Znajduje się nawet wśród nich, jak słyszę, jeden głuchoniemy...” Subiekt dotknął w tym momencie miłosiernie ramienia Szamana i przedstawił mu rachunek.

– Kim jest ten pan, który rozmawia z doktorem Berwynem? – zapytał chłopak, głuchoniemy, który odzyskał głos.

– To doktor McGowan, proszę pana – odrzekł subiekt.

Szaman podziękował mu skinieniem głowy, wziął książkii wyszedł ze sklepu.

Kilka godzin później profesor Barnett Alan McGowan siedział przy swoim biurku w prosektorium przepisując na czysto swe zapiski. Jego notatki dotyczyły nieodmiennie śmierci, jako że doktor McGowan rzadko miewał do czynienia z żywymi pacjentami. Ponieważ niektóre osoby uważają otoczenie śmierci za nader odpychające, przywykł pracować w miejscach odosobnionych. W

szpitalu, w którym był naczelnym anatomopatologiem, prosektorium mieściło się w piwnicy głównego gmachu. Choć blisko było stamtąd do licowanego cegłą tunelu, biegnącego pod ulicą i łączącego szpital z akademią, było to miejsce ponure, pełne splątanych pod niskim sufitem rur.

Laboratorium anatomii mieściło się na tyłach gmachu akademii medycznej, na pierwszym piętrze. Wchodziło się tam z korytarza albo osobną klatką schodową. Przez wysokie pojedyncze okno bez zasłony wsączało się do długiego, wąskiego pomieszczenia ołowiane zimowe światło. W jednym jego końcu, naprzeciwko profesorskiego biurka, za połacią połupanej w drzazgi podłogi, wznosił się mały amfiteatr; zbocze ciasno stłoczonych siedzeń nie zapewniało wygody, sprzyjało za to skupieniu. W drugim końcu sali rozmieszczono w trzech rzędach stoły sekcyjne dla studentów. Pośrodku stała wielka kadź z solanką, wypełniona ludzkimi szczątkami, oraz stół, na którym leżały w rzędach narzędzia sekcyjne. Z boku, na desce wspartej na stolarskich kozłach, spoczywały nakryte czystym białym prześcieradłem zwłoki młodej kobiety. Profesor przepisywał notatki dotyczące tego właśnie ciała.

Na dwadzieścia minut przed godziną rozpoczęcia zajęć do laboratorium wszedł jakiś student. Profesor McGowan nie podniósł oczu i nie przywitał wchodzącego. Zanurzywszy stalówkę w kałamarzu, pisał dalej. Rosły młodzieniec podszedł tymczasem prosto do środkowego miejsca w pierwszym rzędzie i zarezerwował je, kładąc na pulpicie swój notes. Nie zajął go jednak od razu, lecz ruszył spacerkiem na obchód laboratorium.

Przystanąwszy nad wielką kadzią, ku zdumieniu doktora McGowana wziął do ręki zakończony żelaznym hakiem kiji niczym

bawiący się nad stawem mały chłopiec, jął wyławiać z roztworu części ciała. Odkąd McGowan prowadził wstępne zajęcia z anatomii, czyli od lat dziewiętnastu, żaden student tak się jeszcze nie zachowywał. Pierwszorocznicy przekraczali zwykle próg prosektorium z chmurną godnością, niektórzy wolnym krokiem, mocno wystraszeni.

– Ejże! Proszę to natychmiast zostawić. Proszę odłożyć ten bosak – zawołał McGowan.

Młodzieniec nie uczynił najmniejszego gestu, który by świadczył o tym, że usłyszał jego polecenie, nawet wtedy, gdy profesor klasnął ostro w dłonie; McGowan uświadomił sobie wówczas, kogo ma przed sobą. Już chciał wstawać, ale się rozmyślił, ciekaw, co nastąpi dalej.

Młodzieniec wodził hakiem wśród pływających w kadzi obiektów, jak gdyby czegoś szukał. Większość pływających tam członków była dobrze sfatygowana, nad niektórymi pastwili się już lancetami studenci z innych grup. Stan ich ogólnej maltretacji i dekompozycji stanowił ważny czynnik wstrząsu, o jaki winny przyprawiać pierwsze zajęcia z anatomii. McGowan przyglądał się, jak młodzian wyławia dłoń z nadgarstkiem, a potem kawałek nogi. Następnie trafił na przedramię z całą dłonią, będące w zdecydowanie lepszej kondycji od większości pływających w solance członków.

McGowan obserwował, jak chłopak za pomocą bosaka umieszcza ten atrakcyjny kąsek w prawym górnym rogu zbiornika, po czym maskuje go kilkoma co bardziej odpychającymi obiektami. Chowa!

Następnie odłożył bosak na miejsce i podszedł do stołu, żeby zbadać ostrza skalpeli. Znalazłszy taki, który go zadowolił, odłożył

go trochę na bok, po czym wrócił na swoje miejsce w amfiteatrze.

Doktor McGowan postanowił nie zwracać nań więcej uwagi i przez następne dziesięć minut koncentrował się na swoich notatkach. Do laboratorium poczęli się wreszcie schodzić pozostali studenci. Każdy z nich siadał od razu na swoim miejscu. Oblicza wielu powlekała już bladość, w pomieszczeniu unosiły się bowiem odory, które dodawały skrzydeł ich trwożnym fantazjom.

Punktualnie co do minuty doktor McGowan odłożył pióro i wyszedł przed biurko.

– Panowie... – zaczął.

Gdy się uciszyli, przedstawił się.

– W trakcie naszych zajęć będziemy się zajmowali umarłymi, aby się nauczyć, jak zbudowani są żywi i jak im pomagać. Pierwsze zapiski z badań tego rodzaju pozostawili nam starożytni Egipcjanie. Pionierzy ci dokonywali autopsji nieszczęśników, których zabijali, składając ofiary z ludzi. Za prawdziwych ojców badań fizjologicznych należy uznać antycznych Greków. W Aleksandrii istniała wielka akademia medyczna, gdzie badania ludzkich narządów i trzewi prowadził Herofilos z Chalkedonu. To on nadał nazwy pióru pisarskiemu i dwunastnicy...

Doktor McGowan był świadom, że siedzący pośrodku pierwszego rzędu młodzieniec ani na chwilę nie odrywa oczu od jego ust. Dosłownie zawisł na nich wzrokiem.

Z wdziękiem prześledził zanik badań anatomicznych w zabobonnej otchłani wieków średnich i ich odrodzenie po roku 1300 naszej ery. W końcowym fragmencie wykładu zwrócił uwagę na to, że po opuszczeniu ciała przez ożywiającego je ducha badacze



winni obchodzić się z nim bez lęku, z należytych jednakżeuszanowaniem.

– Za moich studenckich czasów w Szkocji mój profesor zwykł porównywać ciało po śmierci do domu, którego właściciel się zeń wyprowadził. Mawiał, że zwłoki powinny być traktowane z poważaniem przez szacunek dla duszy, która je zamieszkiwała – powiedział doktor McGowan, stwierdzając z irytacją, że młodzieniec w pierwszym rzędzie uśmiechnął się przy tych słowach.

Polecił studentom, żeby wybrali sobie jakiś okaz z kadzi z solanką oraz skalpel, spreparowali wybrany obiekt anatomiczny, narysowali to, co zobaczą, i oddali mu przed wyjściem rysunki. W tym miejscu zawsze podczas pierwszych zajęć następował moment niezdecydowania, ociągania się. Młodzieniec, który pierwszy zjawił się w prosektorium, pierwszy też przerwał tę chwilę wahania. Wstał, podszedł do zbiornika, wyłowił upatrzone wcześniej ramię, a następnie wziął ze stolika ostry skalpel, który sobie odłożył. Podczas gdy inni marudzili jeszcze nad kadzią, on zabrał się już do pracy przy najlepiej oświetlonym stole sekcyjnym.

Doktor McGowan zdawał sobie doskonale sprawę, jaki stres przeżywają studenci na pierwszych zajęciach z anatomii. On był przyzwyczajony do słodkawego smrodu bijącego od kadzi z solanką, świadom był wszakże wrażenia, jakie odór ów wywierał na nowicjuszach. Niektórzy ze studentów stanęli przed zadaniem niewykonalnym, niejeden z cielesnych członków znajdował się bowiem w stanie daleko posuniętego rozkładu, niepodobna więc było poprawnie go spreparować i dokładnie narysować. Profesor brał to pod uwagę. To pierwsze ćwiczenie miało przede wszystkim

walor dyscyplinujący, niczym chrzest bojowy nie zahartowanych w walce oddziałów.

Miało stanowić wyzwanie dla ich zdolności stawiania czoła przeciwnościom i przemagania odrazy na widok rzeczy budzących wstręt, miało im też udzielić brutalnej, ale nieodzownej lekcji, że uprawianie medycyny polega nie tylko na przyjmowaniu honorariów i cieszeniu się ludzkim szacunkiem.

W ciągu paru następnych minut kilka osób opuściło laboratorium, jeden z młodzieńców wypadł nawet za drzwi w ogromnym pośpiechu, ale ku satysfakcji doktora McGowana wszyscy w końcu wrócili. Profesor przez blisko godzinę przechadzał się między stołami sekcyjnymi, nadzorując postęp prac. Wśród studentów znajdowało się kilku dorosłych mężczyzn, którzy pracowali już jako lekarze po odbyciu praktyki u czynnych medyków. Tym oszczędzone były mdłości, jakich doświadczała część ich kolegów. Doktor McGowan wiedział z doświadczenia, że niektórzy z nich zostaną doskonałymi lekarzami. Przyjrząwszy się wszelako jednemu z nich, niejakiemu Ruelowi Torringtonowi krojącemu bark, westchnął, wyobraził sobie bowiem, jakich potworności dopuszczać się musiał jako chirurg.

Odrobinę dłużej zatrzymał się przy ostatnim stole, gdzie tusty młodzieniec o spotniałej twarzy zмагаł się z głową, z której pozostało niewiele poza czaszką.

Naprzeciwko tłuściocha pracował głuchy student. Rzucało się w oczy, że ma niejaki doświadczenie, poprawnie posługiwał się skalpelem, preparując ramię warstwa po warstwie. Sposób, w jaki to robił, wskazywał na to, że nieobca mu jest wiedza anatomiczna, co zarazem zdziwiło i ucieszyło McGowana, który zauważył

ponadto, że stawy, mięśnie, nerwy i naczynia krwionośne zostały dokładnie przedstawione na rysunku i oznakowane. Gdy mu się przyglądał, młody człowiek podpisał rysunek drobnymi literami i wręczył go profesorowi. Cole, Robert J.

– Mhm, pan Cole. Panie Cole, na przyszłość zechce pan pisać nieco większymi literami.

– Dobrze, sir – odrzekł zupełnie wyraźnie Cole. – Czy miałby pan profesor jeszcze jakieś uwagi?

– Nie. Może pan odłożyć eksponat do zbiornika i sprzątnąć po sobie. Potem może pan wyjść.

To pierwsze pozwolenie na wyjście z sali sprawiło, że do doktora McGowana trafił dziesiątek następnych rysunków, profesor odprawił jednak wszystkich zgłaszających się studentów z poleceniem, aby je ulepszyli oraz poprawili to i owo w swoich preparatach.

Rozmawiając ze studentami obserwował kątem oka Cole'a.

odkładającego swój okaz do kadzi. Zauważył, że przed odłożeniem skalpela umył go i wytarł. Zaobserwował też, że przyniósł wodę i wyszorował tę stronę stołu, przy której pracował, a następnie szarym mydłem i czystą wodą umył starannie dłonie i ramiona, zanim opuścił rękawy.

– W drodze do wyjścia zatrzymał się na chwilę przy pyzaty koledze i zerknął na jego rysunek. Doktor McGowan widział, jak Cole nachylił się i coś do niego szepnął. Z oblicza tłuściocha ustąpił częściowo wyraz rozpacz. Pokiwał głową, gdy Cole poklepał go po ramieniu. Potem grubas wrócił do pracy, a głuchy opuścił prosektorium.

---

## 46 Bicie serca

---

Do Szamana jedynie od czasu do czasu docierały trwożne wieści o grożącej Stanom Zjednoczonym wojnie, jakby akademia medyczna była jakimś obcym, dalekim lądem.

Dowiedział się, że w Waszyngtonie zebrała się Konwencja Pokojowa, na którą zjechało stu trzydziestu jeden delegatów z dwudziestu jeden stanów. Tego samego jednak ranka, gdy Konwencja rozpoczynała w stolicy obrady, w Montgomery w stanie Alabama zebrał się Tymczasowy Kongres Skonfederowanych Stanów Ameryki. Kilka dni później Konfederacja przegłosowała odłączenie się od Stanów Zjednoczonych i wszyscy zrozumieli z przeraźliwą jasnością, że o pokoju nie może już być mowy.

Szaman nie był wszelako w stanie darzyć problemów kraju baczniejszą uwagą. Toczył własną walkę o przetrwanie. Naszczęście był pilnym studentem. Do późnej nocy ślęczał nad książką, póki litery nie zaczynały mu się zlewać przed oczami, każdego też niemal dnia udawało mu się wygospodarowywać na naukę godzinę, dwie przed śniadaniem.

Zajęcia odbywały się od poniedziałku do soboty włącznie, od dziesiątej do trzynastej i od drugiej do piątej po południu.

Wykłady prowadzone też były często w trakcie zajęć klinicznych w jednej z sześciu klinik, od których akademia wzięła nazwę. We wtorki po południu – choroby klatki piersiowej. W czwartki wieczorem – ginekologia. W soboty rano – chirurgia; po południu –

interna. W niedzielne zaś popołudnia studenci przyglądali się pracy lekarzy na oddziałach.

W szóstą sobotę nauki Szamana w poliklinice doktor Meigs wygłosił wykład poświęcony stetoskopowi. Meigs studiował we Francji u lekarzy, którzy sami pobierali naukę u wynalazcy owego instrumentu. Opowiedział studentom, jak to któregoś dnia w roku 1816 lekarz nazwiskiem René Lænnec, nie chcąc przytykać ucha do obfitej piersi przejętej wstydem pacjentki, zwinął zeszyt, powstałą zaś w ten sposób trąbkę związał kawałkiem sznurka. Kiedy przyłożył jeden koniec tej słuchawki do piersi chorej, a ucho przytknął do drugiego, stwierdził ze zdumieniem, że nie tylko nie pogorszyło to osłuchu, ale wzmocniło odgłosy klatki piersiowej.

Meigs dodał, że jeszcze do niedawna jako stetoskopy służyły proste drewniane cylindry, do których lekarze przykładali ucho. On dysponował już nowocześniejszym modelem instrumentu, w którym trąbka połączona była oplecionym jedwabną tkaniną gumowym przewodem z dopasowanymi do uszu słuchawkami z kości słoniowej. W czasie demonstracji klinicznej po wykładzie doktor Meigs posługiwał się hebanowym stetoskopem z dołączoną doń drugą parą słuchawek, tak że profesor i jeden ze studentów mogli osłuchiwać płuca pacjenta jednocześnie. Każdy ze studentów miał taką okazję, gdy jednak przyszła kolej na Szamana, ten oświadczył profesorowi, że to się na nic nie zda.

– I tak nie będę w stanie niczego usłyszeć. Doktor Meigs wyjął wargi.

– Proszę choć spróbować.

Zademonstrował Szamanowi, jak trzymać instrument przy uchu. Młodzieniec pokręcił jednak głową.

– Przykro mi – powiedział profesor Meigs.

Zbliżał się egzamin z praktyki klinicznej. Każdy ze studentów miał zbadać pacjenta przy użyciu stetoskopu, a następnie postawić diagnozę. Dla Szamana nie ulegało wątpliwości, że na tej próbie się zetnie.

Pewnego mroźnego ranka włożył palto, rękawiczki i szalik i poszedł się przejść. Mały gazeciarz na rogu zachwalał krzykliwie gazety przynoszące opisy inauguracji Lincolna.

Szaman zszedł nad rzekę i przechadzał się w zamyśleniu po nabrzeżu.

Potem wrócił do szpitala i przeszedł się po oddziałach, przyglądając się uważnie sanitariuszom i pielęgniarzom. Byli to przeważnie mężczyźni, wśród których nie brakowało pijaków, zwabionych do pracy w szpitalu niskimi wymaganiami. Przyjrzał się tym, którzy wyglądali na trzeźwych i bystrych. Jego wybór padł w końcu na niejakiego Jima Hallecka. Kiedy sanitariusz wniósł i zwałił na podłogę koło pękatego pieca naręcze drewnianych szczap, podszedł do niego i powiedział:– Miałbym dla pana pewną propozycję, panie Halleck.

Po południu w dniu egzaminu w klinice internistycznej zjawili się również doktor McGowan i doktor Berwyn, powiększając jeszcze zdenerwowanie Szamana. Doktor Meigs egzaminował studentów w kolejności alfabetycznej. Szaman miał wystąpić jako trzeci, po Allardzie i Bronsonie. Israel Allard otrzymał nietrudne zadanie: miał zbadać młodą kobietę z bólami krzyża, której serce biło mocno, regularnie i czysto. Clarkowi Bronsonowi przypadł cierpiący na astmę mężczyzna w starszym już wieku. Zacinając się Bronson opisał szmery oddechowe, jakich dosłuchał się w piersiach

chorego. Meigs musiał mu zadać kilka naprowadzających pytań, nim wyciągnął zeń to, co chciał usłyszeć, był jednak pod koniec wyraźnie zadowolony.

– Panie Cole?

Oczekiwał najwidoczniej, że Szaman odmówi wzięcia udziału w badaniu. Ten podszedł jednak i wziął do ręki jednouszny drewniany stetoskop. Zerknął na Jima Hallecka; sanitariusz wstał ze swego miejsca i podszedł do niego. Jako pacjent przypadł Szamanowi krzepko zbudowany szesnastolatek, który skaleczył się w rękę w warsztacie stolarskim. Halleck przyłożył jeden koniec stetoskopu do jego piersi, a do drugiego przytknął własne ucho, Szaman ujął zaś rękę chłopaka i zmacał tętno.

– Uderzenia serca pacjenta normalne i regularne.

Częstotliwość siedemdziesiąt osiem uderzeń na minutę – powiedział pochwili. Spojrzył pytająco na sanitariusza, a ten pokręcił lekko głową. – Żadnych szmerów.

– Co to ma znaczyć... co to za szopka? – uniósł się doktor Meigs. – Co tutaj robi Jim Halleck?

– Pan Halleck służy mi jako moje uszy, sir – odparł Szaman i miał nieszczęście spostrzec roześmiane gęby paru studentów.

Doktor Meigs nie uśmiechnął się jednak.

– Rozumiem. Jako pańskie uszy. Czy ma pan zamiar poślubić Jima Hallecka, panie Cole? I zabrać go ze sobą na resztę życia tam, gdzie otworzy pan praktykę?

– Nie, sir.

– A więc ma pan zamiar prosić inne osoby, żeby zastępowały panu uszy?

– Niewykluczone, że czasami tak.

– A jeśli w swojej praktyce lekarskiej zetknie się pan z chorym, który będzie potrzebował pańskiej pomocy, a pan tymczasem będzie z pacjentem zupełnie sam, tylko pan i on, co wtedy?

– Częstotliwość uderzeń serca mogę odczytać z tętna. – Szaman dotknął dwoma palcami tętnicy szyjnej pacjenta. – I określić, czy bije normalnie, mocno czy słabo. – Rozstawił palce i położył dłoń na klatce piersiowej chłopca. – Mogę również wyczuć częstotliwość oddechu. Obejrzeć skórę, dotknąć ją, by sprawdzić, czy jest gorąca czy zimna, wilgotna czy sucha. Mogę zbadać oczy pacjenta. Jeśli jest przytomny, mogę go zapytać o samopoczucie. Zawsze też mogę zbadać konsystencję jego plwociny, kolor i woń moczu, a nawet smak, jeżeli będę musiał. – Zerknąwszy na oblicze profesora uprzedził jego zastrzeżenia, zanim ten je zgłosił. – Ale nigdy nie będę w stanie usłyszeć szmerów w jego piersiach.

– Istotnie.

– Szmary nie będą dla mnie sygnałem ostrzegawczym.

Kiedy zauważę pierwsze objawy nieżyty krtani, będę wiedział, że gdybym nie był głuchy, usłyszałbym zapewne w piersiach takiego chorego trzeszczenie. Jeśli pacjent będzie miał zaawansowany krup, będę widział, że ma objawy rżenia wilgotnego. Chory na astmę lub zapalenie oskrzeli będzie miał oddech świszczący. Ale nie będę w stanie uzyskać potwierdzenia tej wiedzy. – Urwał i spojrzał na doktora Meigsa. – Nic nie poradzę na moją głuchotę. Natura pozbawiła mnie jednego z cennych narzędzi diagnostycznych, ale pozostawiła mi inne.

W nagłych wypadkach zaopiekuję się pacjentem, posiłkując się w tym celu wzrokiem, węchem, smakiem, dotykiem i rozumem.



Nie była to unizona odpowiedź, jaką doktor Meigs skłonny byłby tolerować u studenta pierwszego roku, toteż na jego twarzy odmalował się wyraz irytacji. Doktor McGowan podszedł, pochylił się nad nim i coś mu szepnął do ucha.

Doktor Meigs ponownie spojrzął na Szamana.

– Zasugerowano mi, byśmy wzięli pana za słowo i dali mu do zdiagnozowania pacjenta bez użycia stetoskopu. Byłbym skłonny na to przystać, jeśli się pan zgodzi.

Szaman potaknął głową, choć serce podskoczyło mu do gardła.

Profesor zaprowadził zebranych na sąsiedni oddział i zatrzymał się przed łóżkiem pacjenta o nazwisku, jak informowała karta w nogach łóżka, Arthur Herrenshaw.

Szaman poznał od razu po oczach chorego, że jego stan jest krytyczny.

Ściągnął zeń prześcieradło i koc i podniósł koszulę. Pacjent sprawiał wrażenie niezwykle otyłego, gdy jednak Szaman położył na nim dłoń, okazało się, że jego ciało przypomina w dotyku wyrośnięte ciasto. Całe, od szyi, na której pulsowały rozszerzone żyły, po bezkształtne kostki stóp, było obrzmiałe.

Wyteżony oddech unosił pierś Arthura Herrenshawa.

– Jak się pan czuje, panie Herrenshaw?

Musiał głośniejszym głosem powtórzyć pytanie, pacjent pokręcił bowiem głową, że nie dosłyszał.

– Ile pan ma lat?

– .. .edziesiąt... wa. – między jedną a drugą sylabą chwycił powietrze haustami jak człowiek zmęczony długim biegiem.

– Czy coś pana boli, panie Herrenshaw?... Proszę pana? Czy coś pana boli?

– Aaa!... – Chory położył rękę na mostku. Szaman zauważył, że wyprężył się cały, jak gdyby usiłował się podnieść.

– Chciałby pan usiąść? – Pomógł mu to zrobić, podkładając pod plecy poduszkę.

Herrenshaw pocił się obficie, a równocześnie wstrząsały nim dreszcze. Jedynym grzejnikiem na oddziale była przebiegająca pod sufitem gruba żeliwna rura od piecyka na drewno. Szaman okrył kocem ramiona pacjenta. Wyjął zegarek. Dotknąwszy puls chorego, odniósł wrażenie, że wskazówka sekundnikazwolniła nagle bieg. Puls był płytki, nitkowaty i niebywale przyspieszony, niczym przebiegające szybciotko w rozpaczliwej ucieczce przed drapieżnikiem łapki jakiegoś małego zwierzątka. Szaman ledwo nadążał z liczeniem.

Zwierzątko zwolniło, przystanęło, wykonało kilka leniwych podskoków, po czym rzuciło się znowu do panicznej ucieczki.

Szaman zdawał sobie sprawę, że doktor Meigs posłużyłby się w tym momencie stetoskopem. Potrafił sobie wyobrazić, jak wymownie tragiczne odgłosy byłby usłyszał; odgłosy, jakie wydaje człowiek, który tonie we własnych płynach ustrojowych.

Ujął obie dłonie chorego. Wiadomość, jaką od nich otrzymał, przygnębiła go i zasmuciła. Mimowolnie dotknął bezwładnego ramienia pacjenta, nim odszedł od jego łóżka.

Wrócili do gabinetu, by wysłuchać diagnozy Szamana.

– Nie wiem, co spowodowało gromadzenie się płynów w jego organizmie. Jestem za mało doświadczony, żeby to zrozumieć.

Tętno pacjenta jest płytkie i nitkowate. Niemiarowe. Jego serce niedomaga, uderza w momentach przyspieszenia sto trzydzieści dwa razy na minutę. – Spojrzał na Meigsa. W ciągu kilku ostatnich lat

pomagałem ojcu podczas sekcji zwłok dwóch mężczyzn i jednej kobiety, którzy umarli na serce. U wszystkich trojga mały fragment ściany serca był obumarły. Tkanka sprawiała wrażenie spalonej, jakby ją przyżgnięto rozżarzoną węglą.

– Co by pan zalecił?

– Postarałbym się, żeby miał ciepło. Podałbym mu środki nasenne. Za kilka godzin umrze, więc powinno się oszczędzać mu cierpień... – Natychmiast pojął, że powiedział za dużo, ale nie mógł już cofnąć tych słów.

Meigs aż podskoczył.

– A skąd pan to niby wie?

– Wyczułem – odrzekł Szaman przyciszonym głosem.

– Co takiego? Proszę głośniej, panie Cole, tak, żeby klasa pana słyszała.

– Wyczułem to, sir.

– Nie posiada pan dostatecznego doświadczenia, żeby wiedzieć cokolwiek o płynach ustrojowych, ale potrafi pan wyczuć zbliżającą się śmierć – stwierdził kąśliwie profesor.

Popatrzył na klasę. – Lekcja, jaka stąd płynie, panowie, jest jasna. Dopóki w pacjencie tli się choć iszka życia, nie wolno nam nigdy – nie wolno wam nigdy! – skazywać go na śmierć.

Naszym zadaniem, do ostatniej chwili, jest walczyć o uratowanie mu życia. Zrozumiał pan, panie Cole?

– Tak, sir – odrzekł znękanym głosem Szaman.

– Może pan siadać.

Szaman zaprosił Jima Hallecka na kolację do położonej nad rzeką knajpy, której podłoga była wysypana trocinami. Zjedli tam gotowaną wieprzowinę z kapustą i wypili po trzy kufle gorzkiego

ciemnego piwa. Nie była to kolacja zwycięzców. Żaden z nich nie czuł się zbyt dobrze po tym, co zaszło. Zgodziwszy się, że z Meigsa istny utrapieniec, nie znaleźli już wspólnych tematów do rozmowy, więc zaraz po kolacji Szaman podziękował Halleckowi i zapłacił mu za pomoc, dzięki czemu ten mógł wrócić do domu, do żony i czworga dzieci, o tych kilka dolarów bogatszy niż gdy ich rano opuszczał.

Szaman został w knajpie i dalej raczył się piwem.

Nie zamierzał się trapić szkodliwym wpływem alkoholu na Dar Cole'ów, nie spodziewał się już bowiem, aby ów Dar miał kiedykolwiek odegrać ważną rolę w jego życiu.

Wrócił do bursy, starając się nie zaprzętać sobie niepotrzebnie głowy żadnymi innymi sprawami poza koniecznością ostrożnego stawiania jednej stopy przed drugą. Zaledwie zaś dobrnął do pokoju 2B, tak jak stał, wdrapał się na łóżko.

Rano poznał następny powód, dla którego lepiej unikać trunków: bolała go głowa, co było słuszną karą, i wszystkie kości twarzy. Długo mył się i przebierał; szedł właśnie pomalutku na spóźnione śniadanie, gdy do szpitalnej stołówki wpadł student pierwszego roku o nazwisku Rogers.

– Doktor McGowan każe, żebyś natychmiast przyszedł do laboratorium.

Gdy Szaman dowlóknął się do nakrytego niskim sufitem prosektorium w piwnicy, Berwyn i McGowan już tam na niego czekali. Na stole leżały zwłoki Arthura Herrenshawa.

– Czekamy na pana – oznajmił doktor McGowan z irytacją, jakby Szaman przyszedł spóźniony na umówione spotkanie.

– Przepraszam, sir – wybąkał, nie wiedząc, co dalej mówić.

– Czy mógłby pan otworzyć zwłoki? – zapytał McGowan. Szaman jeszcze nigdy nie otwierał zwłok, dostatecznie często przyglądał się jednak, jak zabiera się do tego ojciec, skinął więc głową i doktor McGowan wręczył mu skalpel. Młodzieniec miał świadomość, że obaj lekarze przyglądają się uważnie, jak rozcina klatkę piersiową. Doktor McGowan osobiście przeciął nożycami żebra, a gdy Szaman wyjął mostek, patolog pochylił się nad sercem, po czym wyciągnął rękę i uniósł je nieco, tak by doktor Berwyn i Szaman mogli zobaczyć koliste, powstałe jakby na skutek przyżegania uszkodzenie ściany mięśnia sercowego Herrenshawa.

– Powinien pan wiedzieć – pouczył Szamana doktor Berwyn – że niewydolność zdarza się czasem wewnątrz serca, nie uwidacznia się więc na jego ścianie.

Szaman skinął głową na znak, że rozumie.

McGowan odwrócił się do doktora Berwyna i coś do niego powiedział, na co tamten parsknął śmiechem. Doktor McGowan popatrzył następnie na Szamana. Jego twarz sprawiała wrażenie pozszywanej z oddzielnych kawałków skóry; Szaman oglądał ją po raz pierwszy rozjaśnioną uśmiechem.

– Powiedziałem do pana doktora: „Niech pan idzie i sprowadzi mi tu zaraz więcej takich głuchych” – poinformował go McGowan.

Każdego dnia tej szarej jak łupek wiosny narodowej tragedii przed redakcją wychodzącego w Cincinnati pisma „Commerdal” zbierały się niespokojne tłumy, żeby odczytywać wypisywane kredą na tablicy komunikaty wojenne. Prezydent Lincoln wydał Departamentowi Marynarki Wojennej rozkaz blokady wszystkich portów konfederackich i wzywał mężczyzn ze stanów Północy pod broń. Wszędzie mówiło się tylko o wojnie, snuto najprzeróżniejsze domysły.

Głównodowodzący wojsk Unii, generał Winfield Scott – Południowiec, który popierał Stany Zjednoczone – był już starym i zmęczonym człowiekiem. Jeden z pacjentów na oddziale ogólnym podzielił się z Szamanem plotką, że Lincoln zwrócił się z propozycją objęcia komendy nad wojskami Unii do pułkownika Roberta E.

Lee. Kilka dni później gazety doniosły jednak, że Lee zrezygnował z federalnego dowództwa, gdyż wolał walczyć po stronie Południa.

Przed końcem semestru ponad tuzin studentów, przeważnie takich, co napotykali kłopoty w nauce, porzuciło akademię, by zaciągnąć się do wojska jednej lub drugiej strony. Był wśród nich i Ruel Torrington, który pozostawił po sobie dwie opróżnione szuflady w komodzie, przesiąknięte smrodem nigdy nie pranej bielizny. Inni studenci zapowiadali, że zaciągną się do armii po zakończeniu semestru. Doktor Berwyn zwołał w maju zebranie studentów i oznajmił, że rada pedagogiczna rozważała ewentualność zamknięcia uczelni na czas wojny, po głębokim jednak namyśle postanowiła kontynuować nauczanie. Zachęcał studentów, żeby nie odchodzili ze szkoły.

– Lekarze staną się wkrótce potrzebni bardziej niż kiedykolwiek dotąd, tak w armii, jak i wśród ludności cywilnej.

Profesor Berwyn miał im wszelako do przekazania niepomyślnie raczej nowiny. Ponieważ pracownicy naukowcy byli opłacani z przychodów z czesnego, a napływ kandydatów do akademii zmalał, niezbędne się stało podniesienie jego wysokości. Dla Szamana oznaczało to konieczność poniesienia wydatków, których nie przewidywał. Skoro jednak nie dopuścił, by na drodze do tytułu doktora medycyny stanęła mu głuchota, uznał, że nie może pokrzyżować mu tych planów również tak błaha przeszkoda jak niedostatek pieniędzy.

Zaprzyjaźnił się z Paulem Cookiem. W sprawach dotyczących nauki i medycyny przewodnikiem i doradcą był Szaman, w pozostałych prym wodził Cooke. To on nauczył Cole'a jadać w restauracjach i chodzić do teatru. Któregoś dnia, przejęci nabożnym niemal wzruszeniem, wybrali się do opery, żeby obejrzeć Edwina Thomasa Bootha w roli Ryszarda III. Gmach opery mieścił trzy piętra łóż, trzy tysiące miejsc siedzących i tysiąc stojących. Nawet wszelako miejsca w ósmym rzędzie, które udało się Cooke'owi wycyganić w kasie, nie pozwoliłyby Szamanowi zrozumieć sztuki, gdyby wcześniej, jeszcze w college'u, nie przeczytał całego Szekspira, a przed samym przedstawieniem jeszcze raz tego dramatu. Znając przebieg akcji i treść monologów, mógł rozkoszować się w pełni nowym doświadczeniem.

Pewnego sobotniego wieczoru Cooke zaprowadził przyjaciela do burdelu, gdzie milkliwa kobieta zabrała Szamana do swojego pokoju i szybko go obsłużyła. Z jej twarzy nie schodził przyklejony uśmiech, nie odezwała się zaś do swojego klienta anijednym prawie

słowem. Szaman nigdy nie odczuwał ochoty, żeby tam wrócić, chociaż nie zaspokojony popęd płciowy – był wszak normalnym, zdrowym mężczyzną – dawał mu się czasem we znaki.

Pewnego dnia, gdy pełnił dyżur w szpitalnym ambulansie, wezwano go do fabryki świec P. L. Trenta, zatrudniającej kobiety i dzieci. Wzający воск chlusnął na nogę trzynastoletniego chłopca. Zabrali go zaraz do szpitala, a z nim dziewczynę o brzoskwiniowej cerze i czarnych włosach.

Poświęciła swój godzinowy zarobek, żeby dotrzymać towarzystwa poparzonemu chłopcu, który jak się okazało, był jej kuzynem. Szaman ujrzął ją ponownie w czwartkowy wieczór, wtedy bowiem przypadała pora odwiedzin na oddziałach dobroczynności. Ponieważ i inni krewni poparzonego chłopca chcieli się z nim zobaczyć, jej wizyta nie trwała długo, Szaman miał więc okazję zamienić z nią kilka słów. Nazywała się Hazel Mehille. Choć prawdę mówiąc nie było go na to stać, zaprosił ją na kolację w następną niedzielę.

Próbowała udawać zaskoczenie, ale w końcu uśmiechnęła się z zadowoleniem i kiwnęła głową.

Mieszkała w zasięgu pieszego spaceru od szpitala, na drugim piętrze kamienicy bardzo podobnej do bursy akademii medycznej. Jej matka już nie żyła. Ojciec Hazel, czerwony na obliczu urzędnik sądu miejskiego w Cincinnati, obrzucił kawalera córki nieprzyjaznym spojrzeniem, nie potrafił bowiem ustalić, co w nim jest takiego dziwnego. Uświadomiło to Szamanowi w całej jaskrawości, jak ludzie reagują na jego gardłową wymowę.

Gdyby dzień był cieplejszy, zabrałby Hazel na przejażdżkę łódką po rzece. Od wody wiał zimny wiatr, ale ubrani byli w ciepłe palta,



więc spacerowało im się przyjemnie. W dogasającym świetle dnia oglądali wystawy sklepowe. Szaman uznał, że dziewczyna jest bardzo ładna, z wyjątkiem może warg, które miała cienkie i surowe, z wyrzeźbionymi w kącikach ust pionowymi zmarszczkami ciągłego niezadowolenia. Wiadomość, że jej kawaler jest głuchy, wstrząsnęła nią mocno. Kiedy wyjaśniał, na czym polega czytanie z ust, na jej twarzy błąkał się powątpiewający uśmieszek.

Mimo to przyjemnie mu się rozmawiało z kobietą, która nie była ani chora, ani ranna. Wyjawiała, że wytapianiem świec zajmuje się od roku i nie cierpi tego zajęcia, lecz innej pracy dla kobiet nie ma. Opowiedziała mu z rozzaleniem, że jej dwaj starsikuzyni poszli do pracy za dobrą zapłatę do fabryki Wellsi Spółka.

– Wells i Spółka dostali zamówienie od milicji stanowej Indiany na odlanie dziesięciu tysięcy baryłek ołowianych kul do muszkietów. Ach, żeby tak zatrudniali tam kobiety! Kolację zjedli w małej restauracyjce, którą polecił mu Cooke, kierując się w wyborze tym, że była niedroga i miała dobre oświetlenie, Szaman mógł zatem widzieć usta Hazel i rozumieć, co do niego mówi. Dziewczyna wydawała się zadowolona, choć w ostrych słowach kazała kelnerowi zabrać bułeczki uznawszy, że nie są dość gorące. Kiedy Szaman odprowadził ją do domu, okazało się, że jej ojciec jeszcze nie wrócił. Bez sprzeciwu pozwoliła się pocałować, oddała pocałunek tak ochoczo, że idąc za naturalnym rozwojem wydarzeń zaczął ją obmacywać przez ubranie, co skończyło się miłosnymi zmaganiem na niewygodnej kozetce ozdobionej frędzlą. Bojąc się, że ojciec może lada chwila wrócić, Hazel nie zgasła lampy i nie rozebrała się, podciągnęła jedynie do pasa spódnicę i halkę. Woń jej

kobiecego ciała była przepojona zapachem mirtowego wosku z parafiny, w której przez sześć dni w tygodniu maczała knoty.

Szaman wziął ją gwałtownie i na chybcika, nie mając z tego żadnej przyjemności. Myślał tylko o groźbie nagłego powrotu do domu rozwścieczonego urzędnika sądowego. Stosunek z Hazel był pozbawiony osobistego zaangażowania jak z tamtą dziewczką w burdelu.

Przez następne siedem tygodni Szaman nawet o niej nie pomyślał, pewnego wszakże popołudnia, przypilony znajomym popędem, zaszedł do wytwórni świec Trenta i poszukał dziewczyny. Powietrze w hali fabrycznej było gorące od tłuszczu i przepojone skoncentrowanym zapachem mirtowego wosku. Hazel Mehille zeżliła się na jego widok.

– Nie wolno nam tutaj przyjmować gości! Chcesz, żebyśmy wyrzucili?

– Zanim odszedł, poinformowała go jednak spieszenie, że nie może się z nim więcej widywać, ponieważ w czasie owych tygodni, gdy on nie dawał znaku życia, przyrzeczono jej rękę innemu, dawnemu znajomemu. To człowiek na stanowisku, buchalter w pewnej firmie, pochwaliła się, nie próbując nawet ukryć zadowolenia.

Uciech cielesnych kosztował w ogóle mniej, niż się był spodziewał, ponieważ wszystkie pragnienia i żądze, nadziejei przyjemności, całą energię i wszystkie moce wyobraźni poświęcił studiom medycznym. Cooke stwierdzał ze szczerą zazdrością, że Cole jest wręcz stworzonym studentem medycyny, i Szaman w duchu przyznawał mu słuszność. Całe życie czekał wszak na to, co odnalazł tu, w Cincinnati.

W połowie semestru jał zachodzić do prosektorium w każdej wolnej chwili, czasem sam, częściej jednak z Cookiem lub Billym Henriedem, którym pomagał doskonalić technikę posługiwania się narzędziami, bądź po to po prostu, aby unaocznić sobie co bardziej złożone zagadnienia, z jakimi zetknął się w podręczniku albo na wykładzie. Już na początku kursu anatomii i fizjologii doktor McGowan zaczął się zwracać do Szamana z prośbą, by zechciał pomagać tym studentom, którzy nie dają sobie rady z nauką. Z pozostałych przedmiotów miał również celujące oceny i nawet doktor Meigs, mijając go na korytarzu odkłaniał mu się uprzejmie.

Otoczenie przywykło do jego odmienności. Zdarzało się czasem podczas wykładów lub na zajęciach laboratoryjnych, gdy się bardzo skupił, że wracał do dawnego niedobrego zwyczaju bezwiednego wydawania pomruków. Pewnego razu doktor Berwyn przerwał wykład i powiedział: „Niechże pan wreszcie przestanie chrząkać, panie Cole”. Inni studenci zrazu chichotali, wnet jednak nauczyli się trącać go w ramię i napominać spojrzeniem, by ucichł. Nie drażniło go to. Miał do nich zaufanie.

Lubił włóczyć się samotnie po szpitalu. Pewnego dnia któraś z pacjentek zaczęła się skarżyć, że przeszedł obok jej łóżka nie zwracając na nią uwagi, choć go kilkakroć wołała po imieniu. Po tym doświadczeniu, chcąc udowodnić sobie, że przez jego kalectwo nie muszą cierpieć chorzy, nabrał zwyczaju zatrzymywania się na chwilę przy każdym łóżku, ujmowania rąk pacjentów i zamieniania z nimi szeptem choćby paru słów.

Widmo statusu studenta warunkowego przestało nad nim wisieć raz na zawsze, gdy pewnego dnia doktor McGowan zaproponował mu pracę w szpitalu w lipcu i w sierpniu, w porze studenckich

wakacji. Wyznał mu przy tym szczerze, że on i doktor Berwyn mieli zamiar rywalizować o jego usługi, postanowili jednak w końcu podzielić się nim.

– Spędziłby pan lato pracując dla nas obu. Z rana wykonywałby pan brudną robotę w operacyjnym teatrze Berwyna, a popołudniami pomagałby mi pan ustalać przy stole sekcyjnym, jakie Berwyn popełnił błędy.

Szaman pojął w lot, że otwiera się przed nim wymarzona szansa, niewielka pensja pozwoliłaby mu zaś ponadto zrekompensować podwyżkę czesnego.

– Co do mnie bardzo chętnie – powiedział. – Ale ojciec spodziewa się, że pomogę mu latem w pracach na farmie. Będę musiał napisać i prosić go o zgodę na pozostanie tutaj.

Barney McGowan uśmiechnął się.

– Ach, co tam farma!... – rzekł lekceważąco. – Przewiduję, że nie wróci pan już do gospodarki, młodzieńcze. Pański ojciec jest wiejskim lekarzem w Illinois, nieprawdaż? Miałem już pana o to wcześniej zapytać. Kilka lat przede mną był w szpitalu uniwersyteckim w Edynburgu ktoś o tym samym nazwisku co pańskie.

– To właśnie mój ojciec. Opowiada dokładnie tę samą anegdotkę, którą pan opowiedział w naszej grupie na zajęciach z anatomii, przywołując porównanie, jakiego używał sir William Fergusson, gdy opisywał zwłoki jako dom, z którego wyprowadził się właściciel.

– Pamiętam, że pan się wtedy uśmiechnął. Pojmuję teraz dlaczego. – McGowan przyjrzał mu się badawczo spod zmrużonych

powiek. – Nie wie pan przypadkiem, dlaczego... hm... pański ojciec opuścił Szkocję?

Szaman zmiarkował, że McGowan usiłuje być dyskretny.

– Wiem. Opowiadał mi o tym. Narobił sobie kłopotów politycznych. Omal nie zesłano go do Australii.

– Pamiętam. – McGowan pokiwał głową. – Podawano nam jego przykład jako przestrozę.

Wszyscy w szpitalu o nim słyszeli. Był pupilem sir Williama Fergussona, otwierała się przed nim wspaniała przyszłość. A oto teraz jest wiejskim lekarzem. Jaka szkoda!

– Nie widzę powodu, żeby go żałować. – Szaman zwalczył w sobie gniew i obrócił go w uśmiech.

– Mój ojciec jest wspaniałym człowiekiem – rzekł, konstatuując ze zdumieniem, że to prawda.

Opowiedział McGowanowi o Robię J., o jego współpracy z Oliverem Wendellem Holmesem w Bostonie, o wyprawie przez pół kraju, o tym, jak był lekarzem w obozach leśnych drwali i na budowie kolei. A także o tym, jak jego ojciec przepłynął jednego dnia na koniu dwie rzeki i spory potok, by dotrzeć do pewnej lepianki, gdzie przyjął poród bliźniąt. Opowiedział, jak operował w kuchniach domów zagubionych wśród prerii, jak przeprowadzał zabiegi chirurgiczne na stołach wyniesionych z brudnych chat i wystawionych na słońce. Opowiedział, jak go porwali bandyci i kazali pod lufą rewolweru wyjmować kulę z rany postrzelonego kompana. Oraz o tym, jak wracając kiedyś do domu nocą w trzydziestostopniowy mróz ocalił życie: chwyciwszy się ogona Bossa, biegnąc za nim, żeby się rozgrzać. Barney McGowan uśmiechnął się.

– Ma pan rację – przyznał. – Pański ojciec jest wspaniałym człowiekiem. I szczęśliwym ojcem, że ma takiego syna.

– Dziękuję, sir. – Szaman zabierał się już do odejścia, lecz odwrócił się jeszcze. – Panie doktorze, mój ojciec przeprowadzał kiedyś sekcję zwłok kobiety, która została zamordowana jedenastoma ciosami w pierś zadanymi ostrym narzędziem o trójkątnym przekroju, którego wszystkie trzy ostrza, szerokości około dziewięciu i pół milimetra, były ostre jak brzytwa. Jak pan sądzi, jakim narzędziem można było zadać tego rodzaju rany?

Patolog zastanawiał się nad tym przez chwilę, szczerze zaintrygowany.

– Mogło to być jakieś narzędzie medyczne. Na przykład lancet Beera, skalpel o trzech ostrzach, używany do operowania katarakty i wycinania uszkodzeń rogówki... Ale opisane przez pana rany były zbyt rozległe; nie mogły zostać zadane lancetem Beera. Może jakimś rodzajem skalpela? Czy krawędzie ran były jednakowej długości?

– Nie. Narzędzie, cokolwiek nim było, musiało się zwęzić ku końcowi.

– Nie znam takiego skalpela. Ran nie zadano prawdopodobnie żadnym narzędziem medycznym.

Szaman się zawahał.

– A czy mogły zostać zadane narzędziem używanym zwykle przez kobiety?

– Drutami do robótek lub czymś podobnym, sugeruje pan? To oczywiście możliwe, ale nie przychodzą mi do głowy żadne przybory z wyposażenia pań domu, które mogłyby spowodować podobne rany. – McGowan się uśmiechnął – Pozwoli pan, że

zastanowię się nad tym w wolnej chwili? Jeszcze do tego tematu wrócimy... – Pisząc do ojca – zakończył – proszę mu złożyć wyrazy uszanowania od młodszego kolegi, który studiował u Williama Fergussona kilka lat po nim.

Szaman obiecał spełnić jego życzenie.

Odpowiedź ojca dotarła do Cincinnati dopiero na osiem dni przed końcem semestru, w porę jednak, by Szaman mógł jeszcze przyjąć na lato posadę w szpitalu.

Rob J. nie przypominał sobie doktora McGowana, mimo to wyraził zadowolenie, że jego syn studiuje anatomopatologię u Szkota, który uczył się sztuki przeprowadzania autopsji u Williama Fergussona. Wyrażając zgodę na pracę Szamana w szpitalu prosił go jednocześnie, aby przekazał profesorowi wyrazy uszanowania.

list był ciepły, ale krótki. Szaman wywnioskował z rzeczowego tonu, że ojciec pisał go w nastroju melancholijnym. Nie wspominał ani słowem o miejscu pobytu Alexa ani czy Duży jest bezpieczny, donosił tylko, że po każdej nowej bitwie ich matkę ogarnia coraz większa trwoga.

---

## 48 Wyprawa rzeką

---

Nie uszło uwagi Roba J., że zarówno Jefferson Davis, jak i Abraham Lincoln zostali znanymi przywódcami dzięki udziałowi w

rozgromieniu plemienia Sauk w wojnie z Czarnym Jastrzębiem. Davis osobiście, jako młody jeszcze porucznik, przewiózł Czarnego Jastrzębia i czarownika Białą Chmurę z Fortu Crawford w dół Missisipi do Jefferson Barracks, gdzie ich zakuto w obciążone kulami łańcuchy. Lincoln walczył z Saukami w szeregach milicji, najpierw jako szeregowiec, potem kapitan. Obecnie zaś każdy z nich brał do siebie tytuł „panie prezydencie” i stał na czele połowy amerykańskiego narodu w walce przeciwko drugiej jego połowie.

Rob J. miał nadzieję, że ten zwariowany świat zostawi go w spokoju, okazało się jednak, że oczekiwał zbyt wiele.

Wojna trwała już od sześciu tygodni, kiedy odwiedził go w Holden's Crossing Stephen Hume. Były kongresmen wyznał mu otwarcie, że użył swych wpływów, aby uzyskać nominację na pułkownika armii Stanów Zjednoczonych.

Wziął urlop z posady radcy prawnego kompanii kolejowej w Rock Island i organizuje 102. Ochotniczy Pułk Illinois.

Przyjechał specjalnie po to, żeby zaproponować doktorowi Cole'owi stanowisko lekarza pułkowego.

– To nie dla mnie, Stephen.

– Jest czymś godziwym, doktorze, występować przeciwko wojnie jako takiej. Ale my mamy konkretne i słuszne powody, żeby tę wojnę prowadzić.

– Nie wydaje mi się, żeby zabicie iluś tam setek ludzi mogło zmienić czyjekolwiek poglądy na kwestie niewolnictwa bądź wolnego handlu. Poza tym przydałby się panu ktoś młodszy i szczuplejszy. Ja jestem już czterdziestoczteroletnim panem z brzuszkiem.



Rzeczywiście sporo przytył. Kiedy przechowywał w tajnym loszku zbiegłych niewolników, nabrał zwyczaju pakowania do kieszeni, ilekroć przechodził przez kuchnię, wszystkiego, co się nadawało do jedzenia – a to pieczone pochrzyny, a to kawałek smażonego kurczaka, a to kilka słodkich bułek – aby mieć czym karmić czarnych uciekinierów. Obecnie nadal podkradał żywność, lecz zjadał ją już sam, dla poprawienia nastroju, jadąc wierzchem do swoich pacjentów.

– Och, nada mi się pan doskonale, gruby czy chudy, zręczliwy czy miły – zażartował Hume. – Więcej panu powiem: w tej chwili w całej tej przeklętej armii naliczy pan wszystkiego dziewięćdziesięciu lekarzy w stopniu oficerskim. Otwierają się przed panem piękne perspektywy. Zaciągnie się pan jako kapitan i ani się pan obejrzy, a już będzie majorem. Taki lekarz jak pan powinien szybko awansować.

Rob J. pokręcił głową. Lubił Stephena Hume'a, wyciągnął więc do niego rękę.

– Życzę szczęśliwego powrotu, pułkowniku.

Hume uśmiechnął się z przymusem i skłonił głowę. Parę dni później Rob J. dowiedział się w sklepie, że lekarzem 102 pułku mianowano Toma Beckermanna.

Przez trzy miesiące obie strony właściwie bawiły się w wojnę, ale w lipcu stało się jasne, że w powietrzu wisi starcie na ogromną skalę. Wielu było nadal przekonanych, że zatarg szybko się zakończy, lecz ta pierwsza bitwa stała się wstrząsem dla całego kraju. Rob J. wczytywał się w gazetowe doniesienia równie chciwie jak zwolennicy wojny.

Ponad trzydzieści tysięcy żołnierzy Unii pod generałem Irvinem McDowellem stanęło naprzeciwko dwudziestotysięcznej armii konfederatów dowodzonej przez generała Pierre'a G. T. Beauregarda pod Manassas w Wirginii, dwadzieścia pięć mil na południe od Waszyngtonu. Dodatkowo mniej więcej jednaście tysięcy konfederatów stało w dolinie Shenandoah pod generałem Josephem E. Johnstonem, mając naprzeciwko armię Unii w sile czternastu tysięcy, dowodzoną przez generała Roberta Pattersona. Spodziewając się, że Patterson zwiąże siły Johnstona, 21 lipca McDowell wyprowadził swoje oddziały przeciwko południowcom w pobliżu brodu Sudley na strumieniu Buli Run.

Nie był to wszelako szturm przez zaskoczenie.

Na krótko przed atakiem McDowella Johnston oderwał się od Pattersona i połączył siły z wojskiem Beauregarda.

Plany bitewne Północy były tajemnicą poliszynela. Kongresmeni i urzędnicy służb państwowych z małżonkami i dziećmi wyjechali z Waszyngtonu w dwukółkach i bryczkach do Manassas, gdzie spożyli wykwintne piknikowe prowianty i przygotowali się na widowisko, niczym na słynne wyścigi szybkobiegaczy. Armia wynajęła dziesiątki cywilnych woźniców; wraz z zaprzęgami i wozami mieli czekać w pogotowiu na wypadek, gdyby jednakowoż padli jacyś ranni. Wielu z powożących tymi ambulansami zaopatrzyło się na drogę w whisky.

Na oczach zachwyconych widzów oddziały McDowella skoczyły na połączone siły konfederatów. Większość żołnierzy po obydwu stronach stanowili nie wyćwiczeni nowicjusze, którzy walczyli co prawda z zapałem, lecz bez znajomości reguł wojennego rzemiosła. Żołnierze pospolitego ruszenia konfederatów ustąpili na kilka mil,

ale potem stanęli murem, pozwalając wojskom Północy zużyć siły w kilku zażartych atakach. Dopiero wtedy Beauregard dał rozkaz do kontruderzenia. Wyniszczone już oddziały Unii podały tyły. Ich odwrót zmienił się niebawem w paniczną ucieczkę.

Nie takiej bitwy oczekiwali widzowie. Palba wystrzałów, huk artylerii, krzyki rannych – wszystko to były odgłosy okropne. Widoki zaś okazały się jeszcze potworniejsze. Zamiast oglądać zawody sportowe, publiczność musiała patrzeć, jak ze zdrowych ludzi robi się wybebeszone, ogłowione i pozbawione kończyn strzępy. Tysiące zostały na pobojuwisku. Niektórzy z cywilów mdleli, inni płakali. Wszyscy próbowali uciec, ale wybuch pocisku strzaskał wóz i zabił konia, tarasując główną drogę odwrotu. Większość ogarniętych trwogą woźniców ambulansów – zarówno tych pijanych, jak i trzeźwych – odjechała pustymi wozami. Nieliczni, którzy usiłowali zbierać rannych, utknęli w gąszczu cywilnych powozów i stojących dęba koni. Ciężko ranni pozostali na pobojuwisku, gdzie krzyczeli o pomoc, póki nie wyzionęli ducha. Lżej ranni, którzy mogli wlec się jakoś o własnych siłach, po kilku dniach dotarli do Waszyngtonu.

Zwycięstwo konfederatów wlało świeży zapach w serca stronników Południa z Holden's Crossing. Rob J. był bardziej przybity zbrodniczym porzuceniem ofiar niż samą klęską.

Wczesną jesienią rozeszły się pogłoski, że bitwa nad Buli Run kosztowała pięć tysięcy poległych, rannych lub zaginionych; wielu rannych straciło życie, ponieważ nikt się o nich nie zatroszczył.

Pewnego wieczoru Rob i Jay Geiger siedzieli w kuchni Cole'ów, starając się unikać rozmowy o bitwie. Wiedli kulejącą pogawędkę na temat nowiny, że kuzyn Lillian Geiger, Juda P. Benjamin, został

mianowany sekretarzem wojny Konfederacji. Zgadźli się jednak obaj całkowicie co do tego, że jest podłością i głupotą, kiedy armia nie ratuje swoich rannych.

– Jakkolwiek to trudne – powiedział Jay – nie wolno nam dopuścić, żeby ta wojna położyła kres naszej przyjaźni.

– Masz rację. Oczywiście, że nie! – Kresu może jej i nie położy, pomyślał Rob J., ale dość już ją nadwerżyła i popsuła. Zdumiał się, kiedy Geiger, zbierając się do odejścia, objął go niczym kochanek.

– Twój bliscy są mi równie drodzy jak moi – powiedział. – Niczego bym nie pożałował, żeby tylko byli szczęśliwi.

Rob J. zrozumiał ten pożegnalny nastrój Jaya następnego dnia, kiedy Lillian, siedząc u nich w kuchni z suchymi oczami, wyjawiała im, że jej mąż wyruszył o świcie, by zaciągnąć się jako ochotnik do wojsk Konfederacji.

Rob J. miał wrażenie, że cały świat stał się tak posępny jak szare barwy konfederatów. Choć robił co mógł, Julia Blackmer, żona duchownego, zakasłała się na śmierć krótko przed nadejściem zimowych chłódów. Odmawiając na kościelnym cmentarzu modlitwę za zmarłych, pastor płakał, a gdy pierwsza szufla ziemi z kamieniami zadudniła o sosnową trumnę Julii, Sara tak mocno ścisnęła dłoń męża, aż go to zabołało. Trzódka Blackmera w ciągu następnych dni starała się jak mogła wesprzeć swojego pasterza, Sara zaś tak zorganizowała kobiety, że pastor Blackmer nigdy nie zaznawał braku współczującego towarzystwa ani ciepłego posiłku. Robowi J. wydawało się, że duchownemu przydałaby się w jego żałobie choć odrobina samotności, Blackmer sprawiał wszelako wrażenie wdzięcznego za te objawy dobroci.

Przed Bożym Narodzeniem matka Miriam Ferocia zwierzyła się przyjacielowi, że otrzymała list od pewnej firmy adwokackiej z Frankfurtu, donoszący jej o śmierci Ernsta Brotknechta, jej ojca. Zgodnie z jego ostatnią wolą sprzedano frankfurcką fabrykę furmanek i wytwórnię powozów w Monachium. Firma adwokacka zawiadamiała, że na córkę zmarłego, znaną w życiu świeckim jako Andrea Brotknecht, czeka pokaźna suma pieniędzy.

Rob J. złożył matce przełożonej wyrazy współczucia z powodu śmierci ojca, którego zresztą od lat nie widziała. Po czym rzekł:– No i proszę, jest matka bogata!

– Bynajmniej – odparła ze spokojem i wyjaśniła, że przywdziewając habit obiecała oddać Świętemu Kościołowi wszystkie ziemskie dobra. Podpisała już dokumenty, przelewające prawa do spadku na arcybiskupa.

Roba J. porwał gniew. Od tylu lat robił jej klasztorowi drobne prezenty, nie mogąc patrzeć na ubóstwo sióstr.

Widział, w jak wielkim żyją niedostatku, nie posiadając niczego, co można by uznać za przedmiot luksusu.

– Te pieniądze mogły tak odmienić życie zakonnicom matki!... Jeśli nie mogła ich matka przyjąć dla siebie, należało choć pomyśleć o swoich mniszkach.

Miriam Ferocia nie podzielała wszakże jego gniewu.

– Ubóstwo stanowi zasadniczą część naszej reguły – powiedziała, a gdy się pożegnał porywczo, pokiwała głową z tą chrześcijańską pokorą, która mogła człowieka doprowadzić do furii.

Wraz z odjazdem Jasona życie Roba J. posmutniało. Mógł co prawda dalej muzykować z Lillian, ale pianino i wiolonczela

brzmiały jakoś dziwnie wątle bez melodyjnego spoiwa skrzypiec, wynajdowali więc wymówki, byle nie grywać we dwójkę.

W pierwszym tygodniu roku 1862, kiedy czuł się wyjątkowo podle, odebrał na pociechę list od Harry'ego Loomisa z Bostonu, a w nim tłumaczenie artykułu opublikowanego przed kilkoma laty w Wiedniu przez węgierskiego lekarza, Ignaza Semmelweisa. Dziełko Semmelweisa, zatytułowane „Etiologia, rozpoznanie i profilaktyka w gorączce połogowej”, potwierdzało w zasadniczych punktach wyniki badań prowadzonych w Ameryce przez Olivera Wendella Holmesa.

Na podstawie obserwacji dokonanych w szpitalu ogólnym w Wiedniu Semmelweis doszedł do wniosku, że gorączka połogowa, na którą umierało dwanaście na sto matek, jest chorobą zakaźną. Węgier odkrył, podobnie jak Holmes przed kilkunastu laty, że lekarze sami ją roznoszą, kiedy nie myją rąk.

Loomis pisał, że interesuje się obecnie coraz żywiej metodami zapobiegania zakażeniom ran i cięć chirurgicznych.

Był ciekaw, czy Rob J. słyszał o badaniach doktora Milтона Akersona, pracującego nad tymi zagadnieniami w Szpitalu Doliny Missisipi w Cairo w stanie Illinois, które to miasto, jak się Harry'emu zdawało, nie było zbyt odległe od Holden's Crossing.

Rob J. nic nie słyszał o pracach doktora Akersona, ale natychmiast zapragnął pojechać do Cairo i zapoznać się z nimi. Okazja po temu nie nadarzyła się przez dobrych kilka miesięcy. Wyjeżdżając z domowymi wizytami, musiał się przekopywać przez głębokie śniegi; dopiero wraz z wiosennymi deszczami ubyło mu trochę obowiązków. Matka Miriam zapewniła go, że ona i jej mniszki potrafią się zająć jego pacjentami, i Rob J. ogłosił pewnego

dnia, że wybiera się na krótki urlop do Cairo. W środę 9 kwietnia, człapiąc na Bossie po rozmiękłych, błotnistych drogach, dotarł jakoś do Rock Island, gdzie wierzchowca zostawił w stajni, a sam zaokrętował się o zmroku na płynącą w dół Missisipi tratwę. Całą noc płynęli w dół rzeki. Rob J. ułożył się w miarę wygodnie na balach, z których zbita była tratwa, pod daszkiem nadbudówki w pobliżu piecyka. Kiedy nazajutrz rano schodził w Cairo na brzeg, był cały zeszywniały. A deszcz padał dalej.

Miasto znalazł w opłakanym stanie, bo powódź zalała okoliczne pola i niejedną z ulic. Doprowadziwszy się do jakiegoś takiego porządku w gospodzie, gdzie podano mu również nędzne śniadanie, wybrał się na poszukiwanie szpitala. Doktor Akerson okazał się śniadym niskim okularnikiem o sumiastych wąsiskach. Zgodnie z pożałowania godną modą zaprowadzoną przez Ambrose'a Burnside'a, którego brygada pierwsza ruszyła do natarcia na konfederatów nad Bull Run, wąsiska rozczapierały się na oba policzki i przy uszach łączyły z owłosieniem czaszki.

Doktor Akerson przywitał Roba uprzejmie, wyraźnie rad, że jego badania zwróciły uwagę kolegów lekarzy aż z dalekiego Bostonu.

Powietrze w salach szpitalnych przesycone było ostrym zapachem kwasu chlorowodorowego, ponieważ właśnie ten kwas miał być zdaniem Akersona substancją pozwalającą zwalczać zakażenia, które tak często kończyły się zgonem chorych z jakimiś ranami. Rob J. zauważył, że woń kwasu, przez Akersona nazywanego „środkiem dezynfekującym”, maskowała niektóre inne nieprzyjemne odory szpitala, podrażniając przy tym nos i oczy.

Gość zorientował się wkrótce, że chirurg z Cairo nie dysponuje żadnym cudownym środkiem.

– Przemyslanie ran kwasem chlorowodorowym wydaje się czasem wyraźnie pomagać, kiedy indziej mów... – Doktor Akerson wzruszył ramionami. – Rób człowieku, co chcesz, nic nie działa.

Wyznał Robowi, że próbował już rozpylać kwas solny w sali operacyjnej i na oddziałach, ale zaniechał tej praktyki, unoszące się bowiem opary sprawiały, że trudno było patrzeć na oczy i oddychać. Obecnie ogranicza się do nasączenia kwasem opatrunków i zakładania ich bezpośrednio na rany. Oznajmił, że jego zdaniem gangrenę, a także inne rodzaje infekcji, wywołują cząsteczki ropy unoszące się w powietrzu jak drobiny, kurzu; opatrunki nasączone kwasem nie dopuszczają zaś tych czynników skażających do ran.

Z tacy, którą niósł przechodzący obok sanitariusz, upadł na podłogę jeden opatrunek. Doktor Akerson podniósł go, strzepnął ręką brud i pokazał Robowi. Był to zwykły opatrunek z bawełnianej szmatki namoczonej w kwasie solnym. Kiedy Rob zwrócił go Akersonowi, ten odłożył go na tacę i westchnął.

– Szkoda, że nie potrafimy wytłumaczyć, czemu to raz skutkuje, a innym razem nie – rzekł.

Ich rozmowę przerwał młody lekarz, który poinformował doktora Akersona, że pan Robert Francis, przedstawiciel Komisji Sanitarnej Stanów Zjednoczonych, chciałby się z nim widzieć w jakiejś nie cierpiącej zwłoki sprawie”

Doktor Akerson odprowadził Roba J. do wyjścia. Na korytarzu spotkali zdenerwowanego pana Francisa. Rob J.

znał i cenił działalność Komisji Sanitarnej, organizacji cywilnej założonej w celu zbiórki funduszy i rekrutacji ochotników do opieki nad rannymi. Pan Francis poinformował ich w podnieceniu, że w rejonie Pittsburgh Landing w stanie Tennessee, trzydzieści mil na



północ od Corinth w stanie Missisipi, rozegrała się zażarta dwudniowa bitwa.

– Są straszne ofiary, o wiele gorsze niż po Bull Run. /obraliśmy ochotników na sanitariuszy, ale odczuwamy szalony brak lekarzy.

Doktor Akerson wyglądał jak żywy obraz udręki.

– Wojna zabrała nam już większość personelu lekarskiego. Na dalsze ubytki nie możemy sobie pozwolić.

Rob J. wtrącił się do rozmowy.

– Jestem lekarzem, panie Francis. Gotów jestem jechać.

Wraz z trzema innymi lekarzami z okolicznych miasteczek i piętnastoma przypadkowymi cywilami, którzy jeszcze nigdy nikogo nie pielęgowali, Rob J. wszedł w południe na pokład rzeczno-statku pocztowo-pasażerskiego „City of Louisiana”, który ruszył zaraz w dół osnutej mrocznymi mgłami rzeki Ohio. O piątej po południu dotarli do Paducah w Kentucky i wpłynęli na Tennessee. Czekala ich teraz długa, licząca 230 mil podróż w dół tej rzeki. Pod osłoną nocy minęli – nie widząc go, sami również nie zauważeni – Fort Henry, który Ulysses S. Grant zdobył zaledwie miesiąc wcześniej. Przez cały następny dzień „City of Louisiana”, wyrzucając kłęby dymu z komina, płynął obok nadrzecznych miasteczek, zawalonych ładunkami nabrzeży, zalanych powodzią pól. Gdy o piątej po południu statek dotarł do Pittsburgh Landing, było już prawie ciemno.

Rob J. naliczył w porcie dwadzieścia cztery parowce, w tym dwie kanonierki. Wysiadłszy na ląd, zespół medyczny zapadł się do pół łydek w błoto, brzeg bowiem i nadbrzeżna skarpa zostały rozdeptane w grząską maź przez wycofujących się w niedzielę Jankesów. Doktora Cole’a odkomenderowano na statek „War

Hawk”, załadowany czterystu sześcioma rannymi żołnierzami. Gdy wchodził na pokład, załadunek był już prawie zakończony, bez dalszej więc zwłoki odbili od brzegu. Chmurny jak noc pierwszy oficer poinformował szeptem Roba J., że ofiary bitwy, których liczba jest niebotycznie wysoka, zapełniły wszystkie szpitale w Tennessee, toteż „War Hawk” będzie musiał przewieźć swoich pasażerów 658 mil w górę rzeki Tennessee do Ohio i dalej w górę Ohio do Cincinnati.

¶ Rannych rozłożono gdzie się tylko dało – pod pokładem, w kajutach oficerskich i pasażerskich, na odkrytych wreszcie pokładach w strugach nieustającego deszczu. Jedynymi lekarzami na statku byli doktor Cole i niejaki Jim Sprague, oficer medyczny z Pensylwanii. Wszystkie zapasy upchnięto w jednej z prywatnych kabin, toteż już po niecałych dwóch godzinach podróży Rob J. mógł stwierdzić, że ktoś wykrada spirytus. Wojskowym dowódcą parowca był młody porucznik o nazwisku Crittendon, którego oczy nie oprzytomniały jeszcze po bitwie. Rob przekonał go, że kajuty z zapasami powinna pilnować uzbrojona straż, którą też Crittendon niezwłocznie wystawił.

Rob J. nie zabrał z Holden’s Crossing swojej torby lekarskiej. Wśród zapasów znalazł torbę z narzędziami chirurgicznymi i poprosił oficera inżynierii, żeby mu niektóre naostrzył. Wolałby ich co prawda nie używać.

– Już sama podróż jest dla rannych dostatecznie ciężkim wstrząsem – powiedział do Sprague’a. – Uważam, że tam, gdzie to możliwe, powinniśmy odłożyć operację do czasu umieszczenia tych ludzi w szpitalach.

Sprague zgodził się z nim.

– Nie palę się zbyt do krojenia – przyznał.

Starął się trzymać raczej na uboczu, podejmowanie decyzji pozostawiając Robowi, ten zaś uznał, że Sprague nie pali się w ogóle do leczenia, polecił mu więc opatrywać rannych i dbać, by dostawali zupę i chleb.

Zorientowali się natychmiast, że niektórzy z nich są straszliwie okaleczeni i należy ich pilnie poddać amputacji.

Ochotniczy sanitariusze byli pełni zapału, lecz niedoświadczeni. Ci księgarze, nauczyciele i służący stanęli w obliczu krwi, cierpień i tragedii, o jakich wcześniej nie mieli nawet pojęcia. Rob zatrzymał kilku przy sobie, aby mieć jakąś pomoc przy amputacjach, resztę zaś oddał pod komendę doktora Spraguc'a, żeby bandażowali rany, zmieniali opatrunki, przynosili spragnionym wodę i okryli wszystkimi kocami i płaszczami, jakie tylko zdołają znaleźć, leżących na pokładzie w strugach zimnego deszczu.

Rob J. chciałby podejść do każdego z rannych po kolei, ale o tym nie było nawet co marzyć. Musiał biegać od jednego do drugiego z tych, których jego pielęgniarze uznali za „kiepskich”. Teoretycznie żaden z rannych wziętych na pokład „War Hawk”

nie powinien być aż taki „kiepski”, by nie mógł znieść trudów tej podróży, mimo to kilku zmarło niemal na samym jej początku.

Rob J. nakazał usunąć wszystkich chorych z kajuty drugiego oficera i przy świetle czterech latarni zabrał się do amputacji. Tej nocy przeprowadził ich czternaście. Niektórym rannym odjęto kończyny jeszcze przed zaokrętowaniem. Obejrzawszy paru, Rob J. był przerażony fatalnym poziomem wyświadczonej im chirurgicznej usługi. Jeden z rannych, dziewiętnastoletni chłopiec nazwiskiem Peters, stracił prawą nogę do kolana, lewą do samego biodra,

ponadto całe prawe ramię. W nocy zaczął krwawić z kikuta lewej nogi, a może krwawił już, kiedy go wnoszono na pokład. Jego zgon odkryto jako pierwszy.

– Staralem się, tato... – łkał jakiś żołnierz o długich blond włosach i z dziurą w plecach, przez którą jego stos pacierzowy biał jak kręgosłup pstrąga. – Staralem się jak mogłem...

– Wiem o tym. Dobry z ciebie syn. – Rob J. pogłaskał go po głowie.

Niektórzy ranni krzyczeli, inni zacięli się w milczeniu jak w zbroi, jeszcze inni płakali bądź bredzili coś w malignie. Rob J. odtworzył sobie stopniowo przebieg bitwy, składając w całość fragmenty ich jednostkowych dramatów. Grant stał w Pittsburgh Landing z armią liczącą czterdzieści dwa tysiące żołnierzy, czekając, aż połączą się z nim siły generała Don Carlosa Buella. Beauregard i Albert Johnston uznali, że zdołają pobić Granta, zanim nadciągnie Buell. Czterdzieści tysięcy konfederatów zaatakowało biwakujące oddziały Unii. Front jej oddziałów załamał się na lewym i na prawym skrzydle, centrum wszakże, gdzie walczyli żołnierze ze stanów Iowa i Illinois, odpierało najzacieklejsze ataki.

Buntownicy wzięli tej niedzieli wielu jeńców. Główne siły Unii zostały odparte nad rzekę i zepchnięte do wody, aż oparły się plecami o zagradzające im dalszy odwrót urwisko na drugim brzegu. Ale gdy w poniedziałek rano konfederaci chcieli dokończyć dzieła, z porannych mgieł wynurzyły się łodzie wiozące dwadzieścia tysięcy posiłków Buella i losy bitwy uległy odwróceniu. Pod koniec dnia wypełnionego żąrtymi walkami Południowcy wycofali się do Corinth. Przed zapadnięciem nocy z wieży kościoła w Shiloh roztaczał się widok na zasłane trupami pole bitwy.

Część rannych zebrano z pobojowiska i umieszczono na statkach.

Rano „War Hawk” przepływał obok jaśniejących młodymi liśćmi, gęstych od jemioły lasów i zielonych pól, to znów okrytych różowymi kwiatami sadów brzoskwiniowych, lecz doktor Cole tych widoków nie dostrzegał.

Kapitan statku zamierzał zawijać po drewno do nadrzecznych miejscowości z rana i z wieczora. Ochotnicy mieli wówczas schodzić na ląd i starać się zdobyć dla rannych tyle żywności i wody, ile zdołają. Rob J. i doktor Sprague wymogli jednak na kapitanie, żeby zatrzymywał parowiec również w południe, a czasem i po południu, zapasy wody wyczerpywały się bowiem szybko. Rannych dręczyło pragnienie.

Ochotnicy sanitariusze, ku rozpaczy Roba J., nie byli w stanie utrzymać higieny. Wielu żołnierzy przed odniesieniem ran chorowało na dyzenterię. Teraz robili i moczyli się pod siebie, a nie było ich jak umyć. Brakowało też bielizny na zmianę, leżeli więc na zimnym deszczu we własnych zaschniętych odchodach. Większość czasu zajmowało sanitariuszom rozdawanie gorącej zupy. Kiedy drugiego dnia po południu deszcz ustał i zza chmur wyjrzało gorące słońce, Rob J. powitał tę zmianę pogody z niewymowną ulgą. Jednakże razem z parą, która buchnęła z leżących na pokładach ludzi, wzbił się również i zawisł nad statkiem niewyobrażalny smród, tak gęsty, że wręcz dotykalny. Kiedy „War Hawk” przybijał czasem do brzegu, wchodzili na jego pokład patriotycznie nastroszeni cywile, przynosząc koce, żywność i wodę, szybko wszelako, mrużąc łzawiące oczy, uciekali z powrotem na ląd. Rob J. zaczął żałować, że nie ma pod ręką kwasu solnego doktora Akersona.

Zwłoki zaszywano w najbrudniejsze prześcieradła. Doktor Cole dokonał jeszcze kilku amputacji, operując jednak tylko najcięższe przypadki. Gdy ich podróż dobiegła końca, na trzydziestu ośmiu zmarłych w drodze było tylko ośmiu z dwudziestu operowanych przez niego rannych. Do Cincinnati dotarli we wtorek o świcie. Rob J. przez trzy i pół doby nie spał i prawie nic nie jadł. Uwolniony nagle od odpowiedzialności, stał na nabrzeżu i przyglądał się otępiąłym wzrokiem, jak jacyś ludzie dzielą rannych na grupki, które odwożą następnie do różnych szpitali. Kiedy zaś załadowano na dwukołowy wóz partię rannych kierowanych do Southwestern Ohio Hospital, wdrapał się nań również i przysiadł między noszami.

Nosze z rannymi wyładowano przed szpitalem, a Rob J. wszedł do budynku i jął błąkać się po korytarzach. Poruszał się jak mucha w smole, powietrze w Cincinnati wydawało mu się bowiem niebywale gęste. Pracownicy szpitala obrzucali niechętnymi spojrzeniami tego olbrzymiej postury mężczyznę w sile wieku, niemiłosiernie na dodatek cuchnącego. Jakiś sanitariusz zagadnął go w końcu ostrym tonem, czego tu szuka. Wielkolud wymienił imię Szamana.

Wprowadzono go na małą galeryjkę nad salą operacyjną. Operowali już pacjentów z „War Hawk. Wokół stołu ujrzał czterech mężczyzn – w jednym z nich rozpoznał swego syna. Przez chwilę przyglądał się operacji, ale wnet zalała go ciepła fala snu, w której utonął z niezwykłą łatwością i ochotą.

Nie pamiętał, jak przeprowadzono go ze szpitala do pokoju Szamana w bursie ani jak go rozbierano. Cały dzień i całą noc przespał kamiennym snem w łóżku syna. Obudził się w środę rano. Za oknem świeciło jaskrawe słońce.

Kiedy się golił i kąpał, kolega jego syna, uczynny młody człowiek nazwiskiem Cooke, przyniósł jego ubranie ze szpitalnej pralni, gdzie je wygotowano i wyprasowano, a następnie poszedł poszukać Szamana.

Szaman zeszcupłał, lecz poza tym wyglądał dobrze.

– Mieliście jakieś wiadomości o Aleksie? – spytał na wstępie.

– Żadnych.

Chłopak kiwnął głową. Zabrał następnie ojca do restauracji dość odległej od szpitala, aby nikt ich nie niepokoił.

Zjedli solidny posiłek, złożony z ziemniaków i jajek na boczku, który popili lurowatą kawą, parzoną głównie z palonej cykorii. Szaman pociągnął gorący gorzki łyk tego płynu i dopiero potem zaczął zadawać pytania. W skupieniu wysłuchał opowieści Roba J. o podróży na pokładzie „War Hawk”

Rob J. wypytał go z kolei o akademię i wyznał, jaki jest z niego dumny.

– Pamiętasz z domu ten mój stary skalpel z oksydowanej stali?

– Ten antyczny zabytek, który nazywasz „lancetem Roba J.”? Podobno jest w naszej rodzinie od stuleci?

– Otóż właśnie, ten. Nawet na pewno jest w naszej rodzinie od stuleci. Przechodzi na tego z synów, który pierwszy zostaje lekarzem. Odtąd jest twój.

Szaman się uśmiechnął.

– Może byś z tym lepiej poczekał do listopada, kiedyskończę studia?

– Nie jestem pewien, czy będę mógł przybyć na tę uroczystość. Postanowiłem zostać lekarzem wojskowym.

Szaman popatrzył nań ze zdumieniem.

- Przecież jesteś pacyfistą! Nienawidzisz wojny!
- Jestem pacyfistą i nienawidzę wojny – potwierdził Rob J. głosem jeszcze bardziej gorzkim od napoju, jaki podano im do picia.
- Ale sam widzisz, co oni sobie wzajemnie wyrządzają.

Siedzieli tak długo, wbrew chęci sącząc podłą kawę z napełnionych ponownie kubków, dwaj rośli mężczyźni, bacznie w siebie wpatrzeni, rozmawiający wolno i cicho, jak gdyby mieli przed sobą mnóstwo czasu.

O jedenastej przed południem byli już jednak z powrotem w sali operacyjnej. Napływ rannych z parowca „War Hawk” przerastał możliwości szpitala i zespołu chirurgów. Niektórzy z nich pracowali przez całą noc i całe przedpołudnie. Robowi Jeffersonowi Cole’owi przyszło teraz operować młodego mężczyznę z Ohio, którego głowę, ramiona, plecy, pośladki i nogi zasypał grad drobnych odłamków konfederackiego szrapnela. Zabieg był żmudny i mozolny, gdyż należało wyłuskać z ciała każdy z osobna okruch metalu, jak najmniejszą szkodę wyrządzając przy tym tkankom. Szybie wymagało nie mniejszej precyzji, istniała bowiem nadzieja, że mięśnie się zrosną.

Niewielką galeryjkę nad salą operacyjną zapełniali studenci medycyny i kilku profesorów, oglądający straszliwie okaleczone ciała, jakich wojny dostarczają lekarzom. Siedzący w pierwszym rzędzie doktor Harold Meigs trącił w pewnej chwili w ramię doktora Barneya McGowana i ruchem brody wskazał mu mężczyznę, który przystanął nieco z boku sali operacyjnej, aby nikomu nie zawadzać, zarazem jednak tak blisko, by móc obserwować zabieg. Wysoki, postawny mężczyzna o szpakowatych włosach stał z założonymi na piersi rękoma i ani na moment nie



odrywał wzroku od stołu operacyjnego. Upewniwszy się, że operujący przy nim chirurg ma pewną rękę i wie, co robi, skinął mimo woli głową, jak gdyby wyrażał mu swoje uznanie, na co obaj profesorowie spojrzeli po sobie i uśmiechnęli się.

Rob J. wrócił do Rock Island pociągiem dziewięć dni po wyjeździe z Holden's Crossing. W pobliżu dworca kolejowego spotkał Paula i Roberte Williamsów, którzy przyjechali do miasta na sprawunki.

– Serwusik, doktorze. Przyjechał pan tym pociągiem? – zagadnął go Williams. – Słyszałem, że pan wyjeżdżał. Małe wakacje?

– Owszem – przytaknął Rob.

– Dobrze pan wypoczął?

Rob J. już otwierał usta, żeby wyjaśnić nieporozumienie, ale się rozmyślił.

– Nadzwyczajnie, dziękuję, Paul – rzekł cicho, potem zszedł do stajni, odebrał Bossa i pojechał do domu.

---

## 49 Lekarz na kontrakcie

---

Przygotowania zajęły mu prawie całe lato. Zrazu zamierzał zachęcić jakiegoś lekarza do objęcia praktyki w Holden's Crossing atrakcyjnymi warunkami finansowymi, po namyśle wszakże musiał uznać niewykonalność tego zamiaru; wojna spowodowała dotkliwy

brak lekarzy. Jedyne, co mógł uczynić, to namówić Tobiasa Barra, aby w każdą środę – oraz w przypadkach nagłych – zechciał przyjmować w jego przychodni. Pacjenci z Holden's Crossing cierpiący na lżejsze schorzenia mieli jeździć do gabinetu doktora Barra w Rock Island lub szukać porady u mniszek.

Sara była wściekła. Rob J. odnosił czasem wrażenie, że tyleż z powodu jego opowiedzenia się po „niewłaściwej stronie”, co dlatego, że zostawiał ją samą. Modliła się i konferowała z pastorem Blackmerem, skarżyła się, że Rob porzuca ją na pastwę losu.

– Przed wyjazdem musisz napisać do dowództwa Unii i zapytać, czy mogą zaświadczyć, że Alex nie dostał się do nich do niewoli albo czy nie poległ – zażądała.

Rob J. uczynił to już kilka miesięcy wcześniej, zgodził się jednak, że pora wysłać drugi list, i nie zaniedbał tego.

Sara i Lillian zaprzyjaźniły się jak nigdy dotąd. Jay opracował sprawny system przesyłania żonie zza linii frontu listów i wiadomości z obozu Konfederacji, korzystając prawdopodobnie z usług rzecznych przemytników. Dzięki temu Lillian – zanim o tym doniosły gazety Illinois – mogła poinformować przyjaciół, że Juda P. Benjamin awansował ze stanowiska sekretarza wojny na urząd sekretarza stanu Konfederacji. Cole'owie jedli kiedyś obiad z Geigerami i sławnym kuzynem Lillian, gdy ów przyjechał do Rock Island na naradę z Hume'em w sprawie jakiegoś procesu kolejowego. Benjamin sprawił na nich wówczas wrażenie człowieka inteligentnego i skromnego, nie zaś takiego, który tylko patrzy okazji, by stanąć na czele nowego państwa.

Co się tyczy Jaya, to był zdaniem Lillian bezpieczny. W randze podoficera z patentem został odkomenderowany na stanowisko

przełożonego (bądź administratora) szpitala polowego gdzieś w Wirginii.

Dowiedziawszy się, że Rob J. wybiera się do armii Północy, Lillian pokiwała z z troskaniem głową.

– Modłę się, żebyście ty i Jay nigdy się ze sobą w tę wojnę nie spotkali.

– Uważam, że to nader mało prawdopodobne – pocieszył ją i poklepał jej dłoń.

Ze znajomymi starał się pożegnać bez rozgłosu. Matka Miriam Ferocia przyjęła nowinę z kamiennym niemal spokojem. Pomyślał, że to pewnie element reguły, jakiej siostry zakonne podlegają: żegnać się bez wzruszenia z tymi, z którymi się zżyły. Idą tam, dokąd każe Pan, podobne pod tym względem do żołnierzy.

Miał przy sobie mee-shome, „święte zawiniątko” otrzymane od Sauków, i niósł małą walizeczkę tego ranka 12 sierpnia 1862 roku, kiedy Sara żegnała go na przystani parowców w Rock Island. Zalewała się łzami i niemal w zapamiętaniu raz po raz całowała go w usta, nie bacząc na spojrzenia zebranych na molu ludzi.

– Jesteś moją małą, ukochaną dziewczunią – szepnął do niej zule.

Ciężko mu było tak ją zostawiać, mimo to doznał ulgi, kiedy wszedł na pokład i pomachał jej ręką. Zaraz potem rozległy się dwa krótkie gwizdki i przeciągłe buczenie syreny, po czym statek odbił od brzegu i popłynął z prądem.

Niemal całą podróż w dół rzeki przestał na pokładzie. Kochał Missisipi, toteż z przyjemnością obserwował ruch, jakim tętniła w pełni sezonu. Wojska Południa walczyły jak dotąd z większą zaciekłością i odwagą pod bez porównania lepszymi generałami niż armia Północy. Lecz gdy na wiosnę federaliści zajęli Nowy Orlean,

połączone zostały tereny znad górnej i dolnej Missisipi, na których Unia zdobyła przewagę. A że panowała już nad Tennessee i innymi mniejszymi rzekami, siły federalne uzyskały żeglowny dostęp do miękkiego podbrzusza Południa.

Jedną z baz wojskowych nad tą drogą wodną było Cairo, skąd Rob J. rozpoczął swą podróż na parowcu „War Hawk”, w tym też miasteczku zszedł obecnie na ląd. Teraz, pod koniec sierpnia, nie nękały już Cairo powodzie, niewiele to jednak polepszyło sytuację: na przedmieściach stały obozem tysiące żołnierzy, miasto zasypywały więc odpryski zbitej ludzkiej masy, zrzucającej na błotniste ulice przed porządne domy sterty śmieci, zdechłe psy oraz inne gnijące odpadki. Rob J. podążył za strumieniem wojskowych do obozu, przed którym zatrzymał go wartownik.

Doktor Cole powiedział mu, kim jest, i poprosił, by go zaprowadzono do dowódcy. Niebawem stanął przed pułkownikiem Sibleyem, dowódcą 176 Ochotniczego Pułku z Pensylwanii. Pułkownik Sibley oświadczył, że jego pułk ma już dwóch lekarzy, przydzielonych mu zgodnie z tabelą struktury organizacyjnej armii, lecz dodał, że w obozie stacjonują jeszcze trzy inne pułki – 42 i 106 z Kansas oraz 201 z Ohio. Z własnej nieprzymuszonej woli poinformował Roba, że pułk 106 ma wolne miejsce dla asystenta lekarza, do tej więc jednostki udał się następnie Rob J.

Dowódcą 106 pułku był pułkownik Frederick Hilton. Rob J. znalazł go przed jego namiotem. Hilton żuł prymkę i coś pisał przy małym stoliku. Zgodził się przyjąć doktora Cole'a. zaproponował stopień porucznika („A jak to tylko będzie możliwe – kapitana”) i roczny zaciąg w charakterze pomocniczego oficera medycznego, ale Rob J. jeszcze przed wyjazdem dobrze sobie tę sprawę rozważył i

przemyślał. Gdyby zdecydował się stanąć do egzaminu przed naczelnym lekarzem armii, mógłby zostać mianowany majorem, przysługiwałaby mu wygodna kwatera i odkomenderowanie na stanowisko oficera służb medycznych bądź lekarza w szpitalu ogólnym. Ale on wiedział, czego chce.

– Nie zamierzam wstępować na służbę. Nie chcę oficcerskiego patentu. Armia, jak mi wiadomo, zatrudnia czasoworównież lekarzy cywilnych. Jestem skłonny zatrudnić się u pana na trzymiesięczny kontrakt. Hilton wzruszył ramionami.

– Przygotuję wobec tego dokumenty dla asystenta lekarza. Niech pan wróci tu po kolacji, podpisze je pan.

Osiemdziesiąt dolarów miesięcznie. Koń własny, na własnym obroku. Mogę pana skierować do krawca w mieście, gdzie panu uszyją mundur.

– Nie będę nosił munduru. Pułkownik otaksował go spojrzeniem.

– Radziłbym przywdziać mundur. Ci ludzie są żołnierzami. Nie będą wypełniali rozkazów byle cywila.

– Trudno.

Pułkownik Hilton kiwnął obojętnie głową i strzyknął śliną brunatną od tytoniu, po czym przywołał sierżanta i kazał mu zaprowadzić doktora Cole'a do namiotu oficerów służb medycznych.

Ledwie przeszli kilkanaście metrów obozową ulicą, gdy rozległy się pierwsze dźwięki wygrywanego na trąbce capstrzyku – uroczystości opuszczania flagi o zachodzie słońca. Wszystkie hałasy i wszelki ruch w obozie ustały.

Żołnierze, zwrócenii w stronę flagi, salutowali na baczność.

Był to jego pierwszy capstrzyk i Rob J. uznał tę uroczystość za dziwnie wzruszającą; wydała mu się podobna do religijnej komunii, łączącej tych wszystkich ludzi, którzy zastygli w postawie na baczność, dopóki nie przebrzmiała ostatnia drżąca nuta dalekiej trąbki. Wówczas dopiero obóz na powrót ożył.

Obóz składał się w większości z namiotów dwuspadowych, ale sierżant zaprowadził go do dzielnicy namiotów stożkowych przypominających Robowi indiańskie tipi. Przed jednym z nich się zatrzymał.

– Jest pan w domu, sir.

– Dziękuję.

Wewnątrz znajdowały się tylko dwa przykryte sukrem legowiska na gołej ziemi. Na jednym z nich, pogrążony w pijackim śnie, spał jakiś mężczyzna, niewątpliwie lekarz pułkowy, wydzielając kwaśny odór ciała i cuchnąc straszliwie rumem.

Rob J. złożył swój worek na ziemi, a sam usiadł obok. „Popełniłem wiele błędów – rozmyślał – i robiłem z siebie głupca nie rzadziej niż inni.” Teraz wszakże zadawał sobie pytanie, czy nie palnął aby właśnie największego głupstwa w swoim życiu.

Lekarz pułkowy nazywał się G. H. Woffenden i miał stopień majora. Rob J. dowiedział się wkrótce, że major nie studiował nigdy na żadnej uczelni medycznej, terminował tylko przez jakiś czas „u tego starego poczciwiny, doktora Cowana”, a potem otworzył samodzielną praktykę. Major poinformował też doktora Cole’a, że pułkownik Hilton zwerbował go w Topece oraz że pensja majora stanowi najwyższe regularne pobory, jakie w życiu pobierał.

Dał też do zrozumienia, że z ochotą odda się picciu na umór, pozostawiając nowemu asystentowi troskę codzienne

przyjmowanie chorych.

Apele te zajmowały niemal cały dzień, kolejka chorych zdawała się bowiem nie mieć końca. Pułk składał się z dwóch batalionów. Pierwszy miał pełny stan, pięć kompanii, drugi liczył jedynie trzy. Pułk sformowano przed niecałymi czterema miesiącami, w czasie gdy najzdarniejsi do służby wojskowej mężczyźni byli już w armii. Pułk 106 pozbierał więc to, co zostało, a drugi batalion zgromadził odpadki z Kansas. Wielu z tych, którzy czekali w kolejce do Roba J., było już za starych do żołnierskiej służby, wielu innych zaś za młodych do wojaczki, w tej liczbie pół tuzina niedorostków wyglądających na ledwo dziesięć lat. Cała ta zbieranina znajdowała się w opłakanej kondycji fizycznej. Najczęściej skarżyli się na biegunkę i dyzenterię, ale Rob J. stwierdzał też mnogość innych chorób – rzucające się na piersi i płuca ciężkie przeziębienia, syfilis, rzeżączkę, delirium tremens oraz inne skutki alkoholizmu, przepuklinę i liczne przypadki szkorbutu.

W namiocie szpitalnym stał kosz z lekarstwami armii Stanów Zjednoczonych, ogromny pojemnik z płótna i wikliny, zawierający najrozmaitsze medykamenty. Zgodnie ze spisem inwentarzowym powinien ponadto mieścić czarną herbatę, biały cukier, ekstrakt kawy, suszoną wołowinę, mleko skondensowane oraz spirytus. Kiedy Rob J. zapytał o te artykuły Woffende-na, ten zrobił urażoną minę.

– Zostały skradzione, jak sądzę – odburknął tonem nadmiernie zaczepnym.

Po spożyciu kilku posiłków Rob J. odkrył przyczynę nader częstych w obozie dolegliwości żołądkowych. Odszukał oficera intendenty, znękanego podporucznika nazwiskiem Zearing, i od

niego dowiedział się, że armia przeznacza na wyżywienie pułku osiemnaście centów dziennie na żołnierza. Pozwalało to na skomponowanie dziennej racji składającej się z dwunastu uncji solonej słoniny, dwóch i pół uncji bobu bądź grochu oraz osiemnastu uncji mąki lub dwunastu sucharów.

Mięso bywało najczęściej czarne z wierzchu, zgniłozółte zaś po rozkrojeniu, suchary żołnierze nazywali „robaczywymi zamkami”, wielkie bowiem i grube ich pajdy, najczęściej spleśniałe, zamieszkiwane były licznie przez larwy much i ryjkowce.

Każdy żołnierz otrzymywał swój przydział w postaci wyrobów surowych, które przyrządzał sobie następnie wedle uznania nad ogniskiem, gotując przeważnie bób, mięso zaś, pokruszone suchary, a nawet mąkę smażąc na tłuszczu wieprzowym. Taka dieta, jako dodatek do już grasujących chorób, sprowadzała katastrofę na tysiące żołądków, a latryn w obozie nie było. Ludzie wypróżniali się gdzie popadło, zwykle nie opodal namiotów, ci zaś z biegunką wybiegali jedynie przed namiot, pod namiot sąsiadów. Nad obozem wisiała chmura smrodu podobna do tej, jaka unosiła się nad parowcem „War Hawk”, Rob J. doszedł zatem do wniosku, że przyrodzonym zapachem armii jest odór fekaliów.

Zdawał sobie sprawę, że w sprawie diety pozostaje bezsilny – przynajmniej na razie – postanowił więc poprawić chociaż warunki sanitarne. Nazajutrz po południu, po przeglądzie chorych, podszedł do sierżanta, który uczył akurat paru żołnierzy z kompanii C pierwszego batalionu walki na bagnety.

– Sierzancie, nie wie pan przypadkiem, gdzie by tu można znaleźć jakieś szpadle?



– Szpadle? Co bym nie miał wiedzieć? – odrzekł tamten ostrożnie.

– Chciałbym, żeby postarał się pan o tyle, ilu ma pan ludzi, i żeby mi pańscy żołnierze wykopali rów.

– Rów, sir? – Sierżant wytrzeszczył oczy na tę osobliwą figurę w workowatym czarnym garniturze, wymiętej koszuli związanej pod szyją cienkim krawatem i czarnym cywilnym kapeluszu o szerokim rondzie na głowie.

– Zgadza się, rów. W tym dokładnie miejscu. Na dziesięć stóp długi, na trzy szeroki, na sześć głęboki.

Z tego cywilnego lekarza był chłop jak dąb. Wyglądał na bardzo pewnego siebie. Poza tym sierżant wiedział, że stopniem równy jest porucznikowi.

Jakiś czas potem, gdy sześciu żołnierzy kopało pracowicie dół pod okiem sierżanta i doktora Cole'a, obozową uliczką nadszedł pułkownik Hilton w towarzystwie kapitana Irvine'a z kompanii C pierwszego batalionu.

– Co to ma znaczyć u diaska? – natarł na sierżanta pułkownik Hilton. Sierżant rozdziawił gębę i spojrzał na Roba J.

– Żołnierze kopią szambo, panie pułkowniku – wyjaśnił Rob J.

– Szambo?

– Tak jest, sir, latrynę.

– Wiem, co to takiego szambo. Lepiej spożytkują czas ćwicząc walkę na bagnety. Ci ludzie idą niedługo do walki.

Uczymy ich, jak zabijać buntowników. Żołnierze z mojego pułku będą strzelali do konfederatów, dźgali ich bagnetami, dorzynali, a jeśli trzeba oszczywali i osrywali na śmierć. Ale latryn kopać nie będą.

Jeden z trzymających łopatę żołnierzy zarechotał rubasznie. Sierżant spoglądał na Roba J. i szczyrzył w uśmiechu zęby.

– Czy jasno się wyraziłem, panie asystencie?

– Tak jest, panie pułkowniku – odparł Rob J. bez uśmiechu.

To się zdarzyło czwartego dnia jego pobytu w pułku. Potem minęło takich dni jeszcze osiemdziesiąt sześć.

Płynęły wszystkie nader wolno, każdy bardzo skrupulatnie odliczany.

---

## 50 List od syna

---

Cincinnati, Ohio 12 stycznia 1863

Kochany Tato,

Zgłaszam się po „skalpel Roba J.”!

Mowę na uroczystej promocji wygłosił adiutant naczelnego lekarza armii, Williama A. Hammonda, pułkownik Peter Brandon. Niektórzy twierdzili, że była udana, ale mnie rozczarowała. Dr Brandon poinformował nas, że lekarze, jak świat światem, zawsze pełnili medyczną powinność wobec armii swoich krajów. Powołał się na liczne przykłady: biblijnych Żydów, starożytnych Greków, Rzymian etc, etc. Następnie roztoczył przed namiwspaniałe

możliwości, jakie prowadząca wojnę armia Stanów Zjednoczonych oferuje lekarzom – pensje, różne gratyfikacje dla tych, którzy służą krajowi... Oczekiwaliśmy, że przypomniane nam zostaną sławne imiona naszej nowej profesji, Platon i Galen, Hipokrates i Andreas Vesalius, on tymczasem palnął nam typową mówkę dla poborowych. Do tego zupełnie zbędną: siedemnastu spośród trzydziestu sześciu świeżo upieczonych medyków z mojego rocznika zdążyło się już zaciągnąć do służb medycznych armii.

Myślę, że mnie zrozumiesz, jeśli ci wyznam, że choć bardzo bym chciał zobaczyć Mameę, przyjąłem z ulgą jej decyzję, że nie przyjedzie do Cincinnati. Pociąg, hotele etc. są w dzisiejszych czasach tak zatłoczone i brudne, że podróżująca samotnie kobieta byłaby narażona na straszne niewygody, jeśli nie wręcz niebezpieczeństwa. Ale szczególnie boleśnie doskwierał mi brak ciebie – jeszcze jeden powód, by znienawidzić wojnę. Na uroczystość promocji przyjechał z Xenii ojciec Paula Cooke'a (handluje paszą i zbożem) i po ceremonii zabrał nas obu na wystawną kolację z winem, toastami i gratulacjami. Paul należy do tych, którzy prosto stąd jadą do wojska. Można się co do niego łatwo pomylić, bo taki zeń żartowniś, ale był pierwszym studentem w naszej grupie i otrzymał świadectwo summa cum laude. Służyłem mu pomocą w zajęciach laboratoryjnych, a on dopomógł mi w otrzymaniu wyróżnienia magna cum laude<sup>[7]</sup>, ilekroć bowiem ukończyliśmy jakąś zadaną lekturę, przepytywał mnie znacznie surowiej niż którykolwiek z profesorów.

Po kolacji wybrali się obaj na koncert Adeliny Patti do opery Pike'a, a ja wróciłem do polikliniki.

Świetnie wiedziałem, co mnie korci. Pod Dziewiątą Ulicą biegnie obmurowany cegłami tunel, który łączy akademię z głównym budynkiem szpitala. Korzystać zeń mogą wyłącznie lekarze. Aby w nagłych przypadkach nie tworzyły się zatory, studenci mają tam wstęp wzbroniony i muszą przechodzić przez ulicę górą niezależnie od tego, jak niełaskawa panuje pogoda. Zszedłem do piwnicy szkoły (wciąż jeszcze w dużym stopniu jako student) i zapuściłem się w ten oświetlony lampami tunel. Kiedy wychodziłem po drugiej stronie na teren szpitala, nagle – po raz pierwszy – poczułem się naprawdę lekarzem!

Tato, zgodziłem się pracować przez dwa lata jako lekarz rezydent w Southwestern Ohio Hospital.

Płacą tylko trzysta dolarów rocznie, ale dr Berwyn zapewnia, że da mi to podstawy do przyzwoitego dochodu jako chirurgowi. „Niech pan nigdy nie lekceważy znaczenia dochodów – pouczył mnie.

– Niech pan pamięta, że ten, kto skarży się głośno na lekarskie zarobki, zazwyczaj nie jest lekarzem.”

Ku mojemu zmieszaniu – i nieopisanemu szczęściu – Berwyn i McGowan spierali się, który z nich ma mnie wziąć pod swoje skrzydła. Onegdaj Barney McGowan przedstawił taki plan dotyczący mojej przyszłości: przepracowałbym u niego parę lat jako młodszy asystent, po czym wystarałby się dla mnie o stanowisko drugiego profesora anatomii. Powiada, że tym sposobem zdobyłbym przygotowanie do przywdziania po jego odejściu na emeryturę togi profesora anatomopatologii.

Za dużo na mnie spadło. Sprawili obaj, że w głowie mam zamęt, bo przecież marzyłem zawsze tylko o tym, żeby zostać zwyczajnym

lekarzem. Ułożyli w końcu program niezmiernie dla mnie korzystny.

Podobnie jak w czasie mojej letniej praktyki, będę przed południem operował z Berwynem, po południu zaś zajmował się z McGowanem anatomopatologią, tyle że już nie jako student do posługi, a pełnoprawny lekarz. Mimo ich dobroci nie jestem jednak pewien, czy chciałbym osiąść w Cincinnati na stałe. Tęsknię za życiem w małej miejscinie, gdzie wszystkich się zna.

Cincinnati sympatyzuje z Południem goręcej niż Holden's Crossing. Billy Henried wyznał paru zaufanym przyjaciołom, że po odbiorze dyplomu zaciąga się jako chirurg do armii Konfederacji.

Dwa dni temu wybraliśmy się z nim i Cookiem na pożegnalną kolację. Było to przeżycie niezwykle i smutne, obaj przecież zdawali sobie doskonale sprawę, dokąd się drugi wybiera.

Wiadomość, że prezydent Lincoln podpisał proklamację przyznającą wolność niewolnikom, wywołała tu powszechne oburzenie. Wiem, że nie żywisz do prezydenta ciepłych uczuć za jego udział w gromieniu Sauków, ale ja go za wyzwolenie niewolników podziwiam niezależnie od tego, jakie nim kierowały pobudki polityczne. Tutejsi unioniści wydają się gotowi do każdego poświęcenia, jeśli wytłumaczą sobie, że ponoszą je dla zachowania Unii, nie życzyliby sobie jednak, by celem wojny miało się stać zniesienie niewolnictwa. Większość z nich niezgodziłaby się chyba płacić tej strasznej daniny krwi, gdyby celem walki miało być uwolnienie czarnych. Straty w takich bitwach jak drugie starcie nad Bull Run czy bitwa nad potokiem Antietam budzą zgrozę. A teraz docierają jeszcze wieści o rzezi pod Fredericksburgiem, gdzie przy próbie odbicia wzgórza z rąk Południowców padło trzynaście

tysięcy żołnierzy Unii. W sercach wielu osób, z którymi rozmawiałem, wzbudziło to rozpacz.

Wciąż się martwię o Ciebie i Alexa. Może Cię rozzłości, gdy się dowiesz, że zacząłem się modlić (choć nie wiem do kogo czy do czego) i stale proszę tylko o to, abyście obaj cało wrócili do domu.

Proszę, żebyś dbał o własne zdrowie nie mniej troskliwie niż o zdrowie innych i pamiętał o tych, którzy zakotwiczyli swoje życie na Twojej sile i dobroci.

Twój kochający syn

Szaman

(dr Robert Jefferson Cole)

---

## 51 Waltornista

---

Wcale nie było tak trudno, jak się Rob J. obawiał, nocować w namiocie, spać znowu na gołej ziemi.

Trudniej mu przychodziło radzić sobie z dręczącymi go pytaniami. Co on, u licha, robi w wojsku? Czym się skończy ta potworna wojna domowa? Jej losy nadal układały się dla Północy niepomyślnie.

– Chyba nie wygramy tej wojny, jeśli dalej ją będziemy przegrywali – zauważył major G. H.

Woffenden w chwili względnej trzeźwości.

Większość żołnierzy, wśród których przyszło żyć Robowi J., upijała się w sztok po służbie, szczególnie w dniu wypłaty żołdu. Pili, żeby zapomnieć, pili, żeby pamiętać, pili, żeby coś uczcić, pili, żeby się jeden przed drugim wyzalić. Brudni i przeważnie pijani młodzi mężczyźni przypominali psy nomiki na smyczy: niebaczni na zagrożenie śmiercią, aż się rwali, by dopaść swoich naturalnych wrogów – innych Amerykanów, bez wątpienia nie mniej brudnych i równie często jak oni pijanych.

Dlaczego tak się palili do zabijania konfederatów? Mało który spośród nich wiedział. Rob J.

zauważył, że wojna nabrała dla nich znaczenia wykraczającego daleko poza jakiegokolwiek powody czy racje. Rwali się do walki, ponieważ toczyła się wojna, a zabijanie uznano oficjalnie za chwalebne i patriotyczne. To zupełnie wystarczało.

Chciało mu się wyć i wrzeszczeć na nich, zamknąć generałów i polityków w ciemnym pokoju jak krnąbrne, głupie dzieci, chwycić za kołnierz na ich zbiorowym karku, potrząsnąć i zapytać: Co was opętało? Co was opętało?

Zamiast tego chodził jednak codziennie na apele chorych i wydzielał porcje suszonego korzenia wymiotnicy, chininy i makowcowo-kamforowej nalewki, po drodze zaś patrzył uważnie pod nogi jak człowiek, któremu przyszło mieszkać w ogromnej psiarni.

Ostatniego dnia pobytu w 106 pułku z Kansas Rob J. odnalazł płatnika, zainkasował swoje osiemdziesiąt dolarów, po czym wrócił do stożkowatego namiotu, przerzucił przez ramię mee-shome i wziął do ręki walizkę. Major O. H. Woffenden, zwinięty na legowisku

pod gumowanym ponczem, nie otworzył nawet oczu i nie mruknął ani słowa na pożegnanie.

Pięć dni wcześniej 176 pułk z Pensylwanii wmaszerował w nieskładnym ordynku na pokłady parowców i jak głosiła plotka, został odwieziony na południe dla stoczenia bitwy gdzieś na terenie stanu Missisipi. Inne z kolei statki wyrzuciły na ląd 131 pułk z Indiany, który rozbijał właśnie namioty na miejscu opuszczonym przez Pensylwańczyków. Rob J. odszukał jego dowódcę. Okazał się nim dwudziestoparoletni pułkownik o dziecinnej jeszcze twarzy, Alonzo Symonds. Pułkownik Symonds oświadczył, że poszukuje właśnie lekarza. Poprzedni zakończył trzymiesięczny okres służby i wrócił do Indiany, felczera zaś nigdy w pułku nie mieli. Wypytał doktora Cole'a szczegółowo, to zaś, czego się dowiedział, wyraźnie mu zaimponowało, gdy jednak Rob J. zapowiedział, że zanim podpisze kontrakt, muszą zostać spełnione pewne warunki, na twarzy pułkownika Symonds'a odbiło się powątpiewanie.

Rob J. prowadził drobiazgowo raporty z apeli chorych w 106 pułku.

– Niemal każdego dnia trzydzieści sześć procent żołnierzy leżało chorych albo czekało w kolejce do mnie. Zdarzały się dni, w które ten procent był nawet wyższy. Jak to się ma do dziennej liczby chorych w pańskim pułku?

– Mamy bardzo wielu chorych – przyznał Symonds.

– Jeśli mi pan pomoże, pułkowniku, będzie pan miał zdrowszych żołnierzy.

Symonds był pułkownikiem dopiero od czterech miesięcy. Jego rodzina miała w Fort Wayne fabryczkę szklanych kominków do lamp, orientował się więc, jaką katastrofą dla firmy byłiby



chorowici robotnicy. 131 pułk z Indiany został sformowany przed czterema miesiącami z niewyszkolonych rekrutów i już po kilku dniach skierowany do służby wartowniczej w Tennessee.

Pułkownik uważał się za szczęśliwca, że mieli tylko dwie potyczki dość poważne, by można je nazwać kontaktem z nieprzyjacielem. Stracił jednego zabitego i miał dwóch rannych, tyłu zaś co dnia złożonych chorobą, że gdyby konfederaci się o tym zwiedzieli, mogliby rozbić jego pułk bez najmniejszego trudu.

– Co musiałbym zrobić?

– Pańskie oddziały rozbijają namioty na gnojówce, jaką zostawili po sobie Pensylwańczycy.

Woda jest tu również fatalna. Żołnierze piją wodę z rzeki, zanieczyszczoną wcześniej własnymi odchodami. Po drugiej stronie obozu, o niecałą milę stąd, jest teren z czystymi źródłami, które powinny przez całą zimę dostarczać dobrej wody, jeśli wpuści pan do nich dreny.

– Mocny Boże! Toż mila to szmat drogi, a ja muszę chodzić na narady z innymi pułkami! Może się też zdarzyć, że oficerowie z tych pułków zechcą zobaczyć się ze mną.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, w końcu pułkownik Symonds podjął decyzję. Podeszedł do starszego sierżanta.

– Rozkażcie zwinąć namioty, Douglass. Przenosimy się. Potem wrócił i podjął z upartym medykiem rozmowę o interesach.

Rob J. i tym razem odrzucił możliwość zaciągnięcia się na służbę. Był gotów zawrzeć trzymiesięczny kontrakt jako pełniący obowiązki asystenta lekarza.

– W takim razie figa z makiem, może pan odejść – oświadczył przebiegle młody pułkownik, lecz starszy mężczyzna nie myślał się

targować. Pułkownik Symonds obrzucił go uważnym spojrzeniem.

– Czego pan jeszcze chce?

– Latryn – rzekł Rob J.

Grunt był twardy, ale nie zmarznięty. W ciągu jednego ranka wykopano doły kloaczne, a na ich skraju umocowano żerdzie na wysokich na stopę podpórkach. Kiedy przed frontem wszystkich kompanii odczytano rozkaz, że wypróżnianie się i oddawanie moczu gdziekolwiek poza wyznaczonymi latrynami będzie podlegało natychmiastowej i surowej karze, podniósł się szmer niechęci. Ludzie potrzebują na ogół czegoś, czego mogliby nienawidzić i z czego mogliby szydzić, Rob J. zdał sobie zatem sprawę, iż to jemu przypadnie rola obiektu potrzebę ową wypełniającego. Ilekroć przechodził wśród żołnierzy, szturchali jeden drugiego łokciami, spoglądali nań szydlerczo i śmiali się drwiąco z tej komicznej figury w cywilnym garniturze, przypominającym coraz bardziej odzienię stracha na wróble.

Pułkownik Symonds nie zostawiał im jednak zbyt wiele czasu na rozpamiętywanie swoich krzywd. Na cztery dni zaprzął ich do pracy, w której rezultacie powstał szereg oddalonych jedna od drugiej, na wpół wkopanych w ziemię chat z bali i darni. Były wilgotne i duszne, zapewniały jednak znacznie lepsze schronienie niż namioty, rozpalane zaś w nich małe ogniska pozwalały ludziom przesywać w ciepłe zimowe noce.

Symonds był dowódcą z prawdziwego zdarzenia, przyciągał więc pod swoją komendę dobrych oficerów.

Intendentem pułku był niejaki kapitan Mason. Rob J. nie napotkał żadnych trudności w wyjaśnieniu mu pokarmowych przyczyn szkorbutu, był bowiem w stanie wskazać na przykłady

skutków tej choroby wśród żołnierzy. Pewnego dnia pojechali obaj wozem do Cairo, gdzie kupili beki kiszanej kapusty i marchwi, włączając te warzywa następnie w skład racji żywnościowych. Jeszcze częściej nawet niż w ich pułku występował szkorbut w reszcie obozu, ale gdy Rob J. spróbował poruszyć ten temat z lekarzami innych pułków, nie znalazł jakoś chętnych słuchaczy. Jego koledzy sprawiali wrażenie bardziej przejętych rolą oficerów niż lekarzy. Wszyscy przywdziali mundury, dwaj paradowali przy szabli jak oficerowie liniowi, a lekarz pułku z Ohio ozdobił sobie nawet ramiona klasycznymi frędzlastymi epoletami, podobnymi do tych, jakie Rob J. widział kiedyś na portrecie napuszonego francuskiego generała.

Sam podkreślał natomiast swój status cywila. Kiedy pewien sierżant z intendentury, wdzięczny za uwolnienie go od kurczów żołądka, wystarał mu się o niebieski wełniany płaszcz, przyjął podarek z radością, ale zawiózł go zaraz do miasta, kazał przefarbować na czarno i przyszyć zwykłe kościane guziki. Lubił stwarzać pozory, że dalej jest wiejskim lekarzem, który tylko przeniósł się chwilowo do innego miasteczka.

Obóz pod pewnymi względami był zresztą małym miasteczkiem, choć z ludnością wyłącznie męską.

Pułk miał własną pocztę, w której kapral Amasa Decker pełnił funkcję poczmistrza i listonosza zarazem. W środowe wieczory orkiestra pułkowa dawała koncerty na placu musztry, a kiedy grała popularne pieśni, takie jak „Słuchaj ptaszka-przedrzeźniaczka”, „Chodźmy, kędy śpi ma luba” albo „Porzuciłem cię, dziewczyno”, bywało, że żołnierze śpiewali do wtóru. Markietanie dostarczali do obozu różnorodność towarów. Za trzynaście dolarów miesięcznego

żołdu szeregowiec mógłby kupić furę sera po pięćdziesiąt centów funt lub galony skondensowanego mleka po siedemdziesiąt pięć centów puszka, nabywał jednak głównie trunki. Rob J. pozwalał sobie kilka razy w tygodniu na cukierki z melasy (sześć sztuk za ćwierć dolara). W wielkim namiocie tureckim fotograf urządził swoje atelier. Rob za dolara zrobił tam sobie pewnego dnia fotografię, na której wyszedł sztywno i poważnie. Posłał ją niezwłocznie Sarze na dowód, że jej mąż jeszcze żyje, ma się dobrze i bardzo ją kocha.

Znalazłszy się już raz ze swoimi niewyszkolonymi oddziałami na spornym terytorium, pułkownik Symonds postanowił, że jego żołnierze nigdy więcej nie podejmą walki nie przygotowani. Dlatego też przez całą zimę dawał im dobrze w kość. Nakazywał trzydziestomilowe marsze ćwiczebne, które dostarczały Robowi J. nowych pacjentów, część żołnierzy nadrywała sobie bowiem mięśnie od dźwigania pełnego ekwipunku polowego i ciężkiego karabinu. Inni nabawiali się przepukliny od noszenia pasów z ciężkimi ładownicami. Grupki żołnierzy nieustannie ćwiczyły walkę na bagnety, Symonds zmuszał ich też do powtarzania w nieskończoność uciążliwego ładowania karabinów:– Odgryź energicznie końcówkę papierowego ładunku, nasyp prochu w lufę, wprowadź ołowianą kulę, potem papierową przybitkę i dobrze to wszystko przybij. Wyjmij z ładownicy kapiszon i umieść na kominku. A teraz wyceluj to cacko i pal!

Powtarzali te czynności raz za razem, do znużenia, w nieskończoność. Symonds wyjawiał doktorowi Cole'owi, iż pragnie, aby jego żołnierze umieli załadować karabin i wystrzelić, nawet gdy

się ich obudzi z najgłębszego snu, nawet gdy odrętwieją z trwogi, nawet gdy ręce będą im się trzęsły z podekscytowania bądź strachu.

Podobnie chcąc ich nauczyć wykonywania rozkazów bez szemrania, wahania i sarkania na oficerów, nękał ich nieustannie marszami w szyku zwartym. Parę razy zaś zdarzyło się, że gdy świt odłonił oczom przebudzonych ze snu krajobraz pod śniegiem, Symonds pożyczał od służb drogowych w Cairo wielkie drewniane walce, które zaprzęgi koni wlokły następnie po placu apelowym tak długo, póki nie stał się równy jak stół i dość twardy, by kompanie mogły bez przeszkód odbywać na nim musztrę, podczas gdy orkiestra pułkowa przygrywała im marsze.

Obchodząc pewnego pogodnego zimowego dnia plac apelowy, na którym oddziały poddawane były musztrze, Rob J. powiódł wzrokiem po siedzących członkach orkiestry i zauważył, że jeden z waltornistów ma na twarzy znamię koloru portwajnu. Ciężki miedziany instrument oparł na lewym ramieniu, długa rura i czara głosowa za jego plecami pośniewały złościście w zimowym słońcu, a policzki dmącego w ustnik waltornisty – grali „Witaj, Columbio” – nadymały się jak balony i znów zapadały, nadymały się i zapadały. Ilekroć zaś wzdymały się powietrzem, purpurowa plama pod prawym okiem muzykanta ciemniała niczym latarnia sygnałowa.

Przez dziewięć długich lat Rob J. drętwiał za każdym razem, gdy spotykał mężczyznę ze znamieniem na twarzy, tymczasem teraz poszedł po prostu spokojnie dalej, przez całą drogę do namiotu szpitalnego mimo woli dostrajając krok do natarczywego rytmu muzyki.

Spotkawszy nazajutrz orkiestrę maszerującą na plac apelowy, gdzie miała przygrywać podczas przeglądu pierwszego batalionu,

poszukał wzrokiem waltornisty z piętnem na policzku, ale go nie znalazł. Ruszył więc w stronę chat, w których mieszkali muzycy z orkiestry, i od razu natknął się na tego, kogo szukał. Waltornista zdejmował ze sznurka zamrożone sztuki odzieży.

– Sztynniejsze niż pyta wisielca – zauważył z odrazą. – To kretynizm, żeby robić przeglądy w samym środku zimy.

Rob J. obłudnie zgodził się z nim, gdyż przeglądy były jego pomysłem, miały zaś na celu zmuszenie żołnierzy do prania choćby części swego przyodziewku.

– Ma pan wolny dzień, jak widzę?

Waltornista łypnął na niego spod oka.

– Ja na parady nie chodzę. Utykam.

Oddalił się z naręczem oblodzonej odzieży i Rob J. mógł stwierdzić, że istotnie chroma. Burzyłby symetrię wojskowej orkiestry. Jego prawa noga wydawała się nieco krótsza od lewej. Idąc wyraźnie utykał.

Rob J. wrócił do lodowatej, tonącej w półmroku chaty, otulił kocem ramiona i usiadł na swoim ponczu.

Jedenaście lat. Doskonale pamiętał tamten dzień. Pamiętał wszystkie wizyty w domach pacjentów odbyte, kiedy gwałcono i mordowano Makwa-ikwę.

Rozmyślał o tych trzech mężczyznach, którzy zjawili się w Holden's Crossing tuż przed zabójstwem i zaraz potem zniknęli. Przez jedenaście lat nie zdołał się o nich dowiedzieć niczego ponad to, że byli „tęgimi moczymordami”

Rzekomy kaznodzieja, wielebny Ellwood Patterson, którego leczył na syfilis.

Rosłej budowy grubas nazwiskiem Hank Cough.

Chuderlawy młodzieniec, na którego dwaj pierwsi wołali Len. Czasem Lenny. Z plamą koloru portwajnu na twarzy pod prawym okiem. Chromy.

Już nie chuderlawy, jeśli to ten sam człowiek. I nie taki już młody.

To pewnie nie ten, którego szuka, perswadował sobie. Jest nader prawdopodobne, że w Ameryce dałoby się znaleźć więcej niż jednego utykającego na nogę mężczyznę ze znamieniem na policzku.

„Wolałbym, żeby to nie był on”, skonstatował w duchu. Uświadomił sobie, że w gruncie rzeczy nie pragnie już tamtego odnaleźć. Co by zrobił, gdyby waltornista okazał się Lennym? Poderżnąłby mu gardło?

Poczuł się bezradny jak dziecko.

Śmierć Makwy udało mu się zepchnąć do nigdy nie otwieranego zakątka umysłu. Obecnie pomieszczenie to zostało otwarte – niczym puszka Pandory – i poczuł, że w głębi jego jestestwa rośnie zapomniany już niemal lodowaty chłód, nie mający nic wspólnego z temperaturą panującą w ciasnej chatce.

Wyszedł na dwór i skierował się do namiotu służącego za pułkowe biuro. Starszy sierżant Stephen Douglass (jego nazwisko pisało się z jednym „s” więcej niż nazwisko senatora) przywykł już do tego, że doktor Cole przegląda akta osób Wyznał mu kiedyś, że jeszcze nie spotkał lekarza wojskowego, który by taką jak on wagę przywiązywał do prowadzenia kart chorobowych.

– Znowu papierkowa robótka, doktorze?

– Nie tak dużo.

– Zechce się pan sam obsłużyć. Ordynans wyszedł właśnie po dzbanek gorącej kawy. Zapraszam na kubasek, jak wróci. Tylko

proszę mi nie zalać tych cholernych papierzyk.

Rob J. Obiecał, że nie zaleje.

Orkiestra wchodziła w skład kompanii sztabowej. Sierżant Douglass przechowywał dokumenty każdej kompanii porządnie poukładane w oddzielnych szarych pudłach. Rob J. odszukał pudło kompanii sztabowej. Znalazł w nim, owiązany sznurkiem niczym sekretny liścik, rulon dokumentów oznaczony napisem: „Orkiestra 131 pułku Indiana”

Przejrzał po kolei arkusze osobowe. W orkiestrze nie było nikogo o imieniu Leonard, lecz gdy natknął się wreszcie na szukaną kartę, zorientował się od razu, że znalazł tego, kogo szukał. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości, jak wówczas gdy Dar pozwalał mu orzec, czy dany pacjent umrze czy nie.

ORDWAY LANNING A., szeregowiec. Miejsce zamieszkania: Vincennes, Indiana. Wstąpił do służby 28 lipca 1862 na okres roku. Przeszkolenie poborowych w Fort Wayne. Miejsce urodzenia: Vincennes, Indiana, 11 listopada 1836. Wzrost: 5 stóp 8 cali. Kolor skóry: biała. Oczy: szare.

Włosy: brązowe. Zaciągnął się na czas ograniczony jako muzyk (kornet basowy) i robotnik niewykwalifikowany (z powodu kalectwa).



Na kilka tygodni przed wygaśnięciem kontraktu do Roba J. przyszedł pułkownik Symonds, żeby omówić warunki przedłużenia umowy. Wiosenna febra rozszalała się tymczasem we wszystkich pułkach prócz 131 z Indiany. Żołnierze Symondsa łapali przeziębienia od wilgotnej ziemi, dostawali rozwolnienia, ale tak krótkich kolejek do lekarza jak u Roba J. pułkownik od wstąpienia do wojska nie widział.

Orientował się, że pozostałe trzy pułki dziesiątkuje febra i zimnica, tymczasem jego regiment cieszył się względnie dobrym zdrowiem. Niektórzy z najstarszych wojaków, tacy, co w ogóle nie powinni się byli znaleźć w armii, zostali odesłani do domów. Większość spośród pozostałych miała wszy, brudne nogi i szyje, świerzb w pachwinach i piła za dużo whisky, ale ludzie byli szczupli, zahartowani w długich marszach, żwawi dzięki ciągłym musztróm. Oczy im lśniły i duch ich ożywiał ochoczy, ponieważ dzięki pełniącemu obowiązki asystenta lekarza doktorowi Cole'owi przetrwali zimę zdolni do służby, jak to był obiecał. Z sześciuset żołnierzy zmarło podczas zimy jedynie siedmiu – współczynnik umieralności dwunastu na tysiąc. Dla porównania: w pozostałych trzech pułkach nie przeżyło zimy pięćdziesięciu ośmiu z tysiąca, nie licząc żniwa, jakie miała jeszcze zebrać szalejąca febra.

Pułkownik zjawił się przeto u swojego pułkowego lekarza nastrojony polubownie i Rob J. bez wahania podpisał kontrakt na kolejne trzy miesiące. Umiał docenić to, że jest doceniany.

Oświadczył Symondsowi, że powinni się teraz zająć zorganizowaniem ambulansu, który by obsługiwał pułk w czasie bitew. Cywilna Komisja Sanitarna tak długo naciskała na sekretarza wojny, aż ambulanse i noszowi stali się częścią składową Armii

Potomacu, tu się jednak zapał reformatorski wyczerpał, tak że podobną troską o rannych nie zostały objęte jednostki z zachodnich rubieży.

– Sami musimy o siebie zadbać – oświadczył doktor Cole.

On i Symonds siedzieli wygodnie rozparci przed namiotem sanitarnym i kurzyli cygara, których dym snuł się w ciepłym wiosennym powietrzu. Rob J. opowiedział pułkownikowi o swojej podróży do Cincinnati na pokładzie parowca „War Hawk”

– Rozmawiałem z ludźmi, którzy po odniesieniu rany przez dwa dni leżeli na pobojowisku. Na szczęście dla nich spadł deszcz, nie mieliby bowiem ani łyka wody. Jeden z nich opowiadał mi, że nocą podeszły do nich świnie i zaczęły zżerać ciała. Nie tylko zresztą tych, którzy już nie żyli...

Symonds pokiwał tylko głową. Nasłuchał się już wielu równie potwornych opowieści.

– Żąda pan więc?

– Po czterech ludzi z każdej kompanii.

– Czyli pełnego plutonu noszowych! – wykrzyknął ze zgrozą pułkownik. – Ten pułk ma dalece niekompletny stan osobowy. Do wygrywania bitew potrzebuję żołnierzy, nie noszowych. – Przyjrzał się końcowi swojego cygara. – Wciąż mamy w nadmiarze starców i niedołęgów, którzy w ogóle nie powinni zostać przyjęci do służby. Niech pan wśród nich wybiera.

– To wykluczone. Potrzebujemy ludzi dość silnych, żeby byli w stanie dotrzeć do rannych pod ostrzałem i wynieść ich spod ognia. To nie jest zadanie dla schorowanych starców. – Rob J.

popatrzył uważnie na oblicze tego młodego mężczyzny, którego podziwiał i któremu współczuł.

Pułkownik Symonds kochał swoich żołnierzy i pragnąłby ich ochraniać, wykonywał jednak godne pozałowania rzemiosło zmuszające do szafowania ludzkim życiem, jakby to były ołowiane kule, raczej żywnościowe albo drwa na opał. – A może by tak wykorzystać muzyków z orkiestry? – zasugerował Rob J. – Niechby sobie na co dzień dmuchali w trąbki, ale podczas walki nosiliby nosze.

Pułkownik Symonds skinął z ulgą głową.

– Świetna myśl. Niech pan wybada, czy kapelmistrz odstąpiłby panu paru swoich ludzi.

Kapelmistrz Warren Fitts wykonywał od lat szesnastu zawód szewca, nim zaciągnął się do wojska w Fort Wayne. W młodości odebrał staranne wykształcenie muzyczne i jako młody człowiek czynił przez kilka lat starania o założenie konserwatorium w South Bend. Gdy długi zmusiły go do opuszczenia tego miasta, z gorzką ulgą jął się ojcowskiego rzemiosła – szewstwa. Ojciec wyuczył go fachu porządnie, szewcem był więc dobrym. Zarabiał na życie skromne, lecz wygodne, udzielając na boku lekcji muzyki – uczył gry na pianinie i na instrumentach dętych. Wojna rozbudziła w nim na nowo marzenia, z którymi już się był rozstał. W wieku lat czterdziestu otrzymał szansę zwerbowania orkiestry wojskowej i ukształtowania jej wedle własnych upodobań. Musiał wyszukiwać muzyczne talenty w każdym zakątku regionu Fort Wayne, nim skompletował orkiestrę, toteż ze zdumieniem słuchał teraz propozycji tego łapiducha, który zamierzał odebrać mu ludzi i zrobić z nich noszowych.

– Nigdy!

– Zabierałbym ich panu tylko na jakiś czas – tłumaczył Rob J. – Poza tym miałby ich pan dla siebie.

Fitts uczynił wysiłek, by ukryć pogardę.

– Muzyk musi poświęcać się orkiestrze duszą i ciałem. Kiedy nie koncertuje, ćwiczy albo bierze udział w próbach.

Rob J. wiedział na podstawie własnego doświadczenia z wiolonczelą, że tak jest w istocie.

– Czy nie ma w orkiestrze instrumentów, na które mógłby pan znaleźć dodatkową obsadę? – dociekał cierpliwie.

Pytanie to dało Fittsowi do myślenia. Kapelmistrzostwo było najbliższym dyrygenturze stanowiskiem, na jakie mógł liczyć, dokładał więc starań, aby zarówno on, jak i jego zespół byli godni miana prawdziwych artystów. Na głowie nosił szopę siwiejących włosów. Oblicze miał gładko wygolone, wyjąwszy starannie przystrzyżone wąsy, których końce natłuszczał woskiem i skręcał w świderki. Mundur leżał na nim nienagannie. Muzycy z jego orkiestry wiedzieli zaś, że muszą polerować blachę oraz dbać, by mundury były czyste, a buty wyczyszczone szuwaksem i wyglansowane. Musieli też składnie maszerować, ich kapelmistrz bowiem, gdy dumny jak paw postępował przodem, dzierżąc swą laskę tamburmajora, życzył sobie, aby za jego plecami kroczyła orkiestra dorównująca wysokim standardom, jakie ustanowił. Było w niej jednak paru takich, którzy stanowili rysy na tym wypieszczonym obrazie...

– Abner Wilcox – zaczął. – Trębacz. – Wilcox miał wyraźnego zęza rozbieżnego, a Fitts cenił sobie muzyków odznaczających się nie tylko talentem, lecz i urodą fizyczną. Nie mógł znieść widoku żadnego defektu na nieskazitelnym zespole, oddelegował więc

Wilcoxa do pełnienia dodatkowych obowiązków pułkowego trębacza.

– Oscar Lawrence. Dobosz. – Niezgrabny szesnastolatek, którego niezborne ruchy sprawiały, że był nie tylko marnym doboszem, ale i nazbyt często gubił w marszu krok i jego głowa wyskakiwała czasem z rytmu głów maszerujących równo muzykantów.

– Lanning Ordway – ciągnął Fitts, a doktor Cole, usłyszawszy to nazwisko, skwitował je zabawnym potaknięciem głową. – Waltornista. – Przeciętny muzyk, woźnica jednego z furgonów orkiestry, używany czasem do najzwyklejszych robót. Zdatny do dęcia w róg, gdy muzykowali dla żołnierzy w środowe wieczory albo odbywali próby, siedząc na krzeselkach na polu apelowym; lecz że utykał, nie mógł brać udziału w paradach, bo kaziłby efekt całości.

– Addison Perry. Pikolo i piszczałka. – Muzyk do luzu, a przy tym niechluj i fajtłapa. Fitts z radością pozbyłby się takiego balastu.

– Lewis Robinson. Kornet sopranowy. – Fitts musiał przyznać uczciwie, że to zdolny muzyk, ale mądrała z pretensjami, okropnie więc działał mu na nerwy. Parę razy podsuwał Fittsowi różne kawałki, ponoć własne kompozycje, i pytał, czy orkiestra nie mogłaby ich wykonać. Twierdził, że był dyrygentem w amatorskiej filharmonii w Columbus, Ohio. A Fitts nie życzył sobie, żeby mu ktoś zaglądał przez ramię i dyszał w kark.

– I kto jeszcze? – zapytał lekarz.

– I więcej nikt – uciął rozmowę kapelmistrz.

Przez całą zimę Rob J. obserwował Ordwaya ukradkiem. Denerwował się, bo choć tamten miał jeszcze sporo do odsłużenia, zdezerterować i zniknąć jak kamfora było nader łatwo. Ten sam

wszakże wzgląd, który trzymał w armii większość ochotników, miał władzę i nad Ordwayem, toteż wraz z czwórką pozostałych szeregowców stawił się do dyspozycji doktora Cole'a – człek całkiem sympatycznej jak na podejrzanego o morderstwo powierzchowności, wyjąwszy wodniste rozlatane oczy.

Żaden z tej piątki nie był zachwycony usłyszawszy o nowym przydziale. Lewis Robinson zareagował odruchem paniki.

– Ja muszę grać! Jestem muzykiem, nie lekarzem.

– Noszowym. Obecnie jest pan noszowym – sprostował Rob J., pozostali zaś zrozumieli, że te słowa odnoszą się także do nich.

Rob J. spróbował wyciągnąć ile się da z kiepskiej transakcji, jaką zawarł, i poprosił kapelmistrza, by w ogóle zrezygnował ze swoich praw do korzystania z muzycznych usług tej piątki, a ten z podejrzaną łatwością zgodził się na to ustępstwo.

Ćwiczenia z nowymi sanitariuszami Rob zaczął od abecadła: uczył ich zwijać bandaże i przygotowywać opatrunki, potem pozorował różne rodzaje ran i pokazywał im, jak je opatrywać.

Nauczył ich, jak podnosić i przenosić rannych, zaopatrzył też każdego w mały plecak mieszczący opatrunki, bandaże, naczynie ze świeżą wodą, ponadto opium i morfinę w proszku i pigułkach.

W wojskowym koszu z medykamentami znalazł niewielką liczbę łubków; nie spodobały mu się jednak, wystarał się więc o deski i noszowi wystrugali pod jego wymagającym okiem własne łubki. Abner Wilcox okazał się wprawnym i pomysłowym stolarzem. Zaprojektował doskonałe lekkie nosze, złożone z dwóch żerdzi połączonych płótnem. Intendent zaofiarował na ambulans wózek dwukołowy, ale Rob J., który przez całe lata tłukł się do chorych po wyboistych drogach, zdawał sobie sprawę, że do ewakuacji rannych

w trudnym terenie będzie potrzebował bezpiecznej stateczności czterech, a nie dwóch kół. Wystarał się zatemo solidny wóz, do którego Wilcox dobudował boczne ścianki i nakrył je dachem. Pomalowali sanitarkę na czarno, Ordway zaś nader zręcznie skopiował nadrukowany na koszu lekarski kaduceusz, odwzorowując go srebrną farbą po obu bokach pojazdu. Od oficera zajmującego się końmi Rob J. wyprosił z remoty parę szpetnych, ale silnych pociągowych perszeronów – odrzutków, podobnie jak reszta oddziału sanitarnego.

Piątka noszowych zaczęła, wbrew własnej woli, odczuwać pewną zespołową dumę, tylko Robinson biadał otwarcie z powodu zwiększonego ryzyka nowego przydziału.

– Naturalnie, że będzie niebezpiecznie – nie ukrywał Rob J. – Piechota liniowa też naraża się na niebezpieczeństwo, podobnie jak szarżująca kawaleria. Gdyby było inaczej, noszowi w ogóle nie byłiby potrzebni.

Zawsze zdawał sobie sprawę, że wojna deprawuje, teraz zaś łapał się na tym, że i jego zdeprawowała nie gorzej niż innych. Rozporządził życiem tych pięciu młodych ludzi, którzy będą odtąd musieli wybiegać zawsze po rannych, jakby salwy karabinów spływały po nich niby woda po kaczce, jakby potrafili się otrząsać z ognia artylerii, a teraz usiłował na dodatek zbagatelizować ich gniewny sprzeciw wobec tego wyjaśniając im, że należą do pokolenia skazanego na śmierć. Jego kłamliwe słowa i postawa miały zdjąć zeń odpowiedzialność, toteż starał się wierzyć równie mocno jak oni, że nie mają się teraz gorzej niż wtedy, gdy jedynym problemem w ich życiu była wybuchowość głupkowatego Fittsa

oraz to, czy dość ekspresywnie wygrywają swoje walce, polki i marsze.

Podzielił ich na zespoły noszowe: Perry z Lawrence'em, Wilcox z Robinsonem.

– A co ze mną? – zapytał Ordway.

– Pan zostanie przy mnie – zdecydował Rob J.

Listonosz, kapral Amasa Decker, zawarł z doktorem Co-le'em bliższą znajomość, przez niego bowiem płynął nieprzerwany strumień listów od Sary, długich i namiętych. Zmysłowość żony zawsze stanowiła dla Roba J.

jeden z jej powabów. Kiedy leżał czasem w swojej chatce i zachłannie czytał jej listy, chwytala go taka żądza, że miał wrażenie, iż dolatuje go zapach jej ciała. Chociaż w Cairo kobiet było w bród – od sprzedajnych dziwek po bezinteresowne patriotki – nie podjął nigdy próby zbliżenia się do którejkolwiek. Był dotknięty przekleństwem wierności.

Większość wolnego czasu spędzał na pisaniu do Sary czułych listów, mających podtrzymać ją na duchu i stanowić ochłodę dla jej niecierpliwego żaru. Czasami pisywał też do Szamana, regularnie zaś robił notatki w dzienniku. To znów leżał na swym ponczu i rozmyślał o tym, w jaki by tu sposób wyciągnąć z Ordwaya, co się zdarzyło tamtego dnia, kiedy zamordowano Makwa-ikwę. Zdawał sobie sprawę, że musi się wkraść w jego zaufanie.

Przypomniał sobie sprawozdanie o „Nic Nie Wiedzących” i Zakonie Gwiazdzistego Sztandaru, które dostał od Srogiej Miriam. Ktokolwiek je napisał – wyobrażał sobie zawsze, że tym kimś był szpiegujący ksiądz – podawał się za protestanta i antykatolika. Czy



podobna taktyka miałaby szansę powieść się po raz drugi? Raport został w Holden's Crossing wśród innych papierów Roba.

Przeczytał go jednak tylekroć i tak uważnie, że jak się teraz okazało, zapamiętał znaki i sygnały, zaszyfrowane wyrazy i hasła, cały ten rynsztunek tajemnego porozumiewania się, który mógłby z powodzeniem wymyślić skłonny do teatralizacji chłopiec o wybujałej wyobraźni.

Rob J. prowadził ćwiczenia z noszowymi, w tym takie, w którym sam grał rolę rannego, i zorientował się, że dwóch ludzi zdoła co prawda położyć rannego na noszach i zanieść do ambulansu, ale szybko się zmęczą i opadną z sił, jeśli przyjdzie im dźwigać go dłużej.

– Potrzebujemy po czterech ludzi do jednych noszy – ocenił Perry i Rob J. musiał przyznać mu rację, lecz takie rozwiązanie oznaczało, że miałyby do dyspozycji tylko jeden zespół noszowych, czyli z pewnością nie dość, gdyby pułk popadł w sroższe tarapaty.

Poszedł z tym do pułkownika.

– Widzi pan na to jakąś radę? – zapytał Symonds.

– Trzeba wykorzystać całą orkiestrę. Pięciu przeszkolonych przede mną noszowych mianować kapralami. Każdemu z nich dodać po trzech muzyków, a z pewnością pokierują takim zespołem w sytuacji, kiedy będzie wielu rannych. Gdyby żołnierzom przyszło wybierać między muzykantami, którzy przygrywają im pięknie do walki, a takimi co ratują im życie, wiem, jak by głosowali.

– Nie będzie żadnego głosowania – oświadczył sucho Symonds. – Od głosowań ja tutaj jestem.

Głosował jednak rozumnie. Pięciu noszowych naszyło sobie paski na rękawy, a Fitts mijał odtąd doktora Cole'a bez powitania.

W połowie maja zaczęły się upały. Obóz był położony w widłach rzek Ohio i Missisipi, których wody zanieczyszczały odchody tysięcy biwakujących w nim ludzi. Mimo to Rob J. rozdał wszystkim żołnierzom w pułku po kawałku szarego mydła i poprowadzono ich kompaniami nieco w górę Ohio, gdzie woda była czystsza, kazano się rozbierać i wykąpać. Wchodzili do rzeki klnąc i pojękując, ale że wywodzili się przeważnie ze wsi, nie mogli się oprzeć, żeby sobie przy okazji nie popływać, toteż kąpiel przekształciła się wkrótce w chlapaninę i psie figle. Wychodzących na brzeg poddawali oględzinom sierżanci, którzy wyjątkowo dokładnie kontrolowali głowy i nogi, przy czym ten i ów wśród wiwatów towarzyszy odsyłany był z powrotem do rzecznej łaźni.

Część mundurów, szytych z marnych tkanin, przypominała brudne łachmany. Pułkownikowi Symondsowi udało się zdobyć pewną liczbę nowych, gdy je zaś rozdano, żołnierze domyślili się słusznie, że czeka ich podróż rzeką. Oba pułki z Kansas wyruszyły już w dół Missisipi na parowcu.

W szeregach spekulowano, że posłano je na pomoc wojskom Granta i że 131. z Indiany podąży wkrótce ich śladem.

Tymczasem 27 maja po południu, przy akompaniamencie orkiestry Warrena Fittsa, ucinającej z podniecenia okropne kiksy, acz grającej z animuszem, pułk odmaszerował nie nad rzekę, a na stację kolejową. Ludzi i zwierzęta załadowano do wagonów towarowych i po dwóch godzinach, gdy doczepiono je do platform kolejowych, 119. pożegnał o zmierzchu Cairo w stanie Illinois.

Doktor Cole i noszowi jechali w wagonie szpitalnym. W chwili wyjazdu z Cairo mieli go w całości dla siebie, lecz po godzinie podróży w jednym z wagonów zasłabł młody szeregowiec. Gdy go

przeniesiono, Rob J. stwierdził, że chłopak ma wysoką gorączkę i bredzi. Obmył go namoczoną w spirytusie gąbką i postanowił, że przy najbliższej okazji odstawi chorego do szpitala cywilnego.

Oglądał z zachwytem wagon szpitalny, który byłby bezcenny, gdyby wracali nim z pola walki, a nie na nie jechali. Wzdłuż obu jego boków biegły trzy rzędy noszy. Każde z nich zawieszono pomysłowo na gumowych naciągach, przyczepionych w czterech rogach do haków w ścianach oraz specjalnych słupków; te rozciągające się i kurczące liny amortyzowały w znacznym stopniu wstrząsy i kołysanie się pociągu. Korzystając z braku pacjentów, piątka świeżo upieczonych kaprali rozwaliała się na wybranych noszach, orzekając zgodnie, że nawet jako generałowie nie podróżowaliby wygodniej. Addison Pory, który wykazał się już umiejętnością ucinania sobie drzemki w każdych warunkach, czy to za dnia, czy w nocy, spał smacznie, podobnie jak młodzieniaszek Lawrence.

Lewis Robinson wybrał sobie legowisko na uboczu, pod latarnią, i stawiał ołówkiem na kartce papieru małe czarne znaczki – komponował.

Pojęcia nie mieli, dokąd ich wiozą. Rob J. wyszedł przez drzwi z tyłu wagonu, wpuszczając do środka przeraźliwy łoskot kół, i spomiędzy rozchybotanych wagonów spojrzął w górę na usiane punkcikami gwiazd niebo. Odszukał Wielką Niedźwiedzicę, a następnie, przedłużony spojrzeniem linię łączącą jej dwie tylne gwiazdy, zlokalizował Gwiazdę Polarną.

- Jedziemy na wschód – oznajmił, wróciwszy do wagonu.
- A niech to jasna cholera! – burknął Abner Wilcox. – Wysyłają nas do Armii Potomacu.

Lew Robinson zaprzestał stawiania czarnych znaczków.

– I co w tym złego?

– Armia Potomacu niczego dotąd nie pokazała. Wciąż tylko czeka i czeka. A jak już się te patałachy ruszą, zaraz wezmą od Południowców w dupę. Wolałbym już jechać do Granta. To generał pełną gębą.

– Jak będziemy czekać, przynajmniej nie zginiemy – zauważył Robinson.

– Niedobrze mi się robi, że wiozą nas na wschód – oświadczył Ordway. – Ten pieprzony Wschód aż się roi od Irlandców i innych papistów. Ścierwa zatracone!...

– Pod Fredericksburgiem nikt nie stawał mężniej od Brygady Irlandzkiej. Prawie wszyscy zginęli – zauważył nieśmiało Robinson.

Rob J., nie namyślając się wiele, podjął decyzję. Końcem palca dotknął punktu pod prawym okiem, po czym przesunął go wolno w dół wzdłuż nosa. Tym znakiem jeden członek Zakonu Gwiazdzistego Sztandaru ostrzegał drugiego, że za dużo gada.

Czyżby poskutkowało, czy też był to tylko zbieg okoliczności? Lanning Ordway przypatrywał mu się przez chwilę, po czym zamilkł i ułożył się do snu.

O trzeciej nad ranem zatrzymali się na dłuższy postój w Louisville, gdzie doczepiono do eszelonu baterię artylerii. Nocne powietrze było duszniejsze i łagodniejsze niż w Illinois. Ci, którzy nie spali, powyłazili z pociągu, by rozprostować kości, a Rob J. odstawił do szpitala chorego kaprała.

Wracając potem wzdłuż toru przechodził obok dwóch odlewających się żołnierzy.

– Nie ma czasu na kopanie latryn, sdr – odezwał się jeden i obaj parsknęli śmiechem. Cywilny lekarz nie przestał być obiektem żartów.

Zbliżył się do miejsca, gdzie mocowano na platformach wielkie dziesięciofuntowe działa Parrotta i dwunastofuntowe haubice. Załadunek prowadzono przy świetle wielkich lamp wapniowych. Latarnie skwierczały, filowały i rzucały płachty cieni, które zdawały się żyć swoim własnym życiem.

– Doktorze... – odezwał się czyjś szept.

Z ciemności wyłonił się jakiś człowiek i chwycił go za rękę, dając znak rozpoznania. Zbyt zdenerwowany, by poczuć się głupio, Rob J. odpowiedział stosownym znakiem, a tak sprawnie, jakby czynił to już setki razy przedtem.

Ordway popatrzył na niego.

– W porządku – mruknął.

---

## 53 Długa szara linia

---

Znienawidzili ten eszelon. Wlókł się niemiłosiernie przez terytorium Kentucky, z największym trudem przewijał się wśród wzgórz – podobny przeraźliwie nudnemu, krętemu jak wąż w więzieniu.

Wiadomość o tym, że wjeżdżają na terytorium Wirginii, podawano w podnieceniu z wagonu do wagonu.

Żołnierze wyglądali przez okna, spodziewając się zobaczyć oblicza nieprzyjaciół, ujrzeli zaś tylko kraj lesistych gór. Kiedy pociąg przystawał na stacjach w małych miasteczkach dla uzupełnienia zapasów wody i paliwa, ludzie odnosili się do nich równie przyjaźnie jak w Kentucky, ponieważ Zachodnia Wirginia też była za Unią. Gdy wjechali do innej Wirginii, poznali to od razu. Na stacjach nie czekały już kobiety z lemoniadą bądź zimną wodą z górskich strumieni, twarze mężczyzn były surowe i zamknięte, oczy spod ciężkich powiek patrzyły nieufnie.

Pułk zatrzymał się w miejscowości Winchester – małej mieścinie okupowanej przez wojska Unii, aż niebieskiej od mundurów. Kiedy wyładowywano konie i sprzęt, pułkownik Symonds zniknął w budynku kwatery głównej niedaleko dworca, gdy zaś stamtąd wyszedł, oddziały i tabory, uformowane w kolumnę marszową, ruszyły na południe.

Gdy Rob J. zaciągał się do służby, poinformowano go, że konia kupić sobie musi sam. W Cairo nie odczuwał potrzeby posiadania wierzchowca, nie nosił wszak munduru i nie brał udziału w paradach, zresztą tam gdzie stacjonowało wojsko, o konie było trudno; kawaleria zawłaszczła całą remontę, jaka pojawiała się w polu widzenia – bez wyboru: czy to zwierzę wyścigowe, czy chabeta od pługów. Nie mając konia, Rob J. jechał więc ambulansem, zasiadłszy na koźle obok powożącego zaprzęgiem kaprała Ordwaya. W obecności Lanninga Ordwaya Rob J. wciąż odczuwał napięcie, choć tamten zapytał go tylko z ostrożnym zdziwieniem, dlaczego członek NZGS „gada z cudzoziemską”; miał na myśli ślady

szkockiego gardłowego „r”, które od czasu do czasu dawało się nadal słyszeć w wymowie doktora Cole'a. Rob J. odrzekł na to, że urodził się w Bostonie, ale jako młody człowiek został wysłany do Edynburga na naukę. Wyjaśnienie to zadowoliło widać Ordwaya. Stał się rozmowny i przyjacielski, najwyraźniej rad, że przypadło mu służyć pod komendą człowieka, który ma polityczne powody, by okazywać mu względy.

Minęli stojący przy piaszczystym gościńcu drogowskaz wskazujący kierunek na Fredericksburg.

– Mocny Boże – mruknął Ordway. – Mam nadzieję, że nie przyszło nikomu do głowy, żeby posyłać kolejną bandę Jankesów na tych rebelianckich kanonierów na wzgórzach pod Fredericksburgiem!...

Robowi J. nie pozostało nic innego, jak zgodzić się z nim.

Na kilka godzin przed zmierzchem pułk stanął na brzegu rzeki Rappahannock, gdzie Symonds zarządził postój i kazał rozbić obóz. Następnie zwołał przed swoim namiotem odprawę oficerów.

Rob J. przysłuchiwał się, stojąc z boku mundurowych.

– Panowie, od pół dnia wchodzimy w skład federalnej Armii Potomacu dowodzonej przez generała Josepha Hookera – oznajmił pułkownik.

Poinformował, że Hooker ma pod swoją komendą siły w liczbie około 122 tysięcy żołnierza, rozrzucone na znacznej przestrzeni. Robert E. Lee na czele 90 tysięcy konfederatów stoi we Fredericksburgu. Kawalerzyści Hookera od jakiegoś już czasu chodzą podjazdami na rekonesans i są przekonani, że Lee szykuje się do najechania Północy, aby odciągnąć wojska Unii od oblężenia

Vicksburga. Nikt jednak nie wiedział, gdzie ani kiedy ta inwazja miałaby nastąpić.

– Panowie w Waszyngtonie wykazują zrozumiałe zdenerwowanie, mając Armię Konfederacji o parę godzin marszu od drzwi Białego Domu. Nasz pułk dostał rozkaz połączenia się z jednostkami pod Fredericksburgiem.

Oficerowie przyjęli tę wiadomość w powadze. Wystawiono kilka rzędów bliższych i dalszych wart i obóz przygotował się na noc. Zjadłszy swój przydział szynki z fasolą, Rob J. wyciągnął się na wznak i zapatrzył w okazałe letnie gwiazdy na wieczornym niebie. Wyobrażenie sobie tak olbrzymich wrogich armii, jakie naprzeciwko siebie stanęły, przekraczało jego siły. Mniej więcej 90 tysięcy konfederatów! Około 122 tysięcy federalnych! I wszyscy czynią co mogą, żeby się wzajemnie pozabijać.

Noc była kryształowo czysta. Sześciuset czternastu żołnierzy 131 pułku z Indiany rozłożyło się na gołej nagrzanej ziemi, nie trudząc się rozbijaniem namiotów. Wielu z nich trzymały się jeszcze przywiezione z północy przeziębienia; kaszel mógł z łatwością zdradzić ich obecność znajdującemu się w pobliżu nieprzyjacielowi. Doktora Cole'a nawiedził przelotnie nocny koszmar lekarzy: jął się zastanawiać, jak brzmiałby jednoczesny kaszel 122 tysięcy mężczyzn. Zrobiło mu się zimno, więc objął się własnymi ramionami. Zdawał sobie sprawę, że jeśli dwie tak potężne armie zetną się w boju, do wynoszenia rannych nie starczy sanitariuszy z orkiestry.

Dwa i pół dnia zajął im przemarsz do Fredericksburga. Po drodze omal nie ulegli tajnej broni Wirginii – kleszczom.

Małeńkie czerwone robaczki spadały na nich z gałęzi drzew, pod którymi przechodzili, i czepiały się ich, gdy brodzili przez trawy.



Trafiwszy na ubranie, wędrowały tak długo, póki nie dotarły do nagiej skóry, a wtedy wkręcały się w ciało, by na nim żerować. Żołnierze byli wkrótce cali obsypani kleszczową wysypką, mieli ją między palcami rąk i nóg, na pośladkach, na wstydliwych częściach ciała. Organizm tych insektów składał się z dwóch części; jeśli żołnierz spostrzegł, że owadzi intruz wkręca mu się w skórę i próbował go usunąć, kleszcz rozrywał się w połowie i ta część, która zdążyła już wnikać w pożywny grunt, czyniła taką samą szkodę jak cały osobnik. Trzeciego dnia niemal wszyscy żołnierze drapali się jak opętani, klnąc przy tym na czym świat stoi. Niektórym ranki zaczynały się już jątrzyć, czemu sprzyjały wilgoć i upał. Rob J. mógł jedynie spryskiwać pasożyty roztworem siarki, paru wszelako żołnierzy miało doświadczenie w obchodzeniu się z kleszczami i ci nauczyli pozostałych, że najlepszym na nie sposobem jest przybliżyć do skóry żarzący się koniec patyka lub zapalone cygaro, póki kleszcz, skuszony ciepłem, nie zacznie wykręcać się ku jego źródłu. Można go było wówczas uchwycić i wyciągnąć ostrożnie i powoli, dbając, by się nie przerwał. Żołnierze w całym obozie usuwali jeden drugiemu insekty, ów zaś widok przypominał Robowi mały menażerii w Edynburgu wyiskujące sobie wszy.

Plaga kleszczy nie zatarła jednak grozy położenia. Niepokój w szeregach rósł w miarę zbliżania się do Fredericksburga, miejsca strasznej rzezi Jankesów podczas wcześniejszej bitwy. Gdy tam wszakże przybyli, ujrzeli tylko niebieskie mundury Unii. Robert E. Lee kilka nocy wcześniej wycofał ciszkiem swoje oddziały pod osłoną ciemności i jego Armia Północnej Wirginii pociągnęła na północ. Kawaleria federalna nękała go podjazdami, ale Armia

Potomacu – z powodów znanych jedynie generałowi Hookerowi – nie ruszyła za nim w pościg.

Pod Fredericksburgiem obozowali sześć dni, spędzając je na odpoczynku, kurowaniu pęcherzy na stopach, usuwaniu kleszczy, czyszczeniu i oliwieniu broni. W wolnych chwilach żołnierze wspinali się małymi grupkami na grzbiet wzgórza, gdzie przed sześcioma zaledwie miesiącami poległo lub odniosło rany blisko trzynaście tysięcy żołnierzy federalnych. Widząc, jak łatwy cel stanowią wdrapujący się za nimi towarzysze, dziękowali Bogu, że Lee już się stamtąd wyniósł.

Po odebraniu przez Symondsa świeżych rozkazów pułk ruszył dalej na północ. Maszerowali właśnie jakimś piaszczystym traktem, gdy dogoniła ich wiadomość, że Winchester, miasteczko, gdzie wysiedli z pociągu, zostało ciężko ostrzelane przez konfederatów pod dowództwem generała Richarda S. Ewella. Rebelianci znowu odnieśli zwycięstwo – dziewięćdziesięciu pięciu żołnierzy Unii poległo, trzystu czterdziestu ośmiu zostało rannych, ponad cztery tysiące zaginęło bez wieści lub dostało się do niewoli.

Jadąc niewygodnym ambulansem tą wiejską spokojną drożyną, Rob J. nie wierzył w możliwość bitwy, podobnie jak nie wierzył w istnienie śmierci, kiedy był małym chłopcem. Dlaczego ludzie mieliby umierać? To nie miało sensu, przecież żyć jest przyjemniej. I po co by mieli walczyć przeciwko sobie na wojnie? Toć przyjemniej podążać leniwie tą krętą, spaloną słońcem drogą, niż się mordować nawzajem.

Jego dziecięca niewiara w kres życia rozwiązała się po śmierci ojca, natomiast teraz rzeczywistość przypomniwała mu o sobie, gdy stanęli przed gmachem sądu w Fairfax i miał możliwość przekonać się

naocznie, co mieli na myśli autorzy Biblii opisując ogromne armie jako ćmę nieprzebraną.

Rozłożyli się obozem na sześciu poletkach jakiejś farmy, otoczeni obozującymi po sąsiedzku pułkami artylerii, kawalerii i oddziałami piechoty. Gdziekolwiek Rob J. spojrzeł, wszędzie widział żołnierzy Unii. Armia była w nieustannym ruchu, jedne oddziały przychodziły, inne odchodziły. Następnego dnia po przybyciu do obozu dowiedzieli się, że wojska Lee naprawdę najechały Północ, przeprawiając się przez Potomac i wkraczając do stanu Maryland. Teraz, gdy Lee określił już swoje zamiary, również Hooker zdecydował się działać, śląc opieszale na północ pierwsze jednostki swej armii i starając się zastępować generałowi Lee drogę do Waszyngtonu. Czterdzieści godzin później 131 pułk uformował się i podjął marsz na północ.

Siły obu wojsk były zbyt wielkie i zanadto rozproszone, by można je szybko i sprawnie przegrupować. Część wojsk Lee została jeszcze w Wirginii, dążąc do przekroczenia rzeki i połączenia się z dowódcą. Wrogie armie przypominały bezkształtne pulsujące monstra, to rozlewające się, to kurczące w nieustannym ruchu, czasem niemal ocierające się o siebie. Gdy ich obrzeża zderzały się ze sobą, wybuchały iskrzące strzelaniną potyczki – pod Upperville, pod Haymarket, pod Aldie i w dziesiątku innych miejsc. Do 131 pułku nie docierały żadne namacalne świadectwa walk, raz tylko w środku nocy linie wysuniętych czat wymieniły niecelne strzały z jakimiś jeźdźcami, którzy zaraz uciekli.

Regiment pułkownika Symondsa przeprowił się przez Potomac łodziami nocą 27 czerwca, a nazajutrz rano ruszył w dalszą drogę na północ przy dźwiękach wygrywanej przez orkiestrę Fittsa pieśni

„Maryland, my Maryland” Ten i ów ze spotykanych po drodze ludzi pomachał żołnierzom, ale na ogół obywatele stanu Maryland nie wydawali się zbyt poruszeni widokiem wojska, od paru już bowiem dni oglądali przemaszerowujące oddziały. Nie tylko doktor Cole miał wkrótce serdecznie dosyć melodii stanowego hymnu, mimo to orkiestra wygrywała go niestrudzenie przez cały ranek, gdy pułk wędrował przez urodzajne faliste pola i wkraczał do leżących wśród nich zadbanych wiosek.

– Co to za rejon Marylandu? – zapytał Ordway Roba J.

– Nie wiem. – Mijali właśnie staruszka siedzącego na ławie i przypatrującego się żołnierzom. – Proszę pana – zawołał do niego Rob J. – jak się nazywa ta piękna miejscowość?

Wyglądało na to, że komplement skonfundował starca.

– Ze niby nasze miasteczko?... Gettysburg w stanie Pensylwania.

Wkraczając na teren Pensylwanii żołnierze 131 pułku mieli już od dwudziestu czterech godzin nowego głównodowodzącego, choć jeszcze o tym nie wiedzieli. Generał George Meade został mianowany na miejsce generała Joego Hookera, który płacił w ten sposób za opieszałość w ściganiu konfederatów.

Pułk przemaszerował przez miasteczko i ruszył Taneytown Road. Wojska Unii stały na południe od Gettysburga, toteż Symonds zarządził postój na rozległej pagórkowatej łące, zdatnej na obozowisko. W powietrzu wisiała duchota, żar, wilgoć i zuchowata buńczuczność. Żołnierze rozmawiali o zawołaniu bojowym rebeliantów. W Tennessee nie zdarzyło im się go słyszeć, ale dużo o nim opowiadano, nasłuchali się też wielu naśladownictw. Rozważali, czy w ciągu kilku najbliższych dni dane im będzie się zetknąć z jego oryginalnym brzmieniem.

Pułkownik Symonds zdawał sobie sprawę, że najlepszym lekarstwem na nerwy jest praca, kazał więc zorganizować brygady kopaczy i kopać płytkie stanowiska ogniowe za kopcami polnych kamieni, które mogły służyć jako przedpiersie. W nocy zasypiali przy śpiewie ptaków i cykaniu pasikoników, a rano zbudzili się w duszniejszym jeszcze upale, przy odgłosach gęstej strzelaniny dolatujących z odległości kilku mil, z północnego zachodu, od Chambersburg Pike.

Około jedenastej przed południem pułkownik Symonds odebrał nowe rozkazy i pułk przemaszerował pół mili lesistym grzbietem na łąkę na wzgórzu na wschód od Emmitsburg Road.

Posepnym dowodem, że to nowe stanowisko znajduje się bliżej wroga, były ciała sześciu wartowników z szeregów Unii. Wyglądali, jak gdyby spali rozwaleni na skoszonej trawie. Wszystkie trupy miały bose stopy, nędznie bowiem obuci żołnierze Południa zdarli im buty.

Symonds rozkazał sypać nowe przedpiersia i rozstawił warty. Na prośbę doktora Cole'a wzniesiono pod lasem długą i wąską, podobną do ogrodowej altany konstrukcję z żerdzi i nakryto ją daszkiem z ulścionych gałęzi, by rannym zapewnić cień. Przed tym to schronieniem Rob J. rozstawił stół operacyjny.

Od konnych kurierów dowiedzieli się, że strzały, które słyszeli, były odgłosami potyczki między oddziałami kawalerii. Wzmagający się w ciągu dnia gwar bitwy docierał do uszu żołnierzy 131 pułku od północy, przynosząc uporczywą ochrypłą palbę gwintowanych karabinów, przypominającą zajadłe szczekanie tysięcy psów, oraz grzmącą, urywaną, nie milknącą ani na chwilę kanonadę dział.

Każdy najłżejszy nawet podmuch dusznego powietrza odbierali jak chłaśnięcie w twarz.

Wczesnym popołudniem ich pułk po raz trzeci tego dnia zmienił pozycję i pomaszerował w stronę miasteczka, czyli tam, skąd docierały odgłosy bitew, tryskały ogniem lufy armat i unosiły się kłęby białoszarego dymu. Rob J. poznał już żołnierzy, toteż wiedział, że większość z nich marzy o jakiejś lekkiej ranie, niewiele groźniejszej od draśnięcia, takiej jednak, która szybko się zagoiwszy, pozostawiłaby widoczny ślad, aby po powrocie kontuzjowanego do domu wszyscy mogli zobaczyć, że dołożył się swoim cierpieniem do świetnego zwycięstwa. Tymczasem zdążali tam, gdzie się ginie.

Przemaszerowali przez miasteczko, po czym wspiąwszy się na wzgórze, znaleźli się w samym środku odgłosów, które dotychczas słyszeli z daleka. Nad ich głowami przeleciało ze świstem kilka artyleryjskich pocisków, pod ogniem minęli stanowiska okopanej piechoty i cztery baterie dział. Na szczycie wzniesienia, gdzie mieli rozkaz zająć pozycję, okazało się, że ulokowano ich pośrodku cmentarza, od którego wzgórze wzięło nazwę Wzgórza Cmentarnego. Rob J. instalował właśnie swój punkt opatrunkowy za imponującym grobowcem, dającym oprócz osłony od pocisków również odrobinę cienia, gdy przybiegł zły potem pułkownik pytając o oficera sanitarnego. Przedstawił się jako pułkownik Martin Nichols z Departamentu Medycznego i oświadczył, że organizuje służby sanitarne.

– Czy ma pan doświadczenie jako chirurg? – zapytał. Nie była to pora na popisywanie się skromnością.

– Tak, i to niemałe – odparł Rob J.

– Wobec tego jest mi pan potrzebny w lazarecie, dokąd znoszą ciężko rannych na operacje.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, pułkowniku, wolałbym zostać z moim pułkiem.

– I owszem, mam coś przeciwko temu, doktorze. Dysponuję pewną liczbą dobrych chirurgów, ale muszę też korzystać z usług młodych i nieopierzonych lekarzy, którzy przeprowadzając trudniejsze operacje wypuszczają spod noża kaleki. Amputują kończyny nie zostawiając płatów skóry, a kilku prokuruje nawet kikuty, z których sterczą kilkucalowe nagie kości. Puszczają się podczas operacji na najdziwsze eksperymenty, na jakie nie pozwoliliby sobie nigdy doświadczeni chirurdzy: dokonują resekcji głowy kości ramiennej, amputacji stawu biodrowego i barkowego. Bez potrzeby produkują kaleki i nieszczęśników, którzy już do końca życia będą się co rano budzili wyjąc z bólu. Zastąpi pan któregoś z tych rzeźników, a ja przyślę go tutaj, niech zakłada rannym opatrunki.

Rob J. kiwnął głową. Przekazał Ordwayowi kierownictwo nad punktem medycznym i zbiegł ze wzgórza za pułkownikiem Nicholsem.

Lazaret mieścił się w miasteczku w kościele katolickim pod wezwaniem, jak spostrzegł, Świętego Franciszka. Musi to sobie zapamiętać, by opowiedzieć później Srogiej Miriam. Jeden stół operacyjny stał w przedsionku, którego dwuskrzydłowe drzwi trzymano szeroko otwarte, żeby chirurg miał jak najlepsze oświetlenie. Na kościelnych ławkach ułożono deski, a na nich słomę i koce – łóżka dla rannych. W małym wilgotnym w pomieszczeniu w piwnicy, oświetlonym lampami rzucającymi

żółtawe blaski, stały jeszcze dwa stoły operacyjne; przy jednym z nich zajął miejsce Rob J. Zdjął marynarkę i podwinął wysoko rękawy, gdy tymczasem kapral z pierwszej dywizji jazdy podawał już chloroform żołnierzowi, któremu kula armatnia urwała dłoń. Ledwie znieczulenie zaczęło działać, Rob J. odjął chłopcu dłoń powyżej nadgarstka, pozostawiając spory płat skóry na zabliźnienie kikuta.

– Następny! – zawołał. Wniesiono kolejnego pacjenta i Rob J. zabrał się do pracy.

Piwnica mierzyła około dwudziestu stóp szerokości i czterdziestu długości. Przy drugim stole, stojącym w jej przeciwległym końcu, operował inny chirurg, ale rzadko jeden na drugiego podnosili wzrok, niewiele się też do siebie odzywali. Rob J. zauważył wszelako w ciągu popołudnia, że jego kolega wykonuje przyzwoitą robotę, sam również zyskał najwidoczniej u tamtego podobne uznanie.

Dokonawszy tych ukradkowych oględzin, obaj skoncentrowali się następnie bez reszty na swoich stołach. Rob J. sondował rany, szukając kul i odłamków, wpychał na miejsce wyopatroszone wnętrzości, zaszywał rany, ale przede wszystkim amputował. Amputował i amputował. Ołowiana kula była niespiesznym pociskiem, o działaniu szczególnie rujnującym, gdy trafiała w kość. Kiedy ją wyrywała lub roztrzaskiwała na kawałki, chirurgowi pozostawało jedynie amputować kończynę. Na brudnej podłodze między Robem J. a drugim chirurgiem rósł szybko stos rąk i nóg. Co jakiś czas wchodzili żołnierze i wynosili obcięte członki.

Po czterech czy pięciu godzinach wpadł do piwnicy jakiś pułkownik, w odróżnieniu od poprzedniego odziany w szary



mundur, i oznajmił obu lekarzom, że dostali się do niewoli.

– Mamy bitniejszych niż wy żołnierzy, zajęliśmy miasto. Odparliśmy wasze oddziały na północ, wzięliśmy cztery tysiące jeńców.

Cóż można było na to odpowiedzieć? Drugi chirurg zerknął na Roba i wzruszył ramionami. Rob J.

właśnie operował, poprosił więc tylko pułkownika, by nie zasłaniał mu światła.

Ilekcóż miał chwilę wytchnienia, próbował zdrzemnąć się choć na kilka minut, lecz zdarzało się to niezmiernie rzadko. Potykające się ze sobą armie w nocy spały, lekarze wszelako ani na moment nie ustawiali w pracy, usiłując reperować tych, których one porozdzierały na strzepy. Piwnica nie miała okien, lampy paliły się przez cały czas. Rob J. zatracił wkrótce całkowicie poczucie czasu.

– Następny – wołał. Następny! Następny! Następny!...

Jego zadanie przypominało sprzątanie stajni Augiasza, ledwo bowiem uporał się z jednym pacjentem, wnoszono kolejnego. Jedni mieli na sobie okrwawione i podarte mundury szare, inni okrwawione i podarte mundury niebieskie; zorientował się szybko, że podaż i tych, i tych jest nieograniczona.

Natomiast zapasy wszelkich środków medycznych nie były nieograniczone. W lazarecie skończyły się wkrótce opatrunki, brakowało żywności. Pułkownik, który im oznajmił, że Południe ma bitniejszych żołnierzy, obecnie ich powiadomił, że nie posiada ono ani chloroformu, ani eteru.

– Nie potraficie ich nawet obuć ani zapewnić im środków znieczulających, dlatego w końcu przegracie – stwierdził bez satysfakcji Rob J. i poprosił oficera, żeby wystarał mu się o zapas

alkoholu. Pułkownik wyszedł, przysłał jednak trochę whisky dla pacjentów, a dla lekarzy gorącą zupę z gołębia, którą Rob J. wypił nie czując nawet jej smaku.

Pozbawiony środków znieczulających, zatrudnił kilku krzepkich żołnierzy do przytrzymywania rannych i operował jak za młodych lat, tnąc, piłując i zszywając szybko i sprawnie, jak go nauczył William Fergusson. Jego ofiary wrzeszczały wniebogłosy i próbowały się wyrwać, a doktor Cole nie miał nawet czasu ziewnąć i chociaż często mrugał powiekami, oczy wciąż trzymał otwarte.

Uświadamiał sobie uporczywy ból w spuchniętych stopach i nadgarstkach, toteż od czasu do czasu, między jednym a drugim pacjentem, rozcierał lewą ręką przegub prawej. Każdy przypadek był inny, lecz że liczba sposobów kaleczenia istot ludzkich jest ograniczona, wkrótce poczęły się one powtarzać, miał więc już do czynienia z samymi powtórkami, nawet gdy kładziono mu na stół rannych ze zmasakrowanymi ustami, odstrzelonymi genitaliami czy przestrzelonymi oczami.

Mijała godzina za godziną.

Zaczęło mu się w końcu wydawać, że większą część życia spędził w tej ciasnej wilgotnej piwnicy krojąc ludzkie ciała i że jest skazany na tkwienie tam wiecznie. Po jakimś czasie w docierających z zewnątrz odgłosach nastąpiła wszelako zmiana. Znajdujący się w kościele ludzie przywykli już do jęków, krzyków, palby karabinów, kanonady dział i moździerzy, a nawet do huku rozrywających się w pobliżu, wstrząsających posadami kościoła bomb. Potem zaś strzelanina i bombardowania osiągnęły jakieś nowe crescendo, kilka godzin trwający opętańczy jazgot eksplozji, po czym nastąpiła

względna cisza i ludzie w kościele zaczęli naraz słyszeć, co do siebie mówią. Jeszcze później rozległ się jakiś nowy hałas, który wzbierał i podnosił się niczym ocean, gdy zaś Rob J. posłał sanitariusza konfederatów, by sprawdził, co to takiego, ten po powrocie wyrzucił z siebie urywanym głosem, że to wiwatują ci przekłeci parszywi Jankesi, ot co.

Kiedy kilka godzin później do ciasnej mrocznej piwnicy wszedł Lanning Ordway, doktor Cole wciąż stał przy stole operacyjnym.

– Panie doktorze, na miły Bóg, pan idzie ze mną!

Od Ordwaya dowiedział się, że przestał w tej piwnicy prawie dwie doby, dowiedział się też, gdzie biwakuje ich pułk. Rob J. pozwolił, żeby „serdeczny towarzysz broni” i zarazem „śmiertelny wróg” zaprowadził go do bezpiecznego pustego składziku, gdzie udało się rozesać miękkie legowisko z czystej słomy, na którym położył się i natychmiast zasnął.

Późnym popołudniem następnego dnia obudziły go jęki i krzyki rannych, których rozłożono wokół niego na podłodze. Przy stołach tkwili inni chirurdzy, dając sobie jakoś radę bez doktora Cole’a. Nie było sensu korzystać z kościelnego wychodka, dawno już zresztą obalonego, wyszedł więc na dwór, na ulewny zdrowy deszcz, i załatwił potrzebę za krzakami bzu, które znów należały do Unii.

Cały Gettysburg należał znowu do Unii. Rob J. idąc w strugach deszczu przyglądał się otoczeniu.

Zapomniał, gdzie obozuje jego pułk, choć Ordway mu powiedział, i pytał o to każdego, kogo spotkał. Znalazł w końcu towarzyszy. Siedzieli w kucki w namiotach rozbitych na polach jakiejś farmy na południe od miasta.

Wilcox i Ordway przywitali go z radością, która go wzruszyła. Zdobyli gdzieś jajka! Podczas gdy Lanning Ordway drobił suchary do smażonej na wieprzowym tłuszczu jajecznicy na śniadanie dla doktora, pozostali dzielili się z nim nowinami, zaczynając od tych niedobrych. Thad Bushamn, pierwsza tuba w orkiestrze, poległ.

– Miał tylko jedną małą dziurkę w piersi – powiedział Wilcox. – Musiał dostać prosto w serce.

Spośród noszowych pierwszy odniósł ranę Lew Robinson.

– Oberwał w stopę zaraz po pana odejściu – informował Ordway. – A Oscara Lawrence’a kula z działa przecięła wczoraj prawie na pół.

Ordway usmażył jajecznicę i postawił patelnię przed doktorem. Rob J. wspomniał ze szczerym smutkiem młodego niezgrabnego dobosza. Ku własnemu zawstydzeniu nie potrafił się jednak oprzeć głodowi i rzucił się na jedzenie jak wilk.

– Oscar był za młody do wojaczki. Powinien siedzieć w domu przy mamusi – stwierdził gorzko Wilcox.

Rob j. sparzył sobie wargi czarną kawą; choć lurowata, smakowała wybornie.

– My wszyscy powinniśmy siedzieć w domu przy mamusi – zauważył i czknął. Powoli dokończył jajecznicę i wypił jeszcze jeden kubek kawy, słuchając opowieści o tym, co się zdarzyło, gdy on operował rannych w kościelnej piwnicy.

– Pierwszego dnia zepchnęli nas na wyżynę na północ od miasta – opowiadał Ordway. – Lepiej już nie mogło nam się trafić. Drugiego dnia znaleźliśmy się na długiej linii frontu, która przebiegała na północy, bliżej miasta, między dwoma pasmami wzgórz, Cmentarnym i Culp’s Hill, a parę mil na południe między wzgórzami Okrągłym i Małym Okrągłym. Walka była zażarta jak

cholera. Wielu poszło do Bozi. Przez cały czas wynosiliśmy rannych.

– A całkiem dobrze nam szło – wtrącił Wilcox. – Dokładnie tak, jak nas pan nauczył.

– Spodziewam się.

– Na drugi dzień przetrzucili nas na Wzgórze Cmentarne dla wsparcia oddziałów Howarda. Koło południa dostaliśmy się pod piekielny ogień konfederackich dział – relacjonował dalej Ordway.

– Nasze wysunięte czujki odkryły, że jak nas tak prażyli z tych dział, cała ich wataha przekradała się dołem do lasów po drugiej stronie drogi do Emmitsburga. Między drzewami co i raz błyskały się ich bagnety. Ostrzeliwali nas tak godzinę albo i dłużej i niejednego trafili, a myśmy się przez cały czas szykowali, bośmy wiedzieli, że jak nic nas zaatakują.

– Wczesnym popołudniem przestali bluzgać na nas z armat, nasze też umilkły. A potem któryś z chłopaków wrzasnął: „Idą!” i rzeczywiście: wylazło z lasu z piętnaście tysięcy tychzbuntowanych skurczysynów Lee w szarych mundurach. Szli na nas ramię przy ramieniu, szereg za szeregiem. Bagnety sterczały im nad głowami jak długi, wygięty parkan ze stalowych sztachet, a błyszczały się w słońcu, aż raziło. Nic nie krzyczeli, nic nie gadali, tylko szli na nas tym szybkim, równym krokiem.

– Mówię panu, doktorze – ciągnął Ordway – Robert E. Lee już parę razy przetrzepał nam tyłek i wiem, że ścierwo ma łeb nie od parady, ale tu, w Gettysburgu, gość się nie popisał. Nie wierzyliśmy wprost własnym oczom, jak tamci leżli tak na nas przez odkryte pole, mając nas w górze nad sobą, dobrze osłoniętych.

Wiedzieliśmy, że to już zimne trupy, a i oni chyba zdawali sobie z tego sprawę.

Paradowali tak dobrą milę. Pułkownik Symonds i drudzy oficerowie darli się wzdłuż linii: „Nie strzelać! Dopuścić bliżej. Wstrzymać ogień!” Tamci chyba też to słyszeli.

– Kiedy podeszli do nas tak blisko, że było widać ich twarze, zagrała nasza artyleria z Małego Okrągłego i Cmentarnych Wzgórz, a tych szaraków jakby zmiotło. Ci, co przeżyli, pchali się na nas dalej przez dym i Symonds ryknął na koniec: „Ognia!”, no i każdy z chłopaków ustrzelił sobie Południowca. Któryś z naszych krzyknął: „Za Fredericksburg!” i potem już wszyscy tak wrzeszczeli.

„Za Fredericksburg! Za Fredericksburg!” Strzelali i ładowali, strzelali i ładowali...

– Południowce tylko w jednym miejscu podeszły aż pod kamienny murek u stóp naszej górki. Bili się jak sto diabłów, ale i tak który nie zginął, ten dostał się do niewoli – zakończył Ordway.

Rob J. pokiwał głową. Domyślił się, że wtedy właśnie usłyszeli w kościele ten wybuch radości.

Wilcox i Ordway przez całą noc nosili rannych i teraz wracali znowu do tego zadania. Rob J.

postanowił im towarzyszyć mimo rzęsistej ulewy. Gdy przyszli na pobojuwisko, stwierdził, że deszcz należy uznać za błogosławieństwo, osłabiał bowiem fetor śmierci, który i tak zresztą stawał się już nie do zniesienia. Dokoła, jak okiem sięgnąć, leżały puchnące zwłoki. Na krwawym ściernisku wojny ratownicy zbierali pokłosie: tych, w których kołatało się jeszcze życie.

Aż do południa Rob J. pracował na deszczu: opatrywał rany i pomagał dźwigać nosze. Odwiozłszy rannych do lazaretu odkrył,

skąd jego żołnierze brali jajka. Wszędzie wokół rozładowywano wozy. Zwieziono ogromne zapasy leków, środków znieczulających, opatrunków, całe góry jedzenia. Przy każdym stole operacyjnym stało po trzech lekarzy. Wdzięczne Stany Zjednoczone, dowiedziawszy się, że odniosły nareszcie zwycięstwo, chociaż za cenę straszliwych strat, postanowiły nie szczędzić niczego tym, którzy przeżyli.

W pobliżu stacji kolejowej do Roba J. podszedł ubrany po cywilnemu mężczyzna, na oko w jego wieku, i zupełnie jakby się dowiadywał o godzinę lub drogę do magistratu zapytał uprzejmie, czy nie wie, gdzie by tu można zabalsamować zwłoki. Przedstawił się: Winfred S. Walker, farmer z Havre de Grace w Marylandzie. Gdy usłyszał o bitwie, powiedział, coś mu kazało przyjechać, żeby zobaczyć się z synem, Peterem. Znalazł go jednak wśród poległych.

– Chciałbym więc zabalsamować teraz ciało syna i zabrać je do domu. Nie wie pan przypadkiem, gdzie to można zrobić?

Rob J. wiedział.

– Zwłoki balsamują w hotelu „Washington House”, jak słyszałem.

– Tak, wiem. Ale powiedziano mi tam, że mają bardzo długą kolejkę, musiałbym w niej sporo czekać. Pomyślałem więc sobie, że może dałoby się to zrobić gdzie indziej.

Ciało jego syna leżało na farmie Harolda – w urządzonym w wiejskiej chacie lazarecie nieco w bok od Emmitsburg Road.

– Jestem lekarzem. Mógłbym to zrobić dla pana – zaofiarował się Rob J.

W koszu sanitarnym 131 pułku miał wszystkie niezbędne przybory; poszedł po nie, umówiwszy się z panem Walkerem na

farmie. Gdy się tam spotkali, zmuszony był poprosić go w słowach możliwie najogłędniejszych, żeby się postarał o wojskową trumnę wybitą blachą cynkową, bo każda inna by przeciekała. Kiedy Walker wyszedł, by wypełnić tę smutną misję, Rob J. zajął się jego synem, którego zwłoki złożono w sypialni wraz z sześcioma innymi ciałami. Peter Walker był urodziwym młodzieńcem; wyglądał na dwadzieścia lat. Miał wyraziste jak ojciec rysy twarzy i gęste czarne włosy. Na jego ciele nie było żadnej ranki, tylko lewą nogę urwało mu w udzie. Wykrwawił się na śmierć, jego ciało było białe jak posąg z marmuru.

Rob J. rozpuścił uncję chlorku cynkowego w dwóch kwartach rozcieńzonego wodą alkoholu.

Podwiązał tętnicę w urwanej nodze, żeby płyn nie wyciekał, a następnie przeciął tętnicę udową całej nogi i wprowadził do niej strzykawką płyn balsamujący.

Pan Walker bez trudu otrzymał od wojska trumnę. Chciał zapłacić za zabalsamowanie syna, ale Rob J. pokręcił tylko głową.

– Ojciec pomógł ojcu – powiedział.

Deszcz nie przestawał padać. Teraz był to już deszcz okrutny. Po pierwszej straszliwej ulewie wystąpiło z brzegów kilka mniejszych strumieni, zatapiając w swych nurtach paru ciężej rannych.

Obecnie potop zelżał i Rob J. wrócił na pobojowisko, gdzie aż do zmroku poszukiwał rannych.

Potem tego zaprzestał, gdy pole bitwy zaczęli przetrząsać młodszy i silniejsi mężczyźni z latarniami i pochodniami. Był już poza tym śmiertelnie zmęczony.

W magazynie niedaleko centrum Gettysburga Komisja Sanitarna otworzyła stołówkę. Dowłókł się tam i posilił pierwszą od miesiąca



zupą z kawałkiem wołowiny. Wpałaszował jej trzy miski, zagryzając sześcioma kromkami białego chleba.

Po kolacji udał się do kościoła prezbiteriańskiego i przeszedł wzdłuż ławek, przystając przy każdym prowizorycznym łóżku, żeby oddać leżącemu na nim rannemu jakąś drobną przysługę – a to podać wodę, a to otrzeć spoconą twarz. Rannym z szeregów konfederatów zadawał to samo nieodmiennie pytanie:– Synku, czy nie spotkałeś czasem w waszej armii Alexandra Cole’a z Holden’s Crossing w stanie Illinois? Dwadzieścia trzy lata, blondyn...

Żaden z pytanych nie spotkał jednak nikogo o tym nazwisku.

---

## 54 Potyczki

---

W strugach padającego znowu ulewnego deszczu generał Robert E. Lee pozbierał niedobitki swej wykrwawionej armii i pociągnął z powrotem do Marylandu. Meade wcale nie musiał mu na to pozwalać. Co prawda Armia Potomacu także poniosła dotkliwe straty, bo liczba poległych, wziętych do niewoli lub zaginionych jej żołnierzy przekraczała dwadzieścia tysięcy, ale oddziały federalne ożywiały duch zwycięstwa, były one przy tym znacznie liczniejsze od wojsk Lee, które wycofywały się w ślimaczym tempie, opóźniane w marszu ciągnącą za nimi, długą na bitych siedemnaście mil karawaną podwód z ranymi. Lecz podobnie jak Hooker w Wirginii,

tak teraz Meade w Pensylwanii pokpił sprawę i nie ruszył w pościg za pokonanym nieprzyjacielem.

– Ciekawe, gdzie też pan Lincoln wynajduje tych swoich generałów? – mruknął kiedyś z niechęcią Symonds do Roba J.

Zwłoka ta wprawdzie doprowadzała do szału pułkowników, cieszyła za to prostych żołnierzy, którzy mogli dzięki niej odsapnąć, wylizać się z ran oraz przekazać do domu niezwykłą nowinę: że mianowicie znajdują się jeszcze wśród żywych.

Ordway odnalazł Lewisa Robinsona w jednym z urządzonych na farmach lazaretów. Biedakowi amputowano prawą stopę cztery cale powyżej kostki. Był wychudzony i blady, lecz poza tym w dobrym najwyraźniej zdrowiu. Rob J. obejrzał kikut i oznajmił Robinsonowi, że goi się dobrze i że ten, kto odjął mu stopę, znał się na swojej robocie. Robinson był wyraźnie szczęśliwy, że wojna już się dla niego skończyła, w jego oczach odbijała się ulga tak bezmierna, że wręcz namacalna. Rob J.

odniósł wrażenie, że tego chłopca nie mogła ominąć kula: za bardzo się jej bał. Zaniósł mu jego kornet, ołówki i papier. Wiedział, że Lewis Robinson da sobie w życiu radę, bo przecież nie trzeba mieć obu stóp, by komponować muzykę i grać na rogu.

Zarówno Ordway, jak i Wilcox zostali awansowani na sierżantów. Awansowanych było zresztą wielu – Symonds uzupełniał stanowiska pułkowych szarż przydzielając ocalałym rangi i stopnie po poległych. Straty 131 pułku z Indiany wynosiły osiemnaście procent i w porównaniu z wieloma innymi pułkami nie były ciężkie. Pewien pułk z Minnesoty stracił na przykład aż osiemdziesiąt sześć procent swojej siły żywej i w rezultacie, dzieląc los paru jeszcze regimentów, został rozwiązany.

Symonds wraz z oficerami przez kilka dni z powodzeniem prowadził rekrutację wśród niedobitków tych przetrzebionych formacji, powiększając stan swojego pułku do liczby siedmiuset siedemdziesięciu jeden ludzi. Pułkownik z pewnym zakłopotaniem poinformował Roba J., że znalazł również lekarza pułkowego. Doktor Gardner Coppersmith służył w jednym z rozwiązanych oddziałów z Pensylwanii w stopniu kapitana, a Symonds skusił go obietnicą awansu. Coppersmith, absolwent którejś z akademii medycznych w Filadelfii, miał za sobą dwa lata doświadczenia bojowego.

– Bez chwili wahania mianowałbym pana lekarzem pułkowym, doktorze, gdyby pan nie był cywilem – usprawiedliwiał się przed Robem Symonds. – Ale na tym stanowisku wymagany jest oficer. Rozumie pan chyba, że odtąd major Coppersmith będzie pana przełożonym i to on będzie wydawał rozkazy?

Rob J. zapewnił, że to rozumie.

Dla Roba J. była to wojna trudna, prowadzona przez trudny naród. Z którejś gazety dowiedział się, że w Nowym Jorku wybuchły rozruchy rasowe wywołane niezadowoleniem po ogłoszeniu pierwszych list poborowych.

Pięćdziesiąt tysięcy tłum, złożony głównie z irlandzkich katolickich robotników, podpalił biuro komisji poborowej, redakcję nowojorskiej „Tribune” i murzyński sierociniec, w którym na szczęście nie było wtedy dzieci.

Motłoch ów, winą za wojnę obarczając najwidoczniej Murzynów, buszował przez kilka dni po ulicach, bijąc i rabując każdego napotkanego czarnego, dopuszczając się mordów i linczów, dopóki

oddziały federalne, które dopiero co wróciły spod Gettysburga, gdzie walczyły z siłami Południa, nie uśmierzyły rozruchów.

Wiadomość ta boleśnie dotknęła Roba J. Urodzeni w Ameryce protestanci gardzili imigrantami i katolikami i uciskali ich, imigranci i katolicy nienawidzili zaś i mordowali Murzynów, jakby każda z tych grup mogła żyć tylko na pożywcze nienawiści i karmić się szpikiem istot od siebie słabszych.

Przygotowując się do wystąpienia o przyznanie mu obywatelstwa Rob przestudiował konstytucję Stanów Zjednoczonych i zachwycał się jej artykułami. Obecnie zaś dostrzegał, że geniusz jej twórców zasadał się w głównej mierze na tym, że dostrzegając ułomności ludzkiego charakteru i przewidując trwanie na tym świecie zła, zadbali o to, by wolność jednostki zagwarantować prawem, do którego naród będzie mógł się zawsze odwoływać.

Fascynował go mechanizm nienawiści człowieka do człowieka. Obserwował Lanninga Ordwaya, jak gdyby chromy sierżant był insektem pod mikroskopem. Gdyby Ordway nie kipiał nienawiścią, której co jakiś czas, niczym czajnik z gotującą się wodą, dawał upust, i gdyby Rob J. nie wiedział o tamtej nie ukaranej zbrodni, popełnionej przed dziesięcioma laty w jego lesie w Illinois, uznałby go za jednego z sympatyczniejszych młodych mężczyzn w pułku. Przyglądał się, jak ten noszowy rośnie i rozkwita, prawdopodobnie dlatego że w wojsku osiągnął powodzenie, jakiego nigdy wcześniej nie udało mu się zdobyć.

Cały pułk był przeniknięty duchem sukcesu. Orkiestra pułkowa z ochotą i wigorem chodziła od szpitala do szpitala, dając koncerty dla rannych. Nowy trębacz nie dorównywał co prawda Thadowi

Bushmanowi, muzycy koncertowali jednak z dumą, okazali się przecież przydatni w czasie bitwy.

– Przeszliśmy razem przez piekło – oświadczył któregoś wieczora z patosem Wilcox wypiuwszy nieco za dużo, flankując Roba J. spojrzeniem swoich niesamowicie zezujących źrenic. – Wyrwaliśmy się z paszczy śmierci, przemaszerowaliśmy przez Dolinę Cienia. Zajrzeliśmy w oczy okrutnej kostuchy. Słyszeliśmy okrzyk bojowy buntowników i odpowiedzieliśmy naszym okrzykiem.

Żołnierze odnosili się do siebie z niezmierną serdecznością. Sierżanci Ordway i Wilcox, a nawet gamoniowaty kapral Perry cieszyli się powszechnym szacunkiem jako ci, którzy dowodzili kolegami-muzykami podczas wynoszenia rannych spod ognia na polu walki. We wszystkich namiotach powtarzano opowieść o dwudniowym maratonie Roba J. za stołem operacyjnym, żołnierze orientowali się poza tym, iż to on zorganizował służbę ambulansową. Na jego widok uśmiechali się teraz ciepło. Nikt już nie wspominał o latrynach.

Ta nowa popularność wielce go cieszyła. Niejaki Lyon, żołnierz z kompanii B drugiej brygady, przyprowadził mu nawet konia.

– Dopiero com go znalazł, jak sobie paradował bez jeźdźca wedle drogi. Od razum sobie pomyślał o panu doktorze – powiedział podając mu wodze.

Rob J. był zmieszany, ale i uradowany tym dowodem oddania, chociaż kościsty, błotnistej barwy wałach o zakłętym grzbiecie nie prezentował się najokazalej. Należał zapewne do jakiegoś poległego lub rannego żołnierza konfederatów, i zwierzę bowiem, i siodło nosiło ich znak – litery CSA<sup>[8]</sup>. Łeb i ogon zwierzęcia zwisały

smętnie, ślepią miał zmatowiałe, grzywę i ogon pełne bodiaków, wyglądał też na zarobaczonego.

A jednak Rob J. przyjął dar z zachwytem.

– Piękny koń, kolego! Nie wiem, jak się wam odwdzięczę.

– Myślę sobie, że czterdzieści dwa dolary będzie dosyć – sprecyzował Lyon.

Rob J. roześmiał się, rozbawiony raczej własnym niemądrym oczekiwaniem miłości niż tym nieporozumieniem. Gdy dobili na koniec targu, szkapa dostała mu się za 4 dolary 85 centów. Musiał też obiecać, że nie pociągnie Lyona przed sąd polowy za branie łupów na polu walki.

Nakarmił zwierzę, cierpliwie wyskubał bodiaki z jego grzywę i ogona, zmył z siodła krew, namaścił olejem otarcia na skórze wałacha i wyszczotkował go. Po wszystkich tych zabiegach konisko wyglądało nadal wyjątkowo żałośnie, nazwał je więc Ślicznotkiem w nadziei, że takie imię sprawi zwierzęciu choć trochę przyjemności i natchnie je szacunkiem dla samego siebie.

Dosiadał tego właśnie rumaka, gdy 131 pułk z Indiany opuszczał 17 sierpnia Pensylwanię. Ślicznotek nadal zwieszał łeb i ogon, posuwał się jednak swobodnym, równym krokiem wierzchowca nawykłego do długich marszów. Jeśli ktokolwiek w pułku żywił wątpliwości co do kierunku, w jakim podążali, rozwiały się one, kiedy kapelmistrz Warren Fitts zaświstał w swój gwizdek, zadął podbródek, wzniósł batutę i orkiestra zagrała „Maryland, my Maryland”.

Pułk Roba przekroczył Potomac w sześć tygodni po wojskach Lee i w okrągły miesiąc po pierwszych jednostkach własnej armii. Podążając na południe, odprowadził odchodzące lato, toteż ciepła

złota jesień dogoniła go dopiero na terytorium Wirginii. Żołnierze 131 pułku mogli już uchodzić za weteranów, znających się na kleszczach i otrzaskanych w bojach, akcje zbrojne przeniosły się jednak tymczasem głównie do zachodniego teatru działań wojennych, toteż oni zażywali chwilowego spokoju. Armia Lee posuwała się doliną Shenandoah, tropiona przez zwiadowców Unii, którzy donosili, że nieprzyjaciel jest w niezłej kondycji, jeśli nie liczyć rzucających się w oczy braków zaopatrzenia, szczególnie przyzwoitych butów.

Niebo nad Wirginią zaciągały jesienne deszczowe chmury, gdy pułk Roba J. stanął nad rzeką Rappahannock, na której brzegu widniały jeszcze świeże ślady obozu konfederatów.

Mimo zastrzeżeń doktora Cole'a namioty rozbito na miejscu byłego obozowiska rebeliantów. Major Coppersmith był świetnie wykształconym i dobrym lekarzem, ale nie troszczył się zbytnio o takie błahostki jak odrobina odchodów i nie zapędzał nikogo do kopania latryn. Nie owijając sprawy w bawełnę oświadczył Robowi, że do przeszłości należą czasy, gdy politykę sanitarną pułku kształtował pełniący obowiązki lekarza asystent. Lubił samodzielnie, bez pomocników prowadzić apel chorych, chyba że miał gorszy dzień, co wszakże nie zdarzało się często. Zapowiedział ponadto, że jeśli nie powtórzy się Gettysburg, poradzi sam sobie z zakładaniem opatrunków, biorąc jednego tylko żołnierza do pomocy. Rob uśmiechnął się do niego.

– Więc cóż ja miałbym do roboty?

Major Coppersmith zmarszczył brwi i palcem wskazującym pogładził wąsy.

– No cóż, chciałbym, żeby objął pan kierownictwo nad zespołem noszowych, doktorze Cole – oznajmił.

Tak więc Rob J. wpadł w objęcia stwora, którego sam powołał do istnienia, zaplątał się w pajęczą sieć, którą własnorecznie uprządkł. Nie palił się do dźwigania noszy, skoro jednak zespoły noszowych stały się jego jedynym terenem działania, wyglądałoby śmiesznie, gdyby posyłał je w pole, a sam siedział z tyłu i tylko się przyglądał.

Skompletował własną drużynę. Składała się z dwóch muzyków: nowego waltornisty, Alana Johnsona, oraz Luciusa Wagnera, który grał na piszczalce; do czwartego drążka miał stanąć kapral Amasa Decker, pułkowy poczmistrz. Drużyny noszowych wychodziły w pole na zmianę. Nowo przyjętych zapewnił – podobnie jak tych z pierwszej piątki, z której jeden już nie żył, a drugiemu odjęto nogę – że zbieranie rannych nie jest na wojnie zajęciem niebezpieczniejszym niż inne. Wmawiał w siebie, że wszystko będzie dobrze, i umieścił swoją drużynę w grafiku zmian.

U boku innych jednostek Armii Potomacu 131 pułk z Indiany pociągnął tropem konfederatów wzdłuż Rappahannock do ujścia jej głównego dopływu, rzeki Rapidan, podążając dzień za dniem brzegiem wody, w której odbijała się szarzysta nieba. Lee prowadził mniejsze siły, źle w dodatku zaopatrzone, trzymał się więc od federalnych z daleka. Ożywienie na terenach Wirginii nastąpiło dopiero wtedy, gdy wojna na zachodnim froncie przybrała niepomysłny dla Unii obrót. Konfederaci generała Braxtona Bragga zadali jej wojskom pod generałem Williamem S. Rosecranssem ciężką klęskę nad potokiem Chicamauga w pobliżu Chattanooga, gdzie poległo, odniosło rany bądź dostało się do niewoli ponad



szesnaście tysięcy żołnierzy Unii. Lincoln zwołał nadzwyczajne posiedzenie swojego gabinetu, na którym postanowiono odłączyć od Armii Potomacu w Wirginii dwa korpusy Hookera i przetransportować je koleją do Alabamy, żeby wzmocniły Rosecransa.

Ledwie armii Meade'a ubyły dwa korpusy, Lee przestał uciekać. Podzielił swoje wojska na dwie części; jedną zwrócił na zachód, a drugą, zamyślając oskrzydlić Meade'a, na północ, w stronę Manassas i Waszyngtonu.

Zaczęły się potyczki.

Meade starał się trzymać między Lee a Waszyngtonem, toteż wojska Unii cofały się po każdej takiej utarczce o kilka mil, aż pod naporem Południowców, staczając tylko sporadyczne walki, ustąpiły na mil czterdzieści.

Rob J. zaobserwował, że każdy z noszowych inaczej podchodzi do swego zadania. Wilcox szukał rannych z zaciekłym uporem, Ordway dla odmiany demonstrował niedbałą brawurę, myszkując po polu bitwy na swoich nierównych nogach jak wielki ruchliwy krab, a potem niósł ofiarę ostrożnie, wysoko i równo trzymając swój drążek noszy, napięciem muskularnych ramion kompensując utykanie. Robowi przyszło czekać kilka tygodni na pierwszy występ w roli noszowego, miał więc sporo czasu na snucie rozmyślań. Jego kłopot polegał na tym, że odznaczał się wyobraźnią równie bujną – jeśli nie bujniejszą – jak Robinson. Potrafił sobie wyobrazić sto różnych ran odniesionych na skutek stu różnych przyczyn. W namiocie kreślił przy lampie całe cykle rysunków w swym dzienniku. Na jednym z nich przedstawił wyruszającą do akcji drużynę Wilcoxa: trzech przygiętych do ziemi mężczyzn biegnie pod

zacinający w twarze grad ołowiu; czwarty z biegnących trzyma przed sobą nosze, wątlą tarczę. Na innym obrazku przedstawił powrót z akcji drużyny Ordwaya: trzech noszowi mają twarze napięte, wystraszone, tylko wąskie wargi drużynowego, trzymającego prawy tylny drążek noszy, rozchyła grymas ni to uśmiechu, ni to wściekłego warczenia. Co ten nic na ogół nie znaczący człowiek ze sobą pocnie, zastanawiał się Rob J., kiedy wojna się skończy i nie będzie mógł dłużej wynosić pod ogniem rannych z pola bitwy?

Własnej drużyny w akcji nie rysował. Jeszcze do niej nie wychodzili.

Ich chrzest bojowy przypadł na 7 listopada. Pułk wysłano za Rappahannock w pobliże miejsca zwanego Brodem Kelly'ego. Przeprawili się przez rzekę wczesnym przedpołudniem i dostali zaraz pod ciężki ogień nieprzyjaciela, nic więc dziwnego, że już po dziesięciu minutach obsługa ambulansu otrzymała wiadomość, że któryś z chłopców oberwał. Doktor Cole i jego trzech noszowi wbiegli w nadrzeczny łąn żyta, gdzie za porośniętym bluszczem kamiennym murkiem kuliło się kilku żołnierzy, strzelając w stronę lasu. Przez całą drogę do tego murku Rob J.

oczekiwał użądlenia kuli. Wydawało mu się, że powietrze jest zbyt gęste, by można je wciągać w płuca. Miał wrażenie, iż przedzierać się przez nie musi siłą i że porusza się jak mucha w smole.

Ranny żołnierz dostał postrzał w ramię. Kula utkwiała w ciele; należało ją wysondować, ale nie pod ogniem. Rob J.

wydobył z mee-shome opatrunek i obandażował ranę, upewniając się, że krwawienie zostało zatrzymane. Następnie

położyli rannego na noszach i wyciągniętym krokiem ruszyli w drogę powrotną. Idący z tyłu Rob J. czuł wyraźnie, jak wyborny cel stanowią jego szerokie plecy. Słyszał każdy wystrzał i szelest kul w wysokich trawach, z głuchymi pacnięciami uderzających dokoła nich w ziemię.

Amasa Decker zaskowyczał nagle po drugiej stronie noszy.

– Dostałeś? – rzucił bez tchu Rob J.

– Nie.

Dudniąc piętami niemal biegli ze swoim ciężarem, aby po chwili długiej jak wieczność dopaść wreszcie płytkiego parowu, w którym major Coppersmith urządził swój punkt opatrunkowy.

Przekazawszy rannego chirurgowi, czterej noszowi padli na miękką trawę jak złowione dopiero co pstrągi.

– Te ołowiane kulki bzyczą jak pszczoły – stwierdził Lucius Wagner.

– Myślałem, że już po nas – wyznał Amasa Decker. – A pan, doktorze?

– Miałem stracha, na szczęście mam też coś, co mnie chroni. – Pokazał towarzyszom mee-shome i powiedział im, że wedle obietnicy Sauków pasek z plecionki z włókien izze ma go osłaniać przed kulami. Decker i Wagner słuchali jego słów z powagą, Wagner z leciutkim uśmiechem.

Po południu wymiana strzałów niemal zupełnie ucichła. Obie partie trzymały się w szachu mniej więcej do zmroku, kiedy to przepawiły się przez rzekę i wysforowały przed pozycję 131 pułku dwie brygady wojsk Unii, uderzając na wroga w ataku na bagnety – tylko ten jeden raz Rob J. oglądał taką szarżę podczas tej wojny. Piechota 131 również nasadziła bagnety i dołączyła do ataku. Jego

niespodziewana nagłość i zawziętość pozwoliła federalnym roznieść wroga w puch; zabito lub wzięto do niewoli kilka tysięcy konfederatów. Straty po stronie Unii były niewielkie, mimo to Rob J. i jego noszowi jeszcze dobrych kilka razy musieli po zmierzchu wychodzić po rannych.

Cała trójka była święcie przekonana, że doktor Cole ze swoją indiańską torbą czarownika przynosi ich drużynie szczęście, gdy zaś po raz siódmy wracali cali i zdrowi, Rob J. wierzył już w moc mee-shome równie mocno jak jego towarzysze.

Tej nocy w namiocie medycznym, po opatrzeniu rannych, Gardner Coppersmith powiedział, spoglądając na Roba J. błyszczącymi oczami:– Wspaniała szarża na bagnety, co, Cole?

Rob J. odniósł się do tego pytania z całą powagą.

– Raczej krwawe jatki – odrzekł, śmiertelnie zmęczony. Lekarz pułkowy obrzucił go wzgardliwym spojrzeniem.

– Skoro tak pan do tego podchodzi, po co pan tu jeszcze, do cholery, siedzi?

– Bo tu są moi pacjenci.

Mimo to pod koniec roku postanowił odejść z pułku. Tu byli jego pacjenci. Wstąpił do armii, żeby świadczyć żołnierzom pomoc lekarską na przyzwoitym poziomie, tymczasem major Coppersmith nie myślał mu na to pozwalać.

Rob J. doszedł więc do wniosku, że marnuje się doświadczony lekarz, kiedy on dźwiga tylko nosze. A poza tym nie ma sensu, żeby bezbożnik żył tak, jakby szukał palmy męczeństwa lub tęsknił do aureoli świętego. Postanowił, że jak tylko skończy mu się kontrakt – czyli w pierwszym tygodniu roku 1864 – wraca do domu.

Wigilia Bożego Narodzenia była wydarzeniem osobliwym, smutnym i wzruszającym zarazem. Przed namiotami odprawiono nabożeństwa. Na jednym brzegu Rappahannock muzycy 131 pułku odegrali „Adeste Fidelis”. Kiedy skończyli, orkiestra konfederatów na przeciwległym brzegu zagrała „God rest yemarry, gentlemen”. Melodia niosła się posępnie ponad ciemną wodą, aż nagle przewinęła się w kolędę „Cicha noc”. Kapelmistrz Fitts wznosił batutę i orkiestra Unii dołączyła do konfederackiej, a żołnierze na obu brzegach rzeki zawtórowali obu kapelom śpiewem. Mogli widzieć wzajemnie ogniska w swoich obozach.

Noc rzeczywiście upłynęła w ciszy, bez jednego wystrzału. Na kolację nie podano co prawda świątecznego drobiu, kwatermistrzostwo zadbało jednak o całkiem przyzwoitą zupę z kawałkiem czegoś, co mogło być niegdyś wołem; każdy żołnierz z okazji świąt dostał też po miarce whisky. Nie było to pociągnięcie najszczęśliwsze, zaostrzyło bowiem u niektórych apetyt na pokaźniejszą dawkę tej substancji. Po koncercie Rob J. spotkał Wilcoxa i Ordwaya, wracających zygzakiem z ustronnego miejsca nad brzegiem rzeki, gdzie wydudlili dzbanek rozprowadzanego przez markietanów samogonu. Wilcox podtrzymywał kompana, choć sam również chwiały się niezgorzej na nogach.

– Idź spać, Abner – poradził mu Rob J. – Odprowadzę tego gagatka do namiotu. – Wilcox pokiwał głową i odmaszerował. Rob J. nie wywiązał się wszelako z przyrzeczenia. Zamiast odprowadzić Ordwaya do namiotu, powlókł go w całkiem odwrotnym kierunku i usadowił pod jakimś gładem.

– Lanny – rzekł. – Lan, chłopcze, chciałbym z tobą o tym i owym pogadać.

Ordway przyjrzał mu się pijackim wzrokiem spod półprzymkniętych powiek.

– Wesołych świąt, doktorze.

– Wesołych świąt, Lanny. Chciałbym z tobą pogadać o Najwyższym Zakonie Gwiazdzistego Sztandaru.

Spodziewał się, że alkohol rozwiąże język Lanninga Ordwaya i ten mu wszystko wyśpiewa.

Kiedy więc trzeciego stycznia pułkownik Symonds zjawił się u niego z nowym kontraktem do podpisu, zwrócił spojrzenie w stronę Ordwaya, starannie pakującego właśnie świeże opatrunki i tabletki morfiny do tornistra.

Wahał się tylko przez chwilę, przez cały czas nie puszczając z tamtego oczu. Po czym podpisał kontrakt na dalsze trzy miesiące.

---

## **55 „Kiedy spotkałeś Ellwooda R. Pattersona?”**

---

Rob J. uznał, że w Wigilię bardzo przebiegle i roztropnie wypytał pijanego Ordwaya. Przesłuchanie to potwierdziło w pełni jego wyobrażenie o tym człowieku, podobnie jak o samym NZGS.

Oparty o maszt namiotu zapisał w trzymanym na podkurczonych kolanach dzienniku: „Lanning Ordway zaczął bywać na zebraniach Partii Amerykańskiej w Vincennes, Indiana, »na pięć lat przedtem, nim zem dorósł do urny.

(Gdy mnie zapytał, gdzie ja wstąpiłem, odrzekłem: »w Bostonie)Na zebrania zabierał go ojciec, »chciał, żebym wyrósł na przyzwoitego Amerykanina«. Jego ojciec, Nathanæl Ordway, był najemnym miotlarzem. Zebrania odbywały się na pięterku nad szynkiem. Przechodziło się przez szynk, wychodziło drzwiami od tyłu i wchodziło na górę po schodach. Ojciec pukał w umówiony sposób. Pamięta, że ojca napawało zawsze dumą, kiedy »Stróż Furty« (!) zerkał na nich przez judasza i wpuszczał ich do środka, »bośmy byli dobrymi ludźmi«.

Gdzieś tak po roku Lanning zaczął chodzić na zebrania sam, kiedy ojciec był pijany lub niezdrów. Po śmierci Nathanæla Ordwaya (»umarł na wódkę i zapalenie opłucnej«) Lanning pojechał do Chicago i zaczął pracować w szynku przy stacji kolejowej na Galeria Street, gdzie kuzyn jego ojca podawał whisky. Sprzątał tam po pijakach, których zemdliło, rozsypywał co rano świeże trociny, mył panoramiczne lustra, polerował mosiężną poręcz – robił wszystko, co było do zrobienia.

Jak inny szukałby kontaktu z rodziną, tak on w sposób całkiem naturalny zaczął szukać kapituły „Nic Nie Wiedzących” w Chicago; z działaczami Partii Amerykańskiej łączyło go więcej niż z kuzynem ojca. Celem partii było popieranie w wyborach na urzędy publiczne tylko takich urzędników, którzy przed imigrantami będą dawali pierwszeństwo robotnikom urodzonym w Ameryce. Mimo że chromał (z rozmówz nim oraz z własnych obserwacji wnoszę, że urodził się ze zbyt płytką panewką stawu biodrowego), działacze partyjni zaczęli zwracać się do niego, ilekroć do wykonania jakiegoś ważnego zadania potrzebny im był ktoś młody, a jednocześnie na tyle dorosły, by umiał trzymać język za zębami.

Wbiło go w dumę, gdy po kilku latach, jako siedemnastolatek, został przyjęty do tajnego Najwyższego Zakonu Gwiazdzistego Sztandaru. Wyznał mi ponadto, że natchnęło go to również otuchą, zdawał sobie bowiem sprawę, że biedny, kaleki, urodzony w Ameryce młodzieniec potrzebuje wsparcia jakiejś potężnej organizacji, jeśli chce w życiu do czegoś dojść, »bo te rzymskokatolickie przywłoki aż się palą, żeby zająć wszystkie posady, jakie są w Ameryce, i tyrać za półdarmo«.

Zakon »robił takie rzeczy, na które partia nie mogłaby se pozwolić«. Gdym go spytał, jakie to usługi oddawał Zakonowi, odpowiedział: »A różne takie. Jeździło się tu i tam.«Zapytałem go, czy nie zetknął się aby z człowiekiem o nazwisku Hank Cough, na co aż zamrugął powiekami.

»Jasne, że tak. Pan też go zna? Patrzcie ino. Zgadza się. Hank!«Zapytałem, gdzie Cough się teraz obraca, na co przyjrzał mi się jakoś dziwnie. »No jak to gdzie? Przecie w wojsku.«Kiedym go jednak zapytał, jakie to zadanie razem wykonali, dotknął palcem wskazującym punktu pod okiem, po czym przesunął nim wzdłuż nosa. Następnie podźwignął się na nogi i przesłuchanie było skończone.”

Nazajutrz rano Ordway nie dał po sobie poznać, że pamięta tę przepytówkę. Rob J. starał się unikać go przez kilka dni. Minęło też kilka dobrych tygodni, nim nadarzyła się ponowna okazja do takiej pogawędki, znajdujące się bowiem w posiadaniu markietana zasoby whisky żołnierze wyczerpali w czasie świąt, ciągnący zaś za wojskiem Unii kupcy bali się uzupełniać swoje zapasy trunku na terenie Wirginii w obawie, że produkt mógłby być zatruty.



Lekarze mieli wszelako dostęp do whisky rządowej, przeznaczonej do celów medycznych. Rob J. ofiarował dzbanek tego medykamentu Wilcoxowi, wiedząc, że ów podzieli się nim z Ordwayem. Tej nocy zaczął się, czekając ich powrotu. Gdy się wreszcie zjawili – Wilcox rozochocony, Ordway ponury jak chmura gradowa – życzył temu pierwszemu dobrej nocy, a następnie, jak poprzednim razem, zaopiekował się drugim. Udali się pod te same co wówczas kamienie, z dala od namiotów.

– No, Lanny – zaczął Rob J. – Utniemy sobie teraz drugą pogawędkę.

– A o czym, doktorze?

– Kiedy spotkałeś EUwooda R. Pattersona? Oczy Ordwaya zrobiły się zimne jak lodowe szpilki.

– Kim ty właściwie jesteś? – zapytał głosem człowieka najtrzeźwiejszego pod słońcem.

Rob J. był przygotowany na odkrycie mu surowej prawdy. Długo na to czekał.

– A jak ci się zdaje?

– Zadajesz tyle pytań, jakbyś był parszywym katolickim szpiegiem.

– Mam ich więcej. Chciałbym cię na przykład zapytać o tę Indiankę, którą zamordowałeś.

– Jaką znów Indiankę, do diabła? – wykrzyknął tamten ze szczerym zdumieniem.

– A ileś to zamordował Indianek, co? Czy wiesz, skąd pochodzę, Lenny?

– Mówiłeś, że z Bostonu – odburknął chmurnie Ordway.

– Mieszkałem tam na początku. Ale już od lat mieszkam w Illinois, w pewnym małym miasteczku o nazwie Holden's Crossing.

Ordway popatrzył na niego w milczeniu.

– Indianka, którą zamordowano, była moją przyjaciółką, Lanny, pracowała u mnie. Miała na imię Makwa-ikwa, jeśliś nie wiedział. Została zgwałcona i zamordowana w moim lesie, na mojej farmie.

– Jaka znów Indianka, do pioruna? Odchrzań się ode mnie, zasrany gnoju, dobra? Nie wiem, o czym gadasz. Ale ostrzegam cię, ty knocie: jeśli masz choć trochę oleju w głowie i potrafisz zmiarkować, co dla ciebie dobre, lepiej zapomnij o EUwoodzie R. Pattersonie i o wszystkim, co wiesz albo zdaje ci się, że o nim wiesz.

Rzuciwszy to ostrzeżenie wstał, obszedł doktora Cole'a i zataczając się pokuśtykał w ciemność, tak zaś szybko, jak gdyby za nim strzelano.

Rob J. przez cały następny dzień obserwował go ukradkiem. Przyglądał się, jak musztruje swoją drużynę noszowych, sprawdza ich plecaki, słyszał, jak ich przestrzega, żeby bardzo oszczędnie używali pigułek morfiny, bo już się kończą, a nie wiadomo, kiedy armia przyśle nowe. Musiał przyznać, że Lanning Ordway wyrósł na dobrego i sprawnego sierżanta służb sanitarnych.

Po południu zauważył, że Ordway z ołówkiem w ręku trzyma się w namiocie nad kartką papieru. Mozolił się tak przez dwie długie godziny.

Po capstrzyku zaniósł do namiotu pocztowego kopertę.

Rob J. odczekał chwilę, po czym sam udał się na pocztę.

– Trafiłem dziś rano na markietana, który miał prawdziwy ser – poinformował Amasę Deckera. – Zostawiłem panu kawałek w

pańskim namiocie.

– To bardzo uprzejmie z pana strony, doktorze – ucieszył się Decker.

– Trzeba dbać o swoich noszowych, prawda? Lepiej niech pan idzie zaraz i szybko go zje, zanim ktoś go sprzątnie. Z przyjemnością zabawię się w listonosza pod pana nieobecność.

Łatwo mu to poszło. Ledwo Decker wybiegł z namiotu, Rob J. podszedł do skrzynki z pocztą do wysyłki. Znalazł szybko kopertę, której szukał, i wsunął ją do mee-shome.

Dopiero wróciwszy do namiotu wyjął i przeczytał list. Był zaadresowany do wielebnego Davida Goodnowa, 237 Bridgeton < Street, Chicago, Illinois.

, .Drogi panie Goodnow. Piszę do pana ja, Lanning Ordway. Jestem w 131 pułku Indiana jak pan wie. Jest tu jeden gość co zadaje dużo pytań. Lekarz, nazywa się Robit Col. Wypytuje się o Henry'ego. Śmiesznie mówi, przyglondam mu się. Chce się czegoś dowiedzieć o L.wodd Padsonie. Powiedział mi żeśmy zgwałcili i zabili te indianke, wtenczas w Illinois. Mógłbym się nim zająć, sposobności nie braknie. Alem sobie pomyślał że napisze do pana żeby pan wybadał jak on nas wywachał. Jestem teraz sierżantem. Jak sie wojna skończy znowuż będę pracował dla Zakonu. Lanning Ordway.”

Rob J. zdawał sobie doskonale sprawę, że podczas wojny, kiedy wszyscy noszą broń, a morderstwa na wielką skalę uchodzą płazem, doświadczony zabójca, który postanowił „sie nim zająć”, bez trudu znajdzie po temu okazję i sposobność. Przez cztery dni starał się trzymać oczy szeroko otwarte, przez pięć nocy zapadał w płytkie tylko drzemki albo nie spał wcale.

Leżąc tak i czuwając zastanawiał się, jaki też sposób wybierze Ordway dla wypełnienia swego zamiaru. Doszedł do wniosku, że na jego miejscu, z jego temperamentem, zaczekałby, aż znajdą się obaj w jakiejś burzliwej potyczce, w której gęsto gwizdzą kule. Z drugiej strony nie wiedział wcale, czy Ordway potrafi w walce posługiwać się nożem.

Gdyby tak nad ranem, po długiej ciemnej nocy, kiedy wystraszeni wartownicy w każdym księżycowym cieniu dopatrują się konfederackich zwiadowców, znaleziono doktora Cole'a z nożem w plecach, nikt by się tym specjalnie nie zdziwił i nie wszczynano by śledztwa.

Jego sytuacja zmieniła się 19 stycznia, kiedy kompania B drugiej brygady została pchnięta za Rappahannock na krótki w zamierzeniu zwiadowczy rekonesans, po którym miała się szybko wycofać. Wydarzenia potoczyły się jednak inaczej. Lekka kompania piechoty natknęła się na umocnione pozycje konfederatów w miejscu, gdzie zupełnie się ich nie spodziewano, i została na odkrytym terenie przygwożdżona ogniem nieprzyjaciela.

Była to powtórka sytuacji, w jakiej kilka tygodni wcześniej znalazł się cały pułk, ale wtedy na ratunek rzuciło się przez rzekę do ataku na bagnety około siedmiuset żołnierzy, teraz zaś nie doczekali

się żadnego wsparcia ze strony Armii Potomacu. Stu siedmiu ludzi przez cały dzień zalegało pod ostrzałem, odgryzając się w miarę możliwości ogniem. Po zapadnięciu zmroku wycofali się za rzekę, unosząc ciała czterech zabitych i siedmiu rannych.

Pierwszym przyniesionym do namiotu szpitalnego był Lan-ning Ordway.

Noszowi z jego drużyny opowiadali, że oberwał tuż przed zapadnięciem nocy. Sięgnął właśnie do kieszeni kurtki po zawinięty w papier suchar i kawałek pieczonej wieprzowiny, które wsunął tam rano, kiedy ugodziły go w krótkim odstępie dwie ołowiane kule. Jedna wyrwała mu kawał brzucha, z dziury wysliznęła się zwój szarawych jelit. Rob J. zamierzał wepchnąć go z powrotem i zamknąć ranę, wnet jednak spostrzegł kilka innych obrażeń i zrozumiał, że już nie zdoła Ordwaya uratować.

Druga kula przebiła ciało, powodując zbyt rozległe urazy jelit lub żołądka bądź obu tych organów naraz. Wiedział, że gdyby otworzył brzuch, jama brzuszna byłaby wypełniona krwią z krwotoku wewnętrznego. Ściągnięta twarz Ordwaya była biała jak kreda.

– Chciałbyś czegoś, Lanny? – zapytał miękko.

Wargi Ordwaya poruszyły się. Jego oczy zetknęły się z oczami doktora. Swoisty spokój, jaki się w nich odbijał (Rob J. widywał już podobny w spojrzeniach konających), upewnił go, że Ordway jest przytomny.

– Wody.

Niczego gorszego nie można było podać rannemu, który dostał postrzał w jelita, Rob J. zdawał sobie jednak sprawę, że to już nie może zaszkodzić. Wyjął z mee-shome dwie pastylki opium i podał

Ordwayowi, który popił je długim łykiem. Z ust niemal natychmiast rzuciła mu się krew.

– Zawołać ci księdza? – zapytał Rob J., oczyściwszy rannego. Ordway nie odpowiedział, wpatrywał się weń tylkoupoczywie.

– A może chciałbyś mi powiedzieć, co naprawdę spotkało Makwa-ikwę tamtego dnia w moim lesie? Albo powiedz mi, o czym chcesz, o czymkolwiek.

– Idź... do... dia... – zdołał wykrztusić ranny.

Rob J. nie wierzył, aby kiedykolwiek miał pójść do siedziby tego mieszkańca piekieł. Nie wierzył też, by miał tam pójść Ordway lub ktokolwiek inny, nie była to jednak najlepsza pora na dyskusje.

– Myślałem, że mogłoby ci ulżyć, gdybyś mi to teraz wyznał. Jeśli jest coś, co cię gnębi...

Ordway zamknął powieki i Rob J. zrozumiał, że powinien go zostawić w spokoju.

Zawsze bolał nad zwycięstwami śmierci, ale teraz przygnębiło go szczególnie to, że musiał jej oddać człowieka nastającego na jego życie, ponieważ w mózgu zapisaną miał informację, której Rob tak usilnie od lat poszukiwał. A kiedy tenmózg zgaśnie jak przykręcona lampa, wraz z nim przepadnie na zawsze również ta informacja.

Uświadamiał sobie ponadto, że mimo wszystko jakąś częścią swej istoty współodczuwa z tym dziwnym, skomplikowanym młodym mężczyzną, który dostał się między kamienie druzgocących żaren. Czyż nie innego bowiem poznałby Ordwaya, gdyby matka wydała go na świat bez skazy kalectwa, gdyby liznął choć trochę nauki, a nie wyrósł na analfabetę, gdyby zaznał troski, a nie głodu i inne otrzymał z przyrodzenia prawa niż dziedzictwo ojca pijaka?

Zdawał sobie sprawę z płonności podobnych dociekań, zerknąwszy zaś na nieruchomą postać Ordwaya zrozumiał, że jego nic już nie dotyczy.

Jeszcze przez chwilę musiał przytrzymać stożek eterowy, póki Gardner Coppersmith nie wyjął, dość nawet zgrabnie, ołowianej kuli z mięsistego lewego pośladka jakiegoś młodzieńca. Potem podszedł do Ordwaya, podwiązał mu szczękę i obciążył monetami powieki. Położyli go na ziemi obok czterech innych trupów z kompanii B.

---

## 57 Pełny oBrót koła

---

W dniu 12 lutego 1864 roku Rob J. zanotował w swym dzienniku: „W domu dwie rzeki odcisnęły piętno na mym życiu: olbrzymia Missisipi i nieduża Rock. Tu, w Wirginii, zawarłem znajomość z drugą taką niedobraną parą rzek: Rappahannock i Rapidan, jako świadek powtarzających się regularnie nad ich brzegami rzezi. Obie armie, Potomacu i Północnej Wirginii, przez cały schyłek zimy i początek wiosny posyłały przeciwko sobie przez Rapidan małe oddziały piechoty i kawalerii. I tak jak dawniej moim chlebem codziennym były przeprawy przez Rock River dla odwiedzin u niedomagającego sąsiada lub odebrania porodu, tak teraz towarzyszę oddziałom przepływającym się w różnych miejscach

przez Rapidan, czasem na grzbiecie Ślicznotka, czasem pieszo rozchlapując płytkie brody lub nałodziach i tratwach przebywając głębie. Tej zimy nie mieliśmy żadnej większej bitwy, czyli takiej, która zabrałaby tysiące istnień, co dzień oglądam jednak jeśli nie kilkanaście, to przynajmniej pojedyncze zwłoki. Jest coś nieskończenie bardziej tragicznego w widoku jednego zabitego niż w zasłanym trupami pobojuwisku. Nauczyłem się nie dostrzegać pięknych i młodych poległych, widzę tylko rannych, kiedy wychodzę w pole, by zbierać z niego tych cholernych młodych głupców, najczęściej pod ogniem innych cholernych młodych głupców...”

Żołnierze obu stron zaczęli przypinać sobie do mundurów kartki papieru z nazwiskiem i adresem w nadziei, że gdyby im się coś przytrafiło, wiadomość o tym dotrze do ich bliskich. Ani doktor Cole, ani pozostali trzej noszowi z jego drużyny nie zawracali sobie wszakże głowy tymi plakietkami identyfikacyjnymi. Wychodzili teraz w pole bez żadnej obawy, Amasa Decker, Alan Johnson i Lucius Wagner wierzyli bowiem święcie, że amulet Makwa-ikwy naprawdę ich osłania, a Rob J. zaraził się ich wiarą. Można by sądzić, że mee-shome posiada moc odchylania torów kul, nietykalnymi czyniąc ciała czterech noszowych.

Wydawało się czasem, że wojna trwała zawsze i będzie już trwała wiecznie, Rob J. dostrzegał wszakże zmiany.

Któregoś dnia przeczytał w podartej gazecie „American” z Baltimore, że na Południu ogłoszono pobór do armii Konfederacji wszystkich białych mężczyzn pomiędzy siedemnastym a pięćdziesiątym rokiem życia. Oznaczało to, że od tej pory żadnego poległego, rannego bądź wziętego do niewoli nie będzie już kim



zastąpić i armia Południa zacznie topnieć. Rob J. widział na własne oczy, że wszyscy polegli lub wzięci do niewoli żołnierze Konfederacji mieli na sobie podarte mundury i dziurawe buty. Zastanawiał się zrozpaczony, czy Alex żyje, czy ma co jeść, w co się ubrać, w co obuć. Pułkownik Symonds zapowiedział, że ich pułk dostanie wkrótce pewną liczbę karabinów Sharpa wyposażonych w zamki powtarzalne, które umożliwiają prowadzenie szybszego ognia. Stanowiło to ilustrację kierunku, jaki zdawała się przybierać ta wojna: Północ produkowała lepszą broń, amunicję i okręty, Południe borykało się z brakiem ludzi i niedostatkami wszystkiego tego, co się wytwarza w fabrykach.

Dramat polegał na tym, że konfederaci jakby nie zdawali sobie sprawy z przytłaczającej przewagi przemysłowej przeciwnika i bili się z zaciętością, która nie zapowiadała rychłego zakończenia walk.

Pewnego dnia pod koniec lutego noszowych doktora Cole'a wezwano do rannego kapitana Taneya, dowódcy kompanii A pierwszej brygady. Kapitan leżał na ziemi z roztrzaskaną przez kulę golenią i ze stoickim spokojem palił cygaro. Rob J. ocenił, że nie ma sensu zakładanie łubków, ponieważ kula wyrwała kilka cali piszczeli i kości strzałkowej i nogę trzeba będzie amputować w połowie odległości między kostką a kolanem. Gdy sięgał po opatrunek do mee-shome stwierdził, że nie ma na ramieniu swojej lekarskiej torby.

Z nagłym skurczem żołądka przypomniał sobie, gdzie ją zostawił – na trawie przed namiotem szpitalnym.

W tym momencie również pozostali zdali sobie z tego sprawę.

Ze skórzanego pasa Alana Johnsona Rob J. zrobił krępulec, następnie położyli kapitana na nosze i pobiegli, zataczając się po

drodze jak pijani.

– Dobry Boże, dobry Boże... – mamrotał Lucius Wagner. Mamrotał tak zawsze, z oskarżycielską nutą w głosie, ilekroć bardzo się bał. Obecnie w kółko powtarzał szeptem te słowa, aż to się stało drażniące, nikt się wszelako nie skarżył ani nie kazał mu przymknąć, gdyż wszyscy byli zbyt zajęci przeczuwaniem bolesnych uderzeń kul przesywających ich ciała, tak bezlitośnie i niespodziewanie ogołoczone z tarczy czarów.

Posuwali się wolniej niż wtedy, gdy nieśli swojego pierwszego ranego, silniejszą niż wtedy ogarnięci trwogą.

Kule świstały im koło uszu, ale żadnego z czwórki noszowych nie trafiły. Słaniając się dotarli wreszcie do namiotu szpitalnego i oddali pacjenta w ręce majora Coppersmitha. Amasa Decker podniósł szybko leżące na trawie mee-shome i podał je Robowi.

– Niech pan to prędko nałoży – poprosił i Rob J. spełnił jego prośbę.

Osłabli po doznanej uldze, trzech noszowi naradzili się poważnie i ustalili, że odtąd będą wszyscy odpowiedzialni za to, by pan doktor zaraz z samego rana brał na ramię swoją lekarską torbę.

Rob J. był wielce rad, że ma ją na ramieniu, kiedy rankiem dwa dni później, po wyjściu z zakrętu około pół mili odmiejsca, gdzie Rapidan wpada do większej rzeki, ich pułk stanął dosłownie oko w oko z brygadą równie zaskoczonych wojaków w szarych mundurach.

Żołnierze obu oddziałów natychmiast otworzyli do siebie ogień, niektórzy z nader małej odległości. Powietrze wypełniło się przekleństwami i wrzaskami, wystrzałami z karabinów i krzykami rannych. Po chwili przednie szeregi obu wojsk zwały się ze sobą,

oficerowie jęli ciąć szablami lub palić z broni krótkiej, szeregowcy tłukli karabinami jak cepami lub walczyli na pięści, zęby i paznokcie, nie było bowiem czasu na ponowne załadowanie broni.

Po jednej stronie drogi rósł dębowy bór, po drugiej rozciągało się świeżo nawiezione pole, równe na oko jak stół, zaorane i przygotowane pod siew. Po kilku ludzi z obu oddziałów skryło się za rosnącymi przy drodze drzewami, większość rozbiegła się jednak po polu, rujnując jego rolniczą doskonałość, po czym zaczęto strzelać do siebie z obu stron zygzakowatej, nierównej linii frontu.

Rob J. podczas potyczek trzymał się zwykle z tyłu, czekając na wezwanie do pierwszego rannego, teraz jednak w powstałym zamieszaniu znalazł się wraz ze swoim oszalałym z przerażenia wierzchowcem w samym środku wściekłej zawieruchy. Wałach spłoszył się i przysiadł na zadzie, po czym jakby się pod jeźdźcem załamał. Rob J.

zdołał w ostatniej chwili zeskoczyć z jego grzbietu, a koń runął na ziemię w drgawkach, wierzgając kopytami. Na przypominającej kolorem błoto szyi Ślicznotka widniała bezkrwawa dziurka wielkości pięciocentówki, z jego chrapów zaś wyciekały dwie strużki krwi, gdy zwierzę próbowało zaczerpnąć tchu, kopiąc spazmatycznie nogami w agonii.

W torbie lekarskiej Rob miał strzykawkę z mosiężną igłą i morfinę, ale opiatów stale brakowało i nie można było tracić ich na konia. O trzydzieści stóp opodal leżał trup młodego porucznika konfederatów. Rob J. podbiegł do niego i wyjął mu z kabury ciężki czarny rewolwer, wrócił do szpetnego wałacha, przystawił mu lufę do ucha i pociągnął za spust.

Uszedł ledwie parę kroków, gdy w górnej części lewego ramienia poczuł piekący ból, jak gdyby ukąsiła go długa na stopę pszczoła. Postąpił jeszcze kilka kroków, po czym słodko pachnąca nawozem ziemia koloru umbry podniosła się, przyjmując go na swoje łono. Myśli miał jasne. Zdawał sobie sprawę, że zasłabł, lecz wkrótce odzyska siły; leżał i okiem malarza przyglądał się jaskrawej ochrze słońca na niebie koloru alizarynowego błękitu. Otaczające go dźwięki przycichły, jakby ktoś nakrył cały świat grubym kocem. Nie wiedział, jak długo tak leżał. Uświadomił sobie, że z rany w ramieniu wycieka krew, wygrzebał więc z torby waciany tampon i przycisnął go mocno do rany, by zatamować krwawienie.

Spojrzawszy w dół dojrzał krew na mee-shome i uderzyła go nieodparta ironia tego widoku, roześmiał się więc, pomyślawszy o ateście, który próbował stworzyć sobie boga z torby z ptasich dudek i plecionki z wyprawionej skóry.

Z pola podjęła go po jakimś czasie drużyna Wilcoxa. Sierżant, równie brzydki jak Ślicznotek, wpatrywał się weń z miłością i troską zezowatymi oczami, wygłaszając kłamliwe i puste słowa pociechy podobne do tych, jakimi doktor Cole sam tysiące razy mamił pacjentów w próżnym zamiarze natchnięcia ich otuchą. Żołnierze Południa, stwierdziwszy, że przeciwnik znacznie przewyższa ich liczbą, wycofali się. Na pobojuwisku walały się trupy ludzi i koni, strzaskane wozy i porzucona broń. Wilcox z żalem powiedział do Roba J., że właściciel pola będzie miał kupę roboty, nim przywróci je do porządku.

Rob J. zdawał sobie sprawę, jakie miał szczęście, że rana nie okazała się groźniejsza, choć nie była też byle draśnięciem. Kula ominęła kość, zdarła jednak ciało i mięśnie. Coppersmith zeszył

częściowo ranę i opatrzył ją starannie, wykonując to zadanie ze sporą, jak się wydawało, satysfakcją.

Doktora Cole'a wraz z trzydziestoma innymi rannymi odwieziono do szpitala okręgowego we Fredericksburgu, gdzie przeleżał dziesięć dni. Szpital mieścił się w dawnym magazynie i nie grzeszył czystością, ale kierujący nim lekarz wojskowy, niejaki major Sparrow, który przed wojną praktykował w Hartford w stanie Connecticut, okazał się przyzwoitym człowiekiem. Rob J. przypomniał sobie doświadczenia doktora Milтона Akersona z Illinois z kwasem solnym i Sparrow zgodził się, żeby jego pacjent przemywał sobie co jakiś czas ranę słabym roztworem tego kwasu. Piekło, lecz rana zaczęła się pięknie, bez śladu infekcji goić, uznali więc obaj, że warto by spróbować tej metody również na innych pacjentach. Rob J. był w stanie zginać palce i poruszać lewą dłońią, choć odczuwał przy tym ból. Zgadzał się z doktorem Sparrow, że jeszcze za wcześnie, aby snuć prognozy, w jakim stopniu uszkodzone ramię odzyska siłę i sprawność.

Po tygodniu odwiedził go w szpitalu pułkownik Symonds.

– Niech pan się zbiera do domu, doktorze Cole. Kiedy pan wydobrzeje i zechce do nas wrócić, radzi pana powitamy – powiedział, choć wiedzieli obaj, że Rob J. nie wróci już do szeregów. Symonds podziękował mu niezgrabnie. – Jeśli przeżyję, a pan znajdzie się kiedyś w Fort Wayne w stanie Indiana, proszę koniecznie zajść do fabryki kominków do lamp Symondsa, żebyśmy mogli przy dobrym jedzeniu i zacnych trunkach nagadać się do syta o starych podłych czasach – zakończył młody pułkownik.

Pożegnali się mocnym uściskiem dłoni.

Podróż do domu zabrała Robowi trzy i pół dnia i wiodła pięcioma różnymi szlakami kolejowymi, począwszy od Baltimore & Ohio Railway. Pociągi były opóźnione, brudne i zatłoczone podróżnymi w kwaśnym humorze. Choć Rob J. miał rękę na temblaku, był tylko jeszcze jednym cywilem w sile lat i kilka razy musiał stać w kołyszącym się wagonie przez ponad pięćdziesiąt mil. W Cantonie w stanie Ohio czekał pół dnia na przesiadkę, a potem dzielił dwuosobową ławeczkę z niejakim Harrisonem, komiwojażerem pracującym dla dużej firmy markietańskiej sprzedającej wojsku proszek atramentowy. Człek ów wyznał mu, że znalazł się parokroć tak blisko terenu walk, iż mógł słyszeć strzały. Sypał jak z rękawa bajecznymi wojennymi opowieściami, okraszonymi nazwiskami ważnych wojskowych i politycznych osobistości, ale Rob J. nie miał mu za złe przechwałek, dzięki nim bowiem szybciej mijała podróż.

W przegrzanych, nabitych ludźmi wagonach zabrakło wkrótce wody. Rob I., podobnie jak inni pasażerowie, opróżnił już swoją manierkę i usychał z pragnienia. Pociąg zatrzymał się w końcu na stacyjce nie opodal wojskowego obozu pod Marion w stanie Ohio dla uzupełnienia zapasu paliwa i nabrania wody z małego strumienia, pasażerowie wysypali się więc z wagonów, aby napełnić naczynia.

Podobny zamiar miał także Rob J. Kiedy jednak ukląkł z manierką na brzegu, jego uwagę zwróciło coś po drugiej stronie strumienia i wnet rozpoznał z odrazą, co to jest. Podeszedłszy bliżej upewnił się, że ktoś wrzucił do potoku zużyte opatrunki, zakrwawione bandaże i inne szpitalne odpadki, gdy zaś po krótkim

spacerze odkrył następne podobne wysypiska, zamknął pokrywkę manierki i innym pasażerom poradził uczynić to samo.

Konduktor powiedział, że dobrą wodę znajdą kawałek dalej na szlaku, w Limie, wrócił więc na swoje miejsce. Nim pociąg ruszył, zasnął i spał smacznie mimo kołysania wagonu.

Obudzony się stwierdził, że minęli właśnie Limę.

– A miałem tam nabrać wody! – mruknął ze złością.

– Nie ma powodu do zmartwienia, mam tego nektaru pod dostatkiem – pocieszył go Harrison podając mu butelkę i Rob J. z wdzięcznością ugasił pragnienie.

– Czy w Limie czekał na wodę duży tłum? – zapytał, oddając flaszkę.

– Ach, nie, nie nabrałem jej w Limie. Napełniłem butelczynę jeszcze w Marion, kiedyśmy się zatrzymali dla uzupełnienia paliwa – odparł komiwojażer.

Zbladł, gdy Rob J. powiedział mu, co widział w strumieniu.

– Pochorujemy się?

– Trudno powiedzieć. – Po bitwie pod Gettysburgiem był świadkiem, jak cała kompania przez cztery dni piła wodę ze studni, w której, jak się okazało, moczyły się ciała dwóch konfederatów i nikt się jakoś nie rozchorował.

Wzruszył ramionami. – Nie zdziwiłbym się, gdybyśmy za parę dni dostali ciężkiej sraczki.

– Nie można by czegoś na to łyknąć?

– Whisky mogłaby pomóc, gdybyśmy ją mieli.

– Już moja w tym głowa – powiedział Harrison i wybiegł poszukać konduktora. Po jakimś czasie wrócił z lżejszą niewątpliwie sakiewką i dużą butelką, w dwóch trzecich pełną. Po skosztowaniu

Rob J. orzekł, że whisky jest dostatecznie mocna, by spełnić swoją rolę. Mieli obaj dobrze w czubie, gdy w South Bend w stanie Indiana rozstawali się wylewnie ściskając sobie dłonie, przekonani, że współtowarzysz podróży to morowy chłop. Dopiero w Michigan gdy Rob J. uświadomił sobie, że nie zapytał, jak Harrisonowi na imię.

Do Rock Island dotarł o wczesnym, świeżym poranku. Od rzeki zawiewał wiatr. Z ulgą wysiadł z pociągu i niosąc walizkę w zdrowej ręce szedł przez miasto. Zamierzał wypożyczyć konia i dwukólkę, ale spotkał George'a Cliburne'a; handlarz paszą wyściskał mu rękę, wyklepał po plecach i uparł się, że odwiezie go do Holden's Crossing swoją bryczką.

Kiedy wszedł w drzwi domu, Sara, która siadała właśnie do śniadania złożonego z jajka i wczorajszej bułki, spojrzała na niego bez słowa i rozplakała się. Objęli się w milczeniu.

– Ciężko jesteś ranny? Zapewnił ją, że nie.

– Schudłeś.

Zaproponowała, że zrobi mu śniadanie, lecz Rob powiedział, że zje potem. Zaczął ją całować, niecierpliwym jak niedorostek, chciał ją kochać na stole albo na podłodze, oświadczyła mu jednak, że pora, by położył się wreszcie w swoim własnym łóżku, poszedł więc za nią na górę. W sypialni powstrzymywała go, póki wszystkiego z siebie nie zrzucili.

– Powinienem się najpierw wykąpać – wyszeptał zdenerwowany, na co odszepnęła, że kąpiel może zaczekać.

Wszystkie te miesiące, całe zmęczenie i ból w zranionym ramieniu opadły z niego razem z ubraniami. Całowali się i badali swoje ciała bardziej ochoczo nawet niż wtedy w stodole gościnnego



farmera po ślubie, który wzięli podczas Wielkiego Przebudzenia, teraz już bowiem wiedzieli, czego są spragnieni. Zdrowa dłoń Roba penetrowała ciało Sary i przemawiała do niego opuszkami palców. Po chwili nogi się pod nią ugięły, on zaś skrzywił się z bólu, gdy na nim zawisła. Na widok rany nie zbladła, pomogła mu tylko zawiesić rękę z powrotem na temblaku i nakłoniła go, by się położył na plecach i jej zostawił aktywność. Kiedy się kochali, Rob J. kilka razy głośno krzyknął, w tym raz dlatego, że uraził się w rękę.

Cieszył się nie tylko z powrotu do żony, ale i z tego, że może pójść do stajni, nakarmić konie suszonymi jabłkami i stwierdzić, że go pamiętają; podejść do naprawiającego płot Aldena i dostrzec szczerą radość na twarzy starego; zejść nad rzekę Krótką Ścieżką przez las, zatrzymać się przy grobie Makwy i wyrwać chwasty; usiąść sobie zwyczajnie, oprzeć się plecami pień drzewa niedaleko miejsca, gdzie stało jej hedonoso-te,i przyglądać się płynącej cicho wodzie bez obawy, że ktoś wypadnie nagle z drugiego brzegu z dzikim wrzaskiem i zacznie do niego strzelać.

Późnym popołudniem poszli oboje z Sarą na spacer Długą Ścieżką łączącą ich dom z domem Geigerów. Lillian rozpląkała się na jego widok i pocałowała go w usta. Jason miał się dobrze, kiedy dostała od niego ostatnią wiadomość, poinformowała Roba, był kierownikiem dużego szpitala nad James River.

– Byłem bardzo niedaleko stamtąd – rzekł Rob J. – Wszystkiego parę godzin drogi.

Pokiwała głową.

– Bóg da, że i Jay wróci niedługo do domu – powiedziała matowym głosem, nie mogąc się powstrzymać, by nie spoglądać na

ramię Roba J.

Sara nie chciała zostać na kolacji, pragnęła mieć męża wyłącznie dla siebie.

Udało jej się zatrzymać go przy sobie jedynie przez dwa dni, wiadomość o powrocie doktora rozeszła się bowiem w lot po okolicy i już trzeciego dnia rano zaczęli się schodzić ludzie – kilku wyłącznie po to, żeby powitać go w domu, inni wszakże po to, by mimochodem wspomnieć w rozmowie a to o czyraku na nodze, a to o uporczywym kaszlu, a to o bólach żołądka, które nie chcą jakoś ustąpić. Trzeciego dnia Sara skapitulowała. Alden osiodłał Bossa i Rob J. pojechał odwiedzić kilku swych dawnych pacjentów.

Tobias Barr prawie w każdą środę przyjmował chorych w Holden's Crossing, ale ludzie chodzili do niego tylko w najpilniejszych przypadkach, toteż Rob J. stanął wobec wyzwania, z jakimi miał do czynienia tylko zaraz po osiedleniu się w Holden's Crossing – musiał kurować zaniedbane przepukliny, ropiejące zęby, chroniczne kaszle.

Zaszedłszy do Schroederów wyznał im, iż z ulgą konstatuje, że Gus nie postradał kolejnych palców w wypadkach na farmie, co choć powiedziane żartem, zawierało ziarno prawdy. Alma podjęła go kawą z cykorii i mandelbrotem i podzieliła się z nim lokalnymi nowinami; niektóre wprowadziły go w zasmucenie, na przykład ta, że Hans Grueber skonał na własnym polu pszenicy w sierpniu minionego roku.

– Serce, jak przypuszczam – wtrącił Gus.

Suzy Gilbert, która nalegała zawsze, żeby Rob J. został na placach ziemniaczanych, umarła miesiąc wcześniej przy porodzie.

Pojawili się w miasteczku nowi osadnicy, rodziny z Nowej Anglii i stanu Nowy Jork. Zjechały też trzy rodziny świeżych imigrantów z Irlandii, katolików.

– Nawet dobrze nie mówią po naszymu – dorzucił Gus z tak silnym niemieckim akcentem, że Rob J. nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

Po południu skręcił w dróżkę prowadzącą do klasztoru Świętego Franciszka z Asyżu, mijając po drodze imponujące stado kóz.

Sroga Miriam rozpromieniła się na jego widok. Kazała mu siadać w fotelu biskupa i opowiadać, co mu się zdarzyło.

Z wielkim zaciekawieniem wysłuchiwała opowieści o Lanningu Ordwayu i jego liście do wielebnego Davida Goodnowa w Chicago. Zapytała, czy może sobie zanotować nazwisko i adres Goodnowa.

– Pewni ludzie będą wdzięczni za tę informację – powiedziała.

Z kolei ona opowiedziała mu o swoich przeżyciach. Klasztor się rozrastał. Miała cztery nowe zakonnice i dwie nowicjuszki. Na niedzielne nabożeństwa przychodzili teraz do klasztoru również świeccy. Jeśli nie przestaną napływać osadnicy, powstanie tu wkrótce kościół katolicki.

Podejrzewał, że spodziewała się jego wizyty, wkrótce bowiem po jego przyjeździe siostra Mary Peter Celestine wniosła półmisek ze świeżo upieczonymi biszkoptami i doskonałym kozim serem, do tego zaś prawdziwą kawę, jakiej nie miał w ustach od ponad roku, zabielaną tłustym kozim mlekiem.

– „I przywieździe cielca utuczonego”, czy tak, wielebna matko?

– Dobrze, że jest pan już w domu – odrzekła.

Z każdym dniem czuł się silniejszy. Starał się nie przemęczać, wysypiał się do późna, dogadzał żołądkowi, przechadzał się po

farmie. Popołudniami przyjmował po kilku co najwyżej pacjentów.

Musiał od nowa przywykać do wygodnego życia. Siódmego dnia pobytu w domu rozbolały go ramiona, nogi i plecy. Ze śmiechem mówił Sarze, że odzwyczaił się od spania w łóżku.

W łóżku właśnie któregoś dnia nad ranem poczuł skurcz żołądka. Próbował go zignorować, nie chciało mu się bowiem wstawać, lecz okazało się, że będzie jednak musiał. Był w połowie schodów, gdy przygiął się i runął biegiem na dół, budząc Sarę.

Nie zdołał dobiec do wygodki, przykucnął obok ścieżki, jak pijany żołdak, stękając i szlochając, gdy z niego trysnęło.

Sara zbiegła z góry i wypadła na dwór. Był zły, że zbliża się do niego w takiej chwili.

– Co się stało? – zapytała.

– To ta woda... wtedy w pociągu – wystękał.

W nocy miał jeszcze trzy takie przygody. Rano zaordynował sobie olej rycynowy, żeby przeczyszczyć organizm, a gdy dolegliwości nie ustąpiły do wieczora, wziął siarczan magnezowy. Następnego dnia rozpalila go gorączka i zaczęły się potworne bóle głowy, więc już wiedział, co mu dolega, nim jeszcze Sara rozebrała go wieczorem do kąpieli i zobaczyli na jego brzuchu czerwone plamy.

Gdy jej powiedział, co mu jest, przyjęła to dzielnie.

– No cóż, leczylimy już chorych na dur i wyciągnęliśmy ich z tego. Powiedz, na jakiej powinieneś być diecie.

Na samą myśl o jedzeniu zrobiło mu się niedobrze, przemógł się jednak.

– Rosoły na mięsie gotowane z warzywami, jeżeli uda ci się jakieś zdobyć. Soki owocowe. Ale o tej porze roku...

– W beczce w piwnicy jest jeszcze trochę jabłek – oświadczyła. – Alden wycisnie z nich sok.

Starła się być nieustannie czymś zajęta, bo wolała oddać się pracy niż zmartwieniu, po upływie doby zorientowała się jednak, że bez pomocy nie da sobie rady. Musiała co chwila podawać mężowi basen, przebierać go często i myć, żeby zbić gorączkę, gotować świeżą bieliznę, nie miała więc nawet kiedy przyłożyć głowy do poduszki.

Posłała Aldena do zakonnicy z prośbą o pomoc. Zjawiły się dwie (słyszała, że zawsze pracują parami): młoda mniszka o dziecinnej twarzązce, siostra Mary Benedicta, i starsza kobieta, wysoka, o długim nosie, która przedstawiła się jako matka Miriam Ferocia. Rob J. otworzył oczy i uśmiechnął się na ich widok, a Sara poszła do pokoju synów i przespała sześć godzin.

Pokój chorego utrzymywany był w czystości, w powietrzu unosił się słodki zapach. Zakonnice okazały się dobrymi pielęgniarkami. Trzeciego dnia ich pobytu spadła choremu gorączka. Ucieszyło to początkowo trzy kobiety, lecz potem starsza mniszka pokazała pani Cole, że w stolcu pojawiła się krew, więc Sara posłała Aldena do Rock Island po doktora Barra.

Aż do jego przybycia z Roba J. lała się już niemal wyłącznie krew; był bardzo blady. Minęło osiem dni od pierwszego skurczu żołądka.

– Idzie piorunem – zaopiniował doktor Barr, jak gdyby spotkali się na zebraniu Towarzystwa Lekarskiego.

– Czasami tak bywa – wykrztusił Rob J.

– A może by tak podać chininę lub kalomel? – zastanawiał się doktor Barr. – Niektórzy uważają, że dur ma podłoże malaryczne.

Rob J. wyraził pogląd, że chinina i kalomel nie na wiele się tu zdadzą.

– Tyfus plamisty nie ma podłoża malarycznego – stwierdził z wysiłkiem.

Tobias Barr nie miał za sobą tylu doświadczeń sekcyjnych co Rob J., ale obaj wiedzieli doskonale, że tak obfite krwawienie oznacza, iż choroba podziurawiła jelita jak rzeszoto, a wrzody zamiast się goić, będą się rozwijać.

Pacjentowi nie starczy już krwi na wiele krwotoków.

– Może zostawić panu trochę proszku Dovera? – zaproponował doktor Barr. Proszek Dovera był mieszanką suszonego korzenia wymiotnicy i opium. Rob J. pokręcił przecząco głową i Tobias Barr zrozumiał, że umierając w swoim pokoju, we własnym domu, chce jak najdłużej zachować przytomność.

Zadanie doktora Barra było łatwiejsze, kiedy pacjent nie domyślał się niczego i można mu było zostawić nadzieję w buteleczce wraz z zaleceniem, jak jej zażywać. Poklepał Roba J. po ramieniu, pozwalając swej dłoni spocząć na nim na dłuższą nieco chwilę.

– Zajrzę do pana jutro – powiedział ze spokojem na twarzy; ostatecznie tyle razy już przez to przechodził. Ale oczy miał przepełnione żalem.

– Czy mogłybyśmy pani jeszcze w czymś pomóc? – zapytała panią Cole Miriam Ferocia. Sara powiedziała im, że jest baptystką, mimo to trzy kobiety uklęknęły na chwilę w sieni przed drzwiami pokoju chorego i odmówiły razem modlitwę. Wieczorem Sara podziękowała zakonnicom i pożegnała je.

Rob J. leżał spokojnie prawie do północy, kiedy pojawiło się niewielkie krwawienie. Zabronił żonie wzywać księdza, teraz zapytała go jednak ponownie, czy nie miałby ochoty porozmawiać z wielebnym Blackmerem.

– Nie, poradzę z tym sobie nie gorzej niż Ordway – odparł wyraźnie.

– A kto to jest Ordway? – zapytała, lecz Rob J. był już chyba zbyt słaby, żeby odpowiedzieć.

Usiadła przy jego łóżku. Po jakimś czasie wyciągnął do niej rękę. Ujęła ją. Trzymając się za ręce zapadli oboje w drzemkę. Sara obudziła się tuż przed drugą i od razu zdała sobie sprawę, że dłoń jej męża jest zimna.

Jeszcze przez jakiś czas siedziała tak przy nim, zanim się zmusiła, żeby wstać. Zapaliła lampy i po raz ostatni umyła Roba J., spłukując ślady ostatniego silnego krwotoku, który go zabił. Ogoliła go i wykonała te wszystkie czynności, których jej nauczył, gdy u jego boku oddawała innym tę ostatnią posługę, na koniec ubrała go w najlepszy garnitur. Był teraz dla niego za duży, ale wiedziała, że to już bez znaczenia.

Potem, jak przystało na dobrą żonę lekarza, pozbierała bieliznę, zbyt zakrwawioną, by można ją wygotować, i zawinęła w prześcieradło, przeznaczając do spalenia, po czym nagrzała wody i zrobiła sobie kąpiel. Szorowała się szarym mydłem i płakała. Następnie ubrała się w najlepszą suknię, usiadła na krześle przy kuchennych drzwiach i tak doczekała świtu. Usłyszawszy, jak Alden otwiera wrota stodoły, wyszła przed dom, poinformowała go o śmierci męża i dała mu tekst depechy, wzywającej do powrotu syna, żeby ją zawiózł do biura telegrafu.

---

---

[7] Summa cum laude – z najwyższą pochwałą; magna cum laude – z wielką pochwałą.

[8] Confederate States Army – Armia Skonfederowanych Stanów.



# CZĘŚĆ SZÓSTA

## WIEJSKI LEKARZ

2 maja 1864

---

### 58 Doradcy

---

Kiedy Szaman obudził się nazajutrz po przyjeździe, doznał dwóch sprzecznych uczuć: uświadomił sobie nagle z rozpaczą, że nie ma już taty, ale owładnęło nim też swojskie bezpieczeństwo domu, jakby każda cząsteczka jego ciała i umysłu była zrosnięta z tym miejscem i bez trudu wnikała w jego pustkę, znajdując w tym ukojenie. Znajome było mu to wrażenie dygotu całego domu, gdy uderzał nagle w jego ściany wiatr od prerii, znajomy dotyk poduszki, i szorstkich prześcieradeł, znajome zapachy śniadania dolatujące na piętro i nęcące do zejścia na dół, a nawet znajomy migot gorącego żółtego słońca w kroplach rosy na trawie w ogrodzie. Po wyjściu z wygodki chwyciła go ochota, żeby zbiec ścieżką nad rzekę, powściągnął ją jednak; dopiero za parę tygodni ociepli się na tyle, by można się kąpać.

Kiedy wracał do domu, ze stodoły wyszedł Alden i dał mu znak, żeby się zatrzymał.

– Na jak długo przyjechałeś, Szaman?

– Jeszcze nie wiem.

– Bo widzisz, jest taka sprawa. Na posadzenie czeka cała sterta żółtnicy do gradzenia pastwisk. Doug Penfield oborał już granice, ale jesteśmy grubo spóźnieni z wiosennym wykotem i kupą innych spraw, nie mówiąc już o tym, co nas teraz spotkało. Mógłbyś mi pomóc sadzić tę żółtnicę. Zajęłoby ci to góra cztery dni.

Szaman pokręcił głową.

– Przykro mi, Alden, ale nie mogę ci pomóc.

Wyraz niezadowolenia, jaki odbił się na twarzy starego, sprawił, że poczuł się winny; miał ochotę się usprawiedliwić, zwalczył ją jednak. Alden uważał go nadal za młodszego syna gospodarza, któremu może wydawać polecenia, tego głuchego, mniej od Alexa zdatnego do roboty na farmie. Ta odmowa wprowadziła zmianę w ich wzajemnym stosunku, Szaman spróbował ją więc staremu osłodzić.

– Może za parę dni będę mógł wam trochę pomóc w pracy. Ale jeśli nie, ty i Doug będziecie musieli poradzić sobie sami – powiedział, na co Alden odwrócił się z urażoną miną.

Kiedy Szaman wślizgiwał się na swoje miejsce za stołem, wymienili z matką ostrożne uśmiechy. Nauczyli się prowadzić ze sobą bezpieczne rozmowy na nieistotne tematy. Pochwalił jej wiejską kiełbasę i jajka ugotowane tak, jak lubił, a od wyjazdu z domu nie jadł smaczniejszego śniadania. Sara wspomniała, że poprzedniego dnia w drodze do miasta widziała trzy czaple błękitne.

– Zdaje się, że jest ich w tym roku więcej niż zwykle. Chyba dlatego, że z innych miejsc wypłoszyła je wojna – powiedziała.

Szaman do późnej nocy czytał dziennik ojca. Pragnąłby zadać matce kilka pytań, stwierdził jednak ze smutkiem, że nie jest do tego zdolny.

Po śniadaniu przeglądał przez jakiś czas karty pacjentów ojca. Nikt nie prowadził kartoteki skrupulatniej od Roberta Judsona Cole'a. Nigdy, choćby padał ze zmęczenia, nie położył się spać nie uzupełniwszy swoich lekarskich zapisków, toteż Szaman mógł teraz bez trudu sporządzić dokładną listę osób, które jego ojciec odwiedził po powrocie z wojny.

Spytał matkę, czy nie mógłby wziąć na cały dzień Bossa i dwukółki.

– Chciałbym wstąpić do tych, do których zaglądał tata. Dur brzuszny bywa bardzo zaraźliwy.

Skinęła głową.

– Świetny pomysł. Oczywiście, jedź bryczką. A co z obiadem? – zapytała.

– Wezmę do kieszeni kilka twoich bułeczek.

– On też często tak robił – powiedziała cicho.

– Wiem.

– Zapakuję ci coś do jedzenia.

– Jeśli masz ochotę, mamó, byłbym ci wdzięczny. Podszedł i pocałował ją w czoło. Nie poruszyła się na krześle, chwyciła jednak dłoń syna i przytrzymała w mocnym uścisku.

Kiedy ją w końcu puściła, Szaman zdumiał się po raz nie wiadomo który jej urodą.

Pierwszym miejscem, jakie odwiedził, była farma Williama Bernisa, który naderwał się odbierając poród jałówki.

Bernis kuśtykał, usztywniony kręczem karku, zapewnił jednak, że miewa się już lepiej.

– Choć prawie całkiem mi już wyszła ta śmierdząca maść, co mi ją zostawił twój ojciec.

– Nie miał pan czasem gorączki, panie Bernis?

– A jeszcze by! Naderwałem się ino, po co miałbym zaraz gorączkować? – Łypnął na Szamana spode łba. – Policzysz mi za wizytę? Nie posyłałem po lekarza.

– Nie, nic panu nie policzę. Cieszę się, że lepiej się pan czuje – powiedział Szaman i dołożył mu jeszcze za darmo tę śmierdzącą maść, żeby pacjent poczuł się szczęśliwszy.

Postarał się włączyć do swojego objazdu, jak uczyniłby ojciec, również jego starych przyjaciół, żeby im choć powiedzieć dzień dobry. Na farmę Schroederów przyjechał niedługo po południu.

– W sam raz na obiad – ucieszyła się Alma, zacinając niechętnie usta, gdy oznajmił, że obiad ma ze sobą.

– No to wnieś go do domu i zjesz przy naszym stole – zaprosiła, na co chętnie przystał, rad z towarzystwa. Sara dała mu na drogę krojoną w plastry zimną jagnięcinę, pieczone bataty i trzy bułki, przekrojone i posmarowane miodem. Alma wniosła półmisek smażonych przepiórek i ciastka brzoskwińowe.

– Musisz skosztować moich ciasteczek, zrobiłam je z resztek konfitury – powiedziała, zjadł więc dwa, nie pogardził również porcją przepiórek.

– Twój ojciec nigdy by nie wszedł pod mój dach w obiedniej porze z własnym jedzeniem – zganiła go Alma.

Spojrzała mu w oczy. – Zostaniesz już w Holden's Crossing na stałe jako nasz lekarz?

Zamrugął powiekami. Pytanie było całkiem naturalne, sam powinien był je sobie zadać, ale aż do tej pory tego unikał.

– No cóż, Almo... Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem – odparł wymijająco.

Gus Schroeder nachylił się ku niemu i powiedział szeptem, jakby powierzał mu jakąś tajemnicę: – No to czemu o tym nie pomyślisz?

Wczesnym popołudniem Rob J. zajechał na farmę Snowów. Edwin Snow uprawiał pszenicę na północnym skraju osady, najdalej od farmy Cole'ów, jak to tylko było w Holden's Crossing możliwe. Ed należał do tych, którzy posłali po doktora Cole'a, ledwie rozeszła się wieść o jego powrocie, bo jątrzył mu się duży palec u nogi. Kiedy Szaman do nich zajechał, Ed krzątał się po obejściu bez śladu utykania.

– Oho, paluch jest w porządku – zawołał radośnie – Twój tata kazał Tildzie trzymać mi kulasa, a sam rozciął go tym swoim kozikiem. Trzymał go w swojej zdrowej ręce tak, i ani drgnął. Moczyłem go w solach, jak mi nakazał, żeby ściągnąć ropę. Dobrze, żeś się zjawił, bo Tilda coś gorzej się czuje.

Pani Show karmiła kurczęta, a wyglądała przy tym tak, jakby nie miała siły sypać im ziarna. Była dużą, ociężałą kobietą o rumianej twarzy. Przyznała, że „ciutkę się zagrzała”. Szaman poznał od razu, że ma wysoką gorączkę. Wyczuł, z jaką ulgą przyjęła jego polecenie, że ma się zaraz położyć do łóżka, choć idąc już do chałupy zarzekała się, że to niepotrzebne. Powiedziała mu, że od paru dni odczuwa tępy ból w plecach i odszedł ją apetyt.

Szaman zaniepokoił się nie na żarty, narzucił sobie jednak ton bagatelizujący, przykazując jej, aby trochę wypoczęła i pozwoliła mężowi zająć się kurczętami i resztą chudoby. Zostawił butelkę środka przeciwbólowego i zapowiedział, że zajrzy do nich nazajutrz. Snow usiłował się oburzać, kiedy odmówił przyjęcia zapłaty, ale Szaman wykazał stanowczość.

– Żadnego płacenia. Nie jestem waszym stałym lekarzem. Przejeżdżałem tędy, ot i wszystko – powiedział, nie wyobrażał sobie bowiem, że mógłby brać honorarium za leczenie choroby, którą Tilda być może złapała od jego ojca.

Ostatnim miejscem, w którym tego dnia złożył wizytę, był klasztor Świętego Franciszka z Asyżu.

Matka Miriam szczerze się chyba na jego widok ucieszyła. Poprosiła, by usiadł. Wybrał drewniane krzesło z prostym oparciem, na którym siadywał, gdy kilka razy przyjeżdżał do klasztoru z ojcem.

– No i co? – zagaiła. – Rozglądasz się po starych śmieciach?

– Robię dziś coś więcej. Próbuję ustalić, czy ojciec nie zaraził przypadkiem kogoś z Holden's Crossing dudem brzuszny. Czy u matki lub siostry Mary Benedicty nie wystąpiły żadne symptomy?

Matka Miriam pokręciła głową.

– Nie. Nie sądzę też, by miały wystąpić. Jesteśmy przyzwyczajone do opiekowania się chorymi na najróżniejsze choroby, podobnie jak twój ojciec. A teraz pewnie i ty.

– Owszem, tak mi się zdaje.

– Myślę, że Bóg ma w swej opiece ludzi nam podobnych. Szaman się uśmiechnął.

– Ufam, że matka ma słuszość.

– A tam u ciebie w szpitalu dużo miałeś do czynienia z dudem?

– Trafiło i do nas trochę przypadków. Chorych na choroby zakaźne umieszczamy w osobnym budynku, z dala od innych.

– Ja, to rozsądne-pochwaliła. – Opowiedz mi coś o tym waszym szpitalu.

Opowiedział jej zatem o Southwestern Ohio Hospital, zaczynając od personelu pielęgniarskiego, co interesowało ją szczególnie, a następnie przechodząc do personelu lekarskiego, chirurgów i patologów. Zadawała trafne pytania, wszystkiego ciekawa. Szaman wspomniał też o swojej współpracy z chirurgiem doktorem Berwynem i anatomopatologiem Barneyem McGowanem.

– Zdobyłeś więc świetne wykształcenie i bogate doświadczenie. I cóż zamierzasz dalej? Zostaniesz w Cincinnati?

Powtórzył jej pytanie, jakie zadała mu Alma Schroeder, wyznając, jak trudno mu przyszło udzielić na nie odpowiedzi. Matka Miriam przyjrzała mu się uważnie.

– I czemuż to znajdujesz odpowiedź na nie tak trudną?

– Kiedy tu mieszkałem, czułem się zawsze upośledzony: głuchy chłopiec wyrastający w otoczeniu ludzi słyszących. Kochałem i podziwiałem mojego ojca i chciałem być zawsze podobny do niego. Ze wszystkich sił pragnąłem zostać lekarzem, robiłem wszystko, by to osiągnąć, choć wszyscy, nawet on, twierdzili, że to niemożliwe. Mimo to ja nadal marzyłem, żeby zostać lekarzem. Teraz to marzenie się spełniło, i to z nawiązką. Nie czuję się już upośledzony i wróciłem tu, w miejsce, które kocham. Dla mnie Holden's Crossing pozostanie na zawsze terenem praktyki prawdziwego lekarza: mojego ojca.

Matka Miriam skinęła głową.

– Ale jego już tu nie ma, Szamanie.

Nic nie odpowiedział. Czuł, jak wali mu serce, jak gdyby po raz pierwszy usłyszał tę wiadomość.

– Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił-powiedziała i wskazała na skórzany fotel. – Usiądź tu, gdzie on zawsze siadał.

Opornie, niemal sztywno powstał z drewnianego krzesła i przesiadł się na miękki fotel. Odczekała chwilę.

– Niezbyt wygodny, co?

– Całkiem wygodny – odrzekł z przekonaniem.

– A ty doskonale do niego pasujesz. – Uśmiechnęła się lekko, po czym dała mu radę niemal identyczną z tą, jakiej mu udzielił Gus Schroeder: – Powinieneś to sobie przemyśleć.

W drodze powrotnej wstąpił do Howardów i kupił dzbanek whisky.

– Przykro mi z powodu twojego ojca – wymamrotał ze zmieszaniem Julian Howard, co Szaman skwitował kiwnięciem głowy, świadom, że obaj mężczyźni bynajmniej za sobą nie przepadali. Mollie Howard powiedziała mu, że na jej rozum Mal i Alex dostali się do armii konfederatów, bo Howardowie nie mieli od syna żadnej wiadomości, odkąd chłopcy uciekli zdomu.

– Tak se myślę, że jakby byli gdzieś po tej stronie frontu, toby się któryś odezwał – powiedziała, a Szaman przyznał jej rację.

Po kolacji zaniósł dzbanek whisky do chaty Aldena jako podarek pokoju. Nalał sobie nawet trochę tego trunku do jednego ze słoików po konfiturach, wiedząc, że parobek nie lubi w towarzystwie pić sam. Począł, aż stary wleje w siebie kilka głębszych, po czym skierował rozmowę na sprawy farmy.

– Czemu to w tym roku ty i Doug Penfield nie dajecie sobie rady z robotą?



– A bo to się zbiera już od lat! – wybuchnął Alden. – Nie sprzedajemy prawie żadnej sztuki poza paru jagniętami z wiosennego wykotu na wielkanocny obiad dla sąsiadów. No i stado z każdym rokiem się powiększa, jest coraz więcej zwierząt do wykąpania, do ostrzyżenia, trza grodzić coraz więcej pastwisk. Próbowałem namówić twojego ojca, nim poszedł na tę wojnę, żeby coś z tym zrobił, ale gdzie tam!

– Dobrze, więc pomówmy o tym teraz. Ile dostajemy za funt wełny? – zapytał Szaman, wyjmując z kieszeni notes i ołówki.

Przez blisko godzinę rozmawiali o klasach i cenach owczego runa, zastanawiali się, czy po wojnie może być lepszy rynek na wełnę, obliczali, ile ziemi potrzeba pod jedną owcę, ile dni pracy, ile to wyniesie dziennego kosztu. Kiedy skończyli, notes Szamana był zabazgrany rachunkami. Alden całkiem się już udobruchał.

– Gdybyś mi zagwarantował, że Alex prędko wróci, sprawa wyglądałaby zupełnie inaczej, bo to chłopak robotny aż miło. Ale on, prawdę powiedziawszy, może już gdzieś tam na południu ziemię gryzie. To cholernie możliwe, chyba nie zaprzeczysz.

– Nie zaprzeczę. Dopóki jednak nie dowiem się na pewno, że jest inaczej, będę o nim myślał jak o żywym.

– Chryste, no jasne, że tak. Chciałem ci tylko powiedzieć, żebyś lepiej nie budował w związku z nim żadnych planów, ot i wszystko.

Szaman westchnął i wstał.

– Posłuchaj, Alden, jutro po południu będę musiał znowu wyjechać, ale z rana zajmę się tą żółtnicą – obiecał.

Nazajutrz z samego rana wyszedł w roboczym ubraniu na pole. Pogoda była w sam raz do pracy na powietrzu: bezdeszczowo, wiał lekki wiatr, na przepastnym niebie wełniły się suche obłoki. Od

dawna nie pracował fizycznie, toteż nim wykopał pierwszy dołek, mięśnie zawęzły mu się w supły.

Posadził ledwo trzy rośliny, gdy na prerii ukazała się jego matka na Bossie, a za nią buraczany farmer, Par Swanson, Szwed, którego Szaman znał tylko powierzchownie.

– Moja córka, moja córka!... – krzyczał już z daleka. – Chyba skręciła sobie kark! Szaman chwycił od matki torbę lekarską, wskoczył na Bossa i popędził za farmerem. Do domu Swansonów jechało się niecały kwadrans. Pobieżny opis objawów poważnie go zaniepokoił, lecz gdy przybyli na miejsce, stwierdził, że dziewczynka żyje, ale bardzo cierpi.

Selma Swanson była jasną blondynką, nie miała jeszcze trzech lat. Lubiła jeździć z ojcem na roztrząsaczu obornika. Tego rana zaprzęg ruszył z bruzdy wielkiego sokoła, który rozrywał na polu mysz. Konie spłoszyły się, gdy ptak wyfrunął im nagle spod kopyt, szarpnęły, Selma straciła równowagę i spadła. Par, próbując okiełznać zwierzęta, dostrzegł kątem oka, że jego córka spadając uderzyła się o rant maszyny.

– Zdawało mi się, że uderzyła się w kark – informował Szamana.

Dziewczynka przyciskała lewą rękę do piersi, podtrzymując ją prawą. Bark miała wybity do przodu.

– Nie – stwierdził Szaman, kiedy ją zbadał. – To obojczyk.

– Złamany? – zaniepokoiła się pani Swanson.

– Nie, tylko lekko zwichnięty. Niewykluczone, że jest małe pęknięcie. Proszę się nie martwić. Gdyby to się przytrafiło pani lub pani mężowi, sprawa byłaby poważna. Ale w jej wieku kości gną się jak młode gałązki i naprawdę szybko się goją.

Obojczyk został uszkodzony w pobliżu złączenia z łopatką i mostkiem. Z dostarczonych przez panią Swanson szmat Szaman zrobił mały temblak, na którym umieścił lewe ramię Selmy, a następnie drugą szmatą przywiązał złożoną na temblaku rękę do jej tułowia, żeby unieruchomić obojczyk.

Nim skończył pić kawę, którą pani Swanson przez cały czas trzymała na ogniu, dziewczynka się uspokoiła. Ponieważ miał już niedaleko do kilku pacjentów ojca, których i tak zamierzał tego dnia odwiedzić, nie było sensu wracać do domu, wybrał się więc od razu na objazd chorych.

Żona jednego z nowych osadników, niejakiego Royce'a, poczęstowała go pasztetem. Na owczą farmę wrócił dopiero późnym popołudniem. Przejeżdżając obok pola, na którym zabierał się rano do pracy, stwierdził, że Alden musiał zapędzić do sadzenia żywopłotu Douga Penfielda, w prerię wybiegła bowiem długa, oskarżycielska linia zielonych sadzonek żółtnicy pomarańczowej.

---

## 59 Ojcowskie tajemnice

---

– Boże, uchowaj – wyszeptała Lillian.

Żadne z Geigerów, powiedziała, nie miało najmniejszych objawów duru brzuszego. Szaman stwierdził, że na jej twarzy odbiło się napięcie wywołane koniecznością prowadzenia farmy,

domu i utrzymania rodziny bez pomocy męża. W dobie upadku branży farmaceutycznej zdołała nawet kontynuować niektóre działy aptecznego handlu Jasona, sprowadzając leki dla Tobiasa Barra i Juliusa Bartona.

– Kłopot polega na tym, że Jay dostawał masę towaru z rodzinnej wytwórni leków w Charlestonie, a wojna, rozumie się, odcięła nas od Południowej Karoliny – wyjaśniła, nalewając Szamanowi herbatę.

– Miałaś ostatnio jakieś wiadomości od Jasona?

– Ostatnio nie.

Sprawiła wrażenie spiętej, ilekroć pytał o jej męża. Domyślał się, że niechętnie o nim opowiada, żeby mu czymś przypadkiem nie zaszkodzić, nie zdradzić jakiejś wojskowej tajemnicy bądź nie narazić na niebezpieczeństwo własnej rodziny. Niełatwo było mieszkać w stanie Unii żonie człowieka, który służył u konfederatów w Wirginii.

Rozluźniła się, kiedy zaczęli rozmawiać o lekarskiej karierze Szamana. Wiedziała o jego awansie w szpitalu oraz o widokach, jakie się tam przed nim otwierały. Sara Cole najwidoczniej dzieliła się z innymi nowinami z listów syna.

– Cincinnati to takie światowe miasto – rzekła Lillian.

– Byłoby cudownie, gdybyś związał z nim swoją karierę, uczył w akademii medycznej, otworzył dobrze prosperującą praktykę... Oboje z Jayem jesteśmy z ciebie bardzo dumni. – Kroiła ciasto kawowe na cienkie, niepokruszone kawałki i dbała, żeby miał zawsze pełny talerz. – Czy zdecydowałeś już, kiedy wracasz?

– Jeszcze nie.

– Posłuchaj, synku. – Nakryła ręką jego dłoń i pochyliła się ku niemu. – Przyjechałeś tu po śmierci ojca i zatroszczyłeś się o wszystko jak należy. Teraz pora ci pomyśleć o sobie i swojej karierze. Czy wiesz, co by twój ojciec życzył sobie, żebyś zrobił?

– Co, ciociu Lillian?

– Ojciec życzyłby sobie, żebyś wrócił do Cincinnati i skupił się na własnej karierze. Powinieneś tam wrócić jak najszybciej!

– zakończyła z powagą.

Zdawał sobie sprawę, że ciotka Lillian ma słuszość. Jeśli zamierza wyjechać, powinien to uczynić jak najprędzej. Codziennie wzywano go do nowych domów, ludzie zwiedzili się już bowiem, że mają znowu lekarza w Holden's Crossing, i przysyłali po niego. Każdy zaś nowy pacjent omotywał go jakby nową nicią babiego lata. Co prawda, taką nić łatwo zerwać; gdyby wyjechał, doktor Barr leczyłby dalej wszystkich, którzy potrzebowaliby lekarskiej opieki. Do jego troskio pacjentów dołączała się jednak również niechęć do pozostawiania po sobie spraw nie dokończonych.

Jego ojciec prowadził rejestr nazwisk i adresów. Szaman przejrzał je uważnie. Powiadomił listownie o śmierci ojca Olivera Wendella Holmesa w Bostonie i stryja Herberta, którego nigdy nie widział i który nie będzie się już musiał odtąd trapić, że starszy brat może pewnego dnia wrócić do Szkocji i upomnieć się swoją schedę.

Każdą wolną chwilę Szaman spędzał nad dziennikiem, pochłonięty odkrywaniem intrygujących, a nie znanych mu faktów z życia ojca. Rob J. Cole pisał o głuchocie syna z niepokojem i czułością. Odczytując teraz te słowa, Szaman czuł ciepło jego miłości. Ból, z jakim opisywał śmierć Makwa-ikwy, a później Nadchodzącego ze Śpiewem i Księżyc, obudziły w młodzieńcu

uczucia dawno już, wydawać by się mogło, pogrzebane. Przejrzał po raz kolejny sprawozdanie z sekcji Makwa-ikwy, bo a nuż przegapił coś podczas poprzednich lektur, a potem jął się zastanawiać, czy ojciec czegoś podczas oględzin zwłok nie pominął, i rozważać, czy on nie zrobiłby tego lub innego inaczej, gdyby przeprowadzał sekcję.

Zagłębiwszy się w zeszyt z roku 1853 przeżył prawdziwy wstrząs. W szufladzie ojcowskiego biurka znalazł klucz do komórki za stodołą, poszedł tam, otworzył wielki zamek i wszedł do środka. Była to najzwyklejsza szopa, bywał w niej setki razy. Na półkach na ścianach stały zapasy leków, środków przeciwbólowych, medykamentów, z krokwi zwisały – spadek po Makwie – pęki suszonych ziół. Obok drewnianego stołu sekcyjnego, przy którym tyle razy asystował ojcu, stał stary piecyk na drewno. Na ścianach wisały na gwoździach brytfankii naczynia drenowe. Z innego gwoźdźca, wbitego w słup z pnia drzewa, wciąż zwisał znoszony brązowy sweter Roba J.

W komórce od lat nie zamiatano i nie ścierano kurzy. Wszędzie wisały pajęczyny, lecz Szaman nie zwracał na nie uwagi. Podeszedł do ściany w miejscu, które wydało mu się tym właściwym, i szarpnął za deskę; ani drgnęła. W stodole był łom, nie okazał się jednak potrzebny, kiedy bowiem spróbował wyjąć inną deskę, poddała mu się z łatwością, podobnie jak kilka sąsiednich.

Przypominało to zaglądnienie w otwór pieczary. W komórce było ciemno. Szare światło dnia wsączało się przez jedno tylko, zakurzone w dodatku okienko. Szaman otworzył na ościeżdrzwi do stodoły, stwierdziwszy zaś, że oświetlenie jest nadal niewystarczające, zdjął z gwoźdźca latarnię, w której chlupotało jeszcze trochę nafty, i zapalił ją.

Kiedy zbliżył jej płomyk do otworu tajnego loszku, rozłopotały się w nim cienie.

Wczołgał się do środka. Ojciec pozostawił skrytkę w porządku. Stały tam nadal miska, kubek i leżał porządnie złożony stary koc, w którym rozpoznał jeden z długo w ich domu używanych pledów. Z najwyższym trudem wcisnął się do ciasnego pomieszczenia, będąc postury równie jak jego ojciec okazałej.

Wśród zbiegów także trafiali się z pewnością postawni mężczyźni.

Zdmuchnął latarnię. W kryjówce zapadła ciemność. Spróbował wyobrazić sobie, że wejście zabito deskami i że za tym przepierzeniem czyha świat podobny ujadającemu psu, który na niego poluje. On zaś ma do wyboru albo życie wołu roboczego, albo zwierzyny łownej.

Wyczołgawszy się z loszku zdjął z gwoźdźca i chociaż dzień był ciepły, włożył stary brązowy sweter. Wełna przechowała zapach jego ojca.

Przez cały ten czas, pomyślał, przez te wszystkie lata, kiedy on i Alex mieszkali jeszcze w domu, kłócili się i łobuzowali, zajęci własnymi sprawami i pochłonięci samolubnymi pragnieniami, ojciec żył obok z tak wielką tajemnicą, samotnie przechodził przez tak ciężką próbę. Szaman poczuł przemożną potrzebę porozmawiania z nim, podzielenia tej jego tajemnicy, wypytania go o wszystko, wyrażenia mu swojej miłości i podziwu. Kiedy dostał depeszę o jego śmierci, uronił tylko kilka łez w swoim pokoju w szpitalu. W pociągu był zimny jak kamień, w czasie pogrzebu i po nim, przez wzgląd na matkę, zupełnie spokojny. Teraz oparł się o ścianę stodoły obok tajnego loszku i osunął się po niej plecami, póki nie usiadł na klepisku jak dziecko i niczym dziecko wzywające ojca

zaniósł się szlochem, świadom, że w ciszy, która go spowija, będzie odtąd jeszcze bardziej samotny.

---

## 60 Dziecko chore na krup

---

Opatrzność czuwała nad nimi. W Holden's Crossing nie wystąpiły dalsze przypadki zachorowań na dur brzuszny. Minęły dwa tygodnie, a na ciele Tildy Snów nie pojawiła się wysypka. Gorączka spadła jej szybko, nie wystąpiły krwotoki ani choćby ślady krwawej biegunki i gdy Szaman zaszedł pewnego popołudnia na ich farmę, pani Snów wlewała właśnie świniom pomyje do koryta.

– To była ciężka grypa, ale pańska żona już z niej wyszła – powiedział jej mężowi.

Gdyby Snów się upierał z zapłatą za wizytę, tym razem przyjąłby pieniądze, tymczasem farmer podarował mu parę dorodnych gęsi, wyopatroszonych już i oskubanych.

- Ta stara przepuklina wciąż mi się daje we znaki – poskarżył się.
- Pozwoli pan, że obejrzę.
- Nie chciałbym brać się za to teraz, gdy trza jak raz zbierać z pola pierwszy pokos siana.
- Upora się pan z tym za jakieś sześć tygodni, tak?
- Coś koło tego.



– Niech więc pan zajdzie wtedy do mnie do ambulatorium.  
– To pan tu jeszcze będzie?  
– Będę – odrzekł Szaman i uśmiechnął się do pana Snów. I w ten oto sposób, spokojnie i bez rozterek, nawet niewiedząc, kiedy się zdecydował, postanowił zostać w Holden's Crossing na stałe.

Oddał matce gęsi i zasugerował, żeby zaprosić na kolację Lillian Geiger z synami, na co Sara odrzekła jednak, że to nie najstosowniejsza pora, poza tym ona uważa, że byłoby dobrze, gdyby zjedli te gęsi sami, razem z parobkami.

Tego wieczoru Szaman napisał oddzielne listy do Barneya McGowana i Lestera Berwyna, wyrażając im swoją wdzięczność za wszystko, co dla niego zrobili, tak w akademii, jak i potem w pracy szpitalnej. Donosił im, że jest zmuszony zrezygnować z posady, gdyż obejmuje praktykę po ojcu w Holden's Crossing. Napisał też do Tobiasa Barra w Rock Island, dziękując zaśrodkowe dyżury dla pacjentów z Holden's Crossing. Zawiadamiał go, że obejmuje pełną opiekę lekarską nad miasteczkiem i prosił, żeby doktor Barr wprowadził go do Towarzystwa Lekarskiego hrabstwa Rock Island.

Napisawszy listy poinformował o swej decyzji matkę. Nie uszła jego uwagi jej radość połączona z ulgą, że nie zostanie w domu sama jak palec. Podbiegła i pocałowała go w policzek.

– Powiem o tym paniom w kościele – zawołała, on zaś uśmiechnął się, zdawał sobie bowiem sprawę, że inna forma reklamy nie będzie mu już potrzebna.

Usiedli, aby wszystko omówić i zaplanować. Będzie przyjmował w ambulatorium ojca i używał, podobnie jak on, komórki przy stodole. Rano będzie przyjmował w przychodni, a popołudniami jeździł na wizyty domowe. Opłaty utrzyma takie, jakie pobierał

ojciec, nie były bowiem wygórowane, a pozwalały im zawsze na wygodne życie.

Rozważył sobie wcześniej trudne położenie farmy i przedstawił teraz matce propozycje naprawienia tego. Gdy skończył, zaaprobowała je skinieniem głową.

Nazajutrz, popijając w chacie Aldena lurowatą kawę, poinformował starego, że postanowili zmniejszyć stado.

Alden słuchał go z pilną uwagą. Wlepił weń wzrok posysając fajkę, to znów zapalając ją na nowo, gdy mu zgasła.

– Rozumiesz, co to znaczy, nie? Zdajesz sobie sprawę, że dopóki trwa wojna, cena wełny pozostanie wysoka? I że mniejsze stado przyniesie wam też mniejsze niż dotąd zyski?

Szaman skinął głową.

– Zgadza się z matką, że jedyne inne rozwiązanie to powiększenie stada, ale to by wymagało przyjęcia ludzi do pracy i staranniejszego zarządzania, do czego obojgu nam się nie pali. Jestem lekarzem, nie hodowcą owiec. Ale nie dopuścimy też, żeby na farmie Cole'ów nie została ani jedna owieczka. Chcielibyśmy, abyś przejrzał stado i wybrał zwierzęta, które dają najlepszą wełnę. Tylko te zatrzymamy i będziemy rozmnażać. Podobnej selekcji będziemy dokonywali co roku, aby uzyskiwać coraz wartościowszą wełnę, co nam powinno zapewnić przyzwoite zyski. Będziemy trzymali tylko tyle sztuk, ile ty i Doug Penfield dacie radę oporządzić.

Oczy Aldena rozbłąsły.

– Oto, co nazywam rozsądną decyzją-powiedział i napełnił kubek Szamana lurowatą kawą.

Momentami lektura dziennika stawała się dla Szamana trudna, zbyt bolesne było to wkradanie się w ojcowskie myśli i uczucia. Czasami odkładał go aż na cały tydzień, ale zawsze doń wracał, przyciągnięty potrzebą odczytania kolejnych stronic, zdawał sobie bowiem sprawę, że to jego ostatni kontakt z ojcem. Kiedy przeczyta ten dziennik do końca, żadnych nowych informacji o Robię J. Cole'u już nie zdobędzie, pozostaną mu tylko wspomnienia.

Czerwiec był deszczowy, lato nienormalne, wszystko dojrzewało wcześniej, zarówno zboża, jak drzewa owocowe i leśne rośliny. Rozmnożyły się ponad zwykłą miarę króliki i zające; wszędobylskie szaraki skubały trawę w pobliżu domu i wyjadały sałatę i kwiaty z ogródka Sary Cole. Opady utrudniły sprzęt siana i całe łąki gniły, zamiast schnąć, powodując obfity wyrój owadów, które kąsały Szamana i wypijały zeń krew, gdy wyjeżdżał z wizytami do chorych. Pominąwszy tę uciążliwość, był praktyką w Holden's Crossing zachwycony. Praca lekarza w szpitalu w Cincinnati miała tę dobrą stronę, że ilekroć potrzebował pomocy bądź rady starszego kolegi, zbiegał się zaraz na jego wezwanie cały personel. Tutaj był sam i nie wiedział jednego dnia, co czeka go następnego. A to była istota praktyki lekarskiej i on to kochał.

Tobias Barr powiadomił go, że Okręgowe Towarzystwo Lekarskie zostało rozwiązane, gdyż większość jego członków poszła na wojnę. zaproponował, by tymczasem spotykali się we trójkę-on, Szaman i Julius Barton-raz w miesiącu na kolację i pogawędkę na tematy zawodowe. Ku wzajemnemu zadowoleniu odbyli też pierwsze takie spotkanie, poświęcone odrze, która wybuchła w Rock Island, nie dotarła jednak do Holden's Crossing. Zgodzili się, że należy przestrzegać pacjentów, zarówno młodych, jak i starszych, żeby się

nie drapali i nie zdzierali krost, choćby i bardzo swędziły; uzgodnili ponadto, że leczenie powinno się składać z kojących maści, ochładzających napojów i proszku z Seidlitz. Obaj mężczyźni okazali zainteresowanie, gdy Szaman opowiedział im, że w szpitalu w Cincinnati w skład kuracji wchodziło też – kiedy choroba atakowała drogi oddechowe – płukanie gardła ałunem.

Przy deserze rozmowa zeszła na tematy polityczne. Doktor Barr należał do licznej grupy republikanów, którzy uważali, że Lincoln zbyt łagodnie obchodzi się z Południem. Popierał ustawę rekonstrukcyjną Wade'a-Davisa, która wzywała dosurowego ukarania Południa po wojnie, a którą Izba Reprezentantów uchwaliła wbrew zastrzeżeniom Lincoln. Ośmieleni przez Horace'a Greeleya republikańscy dysydenci zebrali się w Cleveland i postanowili wysunąć własnego kandydata na prezydenta, generała Johna Charlesa Fremonta.

– Uważa pan, że generał byłby w stanie pokonać Lincoln? – zapytał Szaman.

Doktor Barr pokręcił markotnie głową.

– Dopóki trwa wojna, nie. Nic tak nie sprzyja ponownemu wyborowi urzędującego prezydenta jak właśnie wojna.

W lipcu ustały nareszcie deszcze, z nieba jął się za to lać niemiłosierny żar; preria parowała, płowiała i brązowiała. Odra dotarła na koniec także do Holden's Crossing i choć wybuch epidemii nie był tak gwałtowny jak w Rock Island, Szamana zaczęto wkrótce wzywać do jej ofiar nawet w środku nocy. Od matki dowiedział się, że odra zebrała w Holden's Crossing obfite żniwo już w poprzednim roku, uśmiercając pół tuzina osób, w tym kilkoro dzieci, uznał więc, że ostry przebieg choroby mógł

uodpornić częściowo ludzi na następne lata. Przyszło mu na myśl, żeby napisać o tym do doktora Harolda Meigsa, swojego dawnego profesora medycyny w Cincinnati, i zapytać go, czy ta hipoteza ma sens.

Pewnego dusznego, parnego wieczoru, który skończył się burzą, leżał w łóżku i wczuwał się w drżenie domu, wywoływane bijącymi co rusz potężnymi przeciągłymi gromami, otwierając oczy, ilekroć rozjarzała pokój widmowa łuna błyskawic. Zmęczenie wzięło w końcu górę nad tymi naturalnymi przeszkodami w zaśnięciu i zasnął, a tak głęboko, że gdy matka zaczęła go budzić potrząsając za ramię, minęła dłuższa chwila, nim zrozumiał, gdzie jest i co się z nim dzieje.

Sara zbliżyła lampę do swej twarzy, żeby mógł widzieć jej usta.

– Musisz wstawać.  
– Przypadek odry? – zapytał, wkładając ubranie.  
– Nie. Przyjechał po ciebie Lionel Geiger. Szaman wzuł buty i wybiegł z pokoju.

– Co się stało, Cubby?  
– Chodzi o synka mojej siostry. Rzęzi, kiedy próbuje oddychać. W gardle tak mu charczy jak w pompie, gdy nie chce ciągnąć.

Za długo by trwało, gdyby pobiegł Długą Ścieżką na piechotę, za długo, gdyby chciał zaprzęgać bryczkę albo siodłać Bossa.

– Biorę twojego konia – rzucił chłopcu, wskoczył na siodło i puścił się galopem do ścieżki, przecwałował ćwierć mili, po czym skręcił w dróżkę prowadzącą do domu Geigerów. Przez całą drogę ścisnął mocno torbę lekarską, żeby jej nie zgubić.

Lillian Geiger czekała na niego w drzwiach.

–Tędy.

Rachel... Siedziała na łóżku w swoim dawnym pokoju z dzieckiem na kolanach. Malec zaczynał już sinieć. Ostatkiem sił próbował jeszcze chwytać dech.

– Zrób coś! Umiera mi!

Istotnie, chłopiec był bliski śmierci. Szaman otworzył mu usta i wsunął do gardła palec wskazujący i średni. Tył jamy ustnej i wlot krtani były zarośnięte paskudną śluzową błoną, zabójczą membraną, szarą i grubą. Rozdarł ją palcami.

Ciałkiem dziecka wstrząsnął gwałtowny spazm łapczywego oddechu.

Matka przytuliła synka i rozpłakała się.

– Ach, Boże... Joshua, lepiej ci już?

Oddech miała kwaśny, jak to po nocy, włosy potargane.

A jednak, choć trudno uwierzyć, była to jego dawna Rachel, mimo że teraz kobieta już dojrzała. Nie odrywała wzroku od swojego dziecka.

Chłopczyk wyglądał już lepiej, zasinienie schodziło, wraz z wpływającym do płuc tlenem wracały mu naturalne kolory. Szaman położył rękę na jego piersiach i wyczuł mocne uderzenia serca, potem zbadał puls, trzymając przez chwilę małe rączki w swoich wielkich dłoniach. Malec zaczął kasłać.

Do pokoju wsunęła się Lillian i Szaman zwrócił się do niej.

– Jak brzmi jego kaszel?

– Płytki, podobny do... szczekania.

– Świszczący?

– Tak, świszczę po każdym kaszlnięciu, jakby mu w płucach gwizdało.

Skinał głową.

– Ma ostry nieżyt krtani. Musicie nagrzać wody i robić mu aż do rana gorące kąpiele, żeby rozluźnić mięśnie klatki piersiowej. Powinien wdychać parę. – Wydobył z torby jedno zlekarstw Makwy, herbatę z wężownika i nagietka.-Zaparz toi podawaj mu do picia osłodzone, jak najgorętsze. Otworzy mu to krtani i złagodzi kaszel.

– Dziękuję ci, Szaman. – Lillian ścisnęła go za rękę. Rachel zdawała się go w ogóle nie dostrzegać. Jej przekrwione oczy podobne były do oczu kobiety szalonej. Koszulę miała umazaną smarkami swego dziecka.

Wychodząc z domu Geigerów spotkał nadchodzących Długą Ścieżką matkę i Lionela. Chłopak niósł latarnię, która ściągała całe chmary komarów i ciem. Jego wargi się poruszyły; Szaman domyślił się, o co pyta.

– Myślę, że wyzdrowieje – powiedział. – Zgaś lampę i odgoń to robactwo, zanim wejdiesz do środka.

Wrócił do domu sam. Tyle już razy chodził Długą Ścieżką, że ciemności nocy nie stanowiły dlań żadnej przeszkody. Od czasu do czasu rozjarzały się ostatnie błyskawice i rozjaśniały czarny las po obu stronach dróżki.

Wróciwszy do swojego pokoju rozbierał się machinalnie jak lunatyk. Gdziekolwiek spojrzeł, otępiały i oszołomiony, czy to na tonący w mroku sufit, czy na ciemne ściany, wszędzie widział tę samą twarz.

---

Kiedy nazajutrz z rana zaszedł do domu Geigerów, otworzyła mu Rachel ubrana w niebieską, chyba nową podomkę. Włosy miała starannie uczesane. Ujęła go za ręce i Szamana owiał delikatny, balsamiczny zapach jej ciała.

– Witaj, Rachel.

– Dziękuję, Szaman, dziękuję!

Oczy miała takie jak niegdyś, wciąż cudownie głębokie, zauważył jednak, że są nadal zaczerwienione z niewyspania.

– Jakże się miewa mój mały pacjent?

– Wygląda lepiej. Nie kaszle już tak okropnie. Wprowadziła go na górę. Lillian siedziała przy łóżeczkuwnuka i zabawiała go rysowaniem na arkuszach szarego papieru ludzików z samych kresek i opowiadaniem bajek. Pacjent, który w nocy był dla Szamana wyłącznie cierpiącą istotą ludzką, okazał się z rana drobnym czarnookim chłopczykiem o kasztanowych włosach i bladej, usianej piegami twarzą. Wyglądał na dwa latka. W nogach łóżka siedziała o kilka lat starsza dziewczynka, wykapany brat.

– Oto moje dzieci – przedstawiła je Rachel. – Joshua i Hattie Regensberg. A to doktor Cole.

– Jak się macie – przywitał je Szaman.

– Jak siemaś. – Malec przyglądał mu się podejrzliwie.

– Dzień dobry – odezwała się Hattie Regensberg. – Mamusia mówi, że pan nas nie słyszy, więc musimy na pana patrzeć, gdy chcemy coś powiedzieć, i wyraźnie wymawiać słowa.

– Tak, to prawda.



- A dlaczego pan nas nie słyszy?
- Ogłuchłem, bo kiedy byłem małym chłopcem, rozchorowałem się – wyjaśnił z prostotą Szaman.
- Czy Joshua też ogłuchnie?
- Nie, Joshua z całą pewnością nie ogłuchnie.

Po krótkim badaniu chłopca uspokoił jego rodzinę, że Joshua ma się już zdecydowanie lepiej. Kąpiele i parówka spędziły gorączkę, puls miał miarowy i silny, a gdy Szaman ustawił na jego piersi dzwonek stetoskopu i poinstruował Rachel, jakich ma nasłuchiwać dźwięków, nie usłyszała żadnych podejrzanych szmerów. Szaman wetknął następnie końcówki instrumentu do uszu malca i pozwolił mu posłuchać bicia jego własnego serca. Potem za stetoskop wzięła się Hattie, przystawiła dzwonek do brzucha brata i oświadczyła, że słyszy tylko „jak mu burczy”.

- To dlatego, że mu кишки marsza grają – stwierdził Szaman i poradził Rachel, żeby przez parę dni trzymała synka na lekkiej, ale pożywnej diecie.

Zdradził Joshui i Hattie, że ich matka zna nad rzeką kilka takich miejsc, gdzie świetnie biorą ryby, i zaprosił ich, żeby przyszli na farmę Cole’ów, to się pobawią z małymi owieczkami. Potem pożegnał się z dziećmi i ich babką. Rachel odprowadziła go do drzwi.

- Masz śliczne dzieci.
- Śliczne, prawda?
- Przykro mi z powodu twojego męża.
- Dziękuję.
- Życzę ci szczęścia w nowym małżeństwie. Sprawiała wrażenie zaskoczonych.

– W jakim znów nowym małżeństwie? – spytała akurat w chwili, gdy jej matka schodziła na dół.

Lillian przemknęła przez sień cicho jak myszka, na jej twarzy, niczym szyld reklamowy, zapalił się jednak ceglasty rumieniec.

– Wprowadzono cię w błąd, nie wybieram się za mąż – powiedziała sucho Rachel, na tyle wszak głośno, by matka mogła ją usłyszeć, po czym pobladła na twarzy, pożegnała gościa.

Wracając tego popołudnia do domu zobaczył z daleka samotną kobietą postać na drodze. Podjechawszy bliżej, poznał niebieską suknię domową. Rachel miała na nogach ciężkie buty, a na głowie stary kapelusz dla osłony przed słońcem. Zawołał ją. Odwróciła się i przywitała go ze spokojem.

– Czy mogę się z tobą chwilę przejść?

– Proszę.

Zeskoczył z Bossa i prowadził go dalej za uzdę.

– Pojęcia nie mam, co mojej matce strzeliło do głowy, żeby ci opowiadać, że wychodzę za mąż. Kuzyn Joego starał się o mnie co prawda, ale za niego nie wyjdę. Podejrzewam, że matka popycha mnie ku niemu, bo chce, żeby dzieci miały odpowiedniego ojca.

– Wygląda mi na to, że mamy do czynienia ze sprzysiężeniem matek. Moja zapomniała mi w ogóle powiedzieć, że wróciłaś. Głowę dam, że umyślnie.

– To takie niesprawiedliwe z ich strony!... – W jej oczach zalśniły łzy. – Mają nas chyba za głupców. Przecież ja zdaję sobie sprawę, że mam syna i córkę, którzy potrzebują żydowskiego ojca. A ostatnią chyba rzeczą, jakiej ty mógłbyś pragnąć, jest Żydówka z dwójką dzieci, do tego w żałobie.

Uśmiechnął się do niej.

– To bardzo miłe dzieci. I mają bardzo sympatyczną matkę. Ale masz rację, nie jestem już zakochanym piętnastolatkiem.

– Często o tobie myślałam po wyjściu za mąż. Tak mi było przykro, że wyrzodziłam ci krzywdę.

– Szybko się z tego wykaraskałam.

– Byliśmy oboje dziećmi, które zbliżyły się do siebie w trudnych chwilach życia. Ja drżałam ze strachu przed małżeństwem, a ty byłeś takim dobrym przyjacielem...

– Uśmiechnęła się do niego. – Już jako mały chłopiec powiedziałeś, że w mojej obronie gotów byłbyś zabić człowieka. Teraz jesteśmy dorośli, a ty uratowałeś życie mojemu synkowi. – Położyła mu dłoń na ramieniu. – Mam nadzieję, że na zawsze pozostaniemy przyjaciółmi, Szaman. Do końca życia. Odchrząknął.

– Och, jestem tego pewien – mruknął zmieszany. Przez jakiś czas szli w milczeniu, potem Szaman zapytał, czy nie chciałaby wsiąść na konia.

– Nie, mam ochotę się przejść.

– W takim razie pozwolisz, że już pojedę, mam jeszcze sporo pracy przed kolacją. Do widzenia, Rachel.

– Do widzenia, Szaman – odrzekła, a on wskoczył na siodło i odjechał, zostawiając ją na drodze.

Szła przed siebie, jakby miała jakiś cel na oku.

Uznał, że jest silną i rozsądną kobietą, która ma odwagę przyjmować rzeczy takimi, jakimi są i postanowił brać z niej przykład. Ciągnęło go do kobiecego towarzystwa. Pojechał z domową wizytą do Roberty Williams, która cierpiała na „damskie przypadłości” i zaczęła za dużo pić. Odwracając oczy od krawieckiego manekina o pośladkach z kości słoniowej, zapytał o jej

córkę i dowiedział się, że Lucille trzy lata wcześniej wyszła za mąż za urzędnika poczty i zamieszkała w Davenport.

– Co rok u nich prorok. Nigdy mnie nie odwiedza, chyba że potrzebuje pieniędzy, wyrodna córka – poskarżyła mu się Roberta. Zostawił jej butelkę środka na wzmocnienie.

Kiedy, pogrążony w najczarniejszych myślach, włókł się Main Street, zawołał go Tobias Barr, przejeżdżający obok swoim powozem w towarzystwie dwóch kobiet. Jedną z nich była Frances, jego filigranowa żona o blond włosach, drugą jej siostrzenica, która przyjechała z St. Louis w odwiedziny do wujostwa. Osiemnastoletnia panna Evelyn Flagg była wyższa od ciotki, miała podobnie jak ona blond włosy i najdoskonalszy kobiecy profil, jaki Szaman kiedykolwiek oglądał.

– Pokazujemy Evie Holden's Crossing, pomyśleliśmy, że chciałyby je poznać – oznajmił doktor Barr. – Czytałeś „Romea i Julię”, Szamanie?

– Tak.

– Wspominałeś mi, że kiedy znasz treść sztuki, z przyjemnością oglądasz ją na scenie. Do Rock Island zjeżdża w tym tygodniu trupa objazdowa. Organizujemy wyprawę do teatru. Nie pojechałbyś z nami?

– Z największą ochotą – odrzekł Szaman i uśmiechnął się do panny Evelyn, ta zaś odpowiedziała mu olśniewającym uśmiechem.

– Najpierw mała kolacyjka u nas, a o piątej wyjazd – poinformowała go Frances Barr.

Kupił sobie białą koszulę, czarny wąski krawat i na nowo przeczytał tragedię Szekspira. Państwo Barr zaprosili również na podwieczorek Juliusa Bartona i jego żonę Rosę. Evelyn miała na

sobie niebieską suknię, która doskonale pasowała do jej blond fryzury. Szaman wyteżzał przez chwilę pamięć, usiłując przypomnieć sobie, gdzie ostatnio widział ten odcień błękitu. W końcu mu się to udało: takiego samego koloru była domowa suknia Rachel Geiger.

„Lekka kolacyjka” Frances Barr składała się z sześciu dań. Szaman stwierdził, że rozmowa z Evelyn nie bardzo mu się klei. Ilekroć ją o coś zapytał, odpowiadała krótkim, nerwowym chichotem i potakującym bądź przeczącym ruchem głowy. Tylko dwa razy odezwała się nie pytana – raz, by pochwalić ciotkę za wyśmienitą pieczeń, drugi raz podczas deseru, gdy zwierzyła się Szamanowi, że uwielbia brzoskwinie i gruszki, toteż przepełnia ją wdzięczność, że dojrzewają w różnych porach roku i nie musi dokonywać pomiędzy nimi wyboru.

Teatr był pełen ludzi, wieczór zaś tak gorący, jak to się zdarza tylko u schyłku lata. Weszli na salę tuż przed podniesieniem kurtyny, bo spożycie sześciu dań zajęło im jednak trochę czasu. Tobias Barr kupił bilety z myślą o Szamanie, mieli więc miejsce w środku trzeciego rzędu. Ledwie je zajęli, aktorzy zaczęli wygłaszać swoje kwestie. Szaman oglądał przedstawienie przez lornetkę teatralną, dzięki której mógł z powodzeniem czytać z ruchu warg, z przyjemnością więc śledził rozwój akcji. Podczas pierwszej przerwy wyszli z doktorami Barrem i Bartonem na dwór i stanęli w kolejce do wychodka za budynkiem teatru. Zgodzili się, że przedstawienie jest nader interesujące. Doktor Barton był zdania, że aktorka grająca rolę Julii jest w ciąży, Barr natomiast zauważył, że Romeo nosi pod trykotem pas przepuklinowy.

Szaman skupiał uwagę głównie na ustach wykonawców, podczas drugiego aktu przyjrzał się jednak baczniej postaci Julii i stwierdził,

że podejrzenie doktora Bartona pozbawione jest podstaw. Co do Romea, ten istotnie nosił pas przepuklinowy.

Po drugim akcie otworzono drzwi, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza, co przywitane zostało westchnieniem ulgi, i zapalono lampy. Szaman i Evelyn zostali na swoich miejscach i próbowali nawiązać rozmowę. Panna wyznała mu, że w St. Louis często chodzi do teatru.

– Uważam przedstawienie za tak inspirujące!... A pan?

– Owszem. Lecz ja rzadko chodzę do teatru – odrzekł w roztargnieniu.

Miał dziwne wrażenie, że jest obserwowany. Skierował lornetkę na widzów zasiadających na balkonach po lewej stronie sceny, a potem na tych po stronie prawej i tam w drugim z kolei balkonie dojrzał Lillian Geiger i Rachel. Lillian miała na sobie brązową lnianą suknię z wydętymi jak banie rękawami z koronek. Rachel siedziała pod samą lampą, musiała się więc oganiać od zlatujących do światła ciem, dzięki czemu Szaman mógł się jej przyjrzeć dokładnie. Włosy miała starannie uczesane, upięte z tyłu głowy w lśniący kok. Ubrana była w czarną suknię, która wyglądała na jedwabną. Zastanowiło go, kiedy wreszcie idąc między ludzi przestanie wkładać żałobę. Suknia była bez kołnierzyka, najpewniej z powodu upału, i miała krótkie bufiaste rękawy. Zlustrował krągłe ramiona Rachel i jej pełne piersi, ale wnet przeniósł spojrzenie na jej twarz. Gdy się jej przyglądał, odwróciła się od matki i spojrzała na parter, kierując wzrok ku krzesłu, na którym siedział. Przez dłuższą chwilę patrzyła w jego wzniesioną ku górze lornetkę, po czym gdy szwajcarzy zaczęli gasić lampy, odwróciła oczy.

Akt trzeci zdawał się ciągnąć w nieskończoność. W chwili kiedy Romeo mówił do Merkucja: „Zbierz męstwo, rana nie musi być wielka”, Szaman uzmysłowił sobie, że Evelyn Flagg usiłuje mu coś powiedzieć. Poczuł na uchu ciepły podmuch jej szeptu akurat w chwili, gdy Merkucjo odpowiadał: „Zapewne, nie tak głęboka jak studnia, ani szeroka tak jak drzwi kościoła, ale wystarczy w sam raz, rękę za to.”

Odjął lornetkę od oczu i odwrócił się w stronę siedzącej obok niego w ciemności dziewczyny, zdziwiony, że małe dzieci, takie jak Joshua i Hattie Regensberg, pamiętają o zasadach czytania z warg, a ta dorosła panna o tym zapomniała.

– Nie słyszę pani.

Nie umiał mówić szeptem. Odezwał się bez wątpienia o wiele za głośno, bo siedzący przed nim w drugim rzędzie mężczyzna obejrzał się i zmierzył go karcącym spojrzeniem.

– Przepraszam – szepnął Szaman, ze szczerą nadzieją, że tym razem jego słowa zabrzmiały już ciszej, po czym na powrót zbliżył lornetkę do oczu.

---

## 62 Wędkowanie

---

Nurtowała go ciekawość, co sprawia, że ludzie tacy jak jego ojciec i George Cliburne umieli wyrzec się przemocy, a inni tego nie

potrafili. Kilka dni po wyprawie do teatru pojechał znowu do Rock Island, tym razem z zamiarem porozmawiania z Cliburne'em na temat pacyfizmu. Trudno mu było uwierzyć w rewelacje gazet, które pisały, że Cliburne to opanowany dzielny człowiek, który przywoził do jego ojca zbiegłych niewolników, a potem ich odbierał i przekazywał do następnego punktu przerzutowego. Ten tłuściutki, łysiejący handlarz paszą nie wyglądał zgoła na bohatera ani też na kogoś, kto wbrew zakazom prawa byłby skłonny podjąć tak wielkie ryzyko w imię jakichś zasad. Szaman był pełen podziwu dla tego twardego, zagadkowego ducha, który gościł w pulchnej powłoce cielesnej kupca aiburne'a. IGdy zaszedł do niego do sklepu i przedstawił mu swoją prośbę, aiburne skinął głową.

– Zgoda, odpowiem na twoje pytania dotyczące pacyfizmu, uważam jednak, że byłoby wskazane, abyś wpierw przeczytał sobie to i owo na ten temat – rzekł, po czym zapowiedział swojemu subiektowi, że zaraz wraca. Szaman pojechał za nim do jego domu, gdzie Cliburne wybrał mu z biblioteki kilka książek i jakąś krótką rozprawę. – Gdybyś zechciał, mógłbyś też zająć któregoś razu na zebranie Przyjaciół.

Szaman wątpił, aby miała najść go kiedyś podobna ochota, podziękował jednak Cliburne'owi i zabrawszy książki wrócił do domu. Rozczarowały go trochę, okazało się bowiem, że traktują głównie o sekcie kwaków. Towarzystwo Przyjaciół powstało w Anglii w XVII stuleciu, założone przez niejakiego George'a

Foxa, który wierzył, że „duchowe światło Pana” płonie w sercach najzwyczajniejszych ludzi. Jeśli wierzyć książkom Giburne'a, kwakrzy pomagali sobie wzajemnie, wiodąc proste życie w miłości i przyjaźni. Nie uznawali żadnych sakramentów ani dogmatów, gdyż



całość życia uważali za sakrament, nie przestrzegali też żadnej specjalnej liturgii. Nie mieli duchowieństwa, wierzyli bowiem, że Duch Święty może spłynąć na każdego świeckiego. Zasadnicze dla ich wiary było odrzucenie wojny i praca na rzecz pokoju.

Przyjaciół w Anglii prześladowano, a ich imię było początkowo obraźliwym przezwiskiem. Postawiony przed sędzią Fox zalecił temu urzędnikowi prawa, aby „z drzeniem wsłuchiwał się w Słowo Pańskie”, na co sędzia nazwał go „kwakrem”, drżącym. Potem William Penn założył w Pensylwanii kolonię, dokąd mogli się chronić prześladowani w Anglii Przyjaciele. Przez trzy ćwierci wieku nie znano w Pensylwanii milicji i utrzymywano tylko kilku policjantów.

Szaman był ciekaw, jak sobie tam radzono z pijakami. Z lektury książek Giburne’a niewiele się dowiedział o pacyfizmie, nie oświeciło go też żadne „duchowe światło”.

Wrzesień tego roku nastał ciepły, a przy tym pogodny i rześki, więc Szaman jeżdżąc do chorych wybierał, ilekroć mógł, drogi biegnące nad rzeką, aby radować oczy lśnieniem słońca na płynącej wodzie i urodą kroczących na szrudłowych nogach ptaków, których było coraz mniej, bo wiele odleciało już na południe.

Gdy pewnego popołudnia wracał niespiesznie do domu, spostrzegł pod drzewem na brzegu trzy znajome postacie. Rachel wyjmowała właśnie haczyk z pyszczka złowionej ryby, a jej mały synek trzymał wędzisko. Zdjąwszy trzepoczącą rybę z haczyka, wrzuciła ją z powrotem do wody, Szaman wymiarkował zaś z postawy i wyrazu twarzy Hattie, że dziewczynka jest na coś zła. Zjechał z drogi i skierował Bossa w ich stronę.

– Serwus!

– Serwus! – odkrzyknęła Hattie.

– Nie pozwala nam zatsymać żadnej rybecki – poskarżył się Joshua.

– Założę się, że to same sumiki-domyslił się ze śmiechem Szaman. Rachel nigdy nie było wolno przynosić do domu sumików, gdyż jako pozbawione łuski, nie były koszerne.

Zdawał sobie sprawę, że dla dziecka najprzyjemniejsze w wędkowaniu jest przyglądanie się, jak rodzina zajada rybę, którą złowiło. -Jeżdżę codziennie do Jacka Damona, bo coś ostatnio kwęka. Znacie ten zakręt rzeki koło jego działki? Rachel się uśmiechnęła.

– Ten, gdzie tyle skał?

– Właśnie ten. Widziałem onegdaj, jak powyżej tych skał jacyś chłopcy wyciągnęli ślicznego okonka.

– Dziękuję za wiadomość. Jutro się tam wybierzemy. Stwierdził, że Hattie odziedziczyła uśmiech po matce.

– No, miło was było widzieć.

– Nam ciebie też! – zawołała dziewczynka. Dotknął runda kapelusza i zawrócił konia.

– Szaman! – Rachel podeszła do niego i podniosła oczy. – Gdybyś jutro koło południa wybierał się znowu do Jacka Damona, zajedź do nas nad rzekę, zjemy razem lunch.

– Dobrze, postaram się.

Pożegnawszy następnego dnia rzeźącego Jacka Damona pojechał nad rzekę i już z daleka ujrział brązową bryczkę Geigerów i spętaną w cieniu, skubiącą soczystą trawę ich siwąklacz.

Rachel i dzieci łowili ze skał. Joshua wziął Szamana za rękę i zaprowadził ku płytkiej, cienistej zatoczce, gdzie pływało na boku

sześć czarnych okoni, w sam raz na patelnię, nanizanych przez skrzela na przywiązany do gałęzi drzewa sznurek.

Na widok Szamana Rachel wyjęła kawałek mydła i zaczęła szorować ręce.

– Lunch będzie zalatywał nieco rybą – ostrzegła wesoło.

– Wcale mi to nie przeszkadza – odparł, zgodnie zresztą z prawdą. Jedli pieczone w ostrym sosie jajka, konserwowane ogórki, lemoniadę i cukierki z melasy. Po lunchu Hattie oznajmiła poważnie, że przyszła pora na poobiednią drzemkę, po czym oboje z bratem ułożyli się nie opodal na kocu i zasnęli.

Rachel posprzątała po jedzeniu, chowając zastawę do parcianej torby.

– Jeśli masz ochotę sobie połowić, możesz wziąć drugą wędkę.

– Nie, dziękuję – odrzekł, wolał bowiem patrzeć, co mówi Rachel, niż wślepiać się w spławik.

Skinęła głową i zapatrzyła się na rzekę. W górze jej nurtu kołowało stado jaskółek – prawdopodobnie przelotem z dalekiej północy – zataczając śmigłe kręgi, a tak równo, jak gdyby były jednym ptakiem. Nim odleciały, musnęły lustro wody ostatnim pocałunkiem.

– Czy to nie wspaniałe, powiedz? Czy to nie cudownie być znowu w domu?

– Tak, Rachel, cudownie.

Przez jakiś czas rozmawiali o zaletach mieszkania w dużym mieście. Szaman najpierw opowiadał o Cincinnati, później odpowiedział na pytania Rachel o akademię medyczną i szpital.

– A ty lubiłaś Chicago?

– Podobało mi się, że mam blisko do teatru, na koncert. W każdy czwartek grywałam na skrzypcach w kwartecie. Joe nie był muzykalny, ale chętnie mi na to pozwalał. Był bardzo miłym człowiekiem – dodała. – Był dla mnie bardzo czuły po stracie naszego pierworodnego w pierwszym roku małżeństwa.

Szaman kiwnął głową.

– No, a potem urodziła się Hattie i zaraz wybuchła wojna. Odtąd cały mój czas, którego nie poświęcałam rodzinie, oddałam wojnie. Gmina żydowska w Chicago liczyła niecały tysiąc osób. Osiemdziesięciu czterech młodych mężczyzn zaciągnęło się do żydowskiej kompanii, a my zebraliśmy fundusze i wyposażyliśmy ich gruntownie. Utworzono z nich kompanię C osiemdziesiątego drugiego pułku piechoty z Illinois. Odznaczyli się chlubnie pod Gettysburgiem i na innych polach bitew. Mam w tym swój skromny udział.

– Ależ ty jesteś kuzynką Judy P. Benjamina, a twój ojciec jest zagorzałym Południowcem!

– Wiem o tym. Co nie przeszkadza, że ani Joe, ani ja nie byliśmy stronnikami Południa. W dniu, w którym przyszedł list od matki z wiadomością, że tato zaciągnął się do konfederatów, siedziały w mojej kuchni kobiety ze Stowarzyszenia Żydówek dla Niesienia Pomocy Żołnierzom i zwijały bandaże dla wojsk Unii. – Wzruszyła ramionami. – A potem urodził się Joshua i umarł Joe. Oto moje dzieje.

– Jak dotąd – uzupełnił Szaman.

Spojrzała na niego z uwagą. Zdążył już zapomnieć o delikatnym łuku jej aksamitnego policzka pod wysokimi kośćmi policzkowymi, o miękkiej i pełnej dolnej wardze oraz o tym, że w cieniu jej

brązowych oczu sąsiadują ze sobą światło i mrok. Pytanie, które zadał, samo mu się jakoś wyrwało.

– Więc byłaś szczęśliwa w małżeństwie?

Zapatrzyła się w rzekę. Już myślał, że umknęła mu jej odpowiedź, gdy odwróciła ku niemu twarz.

– Powiedziałabym raczej, że usatysfakcjonowana. Ale tak naprawdę poddałam się rezygnacji.

– Ja nigdy nie byłem usatysfakcjonowany. Ale też nigdy nie poddałem się rezygnacji – stwierdził w zamyśleniu.

– Bo ty się nie poddajesz, walczysz do końca, dlatego jesteś Szamanem. Musisz mi obiecać, że nigdy nie dopuścisz do siebie rezygnacji.

Hattie obudziła się, podeszła do matki i zwinęła się na jej kolanach, pozostawiając śpiącego braciszka na kocu.

– Obiecaj mi to – powtórzyła Rachel. Uśmiechnął się.

– Obiecuję.

– Dlaczego ty tak śmiesznie mówisz? – zainteresowała się dziewczynka.

– Czy ja mówię śmiesznie? – zapytał, kierując swoje pytanie raczej do matki niż córki.

– Śmiesznie! – przesądziła mała.

– Twoja wymowa jest bardziej gardłowa niż przed moim wyjazdem – powiedziała ostrożnie Rachel. – Wydaje mi się ponadto, że gorzej panujesz nad głosem.

Potaknął i opowiedział, jak nie potrafił odezwać się szeptem w czasie przedstawienia w teatrze.

– Ćwiczysz dalej? – spytała.

Wydawała się wstrząśnięta, gdy jej wyznał, że od wyjazdu z Holden's Crossing do akademii zarzucił trening głosu.

– Nie miałem czasu na ćwiczenia wymowy. Byłem zbyt zajęty kształceniem się na lekarza.

– Ale teraz nie wolno ci dłużej leniuchować! Musisz wrócić do tych ćwiczeń. Jeśli nie będziesz ich co jakiś czas powtarzał, zapomnisz w końcu, jak się powinno mówić. Jeśli chcesz, mogłabym z tobą ćwiczyć tak jak dawniej.

Siedziała naprzeciwko Szamana i wpatrywała się w niego zatroskanym wzrokiem. Wiatr od rzeki rozwiewał jej rozpuszczone włosy, a mała dziewczynka, mająca jej uśmiech i oczy, tuliła się do jej piersi. Rachel trzymała głowę wysoko, jej wyprężona wysmukła szyja przypominała Szamanowi oglądaną na jakimś obrazku lwicę.

„Wiem, że podołam, panno Burnham.”

Zobaczył znów tamtą dziewczynkę, która zgłosiła się na ochotnika na nauczycielkę wymowy małego głuchego chłopca, i przypomniał sobie, jak bardzo ją kochał.

– Byłbym ci wdzięczny, Rachel – rzekł z powagą, dokładając starań, by zaakcentować pierwszą sylabę w wyrazie „wdzięczny” i zaznaczyć kadencję na końcu zdania.

Uzgodnili, że będą się spotykali na Długiej Ścieżce w połowie drogi między ich domami. Szaman był niemal pewien, że Rachel nie powiedziała Lillian, iż wznawia z nim pracę nad jego wymową, on zaś również nie widział powodu, by informować o tym Sarę. Pierwszego dnia Rachel zjawiała się na umówione spotkanie o trzeciej po południu w towarzystwie obojga dzieci. Poleciłam, żeby zbierały orzechy laskowe przy ścieżce, sama zaś usiadła na kocyku,

który ze sobą przyniosła, i oparła się plecami pień dębu, a on zajął posłusznie miejsce naprzeciwko.

Wybrała ćwiczenie polegające na tym, że mówiła jakieś zdanie, które Szaman miał odczytać z jej warg, po czym powtórzyć z właściwą intonacją i przyciskiem. Aby mu w tym pomóc, wzięła go za rękę i ścisnęła ją, ilekroć należało zaakcentować jakieś słowo lub sylabę. Dłoń miała ciepłą i suchą, tak zaś beznamiętną, jakby trzymała w niej żelazko do prasowania bądź kosz z bielizną do prania. Szamana dłoń natomiast była goręca i spotniała, tak mu się przynajmniej zdawało, gdy jednak przyszło mu skupić uwagę na zadaniach, jakie przed nim stawiała, wnet o tym zapomniał. Mówienie nastreżało mu teraz więcej trudności, niż sądził, a borykanie się z nimi wcale nie należało do przyjemności. Odetchnął z ulgą, gdy wróciły wreszcie dzieci z wiaderkiem do połowy prawie pełnym laskowych orzechów. Rachel powiedziała, że po powrocie do domu rozbiją je młotkiem i wyłuskają, a potem upieką placek orzechowy dla Szamana.

Na dalszy ciąg ćwiczeń mieli się spotkać następnego dnia, lecz kiedy rano uporał się z pacjentami w przychodni i wyjechał na rundę domowych wizyt, okazało się, że suchoty zmogły jednak w końcu Jacka Damona. Szaman został przy umierającym, starając się ulżyć mu w jego ostatniej godzinie. Gdy zgon wreszcie nastąpił, było już za późno na spotkanie z Rachel, wrócił więc do domu w posępnym nastroju.

Nazajutrz była sobota. W domu Geigerów przestrzegano ściśle szabatu, więc nie było mowy, aby mógł się w tym dniu spotkać z Rachel, mimo to, skończywszy przyjęcia pacjentów, sam przerobił ćwiczenia głosowe.

Czuł się jak człowiek bezdomny i pod pewnym względem niezadowolony z życia, choć nie miało to nic wspólnego z pracą.

Tego popołudnia wrócił do lektury pożyczonych od Cliburne'a książek i dowiedział się więcej na temat pacyfizmu i ruchu kwaków, w niedzielę zaś wstał skoro świt i pojechał do Rock Island. Handlarz paszą kończył właśnie śniadanie, gdy Szaman zapukał do jego drzwi. Odebrał książki i poczęstował gościa filiżanką kawy, a gdy ten zapytał, czy nie mógłby wybrać się z nim na spotkanie kwaków, nie okazując najmniejszego zdziwienia kiwnął głową.

George Cliburne był wdowcem. Zatrudniał gosposię, ta niedziele miała jednak wolne, a on był człowiekiem schludnym. Szaman musiał poczekać, aż pozmywa statki, które pozwolił gościowi wycierać. Boss został w stajni, pojechali obaj powozikiem Giburne'a. George udzielił mu po drodze paru informacji na temat nabożeństw kwaków.

– Wchodzimy do domu spotkań w milczeniu i zajmujemy miejsca, mężczyźni po jednej, kobiety po drugiej stronie. Czynimy tak dlatego, jak przypuszczam, aby nic nie rozpraszało naszej uwagi. Siedzimy w milczeniu, póki Pan nie złoży na którymś z nas brzemienia cierpień tego świata, a wówczas ten ktoś wstaje i zaczyna mówić.

Cliburne doradził taktownie Szamanowi, żeby zajął miejsce w środku bądź z tyłu domu spotkań. Nie usiądą bowiem razem.

– Wedle zwyczaju starsi, którzy przez długie lata trudzili się dla społeczności, siadają na przedzie. – Nachyliwszy się zaś ku Szamanowi dodał w zaufaniu: – Niektórzy spośród braci nazywają nas Zasłużonymi Przyjaciółmi-poinformował z szerokim uśmiechem.



Dom spotkań był mały i skromny – drewniany, biały, zwykły domek bez dzwonnicy. Ściany w środku były również białe, podłoga szara. Pod trzema ścianami znajdowały się pomalowane ciemną bejcą ławki ustawione w kształt otwartego z jednej strony kwadratu, co pozwalało każdemu z uczestników spotkania widzieć pozostałych. Siedziało już na nich czterech mężczyzn. Szaman przycupnął na ławce w pobliżu drzwi, jak człowiek, który bada głębokość wody zanurzając palec na płytkość. Naprzeciw niego zajmowało miejsca sześć kobiet i ośmioro dzieci. Starszyzna była naprawdę podeszła w latach.

George wraz z pięciu innymi Zasłużonymi Przyjaciółmi zasiadał na ławce ustawionej na małym, wysokim na stopę podeście z przodu sali.

Panowała w niej cisza, podobna ciszy w wewnętrznym świecie Szamana.

Od czasu do czasu ktoś wchodził i zajmował w milczeniu miejsce. W końcu przestali przybywać nowi uczestnicy spotkania. Szaman policzył zebranych: jedenastu mężczyzn, czternaście kobiet i dwanaścioro dzieci.

Siedzieli w milczeniu.

Ogarnął go spokój.

Pomyślał o ojcu. Miał nadzieję, że odpoczywa w pokoju.

Pomyślał o Aleksie.

„Proszę, ocal mojego brata. – Skierował swoją prośbę w niewzruszoną ciszę, jaką dzielił obecnie z innymi. – Niech go nie będzie wśród setek tysięcy poległych. Proszę, sprowadź z powrotem do domu tego szalonego, kochanego zbiega.”

Pomyślał o Rachel, lecz w związku z nią nie odważył się o nic modlić.

Pomyślał o Hattie, która miała uśmiech i oczy matki i tak dużo mówiła.

Pomyślał o Joshui, który mówił mało, za to zdawał się nie odrywać od niego oczu.

Jakiś chudy i drobny mężczyzna w średnim wieku podniósł się z ławki o kilka zaledwie stóp od niego. Zaczął mówić.

– Ta potworna wojna zbliża się wreszcie do końca. Zbliża się do niego niezmiernie powoli, ale przynajmniej widzimy już, że nie może trwać wiecznie. Gazety nawołują do wyboru na prezydenta generała Fremonta. Twierdzą, że prezydent Lincoln będzie zbyt pobłażliwy dla Południowców, gdy nastanie pokój. Utrzymują, że nie pora na wyrozumiałość, że pora wyrzucić zemstę na mieszkańcach południowych stanów.

– A Jezus rzekł: „Ojczy, wybacz im, albowiem nie wiedzą, co czynią.” I powiedział też: „Jeśli twój nieprzyjaciel cierpi głód, nakarm go, a jeśli pragnienie, daj mu pić.”

– Musimy wybaczyć sobie wzajemne grzechy popełnione w czasie tej straszliwej wojny i modlić się o jak najrychlejsze spełnienie słów psalmu, żeby miłosierdzie i prawda spotkały się ze sobą, a prawość i pokój ucałowały się.

– Błogosławieni, którzy się smucą, albowiem będą pocieszeni.

– Błogosławieni cisi, albowiem odziedziczą ziemię.

– Błogosławieni, którzy cierpią głód i odczuwają pragnienie sprawiedliwości, albowiem będą nasyceni.

– Błogosławieni miłosierni, albowiem dostąpią miłosierdzia.

– Błogosławieni, którzy zabiegają o pokój, albowiem będą nazwani synami Boga.

Usiadł i znów zapadła martwa cisza.

Niemal na wprost Szamana podniosła się jakaś kobieta. Powiedziała, że chciałaby przebaczyć człowiekowi, który wyrządził jej rodzinie wielką krzywdę. Pragnie uwolnić swoje serce od nienawiści, okazać wyrozumiałość i współczującą miłość, lecz przychodzi jej to z trudem, nie umie wybaczyć. Prosi Przyjaciół, aby się modlili o dodanie jej sił.

Gdy usiadła, dźwignęła się inna kobieta, w odległym tym razem kącie, tak że Szaman nie widział wyraźnie jej ust, nie wiedział więc, co mówi. Usiadła po chwili, a zebrani trwali przez jakiś czas w milczeniu. Potem wstał mężczyzna z ławki pod oknem. Miał dwadzieścia kilka lat i poważną twarz. Oznajmił, że musi podjąć pewną ważną decyzję, która zaciąży na całym jegożyciu.

– Potrzebuję pomocy Pana oraz waszych modlitw – zakończył i usiadł.

Nikt się już później nie odezwał. Po jakimś czasie Szaman . zauważył, że George diburne odwraca się do mężczyzny obok i ściska mu dłoń. Był to sygnał do zakończenia spotkania. Kilka siedzących w pobliżu Szamana osób uścisnęło mu rękę, po czym wszyscy podnieśli się do wyjścia.

Była to najdziwniejsza z ceremonii religijnych, w jakich brał udział. W drodze powrotnej milczał, pogrążony w zadumie.

– Czy to znaczy, że kwakrzy wybaczą każdą zbrodnię? – odezwał się po jakimś czasie. – A satysfakcja, jaką odczuwamy, gdy sprawiedliwość zatriumfuje nad złem?

– O, my wierzymy w sprawiedliwość – zapewnił go Cliburne. – Nie wierzymy tylko w zemstę i w przemoc.

Szaman wiedział, że ojciec pragnął pomścić śmierć Makwy, a już na pewno dążył do tego on sam.

– Czy nie uciekłby się pan do przemocy widząc, że ktoś zamierza zastrzelić pańską matkę? – zapytał i stropił się, gdy George Cliburne wybuchnął śmiechem.

– To pytanie prędzej czy później stawia każdy, kto zaczyna się zastanawiać nad pacyfizmem. Moja matka od dawna już nieżyje, sądzę jednak, że gdybym znalazł się kiedykolwiek w podobnej sytuacji, Pan by mi podpowiedział, co powinienem uczynić... Posłuchaj, chłopcze. Nie sądz, że wyrzekniesz się przemocy pod wpływem moich słów. Ta decyzja nie przyjdzie stąd – wskazał na swoje wargi – ani stąd – dotknął czoła Szamana. – Jeśli w ogóle przyjdzie, to jedynie stąd – klepnął go w pierś. – Do tego czasu musisz więc nadal przypasywać swój miecz – zakończył, jak gdyby Szaman był Rzymianinem lub Wizygotem, nie zaś głuchym młodzieńcem, którego nie przyjęto do wojska.

– A odpasziesz go, jeśli to w ogóle nastąpi, i odrzucisz od siebie dopiero wtedy, gdy nie będziesz już miał innego wyboru – dodał jeszcze Cliburne, cmoknął językiem i trzepnął lejcamy, ponaglając konia do szybszego biegu.

---

## 63 Koniec dziennika

---

– Jesteśmy zaproszeni po południu na herbatę do Geigerów – poinformowała Szamana matka. – Rachel mówi, że musimy koniecznie przyjść. Wspominała coś o dzieciach i jakichś orzechach laskowych.

Tak więc po południu, po pieszym spacerze Długą Ścieżką, zasiedli w pokoju jadalnym Geigerów. Rachel przyniosła nowy blezer z miękkiej zielonej wełny, chcąc się nim pochwalić przed Sarą.

– Włóczka przędzona z wełny Cole’ów! – dodała. Zrobiła go dla niej matka, bo minął już rok żałoby. Wszyscy chwalili Lillian za zaprojektowanie tak pięknego stroju.

Rachel oświadczyła, że pojedzie w nim w następny poniedziałek do Chicago.

– A na długo się wybierasz? – zainteresowała się Sara.

– Nie, tylko na kilka dni.

– Interesy – wyjaśniła Lillian tonem wyrażającym najgłębszą dezaprobatę.

Kiedy Sara wtrąciła mimochodem uwagę o nadmiernej aromatyczności angielskiej herbaty, Lillian stwierdziła z westchnieniem, iż uważa się za szczęśliwą, że w ogóle ma co zaparzyć.

– Na całym Południu nie dostaniesz kawy ani przyzwoitej herbaty. Jay pisze mi, że kawę i herbatę cenią w Wirginii po pięćdziesiąt dolarów za funt.

– Miałaś od niego wiadomość? – zapytała Sara. Lillian potaknęła.

– Donosi, że czuje się dobrze, chwalić Boga.

Hattie rozpromieniła się, kiedy jej matka wniosła do pokoju gorący placek prosto z piekarnika.

– Sami go zrobiliśmy! – oznajmiła. – Mama włożyła różne rzeczy i wymieszała je, a my z Joshuą dodaliśmy orzechy!

– Ja z Joshuą – poprawiła ją babka.

– Bube, ciebie nawet nie było w kuchni!

– Orzechy palce lizać – pochwaliła dziewczynkę Sara.

– My z Hattie je zbieraliśmy – oświadczył z dumą Joshua.

– Ja z Hattie – poprawiła go Lillian.

– Nie, bube, ciebie z nami wcale nie było, zbieraliśmy je z Hattie na Długiej Ścieżce, kiedy mama i Saman siedzieli na kocyku i tsymali się za ręce.

Na krótką chwilę zapadła cisza.

– Szaman napotyka pewne trudności z mówieniem – wyjaśniła Rachel. – Musi po prostu trochę poćwiczyć. Pomagam mu, jak niegdyś. Spotkaliśmy się w lesie, żeby dzieci mogły się przy okazji pobawić, ale teraz będzie przychodził tu do nas, byśmy mogli korzystać z pianina.

Sara pokiwała głową.

– Nie zaszkodzi Robertowi, jeśli popracuje trochę nad wymową. i Lillian również przytaknęła, choć nieco sztywno.

– To prawda. Jak to dobrze, że wróciłaś do domu, córeczko - powiedziała, po czym wzięła filiżankę z rąk Szamana i nalała mu angielskiej herbaty.

Powróciwszy następnego dnia z wizyt u pacjentów wybrał się do Geigerów i na Długiej Ścieżce spotkał Rachel. Wyszła mu naprzeciw, choć nie umawiali się ze sobą.

– A gdzie to moi przyjaciele?

– Pomagali w jesiennych porządkach, nie spali po obiedzie, więc teraz to odrabiają.

Zawrócił i poszedł obok niej. W lesie uwijały się tysiące ptaków. Na pobliskim drzewie dostrzegł kardynała, rzucającego w ciszy swe władcze wyzwanie.

– Posprzeczałam się z matką. Chce, żebyśmy jechali na święta do Peorii. Odmówiłam. Nie życzę sobie, żeby mnie wystawiano na targ przed kawalerów i wdowców do wzięcia. Święta spędzimy w domu.

– To dobrze – stwierdził cicho, a ona się uśmiechnęła.

Druga sprzeczka wybuchła z powodu kuzyna Joego, ciągnęła Rachel. Żenił się z inną i wystąpił z propozycją kupna Zakładów Wyrobów Cynowych Regensbergów, skoro nie mógł wejść w ich posiadanie poprzez małżeństwo. Dlatego właśnie wybierała się do Chicago: sprzedać firmę.

– Twoja matka się udobrucha. Kocha cię.

– Wiem o tym. Miałbyś ochotę trochę poćwiczyć?

– Czemu nie? – Podał jej rękę.

Wyczuł lekkie drżenie jej dłoni. Rachel zmęczyły pewnie domowe porządki, a może sprzeczka z matką. Miał jednak nadzieję, uświadomiwszy sobie przepływający między ich palcami prąd, że nie tylko to. Jego dłoń poruszyła się mimo woli.

Ćwiczyli kontrolę oddechu, niezbędną dla prawidłowej, podobnej do małych wybuchów artykulacji głoski „p”. Szaman powtarzał z powagą bezsensowne zdanie o podłej pardwie płoszącej płochliwą przepiórkę. Rachel pokręciła głową.

– Nie. Patrz, jak ja to robię – powiedziała i położyła jego dłoń na swojej szyi.

Ale on pod opuszkami palców wyczuwał jedynie ciepło jej ciała.

Nie zaplanował sobie tego, co nastąpiło potem. Gdyby to był zamierzył, na pewno by się nie stało. Przesunął dłoń w górę, objął nią delikatnie policzek Rachel, pochylił się i złożył na jej wargach wyśniony, wytęskniony, niewiarygodnie słodki pocałunek, jakim piętnastolatek dotyka ust dziewczyny, w której jest bez pamięci zakochany. Ale już po chwili całowali się jak dorosły mężczyzna i dojrzała kobieta, a tak siebie spragnieni, aż się przeląkł, było to bowiem całkowicie sprzeczne z surowymi zasadami przyjaźni po grób, jaką mu ofiarowała. Bał się uwierzyć w to, co się stało.

– Rachel... – wyszeptał, kiedy się od siebie oderwali.

– Nie, och, mój Boże, nie!

I znowu zaczęli się całować. Okrywała jego twarz pocałunkami palącymi jak gorący deszcz, on zaś całował jej oczy, nie trafił pocałunkiem w usta, pocałował ich kącik, potem nos. Czuł, jak ciało Rachel tężeje w jego uścisku.

A ona zmagала się tymczasem z własnymi szokującymi odkryciami. Dotknęła drżącymi palcami jego policzka. Obrócił głowę i wtulił wargi w zagłębienie jej dłoni.

Zobaczył, że wypowiada słowa, które pamiętał doskonale z dawnych lat; Dorothy Burnham zwykła każdego dnia kończyć nimi zajęcia w szkole.

– Myślę, że na dziś wystarczy – wyszeptała bez tchu.

Odwróciła się i odeszła szybkim krokiem, a on stał i patrzył za nią, póki nie zniknęła za zakrętem Długiej Ścieżki.

Tego wieczora przystąpił do lektury końcowej części dziennika. Ze zgrozą i przejmującym smutkiem śledził ostatnie dni życia Roberta Judsona Cole'a i przeżywał potworności wojny nad rzeką



Rappahannock, opisane jego czytelnym, wyraźnym charakterem pisma.

Dotarłszy do miejsca, w którym Rob J. opowiadał o zdemaskowaniu Lanninga Ordwaya, przestał na chwilę czytać. Trudno mu było uwierzyć, że jego ojciec, po tylu latach daremnych usiłowań, natknął się w końcu na jednego z zabójców Makwy.

Całą tę noc przesiedział zgarbiony nad dziennikiem, czytając chciwie w mętnym blasku lampy.

list Ordwaya do Goodnowa odczytał kilkakrotnie.

Nad ranem dobiegł do końca dziennika – a zarazem do końca życia swego ojca. Przez długą, samotną godzinę leżał w ubraniu na łóżku. Gdy z kuchni doleciały go wibracje wywołane krzątaniem matki, zszedł na dół, zajrzał do stodoły i poprosił Aldena, żeby z nim wrócił do domu. Pokazał obojgu list Ordwaya i powiedział im, gdzie go znalazł.

– W dzienniku ojca? Czytałeś jego dziennik? – zapytała matka.

– Tak. Chciałabyś też przeczytać? Pokręciła głową.

– Nie muszę. Byłam jego żoną. Znałam go. Zauważyli oboje, że Alden ma kaca; wyglądał jak psuz gardła wyciągnięty. Sara naląła dla nich trojga kawy.

– Nie wiem, co mam zrobić z tym listem.

Dał im go do przeczytania, czekając cierpliwie, aż uporają się z lekturą.

– Bo i cóż takiego mógłbyś z nim zrobić? – zapytał z irytacją Alden. Szaman zdał sobie sprawę, że parobek zaczyna się starzeć. Albo za dużo wypił, albo whisky przestała mu służyć.

Trzęsły mu się ręce, słodząc kawę rozsypał cukier. – Twój ojciec zrobił wszystko co w ludzkiej mocy, żeby zmusić sądy do zajęcia się

śmiercią tej Indianichy. Myślisz, że teraz się tym zainteresują, boś natrafił na czyjeś nazwisko w liście jakiegoś truposza?

– Kiedyż nareszcie będzie temu koniec, Robercie?-zapytała z goryczą w głosie Sara. – Kości tej kobiety od tylu lat murszeją w naszej ziemi, a wy obaj, najpierw twój ojciec, a teraz znów ty, nie pozwalacie im leżeć w spokoju, nie mówiąc już o tym, że i nam go odbieracie. Nie możesz po prostu podrzeć tego listu, zapomnieć o zastarzałym bólu i zostawić zmarłych w spokoju?

Alden pokręcił głową.

– Za pozwoleniem, pani Cole, ale gdy się rozchodzi o Indiańców, pani syn nie posłucha roztropnych i mądrych rad. Wziął to po ojcu. – Podmuchał na kawę, podniósł oburącz kubek do ust i pociągnął łyk, nie bacząc na to, że parzy sobie wargi. – Nie, on będzie się w tym babrał do usranej śmierci, jak pies, który dławi się kością. Wziął to po tatusiu. – Łypnął na Szamana. -Jeśli moja rada coś dla ciebie znaczy, choć pewnie tyle co nic, radzę ci: jedź do Chicago, odzyskaj tego Goodnowai weź go na spytki. Inaczej i siebie tym zadręczysz, i nas.

Matka Miriam Ferocia była innego zdania. Kiedy Szaman zajechał tego dnia po południu do klasztoru i pokazał jej list, pokiwała głową.

– Twój ojciec opowiadał mi o tym Dawidzie Goodnowie – powiedziała cicho.

– Jeśli wielebny Goodnow i wielebny Patterson to jedna i ta sama osoba, można by go oskarżyć o śmierć Makwy.

Matka Miriam westchnęła.

– Jesteś lekarzem, chłopcze, nie policjantem. Nie możesz zostawić sądu nad tym człowiekiem Panu Bogu? Potrzebny nam tu jesteś

pilnie jako lekarz. – Pochyliła się do przodu i utkwiała w nim wzrok.  
– Otrzymałam właśnie ważne wiadomości. Nasz biskup zawiadamia nas, że dostaniemy od niego fundusze na założenie szpitala.

– Ależ to wspaniała wiadomość, wielbna matko!

– Istotnie wspaniała.

Uśmiech sprawia, że jej twarz napełnia się blaskiem, zauważył. Pamiętał z lektury dziennika, że przeorysza do stała spadek po ojcu, który w całości przekazała Kościołowi. Zaciekawilo go, czy to aby nie jej własną schedą – bądź tylko jej częścią – uszczęśliwi ją teraz biskup. Nie chciał jednak tak cynicznym podejrzeniem kazić radości matki przełożonej.

– Mieszkańcy tych stron będą nareszcie mieli własny szpital – oznajmiła rozpromieniona. – A moje siostrzyczki będą się opiekowały chorymi w szpitalu Świętego Franciszka z Asyżu.

– Ja zaś będę miał dokąd podsyłać moich chorych.

– Spodziewamy się, prawdę powiedziawszy, że na tym nie poprzestaniesz. Wszystkie jesteśmy co do tego zgodne. Pragniemy, żebyś objął medyczne kierownictwo naszego szpitala.

Ta nowina odebrała mu na chwilę mowę.

– To dla mnie zaszczyt, wielbna matko – odezwał się w końcu. – Doradzałbym jednak przyjęcie na to stanowisko lekarza z większym doświadczeniem i starszego wiekiem. Proszę też nie zapominać, że nie jestem katolikiem.

– Marzyłam sobie kiedyś, gdy ledwo ośmielałam się o tym myśleć, że kierownikiem naszego szpitala zostanie twój ojciec. Bóg posłał go do nas, by został naszym przyjacielem i lekarzem, lecz powołał go już do swego królestwa. A teraz zesłał nam ciebie. Zdobyłeś wykształcenie, masz wprawę, doświadczenie również

niemałe. Jesteś lekarzem Holden's Crossing, więc to ty powinieneś pokierować tutejszym szpitalem. – Uśmiechnęła się. – Co się zaś tyczy twojego wieku, uważamy, że jesteś najsędziwszym młodzieńcem, jakiego zdarzyło nam się spotkać. Nasz szpital nie będzie duży, tylko dwadzieścia pięć łóżek, wszyscy przy nim wydorosłejemy... Dam ci pewną radę. Szacuj samego siebie wysoko, na miarę opinii innych o tobie. Nie wahaj się przed podejmowaniem śmiałych wyzwań, Bóg cię bowiem hojnymi obdarzył darami.

Szaman był zakłopotany, ale uśmiechnął się z pewnością siebie lekarza, któremu zaproponowano właśnie objęcie szpitala.

– Zawsze z największą przyjemnością daję wiarę twoim słowom, wielebna matko – rzekł.

---

## 64 Chicago

---

Swoją rozmowę zprzeoryszą powtórzył tylko Sarze. Pokraśniała z dumy. Jej reakcja zaskoczyła go i napełniła radością.

– Jak to będzie cudownie mieć na miejscu szpital, którym ty będziesz kierował! Jakież twój ojciec byłby z tego powodu szczęśliwy!

Ostudził jej entuzjazm informując, że katolicka archidiecezja nie da grosza na budowę, dopóki nie zostanie sporządzony i

zatwierdzony projekt szpitala.

– Miriam Feroccia prosiła mnie, żebym tymczasem odwiedził kilka szpitali i przyjrzał się organizacji ich oddziałów – dodał.

Wiedział z góry, dokąd się najpierw wybierze, a nawet którym pociągiem.

W poniedziałek pojechał na Bossie do Moline i zostawił go tam na kilka dni w stajni. Pociąg do Chicago zatrzymywał się w Moline o 3.20 po południu i stał tam tylko tyle czasu, ile było trzeba na załadowanie wyrobów fabryki pługów Johna Deere'a. Szaman już o 2.45 czekał na drewnianym peronie.

Wskoczył do ostatniego wagonu i ruszył do przodu. Wiedział, że Rachel wsiadła do pociągu w Rock Island ledwie kilka minut wcześniej. Znalazł ją w trzecim wagonie; siedziała sama. Zamierzał ją przywitać jakby nigdy nic, rzucić jakiś żarcik na temat tego „przypadkowego” spotkania, ale Rachel na jego widok uciekła z twarzy wszystka krew.

– Szaman! Czy... coś z dziećmi?

– Ależ nie, skądże znowu! Jadę do Chicago w interesach, to wszystko – uspokoił ją, zły na siebie, że nie przewidział takiego skutku niespodzianki. – Pozwolisz, że usiądę obok ciebie?

– Oczywiście.

Kiedy jednak umieścił swoją walizkę na półce obok jej bagażu i usiadł na ławce, ogarnęło ich oboje skrępowanie.

– Posłuchaj, Szaman, wracając do tego, co się zdarzyło na ścieżce...

– Ogromnie mi się to podobało – zapewnił.

– Nie chciałabym, żebyś to sobie opacznie tłumaczył. Znowu, pomyślał z rozpaczą.

– Zdawało mi się, że i ty znajdowałaś w tym przyjemność – zauważył. Oblała się rumieńcem.

– Nie w tym rzecz. Nie powinniśmy sobie pozwalać na tego rodzaju... przyjemności, które tylko komplikują sprawy.

– A jakież to sprawy?

– Jestem Żydówką, wdową z dwojgiem dzieci.

– Więc?

– Przysięgam sobie, że już nigdy nie pozwolę, żeby rodzice wybierali mi męża, ale to nie znaczy, że sama we własnym wyborze nie będę się kierowała rozsądkiem.

Zabolało go to, lecz postanowił, że tym razem nie dopuści, aby coś pozostało między nimi nie wypowiedziane.

– Kocham cię niemal od dziecka. Nigdy nie spotkałem kobiety piękniejszej i mądrzejszej od ciebie. Masz w sobie dobroć, za jaką tęsknię.

– Szaman, błagam cię... – Odwróciła się od niego w stronę okna, ale on nie zamilkł.

– Prosiłaś, żebym ci obiecał, że nigdy nie będę się biernie godził na to, co przynosi życie. Nie zamierzam się pogodzić po raz drugi z utratą ciebie. Chcę się z tobą ożenić, stać się ojcem dla twoich dzieci.

Siedziała twarzą do okna, zapatrzona w przesuwające się za nią faliste pola i rozrzucone wśród nich farmy.

Powiedziawszy, co miał do powiedzenia, wyjął z kieszeni czasopismo lekarskie i zagłębił się w lekturze artykułu poświęconego etiologii i leczeniu koklusz. Po jakimś czasie Rachel wyjęła spod ławki woreczek z robótką, a z niego zaczęty sweterek z ciemnoniebieskiej wełny.

– Dla Hattie?

– Dla Joshui.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Potem Rachel uśmiechnęła się z lekka i wróciła do swojej robótki.

Nie przejechali jeszcze pięćdziesięciu mil, gdy zaczęło się zmierzchać. Do wagonu wszedł konduktor, by pozapalać lampy. O piątej poczuli wilczy głód, rzucili się więc na jedzenie. Szaman wziął na drogę piezzonego kurczaka i szarlotkę, a Rachel chleb, ser, jajka na twardo i cztery małe cukrówki. Podzielili się szarlotką, jajkami i gruszkami. Popili studzienną wodą z butelki Szamana.

Kiedy pociąg zatrzymał się w Joliet i konduktor pogasił lampy, Rachel zmorzył sen. Obudziwszy się stwierdziła, że głowę opiera na ramieniu współtowarzysza podróży, on zaś trzyma ją za rękę. Rękę wysunęła z jego dłoni, ale głowie pozwoliła jeszcze chwilę spoczywać na tym podgłówku. Kiedy wjechali z tonącej w ciemności prerii w morze światła, poprawiła fryzurę, trzymając szpilkę do włosów w swych zdrowych, białych zębach. Skończywszy poinformowała Szamana, że są już w Chicago.

Z dworca pojechali powozem do hotelu Palmer's Illinois House, w którym adwokat Rachel zarezerwował dla niej pokój. Szaman również się tam zameldował. Dostał pokój numer 508 na czwartym piętrze. Odprowadził przyjaciółkę do jej pokoju numer 306 i dał boyowi napiwek.

– Nie miałybyś jeszcze na coś ochoty? Może na kawę?

– Raczej nie, dziękuję. Zrobiło się już późno, a ja mam jutro masę spraw do załatwienia. – Nie umówiła się z nim również na śniadanie. – Może spotkalibyśmy się tutaj o trzeciej? Pokazałabym ci przed kolacją Chicago.

Odrzekł, że to znakomity pomysł, i życzył jej dobrej nocy. Poszedł schodami do pokoju 508, rozpakował się, ułożył swoje rzeczy w komodzie i powiesił w szafie, a potem zszedł na parter do wychodka za hotelem, pokrzepiająco czystego i zadbanego.

W drodze powrotnej zatrzymał się na podeście drugiego piętra i spoglądał przez chwilę w stronę jej pokoju w głębi korytarza, po czym wspiął się na następne dwa piętra.

Rankiem, zaraz po śniadaniu, wybrał się na poszukiwanie ulicy Bridgeton. Znalazł ją w robotniczej dzielnicy drewnianych szeregowych czynszówek. Zapukał do drzwi pod numerem 237. Otworzyła mu zniszczona kobiecina z niemowlęciem na ręku i uczepionym jej spódnicy malcem.

Zapytał o wielebnego Davida Goodnowa. Pokręciła przecząco głową.

– Będzie już ponad rok, jak tu nie mieszka. Jest podobnie bardzo chory.

– A nie wie pani, gdzie mógłbym go znaleźć?

– I owszem, jest podobnie w jakimś... szpitalu czy jak tam. Nie widzimy się z nim. Komorne za mieszkanie posyłamy co miesiąc do tego szpitala. Tak to z nami umówił jego adwokat.

– Czy mogłaby mi pani podać nazwę tego szpitala? Mam do pana Goodnowa pilną sprawę.

Kiwnęła głową.

– Mam ją zapisaną w kuchni. – Weszła do domu i po krótkiej chwili wróciła z uczepionym spódnicy synkiem i świstkiem papieru w ręku. – Nazywa się „Przytułek dla umysłowo chorych Dearborna” Na Sable Street.



Szlachetnie skromna tablica z brązu, umieszczona na centralnej kolumnie wznoszącej się nad niski mur z czerwonej cegły, informowała: „Przytułek Dcarborna dla obłąkanych i umysłowo chorych.”

Dwupiętrowy budynek z czerwonej cegły, z grubymi, kutymi z żelaza kratami w oknach, opasywał ceglany mur jeżący również żelazne kolce. Za drzwiami z mahoniu mieścił się mroczny przedsionek, w którym stały dwa wyściełane końskim włosiem krzesła. W małym biurze obok sieni siedział za biurkiem jakiś mężczyzna w średnim wieku i pisał coś w wielkiej księdze buchalteryjnej. Gdy Szaman przedstawił mu swoją prośbę, skinął głową.

– Pan Goodnow nie miał gości od Bóg raczy wiedzieć jak dawna. Pies z kulawą nogą go nie odwiedzi. Proszę się wpisać do książki gości, a ja pójde po doktora Burgessa.

Po kilku minutach nadszedł wzmiankowany doktor Burgess, niski brunet z cienkim, wypielęgowanym wąsikiem.

– Jest pan krewnym czy przyjacielem pana Goodnowa, doktorze Cole? A może pańska wizyta nosi charakter zawodowy?

– Jestem znajomym jego znajomych – wyjaśnił ostrożnie Szaman.-Bawię przejazdem w Chicago i przyszło mi do głowy, żeby go odwiedzić.

Doktor Burgess skinął głową.

– Godziny odwiedzin są co prawda po południu, ale dla zapracowanego lekarza chętnie zrobimy wyjątek. Pozwoli pan za mną.

Weszli po schodach na piętro, gdzie doktor Burgess zapukał do jakichś zamkniętych drzwi. Otworzył im rosły pielęgniarz, który

poprowadził ich następnie długim korytarzem. Pod jego ścianami siedziały blade kobiety. Jedne mamrotały coś do siebie, inne wpatrywały się tępym wzrokiem w przestrzeń. Obeszli kałużę moczu na podłodze. Obok widniały smugi rozmazanego kału. W niektórych celkach wzdłuż korytarza siedziały kobiety przykute łańcuchem do ścian. Podczas studiów w akademii Szaman przez cztery ponure tygodnie pracował w przytułku dla obłąkanych stanu Ohio, nie był więc zaskoczony ani tymi widokami, ani zapachami. Był rad, że nie słyszy otaczających go dźwięków.

Pielęgniarz otworzył następne drzwi i poprowadził ich korytarzem do oddziału męskiego, równie odrażającego jak kobiecy. Na koniec weszli do małego pokoiku mieszczącego stół i kilka drewnianych krzeseł. Poproszono Szamana, aby tam chwilę zaczekał.

Po jakimś czasie drzwi się otworzyły i rosły pielęgniarz wprowadził zarośniętego starca o przetykanej siwizną zmierzwionej brodzie, ubranego w robocze spodnie bez guzików przy rozporku i w brudną marynarkę, nałożoną na samą bieliznę. Na jego wargach błąkał się uśmiezek, ale spojrzenie miał nieobecne.

– Pan Goodnow – przedstawił go doktor Burgess.

– Nazywam się Robert Cole, panie Goodnow.

Z warg obłąkańca nie schodził uśmiech; patrzył na Szamana tępym, pustym wzrokiem.

– On nie mówi – poinformował doktor Burgess. Szaman wstał jednak z krzesła i podszedł do chorego.

– Panie Goodnow, czy występował pan kiedyś pod nazwiskiem Ellwood Patterson?

– Od ponad roku nie odezwał się ani słowem – wyjaśnił cierpliwie doktor Burgess.

– Panie Goodnow, czy to pan zgwałcił i zamordował tę Indiankę w Holden's Crossing, kiedy przyjechał pan tam z polecenia Zakonu Gwiazdzistego Sztandaru?

Doktor Burgess i posługacz wytrzeszczyli na Szamana oczy.

– Czy nie wie pan, gdzie mógłbym znaleźć Hanka Cougha? I tym razem nie doczekał się odpowiedzi.

– Gdzie mam szukać Hanka Cougha? – powtórzył Szaman podniesionym głosem.

– Tosyfilityk. Część jego mózgu jest dotknięta porażeniem postępowym – wtrącił doktor Burgess.

– Skąd pan wie, że nie udaje?

– Wciąż go mamy na oku. Wiemy. A zresztą po co miałyby udawać? Żeby żyć tak, jak on żyje?

– Ten człowiek dopuścił się przed laty najokrutniejszej zbrodni. Nie pozwolę, żeby uszedł kary – wyjaśnił Szaman z zawziętością w głosie.

Z ust Davida Goodnowa pociekła strużka śliny. Doktor Burgess popatrzył na niego i pokręcił głową.

– Nie powiedziałbym, że uszedł kary – rzekł.

Doktor Burgess odprowadził Szamana przez szpitalne korytarze do drzwi, gdzie pożegnał go nader uprzejmie, dodając, że przytułek wielce sobie ceni doniesienia od lekarzy z zachodniej części stanu Illinois. Wyszedłszy na ulicę Szaman zmrużył powieki – oślepiło go jaskrawe słońce. Odory miasta, przez kontrast ze smrodem w przytułku, wydały mu się wcale nie tak przykre. Kręciło mu się w głowie. Kilka przecznic minął w głębokiej zadumie.

Czuł, że dotarł do kresu jakiejś drogi. Jeden z morderców Makwa-ikwy już nie żył. Drugi przeżywał piekło za życia, jak się o

tym przed chwilą przekonał. Gdzie się podziewał trzeci, nie wiadomo.

Miriam Ferocia miała rację, pomyślał. Pora zostawić zabójców Makwy sprawiedliwości Bożej, zająć się medycyną i swoim własnym życiem.

Tramwajem konnym dojechał do śródmieścia, a potem drugim do Szpitala Miejskiego w Chicago, który przypomniawszy mu od progu szpital w Cincinnati. Był to przyzwoity szpital, duży, na blisko pięćset łóżek. Poprosił o rozmowę z dyrektorem i wyjaśnił mu, co go sprowadza, spotykając się z gościnnym przyjęciem.

Lekarz dyżurny zaprowadził go do naczelnego chirurga, po czym obaj podzielili się z nim opiniami na temat wyposażenia oraz środków, jakimi winien dysponować nieduży szpitalik. Intendent szpitala polecił mu firmy handlowe oferujące stałe dostawy po umiarkowanych cenach. Szaman rozmawiał też z administratorką, pytając o zapasy bielizny pościelowej, jakie należałoby zgromadzić, by móc łóżka utrzymywać w czystości. Wszystkie zdobyte informacje skrupulatnie notował.

Kiedy tuż przed trzecią wrócił do hotelu, Rachel czekała już na niego w holu. Od razu poznał po wyrazie jej twarzy, że miała udany dzień.

– Załatwione, nie mam już na głowie przedsiębiorstwa – przywitała go. Powiedziała mu, że jej adwokat spisał się doskonale przygotowując wszystkie potrzebne dokumenty, tak że znaczna część wpływów ze sprzedaży została już skierowana na konto Hattie i Joshui.

Musimy to uczcić – oświadczył, zapominając o przygnębieniu, w jakie go wprawiły przeżycia tego ranka.

Wsiedli do pierwszego z szeregu czekających przy krawężniku przed hotelem dwukołowych powozów. Szaman nie miał ochoty oglądać filharmonii ani nowej rzeźni. W Chicago interesowało go tylko jedno.

- Pokaż mi miejsca, w których się obracałaś, kiedy tu mieszkałaś.
- Ależ to będzie nudne!
- Proszę.

Pochyliła się więc i objaśniła woźnicy, dokąd chcą jechać.

Początkowo, gdy pokazywała mu sklep muzyczny, w którym kupiła struny i nowy smyczek i gdzie naprawiała kołeczki skrzypiec, odczuwała zakłopotanie. Wnet jednak zaczęło ją bawić przypominanie sobie sklepów, w których nabywała buty i kapelusze, i zakładu bieliźniarskiego, gdzie zamówiła kilka frakowych koszul na prezent urodzinowy dla ojca. Po przejechaniu około dwudziestu przecznic wskazała Szamanowi jakiś imponujący gmach i powiedziała, że to Wspólnota Synaj.

– To tu grywałam co czwartek w kwartecie, tutaj też przychodziliśmy na nabożeństwa w piątki wieczorem. Ale ślub braliśmy gdzie indziej. W synagodze Kehilat Ansze Maariw, gdzie ciotka Joego, Harriet Ferber, była ważną figurą. Cztery lata temu Joe z paru innymi osobami odłączył się od synagogi i założył Synaj, wspólnotę zreformowanego judaizmu. Odrzucili wiele rytuałów i uświęconych tradycją obrzędów. Powstał wielki skandal. Ciotka Harriet wpadła w straszny gniew, ale do ostatecznego zerwania nie doszło, pozostaliśmy w bliskich stosunkach. Kiedy umarła rok później, daliśmy jej imię naszej córce.

Poleciała fiakrowi, by skręcił w dzielnicę małych, ale wygodnych domków, a gdy wjechali na Tyler Street, pokazała Szamanowi dom

kryty brązowymi dachówkami.

– Tutaj mieszkaliśmy.

Szaman przypomniał sobie, jak wtedy wyglądała, i pochylony do przodu, usiłował dopasować do tego domu dziewczynę ze swoich wspomnień.

Parę przecnic dalej przejechali obok sklepu spożywczego.

– Och, musimy się tutaj zatrzymać! – wykrzyknęła Rachel. Kazali woźnicy czekać, a sami weszli do środka. Pachniałotam solą i przyprawami kuchennymi. Wycierając ręce w kupiecki fartuch podszedł do nich z rozjaśnioną miną rumiany starzec z białą brodą, wzrostu i postury Szamana.

– Pani Regensberg, jakże miło panią znowu widzieć!

– Dziękuję, panie Freudenthal. I ja rada pana widzę. Chciałabym kupić to i owo i zawieźć do domu matce.

Kupiła kilka gatunków wędzonej ryby, czarne oliwki i okazały kawałek ciasta migdałowego. Sklepiarz obrzucił Szamana taksującym spojrzeniem.

– Ehr is nit as Jiddisze – raczej stwierdził, niż zapytał.

– Nein – odrzekła. Po czym, jak gdyby ta kwestia wymagała bliższych wyjaśnień, dodała: – Ehr is ein gutefreint.

Szaman nie musiał znać jidysz, by się zorientować, co znaczyła ta wymiana zdań. Poczł nagły przypływ niechęci, lecz niemal natychmiast uświadomił też sobie, że pytanie starego było częścią rzeczywistości jego przyjaciółki, podobnie jak Joshua i Hattie. Kiedy on i Rachel byli dziećmi-w niewinniejszym do tego świecie -rzadziej spotykali się z odmiennościami tradycji; teraz byli już dorośli i nie mogli zamykać oczu na dzielące ich różnice.

Odbierając więc od starca sprawunki, które zrobiła Rachel, uśmiechnął się do niego.

– Życzę panu dobrego dnia, panie Freudenthal – pożegnał się i wyszedł za nią ze sklepu.

Odwieźli paczki do hotelu. Zbliżała się pora kolacji. Szaman zadowolony byłby się restauracją hotelową, ale Rachel powiedziała, że zna lepsze miejsce. Zaprowadziła go do kawiarni Parkmana – małej restauracyjki niedaleko od hotelu. Nie była zanadto szykowna, ceny mieli tam umiarkowane, lecz jedzenie i obsługa były wyśmienite. Kiedy po kolacji zapytał Rachel, na co teraz miałaby ochotę, odrzekła, że na spacer nad jeziorem.

Od wody wiał lekki wiatr, orzeźwiająco chłodny, w powietrzu czuło się bowiem jeszcze ciepło lata. Na niebie błyszcząły gwiazdy i świecił księżyc w równonocnej pełni, ale było zbyt ciemno, by mógł czytać z ust, toteż spacerowali w milczeniu. W towarzystwie innej kobiety przyprawiałoby go to o zakłopotanie; Rachel przyjmowała jego milczenie w ciemności jako rzecz najzupełniej naturalną.

Szli groblą wzdłuż jeziora. W pewnej chwili Rachel przystanęła pod latarnią i wskazała jaśniejącą przed nimi zatoczkę żółtych świateł.

– Dolatują mnie cudowne dźwięki jarmarcznej muzyczki i brzęk czyneli!

Gdy podeszli bliżej, ich oczom ukazał się niezwykły widok: na kolistej platformie, wielkiej jak dojarnia w oborze, tkwiły malowane drewniane zwierzęta. Chudy mężczyzna o pomarszczonej, osmaganej wiatrem twarzy zakręcił wielką korbą.

– Czy to katarynka? – zapytała Rachel.

– Non, to carrousel. Można wybrać sobie dowolne zwierzę i odbyć na nim przejażdżkę, tres drôle, tres plaisant – wyjaśnił mężczyzna. – Jedna galopada kosztuje dwadzieścia centów, proszę szanownego pana.

Rob wybrał brunatnego niedźwiedzia, Rachel rumaka pomalowanego na kolor krzykliwie czerwony. Francuz naparł na korbę, stęknął i jęli wirować.

Na słupku pośrodku karuzeli zawieszony był mosiężny pierścień. Przytwierdzona nad nim tabliczka obwieszczała, że kto go ze swego wierzchowca dosięgnie, temu przypadnie nagroda w postaci darmowej przejażdżki. Nie ulegało wątpliwości, że pierścień wisiał poza zasięgiem przeciętnych pasażerów karuzeli, Szaman wyciągnął jednak ramię w jego stronę. Gdy Francuz zauważył, że jego klient usiłuje dosięgnąć pierścienia, począł szybciej kręcić korbą, rozpędzając karuzelę, mimo to Szamanowi udało się za drugą próbą dopiąć swego.

Wygrał w ten sposób dla Rachel kilka darmowych przejażdżek i właściciel karuzeli oświadczył niebawem, że musi zrobić przerwę na odpoczynek, gdyż bardzo się zmachał. Szaman zsiadł więc ze swego niedźwiedzia i sam ujął korbę. Kręcił coraz szybciej i szybciej, aż czerwony rumak przeszedł z kłusa w cwał. Rachel z odrzuconą w tył głową przelatywała obok niego śmiejąc się jak dziecko i błyskając białymi zębami. W jej powabie nie było wszakże nic dziecięcego. Nie tylko Szaman wpatrywał się w nią jak urzeczony; szykujący się do zamknięcia swej budy Francuz również poglądał na nią z zachwytem.

– Są państwo ostatnimi klientami w roku 1864 – zwrócił się do Szamana. – Finis sezonu. Niedługo ścisną lody.



Rachel odbyła aż jedenaście przejażdżek. Było oczywiste, że bardzo przetrzymali właściciela karuzeli, Szaman wynagrodził go zatem sowitym napiwkiem, za co Francuz zrewanżował się ofiarowując Rachel biały szklany kubek z wymalowanym na nim bukietem róż.

Wrócili do hotelu roześmiani i przewiani wiatrem.

– Cudownie się bawiłam-wyznała Rachel przed drzwiami pokoju 306.

– Ja też... – Nim zdążył coś zrobić lub dodać, musnęła pocałunkiem jego policzek i zniknęła za drzwiami.

Wróciwszy do swego pokoju przez godzinę leżał w ubraniu na łóżku. Potem wstał i zszedł dwa piętra w dół. Nie od razu odpowiedziała na jego pukanie. Opuściła go w końcu odwaga i już się odwracał, by odejść, gdy otworzyła drzwi i stanęła w nich, ubrana ciągle w suknię.

Stali tak przez chwilę i przyglądali się sobie.

– Wejdiesz czyja mam wyjść? – zapytała. Spozrzegł, że jest zdenerwowana.

Wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi.

– Rachel... – zaczął. Zamknęła mu dłonią usta.

– Kiedy byłam dziewczyną, lubiłam chodzić Długą Ścieżką i zatrzymywać się w tym cudownym miejscu, gdzie las schodzi do rzeki, blisko granicy dzielącej waszą ziemię od naszej, ale po naszej stronie. Marzyłam, że szybko dorośniesz, zbudujesz tam dom i wyzwolisz mnie od konieczności poślubienia starca o zepsutych zębach. Wyobrażałam sobie nasze dzieci: syna, który byłby podobny do ciebie, i trzy córki, dla których byłbyś cierpliwym i

kochającym ojcem, pozwalałbyś im chodzić do szkoły i mieszkać w rodzinnym domu, dopóki same nie zechcą odejść.

– Zawsze cię kochałem.

– Wiem.

Całował ją, a ona rozpiniała guziki jego koszuli.

Nie zgasili lampy, żeby mogła do niego mówić i żeby mogli się zobaczyć.

Potem zasnęła tak szybko jak zapadający w drzemkę kot, a Szaman leżał obok i patrzył, jak oddycha. W końcu obudziła się i spojrzała na niego rozszerzającymi się z wolna źrenicami.

– Nawet kiedy byłam już żoną Joego... nawet kiedy zostałam matką, wciąż o tobie śniłam.

– Nie wiem skąd, ale wiedziałem o tym. I dlatego było mi tak ciężko.

– Boję się, Szaman!

– Czego, Rachel?

– Już przed laty rozstałam się z nadzieją, a teraz... Czy wiesz, co się robi w pobożnych domach, gdy ktoś z członków rodziny zawrze małżeństwo z osobą innej wiary? Zastania się całunem lustra, wkłada żałobę i odmawia modlitwę za zmarłych.

– Nie bój się. Będziemy ich przekonywali tak długo, aż zrozumieją.

– A jeśli nie zrozumieją?

Poczuł ukłucie lęku. Trudno było jednak uniknąć tego pytania.

– Jeśli nie zrozumieją, będziesz musiała zdecydować -rzekł.

Spojrzeli na siebie.

– Nie ugniemy się więcej przed życiem – powiedziała. – Prawda?

– Prawda.

Pojęli oboje, że złożyli obietnicę poważniejszą od najsolenniejszej przysięgi, i przytulili się do siebie, jak gdyby jedno dla drugiego było tratwą ratunkową.

Następnego dnia dokończyli tę rozmowę w jadącym na zachód pociągu.

– Daj mi trochę czasu – poprosiła.

Kiedy zapytał ile, odparła, że chciałyby sama, nie zaś w przemycanym przez linię frontu liście oznajmić ojcu o swojej decyzji.

– Wojna już długo nie potrwa. Wszyscy są zdania, że wkrótce się skończy – dodała.

– Czekałem na ciebie tak długo, że chyba jeszcze trochę wytrzymam. Ale nie chcę spotykać się z tobą ukradkiem. Chcę przychodzić po ciebie do domu i zabierać cię ze sobą. I chcę spędzać więcej czasu z dziećmi, żebyśmy się lepiej poznali.

Uśmiechnęła się i skinęła głową.

– Dobrze – powiedziała biorąc go za rękę.

W Rock Island czekała na nią Lillian. Szaman wysiadł z pociągu w Moline, poszedł do stajni po Bossa, następnie przejechał trzydzieści mil w górę rzeki i przeprowił się przez Missisipi promem do Clinton w stanie Iowa. Na noc zatrzymał się w Randall Hotel, w przyzwoitym pokoju z marmurowym kominkiem i bieżącą wodą, zarówno zimną, jak i ciepłą. Hotel miał wspaniałą czteropiętrową ubikację z cegły, dostępną z każdego piętra. Gdy jednak następnego dnia obejrzał szpital Inmana, który był celem jego podróży, doznał rozczarowania. Szpitalik był mały, taki, jaki miał powstać w Holden's Crossing, brudny wszakże i źle zarządzany – przestroga, jak takich instytucji prowadzić nie należy. Szaman uciekł stamtąd czym

prędzej i zapłacił kapitanowi płaskodennej łodzi za przetransportowanie jego i wierzchowca w dół rzeki do Rock Island.

W drodze do Holden's Crossing złapał go zimny deszcz, rozgrzewał się więc myślą o Rachel i przyszłym życiu we dwoje.

Kiedy dotarł do domu, rozkulbaczył konia i wszedł do kuchni; matka, sztywno wyprostowana, siedziała na brzeżku krzesła. Musiała go wypatrywać niecierpliwie, ledwo bowiem wszedł w drzwi, wyrzuciła z siebie: – Twój brat żyje. Jest w niewoli.

---

## 65 Depesza

---

Poprzedniego dnia Lillian Geiger dostarczono list od męża. Jason donosił w nim, że widział nazwisko kaprała Alexandra Bledsoe na liście konfederackich jeńców wojennych. Alex dostał się do niewoli 11 listopada 1862 roku pod Perryville w Kentucky.

– To dlatego nie dostawaliśmy z Waszyngtonu odpowiedzi na nasze listy z pytaniem, czy nie mają wśród jeńców Alexandra Cole – domyśliła się Sara. – On używa nazwiska mojego pierwszego męża.

Szaman nie posiadał się z radości.

– Wiemy więc przynajmniej, że żyje! Zaraz siadam i piszę. Spróbuję się dowiedzieć, gdzie go trzymają.

– To zajmie miesiące. Jeśli jeszcze żyje, jest już w niewoli od prawie trzech lat. Jason donosi, że warunki w obozach jenieckich są po obu stronach straszne. Jego zdaniem powinniśmy spróbować dotrzeć do Alexandra najszybciej, jak tylko się da.

– No to sam pojedę do Waszyngtonu. Pokręciła głową.

– Przeczytałam w gazecie, że Nick Holden ma przyjechać do Rock Island i Holden's Crossing, żeby agitować za ponownym wyborem Lincolna. Idź do niego i proś o pomoc w odszukaniu brata.

Szaman był zdumiony.

– Czemu mielibyśmy z tym chodzić do Nicka Holdena, a nie do naszego kongresmena albo senatora? Ojciec pogardzał tym człowiekiem za jego udział w tępieniu Sauków.

– Bo Nick Holden jest prawdopodobnie ojcem Alexa – rzekła cicho.

Odebrało mu na chwilę mowę.

– Myślałem zawsze... Chciałem powiedzieć, że Alex sądzi, że jego prawdziwym ojcem był niejaki Will Mosby.

Popatrzyła na syna. Była bardzo blada, lecz oczy miała suche.

– Miałam siedemnaście lat, kiedy umarł mój pierwszy mąż. Zostałam sama jak palec w chatce pośrodku prerii, tam gdzie teraz jest farma Schroederów. Próbowałam sama gospodarzyć, ale nie dałam rady. Ziemia szybko mnie pokonała. Nie miałam pieniędzy. O żadnej pracy nie było co marzyć. Okolica była prawie bezludna. Pierwszy trafił do mnie Will Mosby. To był przestępca, zniknął gdzieś na długie tygodnie, a wracał zawsze z harmonią pieniędzy. Potem zaczął się koło mnie kręcić Nick Holden... Obaj byli przystojni, czarujący. Z początku myślałam, że jeden o drugim nie wie, ale gdy

zaszłam w ciążę, okazało się, że wiedzieli o sobie i każdy uważał, że to ten drugi jest ojcem.

Szamanowi słowa z trudem przechodziły przez gardło.

– Żaden ci nie przyszedł z pomocą? Uśmiechnęła się z goryczą.

– Ja w każdym razie nie zauważyłam. Myślę, że Will Mosby mnie kochał i pewnie by się ze mną w końcu ożenił, ale prowadził niebezpieczne, ryzykanckie życie i właśnie wtedy dał się zabić. Nick trzymał się na uboczu, choć zawsze sądziłam, że to on jest ojcem Alexa. Potem zjechali tu Schroederowie i przejęli ziemię. Nick zakładał pewnie, że Alma i Gus mnie nakarmią.

– Gdy zaczęłam rodzić, była przy mnie Alma, ale ona, biedactwo, całkiem w takich sytuacjach traci głowę. Sama musiałam jej mówić, co ma robić. Po urodzeniu Alexa przeżyłam kilka naprawdę ciężkich lat. Najpierw puściły mi nerwy, potem popsuł mi się żołądek, a od tego znowuż dostałam kamieni w nerkach. – Pokiwała głową. – Twój ojciec uratował mi życie. Nim się zjawił, nie wiedziałam, że są na świecie tacy dobrzy i porządni ludzie.

– Jak widzisz, żyłam grzesznie. Kiedy straciłeś słuch, zrozumiałam, że to kara za moje grzechy, i prawie nie mogłam na ciebie patrzeć. Tak bardzo cię kochałam i tak mnie gryzłosumienie...  
-Wyciągnęła rękę i dotknęła jego policzka.-Przepraszam, że jestem taką słabą i występna matką. Ujął jej dłoń.

– Wcale nie jesteś słaba ani występna. Jesteś silną kobietą, która musiała wykazać wiele hartu ducha, żeby w ogóle przeżyć. Zresztą wyznanie tego, coś mi teraz wyznała, również wymagało odwagi. Nie jesteś winna mojej głuchocie, mamó. Bóg nie zamierzał cię ukarać. Nigdy nie byłem z ciebie tak dumny jak w tej chwili i nie kochałem cię bardziej.

– Dziękuję, synku – wyszeptała.

Gdy ją pocałował teraz, policzek miała mokry od łez.

Pięć dni przed zapowiadzianym wystąpieniem Nicka Holdena w Rock Island Szaman zostawił dla niego notatkę u przewodniczącego okręgowego komitetu republikańców. Napisał w niej, że doktor Robert Jefferson Cole byłby niezmiernie zobowiązany za chwilę rozmowy z pełnomocnikiem Holdenem w nie cierpiącej zwłoki sprawie.

W dniu pierwszego wiecu udał się do przestronnego drewnianego domu Nicka w Holden's Crossing. Jego sekretarz skinął głową, gdy powiedział mu swoje nazwisko.

– Pełnomocnik oczekuje pana-rzekł i wprowadził gościa do gabinetu.

Holden bardzo się zmienił od czasu, gdy Szaman widział go po raz ostatni. Przytył, jego szpakowate włosy się przerzedziły, na skrzydełkach nosa błękitniały pajęczynki żyłek, mógł jednak nadal uchodzić za przystojnego mężczyznę, pewność siebie leżała zaś na nim jak dobrze skrojony garnitur prosto od krawca.

– Na miły Bóg, to pan jest tym małym chłopcem, najmłodszym synem doktora? I też jest pan lekarzem? Ogromnie się cieszę z naszego spotkania. Coś panu powiem, mam apetycik na smaczny wiejski obiad. Wybierzmy się razem do stołówki Anny Wiley. Zapraszam pana na kulinarną specjalność Holden's Crossing.

Szaman miał świeżo w pamięci ojcowski dziennik, więc patrzył na Nicka oczyma Roba J. Cole'a i widział go przez charakterystykę, jaka wyszła spod jego pióra, ostatnią więc rzeczą, jakiej pragnął, było łamanie się z nim chlebem. Zdawał sobie jednak sprawę, po co przyjechał, więc dał się zawieźć powozem Holdena do jadalni

pensjonatu na Main Street. Wszelako najpierw musieli, rzecz oczywista, wysiąść przed sklepem, gdzie Nick, jako rasowy polityk, wyściskał dłonie zebrany na ganku i upewnił się, że wszyscy znają „mojego najserdeczniejszego przyjaciela, naszego drogiego doktora”

Anna Wiley podjęła ich z honorami. Szaman musiał skosztować jej pieczonej szynki (okazała się doskonała) i szarlotki (takiej sobie). Wreszcie mógł opowiedzieć Holdenowi o Aleksie.

Holden wysłuchał go nie przerywając, po czym pokiwał głową.

– Więc jest w niewoli od trzech lat, czy tak?

– Tak, proszę pana. Jeśli jeszcze żyje.

Nick wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki cygaro i zaoferował je Szamanowi, a gdy ten podziękował, odgryzł czubek i zapalił, w zadumie wydmuchując w jego stronę kłębuszki dymu.

– Dlaczego przychodzi pan z tym do mnie?

– Moja matka uważa, że powinno to pana zainteresować. Holden zerknął na niego i skinął głową. Uśmiechnął się.

– Pański ojciec i ja... Pan rozumie, byliśmy za młodu serdecznymi przyjaciółmi. Przeżyliśmy niezapomniane chwile.

– Wiem – stwierdził sucho Szaman.

Coś w jego głosie kazało Nickowi porzucić ton wspomnień. Ponownie kiwnął głową.

– No cóż, proszę przekazać matce moje najserdeczniejsze wyrazy szacunku. I proszę ją zapewnić, że zajmę się tą sprawą osobiście.

Rob podziękował mu. Mimo uzyskanej obietnicy po powrocie do domu napisał do swojego kongresmena i senatora, ich również prosząc o pomoc w odnalezieniu Alexa.



Kilka dni po przyjeździe z Chicago Szaman i Rachel oznajmili swoim matkom, że postanowili się ze sobą spotykać.

Sara usłyszawszy nowinę zacisnęła wargi, przyjęła ją jednak bez zdziwienia, pokiwała tylko głową.

– Będiesz z pewnością bardzo dobry dla jej dzieci, jak twój ojciec był dobry dla Alexa. A jeżeli będziecie mieli własne, czyje ochrzciecie?

– Nie wiem, mamó. Jeszcze się nad tym nie zastanawialiśmy.

– Ja bym się na waszym miejscu zastanowiła.

To było wszystko, co miała do powiedzenia w tej sprawie.

Rachel nie poszło tak gładko. Często się teraz z matką kłóciły. Kiedy Szaman do nich przychodził, Lillian była dla niego uprzejma, lecz nie okazywała serdeczności. Tak często, jak tylko mógł, zabierał Rachel i dzieci na spacery bryczką, natura sprzysięgła się jednak przeciwko niemu, pogody nastały bowiem podłe. Lato, wyjątkowo upalne, przyszło tego roku wcześniej niż zwykle, nie poprzedzone niemal wiosną, zima również przedwcześnie skuła lodem prerię. Już w październiku chwyciły mrozy. Szaman znalazł w stodole stare łyżwy ojca. W sklepie Haskinsa kupił dziecięce łyżwy z podwójnymi płozami i zabierał Rachel z dziećmi na ślizgawkę na zamrażniętą bizonią kałużę, ale mrozy były zbyt siarczyste, by można długo zażywać tej uciechy. Przed dniem wyborów, w których Lincoln odniósł bez trudu zwycięstwo, sypnęło śniegiem, a osiemnastego tego miesiąca spadła na Holden's Crossing śnieżycą, przykrywająca ziemię aż do wiosny białą pierzyną.

– Czy zauważyłeś tik Aldena? – spytała matka pewnego ranka Szamana, który już od jakiegoś czasu obserwował uważnie starego.

– On cierpi na chorobę Parkinsona, mamó.

- A co to takiego?
- Nie wiadomo, co powoduje to drżenie. Ta choroba zakłóca kontrolę nad mięśniami.
- Czy on od tego umrze?
- Czasem się od tego umiera, ale nie za często. Będzie mu się to najprawdopodobniej stopniowo nasilało. Może go też uczynić kaleką.

Pokiwała głową.

- Biedaczysko, jest już za stary i zbyt schorowany, żeby prowadzić farmę. Trzeba się zastanowić, czyby nie powierzyć jej Dougowi Penfieldowi, przyjmąwszy mu kogoś do pomocy. Czy stać nas na to?

Aldenowi płacili dwadzieścia dwa dolary miesięcznie, Penfieldowi dziesięć. Szaman przeprowadził naprędce obliczenia, po czym skinął głową.

- A co z Aldenem?
- No cóż, zostanie w swojej chacie, zatroszczymy się o niego, ma się rozumieć. Ale niełatwo będzie wyperswadować mu, żeby się nie chwycił za cięższe roboty.

- Najlepiej obarczać go pracami, które nie wymagają nadmiernego wysiłku – podsunęła chytrze synowi, a on przytaknął.

- Zdaje mi się, że miałbym już dla niego jedno zadanie – powiedział.

Wieczorem wybrał się do chaty Aldena ze „skalpelem Roba J.”

- Trzeba naostrzyć, tak? – domyślił się stary, biorąc od niego lancet.

Szaman się uśmiechnął.

– Nie, Aldenie, ja sam go ostrzę. Ten nóż chirurgiczny jest w naszej rodzinie od stuleci. Ojciec opowiadał, że w domu jego matki przechowywany był w gablocie pod szkłem, która wisiała na ścianie. Zastanawiam się, czy nie mógłbyś zrobić dla mnie takiej gablotki.

– Dlaczego nie? – Alden obracał skalpel w palcach.

– Piękny kawałek stali, trzeba przyznać.

– Rzeczywiście. Robi piękne cięcia.

– Mógłbym ci zrobić drugi taki, gdybyś chciał. Szaman zainteresował się tą propozycją.

– Naprawdę potrafiłbyś? Czy mógłbyś zrobić taki z dłuższym i węższym ostrzem?

– Czemu nie... – mruknął stary.

Szaman starał się nie zwracać uwagi na jego trzęsącą się rękę, gdy odbierał skalpel.

Trudno było przebywać tak blisko Rachel, a jednocześnie tak od niej daleko. Nie mieli się gdzie kochać. Brnąc przez kopne śniegi kryli się w lasach i zamykali w niedźwiedzich objęciach, wymieniając lodowate pocałunki i wywatowane pieszczoty. Szaman stał się wybuchowy i chodził chmurny. Rachel, jak zauważył, miała ciemne kręgi pod oczami.

Pożegnawszy się z nią, pędził na szybkie spacerunki. Pewnego dnia, zapadając się w śniegu na Krótkiej Ścieżce, zauważył, że wystająca spod zasy drewniana tablica na grobie Makwa-ikwy pękła. Deszcze i niepogody niemal całkiem zatarły runiczne symbole, które na prośbę ojca wyrzezał w drewnie Alden.

Czuł niemal, jak gniewna wola Makwy przebija się spod nakrytej śnieżną czapą ziemi. W jakim stopniu było to dzieło jego

wyobraźni, a w jakim wyrzutów sumienia, nie potrafiłby rozstrzygnąć.

„Zrobiłem co w mojej mocy. Co jeszcze mogłem zrobić? Nie mogę wciąż zadreżać się tym, że ty nie możesz spoczywać w spokoju”, odburknął jej w duchu, po czym odwrócił się i zapadając się w śniegu zawrócił ku domowi.

Po południu wybrał się do Berty Cummings, która cierpiała na dokuczliwy reumatyzm w ramionach. Przywiązał konia i ruszył w stronę drzwi z tyłu domu, gdy za stajnią zwrócił jego uwagę ciąg dziwnych tropów na śniegu, biegnący obok podwójnego śladu płóz.

Przebrnął przez zaspę i przyklęknął, by przyjrzeć się im dokładniej.

Ślady miały trójkątny kształt. Wgłębiały się w śnieg na mniej więcej sześć cali i różniły się nieco rozmiarami, zależnie od głębokości. Tyle że te trójkątne rany na bieli nie krwawiły i było ich znacznie więcej niż jednaście.

Kłęczał i przyglądał się im zadumany.

– Doktorze Cole?

Pani Cummings pochyliła się nad nim z zatroskaną miną.

Powiedziała mu, że to dziurki po kijkach narciarskich jej syna. Zrobił sobie narty i kijki z drzewa hikory, ostro zaciosując szpice.

Za duże.

– Wszystko w porządku, doktorze? – Pani Cummings drżała i otulała się chustą, jego zaś zdjął nagle wstyd, że każe wystawać na mrozie zreumatyzowanej staruszce.

– W najzupełniejszym porządku, pani Cummings – powiedział, wstał i poszedł za nią do kuchni.

Gablotka na skalpel Roba J. udała się Aldenowi znakomicie. Zrobił ją z dębowych ćwierćwałków i wyłożył jasnoniebieskim aksamitem z krawieckich resztek Sary.

– Nie mogłem tylko znaleźć ani kawałka starego szkła. Będę musiał kupić nową szybkę u Haskinsa. Mam nadzieję, że ci się nada.

– Jest doskonała. – Szaman był bardzo zadowolony. – Powieszę ją w sieni od frontu.

Jeszcze bardziej się ucieszył zobaczywszy skalpel, który Kimball sporządził według jego wskazówek.

– Wykułem go ze starego żelaznego pręta do znakowania bydła. Gdybyś potrzebował, zostało jeszcze dość dobrej stali na dwa albo na trzy takie noże.

Szaman usiadł i narysował ołówkiem na kartce papieru przyrząd do sondowania ran i widełki do amputacji.

– A jak sądzisz, dałbyś radę zrobić coś takiego?

– Czemu nie...

Szaman przyjrzał mu się z namysłem.

– Otwieramy tu niedługo szpital, Aldenie. A to znaczy, że będą nam potrzebne narzędzia, łóżka, krzesła, różne tego rodzaju rzeczy. Może byś tak wziął sobie kogoś do pomocy i zrobił je dla nas?

– Hm, z miłą chęcią, tylko że... Nie sądzę, żeby mi starczyło czasu na to wszystko.

– Racja. I mnie się tak wydaje. Ale przypuśćmy, że najęlibyśmy kogoś Dougowi Penfieldowi do pomocy w obrządzaniu gospodarstwa. Spotykałiby się z tobą kilka razy w tygodniu, a ty wydawałbyś im polecenia, co mają robić.

Alden zastanowił się nad tym, po czym kiwnął głową.

- To byłoby niezłe.
- Słuchaj, Alden... – Szaman zawahał się. – Jak tam u ciebie z pamięcią?
- Nie gorzej jak u każdego jednego, jak myślę.
- Powiedz mi, jeśli pamiętasz, gdzie kto był tego dnia, kiedy zamordowano Makwę?

Stary westchnął ciężko i wzniósł oczy do nieba.

- A ty, jak widzę, stale tylko o tym. – Po krótkiej namowie jednak zgodził się służyć mu pomocą. – No dobra, zacznę od ciebie. Spałeś w lesie, jak mi mówiono. Twój ojciec jeździł po swoich pacjentach. Ja byłem u Hansa Gruebera, pomagałem mu szlachtować wieprzki w zamian za to, że pożyczył ojcu byki do roztrząsacza gnoju na naszych pastwiskach... Czekał no, nie zapomniałem o kimś?

- O Aleksie, mojej matce, Księżyc i Nadchodzącym ze Śpiewem.
- Ano, tak. Alex gdzieś latał jak zwykle, łowił ryby, łobuzował, zresztą pojęcia nie mam. Twoja matka i Księżyc... pamiętam, sprzątały spiżarnię przed powieszeniem mięsa, jak już się sprawimy ze szlachtunkiem. To wielkie Indianisko pilnowało stada, a potem robiło coś w lesie. – Zerknął na Szamana z zadowoloną miną. – No i co powiesz o mojej pamięci?

- Makwę znalazł Jason. Co on robił tego dnia? Stary się zezłościł– A skąd ja mam to, u diabła, wiedzieć? Spytaj jego żonę, może ona ci powie.

Szaman kiwnął głową.

- Chyba rzeczywiście tak zrobię.

Wróciwszy do domu zapomniał jednak o wszystkim innym, gdy się dowiedział od matki, że Carroll Wilkenson przywiózł właśnie z

urzędu telegraficznego w Rock Island list do niego adresowany.

Rozerwał kopertę; palce trzęsły mu się przy tym zupełnie jak Aldenowi.

Wiadomość była krótka i rzeczowa: „Kapral Alexander Bledsoe z 38 Pułku Strzelców Konnych z Luizjany jest obecnie jeńcem wojennym i przebywa w obozie jenieckim w Elmirze (stan Nowy Jork). Proszę o kontakt ze mną, gdybym mógł w czymś jeszcze okazać się pomocny. Życzę powodzenia. Nicholas Holden, Pełnomocnik Rządu Stanów Zjednoczonych do Spraw Indian.”

---

## 66 OBÓZ W ELMIRZE

---

Charlie Andreson, prezes banku, spojrzał na wysokość wypłacanej sumy i zagryzł wargi.

Choć Szaman wybierał własne pieniądze, bez wahania wyjawiał Andresonowi powody, dla których to czynił, gdyż wiedział, że w sprawach poufnych bankierowi można zaufać.

– Nie mam pojęcia, jakie sumy będą potrzebne Alexowi. Ale jakiegokolwiek by były, muszę mieć fundusze, żeby mu pomóc.

Andreson skinął głową i wyszedł z gabinetu. Wrócił po jakimś czasie z okazałym plikiem banknotów w płóciennym woreczku. Wręczył również Szamanowi pas do przenoszenia pieniędzy.

– Mały prezent od banku dla stałego klienta. Wraz z naszymi najlepszymi, serdecznymi życzeniami i małą radą, jeśli pan pozwoli. Niech pan trzyma pieniądze w tym pasie i nosi go na sobie pod ubraniem. Czy ma pan pistolet?

– Nie.

– Powinien pan więc kupić. Wyrusza pan w daleką podróż, w której spotka pan niebezpiecznych łotrów, gotowych dla takiej kwoty zabić człowieka bez mrugnięcia.

Szaman podziękował bankierowi, po czym włożył gotówkę i pas do wyszywanego woreczka, który ze sobą przyniósł. Jadąc Main Street uświadomił sobie, że przecież ma pistolet, tego kolta kaliber 44, który jego ojciec zabrał martwemu konfederatowi, żeby dobić konia, i który przywiózł potem z wojny do domu. W normalnych okolicznościach nie przysłoby mu nawet do głowy, by podróżować uzbrojonym, w tej sytuacji nie mógł jednak pozwolić, żeby coś mu stanęło na przeszkodzie w odszukaniu i wyciągnięciu Alexa z niewoli, zawrócił więc konia i pojechał do sklepu Haskinsa, gdzie kupił pudełko naboju kaliber 44. Kule i rewolwer były ciężkie i razem z torbą lekarską zajmowały sporo miejsca w jedynej walizce, jaką wziął ze sobą, opuszczając nazajutrz rano Holden's Crossing.

Na pokładzie parowca popłynął w dół rzeki do Cairo, a stamtąd pojechał koleją na wschód. Pociągi, którymi podróżował, stawały trzy razy na długie postoje, przepuszczając wojskowe eszelony. Ta męcząca podróż trwała cztery doby. Opuszczając terytorium Illinois pożegnał śniegi, lecz nie samą zimę. Przenikliwy ziąb, panujący w rozchybotanych wagonach, przeniknął go do szpiku kości. Gdy jednak potwornie zmęczony dotarł w końcu do Elmiry, nie wykapał



się, nie zmienił nawet ubrania, tak pilno mu było zobaczyć się z Alexem, upewnić się, że brat żyje.

Minął czekającą przed dworcem dwukółkę z kozłem dla powożącego z tyłu pojazdu i wsiadł do bryczki, zajmując miejsce obok woźnicy, by móc czytać z jego warg. Ten pochwalił mu się zaraz z dumą, że miasto Elmira liczy już piętnaście tysięcy mieszkańców. Pojechali Water Street przez ładną dzielnicę małych domków w stronę przedmieścia, a dalej brzegiem rzeki, którą woźnica przedstawił przyjezdnemu jako Chemung. Po niedługim czasie dotarli do drewnianego parkanu, stanowiącego ogrodzenie obozu.

Dorożkarz był dumny z lokalnych udoskonaleń i biegły w ich relacjonowaniu. Poinformował klienta, że parkan, wysoki na dwanaście stóp, zbudowany z „miejsowych desek”, otacza obszar o powierzchni dwudziestu ośmiu akrów, na którym stłoczono ponad dziesięć tysięcy jeńców Konfederacji.

– Momentami liczba buntowników dochodziła do dwunastu tysięcy – dorzucił.

Nie omieszkał wskazać, że cztery stopy od szczytu parkanu, po jego zewnętrznej stronie, biegnie pomost, po którym przechadzają się uzbrojeni wartownicy.

Pojechali dalej West Water Street. Po obu stronach tej ulicy rozłożyli się kupcy, zamieniając obóz w ludzką menażerię.

Wysoka na dwa piętra drewniana wieża, zaopatrzona w schody prowadzące na zabezpieczoną barierką platformę, pozwalała każdemu, kto dysponował sumą piętnastu centów, popatrzeć sobie z góry na stłoczonych w obrębie parkanu więźniów.

– Kiedyś stały tu dwie takie wieże. A co było straganów, w których chętni do oglądania jeńców mogli kupować ciastka, suchary, orzeszki ziemne, lemoniadę, piwo!... Ale ta głupia armia wzięła je i pozamykała.

– Jaka szkoda.

– Widzi pan. Zatrzymać się, żeby mógł pan sobie wejść i popatrzeć?

Szaman pokręcił głową.

– Nie, proszę mnie wysadzić przed główną bramą.

Bramy pilnował czarnoskóry wartownik o marsowej minie. Okazało się, że większość strażników to Murzyni. Dostawszy za przewodnika jakiegoś szeregowca, Szaman udał się do kancelarii dowództwa, gdzie przedstawił się sierżantowi i poprosił o pozwolenie widzenia się z więźniem o nazwisku Alexander Bledsoe.

Sierżant wyszedł naradzić się z siedzącym za biurkiem w ciasnym biurze porucznikiem, po czym wrócił i mruknął, że z Waszyngtonu nadeszła prośba o łaskawe potraktowanie doktora Cole'a, co kazało Szamanowi pomyśleć przychylniej o Nicholasie Holdenie.

– Odwiedziny nie mogą trwać dłużej niż półtorej godziny.

Dowiedział się, że zostanie zaprowadzony do brata, zakwaterowanego w namiocie 8-C, i za swym czarnym przewodnikiem podążył po zmarzniętych na grudę koleinach w głąb obozu. Gdziekolwiek spojrzeł, wszędzie widział więźniów – apatycznych, wynędzniałych, obdartych. Zorientował się od razu, że cierpią głód, zauważył, jak dwaj obdzierają ze skóry szczura na przewróconej do góry dnem beczce.

Minęli kilkadziesiąt niskich drewnianych baraków. Za nimi ciągnęły się rzędy namiotów, a jeszcze dalej ciemniał długi wąski staw, służący najwidoczniej za otwarty pisuar, im bliżej bowiem podchodzili, tym silniejsza biła odeń woń.

Czarny wartownik zatrzymał się wreszcie przed jednym z namiotów.

Osiem C, pszepana – oznajmił i Szaman mu podziękował.

Wewnątrz ujrzął czterech mężczyzn o twarzach zsiniałych z zimna. Żadnego z nich nie znał, pomyślał więc w pierwszej chwili, że pewnie jeden z nich nosi to samo co Alex nazwisko i imię i że odbył całą podróż na darmo z powodu pomyłki w identyfikacji.

– Szukam kaprała Alexandra Bledsoe.

Jeden z więźniów, chłopiec jeszcze, którego czarne wąsy byłyo wiele za rozłożyste w stosunku do wychudzonej twarzy, wskazał na coś, co wyglądało na stertę łachmanów. Szaman zbliżył się do niej ostrożnie, jak gdyby pod tymi brudnymi szmatami – dwoma workami na paszę, strzępem jakiegoś chodnika oraz czymś, co mogło być ongiś płaszczem – czało się jakieś dzikie zwierzę.

– Zakrywamy mu twarz z powodu zimna – wyjaśnił wąsacz, po czym wyciągnął rękę i usunął worek.

To był jego brat, lecz jakże niepodobny! Szaman nie poznałby go na ulicy. Alex był strasznie zmieniony, chudy jak szczapa. Przejścia, których Szaman wolał sobie nawet nie wyobrażać, postarzyły go. Szaman wziął go za rękę. Alex otworzył po chwili oczy, popatrzył na brata, ale go nie poznawał.

– Duży... – wykrztusił Szaman; nie mógł mówić dalej.

Alex ze zdziwienia zamrugał powiekami. A potem świadomość, że to, co widzi, jest rzeczywiste, wdarła się do jego mózgu – niczym

wody przyptywu wdzierające się w głąb nadgryzionego przez fale lądu – i rozplakał się.

– Jak mama, ojciec?

To były pierwsze słowa, które wyrzekł do niego brat, i Szaman skłamał bez namysłu, odruchowo:– W porządku.

Siedzieli trzymając się za ręce. Tyle mieli sobie do opowiedzenia, tyle pytań cisnęło im się na usta, że milczeli przez chwilę jak dotknięci niemotą. Szaman pierwszy odzyskał mowę, ale brat nie był go już w stanie wysłuchać. Mimo wzruszenia zapadł z powrotem w sen, co powiedziało Szamanowi, jak bardzo jest osłabiony.

Przedstawił się pozostałym mieszkańcom namiotu, a oni nawzajem jemu. Niski zamyślony mężczyzna o długich brudnych blond włosach nazywał się Berry Womack i pochodził ze Spartanburga w Południowej Karolinie. Drugi, z sennym wyrazem twarzy i workowatą skórą, zapewne pozostałością niegdysiejszej tuszy, niejaki Fox J. Byrd, pochodził z Charlottesville w stanie Wirginia. Krępy i śniady młodzieniec, najmłodszy z piątki lokatorów namiotu, mający na oko nie więcej jak siedemnaście lat, zwał się James Joseph Waldron z Van Buren w Arkansas. Chłopak z okazałymi wąsiskami, który z zapałem uścisnął dłoń Szamana i kazał mówić do siebie Buttons, przedstawił się jako Barton O. Westmoreland z Richmondu w Wirginii.

Szaman przyjrzał się śpiącemu bratu. Alex nie miał lewej stopy.

– Został ranny w bitwie?

– Nie, proszę pana – rzekł Buttons. – Byłem przy tym. W ubiegłym roku, szesnastego lipca. Wieźli nas tu pociągiem z obozu w Point Lookout w Marylandzie. No i zdarzył się straszny

wypadek... pod Shololą w Pensylwanii. Zginęło czterdziestu ośmiu jeńców i siedemnastu federalnych strażników. Pochowali ich na polu obok torów, jak po bitwie. Osiemdziesięciu pięciu naszych odniosło rany. Alexowi tak paskudnie zmiażdżyło stopę, że mu ją zaraz obcięli. Ja miałem szczęście, że sobie tylko bark wybił.

– Pana brat z początku miał się całkiem dobrze – wtrącił Berry Womack. – Jimmie-Joe zrobił mu szrudło i kuśtykało nim całkiem gracko. Został naszym namiotowym łapiduchem i opiekował się nami. Mówił, że liznął trochę medycyny przyglądając się panów ojcu.

– Nazwaliśmy go Doc – uzupełnił Jimmie-Joe Waldron. Kiedy Szaman obejrzał nogę brata, zorientował się, że to onajest przyczyną jego stanu. Amputacji dokonano byle jak. Gangrena się jeszcze co prawda nie wdała, ale połowa poszarpanego kikuta nie zagoiła się, a pod tkanką bliznowatą zagojonej części zbierała się ropa.

– Z pana to pewnie lekarz całą gębą? – zapytał Waldron na widok stetoskopu. Szaman potwierdził. Ustawił dzwonek na piersi Alexa i poprosił Jimmiego-Joe, żeby wetknął końcówki instrumentu do uszu. Sprawozdanie Waldrona podniosło go na duchu, wynikało żeń bowiem, że płuca na szczęście nie są zajęte. Alex miał jednak gorączkę, tętno zaś słabe i nitkowane.

– W obozie panuje zaraza, proszę pana – poinformował Szamana Buttons. – Ospa. Do tego choroby, jakie tylko ktochce. Malaria, wszelakie odmiany zimnicy... Co jemu jest, jak pan myśli?

– W nodze rozwija się zgorzel – odrzekł przygnębionym głosem Szaman. Rzuciło się również w oczy, że Alex cierpi na niedożywienie i wystudzenie organizmu, podobnie jak pozostali mieszkańcy namiotu 8-C. Powiedzieli Szamanowi, że niektóre

namioty mają żeliwne piecyki, inne znów po kilka koców, większość jednak ani tego, ani tego.

– Czym was karmią?

– Rano każdy dostaje po kawałku chleba i zgniłego mięsa. Wieczorem znowuż po kawałku chleba, a do tego kubek czegoś, co nazywają tu zupą, czyli tę wodę, w której gotowali to zepsute mięso – odpowiedział mu Buttons Westmoreland.

– Żadnych warzyw?

Pokręcili przecząco głowami. Właściwie z góry znał odpowiedź. Objawy szkorbutu przywitały go, ledwie przekroczył obozową bramę.

– Jakaś tu przyjechali, było nas dziesięć tysięcy-informował Buttons. – Potem wciąż dokładali nowych, ale z tych pierwszych dziesięciu tysięcy zostało tylko pięć. Nie nadążali z grzebaniem. Zaraz za obozem rozciąga się spory cmentarz. Średnio umierało tu dziennie dwudziestu pięciu ludzi.

Szaman siedział na zamrożonej ziemi, trzymał brata za rękę i wpatrywał się w jego twarz. Alex spał-snem nazbyt głębokim.

Po jakimś czasie do namiotu wetknął głowę wartownik i oznajmił, że wizyta skończona.

Sierżant w kancelarii obozowej wysłuchał Szamana obojętnie, kiedy ten powiedział mu, że jest lekarzem i opisał stan zdrowia brata.

– Chciałbym go zabrać do domu. Jestem pewien, że umrze, jeśli zostanie w więzieniu.

Sierżant pogrzebał w kartotece, wyciągnął jakąś kartę i przestudiował ją.

– Pański brat nie jest przewidziany do warunkowego zwolnienia. Dał się tu poznać jako górnik. Tak nazywamy więźniów, którzy próbowali ucieczki podkopem.

– Ucieczki podkopem! – wykrzyknął z niedowierzaniem Szaman.- Ależ jak on mógłkopać? Ma przecieżtylko jedną stopę.

– Ale dwie ręce. A zanim do nas trafił, próbował już wcześniej uciekać z innego obozu i został schwytany.

Szaman spróbował przemówić mu do rozsądku.

– Czy pan by postąpił inaczej? Czy nie tak właśnie postąpiłby każdy człowiek honoru?

Sierżant jednak pokręcił tylko głową.

– Mamy tu swoje przepisy.

– Więc może mógłbym przywieźć mu choć trochę rzeczy?

– Byle nic ostrego i żadnych przedmiotów metalowych.

– Można tu gdzieś w pobliżu dostać nocleg?

– Jest takie jedno miejsce, ósmą część mili na zachód od głównej bramy. Wynajmują tam pokoje – odrzekł sierżant. Szaman podziękował mu, zabrał walizkę i wyszedł.

Znalazłszy się w wynajętym pokoju i pozbywszy się gospodarza, wyjął zaraz z pasa na pieniądze sto pięćdziesiąt dolarów i przełożył je do kieszeni marynarki. Służący z pensjonatu był uszczęśliwiony mogąc za opłatą zawieźć nowego lokatora do miasta. W urzędzie telegraficznym Szaman wysłał depeszę do Waszyngtonu do Nicka Holdena: „Alex poważnie chory. Jeśli nie uzyskam jego zwolnienia umrze. Proszę o pomoc.”

W dużej stajni pożyczył konia i wóz.

– Na dzień czy na tydzień? – zapytał stajenny. Szaman odparł, że na tydzień. Zapłacił z góry.

Miejskowy sklep był lepiej zaopatrzony niż sklep Haskinsa. Szaman kupił tam i załadował na wypożyczony wóz towary przeznaczone dla Alexa i współmieszkańców jego namiotu: drewno opałowe, koce, oskubanego kurczaka, połec świeżego boczku, sześć bochenków chleba, dwa buszle ziemniaków, worek cebuli i skrzynkę marchwi.

Sierżant zrobił wielkie oczy ujrzawszy te „trochę rzeczy”, które Szaman przywiózł dla brata.

– Wykorzystał pan już dzisiaj swoje półtorej godziny, więc proszę tylko wyładować te manatki i zaraz zmykać.

Alex dalej spał. Tymczasem dla pozostałych lokatorów namiotu zaczęło się jak gdyby Boże Narodzenie z lepszych, pokojowych czasów. Zwołali sąsiadów. Zeszli się mieszkańcy z dziesiątka namiotów i zostali obdarowani warzywami i szczapami drew. Szaman chciał odmienić swą dostawą przede wszystkim los lokatorów namiotu 8-C, ci jednak zdecydowali się podzielić z towarzyszami niedoli większością darów, które im przywiózł.

– Znajdzie się tu jakiś garnek? – zapytał Buttonsa.

– A jakże, pszepana! – chłopak zaprezentował mu wielką powgniataną puszkę cynkową.

– Ugotujcie rosół z kurczaka z cebulą, marchwią, ziemniakami i chlebem. Liczę na pana, że wmusi pan w mojego brata tyle gorącej zupy, ile się da.

– Zrobi się, proszę pana – obiecał Buttons.

Szaman się zawahał. Zastraszająca ilość pożywienia zdążyła już zniknąć.

– Jutro przywiozę więcej. Proszę się postarać zatrzymać trochę tego jedzenia dla waszego namiotu.



Westmoreland kiwnął poważnie głową. Obaj zdawali sobie sprawę z postawionego i zaakceptowanego, choć nie wypowiedzianego głośno warunku: nakarmiony ma zostać przede wszystkim Alex.

Kiedy nazajutrz rano przyjechał do obozu, Alex spał. Czuwał przy nim Jimmie-Joe. Powiedział Szamanowi, że chory wypił solidną porcję rosołu.

Gdy poprawiał bratu koc, ten obudził się ze strachem. Szaman poklepał go po ramieniu.

– Wszystko dobrze, Duży. To ja, twój brat. Alex zamknął oczy, po chwili wszakże spytał:– Stary Alden jeszcze żyje?

– Tak.

– Fajnie!... – Alex odemknął powieki i zauważył wystający z torby lekarskiej stetoskop. – Nosisz torbę taty?

– Pożyczyłem – skłamał z chrypką w głosie Szaman. – Ja też jestem lekarzem.

– Chrzanisz!-prychnął Duży, jakby uczestniczył w przekomarzance przechwalających się dzieci.

– Jak Bożię kocham – zaklął się Szaman. Uśmiechnęli się do siebie, po czym Alex zapadł na powrót w głęboki sen.

Szaman ujął go za rękę i zbadał puls. Nie spodobało mu się to, co stwierdził, ale w tych okolicznościach nie mógł nic na to poradzić. Nie myte od dawna ciało Alexa okropnie śmierdziało, gdy jednak odkrył kikut i nachylił się, chcąc go powąchać, wpadł w przerażenie. Podczas długiego terminowania u ojca, a potem u Lestera Berwyna i Baræya McGowana nauczył się, że obecność ropy – przez mniej światłych lekarzy witana jako objaw pomyślny – nie wróży nic dobrego. Wiedział, że ropa w ranach, również

pooperacyjnych, zapowiada często zakażeń krwi, ropnie i gangrenę. Orientował się, co należy zrobić, lecz zdawał sobie sprawę, że nie można tego dokonać w obozie jenieckim.

Przykrył brata dwoma nowymi kocami i usiadł przy nim. Trzymał go za ręce, wpatrzony w jego twarz.

Kiedy po półtorej godzinie żołnierz wyprosił go z obozu, pojechał wynajętym wozem drogą biegnącą na południowy wschód brzegiem rzeki Chemung. Okolice były tu bardziej pagórkowate i lesiste niż w Illinois. Mniej więcej pięć mil za rogatkami miasta zajechał przed gospodę, której szyld ogłaszał, że lokal ów należy do niejakiego Barnarda. Szaman kupił tam trochę sucharów i kawałek sera na lunch dla siebie, a potem zjadł na miejscu dwie porcje smacznej szarlotki i wypił dwie filiżanki kawy. Na pytanie o jakąś kwaterę w okolicy, karczmarz polecił mu dom pani Pauline Gay o milę drogi stamtąd, za wsią Wellsburg.

Dom okazał się małym, nie pomalowanym farbą budynkiem pośród lasu. Cztery krzaki róż otulone były przed zimnem workami po mące i okręcone sznurkiem do związywania bel siana. Mała tabliczka na kołku w płocie oznajmiała: POKOJE”

Pani Clay miała jasną, sympatyczną twarz. Gdy opowiedział jej o losie brata, okazała mu współczucie i pokazała dom. Szyld | na płocie winien by zapowiadać liczbę pojedynczą, Szaman zorientował się bowiem od razu, że w chacie znajdują się tylko dwie sypialnie.

– Brat mógłby zamieszkać w pokoju gościnnym, a pan w moim. Ja często sypiam na kozetce – poinformowała gospodyni.

Była wyraźnie zaskoczona, gdy zgłosił chęć wynajęcia całego domu.

– Och, obawiam się...

Oczy rozszerzyły jej się jednak, kiedy wymienił sumę, jaką jest gotów zapłacić. Wyznała mu szczerze, że wdowy, która od tylu lat walczy o przeżycie, nie stać na odrzucenie tak hojnej zapłaty, gotowa jest więc przeprowadzić się do swej siostry we wsi i oddać swój dom braciom Cole.

Szaman wrócił do gospody Barnarda i załadował wóz żywnością i niezbędnymi przedmiotami, gdy zaś po południu przywiózł te zakupy do domu pani Clay, gospodyni właśnie się wyprowadzała.

Nazajutrz rano sierżant przywitał go chłodno i opryskliwie, lecz najwyraźniej armia musiała dostać wiadomość od Nicka Holdena, a pewnie i od jakichś jego przyjaciół.

Sierżant wręczył Szamanowi drukowaną kartkę, stanowiącą oficjalne zwolnienie warunkowe, w którym stwierdzano, że w zamian za uwolnienie Alexa „niżej podpisany nie wystąpi nigdy zbrojnie przeciwko Stanom Zjednoczonym Ameryki”

– Nakłoni pan brata, żeby to podpisał, i niech go pan sobie zabiera.

Szaman się zaniepokoił.

– On może nie być w stanie tego podpisać.

– Takie są przepisy. Nie podpisze, nie zostanie zwolniony. Guzik mnie obchodzi, czy jest chory czy nie. Nie podpisze, nie będzie zwolniony.

Szaman zaniósł więc do namiotu 8-C papier i atrament. Przed wejściem odbył cichą naradę z Buttonsem.

– Czy Alex podpisałby to, gdyby czuł się na siłach? Westmoreland podrapał się w brodę.

– No cóż, jedni gotowi by to podpisać, żeby się stąd wydostać, inni znów uważają to za rzecz haniebną. Pojęcia nie mam, co by na to powiedział pański brat.

W pobliżu namiotu leżała na ziemi skrzynka, w której Szaman przywiózł kapustę. Przewrócił ją teraz do góry dnem, rozłożył na niej papier i postawił kałamarz. Umoczywszy pióro napisał szybko u dołu kartki: „Alexander Bledsoe”

Buttons potaknął z aprobatą głową.

– Dobrze pan zrobił, doktorze Cole. Niech pan go zabierze z tego cholernego obozu.

Szaman poprosił każdego ze współmieszkańców namiotu Alexa o napisanie na kawałku papieru nazwiska i adresu kogoś z bliskich. Obiecał wysłać do wskazanych osób wiadomość, że ich krewni żyją.

– Myśli pan, że uda się panu przesłać listy za linię frontu? – powątpiewał Buttons Westmoreland.

– Myślę, że tak, bylebym dotarł do domu.

Nie tracił potem czasu. Zostawił oświadczenie sierżantowi i pojechał do pensjonatu po walizkę. Zapłacił posługaczowi, kazał mu wypożyczyć sianem wóz, po czym wrócił do obozu. Czarnoskóry sierżant i jeden szeregowiec nadzorowali więźniów, którzy ułożyli Alexa na wozie i nakryli go kocami.

Mieszkańcy namiotu 8-C pożegnali się z Szamanem uściskiem dłoni.

– Trzymaj się, Doc!

– Do zobaczenia Bledsoe, stary draniu!

– A dołoż im tam!

– Wracaj prędko do zdrowia!

Alex nie otwierał oczu. Nie doczekali się jego odpowiedzi.

Sierżant odpędził w końcu jeńców gestem ręki, szeregowiec wdrapał się na wóz, ujął lejce i powoził aż do głównej bramy. Szaman przyjrzał się jego czarnej poważnej twarzy i uśmiechnął się. Przypomniawszy sobie fragment ojcowskiego dziennika.

– Dzień Jubileuszu – powiedział.

Murzyn wyglądał w pierwszej chwili na wystraszonego, ale potem uśmiechnął się, ukazując zdrowe białe zęby.

– Mam nadzieję, że ma pan rację, sir – powiedział, oddając Szamanowi lejce.

Resory wozu były w kiepskim stanie. Leżący na sianie Alex krzychał z bólu podskakując na wybojach, a gdy Szaman skręcił za bramą na drogę, już tylko cicho pojękiwał.

Przejechali obok „wieży widokowej” i minęli mur u końca obozu. Przechadzający się po podeście wartownik z karabinem obrzucił ich baczny spojrzeniem.

Szaman ściągał koniowi wodze. Nie chciał jechać szybciej, żeby nie przyczynić cierpień Alexowi, ale i dlatego, by nie zwracać na siebie i brata niczyjej uwagi. Nie potrafił się pozbyć irracjonalnego uczucia, że długie ramię armii Stanów Zjednoczonych może się w każdej chwili wyciągnąć i odebrać mu brata. Odetchnął z ulgą dopiero wtedy, gdy mury obozu jenieckiego i rogatki miasteczka Elmira zostały daleko w tyle.

W chatce pani Clay Szaman poczuł się jak w domu. Była tak mała, że poznał ją od razu i czuł się w niej tak swojsko, jakby tam mieszkał od lat.

Rozpalił w piecu bujny, huczący płomieniami ogień, który rozżarzył wnet żelazny ruszt do czerwoności. Potem w największych saganach pani Clay nagrzał wody i napełnił nią ustawioną w pobliżu ognia wannę.

Żrenice Alexa rozszerzyło błogie zadowolenie, gdy Szaman zanurzył go w kąpieli jak niemowlę.

– Kiedy się ostatni raz kąpałeś?

Duży pokręcił ospale głową. Szaman domyślił się, że już nie pamięta, tak to było dawno. Nie pozwolił bratu długo rozkoszować się kąpielą, żeby się nie przeziębził, gdy woda zacznie stygnąć. Umył go szybko namydloną szmatką, usiłując nie zwracać uwagi na to, że jego żebra przypominają w dotyku tarkę do prania, i dokładając starań, by go nie urazić w lewą, zgorzelinową nogę.

Wyjawszy brata z wanny postawił go na kocu koło pieca, wytarł do sucha ręcznikiem i ubrał we flanelową koszulę nocną. Parę lat wcześniej wniesienie Alexa po schodach wymagałoby od niego sporego wysiłku, ale od tego czasu Duży tak stracił na wadze, że nie sprawiło to Szamanowi najmniejszej trudności.

Ułożywszy brata na łóżku w pokoju gościnnym, przystąpił do przygotowań. Wiedział doskonale, co musi zrobić. Odkładanie operacji nie miało sensu, bo każda chwila zwłoki zwiększała ryzyko.

Usunął z kuchni wszystkie meble prócz stołu i jednego krzesła. Umywalkę i resztę krzeseł wyniósł do saloniku, później gorącą wodą z mydłem wyszorował ściany, podłogę, sufit, stół i krzesło.

Umył narzędzia chirurgiczne i ułożył je na krześle, które ustawił obok stołu w zasięgu ręki. Na koniec obciął krótko paznokcie i wyszorował ręce.

Potem zniósł Dużego na dół i położył na stole. Jego brat sprawiał wrażenie tak bezbronnego, aż to Szamanem wstrząsnęło. Wiedział, co będzie robił, nie był jedynie przygotowany na podobny widok. Przywiózł ze sobą chloroform, nie miał wszakże pewności, jakiej dawki użyć, ponieważ przebyty uraz i niedożywienie bardzo nadwątliły siły Alexa.

– Co jest? – poskarżył się ten sennie, zaniepokojony tymi ciągłymi przenosinami.

– Oddychaj głęboko, Duży.

Pokropił stożek chloroformem i nakrył nim twarz Alexa. „Boże, pomóż mi”, modlił się w duchu, przytrzymując stożek odpowiednio długo.

– Alex! Słyszysz mnie? – Uszczypnął brata w ramię i klepnął go lekko w policzek. Duży mocno spał.

Szaman nie potrzebował niczego obmyślać ani planować, bo już wcześniej to uczynił. Teraz zabroniwszy sobie dostępu uczuć, przystąpił do pracy.

Zamierzał zachować tyle kończyny, ile się tylko da, odejmując równocześnie dostatecznie dużą jej część, by mieć pewność, że wraz z nią usunie całą zakażoną kość i tkankę mięśniową.

Pierwsze okrężne nacięcie wykonał sześć cali poniżej przy-czepu mięśnia ścięgna podkolanowego, zostawiając pokaźny płat na zasklepienie kikuta. Wykonywanie cięcia przerywał tylko po to, żeby podwiązać żyły odpiszczelowe, dużą i małą, oraz żyły piszczelową i strzałkową. Kość piszczelową piłował tak, jak się

piłuje drewno na podpałkę. Następnie przepiłował kość strzałkową i zgorzelinowa część kończyny była odcięta – piękna, czysta robota.

Potem obandażował nogę ciasno czystymi bandażami, chcąc uformować zgrabny kikut. Uporawszy się z tym, pocałował nieprzytomnego Alexa i zaniósł go z powrotem na pięterko.

Przez jakiś czas siedział przy łóżku, obserwując brata, nie zauważył jednak żadnych niepokojących oznak – objawów nudności, wymiotów, okrzyków bólu. Alex spał jak strudzony robotnik, który zasłużył sobie na dobry odpoczynek.

Na koniec Szaman wyniósł z domu zawiniętą w ręcznik kończynę. Znalazionym w piwnicy szpadlem usiłował w lesie za domem wykopać dołek na amputowaną część nogi, lecz ziemia była zmarznięta zbyt głęboko i łopata omykała się po zlodowaciałej grudzie. Nazbierał więc drewna i ułożył z niego stos, by wyprawić nodze brata pogrzeb na modłę wikingów. Położywszy na stosie tę cielesną kłodę, narzucił na nią więcej gałęzi i podlał naftą z lampy. Ledwie przytknął zapałkę, buchnął płomień. Szaman stał w pobliżu oparty o pień drzewa. Oczy miał suche, lecz w gardle dławiło go wzruszenie. Był przekonany, że na tym najlepszym ze światów człowiek nie powinien stawać wobec konieczności obcinania nogi starszemu bratu i palenia jej na stosie.

Sierżant z kancelarii obozowej znał kadrę podoficerską swojego okręgu, zmiarkował więc od razu, że ten gruby starszy sierżant o klatce piersiowej jak baryła nie stacjonował w Elmirze.

Zwykle pytał żołnierzy przybywających z innych obwodów o nazwę jednostki, w której służyli, lecz sposób bycia, a szczególnie wyraz oczu tego przybysza mówiły wyraźnie, że przyjechał tu po to, by zbierać informacje, a nie ich udzielać.



Sierżant wiedział, że starsi sierżanci to nie żadne bóstwa, ale zdawał też sobie wybornie sprawę, że to właśnie oni rządzą armią. Ci oficerowie bez patentu o najwyższej z dostępnych dla tej kategorii wojskowej randze byli w stanie załatwić człowiekowi dobry przydział albo ukarać go zesłaniem do fortu na jakimś zadupiu. Mogli wpędzić każdego wojskowego w kłopoty albo z nich wyciągnąć, kreować bądź łamać kariery. W realnym świecie kancelisty starszy sierżant był figurą możniejszą od każdego innego oficera bez patentu, okazał mu więc gorliwą usługę.

– Zgadza się, panie starszy sierżancie – poinformował skwapliwie, zajrzawszy do kartoteki. – Rozmiał się pan z nim o niecały dzionek. Ten typek jest naprawdę chory. Został mu tylko jeden kulas, pojmuje pan. Jego brat jest lekarzem, nazywa się Cole. Wywiózł go furką nie dalej jak wczoraj rano.

– W którą stronę pojechali?

Sierżant popatrzył na niego i pokręcił głową.

Grubas chrząknął i splunął na czystą podłogę. Wyszędłszy z kancelarii dosiadł swej pięknej kawaleryjskiej kasztanki i opuścił obóz główną bramą. Jeden dzień przewagi to tyle co nic, zważywszy, że braciszek musi taszczyć inwalidę. Droga przebiegała obok obozu tylko jedna: mogli pojechać w tę albo w przeciwną stronę. Zdecydował się skierować na północny zachód. Ilekroć mijał sklep, farmę lub napotykał innych podróżnych, zatrzymywał się i wywiadywał o ludzi, których szukał. Przejechał w ten sposób wsie Horseheads, a potem Big Flats. Żaden z pytanych nie widział dwóch mężczyzn na wozie.

Starszy sierżant był doświadczonym tropicielem. Wiedział, że trop tak doskonale zatarty jest najpewniej mylny. Zawrócił więc

konia i pojechał w przeciwnym kierunku. Minął obóz jeniecki i miasto Elmira. Spotkany na drodze dwie mile dalej farmer przypomniał sobie, że owszem, widział jakąś furkę. Kilka mil za rogatkami Wellsburga starszy sierżant zatrzymał się przed gospodą.

Gospodarz uśmiechnął się na widok grubego wojaka, który się garnał do pieca.

– Zimno, co?

A gdy gość poprosił o kawę, byle czarną, skinął głową obsłużyć go.

Po raz drugi kiwnął głową w odpowiedzi na postawione pytanie.

– A tak, tak. Zatrzymali się u pani Pauline Clay. Powiem panu, jak tam trafić. Bardzo przyjemny gość z tego pana Cole'a. Zajeżdżał do mnie po zakupy, jedzenie i co tam trzeba do domu. To pańscy przyjaciele, tak?

Starszy sierżant uśmiechnął się.

– Spragniony jestem ich widoku – rzekł.

Noc po operacji Szaman przesiedział na krześle obok łóżka brata przy palącej się przez cały czas lampie. Alex spał, ale sen miał niespokojny, spłycony przez ból.

Nad ranem Szaman na krótko się zdrzemnął. Przebudziwszy się o świcie, ujrzał wpatrzony w siebie oczy brata.

– Cześć, Duży.

Alex oblizał spieczoną wargę. Szaman przyniósł mu wodę i podtrzymał przy picu głowę, zezwalając wszakże tylko na kilka drobnych łyčzków.

– Tak sobie myślę... – odezwał się na koniec Alex.

– O czym?

– Jak będę mógł teraz... dać ci kopa w tyłek... nie padając przy tym na mordę.

Szaman ucieszył się niezmiernie, na widok jego krzywego uśmiešku.

– Oberżnąłeś mi jeszcze kawałek kulasa, tak? Szamana, który padał ze zmęczenia, zabołało oskarżycielskie spojrzenie brata.

– Tak, ale uratowałem ci coś więcej, jak sądzę.

– Co takiego?

– Życie.

Alex rozważył to sobie, po czym kiwnął głową. Po chwili już spał.

Pierwszego dnia po operacji Szaman dwukrotnie zmieniał mu opatrunki. Za każdym razem obwąchiwał i oglądał kikut, pełen niepokoju, czy nie poczuje zapachu lub nie dojrzy objawów rozkładu, dość się bowiem napatrzył ludzi umierających od zakażenia kilka dni po amputacji. Nie wyczuwał jednak żadnej złowróznej woni, a różowa tkanka powyżej kikuta wyglądała zdrowo.

Alex prawie nie gorączkował, lecz ponieważ był bardzo osłabiony, Szaman nie ufał zbytnio jego ozdrowieńczym siłom. Ranek spędził w kuchni pani Clay i wczesnym przedpołudniem podał bratu trochę kleiku owsianego, w południe zaś jajko na miękko.

Zaraz po południu zaczęły sypać gęste, kłaczące płatki śniegu. Wkrótce pokryły ziemię białe poduchy. Szaman wpadł w zaniepokojenie. Dokonał przeglądu zapasów i uznał, że lepiej będzie wybrać się jeszcze raz do gospody, żeby się przygotować na

wypadek, gdyby ich miało zasypać. Kiedy Alex się ocknął, wyjaśnił mu swoje zamiary. Chory kiwnął głową na znak, że zrozumiał.

Przyjemnie było jechać przez cichy, ośnieżony krajobraz. Głównym powodem, dla którego Szaman zdecydował się na tę wyprawę, była chęć kupienia jakiegoś drobiu na rosół. Niestety, okazało się, że Barnard w ogóle nie ma drobiu na sprzedaż, dysponował jednak ładną wołowiną, na której można było ugotować sycącą zupę. Szaman zdecydował się na nią.

– Przyjaciel panów znalazł? – zapytał Barnard, odkrawając tłuszcz.

– Jaki przyjaciel?

– No, ten żołnierz. Pokazywałem mu drogę do domu pani Clay.

– Ach, tak? Kiedy to było?

– Wczoraj, parę godzin przed zamknięciem. Taki zwalisty, gruby mężczyzna. Z czarną brodą. Miał tu kilka pasków. – Dotknął ramienia. – Nie pokazał się? – Przyjrzał się uważnie Szamanowi. – Mam nadzieję, że nie palnąłem głupstwa informując go, gdzie panów znaleźć?

– Ależ nie, panie Barnard, wszystko w porządku. Pewnie uznał po prostu, że nie ma jednak czasu na składanie wizyt, i pojechał dalej.

Czegóż to jeszcze może chcieć od nich armia? – zastanawiał się Szaman po wyjściu z gospody.

W połowie drogi powrotnej zaczęło go prześladować uczucie, że jest obserwowany. Oparł się pokusie, aby się zaraz odwrócić na koźle i spojrzeć za siebie, lecz po kilku minutach zatrzymał konia i zsiadł z wozu udając, że coś poprawia przy uździe. Tymczasem przyjrzał się bacznie drodze za plecami.

Trudno było coś dojrzeć w sypiącym gęsto śniegu, gdy rozwiął go jednak na chwilę powiew wiatru, dostrzegł w oddali sylwetkę

podążającego za nim jeźdźca.

Przyjechawszy do domu upewnił się przede wszystkim, jak się miewa Alex. Następnie wyprzągł konia i odprowadził go do stajni. Po powrocie postawił na ogniu garnek z wodą, do której wrzucił mięso, ziemniaki, marchew, cebulę i rzepę.

Odczuwał niepokój. Zastanawiał się, czy wyjawić bratu prawdę, w końcu usiadł przy jego łóżku i wszystko mu opowiedział.

– Należy się więc spodziewać wizyty ze strony armii – zakończył.

Alex pokręcił z powątpiewaniem głową.

– Gdyby to była armia, już dawno by zapukali do naszych drzwi... Ktoś taki jak ty, kto przyjechał wyciągnąć krewniaka z niewoli, prawdopodobnie ma przy sobie trochę forsy. Wygląda mi raczej na to, że temu komuś o to chodzi... Nie masz broni, jak się obawiam?

– Mam.

Podszedł i wyjął z torby kolta. Na nalegania Alexa wyczyścił go pod jego nadzorem i załadował, po czym sprawdził, czy w komorze znajduje się nabój. Odkładając rewolwer na stół czuł jeszcze silniejszy niepokój niż przedtem.

– Ale na co ten człowiek czeka i dlaczego nas obserwuje?

– Śledzi nas... Chce się upewnić, czy jesteśmy sami, sprawdzić, w którym oknie się w nocy świeci, by ustalić, w której nocujemy izbie... Oto dlaczego.

– Wydaje mi się, że robimy z igły widły – stwierdził z namysłem Szaman. – Ten żołnierz, co o nas pytał, jest pewnie kimś w rodzaju wojskowego wywiadowcy, którego zadaniem jest sprawdzić, czy nie zamierzamy aby dopomóc w ucieczce z obozu innym więźniom. Prawdopodobnie nie usłyszymy o nim więcej.

Alex wzruszył ramionami i potaknął, Szamanowi jednak trudniej przyszło dać wiarę własnym słowom. Gdyby miały ich spotkać kłopoty, ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, było pozwolić się osaczyć w tym domu razem z osłabionym bratem, który dopiero co przeszedł amputację nogi.

Po południu dał Alexowi do wypicia podgrzane mleko z miodem. Zamierzał wmuszać w niego pożywne leguminy, bynabraw ciała, choć zdawał sobie sprawę, że musi to trochę potrwać. Wczesnym popołudniem Duży znowu zasnął, gdy się zaś po kilku godzinach obudził, zebrało mu się na wspominki. Szaman dowiadywał się stopniowo, co mu się przydarzyło od momentu ucieczki z domu.

– Dotarliśmy z Malem Howardem do Nowego Orleanu na pokładzie barki. Tam pokłóciliśmy się o jedną dziewczynę i Mal sam pojechał do Tennessee, żeby się zaciągnąć... – Alex urwał i spojrzał na brata. – A przy okazji, nie wiesz, co się z nim stało?

– Rodzina nie miała od niego żadnej wiadomości. Alex pokiwał głową, nie okazując zdziwienia.

– Mało brakowało, a wróciłbym wtedy do domu. Żałuję, że tego nie zrobiłem. Ale człowiek potykał się co krok o konfederackich werbowników, więc w końcu się zaciągnąłem. Wydawało mi się, że umiem jeździć konno i strzelać, wstąpiłem więc do kawalerii.

– Walczyłeś w wielu bitwach? Alex przytaknął z powagą.

– Napatrzyłem się przez te dwa lata. Wściekły byłem na siebie jak cholera, że dałem się złapać wtedy w Kentucky! Trzymali nas za ogrodzeniem, przez które dziecko by przelazło. Zaczekałem na okazję i dałem nogę. Trzy dni pętałem się tu i tam, żywiłem się kradnąc po ogrodach i gdzie się dało. Raz zaszedłem do jakiejś chałupy i

poprosiłem o coś do jedzenia. Baba poczęstowała mnie śniadaniem, za które podziękowałem jej potem jak dżentelmen, nie okazując żadnych nieprzyzwoitych zamiarów, co prawdopodobnie było z mojej strony błędem! Po półgodzinie usłyszałem ujadanie tropiącej mnie sfory. Dałem nura w ogromniaste pole wysokiej zielonej kukurydzy. Sadzona była tak gęsto, że nie dało rady przecisnąć się między rządami. Musiałem je tratować więcej na przełaj, toteż ślad zostawiałem jak niedźwiedź. Prawie do południa kluczyłem tak w tej kukurydzy. Zaczęło mi się już wydawać, że nigdy się stamtąd nie wydostanę. A potem wyszedłem na drugim końcu tej plantacji prosto na dwóch szczerzących zęby i mierzących do mnie z karabinów Jankesów.

– Federalni posłali mnie tym razem do Point Lookout, najparszywszego ze wszystkich obozów jenieckich! Żarcie podłe albo wcale, woda nie do picia. Strzelali do każdego, kto podszedł na cztery kroki do płotu. Cieszyłem się jak cholera, jak nas stamtąd wywozili. No a potem zdarzył się ten wypadek...

– Pokręcił głową. – Pamiętam tylko zgrzyt, huk i pieroński ból w nodze. Straciłem przytomność, a gdy ją odzyskałem, byłem już krótszy o stopę i jechałem innym pociągiem do Elmiry.

– Jak mogłeś po amputacji drążyć podkopy? Alex uśmiechnął się szeroko.

– To proste. Usłyszałem, że paczka chłopaków robi podkop. Wtedy czułem się jeszcze całkiem nieźle, więc dołączyłem do nich i kopałem na zmianę. Wyryliśmy tunel długi na dwieście stóp, pod sam mur. Kulas mi się jeszcze nie zagoił i brudził mi się w podkopie. Niewykluczone, że właśnie dlatego zaczął się paprać. Uciekać z tamtymi, rozumie się, nie mogłem, ale dziesięciu naszych

dało dyla. Nie słyszałem, żeby któregoś złapali. Zasypiałem potem szczęśliwy, myśląc o tych dziesięciu na wolności.

Szaman zaczerpnął głęboko powietrza.

– Duży – powiedział szeptem – tata nie żyje. Alex milczał przez chwilę, po czym kiwnął głową.

– Chyba się tego domyśliłem, jak zobaczyłem, że masz jego torbę. Gdyby żył i czuł się dobrze, sam by po mnie przyjechał, a nie wysyłał ciebie.

Szaman się uśmiechnął.

– No tak, masz rację.

Opowiedział bratu o ostatnich miesiącach życia Roba J. W trakcie tej opowieści Duży zaczął cicho pochlipywać i chwycił go za rękę. A kiedy opowiadanie dobiegło końca, bracia długo siedzieli w milczeniu, trzymając się za ręce. Szaman nie wypuścił dłoni Alexa, nawet gdy ten już zasnął.

Śnieg sypał do późnego popołudnia. Po zapadnięciu nocy Szaman podchodził do wszystkich kolejno okien w domu i wyglądał na dwór. Księżycowa poświata lśniła na równej, nie naruszonej żadnymi śladami pierzynie śniegu. Znalazł sobie tymczasem przekonujące wyjaśnienie zachowania dziwnego szpiega. Uznał, że grubego żołnierza posłano za nim dlatego, że ktoś potrzebował lekarza. Pacjent najpewniej już umarł lub wydobrzył, możliwe też, iż posłaniec znalazł innego lekarza i doktor Cole przestał być potrzebny.

Było to wytłumaczenie prawdopodobne i bardzo go pocieszyło.

Na kolację dał bratu miskę pożywnego bulionu z rozmoczonym sucharem. Alex spał niespokojnie. Szaman zamierzał przespać się tej



nocy na łóżku w drugim pokoju, ostatecznie jednak zdrzemnął się na krześle przy łóżku brata.

Duży zbudził go przed świtem. Zegarek, leżący na stoliku obok rewolweru, wskazywał 2.43. Oczy Alexa rozszerzało przerażenie. Wychylił się z łóżka do połowy ciała.

– Ktoś wchodzi na dole przez okno-wyrzekł bezgłośnie. Szaman skinął głową. Wstał i podniósł rewolwer. Trzymał toobce sobie narzędzie w lewej ręce.

Czekał, wpatrzony w twarz brata.

Czyżby Alexowi się przywidziało?... A może przyśniło?... Drzwi sypialni były zamknięte. Może doleciał go trzask obrywających się sopli?

Szaman zamarł jednak w bezruchu. Całe jego ciało nastłuchiwało jak niegdyś dłoń na pudle pianina. Po chwili wyczuł skradające się kroki.

– Wszedł do domu – wyszeptał.

Wyczuwał wstępującego po schodach człowieka jak dźwięki wznoszącej się gamy.

– Idzie po schodach. Zgaszę lampę.

Spostrzegł, że Alex odgadł jego zamiary. Obaj znali rozkład pokoju, włamywacz go nie znał, mieli więc znaczną przewagę w ciemności. Mimo to Szamana chwyciła trwoga – po ciemku nie mógł wszak czytać z warg Alexa.

Chwycił dłoń brata i położył ją na swojej nodze.

– Gdy usłyszysz, że wchodzi do pokoju, ściśnij – wyszeptał. Duży kiwnął głową.

Na podłodze leżał jego osierocony but. Szaman przełożył rewolwer do prawej ręki, schylił się, podniósł but, po czym

zdmuchnął płomyk lampy. Wydawało mu się, że czas stanął w miejscu. Pozostawało już tylko czekać, drętwiejąc w ciemności.

Po chwili dłużej jak wieczność zgasł żółty blask w szczelinach drzwi sypialni. Włamywacz dotarł do lampy na ścianie przedpokoju i zdmuchnął ją, żeby nie mogli zobaczyć jego sylwetki we framudze drzwi.

Uwięziony w znajomym sobie świecie absolutnej ciszy, Szaman wyczuł moment, w którym intruz otworzył drzwi pokoju. Doniósł mu o tym zimny powiew z otwartego okna.

Alex ścisnął go za nogę.

Szaman rzucił butem w przeciwległą ścianę.

W ciemności rozkwitły jeden po drugim dwa żółte kwiaty. Mierząc z ciężkiego kolta nieco w prawo od tych błysków ognia, pociągnął za spust. Rewolwer miał silny odrzut, ujął go więc oburącz i strzelał raz za razem. Czuł kopanie broni, przy każdym rozbłysku mrużył oczy i wciągał w nozdrza diabelską woń siarki. Wystrelawszy cały bębenek, stał bardziej nagi i bezbronny niż kiedykolwiek dotąd, czekając na kule napastnika.

– Nic ci nie jest, Duży? – krzyknął na koniec bezmyślnie, bo nie mógł przecież usłyszeć odpowiedzi. Gorączkowo poszukał na stole zapalek. Roztrzęsionymi rękami zapalił lampę. – Nic ci nie jest? – powtórzył pytanie, lecz Alex wskazywał tylko palcem na leżącego na podłodze człowieka.

Szaman był kiepskim strzelcem. Napastnik niechybnie by ich obu zastrzelił, gdyby był w stanie. Szaman zbliżył się do niego jak do powalonego na łowach niedźwiedzia, którego ubicia myśliwy nie jest jeszcze pewny. O jego żałosnych umiejętnościach strzeleckich świadczyły podziurawione ściany i odłupane z podłogi drzazgi. Kule

grubego sierżanta nie trafiły w but, roztrzaskały za to górną szufladę klonowej komódki pani Clay. Mężczyzna, gruby żołnierz z czarną brodą i wyrazem zdziwienia na martwej twarzy, leżał na boku, jakby spał. Jedna kula zraniła go w lewą nogę, dokładnie na tej wysokości, na jakiej Szaman obciął kończynę Alexa. Druga ugodziła go w pierś, tuż ponad sercem. Kiedy Szaman zmacał jego tętnicę szyjną, ciało było jeszcze ciepłe, ale tętna nie dało się już wyczuć.

Alex miał już nerwy tak zszarpane, że zupełnie się teraz rozkleił. Szaman usiadł na łóżku, objął go i przytulił, kołyszając roztrzęsionego, szlochającego brata jak dziecko.

Duży był przekonany, że gdy zabójstwo się wyda, trafi z powrotem do więzienia. Chciał, by Szaman wyniósł grubego sierżanta do lasu i spalił go tam, jak spalił jego nogę.

Szaman pocieszał go i poklepywał po plecach; sam myślał chłodno i jasno.

– To ja go zabiłem, nie ty. Jeśli ktoś będzie miał kłopoty, to na pewno nie ty. Tego człowieka będą szukali. Sklepikarz wiedział, że on się tu do nas wybiera, mogli to wiedzieć też inni. Pokój jest w ruinie, trzeba będzie wezwać stolarza, a ten wszystko rozniesie. Jeśli ukryję lub spalę ciało, czeka mnie stryczek. Nie będziemy w ogóle dotykali trupa.

Alex w końcu się uspokoił. Szaman usiadł przy nim i rozmawiali aż do brzasku. Kiedy do pokoju wpłynął szary świt, zgasił lampę, zniósł brata na dół, położył na kanapce w salonikui przykrył ciepłymi kocami. Nakładł do pieca drew, po czym załadował rewolwer, który położył na krześle obok Alexa.

– Wrócę z żołnierzami. Zaklinam cię, nie strzelaj do nikogo, póki się nie upewnisz, że to nie my... – Spojrzał bratu w oczy. – Będą

nam zadawali mnóstwo pytań, każdemu z osobna i obu razem. Jest ważne, abyś mówił im tylko prawdę. W ten sposób niczego, co im powiemy, nie będą mogli obrócić przeciwko nam. Rozumiesz?

Alex przytaknął. Szaman klepnął go w policzek i wyszedł.

Śniegu napadało po kolana, postanowił więc nie brać wozu. W stajni wisiał kantar, nałożył go na łeb konia i pojechał oklep. Droga do gospody Barnarda i jeszcze dalej była tak zasypana, że jechać musiał stępa, dopiero za rogatkami Elmiry śnieg ubito walcami drogowymi, pojechał więc szybciej.

Czuł się odrętwiały, i to bynajmniej nie z zimna. Ilekroć umierali mu pacjenci, których powinien był – jak mu się zdawało – uratować, niezmiernie go to zawsze przygnębiało. A oto teraz, pierwszy raz w życiu zabił człowieka.

Do urzędu telegraficznego dotarł przed siódmą i musiał czekać na jego otwarcie o tej godzinie. Nadał telegram do Nicka Holdena: „Zabiłem żołnierza w obronie własnej. Proszę nadesłać jak najszybciej do władz cywilnych i wojskowych Elmiry świadectwo dotyczące mojej osoby i osoby Alexa Bledsoe Cole’a. Z wyrazami wdzięczności Robert J. Cole.”

Potem pojechał prosto do biura szeryfa hrabstwa Steuben i złożył doniesienie o zabójstwie.

Ciasny domek pani Clay zapełnił się wkrótce ludźmi. Pierwszy zjawił się szeryf Jesse Moore, przysadzisty szpakowaty mężczyzna, który cierpiał na poranną nadkwasotę, toteż robił co chwila bolesniwą minę i często czał. Towarzyszyło mu dwóch zastępców. Wiadomość, którą posłał jeszcze ze swego biura do władz wojskowych, sprowadziła niebawem pięciu żołnierzy: porucznika, dwóch sierżantów i dwóch szeregowców. Po półgodzinie nadjechał major OKver P. Poole, śniady oficer w okularach i z czarnym wąsikiem. Wszyscy zwracali się do niego – najwyraźniej on tu dowodził.

Początkowo żołnierze i cywile zajmowali się oględzinami zwłok, wchodzili i wychodzili z domu, wędrowali w tę i z powrotem po schodach w swoich ciężkich buciorach i naradzali się na stronie, pochylając ku sobie głowy. Wyziębili dom, nanosili śniegu i lodu, zrujnowali woskowane, ułożone z desek podłogi pani Clay.

Szeryf i jego zastępcy byli czujni, wojskowi poważni, major Poole – chłodno uprzejmy. W sypialni na piętrze zbadał dziury od kul w podłodze, w ścianie, w szufladzie komody i w ciele zabitego.

– Czy pan zna tego człowieka, doktorze Cole?  
– Nigdy go nie widziałem.  
– Sugeruje pan, że usiłował was obrabować?  
– Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że w ciemnościach rzuciłem tym oto butem w ścianę, on strzelił w kierunku hałasu, a ja do niego. »–  
Przeszukał mu pan kieszenie?

– Nie, sir.

Major wziął się za przetrząsanie kieszeni grubego sierżanta, wykładając to, co w nich znalazł, na koc w nogach łóżka. Nie było tego wiele: puszka tabaki „Clock-Time”, zmięta i sklejona smarkami

chusteczka do nosa, siedemnaście dolarów i trzydzieści osiem centów gotówką oraz przepustka wojskowa, którą major Poole przeczytał, a następnie podał Szamanowi.

– Czy coś panu mówi to nazwisko?

Przepustka została wystawiona na starszego sierżanta Henry’ego Bowmana Korffa z kwatermistrzostwa przy kwaterze głównej wschodniej grupy wojsk Stanów Zjednoczonych w Elizabeth w stanie New Jersey.

Szaman zerknął na przepustkę i pokręcił przecząco głową.

– Nigdy dotąd nie zetknąłem się z nikim o tym nazwisku – odrzekł zgodnie z prawdą.

Ale gdy kilka minut później zaczął schodzić po schodach, uświadomił sobie, że nazwisko Korff budzi w jego pamięci jakieś niepokojące skojarzenia. W połowie schodów wiedział dlaczego.

Już nigdy więcej nie będę musiał łamać sobie głowy -jak to aż do dnia swojej śmierci robił jego ojciec – gdzie się podziewa trzeci z trójki mężczyzn, którzy tego rana, kiedy zgwałcono i zamordowano Makwa-ikwę, uciekli z Holden’s Crossing. Już nie musi szukać grubasa o nazwisku Hank Cough. Hank Cough sam go znalazł.

W końcu przybył koroner, by stwierdzić oficjalnie, że ofiara nie żyje. Z doktorem Cole’em przywitał się chłodno. Wszyscy zgromadzeni w domu mężczyźni okazywali mu jawną lub skrywaną niechęć. Szaman domyślał się jej powodów. Alex był ich wrogiem, walczył przeciwko nim, może nawet zabijał żołnierzy Północy, do niedawna zaś siedział u nich w niewoli. I oto teraz brat kogoś takiego zastrzelił żołnierza w mundurze Unii.

Szaman odetchnął z ulgą, gdy położono wreszcie zwłoki tłuściocha na nosze, staszczono z wysiłkiem po schodach i

wyniesiono z domu. Dopiero wtedy zaczęły się poważne przesłuchania. Major zasiadł w sypialni, w której miała miejsce strzelanina. Obok niego, na drugim z kuchennych krzeseł, przysiadł jeden z sierżantów, żeby protokołować przesłuchanie. Szaman przycupnął na brzegu łóżka.

Major Poole zapytał go o sympatie polityczne, na co Szaman odpowiedział, że jedynymi dwoma organizacjami, do jakich się w życiu zapisał, było Towarzystwo na Rzecz Zniesienia Niewolnictwa, do którego wstąpił jeszcze w college'u, oraz Towarzystwo Lekarskie hrabstwa Rock Island.

– Czy jest pan „miedzianogłowym”<sup>[9]</sup>, doktorze Cole?

– Nie.

– Nie ma pan nawet cienia sympatii dla Południowców?

– Jestem przeciwnikiem niewolnictwa. Chciałbym, żeby ta wojna skończyła się bez dalszych cierpień, ale nie jestem stronnikiem Południa.

– W jakim celu starszy sierżant Korfr zjawił się w tym domu?

– Pojęcia nie mam.

Niemal od początku postanowił nie wspominać słowem o tamtym zapomnianym już zabójstwie Indianki w Illinois ani o tym, że w tę zbrodnię gwałtu i morderstwa byli zamieszani trzej członkowie tajnej organizacji politycznej. To wszystko było zbyt odległe, zbyt niejasne. Zdawał sobie sprawę, że poruszanie tego tematu obudziłoby podejrzliwość niesympatycznego oficera i mogłoby się skończyć dla nich jak najgorzej.

– Chce pan, byśmy przyjęli wersję, że starszy sierżant armii Stanów Zjednoczonych został zastrzelony przy próbie napadu rabunkowego z bronią w ręku?

– Nie, nie chcę, żebyście cokolwiek przyjmowali. Majorze Poole, czyżby pan sądził, że wystosowałem zaproszenie do tego człowieka, zachęcając go, by oknem włamał się do wynajmowanego przeze mnie domu o drugiej nad ranem, wszedł na górę do pokoju, w którym leżał mój chory brat, i zaczął do nas strzelać?

– A więc dlaczego to zrobił?

– Pojęcia nie mam – odrzekł Szaman, na co major zmarszczył gniewnie brwi.

W czasie gdy major przesłuchiwał na górze Szamana, w saloniku na dole porucznik przepytывał Alexa. Jednocześnie dwaj szeregowi wraz z dwoma zastępcami szeryfa przetrzasnęli stajnię i dom, przeszukali bagaże Szamana, opróżnili szuflady komody i szafy.

Co jakiś czas w przesłuchaniach następowała przerwa i obaj oficerowie odbywali naradę.

– Czemu mi pan nie powiedział, że pańska matka pochodzi z Południa? – spytał Szamana major Poole po jednej z takich konsultacji.

– Matka urodziła się w Wirginii, ale z górą połowę życia spędziła w Illinois. Nic powiedziałem panu o tym, ponieważ pan nie pytał.

– To znaleziono w pana bagażach. Co to takiego, panie Cole? – Poole położył na łóżku cztery świstki papieru. – Na każdej z tych kartek zapisano nazwisko i adres jakiegoś Południowca.

– To są adresy krewnych towarzyszy mego brata, z którymi dzielił namiot w obozie jenieckim w Elmirze. Ludzie ci troszczyli się o niego i ocalili mu życie. Po wojnie napiszę pod te adresy, żeby się dowiedzieć, czy zdołali przeżyć, i jeśli tak, wyrazić im moją wdzięczność.



Przesłuchania ciągnęły się w nieskończoność. Poole często powtarzał pytania, które już wcześniej zadał, a Szaman udzielał na nie tych samych co poprzednio odpowiedzi.

W południe wojskowi pojechali do gospody Barnarda, by kupić coś do jedzenia. Na straży zostawili jednego z sierżantów i dwóch szeregowców. Szaman zszedł do kuchni, ugotował kleik i zaniósł go w miseczce Alexowi. Duży sprawiał wrażenie śmiertelnie wycieńzonego. Powiedział, że nie może jeść.

– Musisz jeść, żeby móc dalej walczyć! – zachęcił go z udanym żarem Szaman, na co Alex skinął głową i jął wkładać do ust kleistą papkę.

Po lunchu przesłuchujący zamienili się miejscami: major zaczął przepytować Alexa, porucznik skupił swą dociekliwość na Robercie Cole'u. Wczesnym popołudniem Szaman, ku irytacji obu oficerów, poprosił o przerwę w dochodzeniu, aby na oczach widzów zmienić opatrunek na kikucie Alexa.

Ku jego zdumieniu major Poole poprosił, by w asyście jego trzech podwładnych Szaman udał się do lasu i wskazał miejsce, gdzie spalił ucięty kawałek nogi brata. Gdy to uczynił, żołnierze odgarnęli śnieg i jęli grzebać w zwęglonych resztkach stosu, póki nie dokopali się białawych szczątków kości strzałkowej i piszczeli, które zawinęli w chustę i zabrali ze sobą. Wojskowi odjechali późnym popołudniem. Dom wydał się cudownie pusty, ale zarazem bezbronny i skalany. Rozbite okno zawieszono kocem, podłogi były zabłocone, w powietrzu unosił się smród żołnierskich fajek i nie mytych ciał.

Szaman podgrzał ugotowaną na mięsie zupę. Ku jego radości Alex rzucił się na jedzenie z wilczym apetytem, dał mu więc oprócz

bulionu obfitą porcją wołowiny z warzywami. Apetyt brata pobudził jego własny. Po wpałaszowaniu zupy zjedli jeszcze chleb z masłem i dżemem oraz mus jabłkowy. Na deser Szaman zaparzył kawę.

Potem zaniósł Alexa na górę i ułożył go na łóżku pani Gay. Do późna siedział przy bracie, zaspokajając jego potrzeby. Później wrócił do pokoju gościnnego i padł na łóżko zupełnie wyczerpany, usiłując zapomnieć o plamach krwi na podłodze. Niewiele tej nocy zażyli obaj snu.

Nazajutrz rano nie pokazali się już ani szeryf, ani jego ludzie, wojskowi zjawili się jednak, nim Szaman zdążył posprzątać po śniadaniu.

Z początku wyglądało na to, że ten dzień będzie powtórką poprzedniego, nie minął jednak ranek, a do drzwi zastukał nowy przybysz. Przedstawił się jako George Hamilton Crockett, stacjonujący w Albany asystent pełnomocnika rządu Stanów Zjednoczonych do spraw Indian. Następnie zasiadł na długą konferencję z majorem Poole'em, przedstawiając mu plik dokumentów, do których w trakcie tej narady kilkakrotnie zaglądali.

W końcu żołnierze pozbiali swoje rzeczy, włożyli płaszcze i odeszli pod wodzą zachmurzonego majora Poole'a.

Pan Crockett został jeszcze chwilę, aby zamienić kilka słów z braćmi Cole. Powiedział im, że byli przedmiotem ożywionej korespondencji telegraficznej między jego biurem a Waszyngtonem.

– To niefortunny incydent. Armia straciła jednego ze swoich ludzi w domu żołnierza Konfederacji i jest to dla niej gorzka pigułka do

przełknięcia. Oni przywykli zabijać konfederatów, którzy do nich strzelają.

– Wynikało to jasno z ich pytań i natarczywości – przyznał Szaman.

– Nie muszą się już panowie niczego obawiać. Dowody są aż nadto oczywiste. Koń sierżanta Korffa stał przywiązany do drzewa w lesie. Ślady butów prowadzą od konia do okna z tyłu domu. Szyba została wybita, okno było otwarte. Podczas oględzin ciała nieboszczyk wciąż trzymał w garści rewolwer, z którego oddano dwa strzały... W gorączce wojennych namiętności nierzetelne dochodzenie mogłoby co prawda przegapić nawet równie niezbite dowody, ale nie wówczas, kiedy w ich drobiazgowo zbadanie zaangażują się czynniki wpływowe.

Crockett uśmiechnął się i przekazał im najserdeczniejsze pozdrowienia od czcigodnego Nicholasa Holdena.

– Pełnomocnik prosił mnie, abym zapewnił panów, że osobiście, jeśli to konieczne, przybędzie do Elmiry. Z przyjemnością doniosę mu, że podróż taka nie będzie konieczna.

Nazajutrz major Poole przysłał jednego ze swoich sierżantów z zawiadomieniem, że uprasza się braci Cole, by nie opuszczali Elmiry do czasu formalnego zakończenia śledztwa. Na ich pytanie, kiedy to może nastąpić, ów odrzekł wcale grzecznie, że tego nie wie.

Zostali więc w małym domku. Pani day dowiedziała się od razu, co się wydarzyło, i przybiegła blada jak płótno, by w niemej zgrozie obejrzeć wybite okno, dziury po kulach i krwawe plamy na podłodze. Na widok zniszczonej szuflady komody w jej oczach stanęły łzy.

– Należała jeszcze do mojej matki.

– Dopilnuję, żeby została zreperowana, a dom doprowadzony do porządku – zapewnił ją Szaman. – Czy mogłaby mi pani polecić jakiegoś dobrego stolarza?

Przysłała go po południu – szczupłego, podstarzałego mężczyznę o nazwisku Bert Clay, kuzyna jej zmarłego męża. Nacmokał się i nawydziawał, ale zabrał się zaraz do roboty. Przyniósł szybę odpowiednich rozmiarów i sprawnie oszklilił okno. Zniszczenia w sypialni były trudniejsze do naprawienia. Należało wymienić wyszczerbione deski podłogi, a miejsca zaplamione krwią wyczyścić papierem ściernym i na nowo wywoskować. Bert oświadczył, że dziury w ścianie zatynkuje, pokój zaś odmaluje. Obejrzawszy komodę pokiwał jednak smętnie głową.

– Boja wiem... To klon srebrzysty. Może uda mi się gdzieś znaleźć podobny kawałek, ale to wyniesie drogo.

– Proszę poszukać – poprosił chmurnie Szaman.

Reperacje zajęły cały tydzień. Gdy Bert już się ze wszystkim uporał, przysłała pani Clay i dokonała skrupulatnej inspekcji. Pokiwała głową, podziękowała stolarzowi i stwierdziła, że jest usatysfakcjonowana. Odnosiło się to nawet do szuflady komody. Szamanowi okazała jednak chłód, on zaś domyślał się, że ten dom już na zawsze pozostanie dla niej zbrukany.

Zresztą wszyscy spotkani ludzie odnosili się do niego chłodno. Barnard nie uśmiechał się już i nie wdawał z nim w pogawędkę, gdy przychodził do jego gospody po zakupy, podróżni na drodze na widok Szamana poszeptywali coś między sobą. Ta powszechna niechęć kosztowała go niemało nerwów. Major Poole zaraz przy pierwszym spotkaniu zarekwirował mu kolta, tak że bracia czuli się teraz zupełnie bezbronni. Szaman idąc wieczorem spać kładł na

podłódze obok łóżka pogrzebacz i wielki nóż kuchenny, a gdy dom drżał pod uderzeniami wichury, czuwał, nastawiony na wykrycie obecności włamywaczy.

Pod koniec trzeciego tygodnia Alex zaczął przybierać na wadze i wyraźnie się poprawił, marudził jednak, że chciałby już jechać, toteż z radością i ulgą przyjęli wiadomość od Poole'a, że są już wolni. Szaman kupił bratu cywilne ubranie i pomógł mu je włożyć, spiąwszy lewą nogawkę spodni, by nie plątała mu się pod nogami. Alex próbował kuśtykać wsparty na szczudle, szło mu to jednak niesporo.

– Ten kulas jest o tyle krótszy, że nie mogę złapać równowagi – skarżył się, lecz Szaman zapewniał, że się przyzwyczai.

U Barnarda kupił duży okrągły ser i zostawił go na stole jako dar przebłagalny dla pani Clay. Uzgodnił z właścicielem stajni, że zostawi mu konia i wóz na stacji kolejowej, Alex dotarł więc na dworzec wyciągnięty na słomie, tak jak wyjechał z obozu jenieckiego. Kiedy przybył pociąg, Szaman wniósł go do wagonu na rękach i posadził przy oknie. Niektórzy spośród pasażerów spojrzeli na nich ciekawie, inni odwracali wzrok. Bracia mało ze sobą rozmawiali, lecz gdy pociąg opuszczał Elmirę, Alex dotknął ramienia Szamana pełnym uczucia gestem.

Wracali do domu trasą wygiętą bardziej ku północy niż ta, którą Szaman przybył do Elmiry. Teraz obrał kierunek raczej na Chicago niż Cairo, przewidując, że Missisipi będzie jeszcze skuta lodem, gdy wjadą na terytorium Illinois. Podróż była okropnie męcząca. Wstrząsy wagonu przyprawiały Alexa o ciągły srogi ból. Przesiadali się po drodze wiele razy i Szaman musiał za każdym razem przenosić brata z pociągu do pociągu na rękach. Pociągi niemal

nigdy nie przyjeżdżały i nie odjeżdżały według rozkładu. Zdarzało się też często, że skład, którym jechali, odstawiano na bocznice, żeby przepuścić wojskowy eszelon. Szamanowi udało się raz zdobyć miejsca w salonce i przez około pięćdziesiąt mil rozwalali się na miękkich kanapkach, przeważnie jednak cierpieli katusze na twardych drewnianych ławkach. Jeszcze nim dotarli do Erie w Pensylwanii, w kącikach ust Alexa pojawiły się białe smużki i Szaman się zorientował, że brat nie wytrzyma dalszej podróży.

Wynajął zatem pokój w hotelu, żeby Alex mógł wyspać się trochę w wygodnym łóżku. Tego wieczora podczas zmiany opatrunku zaczął mu opowiadać, czego się dowiedział z ojcowskiego dziennika. Wyjawiał też całą prawdę o losie, jaki spotkał trzech łotrów, którzy zgwałcili i zamordowali Makwa-ikwę.

– Podejrzewam, że to z mojej winy Henry Korff deptał nam po piętach. W tym przytułku w Chicago, gdzie trzymają Davida Goodnowa, za dużo klepałem o tych mordercach. Wypytywałem o Najwyższy Zakon Gwiazdzistego Sztandaru i o Hanka Cougha i dałem niedwuznacznie do zrozumienia, że postaram się narobić im kłopotów. Prawdopodobnie ktoś z personelu, jeśli nie cała wręcz obsługa przytułku, jest członkiem Zakonu! Powiadomili Korffa, a ten postanowił ruszyć naszym tropem.

Alex milczał przez chwilę, po czym zwrócił na brata zatroskane spojrzenie.

– Ale pomyśl tylko... toć ten grubas wiedział, gdzie nas szukać. A to znaczy, że ktoś z Holden's Crossing powiedział mu, że pojechałeś do Elmiry.

Szaman skinął głową.

– Sam niemało już o tym myślałem – rzekł cicho.

Do Chicago dotarli tydzień po opuszczeniu Elmiry. Szaman wysłał do matki telegram, zawiadamiając, że wraca z Alexem do domu. Upowiedział, że Duży stracił nogę, i prosił matkę, by wyjechała po nich na stację.

Kiedy pociąg wtaczał się na peron dworca w Rock Island, już tam czekała z Dougiem Penfieldem. Szaman zniósł Alexa po stopniach wagonu. Sara zarzuciła ręce na szyję starszego syna i rozpłakała się.

– Pozwól mi go postawić na ziemi, jest ciężki – poskarżył się w końcu Szaman, po czym umieścił brata na siedzeniu bryczki. Alex również miał łzy w oczach.

– Dobrze wyglądasz, mamó – powiedział.

Sara usiadła obok niego i wzięła go za rękę. Szaman ujął lejce, a Doug dosiadł przywiązanego za bryczką konia.

– A gdzie Alden? – zaniepokoił się Szaman.

– Leży. Jest bardzo słaby, synku, to porażenie bardzo się rozwinęło. Do tego parę tygodni temu pośliznął się i upadł nieszczęśliwie, kiedy rąbali na rzece lód.

Alex chłonał wzrokiem okolicę, przez którą jechali. Podobnie Szaman. Czuł się przy tym nader dziwnie. Jak dla pani Clay jej dom nigdy nie będzie już taki sam, tak zmienione było i jego życie. Zabił przecież człowieka. Cały świat czynił na nim teraz wrażenie poruszonego w posadach.

Dotarli do domu o zmierzchu i położyli zaraz Alexa do łóżka. Leżał w nim z przymkniętymi oczami, a na jego twarzy rozlewał się wyraz najczystszej błogości.

Sara przygotowała istną ucztę na powitanie powracającego do domu syna marnotrawnego. Podjęła go pieczonym kurczęciem i

gniecionymi z marchewką ziemniakami. Ledwie zjedli kolację, przybiegła Długa Ścieżką Lillian z wazą gulaszu.

– Skończyły się dla ciebie dni głodu, synku! – oznajmiła całując Alexa i witając w domu.

Powiedziała, że Rachel musiała zostać z dziećmi, ale wpadnie zaraz z rana, by się z nim przywitać.

Szaman zostawił ich zatopionych w rozmowie. Sara i Lillian przysunęły się do Alexa tak blisko, jak tylko im na to pozwalały krzesła, on zaś poszedł do chatki Aldena. Stary spał. W powietrzu unosiła się gęsta woń samogonu. Szaman wycofał się cicho. Śnieg na Długiej Ścieżce, wydeptany i zmarznięty, był miejscami śliski. Kiedy podszedł pod dom Geigerów, zobaczył Rachel przez okno od frontu. Siedziała przy kominku i czytała. Gdy zastukał w szybę, opuściła książkę na kolana.

Całowali się tak, jak gdyby jedno z nich miało niedługo umrzeć. Potem chwyciła go za rękę i pociągnęła po schodach na górę do swego pokoju. Choć dzieci spały po drugiej stronie sieni, Lionel, jej brat, naprawiał w stajni uprząż, a matka mogła w każdej chwili wrócić, kochali się na łóżku Rachel nie zdjawszy ubrań, radośnie i zachłannie, z łapczywą wdzięcznością.

Wracał Długą Ścieżką z uczuciem, że świat odzyskał już stan równowagi.



Szaman obserwował przygnębiony, z jakim wysiłkiem Alden kuśtyka po farmie. Kark i ramiona mu zeszywniały, czego nie było, gdy Szaman wyjeżdżał z domu. Jego twarz sprawiała wrażenie nieruchomej maski o cierpiętniczym wyrazie, nawet kiedy ataki porażenia były najostrzejsze. Wszystko, za co się brał, wykonywał ociężale i powoli, jak człowiek, który porusza się pod wodą.

Umysł zachował wszelako jasny. Odszukawszy Szamana w szopie za stodołą, wręczył mu małe puzdro na „skalpel Roba J.” oraz nowy lancet sporządzony na jego prośbę. Szaman nakłonił go, żeby usiadł i opowiedział mu, w jakim stanie farma przetrwała zimę -jak liczne było stado, ile wyszło paszy, na jaki wykot można liczyć wiosną.

– Kazałem Dougowi znieść suche drewno do cukrowni, żebyśmy mogli zacząć gotować syrop, jak tylko się ociepli i puszczą się soki.

– Świetnie-pochwalił Szaman. Zebrawszy się w sobie jak przed jakimś nieprzyjemnym zadaniem, poinformował Aldena, pozornie mimochodem, że polecił Dougowi, by znalazł sobie zdatnego pomocnika do wiosennych prac.

Alden pokiwał wolno głową. Długo odchrząkiwał, nim splunął z namysłem.

– Nie jestem już taki czerstwy jak kiedyś – powiedział, jakby chciał oględnie oznajmić złą nowinę.

– No i dobrze, niech kto inny pochodzi w tym roku za pługiem. Nie ma potrzeby, żeby zarządzający farmą miał się najcięższych robót, kiedy możemy nająć młodych parobków o nie spracowanych jeszcze mięśniach – rzekł Szaman, na co stary ponownie potaknął, po czym wyszedł ze stodoły. Szaman zauważył, że ruszył w drogę z

pewnym opóźnieniem, niczym człowiek, który chce się wysikać, nie może, więc się rozmyśla. A gdy już zaczął iść, wyglądało to tak, jakby jego stopy podreptały mechanicznie przed siebie, a reszta Aldena po prostu się na nich poniosła.

Szaman z radością wrócił do swojej praktyki. Mniszki nie mogły zastąpić pacjentom lekarza, choćby się najbardziej starały. Przez kilka tygodni harował jak wół, wykonując odłożone zabiegi chirurgiczne i odbywając codziennie więcej wizyt, niż wynosiła jego zwykła norma.

Gdy zajechał do klasztoru, matka Miriam Ferocia powitała go serdecznie i z uszczęśliwioną miną wysłuchiwała opowieści o powrocie Alexa. Sama również miała mu do przekazania radosne nowiny.

– Dostałam wiadomość z archidiecezji, że zatwierdzono nasz wstępny budżet. Proszę, żebyśmy zaczęli budowę.

Biskup osobiście oglądał plany i zaakceptował je, odradzał jedynie wznoszenie szpitala na gruntach zakonu.

– Uważa, że dojazd do klasztoru jest zbyt trudny. Za daleko od nas do rzeki i głównych dróg. Musimy więc poszukać innego miejsca pod budowę.-Sięgnęła za krzesło i wręczyła Szamanowi dwie ciężkie cegły kremowego koloru. – Co o nich powiesz?

Były twarde i zadzwoniły niemal metalicznie, gdy stuknął jedną o drugą.

– Słabo się znam na murarce, ale wyglądają znakomicie.

– Wzniesiemy z nich ściany jak w fortecy – oświadczyła matka przełożona. – Budynek szpitala będzie chłodny latem, a ciepły zimą. To cegła kamionkowa, tak spoista, że nie wchłania wody. I można ją dostać tu w pobliżu, od producenta nazwiskiem Rosswell, który

zbudował suszarnię obok swoich złóż glinki. Ma jej na składzie dosyć, żebyśmy mogli zacząć budowę, i z chęcią wypali więcej. Powiada, że jeśli wolimy ciemniejszy kolor, może cegłę przydymić.

Szaman zważył cegły w dłoniach. Wydały mu się solidne i rzeczywiste, jakby ważył już w dłoniach same szpitalne mury.

– Uważam, że to ładny kolor.

– I ja tak sądzę – powiedziała matka Miriam Ferocia i uśmiechnęli się do siebie z radością jak dzieci, gdy dzielą się łakociami.

Późnym wieczorem Szaman z Sarą siedzieli w kuchni i pili kawę.

– Powiedziałam Alexowi o jego... pokrewieństwie z Nickiem Holdenem.

– I jak to przyjął? Wzruszyła ramionami.

– Po prostu... zaakceptował to. – Uśmiechnęła się blado.

– Mówi, że wszystko mu jedno, czy ma za ojca Nicka, czy jakiegoś nieżywego łotrzyka. – Milczała przez chwilę, a kiedy się ponownie odezwała, Szaman zauważył, że jest zdenerwowana. – Pastor Blackmer wyjeżdża z Holden's Crossing. Minister kościoła baptystów w Davenport został powołany do Chicago i zgromadzenie zaproponowało tę parafię Lucianowi.

– Przykro mi. Wiem, jak wysoko go cenisz. Tutejszy kościół będzie więc musiał poszukać nowego pastora.

– Synku – szepnęła – Lucian poprosił, bym z nim wyjechała. Chce, żebym za niego wyszła.

Wziął ją za rękę. Była zimna.

– I co ty na to, mamó?

– Od śmierci jego żony... staliśmy się sobie bardzo bliscy. Gdy ja owdowiałam, on był mi oparciem. – Ucisnęła dłoń syna.

– Bardzo kochałam twojego ojca. Zawsze go będę kochać.

– Wiem.

– Za parę tygodni minie rok od jego śmierci. Czy będziesz mną pogardzał, jeśli znowu wyjdę za mąż?

Podniósł się i stanął przed nią.

– Jestem kobietą, która czuje się najlepiej jako żona.

– Pragnę tylko twojego szczęścia-zapewnił i objął matkę. Musiała wysunąć mu się z objęć, żeby mógł czytać z jej warg.

– Powiedziałam Lucianowi, że nie możemy się pobrać, dopóki Alex mnie potrzebuje.

– Mamo, on zacznie sobie radzić tym lepiej, im prędzej ty przestaniesz uprzedzać każde jego życzenie.

– Naprawdę tak myślisz?

– Naprawdę.

Rozpromieniła się. Przez mgnienie oglądał ją na powrót młodą i śliczną i aż serce w nim z zachwyty zamarło.

– Dziękuję ci, kochanie. Powiem Lucianowi.

Kikut Alexa goił się doskonale. Wokół rannego skakały bez ustanku matka i panie z kółka parafialnego. Choć przybierał na wadze i nie wyglądał już jak szkielet, uśmiechał się rzadko, a w jego oczach mroczniał posępny cień.

W Rock Island robił karierę i zbijał fortunę niejaki Wallace, wytwórca protez. Alex po wielu namowach pozwolił się Szamanowi do niego zawieźć. Na ścianie warsztatu Wallace'a wisiała imponująca kolekcja wyrzeźbionych z drewna dłoni, stóp, nóg i ramion. Producent kończyn odznaczał się krągłą budową ciała, z czego ludzie wyciągają zwykle wniosek o krotocwilności usposobienia, nosił się jednak z dostojną powagą. Przez ponad

godzinę brał z Alexa miarę w różnych położeniach ciała – gdy ten stał, siedział, przeciągał się, przechadzał, zginał jedno kolano, zginał oba kolana, klękał i kładł się, jak gdyby do snu. Na koniec poprosił braci, by się zgłosili po sztuczną nogę za sześć tygodni.

Alex był tylko jednym z całej armii kalek, jaka wróciła z wojny. Szaman, ilekroć zjeżdżał do miasta, oglądał zastępy byłych żołnierzy pozbawionych kończyn, wielu przy tym poniosło uszczerbek również na duchu. Stary przyjaciel jego ojca, Stephen Hume, wrócił jako jednogwiazdkowy generał, zdobywszy na polu bitwy pod Vicksburgiem awans na generała brygady na trzy dni przed otrzymaniem postrzału tuż poniżej prawego łokcia. Kończyny nie stracił, kula uszkodziła jednak nerwy i ramię bezużytecznie dyndało mu u biodra, nosił je więc na czarnym temblaku jak rękę trwale złamaną. Na dwa miesiące przed powrotem Hume'a do domu zmarł czcigodny Daniel P. Allan, sędzia Sądu Objazdowego stanu Illinois, gubernator mianował więc na jego miejsce bohaterskiego generała. Sędzia Hume przewodniczył już rozprawom. Szaman zaobserwował, że niektórzy byli żołnierze powracali gładko do cywilnego życia, inni zaś załamywali się pod ciężarem swojego kalectwa.

Starał się omawiać z Alexem każdą decyzję, jaką należało podjąć w sprawie farmy. O pracowników najemnych było nadal trudno, ale Doug Penfield wytrzasnął skądś człowieka, który pracował kiedyś na farmie owczej w stanie Iowa. Nazywał się Billy Edwards. Szaman odbył z nim rozmowę i stwierdził, że kandydat jest silny i chętny do pracy; polecał go ponadto George Cliburne. Zapytał Alexa, czy nie chciałby się przyjrzeć temu Edwardsowi.

– Nie, nic mnie to nie obchodzi.

– A nie sądzisz, że powinno? Ostatecznie ten człowiek będzie pracował dla ciebie, gdy wrócisz do gospodarki.

– Nie wydaje mi się, żebym do niej wrócił.

– O?

– Mógłbym pracować z tobą. Zastępowałbym ci uszy, jak ten facet w szpitalu w Cincinnati, o którym mi opowiadałeś.

Szaman się uśmiechnął.

– Nie potrzebuję uszu na pełnym etacie. Mogę je sobie pożyczać, ilekroć są mi potrzebne. A mówiąc poważnie, wiesz już, czym chciałbyś się zająć?

– Prawdę mówiąc, jeszcze nie.

– No cóż, zastanów się nad tym-poradził Szaman, rad, że mogą tę kwestię odłożyć na później.

Billy Edwards okazał się dobrym pracownikiem, w wolnych jednakże chwilach – gadułą. Rozprawiał o jakości gruntów, o hodowli owiec, o cenach zbóż oraz o tym, jaką zmianę w życie danego regionu wnosi kolej żelazna. A potem jął opowiadać o powrocie Indian do stanu Iowa, czym wzbudził zaniepokojenie Szamana.

– Jak mam to rozumieć? Co to znaczy: wracają?

– Mieszana grupa Indian, Saukowie i Lisy. Opuścili rezerwat w Kansas i wrócili do Iowa.

Jak grupa Makwa-ikwy, przypomniał sobie Szaman.

– Czy ktoś im utrudnia życie? Na przykład miejscowi osadnicy?

Edwards poskrobał się w głowę.

– Nie. Nikt im po prawdzie nie może robić żadnych trudności. To są cwani Indianie, kupili ziemię na własność, wszystko jak się należy wedle prawa. Zapłacili rzetelną amerykańską walutą. –

Zaśmiał się. – Rozumie się, sprzedano im chyba najgorszą ziemię w całym stanie, przeważnie same piaski. Ale postawili już sobie na niej chaty i kilka pól ek obsiali. Mają tam prawdziwe miasto. Nazwali je Tama, po jakimś swoim wodzu, jak mi mówiono.

– Gdzie leży to indiańskie miasto?

– Jakies sto mil na zachód od Davenport i ciut na północ. Szaman natychmiast poczuł, że chciałby tam pojechać.

Wystrzegął się starannie, by rankiem kilka dni później nie zapytać pełnomocnika rządu Stanów Zjednoczonych do spraw Indian o zamieszkałych w stanie Iowa Sauków i lisów. Nick Holden zajechał na farmę Cole'ów we wspaniałym nowym ekwipażu z kuczerem. Podziękowania za okazaną pomoc, które mu składali Sara i Szaman, przyjął z życzliwą uprzejmością, było jednak oczywiste, że przyjechał zobaczyć Alexa.

Cały ranek przesiedział przy łóżku w jego pokoju. W południe Szaman, skończywszy przyjęcia w ambulatorium, stwierdził ze zdumieniem, że Nick i jego woźnica pomagają Alexowi wsiąść do powozu. Nie było ich przez całe popołudnie i część wieczoru. Kiedy wrócili, Nick i kuczer odprowadzili Alexa do domu, życzyli uprzejmie wszystkim domownikom dobrej nocy, po czym odjechali.

Alex nie rozwodził się na temat wydarzeń owego dnia.

– Trochęśmy sobie pojeździli, pogadali... – Uśmiechnął się. – To znaczy przeważnie on gadał, a ja słuchałem. Zjedliśmy dobry obiad u Almy Wiley. – Wzruszył ramionami. Widać jednak było, że jest zamyślony, wcześniej też niż zwykle położył się do łóżka, wyczerpany bogatym w wydarzenia dniem.

Nazajutrz rano Nick znowu zajechał powozem i tym razem zabrał Alexa do Rock Island. Duży opisał wieczorem matce i bratu

wystawny obiad i kolację, jakimi pełnomocnik podjął go w hotelu.

Trzeciego dnia pojechali do Davenport. Alex wrócił do domu wcześniej niż z dwóch poprzednich wycieczek i Szaman usłyszał, jak życzy Nickowi szczęśliwej drogi do Waszyngtonu.

– Będę z tobą w kontakcie, jeśli pozwolisz – rzekł Nick.

– Ależ oczywiście, proszę pana.

Kiedy Szaman wszedł wieczorem na górę, żeby się położyć, brat zawołał go ze swojego pokoju.

– Nick chce mnie usynowić – oznajmił.

– Usynowić? Alex przytaknął.

– Kiedy był tu pierwszego dnia, powiedział mi, że prezydent Lincoln poprosił go o złożenie rezygnacji, bo chce kogo innego mianować na jego urząd. Nick powiada, że pora już wrócić i osiąść tu na stałe. Żenić się nie ma zamiaru, ale chciałby mieć syna. Mówi, że wiedział zawsze, że jest moim ojcem. Przez te trzy dni obwoził mnie po okolicy i pokazywał mi swoje majątki. Posiada do tego przynoszącą grube zyski fabrykę ołówków w zachodniej Pensylwanii i Bóg raczy wiedzieć co jeszcze. Chce, żebym został jego spadkobiercą i zmienił nazwisko na Holden.

Szaman poczuł smutek i gniew.

– No cóż, gospodarzyć na farmie, jak sam powiedziałaś, nie masz ochoty.

– Oświadczyłem Nickowi, że nie mam wątpliwości, kto był moim ojcem. Moim ojcem był ten facet, który bez mrugnięcia wziął na siebie cholerny trud wychowywania mnie, kiedy byłem głupim gówniarzem... Facet, który mnie uczył i kochał. Powiedziałem mu, że nazywam się Cole.



Szaman położył rękę na ramieniu brata. Nie był w stanie wykrztusić słowa, skinął tylko głową. Potem pocałował Alexa w policzek i poszedł do swojego pokoju.

W dniu, w którym miała być gotowa sztuczna noga, pojechali do warsztatu protez. Wallace wyrzeźbił stopę tak przemyślnie, że można było wciągać na nią skarpetkę i wzuwać but. Kikut Alexa pasował idealnie do panewki w protezie; sztuczną łydkę przytwierdzało się do niego skózanymi rzemykami pod i nad kolanem.

Alex znienawidził protezę, ledwie ją przymierzył. Sprawiała mu nieznośny ból.

– To dlatego, że kikut jest jeszcze wrażliwy – wyjaśnił Wallace. – Jak ją pan trochę ponosi, porobią się na nim odciski. Niedługo w ogóle nie będzie bolało.

Zapłacili i zabrali nogę. Alex schował ją zaraz do szafy w sieni i oświadczył, że nie będzie jej nosił. Chodził wlokąc się o kuli, którą sporządził mu w obozie Jimmie-Joe.

Pewnego rana w połowie marca Billy Edwards manewrował przed stodołą załadowaną pniami drewna furą, usiłując nawrócić zaprzęg wołów pożyczonych od młodego Muellera. Alden, oparty na lasce, stał za furą i wykrzykiwał wskazówki do podchmielonego Edwardsa.

– Cofnij je, synek! Cofnij!

Billy usłuchał. Miał pełne prawo przypuszczać – skoro sam Alden kazał mu cofnąć furę-że stary w porę się usunie. Jeszcze rok wcześniej Alden uczyniłby to z łatwością i do wypadku by nie doszło, obecnie jednak, choć rozum kazał mu ustąpić na bok, by uniknąć szkody, chore włókna nerwowe nie dość szybko przekazały

tę instrukcję nogom. Jedna ze sterczących z wozu kłód uderzyła go w pierś po prawej stronie z siłą szarżującego tryka. Odrzucony kilka stóp do tyłu, runął jak długi w topniejący śnieg.

Billy wpadł z krzykiem do ambulatorium, gdzie Szaman badał właśnie nowo przybyłą osadniczkę, Molly Thornwell, której ciąża przetrwała cudem długą podróż z Maine.

– Alden miał wypadek! Chybam go zabił.

Wnieśli starego do domu i położyli na stole w kuchni. Szaman rozciął mu ubranie i poddał go dokładnym oględzinom.

Alex, blady na twarzy, opuścił swój pokój i skuśtykał ze schodów. Zwrócił na brata pytające spojrzenie.

– Złamał kilka żeber. Nie moglibyśmy się nim opiekować, gdyby został w swojej chacie. Zamierzam go położyć w pokoju gościnnym, a sam wprowadzę się na ten czas do ciebie.

Alex kiwnął głową. Usunął się na bok i patrzył, jak Szaman i Billy wnoszą Aldena na górę i kładą do łóżka.

Niedługo potem Duży doczekał się jednak okazji, by służyć bratu za ucho. Osłuchiwał uważnie płuca starego i raportował, co słyszy.

– Czy on wyzdrowieje?

– Nie wiem-odrzekł Szaman.-Wygląda na to, że płuca ma nienaruszone. Człowiek zdrowy i silny przeżyłby złamanie żeber, ale w jego wieku, przy jego chorobie...

Alex skinął głową.

– Zostanę przy nim i będę go pielęgnował.

– Jesteś pewny? Mogę poprosić matkę Miriam, żeby przysłała nam swoje pielęgniarki.

– Proszę cię, wolałbym sam -pod dostatkiem.

– nalegał Alex.-Czasu mamTak więc prócz oczekujących jego pomocy pacjentów przybyli Szamanowi jeszcze dwaj chorzy w jego własnym domu. Choć należał do tych lekarzy, którzy cierpiącym współczują, odkrył, że opieka nad osobami bliskimi to jednak co innego niż nad obcymi. Domagała się jeszcze większego poświęcenia, większego oddania, wymagała też codziennej troski. Gdy pod koniec dnia wracał w pośpiechu do domu, na ziemi zdawały się leżeć dłuższe i ciemniejsze cienie.

Zdarzały mu się wszakże i jaśniejsze chwile. Pewnego popołudnia odwiedzili go, ku jego niezmiernej radości, Joshua i Hattie. Po raz pierwszy odbyli sami wyprawę Długą Ścieżką. Dumni z siebie zapytali Szamana z powagą, czyby się z nimi nie pobawił. Szczęśliwy i zaszczycony tą propozycją, poszedł z dziećmi na godzinę do lasu, gdzie oglądali pierwsze bławatki i wyraźne jelenie tropy.

Alden cierpiał srogie bóle. Szaman podawał mu morfinę, lecz dla starego najlepszym środkiem znieczulającym był napój destylowany ze zboża.

– Zgoda, dawaj mu whisky-powiedział Szaman do Alexa – ale w miarę. Jasne?

Duży kiwnął głową. Dotrzymał słowa. Pokój chorego przesiąkł niebawem charakterystycznym dla Aldena zapachem whisky, choć wolno mu jej było wypić tylko dwie uncje w południe i dwie wieczorem.

Od czasu do czasu wyręczały Alexa w opiece nad chorym Sara lub Lillian, pewnego wieczora zaś obowiązki pielęgniarki przejął Szaman. Siedział przy łóżku i czytał przysłane mu z Cincinnati czasopismo poświęcone chirurgii. Alden majaczył, pogrążony w niespokojnej drzemce. Ocykał się z niej na chwilę, a potem znów w

nią zapadał. W stanie takiego pół snu, pół jawy mamrotał coś i rozmawiał z niewidocznymi osobami, toczył gospodarskie narady z Dougiem Penfieldem, przeklinał polujące na owce drapieżniki. Szaman wpatrywał się w jego starą, pobrużdżoną twarz, zmęczone oczy, wydatny czerwony nochał z włochatymi nozdrzami i przypomniał sobie Aldena takiego, jakim go znał w dzieciństwie, krzepkiego i sprawnego byłego boksera, który uczył braci Cole, jak używać pięści.

Stary ucichł wreszcie i zapadł na jakiś czas w głęboki sen. Szaman skończył tymczasem artykuł o złamaniach podokostnowych. Zabierał się właśnie do lektury następnego, poświęconego katarakcie, kiedy spostrzegł, że Alden, który na chwilę w pełni oprzytomniał, przygląda mu się jasnym i spokojnym wzrokiem.

– Nie wiedziałem, że on chce was zabić – powiedział. – Myślałem, że tylko was nastraszy.

---

## 70 Wyprawa do Nauvoo

---

Szaman i Alex czuli się czasem tak, jak gdyby byli znowu małymi chłopcami, którzy śpią w jednym pokoju. Leżąc w łóżku pewnego bladego poranka Alex zapalił lampę i opisał bratu odgłosy wiosennej odwilży: chóry ptasich śpiewów, niecierpliwe dzwonienie strumieni rozpoczynających swój coroczny wyścig do

morza, trzaski i ryk rzeki przerywany od czasu do czasu grzmiotem zderzających się i pękających ogromnych tafli kry. Szamanowi wszakże nie natura przyrody była w głowie. Zastanawiał się nad naturą ludzką, przypominał sobie różne sprawy i łączył różne zdarzenia, które zaczęły mu się teraz układać w logiczną całość. Często wstawał w środku nocy i przemykał na palcach po zimnych podłogach tonącego w ciszy domu, żeby sprawdzić to czy tamto w ojcowskim dzienniku. Aldena obserwował ze specjalną uwagą i jakąś dziwną mieszaniną fascynacji i czułości z dodatkiem nowego uczucia: chłodnej czujności. Czasami patrzył na sędziwego parobka, jakby widział go pierwszy raz w życiu.

Stary był nadal pogrążony w stanie niespokojnego półsnu. Osluchując go jednego wieczoru przez stetoskop Alex zmarszczył brwi.

– Słyszę jakiś nowy dźwięk... Jakbyś wziął dwa kosmyki włosów i pocierał je w palcach.

Szaman skinął głową.

– Nazywamy te odgłosy szmerami oddechowymi.

– Co one znaczą?

– Że coś nie w porządku z jego płucami.

Sara Cole i Lucian Blackmer wzięli ślub 9 kwietnia w kościele baptystów w Holden's Crossing. Ceremonię odprawił wielebny Gregory Bushman, po którym Lucian miał objąć kazalnicę w Davenport. Sara miała na sobie swoją najlepszą szarą sukienkę, przez Lillian ożywioną kołnierzykiem i mankietami z białej koronki, którą Rachel skończyła wiązać ledwie poprzedniego dnia.

Pastor Bushman wygłosił piękne kazanie, najwyraźniej odczuwając radość, że może udzielić ślubu bratu w Chrystusowej

postudze. Alex poinformował Szamana, że Lucian złożył ślubowanie pewnym sobie tonem osoby duchownej, Sara zaś wybąkała przysięgę głosem cichym i drżącym. Gdy po skończonej ceremonii państwo młodzi odwrócili się w stronę zebranych, Szaman zauważył, że matka uśmiecha się pod krótkim welonem.

Po ceremonii zaślubin wierni przeszli do domu Cole'ów. Większość przyniosła na przyjęcie nakryte pokrywkami naczynia, a że Sara i Alma Schroeder od tygodnia gotowały, Lillian zaś robiła wypieki, jedzenia było w bród. Goście jedli i jedli, a gospodyni jaśniała szczęściem– Ogołociłyśmy spiżarnię do czysta z szynek i kiełbas. Będziesz musiał w tym roku zrobić wiosenny ubój- powiedziała do Douga Penfielda.

– Cała przyjemność po mojej stronie, pani Blackmer – odrzekł z galanterią, pierwszy zwracając się do niej nowym nazwiskiem.

Po odjeździe ostatnich gości Sara wzięła spakowaną wcześniej walizkę i ucałowała synów, po czym Lucian zabrał ją bryczką na plebanię, którą miała za parę dni opuścić, by wraz z mężem przenieść się do Davenport.

Wkrótce po odjeździe nowożeńców Alex pokuśtykał do sieni, wyjął z szafy swoją sztuczną nogę i nie prosząc nikogo o pomoc przymocował ją rzemieniami do kikuta. Szaman w gabinecie przeglądał czasopisma medyczne, gdy Alex co chwila z rumorem defilował przed otwartymi drzwiami pokoju, niepewnym krokiem przemierzając sień.

Wyczuwał przez podłogę uderzenia protezy, którą brat podnosił zbyt wysoko i następnie gwałtownie opuszczał. Zdawał sobie sprawę, jaki ból musi mu sprawiać każdy taki krok.

Kiedy później wszedł do sypialni, Duży już spał. Drewniana noga w skarpecie i bucie stała na podłodze obok prawego, osieroconego dotąd buta. Wyglądała jak od pary.

Nazajutrz przed wyjściem do kościoła Alex przypiął sztuczną nogę – ślubny prezent dla Sary od kalekiego syna. Zwykle bracia nie chodzili do świątyni, matka uprosiła ich jednak, by wzięli udział w tym niedzielnym nabożeństwie, stanowiącym część jej ślubnej ceremonii. Gdy jej pierworodny kroczył przejściem między ławkami do przynależnych rodzinie duchownego miejsc w pierwszym rzędzie, nie odrywała od niego oczu. Alex podpierał się na jesionowej lasce, którą Rob J. pożyczał nieraz swoim pacjentom. Powłóczył trochę protezą, czasem podnosił ją zbyt wysoko, ale nie zachwiał się ani razu i nie upadł, pewnym krokiem podchodząc do Sary.

Usiadła między synami i przyglądała się, jak jej nowy małżonek odprawia nabożeństwo. Kiedy przyszedł czas na kazanie, pastor Blackmer zaczął od wyrażenia wdzięczności tym, którzy zaszczylili obecnością jego uroczystość ślubną. Powiedział, że Bóg przywiódł go do Holden's Crossing, a teraz go stąd zabiera, i podziękował tym, którzy jego posługę w tym miejscu uczynili dlań tak ważną.

Rozgrzewał się właśnie i przystępował do wymienienia z nazwiska osób, które dopomogły mu w posłudze Bożej, gdy przez uchylone okna od ulicy wpadł do kościoła gwar zmieszanych głosów. Wątle zrazu wiwaty nabrały wnet mocy. Zgromadzonych w świątyni doleciał kobiecy krzyk, a potem ochrypłe wrzaski. Ktoś wystrzelił na Main Street, rozpętując istną kanonadę z broni palnej.

Drzwi kościoła rozwarły się nagle na oścież i do środka wpadł Paul Williams. Przebiegł nawę i w podnieceniu szepnął coś

pastorowi na ucho.

– Bracia i siostry – przemówił Lucian. Wyglądało na to, że słowa z trudem przeciskają mu się przez gardło. – Do Rock Island nadeszła telegraficzna wiadomość... Robert E. Lee poddał się wczoraj wraz z całą armią generałowi Grantowi.

Przez zgromadzenie przeleciał szmer. Ktoś wstał. Szaman zauważył, że jego brat odchylił się na oparcie ławki i zamknął oczy.

– Co to znaczy, synku? – zapytała Szamana matka.

– Że wreszcie koniec wojny, mamó.

Szaman odnosił wrażenie, że gdziekolwiek w ciągu następnych czterech dni zaszedł, ludzie zachowywali się wszędzie jak pijani, upojeni pokojem i nadzieją. Nawet najciężej chorzyuśmiechali się i radowali z lepszych czasów, jakie miały teraz nadejść. Wszędzie panowały radość i szczęście, zaprawione wszelako smutkiem, nie było bowiem rodziny, w której by ktoś nie zginął.

Wróciwszy w czwartek do domu po rundzie wizyt u pacjentów, Szaman zastał Alexa w nastroju nadziei przyprawionej jednak niepokojem, Alden okazywał bowiem objawy, które go zdumiały. Oczy miał otwarte i był przytomny, lecz rżenie w płucach, poinformował brata Duży, bardzo się nasiliło.

– Wydaje mi się też, że silnie gorączkuje.

– Jesteś głodny, Aldenie? – zapytał Szaman parobka, który nań popatrzył, lecz nic nie odpowiedział. Szaman poprosił Alexa, by podtrzymał chorego. Spróbowali nakarmić go bulionem, co okazało się jednak trudne, gdyż paraliż jeszcze się powiększył. Od paru dni podawali staremu wyłącznie zupki i kleiki, Szaman obawiał się bowiem, że stałym pokarmem chory mógłby się zakrztusić.



Prawdę mówiąc nie dysponował lekami, które mogłyby przynieść mu ulgę. Nalał wreszcie terpentyny do wiadra z wrzącą wodą i nakrył namiotem z koca wiadro i głowę Aldena. Stary długo wdychał te opary, co skończyło się atakiem tak gwałtownego kaszlu, że Szaman musiał usunąć wiadro. Nie ponawiał już tej metody leczniczej.

Przeniknięta gorzkim żalem radość, jaka panowała przez większą część tamtego tygodnia, ustąpiła w piątek miejsca najczystszej zgrozie. Szaman jechał właśnie główną ulicą miasteczka. Zorientował się od razu, że do Holden's Crossing musiała dotrzeć wiadomość o jakiejś strasznej katastrofie. Ludzie poszep-tywali między sobą zbici w małe grupki. Dostrzegł Annę Wiley, która płakała, oparta o słup podpierający ganek jej pensjonatu. Simeon Cowan, mąż Dorothy Burnham Cowan, siedział na ławeczce swojego wozu z półprzymkniętymi oczami, ściskając sobie usta palcem wskazującym i wielkim spękany kciukiem.

– Co się stało? – zapytał go Szaman, pewien, że zerwanopokój.

– Abraham Lincoln nie żyje. Został zastrzelony wczoraj wieczorem w teatrze w Waszyngtonie przez jakiegoś draniaaktora.

Szaman nie chciał uwierzyć w tę nowinę, gdy jednak zsiadł z konia, spotykał się na każdym kroku z jej potwierdzeniem.

Choć nikt nie znał bliższych szczegółów, nie ulegało wątpliwości, że potworna wiadomość jest prawdziwa, Szaman wrócił więc do domu i powtórzył ją bratu.

– Wiceprezydent zajmie jego miejsce – stwierdził Alex.

– Andrew Johnson został już z pewnością zaprzysiężony. Długo siedzieli w saloniku i milczeli.

– Biedna ta nasza ojczyzna – odezwał się w końcu Szaman. Zabrzmiało to tak, jak gdyby Ameryka była pacjentem, który długo i dzielnie zmagał się ze śmiertelną chorobą tylko po to, by teraz zlecieć w przepaść.

Nastały dni pełne smutku. Jeżdżąc z wizytami domowymi Szaman spotykał wszędzie sposępniałe i poważne twarze. Każdego wieczora bił kościelny dzwon. Alex poprosił Szamana, żeby pomógł mu wdrapać się na Trudę, i dokądś pojechał. Po raz pierwszy, odkąd dostał się do niewoli, dosiadł konia. Po powrocie powiedział bratu, że dzwon słychać daleko na prerii, gdzie niesie się żałobnym i samotnym dźwiękiem.

Którejś nocy Szaman, siedząc przy łóżku Aldena, podniósł spojrzenie znad książki i ujrział wlepione w siebie oczy starca.

– Potrzebujesz czegoś, Aldenie?

Stary pokręcił przecząco głową, niemal niedostrzegalnie. Szaman pochylił się nad nim.

– Alden, pamiętasz, jak wtedy mój ojciec wychodził ze stodoły i ktoś mu strzelił nad głową, a ty przeszukałeś potem las i nie znalazłeś nikogo?

Parobek nawet nie mrugnął powieką.

– Tyś wtedy do niego strzelił. Alden oblizał językiem wargi.

– Strzeliłem, ale nie mierzyłem w niego... Chciałem go nastraszyć, żeby się uciszył.

– Chcesz wody? Alden nie odpowiedział.

– Jak to odkryłeś? – zapytał po chwili.

– Mającąc powiedziałeś coś, co pozwoliło mi wiele zrozumieć. Na przykład to, dlaczego namówiłeś mnie, żebym pojechał do

Chicago i odszukał Davida Goodnowa. Wiedziałeś, że jest całkiem pomylony i niemy i że niczego się od niego nie dowiem.

– Co jeszcze wiesz?

– Że jesteś w to wszystko zamieszany, że siedzisz w tym po uszy. Znowu nieznaczne potaknięcie.

– Ja jej nie zabiłem. Ja... – Chwytał go długi, szarpiący trzewiami kaszel. Szaman podstawił mu basen, do którego Alden wycharczał szarawy, zabarwiony na różowo śluz. Gdy atak minął, opadł na poduszkę i zamknął oczy, wyczerpany i blady jak kreda.

– Słuchaj stary, czemu powiedziałeś Korffowi, dokądjadę?

– Bobyś się od tego nigdy nie odzepił. Napędziłeś pietra tym z Chicago. Dzień po twoim wyjeździe Korff przysłał kogoś do mnie. Powiedziałem im, dokąd pojechałeś. Myślałem, że tylko z tobą pogada, nastraszy cię... Jak mnie nastraszył.

Dyszał ciężko. Szamanowi cisnęły się na usta dziesiątki pytań, zdawał sobie jednak sprawę, jak ciężko parobek jest chory. Siedział przy łóżku tocząc walkę między swoim gniewem a złożoną przysięgą. W końcu zaniechawszy pytań, siedział już tylko i przyglądał się w milczeniu Aldenowi, który leżał z zamkniętymi oczami, od czasu do czasu wypluwając w ataku nieco krwi lub trzęsąc się w napadzie dreszczy.

Po blisko półgodzinie Kimball zaczął mówić nie pytany. I– Byłem tu przywódcą Partii Amerykańskiej... Wtenczas rano pomagałem Grueberowi... rzeźnikowi. Wyszedłem wcześniej, żeby się spotkać z tymi trzema. W naszym lesie. Jakem tam przyszedł, oni już... mieli tę kobietę. Słyszała, jak ze mną rozmawiali. Nawrzeszczałem na nich. Jak ja tu teraz zostanę, pytam się? Powiedziałem im, że oni pojedą, a mnie ta Indianicha narobi

kłopotów jak cholera... Wtedy Korff wziął po prostu i zadźgał ją jakby nigdy nic...

Szaman nie był w stanie zapytać go w tej chwili o nic więcej. Czuł, jak dygocze z wściekłości. Chciało mu się krzyczeć jak dziecku.

– Ostrzegli mnie, żebym nie puszczał pary z gęby, i pojechali. Wróciłem do domu i spakowałem trochę rzeczy do kuferka. Myślałem, że będę musiał uciekać... tylko nie wiedziałem dokąd. Ale nikt nie zwracał na mnie uwagi, nawet mnie o nic nie pytali, jak ją już znaleźli.

– Pomogłeś ją nawet pochować, ty łotrze – wycedził Szaman. Nie zdołał się opanować. Do Aldena dotarł jednakraczej sam ton jego głosu niż słowa. Zamknął oczy i rozkaszłał się. Tym razem kaszel nie ustał.

Szaman poszedł po chininę i trochę herbaty z czarnego korzenia, ale kiedy usiłował podać ją Aldenowi, ten zakrztusił się i parsknął, mocząc sobie nocną koszulę tak, że trzeba ją było zmienić.

Minęło kilka godzin, a Szaman wciąż siedział rozmyślając o Aldenie Kimballu. Znał go od dziecka jako złotą rączkę, fachowca, który potrafił zrobić wędzisko i łyżwy, uczył braci polować i łowić ryby. A tymczasem ten choleryk i pijaczyna okazał się kłamcą, łajdakiem, człowiekiem współodpowiedzialnym za gwałt i morderstwo.

Wreszcie Szaman wstał, wziął lampę i zbliżył ją do twarzy starego.

– Alden, posłuchaj... Jakim nożem Korff zabił Makwę? Co to było za narzędzie, Alden?...

Kimball nie otworzył oczu. Nie dał też żadnego znaku, że usłyszał pytanie Szamana.

Nad ranem Aldenowi podskoczyła gorączka. Był nieprzytomny. Kaszląc wypluwał wstrętną, czerwienią niż dotąd plwocinę. Szaman ujął przegub jego ręki. Tętno zanikało, naliczył 108 uderzeń na minutę.

Rozebrał starego i obmył go maczaną w alkoholu gąbką. Gdy podniósł wzrok znad tej czynności, wstawał już dzień. Do pokoju zajrzał Alex.

– Chryste!... Ależ on strasznie wygląda! Czy bardzo cierpi?

– Nie wydaje mi się, by w ogóle coś czuł.

Niełatwo przyszło Szamanowi opowiedzieć o wszystkim bratu, Alexowi zaś jeszcze trudniej było tego słuchać, mimo to niczego przed nim nie zataił.

Alex przez długie lata pracował pod okiem Aldena, razem z nim wykonywał okrutne czasem i brudne prace codzienne, jakich nie brakowało na farmie, od niego uczył się gospodarzenia i u niego znajdował oparcie w czasach, gdy uważał się za bękarta i buntował przeciwko rodzicielskiej władzy Roba J. Szaman wiedział, jak bardzo brat kochał Aldena.

– Powiadomisz władze? – Alex sprawiał wrażenie spokojnego. Tylko Szaman potrafiłby odgadnąć, jak głęboko jest wstrząśnięty.

– Nie miałoby to sensu. Ma zapalenie płuc i gaśnie w oczach.

– Umiera? Szaman przytaknął.

– Cieszę się, ze względu na niego – powiedział Duży.

Usiedli i zaczęli się zastanawiać, jak by tu zawiadomić krewnych umierającego parobka. Żaden nie wiedział, gdzie przebywają mormońska żona i dzieci, których Kimball opuścił, zanim najął się do pracy u ich ojca.

Szaman poprosił brata, by przeszukał chatę Aldena. Alex wyszedł, żeby się tym zająć, a wróciwszy pokręcił głową.

– Trzy dzbanki whisky, dwie wędki, strzelba. Jakieś narzędzia. Stara uprząż, którą naprawiał. Brudna bielizna. I to. – Wyciągnął rękę, w której trzymał jakiś papier. – Lista niektórych mieszkańców z okolicy. Przypuszczam, że to miejscowi członkowie Partii Amerykańskiej.

Szaman nie wziął od niego kartki.

– Spal to.

– Jesteś pewien?

– Tak. Zamierzam tu spędzić resztę życia, opiekować się nimi. Wchodząc do ich domów jako lekarz wolę nie wiedzieć, kto z nich należy do „Nic Nie Wiedzących” – wyjaśnił, na co | Alex kiwnął głową i zabrał papier.

Szaman posłał Billy’ego Edwardsa do klasztoru franciszkanek z listą nazwisk pacjentów, których należało odwiedzić w domach, prosząc matkę Miriam, by go w tym wyręczyła. Alden umarł wczesnym przedpołudniem. Szaman wtedy spał. Gdy się obudził, Alex zdążył już zamknąć staremu oczy, umyć go i przebrać w czyste ubranie.

Kiedy Doug i Billy dowiedzieli się o śmierci Kimballa, przyszli, postali chwilę przy jego łóżku, po czym pospieszyli do stodoły i zabrali się za zbijanie trumny.

– Nie życzę sobie, żeby leżał w naszej ziemi – oświadczył Szaman.

Alex milczał chwilę, potem kiwnął głową.

– Moglibyśmy go zawieźć do Nauvoo. Myślę, że ma tam jeszcze wśród mormonów jakichś przyjaciół – powiedział.

Przetransportowali trumnę wozem do Rock Island i umieścili na pokładzie płaskodennej barki. Bracia Cole usiedli podskrzynią z lemieszami do pługów. Tego samego dnia, gdy ciało Abrahama Lincolna odjechało w długą, powolną podróż koleją na zachód, ciało parobka Aldena Kimballa spławiano w dół Missisipi.

W Nauvoo wyładowali trumnę na przystani dla parowców. Alex został przy zwłokach, a Szaman wszedł do składu magazynowego i wyjaśnił urzędnikowi, niejakiemu Perleyowi Robinsonowi, co ich sprowadza.

– Alden Kimball? Nie znam takiego. Musicie poprosić panią Bidamon o zgodę na pochowanie go tutaj. Proszę chwileczkę poczekać. Pójdę ją zapytać.

Wrócił niebawem. Wdowa po proroku Josephie Smisie powiedziała mu, że znała Aldena Kimballa, który był niegdyś mormonem i osadnikiem w Nauvoo, może więc zostać pochowany na tutejszym cmentarzu.

Mały cmentarzyk położony był niedaleko rzeki, nie było jej wszakże zeń widać, rosły na nim za to drzewa, a ktoś, kto wiedział, jak posługiwać się kosą, regularnie kosił trawę. Dwóch młodych osiłeków wykopało grób, Perley Robinson zaś, który okazał się starszym Kościoła, odczytał niemiłosiernie długie fragmenty z Księgi Mormona. Gdy skończył, na ziemi leżały długie cienie.

Następnie Szaman uregulował należność. Koszty pogrzebu wyniosły siedem dolarów, wliczając cenę placu w wysokości czterech i pół dolara.

– Za następne dwadzieścia dolarów mógłbym dopilnować, żeby miał przyzwoity nagrobek – zaofiarował się Robinson.

– Dobrze – zgodził się bez wahania Alex.

– W którym roku zmarły się urodził? Alex pokręcił głową.  
– Tego nie wiemy. Niech wykują po prostu: „Alden Kimball. Zmarł w roku 1865”.

– Niżej kazałbym dopisać: „Święty”

Szaman spojrział na pana Robinsona i pokręcił głową.

– Nie, tylko nazwisko i data – powiedział.

Perley Robinson poinformował ich, że niedługo powinien przypłynąć parowiec rejsowy. Wywiesił czerwoną flagę, aby zawinął do przystani, i wkrótce obaj bracia siedzieli na krzeselkach przy lewej burcie statku. Słońce zachodziło za widnokrąg gdzieś w stanie Iowa, usuwając się z okrwawionego nieba.

– Co go podkusiło, żeby się związać z „Nic Nie Wiedzącymi”? – przerwał w końcu milczenie Szaman.

Alex oświadczył, że nie był tą nowiną zdziwiony.

– Zawsze umiał nienawidzić. Przepętniała go żółć. Nieraz mi mówił, że jego ojciec, urodzony w Ameryce, umarł w Vermont jako najemny parobek i że on też umrze jako najemny parobek. Krew go zalewała na widok cudzoziemskich farmerów.

– A kto mu bronił, żeby też osiadł na swoim? Ojciec na pewno pomógłby mu kupić kawałek ziemi.

– Ta złość już w nim siedziała. Przez te wszystkie lata myśmy mieli o nim lepszą opinię, niż on sam o sobie – rzekł Alex.-Nic dziwnego, że pił. Pomyśl tylko, z jaką świadomością ten biedny stary dureń musiał żyć.

Szaman pokręcił głową.

– Kiedy o nim myślę, pamiętam tylko o tym, że podśmiewał się ukradkiem z taty. I że zdradził moje miejsce pobytu człowiekowi, o którym wiedział, że jest mordercą.



– Nie powstrzymało cię to jakoś od troszczenia się o niego, choć przecież już o tym wiedziałeś – zauważył Alex.

– No cóż, istotnie... – przyznał z goryczą Szaman. – Ale powiem ci prawdę: po raz drugi w życiu miałem ochotę kogoś zamordować.

– Jednak nie zamordowałeś. Próbowaleś go natomiast uratować.  
– Alex popatrzył na brata. – W obozie w Elmirze opiekowałem się kolegami z namiotu. Kiedy któryś zachorował, próbowałem sobie wyobrazić, co by w takim wypadku zrobił nasz ojciec, i to właśnie robiłem. Sprawiało mi to zadowolenie.

Szaman pokiwał głową.

– Czy myślisz, że ja też mógłbym zostać lekarzem? Pytanie zaskoczyło Szamana. Długo się zastanawiał, zanim odpowiedział. W końcu potaknął.

– Myślę, że tak, Duży.

– Nie jestem nawet w przybliżeniu taki pilny do nauki jak ty.

– Jesteś zdolniejszy, niż myślisz. W szkole się co prawda nie przykładałeś, ale gdybyś przysiadł fałdów, jestem przekonany, że z łatwością dałbyś sobie radę. Praktykować mógłbyś u mnie.

– Chciałbym popracować z tobą, żeby się przygotować z anatomii i z chemii, i z czego jeszcze będzie według ciebie trzeba. Ale później wolałbym pojechać do jakiejś akademiimedycznej, jak ty i ojciec. Może na Wschód? Może udałoby mi się odbyć studia u przyjaciela taty, tego doktora Holmesa?

– Wszystko sobie zaplanowałeś, jak widzę. Założę się, że już od dawna nosisz się z tą myślą.

– Ano. I nigdy się tak jeszcze nie bałem – przyznał Alex i roześmiali się obaj, jak nie śmiali się od wielu dni.

---

## 71 Podarki dla rodziny

---

W drodze powrotnej z Nau uoo bracia wpadli do Davenport. Matka była w domu sama. Siedziała opuszczona wśród nie rozpakowanych paczek i skrzyń w małej plebanii z cegły przy kościele baptystów. Lucian składał już wizyty duszpasterskie. Szaman zauważył, że Sara ma zaczerwienione oczy.

– Czy coś się stało, mamó?

– Nie. Lucian jest najmilszym z ludzi i bardzo się oboje lubimy. Jestem tu, gdzie chciałam się znaleźć, ale... to taka wielka odmiana. To wszystko jest takie nowe i straszne, czuję się jakoś głupio.

Była jednak szczęśliwa, że widzi obu synów. Rozpłakała się ponownie, kiedy opowiedzieli jej o Aldenie. Wydawało się, że nigdy się nie uspokoi.

– Płaczę nie tyle po nim, co z poczucia winy – wyznała, gdy próbowali ją pocieszać. – Nigdy nie lubiłam Makwa-ikwy i nie byłam dla niej dobra, ale...

– Chyba wiem, jak cię rozruszać-powiedział Alex i rzucił się do rozpakowywania jej paczek, Szaman zaś wnet poszedł w jego ślady. Po chwili Sara osuszyła oczy i dołączyła do nich.

– Nie wiecie, gdzie co położyć!

Podczas tego zajęcia Alex powiedział jej o swym postanowieniu, że zostanie lekarzem, na co zareagowała trwożnym zachwytem.

– Ach, jaki Rob J. byłby szczęśliwy!

Oprowadziła ich następnie po swoim małym domku. Meble były w opłakanym stanie i w niedostatecznej liczbie.

– Poproszę Luciana, żeby wyniósł parę sztuk do stodoły, i sprowadzimy trochę moich rzeczy z Holden's Crossing.

Zaparzyła kawę i pokroiła szarlotkę, którą przyniosła na plebanię jedna z „jej” parafianek. Szaman zaczął tymczasem gryzmolić jakieś liczby na odwrocie starego rachunku.

– Co tam tak liczysz? – zaciekała się Sara.

– Mam pewien pomysł. – Popatrzył na nich, bo nie wiedział, jak zacząć, po czym spytał wprost: – Co byście powiedzieli na to, gdybyśmy zapisali ćwierć mili kwadratowej naszej ziemi szpitalowi?

Ręka Alexa, którą niósł właśnie do ust na widelcu porcję szarlotki, zawisła w powietrzu. Powiedział coś za tą zasłoną. Szaman wyciągnął rękę i zniżył widelec, by widzieć wargi brata.

– Szesnastą część całej farmy? – powtórzył pytanie Duży.

– Z moich obliczeń wynika, że gdybyśmy ofiarowali im tę ziemię, można by wybudować szpital nie na dwadzieścia pięć, a na trzydzieści łóżek.

– Ale dwadzieścia akrów... Szaman?

– Zmniejszyliśmy przecież stado. Pozostanie nam zresztą dość ziemi pod uprawę, nawet gdybyśmy je chcieli znowu w przyszłości powiększyć.

Sara zmarszczyła brwi.

– Tylko musiałbyś zastrzec, żeby nie stawiali szpitala za blisko domu.

Westchnął w odpowiedzi.

– Dom stoi właśnie na tym kawałku, mam, który chciałbym przeznaczyć pod szpital. Miałby wówczas własną przystań na rzece i

łatwy dojazd do drogi.

Przyglądali mu się w milczeniu.

– Ty będziesz teraz mieszkała tutaj – zwrócił się do matki. – Ja chcę zbudować dla Rachel i dzieci nowy dom. A ty-rzekł do brata – będziesz przez parę lat zajęty studiami i praktyką. W naszym domu założyłbym klinikę i pacjenci nie aż tak ciężko chorzy, żeby wymagali hospitalizacji, mogliby tam przychodzić do lekarza. Zyskaliby dodatkowe gabinety i poczekalnie. A może również pomieszczenia na biuro i aptekę. Nadalibyśmy naszej klinice imię Roberta Judsona Cole’a.

– Ach, to byłoby cudownie!-zawołała Sara. Poznał po jej oczach, że już ją przekonał.

Alex również potaknął.

– Na pewno? – zapytał go Szaman.

– Tak.

Było już późno, gdy opuścili plebanię i przeprawili się promem na drugi brzeg Missisipi. Zanim odebrali konia i wóz ze stajni w Rock Island, zapadła noc, lecz znali drogę jak własną kieszeń, mogli nią więc podróżować nawet po ciemku. Przyjechali do Holden’s Crossing w porze zbyt późnej na składanie wizyt, Szaman wiedział jednak, że tej nocy nie będzie mógł zasnąć i pospieszy skoro świt do klasztoru sióstr franciszkanek. Nie mógł się doczekać, kiedy obwieści matce Miriam tę radosną nowinę.

W pięć dni później na wyznaczonym skrawku ziemi krzątali się już geometrycy z teodolitami i metalowymi taśmami mierniczymi. Na terenach w widłach rzek nie było ani jednego architekta. Reputacją najlepszego przedsiębiorcy budowlanego cieszył się niejaki Oscar Ericsson z Rock Island. Szaman i matka Miriam Ferocia

odbyli z nim długą naradę. Ericsson wybudował już ratusz miejski i kilka kościołów, przeważnie stawiał jednak domy mieszkalne i sklepy. Pierwszy raz miałby okazję wznieść szpital, z pilną więc uwagą słuchał swych rozmówców. Gdy zaś ci obejrzeni w jakiś czas potem zrobione przezeń wstępne szkice, zorientowali się od razu, że znaleźli budowniczego z prawdziwego zdarzenia.

Ericsson zaczął od sporządzenia planów terenu i nakreślenia układu dojazdów i ścieżek. Droga od szpitala do przystani parowców wypadła tuż obok chaty Aldena.

– Rozbierzcie ją z Billym, a bale potnijcie na opał-polecił Szaman Dougowi Penfieldowi.

Wzięli się za to od razu. Przed przybyciem pierwszej brygady robotników Ericssona, która miała przygotować miejsce pod budowę szpitala, po chacie nie było już śladu.

Po południu tego dnia Szaman wybrał się zaprzężoną w Bossa bryczką na rundę wizyt domowych. Na drodze spotkał jadący z naprzeciwka wynajęty zaprzęg ze stajni w Rock Island. Na koźle obok woźnicy siedział nieznajomy mężczyzna. Kiedy się mijali, Szaman pozdrowił obu gestem dłoni, ale już po chwili uświadomił sobie, kim jest ów pasażer, zawrócił więc Bossa w ciasnym skręcie i popędził za wynajętym powozem.

Dogoniwszy go dał woźnicy znak, żeby się zatrzymał, a sam wyskoczył z bryczki.

– Jay! – zawołał.

Jason Geiger wygramolił się z powozu. Bardzo schudł, nic dziwnego zatem, że Szaman nie poznał go na pierwszy rzut oka.

– Szaman? – zapytał. – Na Boga, to ty!

Nie miał walizki, tylko parcianą torbę na sznurku, którą Szaman przeniósł na swoją bryczkę.

Ruszyli, odprowadzając powóz. Jay zdawał się pożerać wzrokiem okolice.

– Stęskniłem się za tym widokiem. – Zerknął na torbę lekarską i pokiwał głową. – Lillian pisała mi, że zostałeś lekarzem. Nie wyobrażasz sobie, jaki byłem dumny. Twój ojciec... – Urwał. Po chwili rzekł: – Żyłem z twoim ojcem bliżej niż z własnymi braćmi.

– Zawsze uważał się za szczęśliwca, że los zdarzył mu takiego przyjaciela.

Geiger pokiwał głową.

– Spodziewają się ciebie?

– Nie. Sam dowiedziałem się, że wracam, zaledwie parę dni temu. Żołnierze Unii zjawili się w naszym szpitalu z własnym personelem medycznym i kazali nam się po prostu wynosić do domu. Przebrałem się więc w cywilne łachy i wsiadłem w pociąg. Kiedy przyjechałem do Waszyngtonu, dowiedziałem się, że ciało Lincolna jest wystawione w rotundzie Kapitolu, poszedłem więc tam. Nigdy nie widziałem większych tłumów. Cały dzień czekałem w kolejce.

– Widziałeś jego ciało?

– Przez mgnienie. Wyglądał bardzo dostojnie. Chciałoby się przystanąć i coś do niego powiedzieć, ale poganiali, żeby szybciej i szybciej. Miałem takie wrażenie, że gdyby ktoś z tego tłumu mógł dostrzec mój szary mundur w torbie, rozszarpaliby mnie tam na strzępy. – Westchnął. – Lincoln byłby się starał o zabliznienie ran. Teraz obawiam się, że ludzie przy władzy wykorzystają jego śmierć do starcia Południa w proch.

Urwał, gdyż Szaman skrzył konia w drogę wiodącą od traktu do domu Geigerów i podjechał pod używane przez rodzinę boczne drzwi.

– Zajdziesz? – spytał Jay.

Szaman uśmiechnął się i pokręcił przecząco głową. Zaczekał, póki Jay nie wziął z bryczki torby i nie wstąpił sztywno na stopnie ganku. To był jego dom, więc wszedł bez pukania, a wtedy Szaman cmoknął na Bossa i odjechał.

Nazajutrz, uporawszy się z przyjęciami pacjentów w ambulatorium, poszedł Długą Ścieżką do Geigerów. Zapukał do drzwi frontowych. Otworzył mu Jason. Szaman zmiarkował od razu po wyrazie jego twarzy, że Rachel o wszystkim już ojcu powiedziała.

– Wejdz.

– Dziękuję, Jason.

Nie polepszyło sytuacji i to, że na dźwięk jego głosu wypadły z kuchni dzieci. Joshua objął jedną jego nogę, a Hattie drugą. Za dziećmi wybiegła zaraz Lillian i odpędziła je od gościa, skinąwszy mu na przywitanie głową. Choć się opierały, wyprowadziła je z powrotem do kuchni.

Jay wszedł do saloniku i wskazał Szamanowi jeden z foteli z końskiego włosia, na którym ten przycupnął posłusznie.

– Wnuki się mnie boją.

– Jeszcze się z tobą nie oswoiły. Lillian i Rachel wciąż im o tobie opowiadały, zejdę to, mówiły, zejdę tamto. Jak tylko cię skojarzą z tamtym kochanym dziaduniem, oswoją się. – Przyszło mu nagle do głowy, że Jasonowi może być w danych okolicznościach nie w

smak, iż tak go pocieszają w sprawie jego własnych wnuków, pospieszył więc zmienić temat. – Gdzie Rachel?

– Poszła się przejść. Była... trochę przygnębiona. Szaman kiwnął głową.

– Powiedziała ci o mnie. Jason przytaknął.

– Kochałem ją przez całe życie. Dzięki Bogu nie jestem już chłopcem... Ja wiem, Jay, czego ty się lękasz.

– Nie, Szaman. Z całym szacunkiem, ale ty tego nigdy nie zrozumiesz. W żyłach tych dzieci płynie krew najwyższych kapłanów. One muszą wyrosnąć na żydów.

– I wyrosną. Dużośmy o tym rozmawiali. Rachel nie wyrzeknie się swojej wiary. Joshuę i Hattie mógłbyś uczyć ty, człowiek, który uczył ich matkę. Ja też zresztą chętnie nauczyłbym się przy nich hebrajskiego. Liznąłem go już trochę w college'u.

– Zmienisz wiarę?

– Nie... Szczerze mówiąc, myślę zostać kwakrem. Geiger milczał.

– Gdyby twoja rodzina mieszkała w getcie, gdzie żyje tylko wasz naród, mógłbyś oczekiwać, że twoje dzieci dostaną takich współmałżonków, jakich byś sobie życzył. Ale ty wyprowadziłeś je na szeroki świat.

– Tak, poczuwam się do odpowiedzialności. Więc teraz muszę je zabrać z powrotem.

Szaman pokręcił głową.

– One nie pójda. Nie mogą.

Wyraz twarzy Jasona nie uległ zmianie.

– Rachel i ja pobierzemy się. A jeśli zranisz ją śmiertelnie zawieszając całunami lustra i odmawiając modlitwę za zmarłych,



poproszę ją, żeby zabrała dzieci i wyjechała ze mną na drugi koniec świata.

Lękał się przez chwilę wybuchu sławnego gniewu Geigera, ale Jay pokiwał tylko głową.

– Powiedziała mi dziś rano to samo: że wyjedzie.

– Mówiłeś mi wczoraj, że mój ojciec był ci bliższy od twoich własnych braci. Wiem, że kochasz jego rodzinę. Wiem, że mnie kochasz. Czy nie moglibyśmy kochać się takimi, jakimi jesteśmy?

Jason był bardzo blady.

– Wygląda mi na to, że musimy spróbować – rzekł z wysiłkiem. Wstał i wyciągnął rękę.

Ale Szaman nie podał mu dłoni. Porwał go w objęcia. Po chwili poczuł, jak dłoń Jasona unosi się i opada na jego plecy, poklepując je w geście pocieszenia.

W trzecim tygodniu kwietnia wróciła do Illinois zima. Oziębilo się i sypanął śnieg. Szamana zdjął niepokój o drobne jeszcze pączki na drzewach brzoskwiniowych. Prace na budowie wstrzymano, lecz Ericsson i Szaman chodzili po domu Cole'ów i ustalali, gdzie należy umieścić półki i szafy na narzędzia. Na szczęście zgodzili się obaj, że niewielu trzeba przeróbek budowlanych, aby dom przekształcić w klinikę.

Kiedy śniegi przestały padać, Doug Penfield skorzystał z chłódów i przystąpił do wiosennego uboju, jak to wcześniej obiecał Sarze. Przechodząc któregoś razu obok urządzonej za stodołą rzeźni na świeżym powietrzu, Szaman ujrzał trzy świnie powieszono za tylne nogi na wysokiej żerdzi. Przyszło mu do głowy, że trzy to teraz za dużo – w ich domu Rachel nie będzie przecież czyniła użytku z szynki ani wędzonych łopatek. Uśmiechnął się w obliczu tego

pierwszego świadectwa czekających go odtąd w życiu ciekawych komplikacji. Świnie były już wykrwawione i wypatroszone, wyparzone w kadziach z wrzątkiem i oskrobane. Jaśniały różowobiałą czystością. Nagle Szaman przystanął na widok trzech niedużych identycznych otworów w ich grubych żyłach szyjnych, przez które spuszczono ze zwierząt krew.

Trójkątne rany, podobne do dziur w świeżym śniegu pozostawionych przez szpice kijków narciarskich. Nie musiał ich mierzyć, wiedział, że ich rozmiary odpowiadają tamtym.

Stał jak urzeczony przed martwymi wieprzkami, gdy nadszedł Doug z piłką do ćwiartowania mięsa.

– Czym zrobiłeś te otwory?

– Kolcem do szlachtowania świń Aldena. – Doug uśmiechnął się do niego. – Zabawna historia. Prosiłem Aldena, żeby mi takie zrobił zaraz za pierwszym razem, jakem miał u was szlachtować. Prosiłem i doprosić się nie mogłem. Wciąż mi ino obiecywał. A sam mówił, że jego zdaniem lepiej świnie kłuć, niż podrzynać im gardła. Mówił, że miał kiedyś własny kolec, ale gdzieś go zgubił. I w końcu mi go nie zrobił... A jakeśmy teraz rozbierali tę jego chatę, tośmy go znaleźli. Leżał na legarze pod podłogą. Musiał go tam na chwilę położyć, jak naprawiał deski w podłodze, a potem zapomniał i zabił go dechami. Nie wymagał nawet wielkiego ostrzenia.

Wkrótce Szaman trzymał w ręku narzędzie, którego przeznaczenia, na podstawie opisu ran Makwa-ikwy, nie był w stanie odgadnąć Barney McGowan w laboratorium anatomopatologii szpitala w Cincinnati. Miało około osiemnastu cali długości, rączkę okrągłą i gładką, dobrze leżącą w dłoni. Ostatnie sześć cali ostrza o trójkątnym przekroju zwężało się w szpic, jak się tego domyślił

ojciec Szamana podczas sekcji zwłok, tak że im głębiej wbijano je w ciało, tym większa powstawała rana. Trzy ostre krawędzie polśniewały złowrogo. Rzuciło się w oczy, że wykonano je z najprzedniejszej stali. Alden nie lubił stali ostatnich gatunków.

Szaman wyobraził sobie wznoszące się i opadające ramię. Wznoszące się i opadające...

Jedenaście razy.

Nie krzyczała i nie wzywała pomocy. Wmawiał w siebie, że schowała się w głębokim zakątku swej istoty, tam, dokąd nie docierał już ból. Miał szczerą nadzieję, że tak właśnie było.

Nie przeszkadzał dłużej parobkowi. Zabrał szpikulec i ruszył Krótką Ścieżką, niosąc go przed sobą ostrożnie, jak gdyby to rzeźnicze narzędzie mogło zmienić się nagle w węża i wyprężyć do ukąszenia. Przeszedł pod drzewami, minął grób Makwyi zrujnowane hedonoso-te. Stanąwszy na brzegu rzeki, zamachnął się i cisnął szpikulec do wody.

Koziołkował w wiosennym powietrzu i pobłyskiwał w jaskrawym słońcu jak wyrzucony wysoko miecz. A przecież nie był to Ekskalibur<sup>[10]</sup>. Żadne przez Boga posłane ramię nie wynurzyło się z głębi, aby go pochwycić. Szaman wiedział, że wielka rzeka nigdy go nie zwróci, i ciężar, który od tylu lat dźwigał na swych barkach – od tak dawna, że zatracił już tego świadomość – odfrunął z nich teraz jak ptak.

---

W końcu kwietnia nigdzie nie leżał już śnieg, nawet w leśnych ustroniach nad rzeką, gdzie drzewa rzucały głęboki cień. Mróz zwarzył wierzchołki drzewek brzoskwiniowych, ale pod szernią korą tętniło nowe życie, pręc zielone pąki do rozkwitu. Dzień 13 maja – data oficjalnego rozpoczęcia budowy na farmie Cole’ów – wstał ciepły. Niedługo po południu wysiadł z pociągu w Rock Island jego ekscelencja James Duggan, biskup diecezji chicagowskiej, w towarzystwie trzech prałatów.

Oczekiwała ich matka Miriam Ferocia. Dwoma wynajętymi powozami przyjezdni udali się na farmę, gdzie zgromadzili się już liczni goście. Byli wśród nich niemal wszyscy okoliczni lekarze, siostry zakonne i ich spowiednik, zjawili się również ojcowie miasta oraz kwiat polityków, między innymi Nick Holden i kongresman John Kurland, wreszcie nie mała gromadka zwykłych obywateli. Matka Miriam przywitała zebranych głosem mocnym i donośnym, z silniejszym wszakże niż zwykle akcentem cudzoziemskim, co zdarzało jej się zawsze, ilekroć była czymś zdenerwowana. Przedstawiwszy dostojników kościelnych, poprosiła biskupa Duggana o wygłoszenie inwokacji.

Następnie przedstawiła zebrany doktor Cole’a, który oprowadził gości po swoim gospodarstwie. Biskup, zażywny mężczyzna o rumianym obliczu okolonym bujną grzywą siwych włosów, był wyraźnie zachwycony tym, co zobaczył. Kiedy całe towarzystwo przystanęło na miejscu przyszłego budynku szpitalnego, kongresman Kurland wygłosił krótkie przemówienie, w którym unosił się nad znaczeniem, jakie będzie miał szpital dla jego

wyborców. Następnie biskup Duggan przyjął z rąk matki Miriam szpadel i nabrał nim pierwszy kęs ziemi, a tak wprawnie, jakby robił to nie po raz pierwszy. Po nim jęła się szpadla przełożona, później Szaman, politycy, na koniec zaś kilku obywateli, którzy będą po latach opowiadali z dumą swoim dzieciom, że kładli kamień węgielny pod budowę szpitala Świętego Franciszka.

Po tej uroczystości udali się wszyscy na przyjęcie do klasztoru. Nastąpiły dalsze oględziny – obejrzano ogród, stada owiec i kóz na pastwisku, stodołę i wreszcie sam klasztor.

Miriam Ferocia stanęła przed trudnym zadaniem: musiała wyważyć między chęcią podjęcia biskupa, jak na to zasługiwał, a obawą przed okazaniem się w jego oczach rozrzutną. Udało jej się to wybornie. Użyła produktów przyklasztornego gospodarstwa do wypieczenia małych serniczków, które jeszcze ciepłe podano na tacach do kawy i herbaty. Wszystko zdawało się przebiegać znakomicie, mimo to Szaman dostrzegł na twarzy matki Miriam rosnący niepokój. Zauważył, że przełożona rzuca chmurne spojrzenia na Nicka Holdena, który w wyściełanym fotelu siedział przy jej stole. Kiedy zaś Holden wreszcie wstał i wyszedł, poczęła raz po raz spojrzeć wyczekująco w stronę biskupa Duggana.

Szaman rozmawiał już z nim na farmie, teraz więc podszedł i gdy nadarzyła się sposobność, zagadnął:– Ekscelencjo, czy widzi ekscelencja tam za mną ten okazały wyściełany fotel z rzeźbionymi poręczami?

Biskup wyglądał na zaskoczonego.

– I owszem.

– Ekscelencjo, ten fotel siostry zakonne przywiozły tu wozem przez prerię. Nazywają go fotelem biskupa. Marzyły o tym, że gdy

pewnego dnia odwiedzi je ich biskup, będą go mogły posadzić na tym honorowym miejscu.

Biskup Duggan skinął z powagą głową, ale w jego oczach rozmigotały się figlarne błyski.

– Wierzę, że zajdzie pan daleko, doktorze Cole – rzekł, a ponieważ był człowiekiem roztropnym, najpierw podszedł dokongresmana, by omówić z nim powojenne losy kapelanów wojskowych. Po niedługiej jednak chwili zbliżył się do matki Miriam. – Chodź, córko. Porozmawiamy sobie – powiedział i przysunął jej zwykłe krzesło do wyściełanego fotela, w którym zapadł z westchnieniem błogości.

Zatopili się też wkrótce w rozmowie o sprawach dotyczących klasztoru. Matka Miriam siedziała wyprostowana na krześle, chłonąc zachwyconym spojrzeniem postać biskupa w monarszym fotelu, w którym zasiadł godnie, iście po królewsku: wygodnie oparty, dłonie ułożył swobodnie na rzeźbionych poręczach. Roznosząca ciasteczka siostra Mary Peter Celestine dostrzegła rozpromienione oblicze przełożonej. Zerknęła na rozlewającą kawę siostrę Mary Benedictę i wymieniły obie leciutkie uśmiechy.

Nazajutrz po przyjęciu w klasztorze szeryf i jeden z jego zastępców przywieźli wozem na farmę Cole'ów zwłoki pulchnej kobiety w średnim wieku z długimi, brudnymi kasztanowymi włosami. Szeryf nie wiedział, kim była zmarła. Znalaziono ją w zamkniętym furgonie towarowym, który przywiózł worki cukru i mąki do sklepu Haskinsa.

– Domyślamy się, że wczołgała się na wóz w Rock Island, ale nikt tam nie wie, skąd ona jest ani co to za jedna – poinformował

szeryf. Wnieśli ją do szopy, położyli na stole, skinęli na pożegnanie głowami i odjechali.

– Lekcja anatomii – zapowiedział Dużemu Szaman. Rozebrali zmarłą. Nie była zbyt czysta. Alex przyglądał się, jak brat wyczesuje z jej włosów gnidy i plewy. Następnie lancetem, który sporządził dla niego Alden, Szaman zrobił na jej piersi nacięcie w kształcie litery Y. Nożycami do przecinania żeber usunął mostek, wyjaśniając w trakcie swych czynności, co i dlaczego robi i jak się to nazywa. Gdy podniósł wzrok, spostrzegł, że Alexowi zbiera się na mdłości.

– Ciało ludzkie, choćby nie wiem jak było zafajdane, to coś cudownego, co budzi podziw i z czym należy się dobrze obchodzić. Kiedy człowiek umiera, dusza czy też duch, to, co Grecy nazywali anemos, opuszcza je. Toczy się nieustanny spór o to, czy dusza też w chwili śmierci umiera, czy może przenosi się w inne obszary. – Uśmiechnął się, przypomniawszy sobie, że takimi samymi słowami przemawiali do niego ojciec i Barney, niezmiernie rad, że teraz on przekazuje dalej tę spuściznę.

– W czasie studiów tata miał profesora, który mawiał, że duch opuszcza ciało tak, jak człowiek opuszcza dom, w którym mieszkał. Ojciec stale powtarzał, że powinniśmy traktować ciało z szacunkiem przez wzgląd na osobę, która ten dom zamieszkiwała.

Alex potaknął. Szaman zauważył, że pochyla się nad stołem i śledzi jego dłonie z prawdziwym zainteresowaniem. Na jego policzki wracały kolory.

Jay zaproponował, że będzie uczył Alexa chemii i farmakologii. Pewnego popołudnia siedzieli więc obaj na ganku domu Cole'ów i przerabiali pierwiastki. Szaman czytał w pobliżu gazetę, przysypiając od czasu do czasu. Jay i Alex zmuszeni byli wszakże odłożyć książki,

a Rob J. pożegnać się z nadzieją na smaczną drzemkę, gdy zjawił się Nick Holden. Szaman spostrzegł, że brat przywitał go uprzejmie, lecz bez serdeczności.

Nick przyjechał się pożegnać, bo zachował jednak urząd pełnomocnika do spraw Indian i wracał do Waszyngtonu.

– A więc prezydent Johnson poprosił pana, żeby został pan na swoim stanowisku? – zapytał Szaman.

– Tylko na jakiś czas. Potem wprowadzi na urzędy swoich ludzi, nic się pan nie bój – odrzekł Nick z grymasem na twarzy. Wyznał im, że Waszyngton aż huczy od plotek na temat powiązań byłego wiceprezydenta z zabójcą Lincolna. – Mówi się, że znaleziono liścik do Johnsona z podpisem Johna Wilkesa Bootha. I że tego popołudnia, kiedy padły śmiertelne strzały, Booth zjawił się w hotelu, w którym wiceprezydent mieszkał, i pytał o niego w recepcji, ale powiedziano mu, że pana Johnsona nie ma.

Szaman jął się zastanawiać, czy w Waszyngtonie oprócz prezydentów morduje się też reputacje.

– Czy Johnsona pytano o wyjaśnienie tych pogłosek?

– Postanowił je lekceważyć. Nosi się tylko z prezydencka i rozprawia o zbieraniu funduszków na pokrycie wywołanego wojną deficytu.

– Największego deficytu, jaki spowodowała ta wojna, nie da się wyrównać – stwierdził Jay. – Milion ludzi poległo lub odniosło rany. A jeszcze więcej polegnie, bo pozostały punkty oporu konfederatów, którzy się dotąd nie poddali.

Zamyślili się nad tą straszną perspektywą.

– A jaki los czekałby nasz kraj, gdyby nie wojna? – spytał raptem Alex. – Gdyby Lincoln pozwolił na pokojowe odłączenie się



Południa?

– Konfederacja miałaaby przed sobą krótki żywot-stwierdził Jay. – Mieszkańcy Południa mają zaufanie tylko do władz własnego stanu, nie dowierzają centralnemu rządowi. Przypuszczam, że niemal od pierwszej chwili wybuchłyby niesnaski. Konfederacja rozpadałaby się na regionalne grupki, te zaś z kolei na odrębne stany. Sądzę, że wszystkie one, jeden po drugim, na własną prośbę, w pokorze i konfuzji, powróciłyby w końcu na łono Unii.

– Unia się zmienia – zauważył Szaman.-Partia Amerykańska nie odegrała większej roli w ostatnich wyborach. Rodowici Amerykanie widzieli, jak ich irlandzcy i skandynawscy towarzysze broni giną na polu bitwy, toteż nie nastawiają już tak chętnie ucha na argumenty fanatycznych polityków. Chicagowska „Daily Tribune” przewiduje wręcz, że „Nic Nie Wiedzący” są skończeni.

– I bardzo dobrze – stwierdził Alex.

– Ostatecznie była to tylko jedna z wielu partii politycznych – zauważył łagodnie Nick.

– Tylko że wypoczwarzyły się z niej inne, bardziej złowrogie ugrupowania – dodał Jay. – Ale nie bójcie się. Niebawem rozleje się po kraju w poszukiwaniu pracy trzy i pół miliona dawnych niewolników. Tylko patrzeć, jak powstaną zwrócone przeciwko nim nowe organizacje z tymi samymi najpewniej nazwiskami na listach członków.

Nick Holden podniósł się do odejścia.

– A przy okazji, Geiger, czy pańska szanowna małżonka nie miała informacji od swojego sławnego kuzyna?

– Czy sądzi pan, panie pełnomocniku, że podałbym panu miejsce pobytu Judy Benjamina, gdybyśmy je znali? – zapytał cicho Jay.

Przez usta Holdena przewinął się typowy dla niego uśmieszek.

To prawda, ocalił życie Alekowi i Szaman był mu za to wdzięczny. Ale wdzięczność nie była w stanie sprawić, żeby polubił Nicka. W głębi ducha żywił nadzieję, że ojcem jego brata był młody rzezimieszek, Will Mosby.

Nie przyszło mu nawet do głowy, by zaprosić Holdena na swój ślub.

Szaman i Rachel pobrali się 22 maja 1865 roku w saloniku Geigerów w obecności obu tylko rodzin. Nie był to ślub, jakiegożycyliby sobie ich rodzice. Sara podsunęła synowi, że skoro jego ojczym jest duchownym, byłoby miłym gestem, sprzyjającym rodzinnej spójni, gdyby poprosił Luciana, aby właśnie on udzielił ślubu. Jay natomiast oświadczył córce, że żydówka może zawrzeć ślub jedynie przed rabinem. Ani Rachel, ani Szaman nie wdawali się w spory w tej kwestii. Ślubu udzielił im sędzia Stephen Hume. Jednoręki inwalida potrzebował pulpitu, by przewracać kartki z notatkami, toteż Szaman musiał pożyczyć z kościoła kazalnicę. Zadanie miał ułatwione, ponieważ gmina nie przyjęła jeszcze nowego duchownego.

Narzeczeni stanęli przed sędzią razem z dziećmi Rachel. Joshua spotniałą małą rączką ścisnął palec wskazujący Szamana. Rachel, ubrana w ślubną sukienkę z błękitnego brokatu, ozdobioną rozłożystym kołnierzem z kremowej koronki, trzymała za rękę Hattie. Hume był zacnym człowiekiem i życzył im szczęścia, które ich też nie miało ominąć. Kiedy ogłosił, że są odtąd mężem i żoną, i polecił im, aby odeszli „w szczęściu i pokoju”, Szaman wziął to dosłownie. Świat wstrzymał się w biegu, a on poczuł w duszy takie uniesienie, jakiego doświadczył wcześniej tylko raz: kiedy jako

świeżo upieczony lekarz przechodził podziemnym tunelem, łączącym poliklinikę Akademii Medycznej stanu Cincinnati ze szpitalem Southwestern Ohio.

Spodziewał się, że Rachel zechce pojechać w podróż poślubną do Chicago lub jakiegoś innego dużego miasta, tymczasem ona, dowiedziawszy się od niego o powrocie Sauków i Lisów do stanu Iowa, zapytała ku niewymownej radości Szamana, czy nie mogliby się wybrać w odwiedzin do obozu Indian.

Potrzebny był im juczny koń, by załadować na jego grzbiet prowianty i sprzęt biwakowy. Paul Williams miał w swojej stajni poczciwego siwego wałacha i Szaman pożyczył go na jedenaście dni. Do Tamy, indiańskiego miasta, mieli około stu mil. Obliczył, że droga w jedną stronę zabierze im cztery dni. Kilka dni przeznaczał na samą wizytę.

Wyjechali parę godzin po ślubie, Rachel na Trudzie, Szaman na Bossie, prowadząc za sobą jucznego, którego imię – Ulysses -nie świadczyło, jak zastrzegł się solennie Williams, „o braku uszanowania dla generała Granta”.

Gdy dotarli do Rock Island, Szaman chciał się tam na dzień zatrzymać, ale że mieli na sobie stroje stosowne do dalekiej podróży, a nie do hotelu, Rachel wolała spędzić tę noc na prerii.

Przeprowadzili więc konie promem na drugi brzeg rzeki, odjechali jeszcze z dziesięć mil za Davenport.

Podążali polną dróżką wśród ciągnących się po horyzont zagonów czarnej zaoranej ziemi. Pomiedzy tymi zagonami pozostały jednak spłachcie nie tkniętej jeszcze pługiem prerii. Gdy dotarli do takiego pasa dziewiczych, przedzielonych strumieniami traw, Rachel podjechała do męża i gestem dłoni zwróciła na siebie jego uwagę.

- Czy nie moglibyśmy się tutaj zatrzymać?
- Wolałbym bliżej jakichś zabudowań.

Przyszło im więc przebyć jeszcze około mili. W pobliżu farmy dzikie trawy ustąpiły miejsca ornemu polu, przeznaczonemu najwidoczniej pod kukurydzę. Na podwórku żółty pies z ujadaniem rzucił się koniom do nóg. Gospodarz dokręcał właśnie nową śrubę w lemieszu pługa. Zmarszczył się podejzliwie, kiedy Szaman poprosił o pozwolenie na rozbicie biwaku nad potokiem, lecz propozycję zapłaty zbył machnięciem ręki.

- Będziecie rozpalać ogień?
- Taki miałem zamiar. Trawy jeszcze zielone.
- No tak, nie zajmą się. Wodę ze strumienia możecie pić spokojnie. Kawalek dalej przy brzegu stoją uschnięte drzewa, nazbieracie tam drewna na ognisko.

Podziękowali mu i zawrócili, by poszukać najlepszego miejsca na biwak. Rozsiodłali konie i zdjęli bagaże z grzbietu Ulyssesa. Szaman zrobił następnie cztery wyprawy po drewno, a Rachel zajęła się przygotowaniami do noclegu. Najpierw rozłożyła na trawie starą skórę bizonią, którą jej ojciec kupił przed laty od Kamiennego Psa. Brunatna skóra była miejscami wyliniała i przetarta, ale nadawała się jeszcze wybornie na podściółkę mającą oddzielać ich od ziemi. Na niej Rachel rozesała dwa koce utkane z runa owiec Cole'ów, do pierwszych dni lata pozostał bowiem jeszcze dobry miesiąc, noce więc były chłodne.

Szaman ułożył między skałami gałęzie na ognisko i rozpałił ogień. Do garnka nasypał kawy, zalał wodą ze strumienia i zawiesił nad płomieniem, by się zaparzyła. Siedząc na zdjętych z koni siodłach, pożywiali się resztkami z weselnej uczy: różowymi

plastrami jagnięciny, pieczonymi ziemniakami, kandyzowaną marchwią. Na deser mieli biały tort weselny z alkoholowym lukrem. Siedzieli potem przy płonącym ognisku, popijając czarną kawę. Zapadła noc i na niebie wyroiły się gwiazdy. Nad równiną zawisła ćwiartka księżyca.

Po jakimś czasie Rachel odstawiła kubek, wzięła mydło, czystą szmatkę i ręcznik i zniknęła w gęstniejących ciemnościach.

Nie pierwszy raz mieli się kochać, toteż Szaman nie pojmował, skąd jego zawstydzenie. Rozebrał się, zszedł do strumienia w pewnej odległości od miejsca, gdzie kąpała się Rachel, umył się pośpiesznie i czekał na nią na bizoniej skórze, przykryty kocami. Kiedy się obok niego położyła, ich ciała były chłodne od wody, szybko się jednak rozgrzały. Domyślił się, że celowo rozłożyła poślanie w takim miejscu, żeby ich nie oświetlał blask ogniska, ale nie miał nic przeciwko temu. Liczyła się tylko ona, ich dłonie, wargi i ciała. Po raz pierwszy kochali się jako mąż i żona. A potem leżeli na plecach trzymając się za ręce.

– Kocham cię, Rachel Cole-powiedział. Patrzyli w niebo nakrywające ich kopułą niby ogromną miską leżącą na płaszczyźnie ziemi. Najniższe gwiazdy były bardzo duże i białe.

Po jakimś czasie zaczęli się kochać po raz drugi. Kiedy już ocknęli się z rozkoszy, Rachel wstała i podbiegła do ogniska. Wyjęła z ognia gałąź na końcu rozżarzoną i zaczęła nią wywijać jak ognistą frygą, póki nie rozpaliła się jasnym płomieniem. Wtedy podeszła do niego tak blisko, że mógł dojrzeć gęsią skórę pomiędzy pagórkami jej brązowych piersi, blask pochodni w oczach, upodabniający je do roziskrzonych klejnotów, i jej usta.

– Ja też cię kocham, Szaman – powiedziała.

Im dalej zapuszczali się następnego dnia na terytorium lowy, tym większe odległości oddzielały od siebie sąsiednie farmy. Przez około pół mili droga biegła obok chlewów, z których bił w niebo smród tak gęsty, że wręcz dotykalny, ale potem znowu wjechali między trawy i owiało ich czyste, pachnące powietrze.

W pewnym momencie Rachel zeszywniała w siodle i podniosła rękę.

– Co się stało? – zapytał.

– Słyszę jakieś wycie. Może to wilk? Uznał, że raczej pies.

– Farmerzy musieli wypłoszyć stąd wilki, podobnie jak w naszych stronach. Wilki już stąd odeszły śladem Indian i bizonów.

– Może jednak uda nam się przed powrotem do domu ujrzeć któryś z cudów prerii? – powiedziała. – Bizona, dzikiego kota lub ostatniego wilka z lowy...

Minęli kilka małych osad. W południe dotarli do gospody, gdzie zjedli obiad złożony z wody sodowej, sucharów, twardego sera i brzoskwiń z puszki.

– Dowiedzieliśmy się wczoraj, że wojsko aresztowało Jeffersona Davisa<sup>[11]</sup>. Trzymają go zakutego w łańcuchy w Forcie Monroe w Wirginii-poinformował ich gospodarz i splunął na trocinami posypaną podłogę. – Mam nadzieję, że powiesz sukinsyna, za przeproszeniem szanownej pani.

Rachel rozgrzeszyła go łaskawym skinieniem głowy. Trudno odgrywać damę, gdy wylizuje się z puszki ostatnie krople soku brzoskwiniowego.

– Nie wie pan, czy ujęto również jego sekretarza stanu? Judę P. Benjamina?

– Tego Żydka? Nie, o ile mi wiadomo jeszcze go nie capli.

– To dobrze – stwierdziła dobitnie Rachel.

Zabrali puste puszki, żeby je wykorzystać po drodze, i wyszli do koni. Gospodarz stał na ganku i długo spoglądał za odjeżdżającą polną drogą parą.

Po południu przebyli w bród rzekę Cedar, dokładając starań, żeby się nie zamoczyć, po to wszak jedynie, by w niedługi czas potem przemoknąć do ostatniej nitki w strugach niespodziewanej wiosennej ulewy. Było już prawie ciemno, kiedy dotarli na jakąś farmę i schronili się w stodole. Szaman odczuł dziwną radość na wspomnienie opisu nocy poślubnej rodziców, który poznał z ojcowskiego dziennika. Mężnie wyszedł spod dachu na deszcz, aby poprosić gospodarza o pozwolenie na przenocowanie w jego obejściu. Farmer, noszący nazwisko Williams, lecz nie spokrewniony ze stajennym z Holden's Crossing, chętnie wyraził zgodę. Ledwo Szaman wrócił do stodoły, przydreptała za nim pani Williams z połową garnka zawieszistej zupy mlecznej, w której pływały marchew, ziemniaki, kasza jęczmienna i świeży chleb. Pożegnała się zaś ze swoimi gośćmi tak pośpiesznie, iż domyślili się, że poznała w nich nowożeńców.

Ranek wstał czysty i cieplejszy niż w poprzednie dni. Wczesnym popołudniem dotarli nad rzekę Iowa. Billy Edwards powiedział Szamanowi, że podążając za nią na północny zachód trafią na obozowisko Indian. Leżący przed nimi odcinek rzeki był zupełnie pusty. Po jakimś czasie dotarli nad płytką zatoczkę o przejrzystej wodzie i piaszczystym dnie. Zsiedli z koni, spętali je, po czym Szaman zrzucił ubranie, wskoczył do rzeki i zaczął się pluskać.

– Chodź! – zachęcał żonę.

Nie miała odwagi. Słońce jednak przypiekało mocno, a rzeka wyglądała tak, jakby nie oglądały jej nigdy ludzkie oczy, toteż po chwili rozterki Rachel skryła się w przybrzeżnych krzakach zdjęta z siebie wszystko prócz bawełnianej halki. Zanurzywszy się w zimnej wodzie, narobiła pisku. Pluskali się w rzece jak dwoje małych dzieci. Mokra halka przykleiła się do jej ciała. Kiedy Szaman próbował schwycić żonę w objęcia, przestraszyła się.

– Jeszcze kto nadejdzie! – zawołała i uciekła na brzeg. Włożyła sukienkę, a halkę powiesiła na gałęzi, żeby wyschła.

Szaman miał w jukach haczyki i linkę. Ubrawszy się wybrał spod pnia zwalonego drzewa robaki i ułamał kij na wędzisko, a następnie odszedł kawałek w górę rzeki, gdzie połśniewała w słońcu podobna do pierwszej zatoczka, i w krótkim czasie wyciągnął z wody dwa półfuntowe cętkowane okonie.

W południe posilili się ugotowanymi na twardo jajkami z obfitych zapasów Rachel. Ryby postanowili zostawić na kolację, choć Szaman oczyścił zdobycz od ręki.

– Lepiej je zaraz ugotować, żeby się nie popsuły. Zawiniemy je w płótno i zabierzemy ze sobą – powiedział rozpalając małe ognisko.

Kiedy okonie się gotowały, znowu się do niej zbliżył. Tym razem zapomniła o wszelkiej ostrożności. Nie zważała na to, że choć szorował ręce wodą i piaskiem, nie zdołał usunąć z nich woni ryb, ani na to, że był jasny dzień. Podniósł jej sukienkę, pod którą nie miała nic, i kochali się w ubraniach na gorącym, nagrzanym słońcem, porośniętym trawą brzegu rzeki, której szmer dźwięczał tylko w uszach Rachel.

Kilka minut później, gdy przewracała ryby, by się nie przypaliły, zza zakrętu rzeki wypłynęła płaskodenna barka. Na jej pokładzie



siedzieli trzej brodaci, bosonodzy mężczyźni w wystrzępionych gaciach. Jeden z nich pomachał im leniwie dłonią, na co Szaman odpowiedział podobnym pozdrowieniem.

Ledwie łódź przepłynęła, Rachel rzuciła się do gałęzi, na której powiewała jej halka niczym duża biała flaga sygnalizująca zdrożny czyn, jakiego się dopuścili. Kiedy Szaman do niej podszedł, odwróciła się do niego porywczo.

– Co się z nami dzieje? – spytała.-Co się dzieje ze mną? Kim ja naprawdę jestem?

– Moją Rachel – odparł, biorąc ją w ramiona i całując. Powiedział to zaś z takim zachwytem, że musiała się uśmiechnąć.

---

## 73 W tamie

---

Wczesnym rankiem piątego dnia podróży dogonili na trakcie jakiegoś jeźdźca. Gdy się do niego zbliżyli, żeby zapytać o drogę, Szaman spostrzegł, że podróżny jest ubogo odziany, ale siedzi na dobrym koniu, okulbaczonym drogim siodłem. Włosy miał długie i czarne, skórę koloru wypalanej gliny.

– Czy mógłby nam pan wskazać drogę do Tamy?-zagadnął go Szaman.

– Nawet nie tylko wskazać. Właśnie tam jadę. Jedźcie po prostu ze mną, jeśli wola.

– Uprzejmie dziękujemy.

Indianin pochylił się do przodu i powiedział coś jeszcze, na co Szaman pokręcił tylko głową.

– Trudno mi rozmawiać w czasie jazdy. Muszę patrzeć na wargi rozmówcy. Jestem głuchy.

– Ach, tak.

– Za to moja żona słyszy doskonale.-Szaman uśmiechnął się, na co nieznajomy odpowiedział uśmiechem, obrócił się do Rachel i dotknął kapelusza. Zamienili kilka słów, ale przeważnie milczeli, jadąc obok siebie w ciszy w skwarze poranka.

Kiedy jednak przyjechali nad mały staw i zatrzymali się tam, by konie mogły się napić i poskubać trawę, a oni rozprostować nogi, zawarli znajomość jak się godzi. Nieznajomy uścisnął im ręce i przedstawił się jako Charles P. Keyser.

– Mieszka pan w Tamie?

– Nie, mam farmę o osiem mil stąd. Urodziłem się w plemienu Potawatomi, ale wychowałem się wśród białych, kiedy cała moja rodzina zmarła na zarazę. Nie mówię nawet żadnym indiańskim narzeczem, znam tylko kilka słów w języku Kickapoo. Ożeniłem się z kobietą półkrwi Kickapoo, półkrwi Francuzką.

Powiedział im, że co parę lat jeździ do Tamy i spędza tam kilka dni.

– I naprawdę nie wiem po co. – Wzruszył ramionami i uśmiechnął się. – Ciągnie wilka do lasu.

Szaman pokiwał głową.

– Nasze rumaki dość się już chyba najadły trawy, jak pan sądzi?

– Rzeczywiście. Nie chcemy przecież, żeby nam co chwila puszczały w nos bąki, prawda? – odrzekł Keyser, po czym wsiedli na

konie i ruszyli w dalszą drogę.

Dotarli do Tamy wczesnym przedpołudniem. Jeszcze nim dojechali do skupionych w rozległym kręgu chat, otoczyły ich dzieci o brązowych oczach i ujadające psy.

Keyser dał im wkrótce znak, by się zatrzymali, zsiadli więc z koni.

– Zawiadomię wodza o naszym przyjeździe-oznajmił ich przewodnik i wszedł do pobliskiej chaty. Zanim się z niej na powrót wyłonił w towarzystwie barczystego Indianina w średnim wieku, wokół przyjezdnych zdążył się już zebrać spory tłumek.

Rosły mężczyzna powiedział coś, czego Szaman nie zdołał odczytać z jego warg. Nie była to z pewnością angielszczyzna. Ucisnął jednak wyciągniętą dłoń gościa.

– Robert J. Cole z Holden's Crossing w Illinois – przedstawił się Szaman. – A to moja żona, Rachel Cole.

– Doktor Cole?-Z tłumy wyszedł jakiś młody mężczyzna i przyjrzał mu się uważnie. – Nie. Jesteś za młody.

– Może znałeś mojego ojca? Mężczyzna przypatrzył mu się bacznie.

– Jesteś tym głuchym chłopcem?... To ty, Szaman?

– We własnej osobie.

– Ja jestem Mały Pies. Syn Księżyc i Nadchodzącego ze Śpiewem.

Szaman z radością ucisnął dłoń Małego Psa, przypominając sobie, jak się razem bawili, kiedy byli dziećmi. Rosły wódz powiedział coś w swoim języku.

– To Medi-ke, Kąsający Żółw, wódz osady Tama – poinformował ich Mały Pies. – Zaprasza was troje do swojej chaty.

Kąsający Żółw dał mu znak, aby i on wszedł do środka, pozostałym zaś nakazał, żeby się rozeszli. Chata wodza byłaciasna i

przesiąknięta swędem spalonego mięsa wiszącym w powietrzu po niedawnym posiłku. Złożone koce wskazywały postłania, w rogu zaś wisiął płócienny hamak. Twardo ubite klepisko było czysto zamieciono. Usiedli wprost na ziemi. Żona Kąsającego Żółwia – Wapansee, Małe Świątełko – podała gościom czarną kawę, hojnie osłodzoną cukrem klonowym i przyprawioną jakimiś jeszcze składnikami, które wyraźnie zmieniały smak napoju. Smakowała jak kawa, którą parzyła Makwa-ikwa. Kiedy Małe Świątełko obsłużyła ich, Kąsający Żółw coś do niej powiedział i kobieta opuściła chatę.

– Miałeś siostrę, Kobietę Ptaka – zwrócił się Szaman do Małego Psa. – Czy jest tu z wami?

– Dawno już nie żyje. Ale mam jeszcze jedną siostrę, Zieloną Wierzbę, najmłodszą z rodzeństwa. Mieszka z mężem w rezerwacie w Kansas... W Tamie-dodał Mały Pies-niema poza mną nikogo z gromady z Holden's Crossing.

Kąsający Żółw poinformował ich, korzystając z pośrednictwa Małego Psa jako tłumacza, że pochodzi z plemienia lisów. W Tamie, wyjaśnił, mieszka około dwustu Lisów i Sauków. Potem wyrzucił z gardła potok gwałtownych słów i znowu zawiesił spojrzenie na Małym Psie.

– On mówi, że rezerwaty to bardzo złe miejsca, podobne do dużych klatek. Usychaliśmy tam z tęsknoty za dawnymi czasami, za dawnymi zwyczajami. Chwytaliśmy dzikie konie, ujeżdżaliśmy je i sprzedawali za ile się dało. I składaliśmy pieniądze. Potem około stu naszych braci przybyło w te strony. Musieliśmy zapomnieć, że Rock Island nazywało się kiedyś Sauk-e-nuk i było stolicą plemienia Sauk, że Davenport nazywało się Mesquak-e-suk i było

stolicą plemienia Lisów. Świat się zmienił. Za pieniądze białych kupiliśmy tu osiemdziesiąt akrów ziemi i skłoniliśmy białego gubernatora lowy, żeby podpisał się pod aktem własności jako świadek.

Szaman kiwnął głową.

– Dobrze zrobiliście-stwierdził. Kąsający Żółw uśmiechnął się. Najwidoczniej rozumiał trochę po angielsku, przemówił jednak znowu we własnym języku, a oblicze mu sposepniało.

– Wódz mówi, że rząd wciąż udaje, że odkupił od nas nasze rozległe terytoria. Biały Ojciec grabi nasze ziemie i płaci szczepom małymi pieniążkami zamiast dużymi papierowymi pieniędzmi. Oszukuje nas nawet na tych pieniążkach, bo daje zamiast nich tanie towary i liche ozdoby, a potem oświadcza, że plemiona lisów i Sauków otrzymały już należną roczną rentę. Wielu naszych pozwala tym marnym świecidełkom gnić na ziemi. Radzimy im, żeby się głośno domagali zapłaty w pieniądzach, a potem przyjechali tutaj i kupili więcej ziemi.

– Czy macie jakieś kłopoty z białymi sąsiadami? – zapytał Szaman.

– Żadnych – odparł Mały Pies, po czym wysłuchał tego, co ma do powiedzenia Kąsający Żółw. – On mówi, że nie jesteśmy dla nikogo zagrożeniem. Kiedy nasi ludzie udają się na handel, blade twarze wtykają monety w korę drzew i mówią im, że będą mogli wziąć sobie te pieniądze, jeśli w nie trafią z łuku. Niektórzy z naszych uważają to za zniewagę, lecz Kąsający Żółw na te zabawy pozwala. – Wódz odezwał się znowu, a Mały Pies uśmiechnął się na jego słowa.-On mówi, że dzięki temu niektórzy z wojowników zachowują wprawę w strzelaniu z łuku.

Wróciła Małe Świątełko, prowadząc mężczyznę w postrzępionej bawełnianej koszuli i poplamionych brązowych spodniach z wełny. Głowę miał obwiązaną czerwoną chustką. Mały Pies powiedział, że to Nepepaqua, Chodzący we Śnie, czarownik z plemienia Sauk. Chodzący we Śnie nie tracąc czasu przystąpił od razu do rzeczy.

– Ta kobieta mówi, że jesteś lekarzem.

– Istotnie.

– To dobrze. Czy mógłbyś pójść ze mną?

Szaman skinął głową. Wyszli oboje z Rachel, zostawiając Charlesa Keysera popijającego kawę w towarzystwie Kąsającego Żółwia. Zatrzymali się tylko na chwilę, żeby Szaman mógł wziąć swoją torbę lekarską, „święte zawiniątko” otrzymane w darze od Sauków, po czym pośpieszyli za czarownikiem.

Idąc przez wieś Szaman wypatrywał zapisanych we wspomnieniach znajomych widoków. Nie dostrzegął nigdzie tipi, z tyłu za chatami dojrzał jednak kilka hedonoso-te. Indianie ubrani byli przeważnie w znoszoną odzież białych. Tak jak zapamiętał, nosili mokasyny, choć wielu miało na nogach robocze buciory i buty wojskowe.

Chodzący we Śnie zaprowadził ich do chaty na końcu wsi. W środku widać było na posłaniu chuda dziewczyna, trzymając się oburącz za wyduęty brzuch. Jej oczy powlekał szklisty blask, wyglądała na bliską postradania zmysłów. Na pytania nie odpowiadała, tętno miała szybkie i skaczące. Szamana ogarnęłyżłe przeczucia, gdy jednak ujął jej dłonie, wyczuł w nich energię żywotną silniejszą, niż mógł się spodziewać.

Chodzący we Śnie powiedział, że młoda kobieta to Watwaweiska, Skacząca Wiewiórka, żona jego brata. Czas na jej

pierwszy poród przyszedł na nią poprzedniego dnia rano. Już wcześniej wybrała sobie w lesie suche, ustronne miejsce o miękkiej ściółce i tam się udała. Ostre bóle powracały falami, więc kucnęła, jak nauczyła ją matka. Wody odeszły, zmoczyła sobie nogi i sukienkę, lecz potem nic się nie działo – bóle nie ustępowały, a dziecko z niej nie wychodziło. Po zapadnięciu nocy kobiety zaczęły jej szukać, znalazły ją i przyniosły tutaj.

Chodzący we Śnie nie potrafił pomóc szwagierce.

Szaman zdjął z niej przepoconą sukienkę. Dziewczyna była bardzo młoda. Miała drobne, choć nabrzmiąte teraz mlekiem piersi i wąską miednicę. Rozwarcie sromu było prawidłowe, ale nie pojawiła się w nim jeszcze główka dziecka. Szaman delikatnie uciskał palcami powłokę jej brzucha, po czym wyjął stetoskop, podał jego końcówki Rachel i w kilku miejscach przystawił dzwon słuchawki do brzucha Skaczącej Wiewiórki. Dźwięki, które opisała mu żona, potwierdziły przypuszczenia, do jakich doszedł na podstawie świadectwa zmysłów wzroku i dotyku.

– Dziecko ułożone jest nieprawidłowo.

Wyszedł z namiotu i zapytał, gdzie mógłby się umyć w czystej wodzie. Chodzący we Śnie zaprowadził go nad płynący wśród drzew strumień i przyglądał się z zaciekawieniem, jak Szaman namydla sobie ręce szarym mydłem, po czym szoruje dłonie i ramiona po łokcie.

– To należy do leczenia – powiedział Chodzącemu we Śnie, na co ten wziął od niego mydło i również wyszorował ręce.

Po powrocie do chaty Szaman wydobył słoik z czystym smalcem i natłuścił sobie dłonie. Najpierw wsunął w kanał porodowy jeden palec, potem drugi, jakby próbował rozewrzeć czyjaś zaciśniętą

pięść. Powoli wsuwał palce coraz głębiej. Zrazu nie wyczuwał nic, aż nagle rodzącą chwyciły skurcze i zaciśnięta pięść rozwarła się z lekka. Palce Szamana dotknęły stopki niemowlęcia, okręconej, jak się zorientował, sznurem pępowiny. Wyczuł, że jest mocna, lecz bardzo napięta, nie próbował więc wyplątać z niej stopki, póki nie ustąpi skurcz porodowy. Dopiero wtedy, posługując się dwoma tylko palcami, odwinął ostrożnie pępowinę i pociągnął za stopkę.

Druga stopa uwięzła wyżej, wparta w ściankę pochwy. Udało mu się dosięgnąć jej w czasie kolejnego skurczu i pociągnąć w dół, póki z pierworódki nie wyjrzały obie drobne, czerwone stopki. Potem wyłoniły się nóżki, wnet zaś mogli się przekonać naocznie, że noworodek jest płci męskiej. Następnie wynurzył się jego brzusek, wlokąc za sobą sznur pępowiny. Ów proces wyłaniania się z łona matki został jednakże zahamowany, gdy w pochwie, niczym korek w szyjce butelki, utknęły ramiona i główka noworodka.

Szaman nie mógł go dalej wyciągać, nie mógł też wsunąć ręki głębiej, żeby ciało matki nie zatkało przypadkiem nozdrzy dziecka. Klęcząc z palcami w pochwie położnicy szukał gorączkowo jakiegoś rozwiązania. Bał się, że malec się udusi.

Chodzący we Śnie trzymał w kąciku chaty swoje „święte zawiniątko”, z którego wyjął teraz długie na cztery stopy pnące zakończone czymś, co przypominało do złudzenia płaski, odrażający łeb jadowitego węża z czarnymi paciorkami oczu i zębami z włókna. Czarownik manipulował „wężem” w taki sposób, że zdawał się on pełznąć w górę po ciele Skaczącej Wiewiórki, póki jego pysk na gnącej się szyi nie zbliżył się do jej twarzy. Chodzący we Śnie coś przy tym śpiewał w ojczystym języku, ale Szaman nie usiłował



nawet odczytywać słów z jego warg. Obserwował Skaczącą Wiewiórkę.

Źrenice oczu dziewczyny wlepionych w węża rozszerzyły się mocno. Czarownik wykręcił następnie gada i ten popęzł w stronę jej brzucha, aż znalazł się nad miejscem, gdzie uwięzło rodzące się dziecko.

Szaman poczuł w pochwie gwałtowne skurcze.

Zauważył, że Rachel otworzyła usta, chcąc zaprotestować, i przestrzegł ją przed tym spojrzeniem.

Kły gada dotknęły brzucha Skaczącej Wiewiórki, w tej samej chwili Szaman poczuł, jak jej kanał rodny się otwiera. Zaczęła przecz taką siłą, że dziecko niemal samo się z niej wyśliznęło przy niewielkiej tylko pomocy akuszerki. Zasinione wargi i policzki zaczęły w oczach nabierać kolorów. Szaman drżącym palcem oczyścił ze śluzu małe usta. Drobną twarzą skrzywiła się z niesmakiem, usta się otworzyły. Czuł, jak brzusek dziecka zapada się przed nabraniem powietrza, i wiedział, że pozostali usłyszeli w tej chwili jego wysoki, przenikliwy płacz. Prawdopodobnie w tonacji d-moll, mały brzusek wibrował bowiem dokładnie tak samo jakpianino Lillian, kiedy Rachel uderzała w czarny, piąty od końca klawisz.

Obaj z czarownikiem wrócili nad strumień, aby się umyć. Chodzący we Śnie sprawiał wrażenie zadowolonego, Szaman był zamyślony. Przed wyjściem z chaty jeszcze raz obejrzał pnące, chcąc się upewnić, że to tylko łodyga rośliny.

– Dziewczyna bała się, że wąż pożre jej dziecko, więc urodziła, żeby je ocalić, czy tak?

– Pieśń mówi, że wąż to zły manitu. Jej pomógł dobry manitu.

Szaman pojął znaczenie tej lekcji: medycyna naukowa nie jest w stanie przekroczyć pewnych granic. Poza nimi zyskuje potężne wsparcie, jeśli pacjent wierzy w jakąś wyższą moc i w niej pokłada zaufanie. W tym kryła się przewaga, jaką miał nad nim -praktykiem takiej medycyny-czarownik: Chodzący we Śnie był nie tylko lekarzem, ale i kapłanem.

– Czy jesteś szamanem?

– Nie. – Indianin popatrzył na niego. – Słyszałeś o Namiotach Mądrości?

– Makwa mówiła nam o siedmiu.

– Tak, jest ich siedem. W pewnych dziedzinach osiągnąłem Namiot czwarty, w większości jednak dopiero pierwszy.

– Czy będziesz kiedyś szamanem?

– A kto mnie nauczy? Wabokieshiek nie żyje. Makwa-ikwa nie żyje. Plemiona są w rozproszeniu, nie ma już Midewiwin. Kiedy byłem młody i chciałem zostać zaklinaczem duchów, usłyszałem o pewnym starcu z plemienia Sauk, który był prawie szamanem i mieszkał w Missouri. Odnalazłem go, spędziłem u niego blisko dwa lata. Zmarł jednak przedwcześnie na wysypkę z gorączką. Teraz szukam starców, żeby się od nich uczyć, ale zostało ich już niewiele, zresztą przeważnie nie mają wiedzy. Nasze dzieci uczą się w rezerwatach języka angielskiego. Nie ma już Siedmiu Namiotów Mądrości...

On stwierdza, uświadomił sobie naraz Szaman, że nie ma akademii medycznych, do których mógłby słać podania. Plemiona Sauków i lisów przetrwały jako przeżytki, ograbione z religii, ze sztuki lekarskiej, z przeszłości.

Stanęła mu nagle przed oczyma zatrważająca wizja: hordy zielonoskórych najeżdżają kraj i tępią rasę białych. Przeżywa jedynie garstka prześladowanych na każdym kroku niedobitków, a z dawnej cywilizacji pozostają tylko dalekie, cichnące echa nauk Hipokratesa, Galena, Awicenny, Jahwe, Apollona i Jezusa.

Wyglądało na to, że nowina o narodzinach dziecka lotem strzały obiegła całą wieś. Indianie nie należeli do ludzi wylewnych, mimo to Szaman wyczuwał ich wdzięczność, gdy obok któregoś przechodził. Podszedł do niego Charles Keyser i zwierzył mu się, że przypadek tej dziewczyny był podobny do porodu, podczas którego rok wcześniej umarła jego żona.

– Lekarz nie dotarł w porę. Jedyną kobietą w pobliżu była moja matka, a ona, biedna, znała się na tym niewiele lepiej ode mnie.

– Nie powinien pan obwiniać siebie. Zdarza się, że nie potrafimy komuś pomóc. Czy dziecko także umarło?

Keyser potaknął.

– Ma pan inne dzieci?

– Dwie dziewczynki i chłopca.

Szaman domyślił się, że jednym z powodów, dla których Keyser przyjeżdżał do Tamy, była chęć znalezienia sobie żony. Miejscowi znali go najwyraźniej i lubili. Kilku z mijających ich Indian pozdrowiło go, tytułując Farmerem Charliem.

– Dlaczego tak pana nazywają? Przecież oni też są farmerami?

Keyser się roześmiał.

– Nie takimi jak ja. Ojciec zostawił mi czterdzieści akrów najżyźniejszego czarnoziemiu. Drugiego takiego nie znajdzie pan w całej Iowie. Obsiewam osiemnaście akrów, głównie pszenicą ozimą. Kiedy tu pierwszy raz przyjechałem, usiłowałem nauczyć tych ludzi

uprawy roli. Trochę potrwało, zanim zrozumiałem, że oni nie są ciekawi metod gospodarowania białego człowieka. Cwaniacy, którzy im sprzedali te grunty, sądzili pewnie, że ich oszukali, bo to marna ziemia. Ale oni gromadzą chrust, zielsko i śmiecie na małych półkach i pozwalają temu gnić, nieraz przez długie lata. Potem sieją w to nasiona, używając do tego nie pługów, a sadzalców. Z tych ogródków mają jedzenia w bród. W okolicy aż się roi od drobnej zwierzyny, a w rzece łowa od ryb.

– A więc znaleźli tu naprawdę to, czego szukali: żyją po dawnemu – zauważył Szaman.

Keyser przytaknął.

– Chodzący we Śnie podobno prosił pana, by obejrzał pan kilku chorych. Z radością bym panu w tym pomógł, doktorze Cole.

Szaman miał już za asystentów Rachel i Chodzącego we Śnie. Domyślił się jednak, że choć Keyser nie różni się wyglądem od innych mieszkańców Tamy, nie czuje się tutaj jak u siebie w domu i szuka towarzystwa innych przybyszów z zewnątrz. Odrzekł więc, że chętnie przyjmuje jego pomoc.

Chodzili we czwórkę od chaty do chaty niczym jakaś osobliwa procesja, wnet jednak okazało się, że wzajemnie się uzupełniają: czarownik zapewniał ich małemu orszakowi dobre przyjęcie i wyśpiewywał zaklęcia; Rachel nosiła ze sobą torbę ze słodyczami, przydawała się więc szczególnie do pozyskiwania zaufania dzieci; w wielkich jak bochny dłoniach Charleya Keysera kryła się łagodna siła, pozwalająca mu, gdy zachodziła taka potrzeba, skutecznie unieruchomić pacjentów.

Szaman wyrwał pewną liczbę ropiejących zębów, nagradzany widokiem pacjentów plujących co prawda krwią, ale

uśmiechniętych, gdyż zniknęło nagle źródło nieustannego bólu. Przecinał czyraki, odjął zakażony poczerniały palec u nogi. Rachel na życzenie męża przystawiała dzwonek stetoskopu do piersi chorych dręczonych kaszlem. Niektórym podawał syrop, inni wszakże cierpieli na suchoty, był więc zmuszony powiedzieć Chodzącemu we Śnie, że tym już pomóc nie może. Zbadał też pół tuzina mężczyzn i kilka kobiet otępiejących od alkoholu. Czarownik poinformował go, że byłoby takich więcej, gdyby tylko mogli zdobyć whisky.

Szaman zdawał sobie sprawę, że znacznie więcej czerwonoskórych wytepiły choroby białych niż ich kule. Szczególnie obfite żniwo zbierała wśród plemion leśnych i mieszkających na prerii ospa, wziął więc ze sobą do Tamy drewniane pudełeczko wypełnione do połowy strupami ospy krowiej.

Chodzący we Śnie był wyraźnie przejęty, kiedy biały lekarz powiedział mu, że posiada lek zapobiegający ospie. Szaman dołożył starań, by wyjaśnić możliwie najdokładniej następstwa po zastosowaniu tego środka. Będzie nacinał im skórę na rękach, a następnie wtykał w te skaleczenia skrawki strupów po ospie krowiej. Po jakimś czasie w miejscu zakażonym wyskoczy czerwony swędzący bąbel wielkości ziarenka grochu, który zmieni się potem w szary wrzód o kształcie pępka, otoczony rozległym twardym zaognieniem. Większość spośród zaszczepionych będzie po tym zabiegu chorowała przez około trzy dni na krowiankę, chorobę znacznie od ospy łagodniejszą, co ich uodporni na tamtą śmiertelną chorobę. Zaszczepieni mogą cierpieć na bóle głowy i gorączkować. Po krótkiej chorobie wrzód powiększy się, przysychając zaś –

pociemnieje. Strup odpadnie po około dwudziestu jeden dniach, pozostawiając wklęsłą różową bliznę.

Szaman poprosił Chodzącego we Śnie, żeby wyjaśnił to mieszkańcom Tamy i upewnił się, czy chcą być w ten sposób leczeni. Czarownik prędko wrócił. Wszyscy chcą być zaszczepieni przeciwko ospie, poinformował, przystąpili więc do szczepienia całej wioski.

Zadaniem Chodzącego we Śnie było pilnowanie, by kolejka czekających do białego lekarza pacjentów posuwała się bez zakłóceń, i upewnienie się, czy wszyscy sobie zdają sprawę, czego się mają spodziewać. Rachel siedziała na pniaku i dwoma skalpelami urzywała kawałki strupów krowianki, które wyjmowała z drewnianego pudełeczka. Charlie Keyser ujmował lewą rękę każdego z podchodzących pacjentów i podnosił ją do góry wewnętrzną stroną przedramienia, najmniej narażoną na przypadkowe uderzenie bądź zadrapanie. Szaman ostrym skalpelem nacinał płytko ramię, po czym wciskał w ranę obrzynek chropawego strupa.

Nie był to zabieg skomplikowany, lecz wykonywać go należało starannie, toteż kolejka posuwała się powoli. O zachodzie słońca Szaman ogłosił przerwę. Do szczepienia czekała jeszcze czwarta część mieszkańców Tamy, ogłosił jednak, że gabinet lekarski jest już zamknięty, niech przyjdą jutro.

Chodzący we Śnie miał instynkt kaznodziei baptystów: dla uczczenia gości zwołał tego wieczora zgromadzenie mieszkańców wioski. Ułożono na polanie stos drewna i rozpalono uroczyste ognisko, a wszyscy zasiedli wokół niego na ziemi.

Szaman znalazł się po prawicy Chodzącego we Śnie. Między nim a Rachel usiadł Mały Pies, aby im służyć za tłumacza. Szaman zauważył, że Charlie ulokował się obok szczupłej, uśmiechniętej kobiety; od Małego Psa dowiedział się, że to wdowa z dwoma małymi synkami.

Chodzący we Śnie zwrócił się do Szamana z prośbą, aby im opowiedział o tej, która była ich szamanem, o Makwa-ikwie.

Szaman był świadom, że zebrani wiedzą więcej od niego o masakrze nad Bad Ax. To, co się zdarzyło u ujścia tej rzeki do Missisipi, opowiadano już im pewnie przy tysiącu ognisk i dalej będzie się opowiadało. Powiedział więc tylko, że wśród ofiar Długich Noży znajdował się mężczyzna o imieniu Zielony Bawół (imię to Chodzący we Śnie przetłumaczył jako Ashtibugwagupichee) oraz kobieta o imieniu Przymierze Rzek, Matapya. Dalej opowiedział, jak ich dziesięcioletnia córka Nishwri Keka-wi, Dwa Nieba, wyniosła swojego małego braciszka spod ognia strzelb i dział wojska Stanów Zjednoczonych – trzymając go w zębach za fałdkę skóry na karku, żeby nie utonął, popłynęła z nim w dół Masesibowi; jak Dwa Nieba znalazła swoją siostrę, Wysoką Kobietę, i jak trójka dzieci skryła się w krzakach niczym zajęce, i jak potem znaleźli je tam żołnierze; jak jeden z żołnierzy zabrał zakrwawionego malca, po którym przepadł odtąd wszelki ślad; jak obie dziewczynki z plemienia Sauk zawieziono do chrześcijańskiej szkoły w Wisconsin, gdzie Wysoka Kobieta zaszła w ciążę z misjonarzem, w roku 1832 została oddana na służbę na farmę białych za Fort Crawford i nikt jej od tamtej pory nie widział; jak dziewczynka o imieniu Dwa Nieba uciekła ze szkoły i przedostała się do Prophestown, gdzie szaman Biała Chmura, Wabokieshiek,

wziął ją do swojej chaty i przeprowadził przez Siedem Namiotów Mądrości, i dał jej nowe imię, Makwa-ikwa, Niedźwiedzica. Na koniec powiedział słuchaczom, że Makwa-ikwa była szamanem swojego plemienia aż do dnia, gdy w roku 1851 zgwałcili ją i zamordowali w Illinois trzech biali mężczyźni.

Zebrani słuchali w powadze i skupieniu. Nikt nie płakał. Przywykli do takich potwornych opowieści o tych, których kochali.

Bęben wodny, przekazywany z rąk do rąk, dotarł w końcu do Chodzącego we Śnie. Nie był to bęben Makwa-ikwy, gdzieś zgubiony, kiedy Saukowie opuścili Illinois, Szaman stwierdził jednak, że jest do tamtego podobny. Wraz z bębnem przechodziła z rąk do rąk pałeczka. Chodzący we Śnie ukląkł przed instrumentem i zaczął bębnić kaskadami po cztery rytmiczne uderzenia, śpiewając: Ne-nye-ma-wa-wa, Ne-nye-ma-wa-wa, Ne-nye-ma-wa-wa, Ke-ta-ko-ko-na-na.

Uderzam cztery razy, Uderzam cztery razy, Uderzam cztery razy, Cztery razy uderzam w nasz bęben.

Szaman rozejrzył się dokoła i spostrzegł, że zebrani wtórują czarownikowi w śpiewie, a wielu z nich potrząsa w rytm muzyki trzymanymi w obu rękach tykwami tak samo jak on, będąc chłopcem, potrząsał na lekcjach muzyki kamykami w pudełku po cygarach.

Ke-te-ma-ga-yo-se lye-ya-ya-ni, Ke-te-ma-ga-yo-se lye-ya-ya-ni, Me-to-se-ne-ni-o lye-ya-ya-ni, Ke-te-ma-ga-yo-se lye-ya-ya-ni.

Pobłogosław, kiedy się zjawisz, Pobłogosław, kiedy się zjawisz, Pobłogosław ten lud, gdy się zjawisz, Pobłogosław go, kiedy się zjawisz.



Szaman nachylił się i położył dłonie na bębnie tuż poniżej naciągniętej na jego otwór skórzanej membrany. Kiedy Chodzący we Śnie uderzał w instrument, Szaman miał wrażenie, że trzyma w rękach grom. Podniósłszy zaś wzrok na usta czarownika stwierdził z radością, że ten śpiewa teraz pieśń, którą on zna – jedną z pieśni Makwy – zaśpiewał więc razem ze wszystkimi:…Wi-a-ya-ni,Ni-na ne-gi-se ke-wi-to-se-me-ne ni-na.

…Dokądkolwiek ty, synku, Tam idę i ja.

Ktoś przyniósł kłodę drzewa i cisnął ją w ogień. Z ogniska trysnął w czarne niebo słup żółtych iskier. Żar ognia zlał się z żarem nocy i Szamanowi zakręciło się w głowie, poczuł osłabienie i ogarnęła go jakaś omdlałość. Zatroaskał się o żonę, zerknąwszy zaś na nią skonstatował, że jej matka wpadłaby w złość, gdyby ją teraz ujrziała. Rachel siedziała z gołą głową, włosy miała potargane i zmierzwione, jej twarz lśniła od potu, a oczy błyszczały uniesieniem. Nigdy nie wydawała mu się bardziej kobieca, bardziej ludzka i ponętna. Dostrzegła jego spojrzenie, uśmiechnęła się i wychyliła ku niemu zza Małego Psa. Człowiek słyszający nie wyłowiłby jej głosu z ogłuszającego łoskotu bębna i śpiewu dziesiątków gardeł, ale Szaman bez trudu odczytał z jej warg słowa. „To jest warte tyle co spotkanie bizona!”

Nazajutrz nie budząc żony wymknął się wcześniej z namiotu i wykapał się w rzece Iowa, nad której lustrem śmigały jaskółki w pogoni za muszkami, a pod powierzchnią przepływały u jego stóp małe łososie o matowozłoty łuskach.

Było tuż po wschodzie słońca. We wsi nawoływały się i pokrzykiwały do siebie dzieci, przechodząc zaś wśród chat widział bosa kobiety i paru mężczyzn uprawiających w porannym chłodzie

spłachetki ogródków. Na skraju wsi spotkał się twarzą w twarz z Chodzącym we Śnie. Przystanęli obaj i wdali w pogawędkę, niczym dwaj ziemianie, którzy zeszli się na porannym obchodzie swoich włości.

Czarownik jął go wypytywać o pogrzeb i grób Makwa-ikwy. Szaman odpowiadał z oporami.

– Byłem małym chłopcem, kiedy umarła. Niewiele pamiętam – tłumaczy! się. Dzięki lekturze dziennika mógł poinformować jednak Chodzącego we Śnie, że grób Makwy wykopano z rana, pochowano ją zaś po południu, zawiniętą w jej najlepszy koc, stopami zwróconą na zachód. Razem z nią złożono do grobu ogon krowy bizona.

Chodzący we Śnie pokiwał z aprobatą głową.

– A co jest dziesięć stóp na północ od grobu? Szaman popatrzył nań ze zdziwieniem.

– Nie przypominam sobie. Nie wiem.

Na twarzy czarownika widniało napięcie. Powiedział, że ów starzec z Missouri, który był prawie szamanem, wtajemniczył go w tajniki pochówku szamanów. Chodzący we Śnie objaśnił teraz gościa, że ilekroć grzebie się szamana, cztery watawinona, złe duszki, zagnieżdżają się o dziesięć stóp na północ od jego grobu. Watawinona czuwają na zmianę: jeden zawsze stróżuje, gdy pozostałe trzy śpią. Samemu szamanowi nie są w stanie wyrządzić krzywdy, tłumaczył Chodzący we Śnie, ale dopóki pozwala im się zamieszkiwać w pobliżu grobu, Makwa-ikwa nie może używać swej mocy żyjącym, którzy ją o to proszą.

Szaman stłumił westchnienie irytacji. Może gdyby wyrastał wśród tych zabobonnych wierzeń, miałby dla nich więcej

wyrozumiałości. Już w nocy budził się i zastanawiał, jak też mają się jego pacjenci, a teraz pragnął jak najszybciej dokończyć szczepień i ruszyć w drogę powrotną na tyle wcześnie, by zdążyć przed nocą nad tamtą piękną zatoczkę, gdzie obozowali w drodze do Tamy.

– Żeby odpędzić watawinona – ciągnął Chodzący we Śnie – musisz znaleźć miejsce, gdzie śpią, i spalić je.

– Dobrze. Zrobię to – obiecał bezwstydnie Szaman. Odniósł wrażenie, że tamten odetchnął z ulgą.

Podszedł do nich Mały Pies i zapytał, czy mógłby zająć miejsce Farmera Charliego, kiedy podejmą zadrapywanie rąk. Wyjaśnił, że Keyser opuścił Tamę poprzedniej nocy, ledwie wygasło ognisko.

Szamanowi zrobiło się przykro, że Keyser odjechał tak bez pożegnania. Skinął jednak głową i zapewnił Małego Psa, że z wdzięcznością przyjmie jego pomoc.

Wcześnie zabrali się za szczepienie reszty Indian. Szło im to nieco szybciej niż poprzedniego dnia, gdyż Szaman nabrał wprawy. Już prawie kończyli, kiedy na plac pośrodku wsi wjechał wóz zaprzężony w parę gniadych koni. Powoził nim Keyser, a z wozu trójka dzieci przyglądała się z wielką ciekawością Indianom z plemienia Sauk i Lisów.

– Byłbym wdzięczny, gdyby pan zechciał i moje dzieciaki zaszczepić przeciw ospie – powiedział Charlie, na co Szaman odrzekł, że zrobi to z przyjemnością.

Kiedy już zaszczepili pozostałych mieszkańców wioski i trójkę dzieci Charliego, ten pomógł Szamanowi i Rachel spakować ich rzeczy.

– Chętnie bym kiedyś odwiedził z dziećmi grób Mak-wa-ikwy-wyznał, Szaman zaś zapewnił, że będzie u nich miłym

gościem.

Objuczenie Ulyssesa zajęło trochę czasu. Od męża Skaczącej Wiewiórki, Shemago-Włóczni – dostali w prezencie trzy pełne syropu klonowego duże dzbany po whisky, które przyjęli z wdzięcznością. Dzbany były oplecione tym samym gatunkiem winnej latorośli, z którego Chodzący we Śnie zrobił swojego węża. Kiedy Szaman przytoczył je do juków na grzbiecie Ulyssesa, postronny widz mógł odnieść wrażenie, że on i Rachel wybierają się na jakieś huczne przyjęcie.

Uścisnęli rękę Chodzącemu we Śnie i zapowiedzieli, że następnej wiosny wrócą do Tamy. Następnie pożegnali się z Charliem, z Kąsającym Żółwiem i z Małym Psem.

– Teraz ty jesteś Cawso wabeskiou – powiedział do Szamana Mały Pies.

Cawso wabeskiou, Biały Szaman. Miano owo sprawiło mu niezmierną przyjemność, wiedział bowiem, że Mały Pies nie użył go jedynie jako jego przydomka.

Wiele rąk podniosło się na ich pożegnanie. Rachel i Szaman odpowiedzieli mieszkańcom Tamy takim samym gestem pozdrowienia, po czym skierowali swoje trzy konie drogą wzdłuż rzeki.

---

## 74 Ranny ptaszek

---

Przez cztery dni po powrocie do domu Szaman wyplacał się z długu, jaki zwykle zaciągają lekarze, gdy pozwolą sobie na urlop. Jego przychodnia była każdego ranka zatłoczona chorymi, popołudniami zaś i wieczorami musiał odwiedzać tych pacjentów, którzy nie mogli wychodzić z domu, i dopiero późną nocą, półżywy ze zmęczenia, wracał z tych wizyt pod dach Geigerów.

Piątego dnia, w sobotę, napływ pacjentów począł wreszcie słabnąć, przybierając w miarę normalne rozmiary, w niedzielę rano zaś Szaman obudził się w sypialni Rachel z rozkoszną świadomością, że będzie mógł nareszcie nieco wytchnąć. Wstał jak zwykle przed resztą domowników, pozbierał sztuki odzieży, zszedł na dół i ubrał się cicho w saloniku, po czym wymknął się na dwór frontowymi drzwiami.

Ruszył Długą Ścieżką i zatrzymał się w miejscu w lesie, gdzie robotnicy Oscara Ericssona wycięli już drzewa pod nowy dom i stodołę. Nie było to dokładnie to samo miejsce, o którym Rachel roiła w dziewczęcych marzeniach. Niestety, marzenia młodych dziewcząt nie uwzględniają potrzeb kanalizacji. Ericsson obejrzał sobie to miejsce wymarzone i pokręcił głową. Wybrali wreszcie stosowniejszą lokalizację o sto jardów dalej, co Rachel uznała za niewielkie odstępstwo od marzeń. Szaman poprosił teścia o zgodę na wykupienie tego placu, ale Jay uparł się, że to prezent ślubny od niego. Szaman i Jay okazywali sobie jednak w tym czasie niezwykłą serdeczność i wyjątkowe względy, toteż i ta kwestia sporna miała znaleźć polubowne rozwiązanie.

Na placu budowy szpitala Szaman stwierdził, że wykopy pod fundamenty zostały już prawie ukończone. Piętrzące się wokół dołu sterty ziemi przypominały gigantyczne mrowiska. Wykopy

wydawały mu się zbyt małe pod gmach szpitala, lecz Ericsson wytłumaczył mu, że zawsze sprawiają takie wrażenie. Fundamenty miały być z szarego kamienia z kamieniołomów za Nauvoo, który miano przywieźć na barkach w górę Missisipi do Rock Island, a stamtąd na plac budowy zaprzężonymi w woły wozami – to trudne zamierzenie napawało Szamana troską, przedsiębiorca budowlany oczekiwał go wszakże ze spokojem.

Szaman ruszył spacerkiem w stronę rodzinnego domu, który Alex miał wkrótce opuścić, następnie skręcił w Krótką Ścieżkę. Starał się wyobrazić sobie pacjentów przybywających do kliniki wodą i tą właśnie drogą idących od rzeki. Trzeba tu będzie to i owo zmienić. Przyjrzał się łaźni parowej, która nieoczekiwanie stała się zawalidroga. Postanowił sporządzić dokładny rysunek ułożenia wszystkich składających się na nią płaskich kamieni, a następnie rozebrać parówkę i odbudować ją za nową stodołą, żeby Joshua i Hattie również zaznali rozkoszy siedzenia w nieznośnym gorącu, dopóki tylko się da, a potem, gdy nie sposób już dłużej wytrzymać, jak po ratunek puszczania się biegiem do rzeki i skakania w jej nurt.

Znalazłszy się przy grobie Makwy stwierdził, że drewniana tablica nagrobna tak spękała i odbarwiła się, że niepodobna odcyfrować wyrytych na niej runicznych symboli. Zachowały się one jednak w jednym z zeszytów dziennika, postanowił więc postawić tablicę z trwalszego tworzywa i otoczyć grób barierką, żeby nie zakłócano jego spokoju.

Wzgórek zarastały obecnie wiosenne chwasty. Wyrrywając wiechlinę łąkową i preriowy szczaw, które wdarły się między kępy liliowca, Szaman złapał się w pewnej chwili na tym, że przemawia

do Makwy, informując ją, że część jej ludu mieszka bezpiecznie w Tamie.

Zimna złość, jaka nań wcześniej biła z tego miejsca – choćby i pochodziła z głębi jego jestestwa – zniknęła. Teraz czuł już tylko spokój. Chociaż...

Coś jeszcze pozostało do zrobienia.

Przez chwilę stał tam i walczył z opanowującym go nakazem, po czym ustalił kierunek północny i licząc kroki oddalił się od grobu.

Dziesiąty wypadł w samym środku ruin hedonoso-te. Długa chata rozpadła się przez te lata do szczętu i przeistoczyła w niski, bezładny stos wąskich bali i płatów butwiejącej kory, poprzerastanych trawą i dzikim indygowcem.

Nie miałoby sensu, tłumaczyć sam sobie, odnawianie grobu, przenoszenie łaźni, gdyby miała tu zostać ta szpetna ruina. Poszedł ścieżką do stodoły, gdzie stał duży dzban z naftą do lampy, prawie jeszcze pełny. Wziął go i opróżnił nad rumowiskiem. Składające się na nie szczątki były mokre od rosy, siarczana zapałka zajęła się jednak przy pierwszym potarciu, nafta się zapaliła i buchnął ogień.

Po chwili hedonoso-te zniknęło pod żółtoniebieskimi ruchliwymi płomieniami i w górę wzbił się słup szaroburego dymu, który następnie, porwany wiatrem, rozwiął się nad rzeką.

Naraz, niczym pękający czyrak, trysnął z pogorzeli gryzący kłęb czarnego dymu i pierwszy demon, ten, który właśnie czuwał, zerwał się do lotu. Szaman wyobraził sobie pełen furii, wezbrany syczącą skargą pojedynczy diabelski krzyk. Kolejno, tak niegrzecznie obudzone, porwały się do ucieczki również pozostałe trzy złośliwe diablęta i niczym wygłodniałe drapieżne ptaki porzucające

smakowite ścierwo watawinona odfrunęły w gniewie na skrzydłach oburzonego dymu.

Z pobliskiego grobu doleciał Szamana szmer podobny do westchnienia.

Stał w pobliżu ognia, lizany jego żarem niczym przy ognisku podczas uroczystości Sauków, i usiłował wyobrazić sobie, jak wyglądało to miejsce, kiedy jego ojciec, Rob J. Cole, ujrzął je po raz pierwszy: bezkresne przestwory prerii, ciągnące się do lasu i schodzące do rzeki. Myślał też o ludziach, którzy tu mieszkali, o Makwie, o Księżyc, o Nadchodzącym ze Śpiewem... O Aldenie... Ogień dopalał się i przygasał, a on śpiewał sobie w myśli: Tłi-la-ye ke-wi-ta-mo-ne i-no-ki-i-i, ke-te-ma-ga-yo-se. Zwracam się do was duchy, pobłogosławcie mnie.

Wkrótce nad płytką warstwą zgłiszcz snuły się już tylko wąskie wstążki dymu. Wiedział, że niedługo na tym miejscu wyrośnie trawa i nawet ślad nie zostanie po hedonoso-te.

Kiedy można już było bezpiecznie zostawić pogorzelnisko, odniósł dzban do stodoły i ruszył w stronę domu. Na DługiejŚcieżce spotkał wkrótce naburmuszoną ósóbkę, która wyszła go szukać. Hattie usiłowała uciec bratu, a ten upadł i stłukł sobie kolano. Mimo to kuśtykał za nią nieustępliwie, zapłakany i zasmarkany.

Szaman wytarł chusteczką nos Joshui i pocałował zadrapane kolano. Obiecał, że gdy wrócić do domu, pieczołowiciej je opatrzy. Posadził sobie Hattie na barana, Joshuę wziął na ręce i ruszył w drogę. Te dwa małe dobre skrzaty zagięły parol na jego duszę i były to jedyne duszki na świecie, które się dla niego liczyły. Hattie pociągnęła go za uszy, żeby szedł szybciej, ruszył więc stępa jak Truda. A kiedy szarpnęła go za uszy tak mocno, aż zabolalo,



przycisnął Joshuę do jej kolan, żeby nie spadła, i puścił się kłusem jak Boss. Z kłusa przeszedł w galop i cwałował tak w rytm nowej, pięknej, porywającej muzyki, której nikt poza nim nie słyszał.

---

---

[9] Miedzianogłowi (ang. copperheads) – tak nazywano mieszkańców Północy, którzy podczas wojny secesyjnej sekretnie sympatyzowali z Południem.

[10] Magiczny miecz króla Artura. Ranny w bitwie król rozkazał wrzucić go po swojej śmierci do jeziora. Z wód jeziora wynurzyła się wtedy ręka, chwyciła miecz i na powrót skryła się w toni.

[11] W latach 1861-1865 prezydent Skonfederowanych Stanów Ameryki.

---

## Podziękowania i nota od autora

---

Indianie z plemion Sauk i lisów nadal mieszkają w Tamie w stanie Iowa na ziemi, która jest ich własnością. Zakupioną pierwotnie działkę o powierzchni osiemdziesięciu akrów znacznie od tamtej pory powiększyli. Nad rzeką Iowa, na obszarze o powierzchni 3 500 akrów, mieszka obecnie pięciuset siedemdziesięciu pięciu rodowitych Amerykanów. Latem roku 1987 odwiedziłem osadę Tama w towarzystwie mojej żony Lorraine. Odpowiedzi na moje pytania cierpliwie udzielali Don Wanatee, ówczesny przewodniczący Rady Szczepu, i Leonard Young Bear (Leonard Młody Niedźwiedź), wybitny ludowy artysta amerykański. Podobną cierpliwość okazali mi w przeprowadzonych później rozmowach obecna przewodnicząca Rady Szczepu, Muriell Racehill (Muriell Biegająca po Wzgórzach), i Charlie Old Bear (Charlie Stary Niedźwiedź).

Wydarzenia wojny Czarnego Jastrzębia starałem się przedstawić możliwie jak najwierniej. Indiański wódz znany jako Czarny Jastrząb (jego imię, Makataime-shekiakiak, w języku plemienia Sauk znaczy dosłownie Czarny Krogulec) jest postacią historyczną. Żył również naprawdę szaman Wabokieshiek, Biała Chmura. Przeistacza się on w mojej powieści w postać fikcyjną dopiero od

momentu spotkania z dziewczynką, która miała stać się Makwiką, Niedźwiedzicą.

Co się tyczy przeważającej części użytego w tej powieści słownictwa Sauków i Lisów, to polegałem na wczesnych publikacjach Wydziału Etnologii Amerykańskiej przy Smithsonian Institution.

Początki organizacji dobroczynnej znanej jako Boston Dispensary wyglądały niemal dokładnie tak, jak je tu opisałem. Z przysługującego autorowi prawa do swobody w manipulowaniu faktami skorzystałem w kwestii uposażeń lekarzy wizytujących. Sama wysokość płac jest autentyczna, ale wynagrodzenie zaczęto im wypłacać dopiero w roku 1842, a więc kilka lat po tym, gdy biednych leczył tam Rob, otrzymując za to zapłatę. Do roku 1842 posada lekarza w Boston Dispensary była czymś w rodzaju niepłatnego stażu. Warunki życia nędzarzy były jednak tak ciężkie, że młodzi medycy podnieśli bunt. Najpierw zażądali zapłaty, a potem w ogóle odmówili wizyt domowych u pacjentów w slumsach. Wobec tego Boston Dispensary zainstalowała się w dzielnicy biedoty jako klinika i odtąd to pacjenci chodzili do lekarzy, a nie odwrotnie. Kiedy jako redaktor naukowy starej bostońskiej „Herald”, czyli u schyłku lat 50. i na początku 60., pisałem o Boston Dispensary, instytucja ta rozrosła się do rozmiarów stałego szpitala klinicznego i wraz z Pratt Diagnostic Clinic, Floating Hospital for Infants and Children oraz Tufts Medical School tworzyła luźno powiązaną jednostkę administracyjną: Tufts-New England Medical Center. W roku 1965 te części składowe połączyły się i zlały w obecną szacowną instytucję znaną jako Szpitalne Centrum Medyczne Nowej Anglii. Były archiwista tej

instytucji, David W. Nathan, i Kevin Richardson z jej Wydziału Spraw Zewnętrznych służyli mi informacjami i dostarczyli materiałów historycznych.

Nieoczekiwane bogate źródła informacji i inspiracji odkryłem w czasie pracy nad „Szamanem” w swoim bezpośrednim otoczeniu, za co składam wyrazy wdzięczności przyjaciołom, sąsiadom i mieszkańcom naszego miasteczka.

Edward Gulick zechciał służyć mi informacjami na temat pacyfizmu i opowiedział o Elmirze w stanie Nowy Jork. Elizabeth Gulick podzieliła się ze mną swoją wiedzą o Stowarzyszeniu Przyjaciół i udostępniła mi niektóre ze swoich prac o sekcje kwaków. Don Buckloh, konserwator przyrody przy Departamencie Rolnictwa Stanów Zjednoczonych, udzielił mi odpowiedzi na pytania dotyczące pionierskich farm na Środkowym Zachodzie. Jego żona, niegdyś siostra Miriam z zakonu karmelitanek bosych, dostarczyła mi szczegółowych wiadomości o katolicyzmie i dniu codziennym zakonu.

Donald Fitzgerald pożyczył mi podręczniki i sprezentował kopię dziennika z czasów wojny secesyjnej pióra swego pradziadka, Johna Fitzgeralda, który w wieku lat szesnastu przebył na piechotę liczący dwadzieścia pięć mil odcinek Szlaku Mohawków z Rowe w Massachusetts do Greenfield, żeby się zaciągnąć do wojsk Unii. John Fitzgerald walczył w 28 Pułku Ochotniczym z Massachusetts, potem dostał się do niewoli konfederatów i przeżył kilka obozów jenieckich, między innymi Anderson-ville<sup>[12]</sup>.

Theodore Bobetsky, który przez całe życie parał się farmerką i którego ziemie graniczą z naszymi, dostarczył mi informacji na temat szlachtowania zwierząt. Mecenas Stewart Eisenberg podzielił

się ze mną wiadomościami o praktyce zwolnień za kaucją stosowanej przez dziewiętnastowieczne sądy, a Nina Heiser zechciała wypożyczyć mi swój zbiór książek o rodowitych Amerykanach.

Walter A. Whitney Jr. udostępnił mi kopię listu napisanego 22 kwietnia 1862 roku przez Addisona Gravesa do ojca, Ebenezera Gravesa Jr. z Ashfield w stanie Massachusetts. List dotyczy przeżyć Addisona Gravesa jako ochotniczego pielęgniarza na okręcie szpitalnym „War Eagle”, który wiozł rannych żołnierzy Unii z Pittsburga w Tennessee do Cincinnati. Wykorzystałem ów list w rozdziale 48., opisującym ochotniczą służbę Roba J. Cole’a w charakterze lekarza wojskowego na okręcie szpitalnym „War Hawk”.

Beverly Presley, bibliotekarz działu kartograficznego Clark University, obliczył na moją prośbę, jaki dystans przebywały historyczne i mogły przebywać fikcyjne okręty szpitalne.

Pracownicy Wydziału Filologii Klasycznej college’u Holy Cross udzielili mi pomocy w przekładzie kilku łacińskich cytatów. Richard M. Jakowski, doktor weterynarii, profesor Wydziału Patologii w Tufts-New England Veterinary Medical Center w North Grafton w stanie Massachusetts, zaspokoił moją ciekawość w zakresie psiej anatomii.

Wdzięczność winienem też University of Massachusetts w Amherst za przyznanie mi prawa wstępu do wszystkich jego bibliotek, oraz Edli Holm z wypożyczalni międzybibliotecznej tegoż uniwersytetu. Amerykańskiemu Towarzystwu Antykwarycznemu w Worcester w stanie Massachusetts dziękuję za udostępnienie mi jego zbiorów.

Pomocą i materiałami służyli mi Richard J. Wolfe, kustosz działu cymeliów i rękopisów, oraz Joseph Garland, bibliotekarz Countway Medical Library przy Harvard Medical School. W Lamar Soutter Library przy szkole medycznej University of Massachusetts w Worcesterze pozwalano mi łaskawie wypożyczać książki na długie terminy. Za okazaną mi pomoc dziękuję również personelowi działu informacji naukowej Biblioteki Publicznej w Bostonie oraz bostońskiemu Ateneum.

Bernard Wax z Amerykańsko-Żydowskiego Towarzystwa Historycznego przy Brandeis University dostarczył mi wiadomości na temat Kompanii C 82 pułku z Illinois, zwanej „żydowską kompanią”.

Latem roku 1989 odwiedziłem wraz z żoną kilka pól bitewnych wojny secesyjnej. Profesor Ervin L. Jordan Jr., archiwista w Alderman Library przy University of Virginia w Charlottesville, gościł mnie uprzejmie w swojej bibliotece i służył mi informacjami na temat szpitali wojskowych Konfederacji. Opisane w „Szamanie” warunki sanitarne, bitwy oraz inne wydarzenia wojny secesyjnej oparłem na faktach historycznych. Fikcyjne są natomiast pułki, w których służył Rob J. Cole. Wiadomościami na temat języka jidysz dzieliła się ze mną moja teściowa, Dorothy Seay.

Ann N. Lilly, w czasie mojej pracy nad niniejszą powieścią pracownica Forbes Library w Northampton i Okręgowej Sieci Bibliotecznej Zachodniego Massachusetts w Hadley w stanie Massachusetts, nie tylko wyszukiwała potrzebne mi książki, ale i taszczyła je z obu tych placówek do swojego domu w Ashfield. Dziękuję również Barbarze Zalenski z Belding Memorial Library w Ashfield oraz personelowi Field Memorial Library w Conway w

stanie Massachusetts za okazaną mi w kwerendach pomoc. Amerykańskie Towarzystwo Świadomego Macierzyństwa przysłało mi materiały dotyczące wyrobu i użycia prezerwatyw w dziewiętnastym stuleciu. Doktor Robert Cannon z Centrum Walki z Chorobami w Atlancie w stanie Georgia dostarczył mi informacji na temat leczenia syfilisu w latach, w których toczy się akcja mojej powieści, a Amerykańskie Stowarzyszenie Chorych na Chorobę Parkinsona – wiedzy o tej chorobie.

William McDonald, absolwent Wydziału Metalurgii przy Massachusetts Institute of Technology, zechciał podzielić się ze mną swoją wiedzą o metalach używanych do wyrobu narzędzi w okresie wojny secesyjnej.

Spekulacje snute w rozdziale 72. przez Jasona Geigera na temat rozwoju wydarzeń, gdyby Lincoln pozwolił stanom skonfederowanym oderwać się od Unii na drodze pokojowej, opierają się na opinii wyrażonej przez nieżyjącego już psychografa Gamaliela Bradforda w jego biografii Roberta L. Lee („Lee the American”, Houghton Mifflin, Boston 1912).

Podziękowanie winienem też panu Dennisowi B. Gjerdingenowi, dyrektorowi Szkoły Clarke’a dla Osób Głuchych w Northampton w Massachusetts, za umożliwienie mi kontaktów z personelem tej placówki i przyznanie prawa wstępu do jej biblioteki. Ana D. Grist, była bibliotekarka w Clarke School, pozwalała mi wypożyczać książki na długie terminy. Szczególne wyrazy wdzięczności składam pani Marjorie L. Magner, przez czterdzieści trzy lata nauczycielce dzieci głuchych, która pozwoliła mi wejść w niektóre problemy głuchoty, przeczytała też

maszynopis mojej powieści, co ustrzegło mnie przed nieścisłościami w opisie tego kalectwa.

Podczas pracy nad niniejszą książką pomocą chętnie służyło mi ponadto kilku lekarzy z Massachusetts. Doktor Albert B. Giknis, lekarz badający hrabstwa Franklin w stanie Massachusetts, omówił ze mną drobiazgowo kwestie związane z gwałtem i zabójstwem i wypożyczył mi swoje opisy patologiczne. Doktor Joel F. Moorhead, dyrektor medyczny polikliniki Spaulding Hospital i instruktor rehabilitacji klinicznej w Tufts Medical School, udzielił mi odpowiedzi na pytania dotyczące różnych rodzajów ran i chorób. Wolfgang G. Gilliar, specjalista okulista, kierownik programowy medycyny rehabilitacyjnej w Greenery Rehabilitation Center, oraz instruktor rehabilitacji w Tufts Medical School rozmawiali ze mną na temat fizykoterapii. Różnymi informacjami służył mi też, udostępniając swój prywatny księgozbiór medyczny, nasz lekarz rodzinny, doktor Barry E. Poret. Doktor Stuart R. Jaffee, starszy urolog w St. Vincent Hospital w Worcester w stanie Massachusetts i profesor urologii na Wydziale Lekarskim University of Massachusetts, udzielił mi odpowiedzi na pytania dotyczące kruszenia kamieni w pęcherzu moczowym i przeczytał rękopis powieści pod kątem poprawności medycznej.

Wyrazy wdzięczności składam również mojemu agentowi, Eugene'owi H. Winickowi z agencji McIntosh & Otis, Inc., za jego serdeczność i entuzjastyczny zapał, oraz Karlowi Blessingowi, dyrektorowi wydawnictwa Droemer-Knauer z Monachium.

„Szaman” jest drugim tomem zamierzonej trylogiiio lekarskim rodzie Cole'ów. Wcześniej wyrażona wiara Karla Blessinga w pierwszą powieść tego cyklu, „Medicusa”, pomogła jej stać się



bestsellerem w Niemczech i kilku innych krajach dodawała mi siłą podczas pracy nad „Szamanem”

Dziękuję też Peterowi Mayerowi, Elaine Koster i Robertowi Dressenowi z Penguin Books USA za trud włożony w wydanie tej książki. Pan Raymond Phillips wykonał znakomitą robotę jako redaktor rękopisu.

„Szaman” był pod wieloma względami przedsięwzięciem rodzinnym. Moja córka, Lise Gordon, dokonała redakcji maszynopisu przed dostarczeniem go wydawcy. Skrupulatna i surowa – nawet wobec własnego ojca – potrafi jak nikt podnieść człowieka na duchu. Moja żona Lorraine pomogła mi w przygotowaniu rękopisu i wspierała mnie, jak to zawsze czyni, swoją miłością i oddaniem. Mojej drugiej córce, Jamie Beth Gordon, z zawodu fotografikowi, udało się poskromić mój lęk przed obiektywem aparatu fotograficznego w czasie specjalnej a wesołej sesji, podczas której wykonywała moje podobizny przeznaczone na obwolutę książki i do katalogów wydawniczych. Otuchy dodawała mi także swymi listami i kartkami pocztowymi. Częste zaś telefony międzymiastowe od mojego syna, Michaëla Seaya Gordona, odzywały się zawsze wtedy, gdy potrzebowałem wsparcia na duchu, jakiego dostarcza mi nieodmiennie rozmowa z nim.

Te cztery najważniejsze w moim życiu osoby zwielokrotniły – co najmniej w czwórnasób – radość, jaką mi sprawiło ukończenie tej powieści.

*Ashfield, Massachusetts  
20 listopada 1991 roku*

---

---

[12] Największy i wyjątkowo ciężki obóz jeniecki Konfederacji; połowa z wieszonych tam 32 tys. jeńców zmarła.